



You have downloaded a document from  
**RE-BUŚ**  
repository of the University of Silesia in Katowice

**Title:** Podróż ograbiona : polska literatura podróżnicza po 1989 roku

**Author:** Maciej Kalarus

**Citation style:** Kalarus Maciej. (2013). Podróż ograbiona : polska literatura podróżnicza po 1989 roku. Praca doktorska. Katowice : Uniwersytet Śląski

© Korzystanie z tego materiału jest możliwe zgodnie z właściwymi przepisami o dozwolonym użytku lub o innych wyjątkach przewidzianych w przepisach prawa, a korzystanie w szerszym zakresie wymaga uzyskania zgody uprawnionego.



UNIwersytet ŚLĄSKI  
W KATOWICACH



Biblioteka  
Uniwersytetu Śląskiego



Ministerstwo Nauki  
i Szkolnictwa Wyższego

Uniwersytet Śląski w Katowicach  
Wydział filologiczny  
Instytut Nauk o Literaturze Polskiej im. Ireneusza Opackiego  
Zakład Literatury Współczesnej

**Maciej Kalarus**

**Podróż ograbiona.**

**Polska literatura podróżnicza po 1989 roku**

Praca doktorska napisana pod kierunkiem  
prof. Krzysztofa Kłosińskiego

Katowice 2013

# Spis treści

Spis treści.....	2
Wprowadzenie.....	4
Część I.....	13
<b>1. Pokolenie po kole</b> .....	15
a) Od Mezopotamii do teleportacji.....	16
b) Fortuna podróży.....	21
c) Książki-mapy-fotografie.....	25
d) Podróż w życiu i życie w podróży.....	32
e) Pytania o cel.....	38
<b>2. Gen podróży</b> .....	42
a) 1989.....	43
b) Cezura Ryszarda Kapuścińskiego.....	49
c) Podróżnik – tymczasowy uchodźca.....	57
<b>3. Azymuty podróży</b> .....	76
a) Literackie horyzonty.....	77
b) Azja.....	85
c) Afryka.....	185
d) Ameryki.....	234
e) Antypody.....	276

f) Dookoła świata.....	280
g) Na świecie.....	335
Część II.....	356
<b>1. Podróż ograbiona.....</b>	<b>359</b>
a) Karty pamięci.....	360
b) Człowiek.....	367
c) Środowisko.....	373
d) Kulisy zmagania.....	380
e) Pogranicza.....	387
<b>2. Na sprzedaż.....</b>	<b>393</b>
a) Rynek.....	394
b) Celebryci.....	398
c) Hybrydy.....	407
Podsumowanie.....	413
Bibliografie.....	419

# Wprowadzenie

Gdy umiera Ryszard Kapuściński, wchodzi do jego gabinetu na Prokuratorskiej biograf Artur Domosławski i na jednej z setek karteczek przyklejonych do ściany czyta rozterkę mistrza: *Jak skonstruować tekst naukowy oparty na własnych, osobistych, biograficznych doświadczeniach, być jednocześnie pielgrzymem i kartografem, życzliwym i chłodnym. Bo antropologia uwikłana jest z problem spotkania z Innym.*<sup>1</sup> Ważki dylemat, który towarzyszy każdemu, kto na co dzień para się nauką literatury i sztuką podróży, wydaje się na tyle istotny, by już w pierwszym zdaniu zwrócić na niego uwagę, a rozdarcie Cesarza Reportażu potraktować bardzo poważnie i z należnym zastanowieniem.

Ujęcie badawcze nie towarzyszyło dotychczas polskiej literaturze podróżniczej w takim wymiarze, jaki oto proponuje niniejsza rozprawa. Można nawet śmiało powiedzieć, że temat jest dziewiczy, a wydawnicza *Terra Incognita* dopiero czeka na rozczytanie. Wysyp książek podróżniczych, jaki nastąpił od momentu europejskich przemian politycznych roku 1989, a w szczególności zaś przez pierwszą dekadę i kilka następnych lat obecnego wieku, bezsprzecznie nakazuje publikacji tych nie lekceważyć i nie obchodzić w księgarskich składach szerokim łukiem, poświęcając im w tym miejscu należyłą i obszerną uwagę,

---

<sup>1</sup> A. Domosławski, *Kapuściński non-fiction*, Warszawa 2011, str. 544.

przekornie przedkładając tym samym nad ich połowiczną choć znajomość – jak chce starożytny Publiusz Syrus – tylko i jedynie całkowitą ignorancję.

Wnikliwy namysł wydaje się więc konieczny, a podróż jako doświadczenie inności oraz jako ruch w stronę tego, co nieznanne i nieoswojone, staje się oto głównym narzędziem sprawczym na początku całego procesu twórczego. Nie byłoby literatury podróżniczej, gdyby nie tułaczka zapoczątkowana przez mitycznego Odyseusza, a jeśli świat jest takim, jakim go widzimy, to nic bardziej trafnego niż pochylenie się w rozlicznych rozmyślaniach nad ukazującymi się rokrocznie tytułami. Jeśli bowiem, jak chce Zbigniew Herbert, *Tylko takie miasta są coś warte, w których można się zgubić*<sup>2</sup>, być może labiryntem tym będzie zagadnienie wędrówki szlakiem literatury podróżniczej. Traktując natomiast w światowym kontekście charakter europejskiej ziemi jako obszaru kulturowo jednolitego, aspiracją dla moich poszukiwań stało się przede wszystkim zwrócenie uwagi na wszystkie polskie publikacje, które w swojej tematyce sięgają jednak daleko poza granice Europy: zarówno te administracyjne, jak i geograficzne. Stąd na przestrzeni całej rozprawy wątek europejski pojawia się sporadycznie, raczej jako konieczne tło i nawiązanie, natomiast nie w percepcji pierwszoplanowej. Tematem głównym jest więc literatura podróżnicza będąca implikacją wszystkich wędrówek pozaeuropejskich.

Nim w kilku słowach przyjdzie więc za chwilę przywołać zasadnicze pola głównych zagadnień, jakich próba rozstrzygnięcia skłoniła mnie do przeprowadzenia niniejszej analizy, to przystępując do pracy badawczej nad stanem polskiej literatury podróżniczej po roku 1989, trzeba, jak się wydaje, już na wstępie dokonać pewnych pryncypialnych i prymarnych dla sprawy uzgodnień i ustaleń. Przede wszystkim więc na samym początku cały penetrowany obszar należy podzielić na cztery główne i fundamentalne części, z tym jednak istotnym zastrzeżeniem, że mowa jest o latach po roku 1989 oraz o książkach ukazujących się na terytorium Polski. Pierwszym i najważniejszym z punktu widzenia tej rozprawy zbiorem będą więc wszystkie publikacje podróżnicze napisane przez Polaków w ojczystym języku polskim. Drugim zbiorem będą książki wydane w Polsce, jednak ich autorstwo pozostaje domeną podróżników zagranicznych. Wyodrębnienie tej czytelniczej gałęzi wydaje się być tak istotne przede wszystkim ze względu na mnogość ukazujących się tytułów. Trzecim zbiorem, który także przykuwa coraz większą czytelniczą uwagę, a poszczególne wydawnictwa często lokują

---

<sup>2</sup> Z. Herbert, *Barbarzyńca w ogrodzie*, Warszawa 2004, str. 84.

w nim symboliczne i intratne nazwiska, jest oto cały zakres tematyczny obejmujący swoim zasięgiem wszelkie wznowienia, reedycje czy reprinty. Natomiast czwarty zbiór stanowi w rozległym kontekście zaproponowanego podziału wszelkie inne podróznicze materiały, niezawierające się jednak w trzech poprzednich zbiorach, a mam tutaj na myśli przewodniki, albumy, mapy, almanachy, książkowe kalendarze czy nawet interaktywne globusy. Na swój sposób będzie to również zbiór, w obrębie którego można byłoby poddać pod rozwagę wszelkie publikacje internetowe. Pytaniem, które w tym miejscu żąda także jasnej odpowiedzi, jest również zagadnienie bezpośrednio związane ze znaczeniowym pojęciem przedmiotu samej książki: czym dziś jest książka i czy książka istnieje poza księgarskim obiegiem oraz czy obieg ten obejmuje swoim zakresem także np. internetowe portale aukcyjne?

Z badawczego punktu widzenia bezsporny priorytet został nadany licznym przykładom wchodzącym w skład zbioru pierwszego, i to właśnie głównie te publikacje stały się nadrzędną inspiracją dla tytułowego paradygmatu „podróży ograbionej”. Ze względu jednak na liczne nawiązania i kontekstualność tworzonej literatury podrózniczej nie sposób także nie przywołać w charakterze tła i szerszego planu książek ze zbioru drugiego i trzeciego. Zagraniczne tłumaczenia ukazują bowiem ważną perspektywę geopolityczną, a polskie reedycje i wznowienia wiodą ślad namysłu w stronę liczących i mających znaczenie uwarunkowań historycznych. Wszystko to razem, ukazane w odpowiednich proporcjach, wydaje się przedstawiać w miarę pełny obraz aktualnego stanu polskiej literatury podrózniczej. Ze względu na niemały obszar pola badawczego generalnie odstępiałem od głębszej próby snucia osobnych rozważań dotyczących zbioru czwartego, jednakowoż fragmentarycznie i aluzyjnie zagadnienia te na łamach niniejszej rozprawy są przywoływane, mogąc także same dla siebie stanowić w niedalekiej już przyszłości kapitalny materiał badawczo-porównawczy.

Mając na uwadze wszelkie okoliczności, jakie towarzyszą powstawaniu literatury podrózniczej oraz zważywszy na niebagatelny fakt tworzenia jej przez autorów w oparciu o ich własne doświadczenie przebytej drogi, całość rozprawy doktorskiej została więc podzielona na dwie zasadnicze i główne części, z których pierwsza poszukuje odpowiedzi na pytanie o charakter i etiologię powstawania wędrownych książek, a druga skupia się na analizie dotyczącej samej tematyki omawianych literackich przykładów. Jak się bowiem wydaje, charakter i tematyka gatunku „literatura podróznicza” najbardziej stanowi o jej

oryginalności i poczytności. Ze względu także na wielobarwność przywoływanych publikacji, nie sposób było podczas tworzenia opracowania skwitować poszczególną książkę tylko jednym lapidarnym i skrótowym zdaniem, a uwzględniając autorskie zacięcie podróżników, zdecydowałem się na krótki przegląd opisowy, uwzględniający w miarę możliwości pisarski trud i zaangażowanie autorów, nie bagatelizując także ich twórczego zapału.

Na tak ukazanym tle, w części pierwszej zaproponowałem więc wstępną i bardzo umowną kategoryzację prowadzącą do wyodrębnienia literatury o charakterze aktywnym i pasywnym – a to ze względu na same osoby podróżników, gdy mianem aktywnej określiam twórczość wychodzącą spod pióra dziennikarzy, reporterów, fotografów i ludzi, którzy poprzez swoją zawodową profesję podróżują po świecie i o nim piszą (także księża, politycy i dyplomaci), a pod wspólnym mianownikiem literatury pasywnej sytuuję wszystkich publikujących podróżników z tzw. wolnej stopy, którymi rządzi i kieruje pasja, zamiłowanie, chęć przygody, a nie praca zawodowa. Można powiedzieć, że ów podział odbywa się przede wszystkim zważywszy na codzienne zajęcie piszącego i publikującego podróżnika. W tym celu, akcydentalnie, przy okazji omawiania jakiejś jednej z publikacji, w kilku słowach wprowadzona została krótka nota zawodowa dotycząca codziennej profesji podróżnika.

Natomiast w nieco innym zaproponowanym ujęciu, także w ramach pierwszej części rozprawy, można również, jak się wydaje, mówić o zjawisku tzw. bezpośredniej i pośredniej literatury podróżniczej. Oba znaczenia nadane zostały przez wzgląd na rozłożenie akcentów, gdy za podróżniczą literaturę bezpośrednią uznana zostanie każda publikacja, która w swojej budowie i treści dotyczy opowieści z konkretnego kraju lub regionu, natomiast literaturę o zabarwieniu pośrednim reprezentować będą wtedy tylko książki, które omawiane krainy traktują jedynie jako tło wydarzeń, a będą to więc publikacje historyczne i geograficzne, biografie, tematyczne albumy czy nawet sagi.

Jeśli zaś chodzi o część drugą rozprawy, zawiera ona retrospektywę nawiązującą w dwóch rozdziałach do omówienia i wyświetlenia pogłównych gałęzi tematycznych, na tle których sytuuje się aspekt sprawozdawczości wyłoniony z ogółu przywołanych podróżniczych publikacji. Należy jednak podkreślić, że niniejsza rozprawa, poprzez zaproponowaną formę rozważań, nie rości sobie ostatecznie prawa do oceniania, wartościowania i recenzowania książek podróżniczych oraz nie stanowi ich streszczeń.



Wskazuje natomiast, poprzez liczne przywołania, na obszerny zakres obejmujący swoim zasięgiem specyfikę charakteru i tematyki omawianych publikacji.

W ramach całej poddanej pod rozwagę literatury podróżniczej można niejako wyodrębnić jeszcze kilka innych ważkich zagadnień, które niemal samoistnie wyłaniają się na tle rozlicznych literackich przykładów. Będą to więc kwestie związane ze sprawami organizacyjno-finansowymi, z bliźniaczymi pojęciami „życia w podróży” i „podróży w życiu”, z antynomicznym zagadnieniem „literatury podróżniczej” a „literatury o podróży” czy chociażby, w części drugiej rozprawy, dywagacje o przywołanych postaciach polskich celebrytów – mówiąc w tym kontekście o tabloidytacji literatury podróżniczej i jej celebryckiej odsłonie.

Bardzo ważnym bowiem zagadnieniem, które zaczyna w ostatnim czasie mieć niebagatelny wpływ na gatunek umownie przez karty niniejszego opracowania zwanym także *travel literature*, staje się zjawisko potocznie określane mianem medialnej tabloidytacji. Wzorem niektórych tytułów prasowych mechanizm ten przenoszony jest również na ekrany telewizyjne i pasma radiowe. Na dobre zagnieżdził się także w internetowych sieciach, stając się tym samym ogólnym trendem, manierą – a i niejednokrotnie modą. Niestety zjawisko to zdaje się także nie omijać polskiej literatury podróżniczej, rugując siłą popularnego i możnego rynku wiele interesujących, ciekawych i niszowych publikacji. Jak się wydaje, temat ten mógłby posłużyć za osobne zagadnienie warte dogłębnej analizy i rzeczowych badań, gdy krzykliwe okładki i książki pełne np. kolorowych zdjęć i tanich sensacji, znajdują coraz większy popyt i coraz większe czytelnicze zainteresowanie. Na dzień dzisiejszy trudno ocenić wszak skutki, jakie wyraźna polityka edycyjna kilku znaczących wydawnictw wywoła w dłuższej perspektywie czasowej, jednak z całą mocą należy, jak się wydaje, podkreślić, że zjawisko to nie jest bez znaczenia i że tym samym nie jest warte licznych przemyśleń – wręcz przeciwnie. Problematyce tej poświęcam garść uwagi w drugiej części rozprawy, w rozdziale zatytułowanym „Na sprzedaż”, przy okazji, tak jak już wspomniałem, namysłu nad tzw. celebrycką literaturą podróżniczą. Ze względu jednak na obszerny materiał porównawczy (kilkadziesiąt publikacji sygnowanych nazwiskiem raptem kilku osób) od samego początku tworzenia niniejszej dysertacji nie było w moim zamiarze wnikliwe badanie tej części literatury podróżnej, a jedynie zasygnalizowanie bezspornie istniejącego zjawiska.

Roland Barthes mawiał, że literatura nie pomaga wszakże maszerować, ale za to pozwala oddychać. Nic bardziej mylnego i można przypuszczać, że francuski myśliciel nie miał na myśli literatury podróźniczej. W przekroju całej niniejszej rozprawy po stokroć wykazane jest nierozdzielne przymierze, jakie podróżnik na wielu etapach swojej eskapady zawiązuje na trwałe z literaturą podróźniczą. W licznych przypadkach, zanim wyruszy on na wędrowny szlak, albo książki te pilnie studiuje, albo zabiera ze sobą do plecaka, przy okazji drogi wertując i sprawdzając to i owo. Nie bez znaczenia będzie więc także przywołanie roli podróźniczego doświadczenia, gdy literatura tworzona jest w oparciu o własne, empiryczne, indywidualne wędrówki. Autopsja bowiem daje podróżnikowi uprawniony asumpt do relacji takiej, jaką uważa za stosowną. Rozprawa zwraca również uwagę na niemiłosierny niejednokrotnie wysiłek fizyczny, równy nie raz sportowemu, by globtroter mógł najpierw dotrzeć na miejsce przeznaczenia, a potem wrócić cało i zdrowo do domu. W tym znaczeniu literatura podróźnicza stanowi bardzo oryginalną i charakterystyczną formę zapisu – i można metaforycznie powiedzieć, że jak żadna inna pisana jest codziennie atramentem z potu, łez i krwi. Podróżowanie bowiem nie ma sensu bez pewnego ryzyka – jak mawiał w „Starym Ekspresie Patagońskim...” Paul Theroux.

Bezsporną konkluzją, jaka wynika z uważnego śledzenia wszystkich literackich dokonań, będzie także rozeznanie o przenikającym się na wskroś związku, jaki zachodzi pomiędzy samym procesem podróży/podróżowania, a późniejszym aktem pisarskim. Niezmiernie trudno więc operować wokół poruszanych zagadnień, nie redagując tym samym opracowania o charakterze czysto podróźniczym, a wyparcie rzeczywistego tematu podróży wydaje się wręcz niemożliwe. Należy więc uznać, że samego pojęcia „filozofii podróży” nie można wyrugować. W tym sensie zdarza się, że wiodąca tematyka, by zostać prawidłowo i rzetelnie ukazaną, wykracza od czasu do czasu poza semantyczną wymowę literackości. Aspiracją tej pracy było jednak i pozostaje, aby wykreślić w samym omawianym znaczeniu zasadniczą różnicę pomiędzy pisaniem o podróży, a pisaniem o literaturze podróźniczej. Ze względu jednak na sam charakter podróźniczych publikacji, które nad wyraz są dziś bardziej faktograficzne niż problemowe (w przeważającej większości), zadanie to nie okazało się proste i jednoznaczne w realizacji.

Rozprawa porusza także, w całym swoim przekroju, szeroki kontekst osoby podróżnika-pisarza, będącego zawsze ambasadorem i emisariuszem, jednak w co najmniej podwójnej roli: gdy poza granicami zaświadcza o Polsce i Europie oraz gdy po powrocie z

podróży staje się swoistym wysłańcem kultur, które odwiedził. Niebagatelne zadanie świadczenia o Innym nie jest niestety, jak można przypuszczać i sądzić na tle ukazujących się publikacji, powszechnym zwyczajem i normą, a wiedza np. o czasach i praktykach kolonialnych wydaje się mizerna i błaha – czasem po prostu, niestety, podróżują pospolicie ignoranci. Paru autorów z lubością i chętnie otwiera sklepy kolonialne lub kolonialne biura podróży, organizując np. „wycieczki po kły” albo „wypady za miasto na targ niewolników”, a wielu innych handlowo łupi lokalną przyrodę, zwożąc do kraju zakazane skóry, rośliny, zwierzęta czy inne specyficzne dobra rodzimej kultury. Analizując dziesiątki podróżniczych publikacji można także odnieść wrażenie, że w znacznej części i niestety coraz częściej literatura ta tworzona jest bardziej w celu sprzedania się (wątek tabloidalny) i promocji autorskiej (wątek celebrycki) niż ze wszystkich powodów pozamerkantylnych.

Na przestrzeni całej dysertacji, w różnych jej miejscach, skierowana jest także czytelnicza uwaga na tytułowe zagadnienie zawarte w pojęciu „podróży ograbionej” – jako na kategorię i rzeczywistość, i metaforyczną. Jak się wydaje, ukryta alegoryczna wartość zaczyna mieć dzisiaj coraz większe znaczenie, zważywszy przede wszystkim na zjawisko, które definiuję roboczo jako tzw. kolonializm odwrócony, gdy nie tyle robi się coś, a nie robi się niczego. Nie można bowiem także nie odnieść wrażenia, szczególnie jeśli ma się na myśli kolorowe fotografie oraz rozliczne podróże celebryckie i produkcyjno-filmowe, że dochodzi na tym polu do wielu nadużyć i nieetycznych zachowań. Bardziej szczegółowo przeglądu tej interpelacji dokonuję z początkiem drugiej części rozprawy.

Warto także zaznaczyć, że w obecnym czasie, od kilku ostatnich lat, jesteśmy świadkami ogromnego wydawniczego przyspieszenia, które co rusz zapelnia księgarskie półki nowymi tytułami. Tak dynamiczny rozwój świadczy niezmiennie o dwóch rzeczach: o tym mianowicie, że coraz więcej ludzi podróżuje i pisze, oraz o tym, że bezspornie istnieje, i to w stosunkowo dużej liczbie, tzw. polski czytelnik podróżniczy. Jednak rynek wydawniczy czy księgarski nie publikuje swoich wyników sprzedaży i trudno oszacować choćby przybliżoną ilość sprzedanych książek. Dynamiczny rozwój tej literackiej gałęzi każe także zwrócić uwagę na zjawisko multiplikacji tekstów poprzez wydawanie ich na różnych nowych elektronicznych nośnikach, gdy tradycyjna papierowa książka jest sukcesywnie wypierana i zastępowana prekursorskimi formatami xG. Ponadto, dzięki zastosowaniu najnowszych zdobyczy techniki oraz mobilności środków przekazu, bardzo często dochodzi do sytuacji, że po wyprzedaniu całości pierwszego nakładu, kolejne wydanie okraszone jest już np. nowymi

fotografiami lub w jakiejś części zmienioną treścią, co powoduje w efekcie, że choć tytuł jest ten sam, to notka o brzmieniu „Wydanie drugie poprawione i uzupełnione” ma oto inne znaczenie niż dawniej. Z pewnością też tematyka podjęta na łamach snutych tutaj przemyśleń może z powodzeniem stanowić, ze względu na swoją tak intensywną progresywność, zaczątek kolejnych wnikliwych badań i obserwacji.

Zważywszy jednak na wstępną rozterkę Ryszarda Kapuścińskiego o dylemacie, w jaki oto sposób połączyć ze sobą tekst naukowy z własnymi doświadczeniami, być może prostą odpowiedzią nie będzie tyleż sam zasób nauk humanistycznych, co np. tzw. obserwacja uczestnicząca, wprost pochodząca z pokrewnej dziedziny, antropologii, pogranicza nauk humanistycznych, społecznych i przyrodniczych. Podróżując od blisko dwudziestu pięciu lat po świecie dane mi było ze zmiennym szczęściem odwiedzić pod kątem kulturoznawczym i literaturoznawczym (śladami wielu literackich bohaterów i dzieł kultury) ponad sto dwadzieścia krajów. Między innymi z tego powodu badawcze spojrzenie na literaturę podróżniczą jest mi tak bardzo bliskie. Można powiedzieć, że bez książek o podróżach nie mogę żyć i nie wyobrażam sobie wędrowki bez wiernej i wnikliwej literackiej penetracji. Indywidualne przeżycia i doświadczenia zawsze bodaj są najlepszym paszportem i pewną wizaż do odległych krain. W związku z tym, szukając zaświadczonego rozwiązania, pozwoliłem sobie zamieścić w różnych miejscach rozprawy kilkanaście krótkich własnych podróżniczych przemyśleń, przywołując je dla zobrazowania omawianego akurat zagadnienia i mając na uwadze związek, jaki bezsprzecznie zachodzi pomiędzy procesem podróży a przewodem pisarskim. Przemyślenia te edycyjnie wyodrębniłem niewielką ramką i szarością tła. Podczas prac nad rozprawą świadomie odstępiałem natomiast, uznając za nieistotne dla całości prowadzonego wyводу, od korekty wielu nieścisłości i przekłamań, które znaleźć można na kartach cytowanych podróżniczych relacji. Wyszedłem bowiem z założenia, że nie falsyfikacja stanowi w tym miejscu istotę oraz główną oś badawczego namysłu.

Szanując u wszystkich podróżników autorski język wypowiedzi i mając tym samym na uwadze niejednokrotną oryginalność dokonywanych zapisów (skrót myślowe, język potoczny, podróżniczy slang, charakterystyczne nazwy własne, neologizmy, zawołania), jak również biorąc pod rozwagę niebagatelną pracę redakcyjną i edytorską wykonywaną przez wydawców, generalnie w przekroju całej rozprawy zdecydowałem się na zachowanie w przywołanych cytacjach pisowni oryginalnej, zachowując jej stan podług wydania, którym dysponuję i które w przypisie oznaczam datą.

W swoim bibliograficznym zapisie rozprawa, stanowiąc wybór czytelniczych pozycji, obejmuje zakres licznych publikacji, które ujrzały światło dzienne mniej więcej do połowy roku 2013 i są dostępne w powszechnym użyciu.

„Pisarzy podróżników cechuje skłonność do generalizacji, wyciągania zbyt pochopnych wniosków, toteż ich dzieła to na ogół przegadane i pełne oczywistości powierzchowne monologi. Niebędąca niczym więcej jak tylko usankcjonowanym nudziarstwem relacja z podróży to najniższa forma literackiej masturbacji – nieuczciwe narzekactwo, artystowskie łgarstwo, pusty heroizm i choroba pozy – w dużej mierze naznaczonej syndromem Münchhausena.”<sup>3</sup>

---

<sup>3</sup> P. Theroux, *Pociąg widmo do Gwiazdy Wschodu. Szlakiem „Wielkiego bazaru kolejowego”*, Wołowiec 2010, str. 9.

# Część I

W części pierwszej niniejszej dysertacji pragnę zwrócić szczególną uwagę na zagadnienie związane z próbą odpowiedzi na pytanie o charakter dzisiejszej literatury podróżniczej. Nie jest jednak, moją aspiracją, tak jak wspomniałem we Wprowadzeniu, recenzowanie, krytykowanie czy też ocenianie poszczególnych publikacji, a jedynie w miarę wnikliwy wgląd w jej bogate zasoby pod kątem namysłu nad naturą powstawania oraz okolicznościami, jakie towarzyszą autorskiemu procesowi twórczemu. Postaram się więc wykazać związek, jaki zachodzi pomiędzy samoistnym i oryginalnym aktem podróży, a spisaniem i wydaniem w okresie późniejszym książki podróżniczej. Zwrócę także uwagę na niebagatelny wpływ tak powstałej literatury na następne wędrowne ambicje, gdy często przez dziesięciolecia służy ona jako przykład, wzór, namowa i przewodnik dla kolejnych podróżniczych pokoleń. Nie bez znaczenia, jak się wydaje, będzie więc podzielenie tej części rozprawy na zaproponowane trzy główne rozdziały, ukryte jednak za metaforami tytułów: „Pokolenie po kole”, „Gen podróży” oraz „Azymuty podróży”. Ze względu na obszerny i opisowy charakter rozdziału trzeciego, można byłoby opracowanie to również wyodrębnić jako osobną i w pełni autonomiczną część.

W skrócie można zatem powiedzieć, że o ile pierwszy rozdział traktuje o kontekstualnej części gatunku *travel literature* i naświetlając tło historyczne opisuje tę literaturę w obrębie odpowiedzi na pytania o powszechny sens symbiozy podróżnik-książka (zwracając czytelniczą uwagę m.in. na genezę jej powstawania oraz ważkie w tym miejscu zagadnienia relacji komunikacyjnej nadawca-odbiorca), to rozdział drugi wskazuje już bardzo

wyraźnie na trzy symptomatyczne akordy. Będą nimi: polityczna cezura roku 1989, symboliczna w tych okolicznościach postać Ryszarda Kapuścińskiego (w jakimś znaczeniu kreśląc i wytyczając podział na literaturę podróżniczą przed Kapuścińskim i po Kapuścińskim) oraz podjęta próba wstępnej kategoryzacji wraz ze zwróceniem szczególnej uwagi na codzienną profesję zawodową podróżnika-autora (kim jest, skąd pochodzi, gdzie pracuje, gdzie mieszka). Natomiast rozdział trzeci, na tle całej rozprawy najbardziej obszerny, skupia się tylko i wyłącznie na przywołaniu licznych wydawniczych tytułów, jednak w charakterystycznym ujęciu kontynentalnym: pozycje podróżnicze o Azji, o Afryce, o Amerykach oraz o Antypodach. Na końcu znajdują także miejsce relacje traktujące o podróżach dookoła świata (w trzech ujęciach) oraz o tzw. podróżach tematycznych (zdobywanie gór, przepływanie oceanów, sporty ekstremalne, nurkowanie, reporterski udział w wojnach, budowanie relacji rodzinnych). Warto w tym miejscu także nadmienić, że taki przekrojowy i kontynentalny trawers, dokonany poprzez mnogość przywołanych przykładów i geograficzną kolejność (kraj za krajem), stanowi unikatowe ujęcie w głąb zarówno wnikliwej odpowiedzi na wiele nurtujących rozprawę pytań, jak również najlepiej, jak można przypuszczać, wskazuje na odpowiedź o tematyczne pytanie dotyczące charakteru pozaeuropejskiej polskiej literatury podróżniczej zrodzonej po 1989 roku.

Ponadto, na całej przestrzeni omawianych zagadnień, niejako przy okazji przywoływanych publikacji, poruszony zostaje ważki temat materialnego finansowania podróżniczych wypraw poprzez wyświetlenie fundamentalnych dysproporcji, gdy konkretny podróżnik rusza na szlak w oparciu o własne zasoby finansowe lub gdy podróż jest skutkiem jego pracy zawodowej (etatowy dziennikarz, reporter, fotograf) albo swoistej profesji – polityk lub ksiądz. Przeprowadzona praca badawcza zwróciła także uwagę na tzw. podróżnicze zagadnienia technologiczne (podróż pieszo, rowerem, motorem, żaglowozem samochodem/autostopem, statkiem, samolotem), czego bezpośrednim i żywotnym skutkiem, jak się wydaje, jest charakter powstałej później literatury. W przypadku takich publikacji następuje w podrozdziale „Kulisy zmagania” bardzo wyraźny opis sposobu podróżowania, gdzie akcent nie kładzie się wówczas np. w stronę refleksji o charakterze kulturoznawczym. Podróżnicze sprzęty nie tyle są wtedy niemym świadkiem wyprawy, a stają się osią całej podróżniczej batalii.

# Pokolenie po kole

Jeśli kogoś bogowie uchronili od wycieczek, jeśli ma za mało pieniędzy lub za dużo charakteru, aby wynająć się przewodnikom, pierwsze godziny w nowym mieście należy poświęcić na łażenie wg zasady: prosto, potem trzecia w lewo, znowu prosto i trzecia w prawo. Systemów jest wiele i wszystkie dobre.

(Zbigniew Herbert, *Barbarzyńca w ogrodzie*)

Czas, który oni tu spędzają w bibliotekach, ja spędzam na pustyniach i drogach. Podczas, gdy oni czerpią materiał do rozmyślań z historii idei, ja czerpię go z codzienności, ruchu ulicznego i krajobrazów. Ten kraj jest prostoduszny i trzeba w nim być prostodusznym.

(Jean Baudrillard, *Ameryka*)

Nie ma podróży bez przekraczania granic – politycznych, językowych, społecznych, kulturowych, psychologicznych, również tych niewidocznych, odgradzających jedną dzielnicę od drugiej w tym samym mieście, granic między osobami, pokrętnych granic, które w naszym własnym piekle rozdzielają nas.

(Claudio Margis, *Podróż bez końca*)



# 1. OD MEZOPOTAMII DO TELEPORTACJI

Na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat pojęcie podróży zmieniło się w sposób tak radykalny, że jakiegokolwiek szablonu zdają się do niczego już nie pasować, uwierać i przeszkadzać. Porządek dezokratyczny, wprowadzony wraz z upadkiem systemów kolonialnych, przy ogromnym wzroście migracji na niespotykaną w dziejach świata skalę, wraz z jednoczesnym przyspieszeniem informatycznym, zaserwowały ludzkości w skutek swojego rozpędu wydarzenia, które zburzyły w sposób całkowity docześnie znaną formę podróży. W wyniku globalnych przemian polityczno-gospodarczych uległy swoistej erozji jednoznaczne dotychczas pojęcia drogi, czasu i miejsca. Wydaje się, że nic dzisiaj nie jest już takie samo – a nawet podobne. Degradacji poddały się cele, kierunki i powody, dla których człowiek od wieków wędrował po lądach i morzach swojego mniej lub bardziej znanego świata. Z dzisiejszego punktu widzenia nastąpiła daleko idąca archaizacja drogi, którą zastąpiły zwielokrotnione aimpotencje podróżników-turystów-włóczęgów. Także sama w sobie przebudowa i modernizacja świata końca starej ery nowoczesności wprowadziła tzw. porządek nieporządku, który nie uznaje już dziś administracyjnej granicy na poziomie regionu, kraju czy kontynentu. Dostępność transportu powietrznego wraz z gigantycznym rozwojem wszelkich nanotechnologii położyły po bez mała sześciu tysiącach lat, jak się wydaje, ostateczny kres kołu z Mezopotamii. Zmieniła się także ludzka wyobraźnia: coś, co kiedyś było nie do pomyślenia, o czym nie tyle nie można było marzyć, ile w ogóle nie istniało w skali i percepcji nawet najbardziej zuchwałych marzycieli, stało się dostępne na wyciągnięcie ręki. Osiągalność nieosiągalnego wydobyła na światło dzienne obrazy nie znane dotychczas nikomu. Można powiedzieć za Stanisławem Lemem, że kto wyobraźnią wojuje, w wyobraźni i tonie. Czy jednak brak wyobraźni nie uczyniłby nas niewolnikami wspomnień?

Żadna podróż nie jest jednoznaczna. Można powiedzieć, że mimo jej tradycyjnego charakteru ruchu stała się pannowoczesna co do podmiotu i przedmiotu. Dotychczasowe klasyfikacje zawodzą ze względu na prawie nieograniczone możliwości technologiczne i terytorialne: dawniej liczyło się miejsca na Ziemi, gdzie jeszcze nikogo nie było – hołubiąc zdobywców. Dziś jest dokładnie odwrotnie: liczy się ludzi, którzy dotychczas jeszcze nigdzie nie byli. Globalne migracje zarobkowe i naturalne (Chińczycy szukający żon) powodują

niekontrolowane i pozawizowe przemieszczania się mas, które także są dla nich formą podróży. W tym sensie nie tyle podróżują ludzie, ile podróżują miasta: znikają wymarłe i rodzą się nowe z miejscowej, przesiedlonej demografii. Podróż sama w sobie staje się więc wyzwaniem, związkiem wielu konieczności, które owite wokół głowy podróżnika jak arabski turban czy omańska kefija, pchają go w każdą kolejną drogę i na każdą następną wyprawę.

Kilka lat temu brytyjski następca tronu, książę Karol, za pomocą wirtualnego wynalazku znajdował się w dwóch miejscach na raz: jego trójwymiarowy hologram stał i przemawiał do żołnierzy w angielskiej bazie wojskowej na terenie ogarniętego wojną Iraku, gdy monarcha osobiście, w tym samym czasie, wygłaszał wykład dla licznie zgromadzonych studentów w auli oxfordzkiego uniwersytetu. W jakimś sensie podróż przekroczyła kolejną granicę, stając się transgraniczną nie tylko ze względu na miejsce, ale i na czas. Współczesne korporacje transportowe, czy to morskie, czy lotnicze, bez większych przeszkód oferują możliwość wykupu dowolnej liczby biletów pozwalających na podróż wybranym środkiem transportu nie tylko dookoła świata, ale i – albo przede wszystkim – do najbardziej odległych zakątków globu. Mając w ręce jeden bilet można dotrzeć bodaj wszędzie – dając tym samym posłuch Kafce z jego „Obrońców”: *jeżeli zatem nie znajdziesz tu nic na korytarzach, otwórz drzwi, ale jeśli za drzwiami nic nie znajdziesz, są jeszcze inne piętra, a jeśli na górze nic nie znajdziesz, nie ma nieszczęścia, wejdź na nowe schody. Dopóki nie przestaniesz wchodzić, dopóty nie kończą się stopnie, pod twoimi wspinającymi się nogami wciąż rosną w górę.*<sup>4</sup> Genewski CERN ze swoim długim na dwadzieścia siedem kilometrów podziemnym Wielkim Zderzaczem Hadronów w jakimś sensie zamierza przenieść ludzkość w całkiem inną formę podróży: w podróż w czasie. I choć ostatnie próby nie powiodły się, twórcy akceleratora wraz z międzynarodowymi naukowcami zapewniają, że nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa przeciw Einsteinowskiej teorii względności.

**O**d zamierzchłych czasów człowiek podróżował, a droga od początku była znojem.

*Dlaczego nieustannie podróżuję, skoro tak bardzo boję się podróży?*<sup>5</sup> Wagnany opuścił Eden albo szedł miliony lat z obrzeży Afryki i Azji. Walczył, zabijał i ginął. Uciskany albo szukał ojczyzny, albo bywał z niej przepędzany. Solon uchodził do Egiptu, na Cypr i do Lidii za

<sup>4</sup> F. Kafka, *Obrońcy*, Warszawa 1988, str. 51.

<sup>5</sup> S. Lindqvist, *Wytepić całe to bydło*, Warszawa 2011, str. 14.

krwawych rządów Pizystrata, a Ksenofont z Cyrusem wracał po przegranej walce do rodzinnej Hellady. Wszystko na swój sposób opisywali jońscy logografowie, stając się pierwszymi podróżnikami, a największym z nich był Herodot. I choć w starannych opisach kronikarze często mieszały mity z realną prawdą – nie oddzielając faktów od fikcji, to można powiedzieć, że ich literacka spuścizna legła u podstaw całej późniejszej literatury podróżniczej. Piętno swoje odcisnęli także Tukidydes i Pauzaniusz, dzięki którym znana jest i Wojna Peloponeska, i architektoniczny wygląd całej ówczesnej Grecji. Więc człowiek zawsze szedł, czy to z mieczem, czy pod miecz. Cały Stary Testament jest księgą podróży: wygnania i poszukiwania. Wędrowki do Ziemi Obiecanej. A potem kolejni geografowie-odkrywczy spisywali dzieje świata – i tak od średniowiecznego arabskiego Ibn Battuty<sup>6</sup>, przez zamorskie wyprawy konkwistadorów Krzysztofa Kolumba, Vasco da Gamy i Ferdynanda Magellana, aż po dzisiejszych obieżyświatów. – *Areias de Inferno – wycodził przez zęby Bartolomeuz Diaz, stawiając kamienny krzyż na brzegu. Piach z piekła. Nazwa nadana przez portugalskiego żeglarza w 1487 roku doskonale oddaje charakter wybrzeża Namibii, które stając się cementarzyskiem kolejnych statków, zyskało złowrogą sławę jako Wybrzeże Szkieletowe (Skeleton Coast).*<sup>7</sup> Na przestrzeni wieków nazywano ich wędrowcami, nomadami i pielgrzymami. Szli przez świat aoidowie, trubadurzy, minstrelowie i bardowie. Włóczyli się włóczędzy i dziadowie, z których najbardziej znanym pozostał lirnik kozacki Wernyhora. Z biegiem czasu podróżnik stał się pasażerem i wycieczkowiczem – a dziś także emigrantem, zesłańcem, uciekinierem i przesiedleńcem (*Bo nie można zrozumieć emigranta, jeśli naprzód nie usłyszysz się jego świadectwa*<sup>8</sup>). Podróżowali poeci, pisarze i naukowcy. Swoją drogę odbył Darwin, Malinowski czy Hemingway, dla którego podróż stała się nieustającą prozatorską inspiracją: *W drodze powrotnej popijał piwo marząc o przyszłości. Pragnął teraz jedynie wrócić do Afryki. Był spragniony czegoś więcej: zmian pór roku, deszczy bez konieczności podróżowania – a nawet niewygód, za które się płaci, żeby było to rzeczywiste. Chciał tam osiąść, nauczyć się języka, nie spieszyć się przed nadejściem deszczy, działać powoli.*<sup>9</sup> Od zarania dziejów podróż była więc losem człowieka, stając się jego ludzkim przeznaczeniem.

---

<sup>6</sup> Jak celnie w swojej książce zauważa Krzysztof Mroziewicz, pisząc: (...) *To nie Indusi, nie Chińczycy, nie Inkowie, nie Murzyni odkrywali świat. Oni mieli świat u siebie. Świat odkrywali Europejczycy, bo góry i lasy mieli niewielkie, łatwe do przekroczenia.* K. Mroziewicz, *Prawdy ostateczne Ryszarda Kapuścińskiego* Warszawa 2008, str. 12.

<sup>7</sup> A. Olej-Kobus, K. Kobus, *Namibia*, Warszawa 2011, str. 118.

<sup>8</sup> G. Kapllani, *Krótki podręcznik przekraczania granic*, Wołowiec 2009, str. 9.

<sup>9</sup> C. Baker, *Ernest Hemingway*, Warszawa 1999, str. 177.

„Podobnie jak nasi przodkowie trzy stulecia temu, wspinamy się zboczem w stronę przełęczy nie tkniętej ludzką stopą, nie mamy zatem pojęcia, jaki widok ukaże się naszym oczom, gdy tam staniemy. Nie wiemy, dokąd prowadzi kręty wąwóz; wiemy jedynie, że nie możemy przerwać naszej wędrówki tutaj, na stromo wznoszącej się ścieżce. [...] Idziemy więc dalej – bo nie możemy zbyt długo stać w miejscu. Dopiero, gdy staniemy (jeśli staniemy) na przełęczy i ogarniemy wzrokiem krajobraz po drugiej stronie, nadejdzie pora w pełni świadomej wędrówki. Ruszymy w dalszą drogę, co przyciągani przez nowe widoki, nowe cele i wybrane przez nas miejsca.”<sup>10</sup>

Diagnoza zarysowana przez socjologa i myśliciela Zygmunta Baumana wydaje się na tyle trafna, że wskazuje w swojej istocie na powody, dla których człowiek zmusza się do nieustannej wędrówki. Mimo już osiągniętych celów, mimo zaspokojenia własnej ciekawości i rządzy poznania, homo sapiens podróż ma niejako wpisaną w geny. Czy istnieje więc coś takiego, jak gen podróży, który na swój sposób Kapuściński nazywa chorobą, i to w dodatku chorobą nieuleczalną? Czy człowiek może nie podróżować? Czy w potencję rodzaju ludzkiego wpisana jest moc, czy niemoc? Czy w końcu bezruch jest naturalnym środowiskiem człowieka?<sup>11</sup>

Nie ulega wątpliwości, że na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci nastąpił gwałtowny i raptowny przyrost wszystkiego tego, co potocznie zwiemy podróżą. Świat zdefiniowany

---

<sup>10</sup> Z. Bauman, *Europa – niedokończona przygoda*, Kraków 2005, str. 209.

<sup>11</sup> W ciekawy sposób do zagadnienia związku podróży z pisarstwem odnosi się Joanna Ugniewska, na co dzień profesor Uniwersytetu Warszawskiego, autorka książek i tłumaczka m.in. Citatiego, Craveri, Eco czy szerzej cytowanego w niniejszej rozprawie Claudio Magrisa. Gdy więc na patrona nowożytnego podróżowania obiera tercjarza franciszkańskiego Petrarę (swoją drogą Ugniewska pomija milczeniem podróżnicze dokonania np. Marca Polo, który to urodził się pół wieku przed Petrarą, a swoją wielką podróż na wschód ukończył także jeszcze przed narodzeniem późniejszego franciszkanina), to wskazuje jeszcze nieco później na także inne podróżniczo-pisarskie meandry, pisząc: *W kulturze zachodniej podróż jest od początku postrzegana pozytywnie i wyposażona w niezliczone symboliczne znaczenia: pielgrzymka, podróż poznawcza, artystyczna, podróż życia... Od wyprawy Odyseusza, poprzez żydowski exodus, od Augustyńskiego „homo viator” aż po dzisiejsze wzory nomadyzmu, ruch, przemieszczanie się stanowiły zawsze jakąś obietnicę skwapliwie wykorzystywaną przez literaturę: wędrował Odyseusz i Don Kichot, Guliwer i Kandyd, Wilhelm Meister i Henryk von Ofterdingen, nie mówiąc o współczesnych „biegunach” oraz literackich i filmowych bohaterach „on the road”. Ale przecież istniała także tendencja mniejszościowa, pochwalająca tryb życia osiadły, przekładająca doświadczenie snu i wyobraźni nad przemieszczanie się w przestrzeni. Seneka dowodzi, że podstawową formą równowagi umysłu jest możliwość trwania w jednym miejscu, Augustyn przeciwstawia odkrywanie świata poznawaniu siebie samych, al. to dopiero dekadentyzm znacznie wątpić w realną wartość podróży. Baudelaire mówi o „gorące podróże” i porównuje świat do szpitala, gdzie każdy chory chce zmienić łóżko, sądząc, że będzie mu lepiej tam, gdzie go nie ma, a Des Esseintes, bohater „na wspaniały” Huysmana, rezygnuje z podróży do Londynu, ponieważ wie, że prawdziwa podróż nie poszerzy jego wyobrażeń: „Po kiego licha się ruszać, skoro można tak wspaniale wojażować na krześle!”. W XX wieku największymi zwolennikami podróżowania w myśli i wyobraźni są najpewniej Borges i Pessoa. Ten ostatni w „Księdze niepokoju” wyraził w sposób najbardziej radykalny zainteresowanie zwiedzaniem wyłącznie „piątej strony świata”, własnego wnętrza, rzeczywistość bowiem to jedynie „epizod wyobraźni”. A Borges nazwał podróż marną kopią snu. J. Ugniewska, *Podróżować, pisać*, Warszawa 2011, str. 58. Warto w tym miejscu zaznaczyć, że do swoistej konfrontacji zasiedziałego Jorge Luisa Borgesa z podróżą czynną dochodzi podczas jego spotkania z pisarzem-podróżnikiem Paulem Theroux'em na łamach kolejowego „Starego Ekspresu Patagońskiego...”.*

przez Francisa Fukuyamę jako miejsce, gdzie skończyła się historia, z dnia na dzień zaczął pisać swoje nowe rozdziały – sam dając odpór twierdzeniom filozofa. Przez ostatnie pięćdziesiąt lat człowiek, z różnych powodów i na różne sposoby, wzmógł dziesięciokrotnie swoją podróźniczą aktywność w porównaniu z pięciuset latami wstecz. Hiperpodróż gatunku ludzkiego stała się częścią jego losu i jego dziejów – a wszystko to wydarzyło się na kontynentach wolnych od światowych konfliktów militarnych, gdzie migracja nie jest koniecznością wysiedlenia, a tylko i wyłącznie skutkiem tzw. procesu bytności, w ramach którego panuje wręcz powiedzenie: kto nie podróżuje, ten ginie. Taką dziś rysuje się Ziemia. Chińczycy mawiają, że aby poznać drogę, trzeba zapytać tych, którzy powracają. W tym sensie podróż nie znosi teorii, a literatura podróźnicza staje się w efekcie zapisem laboratoryjnego doświadczenia – to nie fikcja, nie przypuszczenie i nie wyobraźnia. Każda podróż będzie więc rodzajem szpitalnej operacji z cięciem, wiwisekcją i skrupulatnym zszywaniem. *Opisałem to, co widziałem, tak jak zrozumiałem. Jeżeli coś było czarne, to jest opisane jako czarne, żółte jako żółte, a czerwone jako czerwone. Bez znaczenia, czy dotyczy koloru ziemi, czy ludzkiej skóry.*<sup>12</sup> Skazana na utratę podróż przeszła przez tysiąclecia swoją drogę. Nieodzownie: kto podróżuje, ten traci. Ale kto nie podróżuje, ten ginie. Doświadczenie drogi jest jak brud za paznokciami: świadczy, przypomina i uwiera. Zachodzi za skórę. Podróż targa namiętnościami i beznamiętnie porzuca. Nie ma współczucia i litości – tylko krew i pot. Czy więc warto?

---

<sup>12</sup> P. Kossowski, *Tygiel*, Bielsko-Biała 2009, str. 7.

## 2. FORTUNA PODRÓŻY

**P**odróż czasu i podróż miejsca. *Człowiek w kajdanach zawsze przemierzał te pola lodowe*<sup>13</sup> – zaczyna snuć swoją opowieść o podróży po Syberii angielski pisarz-podróżnik Colin Thubron. W zbliżonym tonie o Afryce pisze reporter Klaus Brinkbäumer, gdy przychodzi mu przemierzać Saharę: *Dzieje niewolnictwa stanowią jądro afrykańskiego losu i wiążą się z historią afrykańskiej odysei*.<sup>14</sup> Kontynent amerykański na swój sposób ogląda filozof Jean Baudrillard, pisząc: *Liczba ludzi, którzy tu na ulicach myślą w pojedynkę, jedzą i mówią w pojedynkę, może przestraszyć. Jednak te jedyńki nie dodają się do siebie. Przeciwnie, odejmują się jedne od drugich, a ich podobieństwo jest niepewne*.<sup>15</sup> Dla polskiego reportera-podróżnika Ryszarda Kapuścińskiego w Ameryce Łacińskiej *granica między futbolem a polityką jest niezmiernie wąska. Długa jest lista rządów, które upadły lub zostały obalone przez wojsko, ponieważ drużyna narodowa poniosła porażkę*.<sup>16</sup> Gdy Oceanię statkami przemierza wędrowiec Olgierd Budrewicz, pisze: *to, co widzi się na wyspach Salomona, Papui-Nowej Gwinei, w Irianie Zachodnim, ale i na oddalonych wyspach państw Mikronezji, jest rzeczywistością poza zasięgiem wiedzy, dobrej woli i zainteresowań narodów zamożnych, od wieków ignorujących los ludów nie mających korzeni w Grecji i Rzymie*.<sup>17</sup> Przykłady rozsiane po całym świecie. W krótkim włoskim wspomnieniu starodawną i na wpół wymarłą już dziś formę podróży w sobie charakterystyczny sposób spointował wspomniany wyżej Kapuściński: *Bach przeszedł pieszo połowę Niemiec, by spotkać swojego mistrza. Herodot przewędrował sześć tysięcy kilometrów, by sprawdzić pewien detal swojej historii. Dziś nikt już nie robi podobnych rzeczy. Dlaczego? Ta pustka, wy też ją czujecie. Macie Internet, prawda? Ale to wam nie wystarcza, bo doskonale wiecie, że jesteście manipulowani. Szukacie tradycyjnych narzędzi. Potrzebujecie świadków historii takich jak ja*.<sup>18</sup> Jeżeli więc podróż trwa nieprzerwanie, mimo zmieniających się okoliczności, to także na swój sposób będą zmieniać się opowieści o niej samej: zarówno te spisane ręką podróżników, jak i te,

---

<sup>13</sup> C. Thubron, *Po Syberii*, Wołowiec 2011, str. 9.

<sup>14</sup> K. Brinkbäumer, *Afrykańska odyseja*, Wołowiec 2009, str. 43.

<sup>15</sup> J. Baudrillard, *Ameryka*, Warszawa 2011, str. 23.

<sup>16</sup> R. Kapuściński, *Wojna Futbolowa*, Warszawa 1978, str. 175.

<sup>17</sup> O. Budrewicz, *Druga strona Księżyca*, Warszawa 2004, str. 28.

<sup>18</sup> R. Kapuściński, *Dalem głos ubogim*, Kraków 2008, str. 13.

które powstają wskutek przetwarzania najprzeróżniejszych danych. Opowieści filmowe zyskują nowe narracje, fotografie prezentowane są na nośnikach multimedialnych, a wspomnienia publikuje się w formie audiowizualnej. Można powiedzieć, że wraz z dynamicznym rozwojem swoistego przemysłu turystycznego zmienia się i przeobraża forma i sposób opisu świata. W tym sensie anarchia podróży wypiera anachronizm zapisu. Coraz częściej w koncepcji wyprawy podróżniczej jedną z niepoślednich ról odgrywać zaczyna sposób jej transmisji – im szybciej, tym lepiej, bo za kilka godzin czy dni ktoś inny może nas wyprzedzić. Potocznie znane są anegdoty o ciźbie, jaka panuje na najwyższych górach świata, gdy himalaistę na wierzchołku trudno zrobić sobie samotną fotografię.

Jesteśmy więc świadkami globalnego przyspieszenia, które dotycząc praktycznie każdej dziedziny ludzkiego życia nie może ominąć zagadnień na trwałe związanych z procesem podróży. Otwartość i dostępność świata wypiera białe plamy i ciszę. Podróż stała się wariantywna co do sposobu oraz spersonalizowana na niespotykaną dotychczas skalę co do kierunku. Okoliczności te w naturalnej konsekwencji doprowadziły do takiego wytyczania szlaków, by każdy na swój sposób mógł gdzieś być pierwszy i jedyny – albo chociaż w grupie, która dzierży palmę pierwszeństwa. W tym sensie pierwotna idea podróży została niejako wynaturzona na rzecz wyścigu o prymat: celem nie stała się droga sama w sobie i mózół jej pokonania albo chęć dotarcia do jakiegoś wybranego miejsca, a jedynie sposób wędrówki skwitowany efektem marketingowym. Podróż ograbiona. Mottem zrodziło się „inaczej”, a nie „gdzie”. Spektakularność oraz atrakcyjność takich wypraw i wyczynów na przestrzeni ostatnich lat zyskała i zyskuje spore grono zarówno twórców-podróżników, jak i odbiorców-czytelników – z tym jednak zastrzeżeniem, że tzw. czytelnikiem nie jest już dziś osoba tylko czytająca formy pisane, ale także każdy przeciętny widz i słuchacz zwielokrotnionych przekazów multimedialnych. Biorąc powyższe pod uwagę, w tym sensie np. podróż dookoła świata jest dziś prosta i banalna, a dla przeciętnego mieszkańca Unii Europejskiej wymaga tylko wypełnienia jednego lub dwóch wniosków wizowych. Średniej klasy samochodem można przejechać drogą asfaltową całą Rosję i wsiąść na prom do Stanów Zjednoczonych. Później można szerokimi autostradami przemierzyć Amerykę Północną i znów statkiem dotrzeć do portów Europy – a stąd już prostą drogą do każdego domu. I wszystko powyżej Zwrotnika Raka. To jednak nie wystarcza – takich podróży jest wiele i będzie coraz więcej: wystarcza dwa miesiące wakacji i namiot. Lecz szukając wyzwań i patrząc na Ziemię jako na kulę, można spróbować podróż dookoła świata zorganizować nie

wobec równoleżników i zgodnie z ruchem wirowym Ziemi, a pokusić się np. o trasę południkową. Karkołomność takiej wyprawy wydaje się nie mieć prekursorów, a także przecież będzie podróżą dookoła świata. Jednak przemierzenie Afryki z północy na południe może okazać się w dzisiejszej sytuacji politycznej wręcz niemożliwe, a późniejsza podróż przez obie Ameryki nad wyraz trudna, mozolna i skomplikowana administracyjnie. Należy w takim wypadku wziąć także pod uwagę strukturę monetarną i wizową – dodając około czterdzieści granic lądowych i wielokrotnie dłuższą ilość kilometrów, a także biorąc pod uwagę skomplikowaną charakterystykę klimatyczną takiej wyprawy. Obserwując jednak świat dzisiejszych podróżniczych zdobywczy można być pewnym, że takie i podobne wyprawy zyskują na coraz to większym znaczeniu, kiedy paradoksalnie osiągalność i możliwość stała się przeszkodą i podróżniczą dysfunkcją. Nie tak jeszcze dawno na afrykańskie Kilimandżaro wchodzili tylko nieliczni, a dziś szlakiem suną dziesiątki zorganizowanych wycieczek.

Immanentną częścią podróży jest wspomnienie. Metafizyka wspomnienia polega w tym wypadku na tym, że robi się coś, by wspominać. Podróżuje się dla celu wspomnień. Jeszcze przed wyruszeniem w drogę współczesny wagabunda na swój sposób planuje wspomnienia. Planuje ich zapis tylko po to, by móc później wspominać – podróżując odwrotnie: nie dla podróży, ale dla wspomnień. Cel podporządkowuje okoliczności. Staje się dokładnie odwrotnie, niż chciał amerykański pisarz Napoleon Hill mówiąc, że aby działać, trzeba mieć cel. Dzisiejszą podróżą w wielu przypadkach, jak się wydaje, rządzi precyzyjnie inna dewiza: żeby mieć jakiś cel, trzeba działać. W tym znaczeniu można zauważyć symptomatyczny wzrost akcentów medialnych, które towarzyszą wielu wyprawom. Powstają patronaty prasowe i telewizyjne. Określani są jedyni właściciele praw do transmisji. Z prawem wyłączności wspierają portale internetowe. Urządzane są kuratele przekazu. Jądro podróży schodzi na plan dalszy. W tym całym rozgardiaszu trudno o правило. Zmyślne konstrukcje zaczynają zastępować lokalny koloryt podróży, wyobcowując ją z wiekowej roli poznania.

„Podróżowanie jest niemoralne, twierdził Weininger, podróżując. Jest okrutne, dodawał Canetti. Niemoralna jest ufność w skuteczność ucieczki, jak dobrze wiedział Owidiusz, ostrzegał on, aby nie próbować uciekać przed strapieniami, poganiając konia, ponieważ czarny strach, jak głosi jego wiersz, pędzi w siodle za jeźdźcem, który łudzi się, że zdoła mu umknąć.”<sup>19</sup>

---

<sup>19</sup> C. Magris, *Podróż bez końca*, Warszawa 2009, str. 18.



Dzisiejsza podróż jest przekleństwem. Skala możliwości okroiła ją z tajemnicy i obdarła z tej świętej niewiedzy dziewictwa, która prowadziła ją przez wieki za rękę. Coś, co jeszcze przed chwilą wydawało się szczególne i jednorazowe, już za chwilę znajduje się na setkach kolorowych stron publicystycznych magazynów. Paradoksalnie podróż stała się owym Owidiuszowym czarnym strachem – pędzącym jednak przed jeźdźcem. Montaż stał się demontażem, a prawda nie prawdą, tylko zgrabnie zapakowaną i zmanipulowaną fikcją.

### 3. KSIĄŻKI-MAPY-FOTOGRAFIE

**L**iteratura podróżnicza jest jak mapa. Kolejne książki – czy to reportaże, czy przewodniki – przypominają zwoje papierowych map, za pomocą których można trafić wszędzie i nigdzie. Publikacje prześcigają się formą i treścią. Kolorowe okładki kuszą oko. Edycje, reedycje, wznowienia. Premiery, bestsellery, kanony. Książki jak albumy i albumy jak książki. Najodleglejsze rejony opisane ręką turysty, podróżnika, włóczęgi. Fotografie robione na łądzie, w oceanach i z przestworzy. Wspomnienia. Pamiętniki. Dzienniki. Podróż rozłożona na czynniki pierwsze piórem amatora i wziętego skryby. Tysiące publikacji internetowych: blogi, strony autorskie i domeny podróżnicze. Wszystkie wyjazdy stają się dokumentem. Można zaryzykować stwierdzenie, że każdy kto dziś podróżuje, jest publicystą – wystarczy kilka zdjęć i krótki opis w katalogu na jednym z portali społecznościowych. Jeszcze nigdy wcześniej podróż nie była tak udokumentowana i opisana, jak teraz, na progu XXI wieku. Setki milionów zdjęć magazynowanych w wirtualnych galeriach. Dziesiątki opisów jednego zakrętu w jednym tylko miasteczku. Starożytne budowle prześwietlone na wszystkie strony. Rzeki z wodą i bez wody. Nowoczesne cuda ze stali i szkła opisane detal po detal. Byłem, widziałem, zobaczyłem. Wsiadłem, pojechałem, odkryłem. Wszedłem, usiadłem, zdobyłem. Byłem, byłem, byłem.

Książki o podróży. *Literatura podróżnicza jest w oplakany stanie*<sup>20</sup>? Publikacje o całym świecie. Można odnieść wrażenie, że czym ich więcej, tym bardziej nie wiadomo, dokąd jechać. Eseje prawdy i półprawdy. Półki w księgarniach uginają się od coraz to wymyślniejszych tytułów. Grzbiety świecą fluorescencją. Przewodniki od A do Z. Billboardy, standy, etykiety. Konkursy, festiwale, targi. Cały przemysł wydawniczy wciągnięty w jedną wielką podróż. Edycje nagród. Memoriały wspomnień. Złote Pióra, Kolosy i Platynowe Globusy. W ramach konkursów można wygrać wszystko: podróż dookoła świata i świat w pigułce. Bilety na zaludnione po brzegi tzw. bezludne wyspy. Nominacje, kolejne tomy, wydania koneserskie. Literatura podróżnicza jako towar. Przemysł papierniczy. Cena, ranking i pozycja. Zaangażowani redaktorzy, dziennikarze i recenzenci. Zaprzęgnięci edytorzy, poloniści i graficy. Setki notek, zajawek i streszczeń. Programy telewizyjne wydawane

---

<sup>20</sup> P. Theroux, *Stary Ekspres Patagoński. Pociągiem przez Ameryki*, Wołowiec 2012, str. 21.

później w formie papierowej i elektronicznej – tuż obok ekranizacji wielkich literackich dzieł. Podróż przenoszona na papier i papier przenoszony na podróż. Skrzyżowania idei. Powielanie szlaków i wątków. Zakamarki utopii. Jedna historia i tysiące historii. Ludzie, którzy są i których już nie ma. Ludzie, których nigdy nie było. Autorzy z talentu, z zawodu i z przypadku. Zaginieni w czasie bajkopisarze. Podróżnik-pantokrator. Turysta-zdobywca. Pisarz-wagabunda.

Jeśli literatura podróżnicza jest podobna do mapy, to sama podróż stała się dziś książką. Jeżeli cały świat opisany jest słowem, to spisane słowo nie może istnieć bez świata. Setki stron mówią o świecie, gdy ten, sam w sobie, jest najlepszą ilustracją niemal każdej publikacji. Książki o świecie i świat o książkach. Jedno ilustruje drugie i żadne bez siebie nie istnieje. Fenomen spisanego słowa kryje w sobie obraz Ziemi, gdy równocześnie ta sama Ziemia objaśnia poczynione zapisy – jako ilustracja. W tym sensie literatura podróżnicza nie może istnieć bez doświadczenia podróży, tak jak sama podróż bez drogi i czasu.

„Panowie cesarze i królowie, książęta i markizowie, wojewodowie, rycerze i obywatele oraz wszyscy ludzie, którzy pragniecie poznać różne nacje i osobliwości różnych części świata, weźmijcie tę księgę i każcie z niej czytać. A znajdziecie w niej wszystkie największe cuda i różnorodne dziwy Wielkiej i Małej Armenii, i Persji, Turcji i Tatarii, i Indii, i wielu innych ziem otaczających Azję Środkową i część Europy, idąc w kierunku północnego wschodu i północy, o których nasza księga wam opowie po porządku, tak jak Jegomość Marco Polo, zwany Milion, mądry i szlachetny obywatel Wenecji, opowiada, co na własne oczy widział.”<sup>21</sup>

Dla średniowiecznego podróżnika opisanie świata stało się celem samym w sobie. Bogaty i zasobny w rodzinny majątek przemierzał Wschód nie z powodów handlowych i merkantylnych, a tylko i wyłącznie dla własnego zadowolenia – z chęci poznania. I choć jego opisy pełne są wskazówek dotyczących handlu, bogactw naturalnych czy też form transportu, to genezy kilkudziesięcioletnich wypraw należy szukać w przemożnej ochocie zobaczenia na własne oczy niezbadanych lądów Lewantu. Nie dość powiedzieć, że kilkaset lat później Krzysztof Kolumb i Amerigo Vespucci obficie korzystali z encyklopedycznej wiedzy Marca Polo, spisanej i przeredagowanej w „Fons memorabiliom universi” przez Dominika z Arezzo, a dziewiętnastowieczne wyprawy Przewalskiego, Svena Hedina, Benazeta czy Lichtmana potwierdziły etnograficznie i antropologicznie zwoje Genuńczyka.

---

<sup>21</sup> Marco Polo, *Opisanie Świata*, Warszawa 2010, str. 3.

Dziś jest całkiem inaczej. Można wsiąść w samolot i za kilka, kilkanaście godzin wylądować gdzie się tylko chce. Świat zdaje się nie mieć tajemnic i umownych krańców. Można wziąć ze sobą podręczne urządzenie, które wszystko nagra, zrobi zdjęcia, zapisze notatki i w niemal ułamku sekundy zamieści każdy szczegół w wirtualnym wszechświecie. Dziś już prawie nie trzeba podróżować, by coś zobaczyć i czegoś się dowiedzieć. Choć samo pojęcie podróży zmieniło swoje znaczenie – z tradycyjnej formy pokonywania drogi i czasu po wędrówkę przez interfejsy i satelity. I tak, jak na przestrzeni wieków zmienia się prymarna zasada podróży, tak ustawicznej zmianie podlega także sam podróżniczy zapis. Literatura podróżnicza stała się wprost proporcjonalna do dostępności świata. Im okno szerzej otwarte, tym więcej powietrza w środku.

Iran 1979. Rewolucja. W podobnym czasie na miejscu przebywa trzech polskich reporterów: Wojciech Giełżyński, Jacek Kalabiński i Ryszard Kapuściński. Pierwszy publikuje „Rewolucję w imię Allacha”, drugi „Iran – nowe mocarstwo?”, a trzeci opisuje wydarzenia w sławetnym „Szachinszachu”. Giełżyński, świadomy dynamiki wydarzeń, notuje: *To, co piszę dziś o Iranie, najpewniej już jutro nie będzie w pełni aktualne. A książka drukuje się dłużej niż jeden dzień.*<sup>22</sup> W podobnym tonie wypowiada się Kapuściński: *Kiedyś wozilem po świecie małe, kieszonkowe radio i słuchając lokalnych stacji, wszystko jedno na którym kontynencie, mogłem wiedzieć, co dzieje się na naszym globie. Teraz to radio, tak dawniej pożyteczne, nie służy mi do niczego. Kiedy przesuwam galkę, z głośnika odzywa się dziesięć kolejnych radiostacji, mówiących w dziesięciu różnych językach, z których nie rozumiem ani słowa. Tysiąc kilometrów dalej i odzywa się dziesięć nowych radiostacji, mówiących w dziesięciu różnych językach, z których nie rozumiem ani słowa. Tysiąc kilometrów dalej i odzywa się dziesięć nowych radiostacji, tak samo niezrozumiałych. Może mówią, że pieniądze, które mam w kieszeni, są od dzisiaj nieważne? Może mówią, że wybuchła wielka wojna?*<sup>23</sup> Także u Kalabińskiego zdania o zbliżonym charakterze zwracają uwagę na ogromny postęp perskich wydarzeń, a co za tym idzie, na relatywny sposób komunikacji, gdy wszystko wokół tak szybko się zmienia.<sup>24</sup> Bieżąca aktualizacja w tym samym momencie jest już dezaktualizacją. Pióro reportera i jego przekaz zdają się nie nadążać za wydarzeniami historycznymi. Gdy dwadzieścia lat później Chatami po kolejnych wyborach zamknie nagle trzydzieści gazet i setki dziennikarzy, nic nie może już powstrzymać

---

<sup>22</sup> W. Giełżyński, *Rewolucja w imię Allacha*, Warszawa 1979, str. 11.

<sup>23</sup> R. Kapuściński, *Szachinszach*, Warszawa 2006, str. 14.

<sup>24</sup> J. Kalabiński, *Iran – nowe mocarstwo?*, Warszawa 1977, str. 5.

gigantycznego obiegu informacji za sprawą setek innych reporterów, dziennikarzy, dyplomatów i zwykłych turystów. Dziś do Iranu może lecieć każdy, a ilość powstających publikacji mnoży się jak grzyby po deszczu. Dziś w każdy zakątek globu można wziąć ze sobą telefon i za jego pomocą kreślić dowolne relacje na każdy niemal temat. Literatura podróżnicza z ostatniej sekundy. Nie tyle literatura opowiada o świecie, ile świat tworzy literaturę. Nie tyle literatura tworzy obraz świata, ile świat tworzy obraz literatury. Nie literatura wykorzystuje świat, ale świat literaturę.

*Spacerując po Teheranie miałem jeszcze inne wrażenie. Szukałem godzinami miejsc, gdzie wydarzenia opisywane przez polskich reporterów działy się naprawdę. Kluczyłem. Błądziłem. Pukałem. Zaglądałem na stare place i w bramy, które wisiały na zawiasach od tamtych czasów. Grube drzewa klaniały się szerokim cieniem przy dawnej rezydencji szacha. Zapomniane place i miejsca, które trudno dziś odnaleźć, choć wiele z nich, bardziej charakterystycznych i symbolicznych, odszukać bardzo łatwo. W tym sensie literatura staje się retrospektywna, gdy można na własne oczy zobaczyć niemych świadków historii. Reporterzy dawno już umarli, ale ich opisy służą jako mapy. Stoi jak stała ambasada amerykańska. Ulica Ferdousi pnie się w górę, choć poczciwy sprzedawca dywanów dawno już nie żyje i sklep prowadzi jego syn. Dostaję od niego na pamiątkę kilka dywanów. Potem wszedłem na wieżę Azadi myśląc o widoku, jaki miał przed oczyma Kapuściński. Jednak ducha tamtych czasów trudno szukać na ulicach i w parkach. Wielki bazar tętni życiem, ale na próżno nasłuchiwać rewolucyjnych sporów. Przy meczecie Chomeiniego imam częstuje herbatą i garścią orzeszków. Na Placu Rewolucji spacerują prostytutki, a na straganach można bez przeszkód kupić czasze anten satelitarnych, z tym jednak zastrzeżeniem, że dekoder tylko spod lady. Gdy rozmawiam ze studentami, bez ogródek mówią o drugim obiegu wszystkiego, co oficjalnie zakazane, a każdy z nich ma bodaj nieograniczony dostęp do wirtualnych łącz. Podobnie jest w innych miastach. Mityczne Kom wpuszcza wszędzie. O wszystkim można napisać wszystko.*

**W** systematyce obszerna literatura podróżnicza nie zawiera się tylko w jednym publicystycznym gatunku. Tworzona, redagowana i publikowana na wiele sposobów i za pomocą licznych mediów wymyka się prostej klasyfikacji. Można powiedzieć, że jest tzw. gatunkiem pogranicza. Najczęściej staje się reportażem, ale także opowiadaniem i relacją. Łatwo doszukać się w niej wątków autobiograficznych. Często stanowi dziennikarskie rzemiosło będąc sprawozdaniem i felietonem. Nie trudno też o esej. Za swoje „Opowieści

afrykańskie” Doris Lessing kilka lat temu otrzymała Nagrodę Nobla. Jest najczystsza literaturą faktu, a konstruowana wokół konkretnych wydarzeń historycznych może stać się scenariuszem do ekranizacji. Niejednokrotnie zawiera w sobie rozmowy i wywiady. Może opowiadać o świecie ludzi i zwierząt, przenosząc co chwilę czytelnika w inne geograficzne krainy – w tym sensie stając się przewodnikiem i mapą, książką właśnie geograficzną i historyczną. Jako wypowiedź literacka może stanowić formę listu, szkicu, pamiętnika lub dziennika. Ponadto, w czasach tzw. kultury i cywilizacji obrazkowej, przybiera coraz częściej charakter albumów fotograficznych z szerokimi opisami podróży. Niejednokrotnie połowę i więcej danej reporterskiej publikacji stanowią więc kolorowe zdjęcia lub czarno-białe ujęcia w formie artystycznej. Fakt ten wydaje się o tyle istotny, że wspomniane powyżej trzy publikacje polskich reporterów z czasów perskiej rewolucji nie zawierają fotografii ani jednej, choć sam Kapuściński do zdjęć, które ma przed sobą na biurku, w tekście odnosi się wprost – nawet podrozdziały nazywając „fotografią”.

Jak się wydaje, fotografia i obraz w literaturze podróżniczej od zawsze odgrywały i odgrywają do dziś bardzo ważną rolę. Jeszcze dawniej były to ryciny. Z biegiem czasu, gdy zdjęcie staje się coraz bardziej dostępne za sprawą możliwości sprzętowych oraz ze względu na wręcz nieograniczony potencjał publikacji, wymyka się z tradycyjnej roli tzw. szerokiego planu. Można powiedzieć, że w wielu kontekstach zastępuje słowo pisane – stąd być może tak duża dziś popularność sprzedaży książek podróżniczych, które na swój sposób bardziej są albumami, niż prozatorskim dziennikiem z wyprawy. Kolorowe zdjęcia drukowane na wyśmienitych papierach często mówią więcej, niż sam tekst – będąc w swoim lustrze tekstem. Na dzisiejszym rynku wydawniczym nowoczesna fotografia ma jeszcze jedną niepodważalną zaletę: pozostawia czytelnikowi nieograniczone pole do interpretacji. Jest faktograficzna. Faktotwórcza. Posiada nieambivalentną siłę sprawczą. W jakimś sensie czytelnik sam, według własnego uznania, może skomentować dany pejzaż, budynek lub wydarzenie. Osąd i interpretacja należy do odbiorcy. Niebagatelną rolę zaczyna w tym miejscu odgrywać także cyfrowa technologia pozwalająca na tworzenie i lokowanie fotografii w przestrzeni wirtualnej, jako swoisty dodatek to publikacji papierowej. Dzieje się tak w przypadku nieprawdopodobnego wzrostu dyferencjału multiplikacji zarówno samej podróży, jak i fotografii. Niejednokrotnie publikacja internetowa może zawierać w sobie dziesiątki i setki zdjęć, których nie sposób zamieścić w żadnej drukowanej edycji książkowej. W przywołanym znaczeniu dochodzi bezsprzecznie do gatunkowej hybrydyzacji, w skutek której zanikają

prymarne atuty, a dyferencjał zmian przynosi w swoim skutku obraz często inny od spodziewanego. Ponadto niebagatelną rolę w kreowaniu takich zjawisk przejmuje z roku na rok tzw. gra rynkowa z wszelkimi mechanizmami wolnego rynku.

*Pamiętam, że szukałem jej kilka dni. Zdjęcie parę lat wcześniej obiegało świat na okładce amerykańskiego National Geographic. Nic o niej nie wiedziałem poza tym, że jest trochę z Tunezji i trochę z Libii. Trafiłem na południe, a potem na wschód – w okolice Tatawin. Każdy coś mówił, ale nikt nic nie wiedział. Kluczyłem po pustyni szukając osady za osadą. To ktoś podwiózł, to wskoczyłem na wóz z daktylami. Ale ślad nigdy się nie urwał. Słone jeziora świeciły nocą, a za dnia wyglądały jak wielkie lodowiska – mówiono, że mieszka w pobliżu, między nimi a Saharą. W końcu doszedłem do Chenini. Od słowa do słowa. Siedziała przy starym jak świat ksarze. Dziergała jakieś sukno na niskim skamieniałym siedzisku. Przeorana brzdami twarz nosiła jeszcze dawne kolory granatowych tatuaży. Srebrne koła kolczyków wychylały się lekko zza chusty. Była styrana. Wszędobylski wiatr pchał kurz wprost do jej chaty. Dziś nie wiem, czy jeszcze żyje, ale wtedy usiadłem naprzeciw historii. Malownicza twarz uśmiechała się między westchnieniami. Przypominała tę ze zdjęcia, ale czas zrobił swoje. Lekki hidżab podkreślał islam. Podróż zatoczyła krąg: od tamtej fotografii i publikacji po chwilę we wspólnym milczeniu. Zjedliśmy kilka pszennych placków, a czas wracał i wracał.*

Fotografia podróżnicza stała się więc redystrybucyjna. Nie tyle przedstawia obraz za oknem, ile sama jest oknem. Jest mapą. Może być drogą i celem. Wraz ze wzrostem koniunktury podróżniczej wykreowała się na nieodzowny element ekwipunku, atrybut, bez którego ani w drogę wyruszyć nie można, ani tym bardziej bez niej z tej drogi powrócić. To pieczęć, dokument potwierdzający i autograf. Każdy dziś jest fotografem dzierżąc w swojej kieszeni i teczce aparat. To kompas i busola. Praktycznie żadna podróż nie może się bez niej odbyć. Można nie mieć pieniędzy i czasu, ale trzeba mieć aparat – bo człowiek nigdy nie ma pieniędzy i czasu, ale zawsze ma wspomnienia; choćby po to, jak chce Eco, by wyrównywać z nimi rachunki. Albo tylko po to, jak chce Sartre, by zostały jedynym rajem, z którego nie będziemy wypędzeni. Czy jednak to wystarcza?

Niestety, dzisiejsza fotografia podróżnicza w bardzo dużej części (jeśli nie cała) niesie w sobie jedno z najbardziej widocznych znamion dawnego, w sensie kulturowym, kolonializmu, gdy Innemu zabierany jest jego wizerunek – niejednokrotnie w krajach biednych i ubogich wszystko, co ma. Nieco szerzej zagadnienie to znajduje swoje miejsce

omówienia na początku drugiej części niniejszej dysertacji, gdy metaforalne pojęcie tzw. „podróży ograbionej” zostaje ukazane przez pryzmat charakteru tematyki poruszanej w polskiej literaturze podróżniczej. Tysiące opublikowanych zdjęć prezentuje więc postaci z odległych krańców świata i wbrew ich religiom i obyczajom wizerunki te zdobią karty albumów, przewodników czy książek. Można przypuszczać, że żadna z fotografowanych osób nie dostała za to złamanego grosza (dziecko może cukierek, może gumę do żucia – choć są to sytuacje bardzo, ale to bardzo rzadkie). W tym znaczeniu podróżnicze grabienie trwa nadal: zamiast złupionych daktyli, kości słoniowej, bawełny i boksytów przywozimy wielobarwne fotografie i filmy.

Poruszając jednak zagadnienie obecności kolorowych fotografii w rozlicznych publikacjach podróżniczych warto także spojrzeć na tę problematykę oczyma zwykłej ludzkiej ciekawości, gdy zdjęcie zaspokaja tę potrzebę krótką chwilą spojrzenia. Być może taka też jest przyszłość książek podróżniczych, że oprócz wspomnień z przemierzonego szlaku będą zawierały ciekawą i interesującą kompilację fotograficzną. Nie bez znaczenia są bowiem wszystkie wysiłki czynione przez wydawców, by książkę uczynić atrakcyjną i poczytną. Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na różnice edytorskie w najnowszych publikacjach wydanych nakładem znaczonej marką „Bezdroża” (np. „Makaron w sakwach”, „Żagle nad pustynią”) lub marką „Feeria” (np. „Dziewczyńska podróż dookoła świata”, „Przez świat na rowerach”), gdy szata graficzna odgrywa (lub nie) znacząca rolę.



## 4. PODRÓŻ W ŻYCIU I ŻYCIE W PODRÓŻY

Można, jak się wydaje, powiedzieć, że współczesne pojęcie podróży skupiło się wokół dwóch zasadniczych postaw i jeśli należałoby przystąpić do głębszej analizy tego swoistego procesu badawczego, nie sposób nie zauważyć rozgraniczenia. I choć wiedzie ono cienką linią pośród setek i tysięcy motywacji – dwie główne z nich kreślą wyraźną granicę.

„Rzadko kiedy pakowałem się tak wcześnie, dwadzieścia cztery godziny przed odlotem. Zabieram ze sobą trzy pary spodni, pięć koszul, jeden sweter, kurtkę przeciwdeszczową, dwie pary butów, siedem podkoszulków, siedem par slipów i siedem par skarpet. I pięć notesów, kilka paczek długopisów, Heban Ryszarda Kapuścińskiego, który przed laty wzbudził moje zainteresowanie Afryką, trochę literatury faktu, powieści, iPod-a ze słuchawkami i muzyką. Poza tym kamerę cyfrową, rozgałęźnik, przejściówkę, telefon komórkowy, telefon satelitarny, mapy, czapkę, okulary przeciwsłoneczne, tabletki na malarię, kremy z filtrem. Jestem zaszczepiony na wszystko, na co można się zaszczepić: na żółtaczkę, cholere, wściekliznę, dyfteryt.”<sup>25</sup>

W pierwszym zdaniu swojej opowieści autor zaznacza jeszcze, że są wyprawy, które zmieniają podróżnika w innego człowieka.<sup>26</sup> Charakter jego podróży jest tymczasowy. Nosi wyraźne ślady przygotowań do konkretnej wyprawy, w konkretnym celu i wiadomym przedziale czasowym. Poczynione przygotowania symbolizują człowieka gotowego do drogi, do bycia w drodze. Reporter-podróżnik planuje swoją podróż i dokładnie zna swój cel – mimo modyfikacji, bieżących zmian i korekt wymuszonych okolicznościami. Jego podróż jest punktorowa i funktorowa: ma swój wyraźny początek i równie wyraźny koniec oraz zawiera w sobie ściśle określoną funkcję (w tym przypadku zbadanie pieszej migracji ze środkowej Afryki do Europy). Można zatem powiedzieć, że jest człowiekiem w drodze, człowiekiem wiodącym podróż w życiu. Jego wyprawa, mimo szybkiego pakowania, jest zaplanowana, ma swój cel i swój porządek. Autor po jej zakończeniu wraca do domu i spisuje o tym wszystkim literacką opowieść. W jego przypadku, jak i w wielu podobnych, podróż – choć bardzo ważna i istotna – jest jednak tylko epizodem, częścią większej całości, którą umownie można nazwać życiem autora-podróżnika. Podróż-w-życiu.

---

<sup>25</sup> K. Brinkbäumer, *Afrykańska odyseja*, Wołowiec 2009, str. 31.

<sup>26</sup> Tamże, str. 11.

Na przeciwległym biegunie rozgraniczenia można jednak znaleźć inną postawę, którą charakteryzuje pojęcie Życie-w-podróż. To swoisty model wyprawy, który zmienia w taki oto sposób nasze życie, że staje się ono samo w sobie podróżą.<sup>27</sup> Można wtedy mówić o zjawisku życia w podróży, w nieustannej drodze. Życie w podróży nie jest domeną wielu w sensie jednostek, ale jest warunkiem wszystkich w sensie procesów migracji, uchodźstwa, przesiedleń i podobnych sytuacji, gdy człowiek, niejednokrotnie w większej grupie, zmuszony jest przez różne czynniki do ustawicznej zmiany swojego miejsca zamieszkania i egzystencji społecznej. Zjawisko to ma jednak także swoje odbicie w wielu wyprawach podejmowanych przez współczesnych wagabundów, kiedy podróżują z wyboru jako jednostki: w pojedynkę lub kilka osób.

„Nazywając rzecz po imieniu i z socjologicznego punktu widzenia, jesteśmy emigrantami [...]. Od 2008 roku jesteśmy w podróży. Jest bosko! Oderwaliśmy się od narzuconej przez społeczeństwo normy, że każdy porządny człowiek haruje do 65. roku życia i zarabia na spokojną starość. Ale da się też inaczej, choć większość uważa pewnie, że wygodniejsze jest spokojne dzielenie życia pomiędzy pracę i życie prywatne. Postanowiliśmy stać się backpackersami, czyli podróżnikami budżetowymi. Dlatego zaczynamy naszą niekończącą się podróż. Zostawiamy wygodne życie, pakujemy rowery, śpiwory, namiot i ruszamy w nieznaną. I jesteśmy w podróży. W niekończącej się podróży – tak zatytułowaliśmy anglojęzyczną wersję naszego bloga. To takie życzenie, zaklęcie – aby nasza podróż trwała wiecznie. Ale przecież samo życie jest podróżą...”<sup>28</sup>

Jest więc życie w podróży i podróż w życiu. Dwie formy jednego zajęcia, jednak diametralnie różniące się od siebie. Można wieść dwa życia: albo żyjąc i akcydentalnie podróżując, albo nieustannie podróżując i tylko od czasu do czasu żyjąc w ramach zastanych społeczeństw. Obie postawy szeroko spotykane są w dzisiejszym świecie, a druga – choć wydająca się na pierwszy rzut oka ekstrawagancką i próżniaczą – znajduje coraz to więcej zwolenników zarówno wśród ludzi młodych, jak i starszych. Ci ostatni słyną na świecie z zaludniania słonecznych wysp rozsianych po morzach i oceanach globu, szukając cały czas nowego miejsca ku kolejnym niezapomnianym widokom i przeżyciom w jesieni swojej ludzkiej egzystencji – z tym jednak zastrzeżeniem, że nie zamierzają powracać do swojego kraju macierzystego (co najwyżej na moment lub na własny pogrzeb). Epistemologicznym

---

<sup>27</sup> Kapitalnym przykładem takiej drogi życiowej jest postać spotkanego tajemniczego francuskiego Podróżnika, którą malowniczo przywołuje Dorota Głuska w swojej książce zatytułowanej „Burza depcze mi po piętach”. Publikacja jest szerzej skomentowana w dalszej części rozprawy, przy okazji rozważań nad podróżami po Ameryce Południowej, w rozdziale „Azymuty podróży”.

<sup>28</sup> R. Gawęda, M. Tyszecki, *Magia Azji*, Chorzów 2011, str. 4.

przykładem takiego zachowania i takiej postawy będą bez wątpienia np. Wyspy Kanaryjskie – jako oceaniczny archipelag w całości niemal zasiedlony przez bogate europejskie nacje, gdzie miejscami można czuć się, jak w ogromnym sanatorium. Jednak zjawisko to może przybierać różne formy.

*Wjeżdżałem do Mongolii od strony rosyjskiego Altaju. Niedaleko za plecami zastały kurhany w Pazyryku i mumia Lodowej Księżniczki z czasów mitycznych i Herodotowych Scytów. Szosa wyla się niemilosiernie i zdawała nie kończyć się w paśmie wysokich gór i przełęczy. Na granicy szczegółowa mongolska kontrola przerodziła się z czasem w ciekawą pogawędkę z pogranicznikami o sensie podróży. Z trwogą patrzyli na mój wóz wskazując na plastiki, które na mongolskich bezdrożach odpadną wcześniej czy później. Naigrywali się z detali. Tuż obok, zaraz za ostatnim szlabanem, stał zaparkowany, wysoki na bodaj trzy metry, samochód podróżniczy dziarskiego Anglika. Wyszedł na spotkanie. Jak się za okazało, był w podróży już szósty rok. Dwa lata temu pokład wozu opuściła jego żona, zmęczona i znużona podróżniczymi perturbacjami. Zjechali razem całą Azję. Ogromny kamper służył im za dom – mieli tam wszystko. Przemieszczali się drogą i promami. Nigdzie się nie spieszyli. Dorosłe dzieci żyły na swój rachunek w Londynie. Ich wóz był typowym mobilnym domem obieżyświata: z łózkami, kuchnią, szafami. Żyli od wizy do wizy. Od szlabanu do szlabanu. Trochę jak cyrkowcy-nomadzi. Droga stała się ich wschodnim, religijnym przeznaczeniem. I choć Anglik teraz już podróżował sam, nie myślał o powrocie na swoje wyspy. Wiódł życie w podróży – tak inne od mojego. On został, a ja pojechałem dalej – aż do Japonii. Potem wracałem, a on nadal podróżował po Mongolii.*

Zderzenie tych dwóch postaw w pełni zdaje się oddawać charakter dzisiejszych wypraw: zdala od zorganizowanej turystyki oraz bez konieczności podróżowania ze względu na polityczno-gospodarcze okoliczności. U zarania obu stoi podróżnicza wolna wola co do decyzji i wybór odnośnie do formy. Podróż w życiu i życie w podróży są dzisiaj najbardziej popularnym sposobem poznania świata i rządzących nim prawideł. I choć tak różne od siebie w założeniu, ich drogi przeplatają się wzajemnymi spotkaniami i konfrontacjami przeżyć, dla których literatura wydaje się być istotnym ekranem, polem do wymiany doświadczeń i opinii. Współczesna proza podróżnicza zawiera opisy obu sytuacji wskazując na różnorodność przebytych tras i zamieszkałych miast. A i sam rodzaj publikacji może przybierać w związku z tym różną formę, gdy podróż-w-życiu będzie opisywana niejako post factum, po powrocie – a życie-w-podróży znajdzie swoją publikację np. w formie elektronicznego błaga (fotobloga) jeszcze podczas jej trwania, w samym jądrze continuum. Z takiej i takiej podróży powstają

potem książki, mając jednak różny charakter – tak jak inne oblicza miała podróż. Nic wtedy nie jest takie samo, a doświadczenie ma wpływ na fabułę. Sposób zmagania z losem niejako przeobraża się w charakter zapisów. Adekwatnie do podróżniczej pasji powstaje wędrowny zapis, będąc wymiernym skutkiem warsztatu.

**A**merykański pisarz James Arthur Baldwin mawiał, że podróże prowadzą do odkrycia, że świat nie jest większy od osoby, która na nim istnieje. Herodot, pisząc pierwszą księgę swojej starożytnej opowieści zaznaczył, że *przy każdej sprawie trzeba patrzeć na koniec, jak on wypadnie: wszak wielu ludziom bóg tylko ukazał szczęście, aby ich potem strącić w przepaść.*<sup>29</sup> Podróż to kara i nagroda, wojna i pokój. Pewien Chińczyk nad rozlewiskami szerokiego Amuru w niedostępnej Mandżurii powiedział, bym zawsze pamiętał chińskie przysłowie: jeśli podróżujesz łodzią, przygotuj się na zamoczenie. Wydaje się, że tak jak nie ma miłości bez przeszkód, tak nie ma podróży bez kłopotów. Decyzja o wyruszeniu jest decyzją o gotowości stawienia czoła niezliczonym niedogodnościom – jeśli w najlepszym wypadku tylko na nich się skończy. Kierat podróży jak końskie homonto. Trochę jak Odys, trochę jak Syzyf, bo problemów nigdy dosyć. Współczesna literatura podróżnicza, pisana ręką doświadczenia i przeżyć, obfituje w wątki, których na próżno szukać wśród innych książek na księgarskich półkach. Tworzona z krwi stanowi unikatowe świadectwo czasów – nie fikcyjne i okraszane wyobraźnią twórcy, a dokumentalne i zgoła prawdziwe. Barwne fotografie dodają jej animuszu. Zawsze jest subiektywna – jeśli w ogóle tzw. obiektywizm istnieje. Akapity historii, które prawie nie mogą się wydarzyć, stawiają i literaturę, i czytelnika naprzeciw siebie w otwartej konfrontacji: chcesz opowieści, to ją masz. Wyzywa na pojedynek. Literatura ta ma w sobie ponadto, jak się wydaje, jeszcze jeden nieoceniony walor, stając się nie raz cennym zbiorem informacji dotyczącym nie tyle samej podróży, a raczej będąc leksykonem przemyśleń i obserwacji podróżnika.<sup>30</sup> Ponad sto lat temu Antoni Ferdynand Ossendowski, polski podróżnik, szpieg, awanturnik, uczonec i dyplomata, przemierzając bezkresy Wschodu, na samym końcu swojej opowieści zapisał zdanie: *Dla mnie, znającego*

---

<sup>29</sup> Herodot, *Dzieje*, Warszawa 1954, str. 35.

<sup>30</sup> Taka literatura wydaje się być neutralną, jak chce tego we wstępie do swoich dzienników Tomas Venclova, pisząc: [...] *Niektóre zapiski ukazały się w druku, chociaż uważam, że na publikację większości z nich jest za wcześnie. Do wyjątków należą strony z podróży. Nie ma w nich momentów intymnych, kontrowersyjnych czy też sprawiających komuś przykrość. Pewne fragmenty mogą nawet zaciekać.* T. Venclova, *Z dzienników podróży*, Warszawa 2010, str. 5.

*Azję od kresu do kresu tego kontynentu, nie ulega wątpliwości, że zbliża się czas, gdy osiemset milionów głodnych, zrozpaczonych, palających nienawiścią Azjatów różnych szczepów ruszy na Zachód, gdzie białe ludy wykonują ostatni taniec nad własnym grobem, oszukując się różnymi teoriami i zapominając o wielkim duchu, który uśpiony życiem – milczy. Tymczasem dzień zguby już świata...*<sup>31</sup> Uważa się, że po Henryku Sienkiewiczu jest Ossendowski najbardziej znanym polskim pisarzem na świecie, czego dowodem jest ponad 140 przekładów jego podróżniczych książek na języki obce. Opowieści, które snuje, dla współczesnych mu polityków stanowiły pokaźny zbiór wiedzy o odległych krainach, a jego spostrzeżenia mogły służyć wodzom i dowódcom do rozmyślnych planów militarnych. W jakimś bowiem sensie każdy podróżnik jest i szpiegiem, i ambasadorem. Nie jest tajemnicą, że z podróżniczych publikacji na różne sposoby korzystają niejednokrotnie agendy polityczno-gospodarcze oraz służby wywiadowcze, czego wyraźnym przykładem może być gros twórczości Ryszarda Kapuścińskiego i cały niemal kontekst uwikłania go w szpiegowską intrygę. Gdy wspomina o tym Krzysztof Mrozwicz, pisze, że *nie ma takiej depechy, do której ktoś nie wściubiłby nosa, zanim dotarła do adresata. Okradanie korespondentów zagranicznych z ich własności było praktyką nagminną [...], a sam Kapuściński-reporter był natomiast jawnym agentem wszystkich ambasad zachodnich, bo jego korespondencje drukowane w Polsce były przedmiotem dokładnej analizy. Wjeżdżał w sam środek piekła, gdziekolwiek je wypatrzył, a do tego miejsca żaden z dyplomatów nie miał odwagi się zbliżyć [...]. Kiedy pracował w Ameryce Łacińskiej, wiedział o rzeczach, za które każdy wywiad z prawdziwego zdarzenia zapłaciłby duże pieniądze.*<sup>32</sup> W tym – i w każdym podobnym przypadku – podróż może więc nie tylko stanowić jednostkowe wydarzenie w życiu pojedynczego podróżnika, ale także może potencjalnie stać się pokarmem dla niezliczonej ilości intryg i zachowań, które na pierwszy rzut oka z podróżą i wycieczką nie mają nic wspólnego.

W podobnym zakresie z faktograficznej literatury podróżniczej korzystać mogą ludzie, których codzienne zainteresowania, profesje lub wykonywana praca zawodowa nie są korelatywnie powiązane z treścią czytanej opowieści, jednak poszczególne jej fragmenty służą im do swoich wybiórczych celów. Stanie się tak w przypadku biologów, botaników czy zoologów. Wiedzę czerpać mogą i historycy, i etnografowie, i kulturoznawcy. Podróżnicze zapiski nie będą obce także architektom, dziennikarzom czy nawet muzykom. Pożądaną wiedzę znajdą w niej także przemysłowcy i finansiści. Również dla wielu twórców i artystów

<sup>31</sup> A.F. Ossendowski, *Przez kraj, ludzi, zwierząt i bogów*, Poznań 2009, str. 379.

<sup>32</sup> K. Mrozwicz, *Prawdy ostateczne Ryszarda Kapuścińskiego*, Warszawa 2008, str. 117.

literatura podróżnicza może stać się cenną inspiracją na polu ich własnej aktywności, jak także zachęcić do kolejnej podobnej podróży śladami przeczytanej i rozszyfrowanej już literatury. W dalszym serwilistycznym ciągu nieopisaną i usługową wartość stanowią także dla religioznawców, socjologów i filozofów – będąc nieocenionym zapisem codziennej rzeczywistości świata ludzi i bogów, i jak chce jakuckie przysłowie, może stać się po prostu podróżą, która lubi towarzyszy.

Z perspektywy prowadzonych tutaj rozważań warto, jak się wydaje, przywołać fragment prozatorskiego porównania Mariusza Wilka, gdzie autor dokonuje relatywnego podziału, także zauważając istniejącą różnicę.

„Wiecie, czym różni się wojażer od włóczęgi? Ano tym, że drogo wojażera zawsze wiodą do jakiegoś celu, wszystko jedno, czy chodzi o odkrycie źródeł Amazonki, „pojedynek z Syberią”, zebranie danych o plemieniu Hutu, czy o tajski seks. Natomiast dla włóczęgi sama Droga jest celem. Dlatego wojażer prędzej czy później powraca ze swoich wojaży, a włóczęga wytrwale podąża dalej... Jeśli nawet zatrzymuje się gdzieś na chwilę, oczarowany krasotą ustronia (chwile oczarowań mogą być rozciągliwe), to wcale nie oznacza, że zaprzestał się włóczyć. Włóczęga bowiem jest stanem ducha, a nie czynnością – profesją lub hobby – jak wojażowanie. Wybitnym wojażerem XX stulecia był Ryszard Kapuściński. Wzorem współczesnego włóczęgi jest dla mnie Kenneth White.”<sup>33</sup>

Trudno jednak zgodzić się z tak radykalnie postawionym podziałem, gdy przed oczyma pojawiają się konkretne osoby dwóch wędrowców. W swoich przemyśleniach skłaniałbym się raczej w stronę uchwycenia różnicy w tendencji i zasadzie podróży, a nie kategoryzacji osobowej, bowiem takowa, jak się wydaje, zawsze prowadzi do nieporozumień. Czy podróżnik-włóczęga nie ma celu? Czy nie stawia sobie zadań? Teza Wilka, choć śmiała i odważna, to jednak nazbyt ortodoksyjna, choć w pełni odzwierciedlająca samą zasadę wiedzenia albo życia w podróży (włóczęga), albo podróży w życiu (wojażer).

---

<sup>33</sup> M. Wilk, *Lotem gęsi*, Warszawa 2012, str. 11.

## 5. PYTANIA O CEL

**J**aka jest więc dzisiejsza polska literatura podróżnicza przełomu wieków? Czym się charakteryzuje? Jaki jest jej obraz, kiedy przychodzi czytać i niejednokrotnie podróżować jej śladami? Czy to, co oferuje i przedstawia jest prawdziwe? Czy jej charakter oddaje bardziej obraz świata, który opisuje, czy jednak zastyga w subiektywnych oczach podróżnika, jeśli jakaś tzw. obiektywność w ogóle, jak już wspomniałem, istnieje? Jakiej dotyczy problematyki i czy można na konkretny sposób ją sklasyfikować? Czy i komu jest wierna? Czy i komu potrzebna? W jaki sposób się zmienia, przeobraża i rozwija, korzystając coraz częściej z najnowocześniejszych osiągnięć ludzkiej techniki przekazu – a przez to czy traci, czy zyskuje? Dla kogo i jakim warsztatem jest pisana? Czy współcześni podróżnicy i włóczykije mają z niej jakiś pożytek i w jaki sposób to oni potem pozostawiają swoje literackie ślady na długim szlaku wędrówki dookoła Ziemi? Czy jest jej za dużo, czy za mało? Co w niej urzeka, a co przeszkadza? I dlaczego po nią sięgamy?

Wspomniany już kilkakrotnie Ryszard Kapuściński zwykł mawiać, że by powstała jedna książka, należałoby przeczytać sto podobnych. Parafrazując reportażyście można śmiało dodać: by wyruszyć w jedną podróż, trzeba przeczytać, a najlepiej wziąć ze sobą sto książek. Gdyby chcieć sprostać wyzwaniu, wyobraźnia wskazuje na nie lada problem techniczny, jednak w dobie wydawnictw elektronicznych nie wydaje się to przeszkodą. Luksus podróżowania z obfitą literaturą w kieszeni jest możliwy, choć jeszcze nie na taką skalę, na jaką byłoby to potrzebne i pożądane. Jednak, jak się wydaje, literatura podróżnicza jest dziś nieodzownym elementem przygotowań do każdej wyprawy, a czerpana z niej wiedza pozwala jeszcze przed wyruszeniem w drogę osiąść orientację, bez której na szlaku jak bez mapy. Podróż bez książek jest kaleką jak człowiek bez nóg. Jest ślepa jak bez oczu. Niewidoczna jak nocna, nieoświetlona reflektorami, szosa. Bez wiedzy nie ma po co pakować plecaka. I choć może się wydawać, że podróż „bez historii” jest równie możliwa i ciekawa (bo jednak bez obciążeń), to jednak w efekcie może się właśnie stać wędrówką ślepego we mgle. Na kartach wielu podróżniczych publikacji można o tym przeczytać, gdy literacka intertekstualność niejednokrotnie pomaga i ratuje z wędrównych opresji. Doświadczenie poprzedników zdaje się przemawiać najbardziej, i choć generalnie każdy podróżnik stara się być samodzielny i

niezależny, to w wielu przypadkach przeżycia prekursorów uspokajają i ubezpieczają. Z biegiem czasu każdy także na swój sposób czyni swoje przygotowania i można przypuszczać, że jeden modelowy wzorzec nie istnieje.

*Skrupulatnie pakuję każdą książkę i mapę. Wcześniej całe miesiące spędzam w księgarniach i bibliotekach. Kupuję wszystko, co dotyczy wybranego kraju i regionu. Kontekstualność literatury jest jak państwo ościenne – niekoniecznie odwiedzane. Spędzam setki godzin na szperaniu po katalogach i w składach księgarskich. Rozpytuje znajomych. Czytam, zaznaczam. Dziergam notatki jak na szydełku szal. Rysuję drogę. Odkładam wszystko w jedno miejsce, by długo nie szukać. Czasem, bo zapomnę, kupię coś dwa razy. Góra książek rośnie i rośnie. Przybywa przewodników, albumów i encyklopedii. Pożyczam i nie oddaję, bo potem zgubię albo gdzieś zostawię. I znowu czytam, patrząc co chwilę na rozłożone na podłogach mapy.<sup>34</sup> Chodzę po tym papierowym świecie i zakreślam miejsca. Z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, powstaje szlak podróży. W prawo i lewo zaginam rogi. Ze sterty notatek zaczyna wylaniać się obraz: już wiem gdzie pojechać, co zobaczyć, dokąd pójść. Dopiero wtedy liczę kilometry i pieniądze. Widzę ludzi, których spotkam i zerwane po deszczach mosty, których nie przejadę. Wiem o zamkniętych granicach. Czytam o religiach i świętych miejscach. Chodzę już po górach, gdzie ośnieżone przełęcze zakopią mnie na dzień, dwa. Wyobrażam sobie świat, do którego wejść. Notuję o jedzeniu, zwyczajach, reżimach. Na pustyniach rozbijam obozy patrząc, jak na grzbietach wydm tańczą dzikie wielbłądy albo małe, metrowe tornada. Z biegiem czasu znam te książki na pamięć mimo setek powciskanych wszędzie karteczek. Gdy coraz bliżej wyjazdu, pakuję chronologicznie wszystko do dużego kosza. Na sztorc. Po kolei. Etap za etapem. Region za regionem. Morze za morzem. Wtedy wiem, że się nie zgubię, a nawet gdy poblądzę, to się odnajdę. Wtedy też jestem pewien, że podróż będzie udana. Szlak czeka i zawsze mogę go zmienić. Wrzucam wszystko do wozu i wyjeżdżam.*

Natomiast bezspornym pozostaje wciąż fakt, że zazwyczaj przyczyn niepowodzenia wyprawy można przede wszystkim doszukiwać się w przedpodrózniczej ignorancji. Świadczą o tym także opowieści z wędrownych wspomnień, po wielokroć przywoływanych na łamach niniejszej dysertacji, gdy dochodzi do kulturowych i cywilizacyjnych konfuzji. W tym

<sup>34</sup> Na swój sposób opisuje to Amerykanin Ted Conover: *Jeden ze sposobów zrozumienia drogi to spojrzenie na mapę. Uwielbiam to robić – posuwam się szlakami, jeżdżę po nich palcem, decyduję, gdzie skrócić, widzę jakiś zawijas i próbuję sobie wyobrazić drogę, którą przedstawia. Cezar August kazał swojemu zięciowi Markowi Agryppie (63-12 p.n.e.) stworzyć mapę całego znanego świata. To zadanie zajęło mu dwadzieścia lat. Mapa Agryppy została wryta w marmurze na kolumnadzie niedaleko rzymskiego forum. Pokazywała tylko drogi i miasta, ale była „ilustracją ogromu imperium” i stała się, jak pisze John Noble Wilford, „przedmiotem dumy Rzymu. Mapy pełniły tę podwójną funkcję we wszystkich późniejszych imperiach”.* T. Conover, *Szlaki człowieka*, Wołowiec 2011, str. 17.



znaczeniu literatura podróźnicza zawsze będzie pomostem między światem minionym a perspektywą odkrycia. Osobnym zagadnieniem będzie natomiast intuicja badawcza, która literaturę podróźniczą podda sprawdzeniu poprzez własną wędrówkę.

„Tzvetan Todorov, jeden z mistrzów ponowoczesności, wyraził kiedyś nadzieję, że z końcem ery modernizmu, która faworyzowała wielkie systemy filozoficzne, nastąpi renesans *filozofii mądrościowej* – a więc filozofii, której jedynym tematem, punktem odniesienia, a zarazem natchnieniem będzie jednostka ludzka i jej zmagania z istnieniem. Miała to być filozofia, która zabrałby się do rzeczy zupełnie inaczej niż schludny profesor z kierkegaardowskiej paraboli, co to ustawił swoją egzystencję do kąta, niczym parasol, ponieważ przeszkadzała mu w myśleniu. Miałyby to być filozofia, która – choć podszyta indywidualną biografią – zmierzałaby mimo to do pewnej formy ogólności, choć zarazem pozbawionej wiążących nakazów, charakterystycznych dla wielkich narracji systemowych.”<sup>35</sup>

Podróż nigdy nie jest fałszywa. Nie kłamie, choć uwodzi i kusi. Obiecuje wszystko. Zawraca w głowie i bałamuci. Snuje mirażę ponad rzeczywistość. Gra i wciąga w tę grę każdego, kto usiądzie z nią do stołu. Jest rosyjską ruletką i pokerem w jednym. Zawsze prawdziwa – ale na swoje sposoby. I zabiera wszystko. Starzy Afrykańczycy mawiają, że długą podróż skraca się chodzeniem, a nie wyrąbywaniem siekierą. W tym sensie podróż zawsze jest katogą. Nie znosi sprzeciwu, bo oferuje wszystko. Nie jest też domem Sienkiewiczowskiego pocziwego latarnika, który powinien lubić siedzieć na miejscu, ale jest nie-miejscem w dygresji Marca Auge.<sup>36</sup> Podróż jak wiara i miłość: można ją osiąść i można ją stracić. *Jedno tylko pytanie zadane tej podróży: jak daleko tylko można posunąć się w wyniszczaniu sensu, jak daleko można wejść w pustynną formę bez odniesień nie rozpadając się, i oczywiście pod warunkiem zachowania ezoterycznego uroku zanikania? [...] Właśnie tu tkwi cała kwestia. A kluczowym momentem jest ten, który dociera do mnie z brutalną oczywistością, że końca nie ma, że nie istnieje już powód, by podróż miała kres.*<sup>37</sup> – można przypuszczać, że w tym znaczeniu Baudrillardowski pesymizm obiecuje śmierć. Jest jak kolorowa karuzela w czarnym cieniu czarnych słońc.

Ale paradoksalnie nie byłoby żadnej podróży, gdyby nie literatura. Przez wieki nikt o niczym by się nie dowiedział, gdyby nie spisane i powielane zwoje długich podróźniczych papirusów. Pergaminy pełne dróg. I podróż, i literatura są ze sobą nierozzerwalnie złączone,

<sup>35</sup> A. Bielik-Robson, *Inna nowoczesność, pytania o współczesną formułę duchowości*, Kraków 2000, str. 5.

<sup>36</sup> M. Auge, *Nie-miejsca*, Warszawa 2010, str. 58.

<sup>37</sup> J. Baudrillard, *Ameryka*, Warszawa 2011, str. 17.

będąc jednocześnie Russellową antynomią przyczyny i skutku. Umberto Eco pisząc o bibliotece, pisze o podróży – a Marco Polo podróżując, literacko opowiada świat. *Patrzmy na mapę: przed nami całodzienny przejazd do Purros. To miejsce wymyśliłmy sobie jeszcze w Polsce, gdyż ponoć jest tu idylliczny kemping nieopodal rzeki Hoarusib. Będąc w okolicy, byłoby grzechem go ominąć.*<sup>38</sup> Podróżnik jest jak książka, a książka jak podróżnik. Mapy pełne zapisków i marginesy informacji. *Marzyła mi się książka o moim ulubionym kraju bez napinania się. Żeby nie musiała odzwierciedlać, obiektywizować, syntetyzować. Jestem niechlujnym czechofilem, ta książka nie jest kompetentnym przewodnikiem ani po kulturze czeskiej, ani po Czechach. Nie jest obiektywna. Nie rości sobie pretensji do niczego. [...]* *Mówiąc w skrócie – jest to książka o sympatii przedstawiciela jednego kraju do innego kraju.*<sup>39</sup> Tworzenie historii często nie w oparciu o mozolną weryfikację, a tylko o słuchanie. Reportaże przemysłów jak perskie dywany pełne kwiatów. I choć bardzo często nie ma w tej literaturze żadnej zasady i prawidłowości, to i w tym sensie przypomina doświadczenie drogi, która choć jest na mapie, niekoniecznie musi być w rzeczywistości.

---

<sup>38</sup> A. Olej-Kobus, K. Kobus, *Namibia*, Warszawa 2011, str. 138

<sup>39</sup> M. Szczygieł, *Zrób sobie raj*, Wołowiec 2013, str. 7.

# Gen podróży

Dlaczego nieustannie podróżuję, skoro tak bardzo boję się podróży? Dlaczego podróżował Artur Lundkvist, który też się bał? Może w lęku szukamy sposobu na wyostrenie naszych zmysłów, intensywniejszej formy egzystencji? Boję się, więc jestem. Im bardziej się boję, tym bardziej istnieję.

(Sven Lindqvist, *Wytępić całe to bydło*)

Podróżowanie jest okrucieństwem. Musisz zdać się na obcych, opuścić ciepły dom i przyjaciół. Znajdujesz się permanentnie w stanie zawieszenia. Nic nie należy do ciebie, nic poza podstawowymi, niezmiennymi elementami, jak powietrze, sen, marzenia, morze, niebo.

(Cesare Pavese, *Rzemiosło życia*)

Nim wyjechałem, przysłali mi dobrzy przyjaciele grube tomiska o historii Włoch, o starożytnym Rzymie, o sztuce w ogóle i innych rzeczach, nalegając usilnie, bym to wszystko przeczytał. Na nieszczęście nie uczyniłem tego – i następstwem tego zaniedbania jest ta książka.

(Karel Capek, *Listy z podróży*)

## 1. 1989

**L**iteratura podróżnicza jest jak krew. Powstaje z wycieńczenia i z wykrwawienia. Jest jak kręgi na wodzie, które rozchodzą się dopiero po zanurzeniu topielca. Ryta dłutem w spiziu. Zaczyna się na długo wcześniej, nim autor wyruszy w drogę i nigdy nie kończy, będąc zazwyczaj częścią większej całości. Kosztuje za dużo i nigdy nie jest za darmo. Tworzona wysiłkiem nadludzkiej woli kryje w sobie depozyty dla nielicznych. Pisana po grudach. Ryta w ziemi śladem kreta. Wyrwana żywcem i bez znieczulenia. Nie powstaje w cieniu gabinetów i choć często tworzona jest przy biurku<sup>40</sup>, to wcześniej płaci się za nią najwyższą cenę. Nie można o tym zapominać i w jakimś sensie każda jej krytyka powinna wymagać podobnej, jeśli nie większej, ofiary. Pisana z doświadczenia przebytej drogi zawsze jest świadectwem najwyższej próby. Pochodzi z poligonu. To nie fikcja literacka i nie poezja – choć i jedno, i drugie może się w niej z różnych powodów znaleźć. Powstaje w znoju drogi, często pisana z krawędzi ludzkiej wytrzymałości psychicznej i fizycznej. Podróż potrafi zabrać wszystko, co się ma – a i po powrocie do domu każe nie zastać tego, co się miało. Niszczy zdrowie. Psuje oczy, kręgosłup i stopy. Koślawi ręce mrozem, a słońcem wypala skórę. Literatura tworzona i pisana na polach minowych. We wnykach. Naraża na setki niebezpieczeństw, na pobicia i kradzieże, a w dzisiejszym świecie czerpie garściami z porwań dla okupu i mordów wojny cywilizacji. Podróż dla literatury pełna wypadków, zatruc i gehenny błędzenia. Nie zna litości. Zalewa deszczem, zasypuje śniegiem, kopie w piachach pustyni. *Z Lagos do Akry, potem do Mali, do Senegalu, do Mauretanii, autobusami i ciężarówkami. Czasami i przez siedem dni nie miałem nic do jedzenia, czasami musiałem przez sześć tygodni żebrac, aż znów zdobyłem pieniądze na dalszą podróż. Potem zapomina się o upokorzeniach, ale podczas podróży zapomina się też o własnej dumie. Zapomina się o*

---

<sup>40</sup> Ważnym w tym miejscu wydaje się rozgraniczenie, którego używa i na które zwraca uwagę Ryszard Kapuściński podczas swojej wizyty we Włoszech, mówiąc m.in., że *pejzaże nie pozwalają pisać. Piękno rozprasza. Lepiej zamknąć się w celi, jak mnisi. Żadnych krajobrazów. Żadnych bodźców. Sami ze swoimi wspomnieniami. Cervantes napisał Don Kichota w więzieniu, prawda? Ja barykaduję się na moim strychu w Warszawie.* R. Kapuściński, *Dałem głos ubogim*, Kraków 2008, str. 12. W podobnym tonie o swoim procesie twórczym mówi kilka stron dalej, odpowiadając na pytanie Giulii: *Nigdy nie pisałem podczas podróży. W pewnych krajach byłem bardzo krótko, w niektórych miejscach tylko przez chwilę. Wiedziałem, że już nigdy tam nie wrócę, więc czas, jaki miałem do dyspozycji, poświęcałem zbieraniu materiałów. Szkoda było marnować go na pisanie, po prostu. Książka poza tym jest pewną kompozycją, pewną strukturą, i nie można jej tworzyć na poczekaniu, trzeba ją przemyśleć. Nie ma na to czasu w podróży. Prawie wszystkie moje książki powstały więc w Warszawie.* Tamże, str. 48.

własnej godności, ginie gdzieś człowiek, którym byłeś.<sup>41</sup> Podróż bez śliny jak pisanie bez atramentu.

Pisząc więc o polskiej literaturze podróżniczej, z całym zastrzeżeniem wędrownego charakteru tych publikacji, należy na samym wstępie dokonać także paru zastrzeżeń, które w kontekście całej dysertacji wydają się mieć kluczowe i zasadnicze znaczenie. Zagadnienie to bowiem dotyczy obszaru, który w sposób jednoznaczny dotyka (musi dotykać) kilku dziedzin pokrewnych, jak również – poprzez swój zakres – powinno stanowić zwartą w sobie charakterystykę przypisaną określonej rzeczywistości co do czasu i miejsca tworzenia. Nie można więc nie zwrócić uwagi na fakt, że poniższa analiza pisana jest z punktu widzenia Polaka, wskazuje na punkt widzenia Polaka-podróżnika: nawet nie Europejczyka, czy podróżnika w ogóle, a bardziej poprzez doświadczenie przypisane konkretnemu miejscu na mapie świata i Europy. W tym kontekście ważnym wydaje się także zwrócenie uwagi na cezurę czasową, która rok 1989 sytuuje jako granicę przemian politycznych, a w konsekwencji społeczno-kulturalnych.<sup>42</sup> Inna bowiem w tym świetle będzie literatura np. francuska czy hiszpańska po II wojnie światowej, a inna pisana i tworzona w Polsce, kiedy dopiero od stosunkowo niedawna skala potencji podróży stała się wręcz nieograniczona. W tym znaczeniu okoliczności ukazujących się wydawnictw w dużym stopniu cechować będzie narodowość pisarzy-podróżników oraz czas, w którym dokonują penetracji i publicystycznej prezentacji świata. Ich pisarskie oczy byłyby inne, gdyby historia lat wcześniejszych potoczyła się inaczej. Byłyby także inne, gdyby nie urodzili się w kraju nad Wisłą. Nie sposób nie odnieść także wrażenia o kompatybilności doświadczenia podróży z wieloma innymi dziedzinami życia, które na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat także na naszych oczach przechodzą metamorfozę i przemianę: od raczkowania do być może dopiero okresu dorastania i dojrzewania. Świadomość ta jest o tyle również ważna, że poprzez okoliczności ma bezpośredni wpływ na język i formę przekazu poszczególnych relacji, sprawozdań i opowieści. Spoglądając więc pod tym kątem na szeroko rozumianą polską literaturę podróżniczą okresu po roku 1989 można odnieść wrażenie, że wraz z licznymi fundamentalnymi przemianami społeczno-politycznymi nastąpił jej gwałtowny i obfity wysyp. Nie powinno to jednak dziwić w kontekście, tak jak wspomniałem, wielu innych

---

<sup>41</sup> K. Brinkbäumer, *Afrykańska odyseja*, Wołowiec 2009, str. 251.

<sup>42</sup> Zagadnienie to będzie również omówione w części drugiej niniejszej rozprawy, w podrozdziale umownie zatytułowanym „Rynek” – jednak w nieco innym kontekście, a mianowicie przy okazji zwrócenia uwagi na cezurę roku 1989, mającą niebagatelne znaczenie dla rozwoju polskiej branży wydawniczej.

zjawisk, które w sposób diametralny w ostatnim dwudziestolecu zmieniły i zmieniają nadal swoje oblicze. Upływający czas porządkuje i paradygmatyzuje – także mając wpływ na literaturę podróżniczą. Nieodzowną częścią kolejnych przemian będzie więc także ewolucja samych podróżniczych zapisków, jak i ich odbiór przez zmieniających się i przeobrażających czytelników.

Wydarzenie to, jak się wydaje, ma dwa zasadnicze źródła, które biorą swój początek w umownie nazywanej tutaj potencji mobilnej i możliwości wydawniczej. Z roku na rok następował bowiem proces coraz to szerszego otwierania granic i z biegiem lat lawinowo wzrosła sprawność kierunkowa polskiego podróżnika. Zniesienie wielu barier wizowych, dostępność do licznych światowych środków transportu oraz rozwój sieci internetowych w ogromnym stopniu ułatwiły podróże nawet w najdalsze zakątki naszego globu. Można śmiało powiedzieć, że podróżowanie nigdy jeszcze nie było tak proste i tak osiągalne, jak teraz – patrząc jednak oczywiście z polskiego punktu widzenia po roku 1989 – i z tym zastrzeżeniem. Inna już bowiem będzie perspektywa badawcza dotycząca np. bliskich geograficznie nam, Polakom, Ukraińców, u których występuje obowiązek wizowy – a całkiem inna dla Chińczyków pozbawionych internetu lub dla mieszkańców Afryki odgradzonych od reszty świata setkami barier administracyjnych i chociażby transportowych. Natomiast w całkiem inny sposób o podróży będzie pisał od dziesiątek lat Amerykanin czy Brytyjczyk. Ich doświadczenie drogi wywodzi się z innych okoliczności politycznych, z zawitych tradycji kolonialnych, co w konsekwencji musi mieć odzwierciedlenie w sposobie komunikacji. Bardzo wyraźnie zwraca na to uwagę np. Colin Thubron w swojej opowieści o Syberii, gdzie wielokrotnie świadomość pochodzenia ma wg niego wpływ na percepcję poznania.<sup>43</sup>

Nie sposób nie zwrócić jeszcze uwagi na inny aspekt procesu tworzenia niniejszego opracowania, który po części został już naświetlony w słowie wstępnym. Jest bowiem rzeczą niewspółmiernie trudną i niesłychanie niezręczną przystępować do analizy rozlicznych dzieł podróżników, gdy przychodzi zajmować stanowisko wobec twórczości, którą oni sami tworzą za cenę niejednokrotnie własnego zdrowia, dobytku, zmęczenia i wszelkich niedogodności towarzyszących im podczas licznych karkołomnych wypraw (o środkach finansowych nie wspominając, a być może od tego należałoby zacząć). Ich praca badawcza może przypominać gigantyczne laboratorium, wręcz pole minowe, na które wchodzi mniej lub bardziej świadomi niebezpieczeństw. Przygotowani i nieprzygotowani. Zawsze też przychodzi im zapłacić cenę,

---

<sup>43</sup> C. Thubron, *Po Syberii*, Wołowiec 2011, str. 211.

o której zazwyczaj wiedzą tylko oni sami, gdy okupują dotarcie do celu podróży nie rzadko miłymi i przyjemnymi wydarzeniami.

*Jest niepisane prawo, by się zatrzymać. Na afrykańskich bezdrożach zawsze najpierw widać w oddali tumany kurzu, które wznoszą się nad sawanną jak zasłona rozdzielająca dwie części nieba, a potem dopiero, po pewnym czasie, można dostrzec kontur zbliżającego się wozu. Ja widzę jego, a on widzi mnie. Biali. Arabowie. Misjonarze. Kupcy. Ludzie tulają się na wiele sposobów. Wiadomo, że będzie przerwa w podróży – czasem jedzie się kilka dni i nikogo nie spotyka, ani jednego kurzu. Trzeba stanąć, przywitać się i porozmawiać. To zawsze nieoceniona pomoc. Dowiaduję się o drodze, o wylanych rzekach, o zerwanych mostach. Można posprawdzać kilometry, zweryfikować kierunki. Ktoś potrzebuje drutu, ktoś żarówkę, ktoś lekarstwa. Jeden drugiemu pomaga zreperować to i owo. Wiadomo gdzie spać, a czego unikać. Ustalamy miejscowy czas kręcąc zegarkami. Pije się wspólną herbatę. Busz nie wybaczają błędów. Nie uważasz – przepadasz. Podróżnik z przeciwka jest jak paszport w tamtą stronę. Jest w zwyczaju, by się wtedy nie spieszyć, bo nie wiadomo, kiedy znów się zobaczymy. Mogę sprawdzić mapy, dowiedzieć się o dzikich słoniach i bandach, które napadają na takich jak my. Czasem sępy już krążą nad głowami. Jesteśmy dla siebie jak drogowaskazy. Spotkania na bezdrożach są jak oazy na pustyni. Twarz podróżnika mówi wszystko: widać jego kondycję, stan ducha, przygotowanie i odporność. Wprawne oko dostrzeże, czy warto pakować się w obszar, z którego nadjeżdża. Nieraz lepiej wtedy nawrócić, gdy nie jest jeszcze za późno. Spotkany na sawannie włóczęga może powiedzieć wiele, sam jednak niewiele mówiąc. Między wierszami. Napawa nadzieją lub zgrozą. Siwy od piachu dżip świadczy o burzach piaskowych i harmatanach, koła i felgi o kamieniach. Patrzą na niego z wszystkich stron, bo każdy szczegół może mieć znaczenie. Niczego nie można zignorować, o niczym zapomnieć, niczego zlekceważyć. Zatrucie ma swoją przyczynę, którą lepiej poznać zawczasu. Każdy opowiada, co przeżył, na co trafił i na co trzeba uważać. Jedni są w drodze dłużej, inni krócej. Wiadomo jaki gdzie śpi misjonarz i do kogo można zawitać. Ktoś coś szepnie o termitach, o głazach z osuwiska na szlaku. O węzach. O żółtej jak mleczko febrze. Czym bliżej większych miast i oceanów, tym ludzi na bezdrożach więcej – wtedy rytuał nie jest tak rozbudowany, a miejscowi często proszą o podwiezienie. I już za chwilę rodzą się nowe niebezpieczeństwa.*

Literatura podróżnicza będzie więc sprawozdaniem z pierwszej linii frontu, z samego środka pola walki. Rzucony tam podróżnik radzi sobie raz lepiej, a raz gorzej, o czym nie zawsze można potem przeczytać ze względu, jak się wydaje, na autocenzurę – a historia

żądneho wrażeń i doznań młodego i zadziornego Hemingwaya<sup>44</sup> jest najlepszą tego ilustracją. Rozliczne przykłady wydają się zagadnienie to obrazować, a czytelnik między wierszami może jedynie przypuszczać i domyślać się skali strachu, jaka towarzyszy podróżniczemu rzemiosłu.

„Ta pustka i przestrzeń tworzą solidarność między ludźmi. Gdy w końcu trafi się auto z naprzeciwka, kierowcy zwalniają, pozdrawiają się. Gdy staliśmy na poboczu, zawsze pytali: „Czy wszystko OK.?”. Bo jeśli nie, to następny pojazd będzie może jutro, a może dopiero za kilka dni. Dlatego prędzej otrzymasz pomoc właśnie tu, gdzie spotykasz jeden samochód na dobę, niż w ruchliwym mieście Europy, gdzie mijać cię będą obojętnie tysiące aut, których kierowcy wierzą, że na pewno ktoś inny ci pomoże.”<sup>45</sup>

Kierkegaard mawiał, że pójście na skróty często wydłuża drogę. Wielu podróżników powróciło ze swoich wypraw w trumnach i czarnych worach. Po wielu ślad bezpowrotnie zaginął i ciał do dziś nie odnaleziono. Dzieje się tak w przypadku ludzi podróżujących po pasmach wysokich gór, pływających łodziami czy też przemierzających odległe krainy pełne niebezpiecznych i ekstremalnych warunków geograficznych: w suszy, w dżungli, po lodzie, przez lasy Syberii. Podróżnicy ginęli i będą ginąć – nie pisząc tym samym swoich kolejnych książek. Wspominany już Ernest Hemingway kilkakrotnie roztrzaskał się samolotem w afrykańskim buszu i czy jego późniejsze samobójstwo nie było wynikiem i skutkiem długotrwałych i pustoszących organizm pisarza podróży? Ryszard Kapuściński nabawił się śmiertelnej malarii mózgowej i cudem uniknął kilku rozstrzelań. Doris Lessing opisuje w swoich „Opowieściach Afrykańskich” rozliczne przypadki śmierci, a Kuki Gallmann traci w wypadkach na Czarnym Łądzie męża i syna – opowiadając o wszystkim w „Marzyłam o Afryce”<sup>46</sup>. W tym kontekście literatura podróżnicza, jak bodaj żadna inna, mimo całej swojej kolorystyki i stron pełnych barwnych fotografii, mimo opisywanych pejzaży i wydarzeń, które na wyobraźni czytelnika odciskają niezatarte piętno, kamufluje swoje drugie oblicze. I choć cena nie gra roli, to jednak ktoś ją płaci: ryzykiem, chorobą, kradzieżą, wypadkiem,

---

<sup>44</sup> W niezmiernie ciekawy i symboliczny sposób swoją przygodę o pośrednim spotkaniu Ernesta Hemingwaya opisuje Luis Sepúlveda w pięknej prozatorskiej historii dotyczącej obrony wielorybów przed japońskimi złoćyńcami: *Byłem wtedy bardzo młodym człowiekiem, właściwie dzieckiem jeszcze, i marzyłem o przygodach, dzięki którym w moim życiu nigdy nie zagoszczą monotonia i nuda. Nie byłem w tych marzeniach osamotniony. Miałem Wuję – właśnie tak, przez duże „W”. Wuj Pepe odziedziczył raczej temperament mojej niesfornej baskijskiej babki niż andaluzyjski pesymizm dziadka. Wuj Pepe... Ochotnik Brygad Międzynarodowych w hiszpańskiej wojnie domowej. Fotografia, na której widnieje obok Ernesta Hemingwaya, była jedyną pamiątką owych chlubnych czasów. Powtarzał zawsze, iż powinien odkryć własną drogę i czym prędzej wyruszyć w świat.* L. Sepúlveda, *Podróż do świata na końcu świata*, Warszawa 2003, str. 12.

<sup>45</sup> A. Olej-Kobus, K. Kobus, *Namibia*, Warszawa 2011, str. 42.

<sup>46</sup> Por. K. Gallmann, *Marzyłam o Afryce*, Poznań 2010.



nocami przespanymi byle gdzie i byle jak, wypitą zakażoną wodą czy rakiem skóry. Doświadczenie procesu podróży jest w tym przypadku bezpośrednio związane z samym aktem pisarskim, nadając mu gryf prawidła i tylko, jak się wydaje, od wrażliwości czytelnika zależy, co dostrzeże w czytanej tekście i na co zwróci uwagę – ale także co zbagatelizuje. W literaturze podróżniczej trudno bowiem oddzielić autora od jego relacji, kiedy to jego aparat robi zdjęcia i jego pióro zapisuje fakty. W tym znaczeniu podróżnik i tekst tworzą immanentną całość, nierozzerwalną wspólnotę: patrząc na wędrowca czytamy jego strony, a czytając widzimy człowieka z tej drogi i z tego obrazu. Praktycznie nie można tego oddzielić. Można także przypuszczać, że czym bardziej wprawny i obeznany podróżnik, tym bardziej tworzona przez niego literatura będzie faktycznie podobna do obrazów z jego pamięci, a podróż wtedy stanie się perswazją.<sup>47</sup>

---

<sup>47</sup> Por. C. Margis, *Podróż bez końca*, Warszawa 2009, str. 8.

## 2. Cezura Ryszarda Kapuścińskiego

**Z** perspektywy prowadzonych w tym miejscu rozważań nie bez znaczenia wydaje się także zwrócenie szerszej uwagi na przywoływaną już kilkakrotnie osobę Ryszarda Kapuścińskiego. Postać polskiego reportażysty, choć powszechnie znana i „rozczytana” niemal na wszystkie sposoby, warta i konieczna jest kilku słów komentarza – co najmniej z kilku powodów. W moim przekonaniu jego twórczość przekracza tak wiele granic, stając się uniwersalną matrycą oglądu świata, że trudno w dzisiejszych czasach o lepszy podróżniczy azymut. *Niech żeglują inni. Dosyć przetarł szlaków. Dosyć zostawił kompasów, map i przestróg, które można zabrać w podróż.*<sup>48</sup> Do dziś za tą myślą podąża wielu. Transgraniczność jego opowieści, wielowymiarowość osnuta zazwyczaj wokół istotnych wydarzeń politycznych w danym regionie świata, w którym akurat autor przebywa, spowodowała konieczność sytuowania wielu nowych publikacji w kontekście lub w odniesieniu do Ojca Reportażu – jak powszechnie nazywany jest Ryszard Kapuściński. Można go lubić lub nie lubić, ale nie można nie zauważać. Można się z nim zgadzać lub nie, ale nie można go nie słyszeć. Swoim pisarskim warsztatem wykreował taki stan rzeczy, wobec którego każdy, kto odnosi się w jakimś stopniu do wątków z literatury podróżniczej, musi – a przynajmniej powinien – nawiązać. Być może na tym polega także jego ponadczasowa wielkość, że nie można go przemilczeć i ominąć – choć jak sam przyznał w jednym z wywiadów: *Chciałem tylko mieć możliwość zobaczenia, jaki świat jest naprawdę.*<sup>49</sup> Na przestrzeni całego swojego życia stworzył wiele literackich dzieł, które już dawno przeszły do kanonu gatunku – sam zresztą ten gatunek poszerzając o tzw. reportaż literacki. Wszak nie był tylko dziennikarzem-reporterem. Próżno szukać dziś na półkach innego takiego autora, który poprzez swoją prozatorską twórczość zwierzałby kilka kluczowych wątków dotyczących kondycji współczesnego świata – i na tym oto polega wielkość Kapuścińskiego, gdy udało mu się przekroczyć nie tylko granice administracyjne i polityczne, ale także zręby czasu. Jego syntezy są kapitalne. Ich niepowtarzalność polega także na tym, że nie tylko opisują świat, którego autor doświadcza, ale także przybliżają czytelnika do dziennikarskiego i pisarskiego rzemiosła. Kapuściński nie ukrywa, w jaki sposób zdobywa

<sup>48</sup> A. Domośławski, *Kapuściński non-fiction*, Warszawa 2010, str. 562.

<sup>49</sup> W. Bereś, K. Burnetko, *Kapuściński: nie ogarniam świata*, Warszawa 2007, str. 251.

informacje, jak „urywa się” z oficjalnych protokołów i na swój sposób garnie się do zwykłych i prostych ludzi szarej światowej codzienności. Jego przekaz publicystyczny łączy w sobie jakoby dwa elementy: pisze o tym, co widzi i o tym, jak widzi. Zawiera w swoich opowieściach zarówno charakterystyki miejsc, czasów i wydarzeń, ale także w taki sposób komponuje reportaż, by wprowadzić czytelnika w dany obszar kulturowy, idąc z nim niejako pod ramię i prowadząc za rękę.

„Kapuściński połączył technikę reportażową z literacką i osiągnął to, że jego teksty stają się ponadczasowe. Dysponując ogromem faktów, wykorzystuje je, zestawia, układa fabułę, przekazując czytelnikom prawdę o prezentowanej rzeczywistości od strony postaci, które nie tylko dopuszcza do głosu, ale pośrednio analizuje ich stany psychiczne i opisuje przeżycia. Rozbudowuje informacje, naświetla tło zdarzeń. Prezentując poszczególnych bohaterów, żyjących na różnych kontynentach, ukazuje ich tragedię, która ma swe źródło m.in. w tym, że przed dekolonizacją byli prześladowani przez jedną władzę (kapitalistów), a po dekolonizacji przez tę, która miała ich reprezentować (komunistów).”<sup>50</sup>

Dziś takie reportaże praktycznie nie powstają. Bardzo rzadko zdarza się, by podróżnik potrafił w taki sposób skomponować swoją opowieść, by umiejętnie połączyć epicki zapis drogi z wiernym naświetleniem okoliczności, w jakich przychodzi mu podróżować.<sup>51</sup> U Kapuścińskiego czytelnik staje się częścią jego podróży, kroczy przy nim i wie, że podawane informacje są częścią realnie odbywającej się wyprawy czy też spotkania z Innym. Sam po wielokroć podkreślał: *Musicie jeść z ludźmi, o których piszecie, głodować z nimi, utożsamiać się z nimi. Dzielić wszystko.*<sup>52</sup> W podobnym tonie wypowiada się dalej: *Muszę żyć wśród ludzi, jadać z nimi i głodować z nimi. Chciałbym być częścią tego świata, który opisuję, muszę się w nim zanurzyć i zapomnieć o innej rzeczywistości.*<sup>53</sup> Z tegoż to względu podróż stała się dla niego filozofią. Nie stanowiła czczego stawiania stopy za stopą, a była swoistą dyrektywą moralną: jeśli podróżować, to tak i tak. Nie inaczej. Nie po łebkach. Nie byle jak. Tylko tak i tak. W tym względzie, jak się wydaje, Kapuściński nie uznawał kompromisów. Taka postawa pozwalała mu w miarę wiernie opisać najmniejsze nawet wydarzenie i w ten sposób, poprzez to wydarzenie, niejako oświetlić (doświetlić) szerszy kontekst swojej literackiej wypowiedzi. Postawa ta znamionuje, w mojej opinii, kunszt i warsztat pisarza oraz wskazuje na cechy

<sup>50</sup> K. Wolny-Zmorzyński, *Ryszard Kapuściński, w labiryncie współczesności*, Kraków 2004, str. 193.

<sup>51</sup> Zwraca na to uwagę Bogusław Wróblewski w swoim wstępie do zbioru szkiców o twórczości Ryszarda Kapuścińskiego i pisze m. in.: *Takie są skutki odrzucenia konwencji i granic gatunkowych reportażu. [...] Najprostsze, najbardziej czyste – co nie znaczy najłatwiejsze – możliwości „pisania o sobie” stwarza jednak utwór liryczny.* B. Wróblewski, *Życie jest z przenikania*, Warszawa 2008, str. 6.

<sup>52</sup> R. Kapuściński, *Dalem głos ubogim*, Kraków 2008, str. 12.

<sup>53</sup> Tamże, str. 28.

charakteru podróżnika, który nie stroni od niebezpieczeństw i przeciwności losu. Wie, że może zacząć lać deszcz, że grad pocisków może przeszyć mu ciało lub że wystawia się na nieograniczone w potencji spotkanie z dzikim zwierzem – jednak robi to wszystko. Nie ucieka. Nie dezerteruje. Nie wyjeżdża.

Warto w tym miejscu zwrócić uwagę jeszcze na jeden aspekt twórczości Ryszarda Kapuścińskiego, pisząc o reportażystyce w kontekście polskiej literatury podróżniczej. Mam tutaj na myśli rozeznanie profesji podróżnika, które, jak się wydaje, ma ogromne znaczenie, gdy w efekcie przychodzi czytać i analizować jego dzieła. W dalszej części niniejszej rozprawy będzie jeszcze o tym mowa, jednak w przypadku Kapuścińskiego warto przywołać w skrócie zawodowe tło jego twórczości. Będąc przede wszystkim dziennikarzem o specjalizacji reporterskiej podróżował z taką właśnie legitymacją. Zawsze był dziennikarzem i reporterem. Jak się okazuje, nie jest to bez znaczenia, szczególnie w kontekście innych podróżników (zarówno w jego, jak i w późniejszych czasach) oraz zważywszy na skutki takich, a nie innych akredytacji. Praca zawodowa sytuowała go wobec okoliczności. W jakimś sensie to praca zawodowa, profesja, którą wykonywał, wysyłała go w te, a nie inne miejsca na świecie.<sup>54</sup> Nie był tzw. wolnym strzelcem, czy podróżnikiem na gapę. Nie był włóczykijem, globtroterem i wagabundą. Etatowa praca stawiała określone wymagania, ale także płaciła rachunki – jeśli nie wszystkie, to wiele, wiele z nich. Należał do określonej grupy zawodowej, co w kontekście późniejszych rozmyślań, w dalszej części opracowania, każe także na jego przykładzie zwrócić uwagę na niebagatelne w podróży znaczenie tego czynnika. Symptomatyczna wydaje się więc przynależność do światka, z którego podróżnik się wywodzi, ponieważ rzutuje to bezpośrednio na jego potencjał twórczy. W tym znaczeniu postać Ryszarda Kapuścińskiego jest wyraźna i klarowna. Można wyobrazić sobie zawodowego żołnierza wysyłanego przez czterdzieści lat służby na różne światowe fronty czy też lekarza z organizacji „Lekarze bez granic”, który przez całe życie pełni swoją misję w najodleglejszych zakątkach globu. W podobnej sytuacji będą także misjonarze, gdy kościoły wysyłają ich na swoje antypody. Kapuściński zawsze miał szefa, a przeważająca część jego twórczości jeśli nie powstała na zawodowe zamówienie, to z pewnością była skutkiem tych powinności. Stamtąd szła inspiracja. Polski i europejsko-wschodni kontekst polityczny lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, siedemdziesiątych czy nawet osiemdziesiątych nie

---

<sup>54</sup> Jak się wydaje, dobrze tę sytuację charakteryzuje już pierwsza decyzja o wysłaniu Kapuścińskiego w zagraniczną podróż, o czym sam opowiada na łamach „Podróży z Herodotem”: *W naszym pokoju reporterów zadzwonił telefon. Szefowa prosiła mnie do siebie. – Wiesz – powiedziała, kiedy stanąłem przed jej biurkiem – wysyłamy cię. Pojedziesz do Indii.* R. Kapuściński, *Podróże z Herodotem*, Kraków 2004, str. 14.

pozwalał wielu – a można i dodać, że nie pozwalał nikomu – na tak swobodny obszar podróżniczy i publicystyczny. Wykonywany zawód dziennikarza otworzył mu wiele drzwi i dał wręcz nieograniczony niczym paszport – czy jest to jednak zarzut?

Ryszard Kapuściński wymyka się prostym kalkulacjom i także na tym polega jego nietuzinkowość oraz dlatego też wydaje mi się zasadnym przywołanie jego postaci na samym początku dysertacji. Ma bowiem w sobie dwie natury: określoną i nieokreśloną. Podlega klasyfikacji i zaraz, za chwilę, wymyka się jej doszczętnie, ponieważ w ramach wykonywanego zawodu, na tyle pewnie na ile mógł, na ile chciał i na ile starczało mu sił i pieniędzy, był właśnie wspomnianym powyżej swoistym wolnym strzelcem, podróżnikiem na gapę, włóczykijem, globtroterem i wagabundą. Był samotnym wilkiem. Można byłoby ironicznie zapytać: kto, jeśli nie on? Natomiast w całej złożoności problemu jego postać nie kryła się tylko za tymi wymienionymi określeniami. Na swój sposób udało mu się połączyć i skumulować kilka cech, które wydają się nieodzowne, by powstała osoba wielkiego podróżnika i pisarza piszącego zarazem wielkie dzieła. Postać Kapuścińskiego spina w sobie walory, które na późniejszym etapie skutkują literaturą podróżniczą wysokich i najwyższych lotów. W jego przypadku i na jego przykładzie doszło do swoistej symbiozy talentu, ciężkiej pracy, cech charakteru i splotu szczęśliwych okoliczności – a wszystko to w efekcie każe dzisiaj zwracać na niego uwagę, i tak jak zaznaczyłem na wstępie, nie można go w rozmyślaniach pominąć.

Szczegółowość Ryszarda Kapuścińskiego objawia się jeszcze w jednym aspekcie jego literackiej twórczości, a mianowicie poprzez kontekst zasięgu terytorialnego. Jako nieliczny i jeden z niewielu (nikt w Polsce i raptem kilka osób na świecie) stworzył na tak wysokim poziomie edytorskim literaturę, która faktograficznie dotyczy tak ogromnej połaci Ziemi. Gdy dziś, i na przestrzeni ostatnich dwudziestu paru lat, powstaje całe zatrzęsienie książek podróżniczych, gdy półki uginają się od dziesiątków publikacji, ze świecą szukać można autora, który dorównałby Kapuścińskiemu w setkach tysięcy kilometrów przebytej drogi na niemal wszystkich kontynentach. Dlatego też wydaje się konieczne zwrócenie na to uwagi, ponieważ mało kto osiąga taki cel i prawie nikt nie pozostawia po sobie w tym ujęciu tak gigantycznych w mierze zapisów. Jednak *Kapuściński to tylko człowiek. Ma wady, zalety i własne tajemnice, jak każdy z nas. Jest także aż człowiekiem, dokonał bowiem wielu nadzwyczajnych rzeczy, na które niewielu ludzi by się zdobyło. Jego błędy życiowe dodają mu autentyczności, a podróże, reportaże i książki wywołują podziw. Wokół takich ludzi jak*

*Kapuściński zawsze gromadzą się krytycy i fanatycy. To znakomicie potwierdza i podkreśla wielkość postaci.*<sup>55</sup> Kapuściński był gigantem. Charakter jego prac oddaje charakter jego podróży. Z wielu powodów nieliczni dzisiaj robią tak samo i można nawet odnieść wrażenie, spoglądając na ogólnie dostępną w księgarniach literaturę podróżniczą, że nikt w obecnych czasach śladami Mistrza Reportażu nie podąża, a słowo „nieliczni” użyte jest tutaj na wyrost. Jeśli jednak to się zdarza, to nie na taką skalę i bardzo sporadycznie. Skądinąd doskonała proza reportażowa np. Mariusza Szczygła w obu jego tomach<sup>56</sup> dotyczy tylko i wyłącznie Czech – a przykładów tych jest wiele i w dalszej części niniejszej rozprawy zostaną one wskazane.

Postać Ryszarda Kapuścińskiego jest jak rzymski słupek milowy. Wyznacza i oznacza. Jest jak wzorzec metra z Sevres. Można powiedzieć, że posiadał on w stopniu najwyższym umiejętność pogodzenia pasji podróżniczej ze zręcznością literackiego o niej opowiadania. Uważa tak wielu ludzi na świecie; zarówno tych „z branży”, jak i przede wszystkim zwykli, codzienni czytelnicy.

„– Mamy w Wielkiej Brytanii długą tradycję pisania podróżniczego – odpowiada Gott. – dziesiątki brytyjskich dziennikarzy opisywało Afrykę, nasze stare imperium, lecz żaden nie zrobił tego tak olśniewająco jak Kapuściński. Ryszard ma oko powieściopisarza, posługuje się faktami nie po to, żeby udowodnić swoje polityczne stanowisko; raczej w taki sposób jak malarz używa kolorów, żeby w oryginalny sposób ukazać to, co widzi. W skomplikowanym dziś świecie początku XXI wieku jego pisarstwo daje świadectwo temu, co widział i przeżył. Uderza siłą opisu – wydarzeń, ludzi, społeczeństw, z którym jego czytelnicy zapewne nigdy się nie zetkną.”<sup>57</sup>

Ciekawym więc w tym kontekście wydaje się także stosunek pisarza-podróżnika do najnowszych zdobyczy techniki, które wedle opowieści świadków często stawały się dla niego ciężarem. Można powiedzieć, że nie znosił komputerów i w nowoczesnych internetowych mediach nie tylko widział zagrożenie dla swojej pracy i swoich osiągnięć, ale także deprecjonował ich niezawodność wskazując na tymczasowość tego zjawiska. – *Jeszcze nikt nie napisał na komputerze wielkiej książki! – klócił się kiedyś nie na żarty z córką przyjaciół, Dorotą. – Ależ Rysiek, co ty mówisz? Ilu wielkich pisarzy pisze dzisiaj na*

---

<sup>55</sup> K. Król, *Wielkie Biografie, Kapuściński*, Warszawa 2011, str. 9.

<sup>56</sup> Mam na myśli dwie wielokrotnie nagradzane pozycje: „*Gottland*” (Czarne, Wołowiec 2006) i „*Zrób sobie raj*” (Czarne, Wołowiec 2010).

<sup>57</sup> Opinia Richarda Gotta, którą przywołuje Artur Domośławski. W: A. Domośławski, *Kapuściński non-fiction*, Warszawa 2010, str. 397.

komputerach. Zwymyślał mnie wtedy tak, że się poryczałam.<sup>58</sup> Umniejszał znaczenie wszystkiego, co mogło oddalać od rzeczywistego kontaktu – i robił to podświadomie, nie miał w zwyczaju współpracować z elektroniczną maszyną. Pisarskie rzemiosło wykluwał ręcznie i, jak się wydaje, przenosił na cywilizowaną rzeczywistość nawyki, które posiadał podczas dalekich i egzotycznych podróży. Takie zachowania rzucają ciekawe światło na pisarski warsztat, który w dzisiejszej dekadzie XXI wieku zdaje się już nie istnieć i trudno sobie wyobrazić takiego pisarza, a tym bardziej reportera. *To drugi komputer w pracowni, jaki kupił w życiu. Pierwszy – jak podejrzewał – ukradł mu pewien fotograf, który przyszedł na wywiad z zagranicznym reporterem i na dłuższą chwilę został w pokoju sam – „żeby obfotografować pracownię mistrza”. Po tamtej wizycie laptop wyparował, tak samo fotograf, wynajęty za pośrednictwem internetu.*<sup>59</sup>W jakimś sensie do końca pozostał człowiekiem starej daty.

*Jak piszę? Wszędzie mam jakieś kartki i karteluszeki. Czasem już nie wiem, co z teraźniejszości, a co z przeszłości. Nic nie wyrzucam i rośnie to wszystko jak pranie na stole gotowe do prasowania. Setki drobnych informacji. Bilety. Paragony. Dokumenty. Skrawki przetarganych map. Strony z przewodników. Książki o wszystkim. Gdybym mógł zmieniać skórę, pisałbym na skórze. Atlasy. Tomy encyklopedii. Twarde i miękkie okładki popisane od wewnątrz i zewnątrz. Folie pełne urzędowych kwitów. Drobne pamiątki. Żal coś zostawić, nie zabrać. Na wszystkim coś zapisane: daty, miejsca, kolory. Małe, średnie i duże szyszki. Muszle z każdego skrawka plaży. Kamyki. Zapiski na serwetkach i planach miast. Ulice popisane nawet w paszporcie, choć i tam już zaczyna brakować miejsca. Powyginana okładka ze znikniętym krajowym szyldem. Po dwóch latach używania nie ma w nim już miejsca na wizy i pieczętki. Poirytowani celnicy szukają igły w stogu siana, a czasem sami kreślą długopisem coś tam, coś tam. Enty pogramicznik zszywaczem przyczepił jakiś dokument. Czasem nie schnie tusz i zamazuję palcem daty. Notatki na menu z pizzerii. Ulotki. Ogłoszenia. Cały kram. Gdzieś filmy do aparatu takiego, gdzieś karty do takiego i do gry. Kable. Ładowarki. Złącza. Baterie na to i siamto. Gazety i gazetki. Foldery miast: na jednym mapa z nazwami ulic, ale przy druku czarny kolor się przesunął i nic nie pasuje. Notatniki. Dyktafony. Smycze. Setki drobnych prezentów dla spotkanych. Długopis na długopisie. Okulary tu, okulary tam. Szmaty. Serwetki. Chusteczki, ale jak przyszedł katar, trzeba było dokupić dwa wagony. Zbieram wszystko z drogi. Wóz zaczyna przypominać śmieciarkę. Najmniejszy świstek z każdego miejsca: z datą, godziną, miejscem. Dziesiątki adresów, zapisanych i potrzebnych telefonów. Ambasady na wszelki wypadek. Ubezpieczenia ważne i nieważne, ale zawsze za niskie. Nalepki. Taśmy. Nożyczki i nożyczki. Noże. Ołówki i grafity. Pokwitowania z parkingów, a na odwrocie parę słów od*

<sup>58</sup> A. Domosławski, *Kapuściński non-fiction*, Warszawa 2010, str. 547.

<sup>59</sup> Tamże, str. 547.

*parkingowego. Rozmowy. Jakież serca. Myślniki. Wydruki. Piny, kody i puki. Hasła i loginy. Notatki w telefonie. W aparacie. W laptopie. Sterty informacji technicznych. Namalowane dróżki. Gdzieś słowa, których nie rozumiem, ale jak pokażę, to mam pomoc. Zezwolenia. Pozwolenia. Zakazy. Cła. Raporty z kontroli. Mandaty. Protokoły. Uiszczona opłata. Buchalteria. Pieniądze grube i drobne. Monety na pamiątkę z wszystkąd. Flamastry. Banknoty prawie z zaświatów. Spinacze. Znaczniki. To, co się przyda i nie przyda. Pamięci. Pamięć. Pokreślone zeszyty. Miliony lepkich słów, które mogę zmienić trąc tusz ręką. W podróży się nie pisze – w podróży się słucha. Czym dalej, tym więcej tego i więcej. Można nie zabierać. Nie kreślić, ale czym wtedy byłaby podróż? Tak, jak nie zaczęła się w dniu wyjazdu, tak nie skończy się w dniu powrotu. Czasem ginę i znikam pod tymi stertami bagażu i wolałbym nic nie mieć. Ale czy tak można? Wertuję setki stron, a i tak wszystko mam przed oczyma, na żywo. Wnikam w zdania zapominając o ceglach, które są pod ręką. W zasięgu wzroku. Nie wiem, czy można lepiej, ale z pewnością można inaczej. Zabieram coś ze sobą i zwożę coś ze sobą. Podróż to miniatura życia: gromadzę i oddaję. Kupuję i sprzedaję. Zbieram pokarm i karmię ptaki. Jak nie mogę rozczuć, to wpadam w szal, jakbym utracił kogoś bliskiego. Taka jest podróż.*

Postać Ryszarda Kapuścińskiego, jako wziętego podróżnika i wnikliwego pisarza, jest na tyle symptomatyczna, że na potrzeby niniejszej rozprawy śmiało można byłoby roboczo znieść proponowaną i oznaczoną w tytule cezurę roku 1989 i zastąpić ją samym nazwiskiem reportera. Tak się bowiem historycznie i literacko złożyło, że jego twórczość w przeważającej części powstawała przed polską rewolucją, a „Podróże z Herodotem”, wydane w 2004 roku, stanowią wymierną sumę wszystkich wcześniejszych dzieł autora. W moim przekonaniu, mimo niewielkich rozbieżności w datach i życiorysach, można mówić o zarysowanym zjawisku polskiej literatury podróżniczej w kontekście „przed i po” Kapuścińskim, a upływający czas zdaje się takie przypuszczenie uwiarygodniać. Znaczenie takie nabiera także wartości, gdy spojrzysz na postać reportera przez pryzmat wspomnianego powyżej gatunku reportażu literackiego – a co za tym idzie, widząc przez następne lata jego naśladowców i kontynuatorów. Swada opowieści, którą Kapuściński władał jak szpadą, stanowi dziś poczytny kanon wśród zarówno czytelników podróżujących, jak i tych, którzy o podróżach lubią tylko czytać i dla których literatura podróżnicza z wielu powodów jest jedynym otwartym oknem na świat.



Czasem mówi się w Polsce (z wielu pewnie powodów), że postać Ryszarda Kapuścińskiego jest za bardzo eksponowana i za bardzo stawiana na piedestałach. Symbolicznie daje temu wyraz np. Witold Szablowski<sup>60</sup> w rozmowie z Agnieszką Wójcińską.

„[...] Z kolei z Kapuścińskim jestem na etapie, że irytuje mnie, że tak go w Polsce upupiliśmy. Gdziekolwiek pójde na dyskusję o reportażu, on wypływa. Ludzie odpowiadając na pytania dotyczące naszej pracy, w ogóle nie muszą myśleć, tylko powtarzają po Kapuścińskim.

– Ale sam się na niego powołałeś w naszej rozmowie.

Co nie zmienia tego, że Kapuścińskiego należy raz przeczytać i iść dalej. Nie możemy żyć tylko tym, że mieliśmy w Polsce cesarza reportażu, robić mu cały czas szkolnej akademii. Na każde pytanie dotyczące pracy, moralności w tym zawodzie, szacunku do Innego mamy odpowiedzi wzięte z niego. A ja nie wierzę w gotowe odpowiedzi. Każdy reporter i każdy tekst jest inny. Jeśli są jakieś zadania przed reportażem, to wyzwolić się z nieustannego myślenia o Kapuścińskim. On zmarł, a my mamy nadal tłumaczyć świat.”<sup>61</sup>

Jak się wydaje, rzeczywistość jest bardziej skomplikowana, niż na pierwszy rzut oka można ocenić. Polski literacko-podróżniczy świat długo będzie jeszcze czekał na taką postać, jak Ryszard Kapuściński – a wie o tym niewielu, którzy kroczą w jakimś sensie jego ścieżkami. Mariaż podróży z pisarstwem niewielu wędrowcom wychodzi na dobre, o czym najlepiej można się przekonać, sięgając w księgarskich magazynach po dzisiejszą wędrowną literaturę.

---

<sup>60</sup> Autor-dziennikarz znany jest w Polsce z reportażowej publikacji poświęconej współczesnej Turcji i zatytułowanej „Zabójca z miasta moreli”. W kapitalny i unikatowy sposób przedstawia złożoność kraju leżącego na dwóch kontynentach, wodząc czytelnika po zakamarkach kultur i obyczajów. Porusza także drażliwą tematykę zabójstw honorowych.

<sup>61</sup> A. Wójcińska, *Reporterzy bez fikcji*, Wołowiec 2011, str. 273.

### 3. PODRÓŻNIK – TYMCZASOWY UCHODŹCA

**P**ytanie brzmi: jaka więc jest dzisiejsza polska literatura podróżnicza? Czym się charakteryzuje? W jakich okolicznościach powstaje i kto ją tworzy? Podróże nie wybierają dróg, ale za to wybierają ludzi. Zarówno tych spotkanych i zasiedziałych, jak i tych, którzy podróżują i wędrują, a znajomości i przyjaźnie zawarte w drodze są trwalsze niż piramidy – jak chce Bunsch. Od dawien dawna wędrówka była domeną odważnych. Podróżowali tylko śmiałkowie: czy to przez oceany, czy lądem. Gen podróży pchał w drogę przebojowych, męźnych i śmiałych. Wielcy żeglarze na swoich łupinach ryzykowali życie, i choć nazywali je często imionami świętych („Santa Maria” od Kolumba, „San Antonio” od Magellana) ginęli na nich w morskich czeluściach. Podobny los spotykał innych: zamarzył na śmierć Scott, a potem wielki Amundsen, który ratował drugiego polarnika. Dziesiątki pogrzebały piachy pustyni. Ale wszyscy przede wszystkim mieli odwagę. Zawsze byli herosami. Budzili szacunek i respekt, a opowieści Kapitana Cooka, czy Sindbada Żeglarza przeszły do historii aż w kanonie baśni. Dostawali doczesną cześć i sławę, a Marco Polo bogactwo. Dostawali też życie wieczne, jak ci, którzy szli z mieczami na Jerozolimę. By zatem w pełni odpowiedzieć na postawione powyżej pytanie, kto dziś podróżuje, kim jest podróżnik przełomu tysiącleci, a przez to znaleźć odpowiedź o charakter czytanej i tak popularnej literatury podróżniczej, należy kilka słów refleksji poświęcić zagadnieniu bezpośrednio związanemu z autorstwem ukazujących się prac. Kto pisze?

Terencjusz mawiał, że do odważnych świat należy. Ale odwaga to nie wszystko. Gen się ma, ale jeszcze trzeba go wykorzystać. Chińczycy mówią, że bez odwagi nie będzie dowódcy. Można powiedzieć, że wyruszenie w podróż nie wymaga ani talentu, ani szczęścia, ale jednak szczęśliwy powrót z wyprawy bez talentu nie jest możliwy. Odwaga nie może przeszkadzać, a strach paraliżować. Kto się boi, zostaje w domu. Znana jest powszechnie wyprawa, jaką odbyli kilka lat temu na afrykańskie Kilimandżaro podopieczni Fundacji Anny Dymnej „Mimo Wszystko”. Grupa dziewięciu młodych śmiałków ze znacznym stopniem niepełnosprawności ruchowej wyruszyła pod okiem zawodowych przewodników w podróż swojego życia. Na kanwie ich przygody powstała książka pod znaczącym tytułem „Każdy ma swoje Kilimandżaro”. Szedł Jan Mela, najmłodszy zdobywca obu biegunów, który w

dzieciństwie, w wyniku porażenia prądem, stracił rękę i nogę. Szła bez rąk Katarzyna Rogowiec, wybitna paraolimpijka i złota medalistka z Turynu. Szedł także niewidomy od urodzenia Łukasz Żelechowski. Ale także bez nóg Piotr Truszkowski i Jarosław Rola, na wózku Angelika Chrapkiewicz-Gądek, chory od dziecka na chorobę Heinego-Medina Krzysztof Głombowicz oraz toczony rakiem na wszystkie strony Piotr Pogan. A o Krzysztofie Gardasiu lekarze mówili po wypadku motocyklowym, że resztę życia spędzi na wózku. Ich podróż nie znała granic i dla nich oprócz Dachy Afryki był to także koniec świata – i pewnie mogliby wszyscy powtórzyć za Umberto Eco, że nic przelężnionemu nie dodaje więcej odwagi niż strach pozostałych.

„W południe zatrzymujemy się, żeby zjeść lunch. Pytamy Krzyśka Gardasia, czy daleko jeszcze do Horombo. „Nie wiem, czy istnieje taka jednostka miary, ale w chuj daleko” – odpowiada, na co wszyscy wybuchają śmiechem. Do obozu na wysokości 3720 metrów około drugiej po południu. Turyści ze schroniska patrzą na nas z niedowierzaniem. Niektórzy wyszli z domków, żeby lepiej nam się przyjrzeć. Część osób bije brawo na widok Piotra Truszkowskiego jadącego na rowerze. Nikt, jak dotąd – nawet przewodnicy – nie widział tu takiego wehikułu. Na wielu twarzach maluje się wzruszenie. Wśród gapiów jest między innymi grupa amerykańskich weteranów z Wietnamu. Jeden z nich pyta Adama Golca, w jakiej wojnie Piotrek stracił nogi. Kiedy słyszy jego historię, wbija wzrok w ziemię.”<sup>62</sup>

Wyprawa została barwnie zekranizowana i nagłośniona w mediach, a w Kenii uczestnicy byli nawet przyjęci przez prezydenta Mwai Kibaki. Przed wyruszeniem określali siebie jako mniej niż przeciętni, a gdy wrócili, mówili o sobie, że są więcej niż wielcy. Statystyki podają, że średnio na szczyt Kilimandżaro dociera jedna czwarta z tych, którzy startują, a z ekipy Anny Dymnej dotarło na wierzchołek sześćdziesiąt procent: *W ustach i w oczach miałem pył wulkaniczny*<sup>63</sup> – mówi na koniec jeden z podróżników.

W podobnym tonie utrzymana jest krótka opowieść Anny Siwek, która wraz z mężem i dwójką dorosłych synów także stawia nogę na Dachy Afryki. *Czy 46-letnia, zupełnie przeciętna, kobieta może wejść na Kilimandżaro?* – pyta retorycznie sama siebie na okładce książki. Relacja z podróży, której celem jest zdobycie szczytu – i niewiele w niej więcej. Szczegółowy opis dzień po dniu dziewięciodniowego marszu szlakiem Lemosho. Jednak na samym końcu blisko stustronicowego sprawozdania autorka zamieszcza skromne i krótkie

---

<sup>62</sup> M. Wach, *Każdy ma swoje Kilimandżaro*, Kraków 2008, str. 164.

<sup>63</sup> Tamże, str. 205.

podsumowanie: *Zastanawiam się, kiedy tu znów wrócimy. Pamiętam, jak się czułam po obejrzeniu filmu „Pożegnanie z Afryką”, tego z Meryl Streep i Robertem Redfordem. Te krajobrazy, palące słońce, przytłaczające gorąco lub kłujące zimno, słonie, żyrafy, kurz... tego się nie zapomina... i w końcu ludzie. Po ludzku serdeczni, co wcale nie znaczy, że bezinteresowni. Dla nich jesteśmy „muzungu” – białymi, żyjemy inaczej, mamy inną filozofię. Przyjeżdżamy tu na chwilę zbawieni egzotyką, wdrapujemy się niewiedomo po co na tę wielką górę, oglądamy dzikie zwierzęta i płacimy za to grube pieniądze. I jeśli można od nas wyciągnąć parę dolarów więcej, im tak potrzebnych, to nie mają żadnych skrupułów. Ale czy biały człowiek miał kiedyś skrupuły w stosunku do nich?*<sup>64</sup> Bardzo często podczas każdej podróży prawie nic się nie dzieje, jednak wystarczy moment, jedna nie długa chwila, by odwrócić bieg codzienności – jeśli nie w warstwie fizycznej, to z pewnością na polu przemyśleń i analiz. Relacja Siwek jest symptomatyczna, i choć lakonicznie zamieszczona na samym końcu jej krótkiej opowieści, oddaje w paru zdaniach gros istoty podróżniczego losu w dzisiejszym świecie. Oczywiście różny on będzie na kolejnych kontynentach, jednak jej konkluzja skupia w sobie prozaiczną prawdę o podróży. Oko wędrowca dostrzeże to w sekundzie. Jesteśmy łupieni.

W jakimś sensie każdy idzie po kogoś śladach. Wydaje się właściwym przywołać w tym miejscu opowieść prof. dr hab. Wiesława Olszewskiego, który swoją wędrówkę po Afryce opisał w bogato ilustrowanej książce pt. „Mroczny kontynent Afryka”. Autor od lat zajmuje się dziejami oraz kulturą krajów pozaeuropejskich. Będąc autorem wielu książek naukowych i popularnonaukowych, jako globtroter, poniekąd reportażysta i ceniony analityk współczesnego świata, snuje swoje opowieści w miejscach dla Afryki mitycznych. Jednak nie omieszkujecie dodać, że *podróżowanie dzisiaj kosztuje i co do tego nie ma dwóch zdań. Można się oczywiście „szwendać” najtańszymi busami, ciężarówkami, czy nawet okazją bądź autostopem, ale to będzie trwało wieki, a czas także kosztuje, gdyż trzeba się wyżywić, no i gdzieś mieszkać. Metoda „na sępa”, czyli u dobrych ludzi, to ani pewność, ani honor. Zresztą dla tuziemców każdy biały to bogacz, choćby był goły i bosy, i jest to szczerą prawdą, gdyż w ostateczności są przyjaciele w Europie, bądź ambasady na miejscu.*<sup>65</sup> Także w jego przypadku szlak podróżniczy prowadzi przez okolice Kilimandżaro, a obok śnieżnej góry zapisuje: *Współcześnie, kto żyw, spieszy na Kilimandżaro, gdyż dostęp na jej szczyty jest stosunkowo łatwy, choć czasochłonny ze względu na konieczność adaptacji do wysokogórskich warunków.*

<sup>64</sup> A. Siwek, *Moja przygoda z Kilimandżaro*, Łódź 2010, str. 88.

<sup>65</sup> W. Olszewski, *Mroczny kontynent Afryka*, Poznań 2009, str. 238.

*Pogoda bywa zmienna, jak to w górach. Wycieczka mija się z wycieczką. Tylko w samym Moshi jest kilkadziesiąt biur organizujących trekkingi. Wśród turystów trafiają się nawet starcy oraz inwalidzi na wózkach. Dla nich to wielki triumf woli; dla pełnosprawnych żadne osiągnięcie.*<sup>66</sup> Lśniaca Góra woła Białych od dziesięcioleci. Jako pierwszy z europejskiego obszaru kulturowego zobaczył ją niemiecki misjonarz Johannes Rebmann w połowie XIX wieku. Od tego czasu białe, lodowe czapy na szczytach stały się Mekką, a Olszewski dodaje, nawiązując do literatury: *Szacuje się, że wskutek globalnego ocieplenia cały lód ze szczytów zniknie w latach 2015-2020. Śniegi Kilimandżaro będą zatem znane jedynie z opowiadania Ernesta Hemingwaya (1936) oraz albumowych fotografii.*<sup>67</sup> W związku z tym, czując oddech zbliżającej się historii, można spodziewać się kolejnych publikacji o zbliżonej tematyce.

Wszystkie trzy przywołane publikacje podróżnicze ukazują w swoich opowieściach popularny geograficznie obszar pogranicza Kenii i Tanzanii. Warto w tym miejscu pokusić się o dygresję, z której wniosek w jakimś sensie dotyczyć będzie motywów, dla których świat podróży kroczy od lat podobnymi ścieżkami. O tyle ma to znaczenie, że w konsekwencji powstająca na kanwie tych wypraw literatura będzie dotyczyć podobnej tematyki i bardzo zbliżony do siebie będzie w efekcie jej pisarski i reporterski zapis – nie mówiąc o fotografiach. Wiodąc myśli wokół zagadnień niniejszej rozprawy wydaje się to bardzo ważne i symptomatyczne, bowiem pytając o charakter polskiej literatury podróżniczej należałoby już na wstępie zaznaczyć, że ma ona nierozzerwalny związek zarówno z penetrowanym obszarem, ale i także z profesją podróżnika. Dla każdego z nich geografia miejsca będzie zbliżona, natomiast ze względu na różnorakie motywacje, które pchają ich na wędrowny szlak, każdy podróżnik zobaczy i opíše otaczający go świat swoimi słowami, ze swojego punktu widzenia. Nie jeden raz są to więc relacje rozbieżne, ale nie ze względu na nonszalancję reportera, a bardziej z powodu nadmiar okoliczności i charakter konkretnej wędrówki: inne będzie oko dziennikarza, inne geografa, a jeszcze inne np. księgowego, który poprzez podróż realizuje swoje życiowe hobby i marzenia. Każda z tych osób będzie szukać i zwracać uwagę na coś innego, parcelując przeżycia pod swoim kątem. Ich opisy, choć dotyczyć będą podobnego, lub nawet tego samego miejsca w danym kraju czy regionie, zwrócą oczy na dyferencjał samej podróżniczej, a w konsekwencji pisarskiej, przygody. Wszystko to, zebrane potem razem na jednej księgarskiej czy domowej półce, daje ciekawy obraz tworzonej rzeczywistości i można przypuszczać, że wielu kolejnych podróżników z każdej takiej

<sup>66</sup> W. Olszewski, *Mroczny kontynent Afryka*, Poznań 2009, str. 97.

<sup>67</sup> Tamże, str. 98.

publikacji zaczerpnie wiedzę dla siebie potrzebną – jednak bywa i tak, jak mawiała swego czasu powieściopisarka austriacka Marie von Ebner-Eschenbach, że kiedy oto co, którzy szli naszymi śladami, nie mogą za nami nadażyć, twierdzą wtedy odważnie, żeśmy zblądzieli.

**T**ed Conover, amerykański pisarz i reporter, opublikował dwa lata temu cytowaną już powyżej książkę pod znamienitym tytułem „Szlaki człowieka”. Autor wyruszył w zaskakującą podróż: postanowił przemierzyć kilka najważniejszych światowych dróg, którymi na co dzień poruszają się zwykli szarzy ludzie, a na motto swojej podróżniczej publikacji wybrał słowa J. B. Jacksona z „The Necessity for Ruins”: *Zobaczyłem, jak droga zmienia nie tylko to, jak ludzie podróżują, ale też to, jak myślą.*<sup>68</sup> Amerykanin w unikalny sposób przyjrzał się infrastrukturze drogowej, która dla tysięcy mieszkańców stanowi główną aortę ich życia – nie będąc tylko asfaltem i kamieniem. Wykreślił los człowieka, który na przestrzeni dekad stał się skutkiem cywilizacyjnej arterii. Na tym przykładzie bardzo łatwo można sobie wyobrazić szkic innego „Szlaku człowieka”, który wiódłby po śladzie np. współczesnych podróżników. Przyglądając się literaturze podróżniczej w bardzo łatwy i przystępny sposób można pokusić się o wyciągnięcie takich wniosków, gdy wspominając Kilimandżaro i jego okolice, szlak ten wykreśla się nieomal sam. Należy w tym miejscu zapytać: dlaczego Kenia? dlaczego Afryka? – dlaczego właśnie tam? Jak się wydaje, nie bez znaczenia w tym kontekście będzie historia Karen Blixen z „Pożegnania z Afryką” oraz bardzo popularne w ostatnich latach barwne opowieści Corinne Hofmann o jej miłości do kenijskiego wojownika z „Białej Masajki”.

„Niezrównany jest widok z gór Ngong. Na południu rozległe równiny, królestwo zwierzyny, sięgające aż po Kilimandżaro; na wschodzie i na północy podgórski krajobraz podobny do olbrzymiego parku, za nim lasy, a jeszcze dalej falisty teren rezerwatu Kikujusów, ciągnący się aż do Góry Kenii, odległej o prawie sto pięćdziesiąt kilometrów. Ten teren stanowi prawdziwą mozaikę poletek kukurydzy, gajów bananowych i łąk; gdzieniegdzie widać niebieską smużkę dymu nad tubylczą wioską, skupiskiem stożkowatych kretowisk. Na zachodzie, głęboko w dole, leży wysuszona księżycowa kraina – afrykański niż. Brązowa pustynia jest nieregularnie nakrapiana kępami kolczastych krzaków, kręte koryta rzek podążają za nierównymi pasami ciemnej zieleni. To lasy

---

<sup>68</sup> T. Conover, *Szlaki człowieka*, Wołowiec 2011, str. 7.

mimozowe, złożone z potężnych drzew o rozległych konarach i kolcach jak gwoździe.  
Tutaj rosną kaktusy, tutaj mieszkają zyraby i nosorożce.”<sup>69</sup>

Europejczyk dla takiej Afryki musiał stracić głowę. Musiał stracić głowę, gdy w dniu otrzymania Nagrody Nobla w dziedzinie literatury w roku 1954 Ernest Hemingway stwierdził, że nagrodę tę powinna dostać Karen Blixen. Podobnie jak Truman Capote czy Carlos MacCullers, Hemingway uważał, że „Pożegnanie z Afryką” to jedna z najpiękniejszych książek dwudziestego wieku.<sup>70</sup> Opowieści spisane ręką dzielnej i tak tragicznie doświadczonej w swej miłości Dunki z biegiem czasu miały, jak można przypuszczać, ogromny wpływ na kierunek egzotycznych podróży wybierany w następnych dekadach przez krewkich Europejczyków.<sup>71</sup> Czytelnicy chłonili fabułę i przy najbliższej nadarzającej się okazji gnali uwiedzeni na bezdroża Serengeti. Dla wielu kolejnych podróżniczych pokoleń „Pożegnanie z Afryką” stało się swoistą afrykańską biblią, najlepszym przewodnikiem i doskonałą mapą do samotnych nawigacji. Powstała inspiracja. Gen podróży zyskał pokarm. Wagi takiej literatury nie można przecenić, a skutków lektury oszacować. Podobnie zresztą rzecz miała się z Ryszardem Kapuścińskim, gdy na przydrożnym indyjskim straganie kupił „Komu bije dzwon” noblisty Ernesta Hemingwaya, sam o tym humorystycznie opowiadając: *Oto mężczyzna, który ma przed sobą rozłożone na gazecie dwa rzędy ludzkich zębów i jakieś stare dentystyczne cęgi – reklamuje w ten sposób swoje usługi stomatologiczne. A obok jego sąsiad – zasuszony, przykurczony człowiek – sprzedaje książki. Grzebię w leżących niedbale, zakurzonych stosach i w końcu kupuję dwie: Hemingwaya „For Whom the Bell Tolls” (żeby uczyć się języka) i księdza J.A. Dubois „Hindu Manners, Customs and Ceremonies”. [...] Wróciłem do hotelu. Otworzyłem Hemingwaya i zacząłem od pierwszego zdania. [...] Nic z tego nie rozumiałem. [...] Zacząłem dzień i noc wkuwać słówka. Przykladałem do skroni zimny ręcznik, bo pękała mi głowa. Nie rozstawałem się z Hemingwayem, ale teraz opuszczałem niezrozumiałe opisy i czytałem dialogi, bo były łatwiejsze.*<sup>72</sup> Jak widać, los i zastosowanie literatury podróżniczej mogą być różne.

<sup>69</sup> K. Blixen, *Pożegnanie z Afryką*, Warszawa 2009, str. 8.

<sup>70</sup> J-N. Liaut, *Karen Blixen. Afrykańska odyseja*, Warszawa 2004, str. 11.

<sup>71</sup> Jednak bywa i odwrotnie (czytelnik marzący o tworzeniu literatury), na co wskazuje Jean Hatzfeld: *Który z białych pisarzy po powrocie z Afryki nie śnił, że to on właśnie napisał książkę „Pożegnanie z Afryką”? Co za duma, móc stwierdzić po przebudzeniu, że stworzyliśmy to arcydzieło, a zwłaszcza jakież piękne złudzenie, że przeżyliśmy we śnie, jak Karen Blixen, owe niewyobrażalnie piękne afrykańskie lata. Chwile wzajemnego porozumienia z Afrykanami, chwile szczęścia w Kenii, harmonii między ludźmi i ich krajem, piękno pejzaży, dzikich zwierząt, woni. Niezrównana idylla, wyśniona z otwartymi oczami i rozplywająca się zaraz na stronach sielankowej literatury.* J. Hatzfeld, *Strategia antylop*, Wołowiec 2009, str. 150.

<sup>72</sup> R. Kapuściński, *Podróże z Herodotem*, Kraków 2004, str. 23-25.

Z pewnością wielu śmiałków sprowokowała także do afrykańskich podróży wspomniana już powyżej Szwajcarka Corinne Hofmann, której i spisane opowieści, i barwna ekranizacja kinowa w sobie charakterystyczny sposób wciągnęły na podróżniczy szlak kolejnych czytelników-podróżników. Sama zresztą autorka wspomina wielokrotnie w swoich trzech publikacjach („Biała Masajka”, „Żegnaj Afryko”, „Moja afrykańska miłość”) o inspiracji, jaką była dla niej dawna powieść Karen Blixen i osobiście, może i podświadomie, łaknęła podobnej przygody. Czy jednak także takich samych nieszczęść i zbieżnego rozczarowania? Gdzie na mapie podróżniczego szlaku jest granica między kopią a oryginałem? Gdzie przebiega swoisty rant między tworzeniem podróży, a jej odtwarzaniem? Czy w ogóle taka granica istnieje? Natomiast w kontekście pewnego jednostkowego doświadczenia, mając na uwadze okoliczności podróży w obszar tak odległy kulturowo i krajobrazowo, jakim jest afrykańska Kenia, sama Hofmann konstruuje przemyślenie o charakterze egzystencjalnym i filozoficznym, dotykając pytaniami niejako istoty podróży: *Stało się dla mnie jasne, że na tym kontynencie, jako turystka, zawsze będę miała mieszane uczucia. Nie mogę, jako podróżująca biała, wyłącznie cieszyć się wszystkim, ponieważ wiele rzeczy widzę oczami tubylców. Z ich, a także po części z mojego, punktu widzenia nasze postępowanie wydaje się zupełnie niezrozumiałe. Na przykład to, że my, Europejczycy, wspinamy się nadludzkim wysiłkiem na jakąś wysoką górę i jeszcze za to płacimy duże pieniądze, byłoby niewyobrażalne dla Lketingi i jego rodziny. Zapytałby mnie pewnie ze śmiechem: „Corinne, po co ty to robisz? To nie przyniesie ci ani jedzenia, ani wody, tylko same kłopoty. To szaleństwo!”. I w pewien sposób miałby rację. Ludzie, którzy całą swoją siłę i energię przeznaczają na to, aby móc jakoś przeżyć, nie wpadną nigdy na pomysł, aby tak po prostu wziąć udział w przedsięwzięciach, które nie przynoszą żadnych namacalnych korzyści.*<sup>73</sup> Rodzi się w tym miejscu kluczowe pytanie o sens podróżowania w oczach nacji innych, niż europejskie i zachodnie. Czy gen podróży nie będzie genem chęci zwycięstwa, konieczności eksploracji, symptomem europejskiej siły witalnej? Czy też nie będzie tylko i wyłącznie przedłużeniem kieszeni, a cała oparta na tym zjawisku argumentacja nie runęłaby, gdyby nie zasoby finansowe? Czy gen podróży nie jest po prostu dolarem, a podróż ograbieniem?

Zarówno Dunka, jak i Szwajcarka stały się inspiracją dla podróży Doroty Katende, która swoje przygody spisała w książce zatytułowanej „Dom na Zanzibarze”, jednak, jak

---

<sup>73</sup> C. Hofmann, *Żegnaj Afryko*, Warszawa 2005, str. 170.



pisze autorka, *moim przeznaczeniem nie było życie w wiosce masajskiej (jak w przypadku bohaterki „Białej Masajki”) czy na plantacji kawy (jak Karen Blixen). Celem mojej drogi, moim domem, okazała się egzotyczna wyspa – Zanzibar. Chodzę boso nad brzegiem oceanu, przepasana tylko kangą, czuję spokój i nieskrępowaną wolność. Mieszkam w domu z rafy i liści palmy.*<sup>74</sup> Jej opowieść osnuta jest wokół osobistych perypetii, kiedy to od wczesnych lat studiów musi borykać się z przeciwnościami losu, sama zresztą wiele z nich zmyślnie sobie fundując. Pracując zawsze na swój rachunek, działa w branży ogrodniczej i meblarskiej, a po latach z mozołem buduje biuro podróży Safari Travel i umiejętnie od tego czasu zaczyna łączyć własne afrykańskie ekspedycje z pracą zawodową. Dziś zyskuje profil wziętego organizatora i podróżnika z ponad sześćdziesięcioma wyprawami do brzegów wschodniej Afryki. Obszar przy Równiku staje się jej drugim domem. Tam kocha i tam nienawidzi. A także dla własnej satysfakcji zdobywa Dach Afryki: *Kilimandżaro... Od dziecięcych lat, słysząc to egzotyczne słowo, widziałam „oczyma duszy” ośnieżoną górę, u podnóża której pasły się żyrafy oraz stada zebr i słoni. Był to dla mnie zawsze nierealny obraz – śnieg i dzikie zwierzęta na sawannie – ale niezmiennie wywoływał jednoznaczne skojarzenie: Afryka!*<sup>75</sup>

W świetle powyższych uwag widać wyraźnie, że przekrój zawodowy polskich podróżników jest bardzo szeroki, gdy przywołaniu towarzyszy raptem tylko kilka publikacji podróżniczych z jednego, niewielkiego obszaru geograficznego, umownie nazywanego Kilimandżaro. Z pewnością także każdemu z nich przyświecają różne intencje, które pchają wędrowców w ramiona przygody. Heterogeniczne motywacje skutkują następnie różnym – i tak bardzo odległym od siebie – literackim przekazem. Inaczej bowiem swoją opowieść skonstruuje profesor akademicki, inaczej fryzjerka, a jeszcze inaczej grzybiarz. Również każdy z nich w sposób dla siebie charakterystyczny zwróci uwagę na oryginalną tematykę, w dużej części z jego własnego, bliskiego mu, obszaru zainteresowań. Warto także zaznaczyć, że dla wielu ludzi, którzy podróżują w sposób mniej lub bardziej zorganizowany, w jakimś sensie egzotyczna zagraniczna wyprawa jest tylko dodatkiem do codziennych obowiązków, a powstała w ten sposób literatura jedynie skutkiem jednostkowych ambicji i pragnień – wydana i kolportowana niejednokrotnie własnym sumptem. Można się z tym zgadzać lub nie, ale nie można tego zjawiska nie zauważyć. Wydanie książki nie stanowi obecnie większego problemu, stąd także rodzi się uzasadnione pytanie o charakter powstających publikacji, gdy np. w książce Katende już na samej okładce można przeczytać notkę od Wydawcy

<sup>74</sup> D.Katende, *Dom na Zanzibarze*, Kraków 2009, str. 7.

<sup>75</sup> Tamże, str. 85.

określającą autorkę jako kogoś, kto organizuje kolonialne safari. W całej rozciągłości kontekstu kolonialnego, poprzez tak żywy dziś dyskurs postkolonialny, takie zastrzeżenie wydaje się wadą, a nie zaletą oraz wręcz zatrważającym brakiem elementarnej wiedzy historycznej o procesach kolonialnych. Na domiar wszystkiego nie jest to jedyny, odosobniony i jednostkowy przykład, gdzie świadomość osoby podróżującej rozmija się z napotkaną rzeczywistością, a pojmowanie rzeczy odbiega w sposób rażący od ogólnie przyjętych kanonów.

Jeszcze natomiast inaczej rzecz będzie się miała z czynnymi dziennikarzami i reporterami – a co za tym idzie, w podobnym znaczeniu mówić należałoby o zawodowych fotografach i kamerzystach. Dla zobrazowania podjętego wątku służyć może wspomniana już powyżej historia afrykańskiej wyprawy zorganizowanej przez Annę Dymną, w której oprócz podopiecznych fundacji „Mimo Wszystko” udział brali także zawodowi operatorzy filmowi oraz doświadczeni w wędrówkach po wysokich górach podróżnicy. Charakterystycznym w tym przypadku wydaje się fakt, że także i oni na co dzień, oprócz tego, że poświęcają się podróżniczym pasjom, pracują w różnych zawodach – występują więc podczas wspinaczki na Kilimandżaro w co najmniej dwóch rolach: podróżnika i podróżnika-przewodnika. Bogdan Bednarz, będąc ratownikiem Beskidzkiej Grupy GOPR i zapalonym alpinistą, swoją zawodową pracę wykonuje w firmie spedycyjnej kompanii piwowarskiej. Jacek Grzędzielski dołączył do podróży na Dach Świata z ramienia głównego sponsora wyprawy, będąc na co dzień dyrektorem generalnym polskiego oddziału tegoż przedsiębiorstwa.<sup>76</sup> Natomiast Agata Dzikowska-Sworowska, Adam Golec, Wojciech Jachymiak, Michał Jankowski, Marek Kowalski, Paweł Mróz czy Oktawian Piżyk od lat tylko i wyłącznie zajmują się zawodowo filmowym reportażem, fotografią i działalnością producencką<sup>77</sup> – i to głównie dzięki ich zaangażowaniu i doświadczeniu powstała filmowo-fotograficzna dokumentacja z wejścia na śnieżny szczyt Kilimandżaro.

Powyższy przykład nie jest odosobniony, a w dalszej części dysertacji znajdzie jeszcze nie raz swoje miejsce, gdy przyjdzie zwrócić uwagę na chociażby poruszany zakres tematyczny podróżniczych publikacji. Tak bowiem, jak z fotografią: inną wykona zawodowy fotograf, a całkiem inną podróżnik, dla którego kolorowe zdjęcie będzie tylko i wyłącznie

---

<sup>76</sup> Wydaje się istotnym przywołanie w tym miejscu krótkiej notatki zamieszczonej w podróżniczej publikacji o fakcie, że Jacek Grzędzielski *poszedł na Kilimandżaro za własne pieniądze, chcąc pomagać uczestnikom z niepełnosprawnością*. M. Wach, *Każdy ma swoje Kilimandżaro*, Kraków 2008, str. 232.

<sup>77</sup> Tamże, str. 228-238.

uzupełnieniem przeżyć, czy też ich skromną prywatną archiwizacją. Starając się jednak być dalekim od generalizacji, gdy omawiana tematyka tak szczupło i dokładnie dotyczy poszczególnych osób, tytułów i podróży, warto również podkreślić, że wbrew pozorom i panującemu stereotypowi, zdarza się tak, że podróżnik bez tzw. zacięcia zawodowego i profesjonalnego może podczas wyprawy zobaczyć więcej, a jego spojrzenie na swój sposób będzie świeższe i bardziej spontaniczne – dalekie od rutyny i przyzwyczajenia. Kiedy publikacje wytrawnych i wieloletnich podróżników będą metodyczne, wręcz chłodne i skalkulowane, to zapiski ludzi podróżujących okazjonalnie tchnąć mogą entuzjazmem, radością i takim spojrzeniem na świat, którego trudno szukać w publikacjach typowo dziennikarskich.

**P**odróż nie jedno ma imię, jak i nie jednego bohatera. Kto więc jeszcze podróżuje?

Kogo los pcha na drogi świata i o czyich zmaganiach można potem przeczytać, wertując karty malowniczych opowieści pośród regałów księgarskich składów? Kim jeszcze są autorzy? Jaką wykonują pracę? Czym się zajmują? Czego są częścią? Jaką reprezentują profesję? W jakiej części życia ruszają na wędrowny szlak? I czym w tym wszystkim jest dla nich podróż?

„Przyzwyczałem się do codziennego, afrykańskiego życia. Poznawałem zwyczaje, uczyłem się mądrości starców, poddawałem się praworządności ludu, przyswajałem sobie ich mentalność, wrastałem w ich kulturę. Jadałem ręką ze wspólnej miski ugotowane sorgo, piłem wodę z rzek, zażywałem wywarów z ziół, gdy powaliła mnie malaria, słuchałem uważnie czarownika, który ostrzegał mnie przed złym człowiekiem, asystowałem przy obrzezaniu chłopców w czasie rytuału inicjacji, ogłaszałem śmierć najbliższych dziesiątkowanych przez cholere, godziłem poważnione strony, płakałem nad śmiercią dzieci umierających z głodu, stawałem bezradny wobec ukąszonych przez węża, żegnałem odchodzących na zawsze do buszu, w którym zostali pożarci przez lwy. Powoli stawałem się jednym z nich jako Biały Murzyn. Wieczorami siadałem przy ognisku na macie i słuchałem opowieści starszych o młodzieńcu zakochanym w pięknej dziewczynie, którą w czarodziejski sposób zamieniono w słońce.”<sup>78</sup>

Misyjna codzienność. Żar upalnych tropików pośród nędzy tzw. Trzeciego Świata. Ziemia tak inna od tej, którą znamy, że trudno w to wszystko uwierzyć, a co dopiero mimetycznie, poprzez naśladownictwo, przeżyć. Od wieków misyjność była podróżnicza, a

---

<sup>78</sup> H. Siwek, *Moja piękna Afryka*, Kraków 2008, str. 5.

dla krzywienia wiary niejedyn podróżnik stawał się misjonarzem, a niejedyn misjonarz podróżnikiem. Działalność misyjna wydaje się być, obok dyplomatycznej, najlepiej zorganizowaną zamiejscową strukturą administracyjną na świecie.<sup>79</sup> Docierając w miejsca najbardziej odległe i niedostępne może otrzymać realne opowieści, do których przeżycia nikt inny nie jest predestynowany. Misje, lokowane przez kościoły na krańcach Ziemi, mają wgląd w świat dotąd nieznany, mało spenetrowany – a co dopiero opisany. W tym znaczeniu niemal każda publikacja o tym charakterze będzie unikatowa. Każda będzie na wagę złota. Dzieje się tak tym bardziej, że spośród setek książek o tematyce podróżniczej, tych tytułów nie jest wiele. Raptem kilka. Półki świecą pustkami. Być może ma to bezpośredni związek ze specyfiką i charakterem misyjnej działalności, gdzie charyzmat sprawowania kapłaństwa jest po prostu ważniejszy, niż podróżnicze publikacje. Nie można jednak nie zauważyć, że misjonarz, w całej rozciągłości znaczenia swojego zajęcia – powołania-profesji – także na swój sposób jest i podróżnikiem, i reporterem, i pisarzem. Na przestrzeni ostatnich lat dochodzi także na tym polu do wielu istotnych zmian, które światu człowieka Zachodu przybliżają tematykę odległych krain i lądów.

Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na fakt, który bezpośrednio nawiązuje do procesu tworzenia literatury podróżniczej. Pisarskie rzemiosło. Zasygnalizowana przez księdza Hieronima Siwka<sup>80</sup> sytuacja wskazuje jednoznacznie na trudność w lingwistycznym opisie np. afrykańskiej rzeczywistości, choć z pewnością dzieje się tak i w skutej lodem północy wśród Eskimosów, i na antypodach Ameryki – w szerokiej papuaskiej prerii. W oparciu o refleksję misjonarza z Tanzanii nie sposób faktu tego zbagatelizować, szczególnie w kontekście mrowia literatury podróżniczej, która nieporównywanie większą dziś rolę zaczęła przywiązywać do kolorowej fotografii, niż do pisanego słowa. Czy można wysnuć wniosek, że dzieje się tak wskutek podróżniczej indolencji? Czy świadczy to o niewiedzy XXI-wiecznego wagabundy? Próba opisu napotkanej rzeczywistości wymaga wszak dziś od podróżnika nie lada wiedzy i umiejętności, a w świetle tego wszystkiego, co sam spotyka na podróżniczym szlaku, zrobienie fotografii może nie być aż tak absorbujące. *Dla przykładu,*

---

<sup>79</sup> Warto w tym miejscu zwrócić także uwagę na działalność misyjną i duszpasterską połączoną z funkcją dyplomatyczną w postaci np. misjonarza-obłata Andrzeja Madeja, pełniącego od piętnastu lat w Turkmenistanie funkcję przełożonego misji sui iuris Stolicy Apostolskiej, którego publikacje cieszą się w Polsce wciąż rosnącym zainteresowaniem. Autor pisze m.in.: *Należę już od blisko 15 lat do korpusu dyplomatycznego, chodzę na akademie, przyjęcia, defilady, otwarcia fabryk, teatrów, banków, autostrad... Wszystko to dla ludzi, a jednak trudno pamiętać, że tu cały czas chodzi o człowieka. Modlę się także i o to, by pogromy, opinie, układy, konferencje nie przysłoniły mi... człowieka.* A. Madej, *Pod otwartym niebem*, Kraków 2012, str. 46.

<sup>80</sup> H. Siwek, *Moja piękna Afryka*, Kraków 2008, str. 221.

ryż w suahili to „mpunga”, znaczy ziarno, które wpada do ziemi podczas siewu. Ale oczyszczone z łuski i przygotowane do gotowania przestaje być „mpunga” i nazywa się „mchele”. Zaś smacznie ugotowane i postawione na półmisku przed gośćmi to już „wali”. Inaczej mówiąc, nikt nie sieje „wali”, nie gotuje „mpungi” oraz nie zjada „mchele”, wręcz przeciwnie: sieje „mpungę”, gotuje „mchele” i zjada „wali”.<sup>81</sup> Można przypuszczać, że dla wielu istniejących już opisów ryż zawsze pozostanie ryżem i tak szczegółowe rozgraniczenia raczej nie będą miały miejsca w licznych publikacjach z drogi. Inne, równie ciekawe spostrzeżenie, zawarł ksiądz Hieronim Siwek w kolejnej swojej publikacji, która tytułem nawiązuje do afrykańskiego drzewa mtumbati, w „Krwawiącym drzewie”: *Żyliśmy jak jedna wielka rodzina. Jako Europejczyk wychowany na filozofii osobowości podmiotowej, podkreślającej własne „ja”, używałem na co dzień języka wyrażającego mój punkt widzenia – mój dom, moje pole, pytałem, gdzie są moje buty, gdzie położyłem mój klucz. W odpowiedzi zawsze słyszałem: nasz dom, nasze pole. Tu zastawiłeś nasze klucze. Dopiero pod koniec mojego pobytu w Tanzanii, a jeszcze bardziej po powrocie do Europy zrozumiałem podyktowaną sercem filozofię mojego ludu. Gdy piszę list do nich, pytam wprost, automatycznie: czy nasze pola nadal uprawiacie? Czy nadal mieszkacie na naszych terenach?*<sup>82</sup> Jednak dla większego zwrócenia uwagi i poświęcenia w/w zagadnieniu kilku dalszych chwil przemyśleń, wspomniany misjonarz przywołuje także opinię Ryszarda Kapuścińskiego: *Jest faktem, że w językach europejskich nie rozwinęło się słownictwo pozwalające adekwatnie opisać inne, nieeuropejskie światy. Całe wielkie dziedziny życia Afryki pozostają niezgłębione, nawet nietknięte z powodu pewnego ubóstwa języków europejskich.*<sup>83</sup> Konkluzja ta wskazuje jednoznacznie, moim zdaniem, na przyczynę, z powodu której literatura podróżnicza, mimo całego wysypu swojego bogactwa nie jest jeszcze w wielu przypadkach na merytorycznym poziomie adekwatnym do zagadnień, które porusza i w odniesieniu do obszaru terytorialnego, jaki obejmuje. Jak się wydaje, dostępność do biletów lotniczych nie zawsze idzie w parze z jakością opisu po powrocie.

Pewnym wyjątkiem może być tutaj przykład innej profesji podróżnika, który na swój sposób także tworzy bardzo dokładny językowy obraz świata poprzez publikację z pogranicza publicystyki i nauki. Prof. Ryszard Vorbrich, będąc etnologiem, poświęcił gros swojej kariery naukowej na zbadanie afrykańskiego ludu Daba w publikacji pt. „Daba, Górale Północnego

---

<sup>81</sup> H. Siwek, *Moja piękna Afryka*, Kraków 2008, str. 221.

<sup>82</sup> H. Siwek, *Krwawiące drzewo*, Kraków 2009, str. 15.

<sup>83</sup> H. Siwek, *Moja piękna Afryka*, Kraków 2008, str. 222.

Kamerunu”. Wieloletnie obserwacje, zawarte w publikacji, stanowią niejako dwa obrazy dzisiejszej literatury podróżniczej. Pierwszym będzie malownicza i egzotyczna na swój sposób sama opowieść autora o ludzie Daba, z wszystkimi okolicznościami i szczegółami. Natomiast obraz drugi wyłania się, gdy spojrzymy na profesorską publikację oczyma podróżnika, który w drogę do Kamerunu dopiero się udaje – dla niego pozycja Vorbricha stanowić może nieocenione źródło wiedzy i doświadczenia o regionie, do którego zmierza. Profesja autora ma więc w tym przypadku dwojakie znaczenie: jako etnolog i etnograf wykonuje pracę badawczą, ale jednocześnie staje się podróżnikiem tworzącym ciekawą literaturę podróżniczą. *Żyjąc wśród nich, następnie uświadomiłem sobie coraz wyraźniej, iż utrwalenie ich niezwykłych dziejów oraz obrazu dnia codziennego warte będzie niewygód związanych będzie ze spędzaniem miesięcy w namiocie, pod gołym niebem lub w malej, kurnej chacie. Podjęty trud pozwolił mi odtworzyć i przybliżyć czytelnikowi epopeję ludu chroniącego w „górskiej twierdzy” najcenniejsze swe dobro – swą wolność i tożsamość kulturową.*<sup>84</sup> Warto w tym miejscu zwrócić więc szczególną uwagę na pozostałą część prac naukowo-badawczych<sup>85</sup>, które z wielu edytorskich i marketingowych powodów nie znajdują się na półkach w znanych powszechnie księgarniach, a jedynie zalegać będą w zasobach nielicznych bibliotek akademickich. Sytuacja ta marginalizuje także wydawnictwa, po które tzw. przeciętny czytelnik nigdy nie sięgnie, ponieważ zwyczajnie nigdy się o tych książkach nie dowie. W tym wymiarze przychodzi rozważyć zjawisko publikacji podróżniczych z punktu widzenia stosowanej szaty graficznej oraz promocji, co znajdzie swoje miejsce w dalszej części niniejszej rozprawy, szczególnie podczas omawiania książek pisanych ręką tzw. celebrytów. Jednak w moim przekonaniu przywołana wyżej publikacja prof. Vorbricha, choć ciekawa, interesująca i nad wyraz pomocna, bo przedstawiająca dokument obrazujący zanikającą formę kultury i gospodarki<sup>86</sup>, stoi dziś, niestety, na straconej i rugowanej pozycji wobec przekazów o podobnym charakterze. Zjawisko to, będące pod ręką paradygmatu podaży i popytu, kształtuje obraz rynku wydawniczego w sposób karykaturalny i wykoślawiony, kiedy księgarskie półki uginają się prawie tylko i wyłącznie pod ciężarem kolorowych wydmuszek. Niezmiernie trudno taką sytuację oszacować i przewidzieć jej skutki w perspektywie kolejnych dziesięcioleci, jednak można przypuszczać, że wiele z ciekawych i

---

<sup>84</sup> R. Vorbrich, *Daba, Górale Północnego Kamerunu*, Wrocław 1989, str. 7.

<sup>85</sup> Można w tym miejscu przywołać np. bardzo ciekawą, przekrojową i pomocną publikację prof. Niny Pawlak pt. „Języki afrykańskie”, w której autorka – opierając się m.in. na dorobku językoznawstwa afrykańskiego w Europie – dokonuje syntezy lingwistyki Czarnego Łądu z perspektywy badawczej i naukowej systematyki, tworząc swoistą encyklopedię języków afrykańskich. Por. N. Pawlak, *Języki afrykańskie*, Warszawa 2010.

<sup>86</sup> Tamże, str. 255.

interesujących pozycji nigdy nie dotrze do w miarę szerokiego kręgu odbiorców. Czy sytuacja ta zmieni się? Być może wiele zależy także od samych autorów, na ile będą potrafili odpowiadać na rynkowe zapotrzebowania i manieri sprzedaży.

*Dokładnie już tego nie pamiętam: trochę przez udar, a trochę przez upływ czasu, który zamazał bezpowrotnie kilka wspomnień. Bodaj dzień wcześniej tropiłem stada słoni na granicy północnego Kamerunu z Czadem. Gdzieś niedaleko rozciągała się granatowa, wąska i długa plama jeziora Czad. Do granicy było może z trzydzieści kilometrów: dwie godziny dżipem. Żyrafy jak na dłoni skakały po sawannie. Lew ryczał w zaroślach, ale bał się wozu. Zapomniałem się na kilka godzin. Słońce, schowane sprytnie za szarością harmatanu, spaliło moją łysą głowę prawie do krwi. Wieczorem jęczałem odchodząc od zmysłów. Na drugi dzień dowlokłem się pół żywy na misję do Mandamy. Budowali kościół. Żar lał z nieba upałem jak lawa z wulkanu. Dano mi klucz do pokoju, w którym zawsze urzędował prof. Vorbrich, ale teraz nie było go w Afryce. Dygotałem z gorączki i próbowałem zasnąć na jego pryczy, ale nie miałem się czym przykryć (kto przykrywa się w takich upałach?). Było mi zimno, jak na Syberii, choć za oknem musiało być z sześćdziesiąt stopni w słońcu. Na szarej ścianie wisiała długa słomiana, prostokątna mata, a do niej poprzypinane pinezkami i szpilkami notatki, zdjęcia i różne kartki z przemyśleniami profesora. Kilka pamiętek, jakieś świecidelka. Wstałem, ściągnąłem ją z gwoździa i przykryłem się sztywną, suchą i zakurzoną słomą. Spałem do rana. Obudził mnie dzwon z tymczasowej kaplicy: stara, stalowa felga zwisała z jeszcze starszej gałęzi baobabu, a misjonarz walił w nią jakimś prętem bite dziesięć minut. Metaliczny stuk leciał w sawannę. Potem z pobliskich gór Mandara<sup>87</sup> zaczęli schodzić Daba. Kolorowi. Odświętni. Rozśpiewani. Czarni jak smoła. Wszyscy ze zdziwieniem patrzyli na moją łysą i czerwoną głowę, jakbym wysmarował się burakami. Oni na mnie, ja na nich. Oni na mnie, ja na nich.*

Natomiast inną tematycznie, choć bardzo zbliżoną terytorialnie, będzie publikacja Haliny Domagały, katolickiej siostry zakonnej, która swoją książkę poświęciła w całości pamięci brata. Roman Domagała, będąc polskim misjonarzem w rejonach gór Mandara i na całym obszarze Kamerunu Północnego jest bohaterem jej opowieści, w której autorka snuje także refleksję na temat swojego miesięcznego pobytu w Afryce centralnej.<sup>88</sup> W tym przypadku niejako zawodowa profesja brata i siostry określa w jakimś sensie charakter

<sup>87</sup> Jak precyzuje prof. Ryszard Vorbrich, *Grupa Daba zamieszkuje południowo-wschodni skraj masywu Mandara w Kamerunie Północnym* [...]. *Góry Mandara, ciągnące się na powierzchni ok. 150 km i rozpościerające się na szerokości ok. 60 km, stanowią ostatnie ogniwo w ciągu wulkanicznych masywów górskich oddzielających zachodnią część Afryki od jej części centralnej, wschodniej i południowej.* R. Vorbrich, *Daba, Górale Północnego Kamerunu*, Wrocław 1989, str. 19.

<sup>88</sup> H. Domagała, *Biały misjonarz o czarnym sercu*, Katowice 2008, str. 106.

publikacji, a ten w przeważającej części stanowi zapis prywatnej korespondencji między rodzeństwem, w której brat-misjonarz opisuje swoje zmagania z afrykańską rzeczywistością.

„Kochana Halinko. Dziękuję za list i wiadomości. Nie wszystkie są dobre, ale cóż starzejemy się, serduszka nam wysiadają. Ja jak wiesz zmieniłem misję, bez zawału serca. Były takie okoliczności, że zaczynając w tej diecezji, trzeba było kogoś kto już trochę ją zna, a więc zgodziłem się opuścić Poli. Tutaj warunki są trudniejsze, zwłaszcza misja jest bardzo stara. Budynki już się wałają. Ale jesteśmy młodzi to coś zrobimy. Mój kolega Paweł Panicz jest starszy święceniami o jeden rok.”<sup>89</sup>

Książka podróżnicza przybiera więc tutaj charakter swoistych „listów z podróży”, podobnych np. do tych, jakie w latach 1914-1924 słała z Afryki Karen Blixen.<sup>90</sup> Można przypuszczać, że takich i podobnych publikacji ukazuje się wciąż wiele, są one jednak wydawane i kolportowane poza centralną i główną siecią dystrybucji, co powoduje ich ograniczony zasięg edycyjny. Istnieją w zamkniętym obiegu różnych specjalistycznych grup, korporacji i stowarzyszeń, a dostęp do nich jest praktycznie niemożliwy. Drukowane w niewielkich nakładach rozchodzą się w kręgach najbliższej rodziny, przyjaciół i znajomych.

Nieco dla przeciwwagi można w tym miejscu zwrócić się w stronę innego zagadnienia i spróbować odpowiedzieć na pytanie o życiowe zamierzenia podróżniczych bohaterów, gdy np. zawodowo są już zmęczeni. *Hemingway wiedział, że małżeństwo położy kres jego dotychczasowemu trybowi życia.*<sup>91</sup> Bardzo często podróżnicze życie wiedzie więc człowieka falami, a naturalne cykle także wyznaczają koleje wędrownych postępowań. W licznych publikacjach można przeczytać o takim projektowaniu podróży, by pogodzić często niemożliwe z możliwym, a pytania o życie prywatne wytrawnych podróżników nie raz mogą przynieść zaskakującą odpowiedź. *Jak to wszystko pogodzić? Często koło czterdziestki człowiek zaczyna odczuwać zmęczenie. Nie może już biec, ma mniejsze ambicje. Wtedy pakuje walizki i wyrusza w podróż dookoła świata albo znajduje sobie to, co my z taką przenikliwością nazywamy żoneczką.*<sup>92</sup> Humorystyczna konstatacja, jakiej dokonuje Bouvier każe i na to zagadnienie patrzeć z szeroko otwartymi oczyma, a gdy Tony Horowitz rusza śladami kapitana Cooka (choć nie chce), także notuje: *Miałem czterdzieści lat i czułem się zmęczony podróżowaniem i zmianami miejsca zamieszkania. Jakaś część mnie chciała*

---

<sup>89</sup> H. Domagała, *Biały misjonarz o czarnym sercu*, Katowice 2008, str. 82.

<sup>90</sup> K. Blixen, *Listy z Afryki, (1914-1924)*, Warszawa 1998.

<sup>91</sup> C. Baker, *Ernest Hemingway*, Warszawa 1999, str. 44.

<sup>92</sup> N. Bouvier, *Pustka i pełnia*, Warszawa 2005, str. 161.



*obrastać mchem, jak mój ganek w Wirginii. Wtedy, pewnego leniwego dnia, wpadł mi w ręce zapomniany egzemplarz dzienników Cooka.*<sup>93</sup> Przywołane przykłady, choć zagraniczne, przynoszą istotne tło dla wielu podobnych decyzji, a podróż dzieje się wręcz sama. W jakimś też sensie można powiedzieć, że to podróż wybiera podróżnika, a nie podróżnik podróż.

**K**im więc jest dzisiejszy podróżnik? Czy można, a jeśli tak, to w jaki sposób, dokonać zwięzłej charakterystyki współczesnego wagabundy? Czy w oparciu o analizę raptem kilkunastu publikacji podróżniczych z okresu ostatnich dwudziestu kilku lat uda się określić ramy profesjonalizacji? Czy zawodowy profil podróżnika będzie jednolity? Z pewnością nie. Można powiedzieć, że co kraj – to obyczaj, a co podróż – to podróżnik: *Wolfgang nie szukał innego życia. Dla niego, jak dla wielu innych, podróż była kolejnym sposobem oszczędzania pieniędzy.*<sup>94</sup> Z pewnością nie ma także na tak postawione pytania jednej prostej odpowiedzi. Trudno jednak w krótkim podsumowaniu nie ulec przeświadczeniu o zagrożeniu stereotypową i deprecjonującą interpretacją, gdy podziału dokona się np. według granicy, która przebiega pomiędzy pisarstwem zawodowym a amatorskim. Gdyby w takim świetle podjąć próbę klasyfikacji, to podróżnicza literatura zawodowa powstawałaby przy udziale osób, które w jakimś sensie podróżują zawodowo: dziennikarze, reporterzy, fotografowie, naukowcy. Do tej grupy można byłoby zaliczyć także lekarzy, misjonarzy, dyplomatów, szpiegów oraz wszystkich tych, którzy przez dłuższy czas zamieszkują i przebywają w odległych rejonach, jednak nie ze względu na charakter swojej podróży, a z powodu na zawodowo-korporacyjne obowiązki. Wprowadzając wtedy takie rozróżnienie, podróżniczą literaturą amatorską będzie więc w następstwie każda publikacja, która ukaże się piórem włóczykijów-obejzyswiatów – z tym jednak zastrzeżeniem, że ich codzienna profesja nie ma nic wspólnego z późniejszym zawodowym przetwarzaniem powstałego materiału. Mianem takiego podróżnika nazwiemy więc rodzinę Kobusów<sup>95</sup>, która zwiedza Namibię,

---

<sup>93</sup> T. Horowitz, *Błękitne przestrzenie*, Warszawa 2010, str. 16.

<sup>94</sup> P. Theroux, *Stary Ekspres Patagoński. Pociągiem przez Ameryki*, Wołowiec 2012, str. 450.

<sup>95</sup> Historia podróży do afrykańskiej Namibii małżeństwa Anny i Krzysztofa Kobusów wraz z dwójką małych dzieci: Michałem i Stasiem, szeroko opisana na kartach publikacji wydawnictwa National Geographic. Autorzy piszą: *Czterdziestka to najwyższy czas, by zacząć spełniać swoje marzenia – bo jeśli nie teraz, to kiedy? Mamy trochę pieniędzy odłożonych na remont domu, lecz remont może przecież poczekać. Pewnego zimowego dnia pojawia się kusząca myśl o wyprawie i już nie odpuszcza. A może by tak Namibia? Michaś ma 3,5 roku, Staś 2 lata – to idealny wiek na rodzinną podróż. Decyzja zapada: jedziemy!*. A. Olej-Kobus, K. Kobus, *Namibia*, Warszawa 2011, str. 6.

Pawła Wróblewskiego czy podopiecznych fundacji Anny Dymnej. Wydaje się koniecznym w tym miejscu zaznaczyć, że proponowana kategoryzacja nie ma zamiaru być wartościującą w znaczeniu zawodowe – lepsze, a amatorskie – gorsze. Starając się wskazać na różnice i proponując taki podział, mam na myśli nie tyle pisarski efekt i styl, a bardziej powód i przyczynę.

W podobnym tonie utrzymana będzie inna propozycja kategoryzacji, gdy także zwrócimy uwagę na inklinacje zawodowe podróżników. Proponowana skupia się wokół kodyfikacji aktywnej i pasywnej – w takim samym, jak powyżej, rozróżnieniu ze względu na powód i przyczynę podróżniczej ekspedycji. Można jednak w tym przypadku dokonać semantycznej wolty i wbrew stereotypowemu modelowi myślenia, który niejako narzuca się sam, mianem pasywnych (odwrotnie niż w powyższej opozycji zawodowiec/amator) określić tych podróżników, którzy podróżują i publikują z racji swojego zawodowego rzemiosła – w tym natomiast sensie, że są synonimicznie pasywni jeśli chodzi o jednostajność i monotonność podróży. W tym rozumieniu będą oni niejako mniej „świeży”, bardziej w swoich poczynaniach profesjonalni, zawodowi i „wystudzeni”. Na polu takiego semantycznego rozróżnienia podróżnikiem aktywnym będzie wtedy osoba konstruująca swoją wyprawę w dużej części nieświadomie, emocjonalnie, bez uprzedzeń i wcześniejszych doświadczeń, z tzw. „mokrą głową”. Nie będzie ona zwracać tak dużej uwagi na rzeczy, które „zawodowiec” dostrzeże i wyłuska, albo też przywiąże wagę do szczegółów i epizodów, które dla „zawodowca” będą kompletnie bez znaczenia.

Jak się wydaje, inną dopuszczalną kategoryzacją, opartą jednak na podobnym założeniu, jak obie przedstawione powyżej, będzie dwubiegunowy podział grupy podróżników – a co za tym idzie, tworzonej przez nich literatury podróżniczej – na część umownie określaną mianem czynnej i biernej. Takie rozgraniczenie ukazuje w jakimś sensie tło sposobu podróżowania oraz, co ważniejsze, specyfikę i warsztat zbierania informacji do podróżniczej publikacji. Osobiście z trzech przywołanych prób kategoryzacji skłaniałbym się do takiego oto modelu, w którym jako za publikację czynną uznamy tę zaangażowaną, bardziej niejako świadomą, opartą o przemyślenia, konkluzje i wnikliwe obserwacje poczynione przez wędrowca w drodze. Będzie ona miała charakter zbliżony do formy eseistycznej, literackiej i problemowej. Nawiąże do historii danego regionu, osnuje opowieść wokół jakiejś fabuły lub przywoła wypowiedzi mieszkańców. Natomiast w tym świetle tzw. publikacją bierną jawić będzie się zapis kogoś, kto ograniczy podczas podróży swoje

zaangażowanie do zebrania jedynie tzw. podstawowego materiału dowodowego: dużo zdjęć, mało tekstu, skąpa treść, nierozbudowana fabuła, brak dialogów. W tym przypadku literatura ta w swojej istocie położy większy nacisk na perypetie podróżnika lub grupy podróżników, a mniej miejsca poświęcać będzie okolicznościom, w których się odbywa. Autor lub autorzy opiszą ze szczegółami technologię wyprawy i wszystko inne, co stanowi o jej technicznym aspekcie – jednak prawie nic więcej. Trafnym przykładem dla zobrazowania opowieści o takim charakterze jest publikacja Radka Biczaka zatytułowana „Zielone wzgórza Ulan Bator”, w której autor opisuje perypetie, gdy z dwoma kolegami wyruszają starą ładą w podróż do Mongolii. *Drogi w Rosji nie były najgorsze, pod warunkiem, że nie były to drogi boczne. Kiedy uciekliśmy z drogi do Woroneża, nie chcieliśmy uwierzyć własnym oczom – asfalt, owszem, był, ale dziury i leje, które zdobyły nawierzchnię sugerowały, że naloty wrogiej Luftwaffe skończyły się przed tygodniem. Tempo jazdy spadło do 40 km/h, co przy niektórych zapadliskach asfaltu i tak było prędkością ryzykowną – wszak ładix nie miał hamulców typu ABS.*<sup>96</sup> Cała książka Biczaka rzetelnie, w przeważającej części publikacji, oddaje charakter podróży, jaką kompani odbywają przez Rosję po Mongolię, natomiast w znikomej ilości nawiązuje i opisuje świat niejako zza samochodowej szyby. Opowieść skupiona jest na elementarnym trudzie wyprawy i tylko od czasu do czasu pojawiają się dygresje o charakterze kulturoznawczym, historycznym czy nawet geograficznym.

W związku z powyższym nie można nie zauważyć, że proponowany podział jest li tylko i wyłącznie ostrożną próbą usystematyzowania i na dobrą sprawę nie bardzo możliwym wydaje się dokładne rozdzielenie wspomnianych gatunków. W miarę bowiem kolejnych czytanych lektur granica niejednokrotnie się zamazuje, jest nie ostra i nie jednoznaczna. Zdarza się, że dana publikacja może na raz należeć do dwóch kategorii i sytuować ją należy niemal dokładnie pośrodku czynności i bierności wagabundy-globtrotera. W tym sensie, jak dokonując każdego rozgraniczenia, łatwo o klasyfikacyjne pomyłki, a przywołując ludowe powiedzenie, trzeba uważać, by nie wylać dziecka z kąpielą – głównie ze względu na raczkujący charakter i wręcz prenatalny zakres polskiej literatury podróżniczej po 1989 roku. Zwraca na to uwagę także Ryszard Kapuściński: *Trzeba pamiętać, że grupa piszących, uprawiających literaturę podróżniczą, aczkolwiek systematycznie rośnie, jest ciągle mała. To w dziedzinie literatury wziętutki strumyk, ponieważ bardzo niewielka grupa ludzi podróżuje w celu poznawczym, to znaczy traktuje podróż jako rodzaj poznania świata, poznania Innego,*

---

<sup>96</sup> R. Biczak, *Zielone Wzgórza Ulan Bator*, Chorzów 2009, str. 43.

*poznania innych kultur.*<sup>97</sup> W tym kontekście stara europejska maniera podziału, klasyfikacji i każdorazowego przyporządkowania wszystkiego czemuś może zwyczajnie nie działać i nie być użyteczną. Tym bardziej, gdy na wszelkie próby kategoryzacji spojrzymy oczyma nie tyle twórcy literatury, co bardziej jej czytelnika i odbiorcy (nie wspominając na domiar o istniejącym i bardzo łatwo dającym się określić rynkowym wskaźniku sprzedaży w/w publikacji). W jakimś bowiem sensie to potencjalny i „szary” czytelnik decyduje o charakterze publikacji, a ucieczka w dzisiejszym świecie od mechanizmu popytu i podaży wydaje się nie tyle karkołomną, co po prostu niemożliwą. Bardzo dobrym i jaskrawym przykładem będzie w tym miejscu przywołanie wspomnianej już powyżej symptomatycznej publikacji małżeństwa Anny Olej-Kobus i Krzysztofa Kobusa zatytułowanej „Namibia”. Dzieje się tak jednak w przypadku wszystkich książek podróżniczych, które mają podobny charakter, a którym ze względu na towarzyszące im okoliczności więcej uwagi poświęcę w ostatnim rozdziale rozprawy.

---

<sup>97</sup> R. Kapuściński. W: *Dziedzictwo Odyseusza*, red. M. Cieśla-Korytowska, O. Płaszczewska, Kraków 2007, str. 12.

# AZYMUTY PODRÓŻY

Pewnego sierpniowego dnia 2006 roku wylazłem w Katowicach na autostradę A4 w kierunku Krakowa, trzymając w ręku kartkę z napisem: Indie. Kierowcy, jak to zwykle bywa, podjeżdżali i patrzyli z ciekawością. Jeden z nich uchylił nawet drzwi i spytał z niedowierzaniem: – Kaj pan jedzie? – Do Indii – powiedziałem to, co widniało na kartce. – Chyba, co cię popieprzyło?! Kaj ty chcesz autem do Indii?! Tyś jest głupi?! – Po czym trzasnął drzwiami i tyłem go widział. – Co za ćwok – mruknąłem.

(Mieczysław Bieniek, *Z hajerem do Dalajlamy*)

Jedną z obiegowych opinii o książkach podróżniczych głosi, że zazwyczaj opowiadają one o podróżującym; zapragnąłem wykroczyć poza egocentryczną perspektywę i próbowałem choć trochę zrozumieć mijane miejsca.

(Paul Theroux, *Stary Ekspres Patagoński*)

Uznając, że opowieść to cel najważniejszy, dla jej zdobycia powinno się poświęcić właściwie wszystko. Nie licząc się z niczym i nikim, rzucić się w sam środek wydarzeń, żywiołów, kataklizmów wojennych, badać je, dotykać, chciwie chłonąć i wracać dopiero, gdy nasyciwszy się nimi i dokładnie poznawszy, jestem gotowy do napisania dobrej opowieści.

(Wojciech Jagielski, *Wieża z kamienia*)

## 1. Literackie horyzonty

**L**isty z całego świata. Nie ma już skrawka, by nie stanęła tam ludzka noga. Można dodać za Robertem Frostem, że najlepszym wyjściem jest zawsze droga na wprost. Najczęściej w księgarniach leżą obok siebie mapy, przewodniki, literatura podróżnicza, globusy i wszelkiej maści albumy. Piękna przyroda skądś tam, największe jeziora gdzieś tam, najwyższe góry na takich a takich pasmach. W końcu zdjęcia satelitarne. Przybliżenia i oddalenia. Skute mrozem połacie Antarktydy i biała Grenlandia. Zielona Amazonia i granatowe oceany. Kangury na antypodach. W sklepach meblarskich można kupić zestawy mebli dziecięcych w stylu dawnego portugalskiego żeglarza: nadrukowane mapy, przypięte kompasy, busola na biurku, lampa w kształcie globusa. Nawet dywan z administracyjnym podziałem świata. Zawrót głowy gwarantowany. W specjalistycznych sklepach elektroniczne nawigacje zaprowadzą prawie wszędzie – cały świat w jednym urządzeniu.

„Każda droga to opowieść o dążeniu do celu: do bogactwa, zwycięstwa w bitwie, odkryć i przygód, przetrwania i rozwoju albo po prostu do życia w godnych warunkach. Każda ścieżka to odbicie naszego pragnienia ruchu i budowania połączeń.”<sup>98</sup>

Zasięg terytorialny projektowanej wyprawy wydaje się nie mieć granic. Leczą: *Tak, potem do Gwatemali, Panamy, Peru... – Urwałem, bo mówienie o celach podróży przynosi pecha.*<sup>99</sup> Jediną więc przeszkodą dla podróżnika jest jego własna wyobraźnia. Nawet środki finansowe nie stanowią dziś większego problemu – i tak, jak za wyprawy i ekspedycje Kolumba płacili kastylijscy monarchowie z Barcelony, dziś tym kluczem są konta bankowe od możliwych tego świata. Pozostaje tylko wola walki z nieodzownym pragnieniem zobaczenia, dotknięcia i przeżycia. Świat czeka na szczęśliwych samotników, a oni na świat. *Według mnie podróżnicy są z natury optymistami, w przeciwnym razie donikąd by się nie wybrali. Książka podróżnicza winna odzwierciedlać ten właśnie optymizm.*<sup>100</sup> Można w pojedynkę, w kilka osób, w bardziej lub mniej zorganizowany sposób – ale praktycznie wszędzie. Dokąd tylko się chce. Wszystkie kontynenty. Wszystkie drogi. Na swój sposób zapanował paradoks: rozdzielony przez morza i oceany świat jest tak silnie połączony siecią różnych innych

<sup>98</sup> T. Conover, *Szlaki człowieka*, Wołowiec 2011, str. 9.

<sup>99</sup> P. Theroux, *Stary Ekspres Patagoński. Pociągiem przez Ameryki*, Wołowiec 2012, str. 91.

<sup>100</sup> Tamże, str. 12.

niematerialnych powiązań, że przypomina dawną Pangeę. Dryf kontynentów, mimo że rzeczywisty, nie stanowi przeszkody dłuższej, niż dwie godziny lotu dowolnym aeroplanem.

*Do dziś sam w to nie wierzę. Jechałem i jechałem. Świat toczył się za oknem jak koła samochodu. Kilometr za kilometrem. Dzień za dniem. Karkołomna wyprawa na koniec wszystkiego. Za kierownicą w czeluść przygody. Trzydzieści cztery tysiące kilometrów z Polski do Japonii. I z powrotem. Przez całą wielką Rosję w jedną i drugą stronę. Lipiec w Odessie. Upał. Puszkina stoi koło schodów. Ktoś gra Czajkowskiego na trąbce. Czy można grać Czajkowskiego na trąbce? Krem na Krymie. Po drodze Ukraina, wojowniczy Kaukaz, stepowy Kazachstan. I Mongolia, w której czas się zatrzymał. Szlakami dziedzictwa potężnego Czingis Chana. Po sam Władywostok. Potem statkiem do Korei i kolejnym statkiem do Japonii – aż na plaże Pacyfiku. W pięćdziesiątym dniu wyprawy stałem bosą stopą nad Atlantykiem i hen przed sobą miałem już tylko San Francisco i złote plaże Los Angeles. Prawie połowa obwodu Równika. Bogate kraje Wschodu. Kultura znana tylko z książek. Wiśnia kwitnie jak w Polsce fioletowy bez. Morza: Chińskie i Japońskie. Potem Żółte. Muszle w kolorach wężej skóry, w pręgi jak skorupy żółwi z Galapagos. Cywilizacje rozwinięte do entej potęgi. Garnitury i krawaty. Gejsze. Wulkany. Nagasaki. Granica z Koreą Północną zamknięta na cztery spusty, bo znów manewry, znów rakiety. Umarł Kim – niech żyje Kim! Nocą przychodzi tajfun i parkuje na ulicach rybackie dalekomorskie łupiny. Owoce morza. Statki. Promy. Łodzie. Odprawy, frachty, celnicy. Monsuny. W kajucie Chopin. Na rufie wiatr podwiewa suknie starym Rosjankom. Za burtą przeszłość i jakieś puste butelki. I gigantyczny powrót do domu. Syberia, która nie mieści się na mapie i w głowie. Na wskroś. Wielka tajga bez przebaczenia. Czarna dziura. Powinna nazywać się Męka. Droga przez Mękę. Rozbijam namiot gdzieś w lesie, na polanie, w beztroskim zagajniku z brzoź i nigdy nie wiem, czy przypadkiem w tym miejscu nie znajdują się jakieś masowe groby pomordowanych zesłańców. Bajkał z Irkuckiem. Rosyjskie miasta jak wyspy na antypodach. Ural i Altaj. Bezkresna Gobi. Rosja – podróż na zachód. Jadę i jadę. Czym bliżej do domu, tym więcej wspomnień. W głowie stukot Kolei Transsyberyjskiej. Karawanseraje pełne wielbłądów i tirów. Tirówki we Władywostoku. Igor, który w Moskwie opowiada: jakiś wielki rosyjski pisarz powiedział, że w Rosji nigdy nie dość dwóch rzeczy – płochych dróg i duraków. Gdzieś wisiały kajdany Dostojewskiego. Fronty Kołczaka. Grób cara. Lenin w rekonstrukcji. Pamiętam Annę z Moskwy. Śpiewa w chórze przy swojej cerkwi. Powiedziała, że mężczyźni w Rosji porzucają żony, a ja zostawił rok temu z trójką małych dzieci. W setnym dniu docieram do domu i do dziś się z tego wszystkiego nie otrząsnęłam. Zasypiam i myślę, że jestem w lesie, na jakiejś syberyjskiej polanie. Tratatatata. Patrzę na mapę i nie wierzę. Podróż, która zabija. Wykańcza jak maraton. Przenosi w inny świat. Gdybym pojechał bardziej na północ, dotknąłbym Alaski. Kołami nie można dalej. Koniec. Osamotnienie, które nie jest samotnością. Strach, który wypycha i holuje. Spełnianie marzeń.*

Z Europy do Afryki można w kilkadziesiąt minut przebrnąć promem; bez przeszkód koleś i suchą nogą przetoczyć się przez Suez, a drogą lądową dojechać na obrzeża Azji – aż po Koreę i Malezję szosa pozostaje praktycznie przejezdna. Niemożliwe staje się możliwe, a nieosiągalne na wyciągnięcie ręki. Jednak świat czeka jeszcze na rozczytanie. Nie sposób nie zauważyć, że mimo dostępności podróży i całej bogatej oferty, która płynie do nas z setek i tysięcy okienek agencji turystycznych, nie wszystko zostało opisane w paradygmacie podróżniczej literatury. I choć przewodniki sięgają chyba już wszędzie (szczególnie te obcojęzyczne, mimo że coraz częściej przez wielkie sieci wydawnicze tłumaczone są na język polski), to nie brakuje obszarów, z których spisane opowieści jeszcze nie powróciły. Z tego punktu widzenia zarówno podróżnik, jak i świat mają jeszcze wiele do zrobienia i wydaje się mylić ten, kto sądzi, że tajemnica została odkryta – by dodać jeszcze przekornie za Empedoklesem: wszystko i tak jest tajemnicą i niczego nie da się ustalić bezsprzecznie.

Ludzie podróżują, ale nie zawsze o tym piszą. Trafnie zauważył wspomniany już Paul Theroux, że *Najdziwniejsze jest to, że prawdziwi bohaterowie podróży rzadko piszą o swoich wędrówkach*.<sup>101</sup> A nawet jeśli piszą i zbierają notatki, to nie zawsze mają ochotę lub sposobność do publikacji. I choć nie każda podróż jest spisana, to jak się wydaje, każda już dziś jest obfotografowana. Czasem bywa i tak, że dopiero po wielu latach ktoś z różnych powodów decyduje się na podróżniczą publikację, a wyznanie Kazimierza Maya zdaje się potwierdzać to przypuszczenie: *Nigdy nie pisałem pamiętników. Przyznaję częściowo rację powiedzeniu, że pisanie na bieżąco osobistego pamiętnika to jak oglądanie chusteczki po wytarciu nosa. Podstawą niniejszych zapisków czynionych po 14 latach są moje listy do domu oraz różne dokumenty zbierane, a potem wywiezione z Bahrajnu. Są w nich oczywiście luki, a daty mogą być nie dość dokładne. Szpital, który opisuję, działa nadal i niewątpliwie wiele z moich krytycznych informacji dawno stało się nieaktualnymi*.<sup>102</sup> Autor, jako lekarz, przebywał kilka lat na wyspie w kształcie konika polnego i na ponad dekadę jego publikacja zalegała szuflady. Dzieje się tak w wielu podobnych przypadkach: nie ze względu na podróżniczą nieobecność, a z powodu innych okoliczności (złożoność życia prywatnego i zawodowego, brak talentu, niechęć do publikacji własnych wspomnień i przemyśleń, problemy natury finansowej). Po wielokroć na swoich podróżniczych szlakach spotykam Polaków i gdyby każdy z nich wydał książkę o regionie, w którym żyje, przebywa czasowo, lub z innych miar prowadzi swoją egzystencję, już dziś zebrałaby się całkiem pokaźna biblioteczka. Nie można

<sup>101</sup> P. Theroux, *Stary Ekspres Patagoński. Pociągiem przez Ameryki*, Wołowiec 2012, str. 7.

<sup>102</sup> K.L. May, *Rondo na pustyni*, Warszawa 2008, str. 5.



nie zauważyć, że łatwiej obecnie wymienić i nazwać literaturę podróżniczą, która jeszcze nie powstała, niż tę, która świeci swoimi kolorowymi grzbietami na regałach popularnych księgarń. Nie sposób też nie odnieść wrażenia, że wiele książek drukowanych i wydawanych jest tylko i wyłącznie jako kolorowe kalejdoskopy fotograficzne, gdzie treść praktycznie nie istnieje, a jeśli już się pojawia, to jest jedynie lapidarnym opisem zamieszczonej fotografii. W tym znaczeniu następuje pustka, o której wielokrotnie wspominał Ryszard Kapuściński.<sup>103</sup> Paradoksalnie więc, kreśląc na potrzeby niniejszej rozprawy terytorialną mapę polskich publikacji podróżniczych po 1989 roku, łatwiej będzie zaznaczyć miejsca jeszcze nie opisane, niż te, które swoje tytuły już posiadają.

„Chciałem powiedzieć, że dyskusja o literaturze i podróży jest bardzo cenną inicjatywą. Jest coraz więcej książek na temat – literatura a podróże; ten temat przewija się coraz częściej przez wszystkie literatury współczesnego świata. Jest coraz więcej książek o podróży i coraz więcej targów książki podróżniczej. Niedawno byłem na takich targach w Neapolu, a także w Saint-Malo we Francji, gdzie się sprzedaje wyłącznie literaturę podróżniczą; traktuje się ją jako rodzaj wyodrębnionej gałęzi literatury współczesnej. Wynika to z tego, że podróży jest coraz więcej i coraz więcej ludzi chce utrwalić swoje doświadczenie podróży.”<sup>104</sup>

Przywołany fragment świadczy bezspornie o akcencie, jaki podróże kładą na późniejsze o sobie publikacje, jednak z perspektywy Polski nie są to ilości zbyt duże, a zważywszy na ich merytoryczną i publicystyczną zawartość można stwierdzić ze sporym prawdopodobieństwem, że polska literatura podróżnicza nie ma jeszcze swojej pełnej reprezentacji – zarówno jeśli chodzi o zasięg terytorialny proponowanego opisu, jak i ze względu na mizerne i nieliczne translacje. Niestety, w większej bowiem mierze książki, które powstają i są promowane przez rodzime wydawnictwa, dotyczą albo terenów Polski i Europy, albo, co najwyżej, miejsc na świecie bardzo popularnych i osiągalnych, po wielokroć już w licznych publikacjach opisanych (Egipt, Maroko, Kuba, USA, Rosja, Chiny).

Dygresja. Rysując zatem zakres terytorialny podróżniczych wypraw i eskapad, a tym samym przyglądając się polskim publikacjom, które powstają po światowych podbojach, celowym i trafnym wydaje się sporządzenie klasyfikacji przebiegającej po kontynentalnej mapie Ziemi. Każdy z wielkich kontynentów może być więc osobnym rozdziałem, jednak na

---

<sup>103</sup> R. Kapuściński, *Dalem głos ubogim*, Kraków 2008, str. 13.

<sup>104</sup> R. Kapuściński. W: *Dziedzictwo Odyseusza*, red. M. Cieśla-Korytowska, O. Płaszczewska, Kraków 2007, str. 11.

potrzeby niniejszej rozprawy warto w kilku słowach przyrzeć się wybranym tytułom, które w charakterystyczny i inny od siebie sposób przedstawiają unikalność terytorialną różnych części globu. Ponadto na zakończenie dysertacji przywołana podmiotowa bibliografia zostaje podzielona według podobnego klucza, gdyż liczne publikacje, choć dające wiele światła na region swojego opisu, znajdują się jednak (z różnych edycyjnych i merytorycznych powodów) w innych częściach rozprawy – i tam też są przywoływane. Można powiedzieć, że tematyka terytorialnego zakresu podróźniczych publikacji, choć skupiona w ogromnej części w tym konkretnym rozdziale pracy („Azymuty podróży”), przewija się i jest poruszana w niemal każdym innym akapicie, tam też sytuując swój opis.

Konstatacja terytorialna niesie jednak ze sobą wniosek, że niestety do rzadkości należą edycje, które w swoim opisie nawiązują w całości do ukrytej na pierwszy rzut oka specyfiki kraju czy regionu, ale jednak w kontekście szerszym, niż granice państwowe. Praktycznie nie ukazują się tzw. publikacje regionalne i w tym sensie przywoływana już twórczość Ryszarda Kapuścińskiego po raz kolejny odsłania swój walor, gdy o konkretnym kraju należy mówić w równie konkretnym kontekście geograficznym, politycznym czy też historycznym danego regionu. Takich właśnie syntez dokonywał Kapuściński, co i czytelnikowi, i podróżnikowi podążającemu jego śladami, dawało i daje nadal szerszy obraz dotyczący specyfiki całego odwiedzanego terytorium. Dziś natomiast mamy do czynienia z literaturą, którą nazwać można mianem literatury zatimizowanej, *atomized literature*. Stanowi ona swoistą punktorową mozaikę informacyjną. Jest jak poszczególny meteoryt, a oko nie sięga całego warkocza komet.

Jest oczywiście kilka wyjątków, a zawsze oryginalnym wydarzeniem będzie każda podróż dookoła świata<sup>105</sup> – lub chociażby dookoła jednego kontynentu – jako sięganie wręcz niemożliwego. Jednak, mając na uwadze zasygnalizowany już podróźniczy regionalizm, klasycznym wyjątkiem wartym uwagi będzie w tym świetle cytowana już w jednym z poprzednich rozdziałów publikacja Olgierda Budrewicza pt. „Druga strona Księżyca”. *Głowę od dawna miałem pełną Stevensona, Londona, Conrada, ale wiedzę o życiu w okolicach Równika na Oceanie Spokojnym nader mizerną. Światowa turystyka obejmuje Polinezję Francuską, Fidżi, Samoę, Papuę-Nową Gwineę, Wyspę Wielkanocną nawet, lecz rzadziej*

---

<sup>105</sup> Kwerenda takich publikacji znajduje się w dwóch ostatnich częściach tego rozdziału rozprawy, jako szerokie podsumowanie i kontrast do tzw. zatimizowanych podróży.

zapuszcza się wprost na zachód od Hawajów. Tymczasem ta wielka i głęboka kałuża z rozsypanymi na niej 2200 okruchami lądu przeżywała wydarzenia niezwykle, kataklizmy straszliwe, problemy najdziwniejsze. Jest za razem równie egzotyczna i fascynująca jak Oceania znacznie lepiej znana, ta z sąsiedztwa Australii i Nowej Zelandii.<sup>106</sup> Książka Budrewicza dotyczy wielu wysp na północny wschód od kontynentu australijskiego i jeśli wierzyć opisom, katalogom i cyfrowym zbiorom, to jest w tym kontekście i o takim wymiarze jedną z nielicznych w Polsce – jeśli nie jedyną. Trud podjętej podróży ma znaczenie i, jak widać, nie każdy podróżnik wyposażony jest w siłę i zapał, by taką wyprawę odbyć. Tym bardziej zważywszy na niebagatelny fakt, że specyfika logistyki transportowej tego oceanicznego regionu praktycznie pozbawia reportera możliwości podróżowania i dalszego przemieszczania się samochodem po drogach lądowych. Sam autor zauważa także, że *wieki upłynęły, nim Europejczycy dotarli do setek wysp i atoli Mikronezji, poznali ich specyfikę i tajemnice, a do dziś niektóre wysepki są odcięte od świata.*<sup>107</sup> W perspektywie wszystkich polskich publikacji podróżniczych, jakie ukazały się po 1989 roku, można raptem na palcach jednej ręki zliczyć podobne regionalne podsumowania. Tym samym wniosek taki otwiera pole dla kolejnych wydawnictw o zbliżonym charakterze oraz nasuwa pytanie o zwykłą podróżniczą pomysłowość, kiedy na szali nie tyle leży wyczyn, ile racjonalny, wędrowny horyzont. Jednak na tym etapie rozważań, mając na uwadze przede wszystkim badawczy cel uchwycenia podróżniczych relacji wpisanych ręką globtroterów w konkretne podróżnicze szlaki, zarysowany podział kontynentalny wydaje się zadanie to w miarę wystarczająco wypełniać.

Trzeba także nadmienić, że zaproponowany podział kontynentalny, który nasuwa się niemal automatycznie, mógłby być zastąpiony zgoła inną i różną klasyfikacją, gdyby np. brać pod uwagę wędrowkę po górach, morzach lub lądach – albo też taką, której linia podziału biegłaby poprzez stosowane w drodze środki transportu. Można byłoby wtedy podzielić opracowanie na książki spisane ręką rowerzystów, motocyklistów, autostopowiczów, wędrowców podróżujących koleją lub tych na piechotę. Innym podziałem mogłaby stać się także cezura zawodowa, gdy opowieść snuje dziennikarz lub reporter, albo ktoś, dla kogo podróż jest dłuższym lub krótszym urlopem. Na inne także rzeczy w podróży zwracają uwagę mężczyźni, a na inne kobiety – choć np. dla pewnego usystematyzowania podróżniczych

---

<sup>106</sup> O. Budrewicz, *Druga strona Księżycy*, Warszawa 2004, str. 13.

<sup>107</sup> Tamże, str. 107

zasobów, publikacje traktujące o podróży z dzieckiem lub typowe vademeca i poradniki podróżnicze zostały zgrupowane w jednych i charakterystycznych dla siebie miejscach.

Przystępując do prezentacji polskiej literatury podróżniczej należy jeszcze wspomnieć o wyczuwalnym kontekście kulturowym, którego wyrazicielem lata temu był Edward Said, tworząc swoimi przemyśleniami podwaliny pod retorykę dyskursu postkolonialnego<sup>108</sup>. Nie można w tym miejscu uciec od postawienia pytania, na ile dzisiejsze książki podróżnicze tchną kolonialną manierą opisu, a na ile stanowią w miarę niezależne, neutralne i obojętne w kategoryzacji źródło wiedzy i poznania? Czy w ogóle takie narzędzia, jak obojętność i obiektywizm opisu istnieją? Czy można być neutralnym? Bez zbytnej przesady, jak się wydaje, należy powiedzieć, że zagadnienie to, pod takim kątem, mogłoby stanowić odrębne pole przemyśleń i badań, gdy Saidowski orientalizm uzyskuje w tym miejscu najlepszy materiał dla swoich kulturowych dociekań. Czy obraz widziany oczyma polskiego (europejskiego/zachodniego) podróżnika jest więc pełny? Na ile jest „przekabacony” za sprawą zachodnich „okularów”, optyki patrzenia na rzeczy przez pryzmat swojego domu i doświadczenia? Czy zdziwienie innością świadczy o autorskiej indolencji? Czym w całym kontekście szeroko rozumianego postkolonializmu będzie rozczarowanie? Said, zwracając uwagę na wizerunek Wschodu rysowany kategorią Zachodu, zwrócił uwagę na obraz świata w ogóle, gdy to zdobywca i odkrywca określa zasady – a zdobywał i odkrywał Europejczyk. *Orient był w dużej mierze europejskim wymysłem*.<sup>109</sup> Śledząc, na przestrzeni całego prozatorskiego dorobku gatunku *travel literature*, tematyczne poczynania autorów, można pokusić się o wyciągnięcie kilku zasadniczych wniosków, jednak sama pobieżna penetracja wydaje się nie wystarczać, gdy poszuka się prawdziwych przyczyn i powodów takiego, a nie innego autorskiego ujęcia. Nie zmienia to jednak faktu, że książki podróżnicze jak w zwierciadle odbijają pojęcie świata z punktu widzenia pisarza-podróźnika i trudno znaleźć lepszy i bardziej miarodajny materiał badawczo-porównawczy. Saidowska matryca, nałożona

---

<sup>108</sup> Na zagadnienie to wskazuje także pisarz-podróźnik Paweł Skawiński (co symptomatyczne, autor, bodaj jako jedyna osoba, która pod tym także kątem konstruuje swoją podróżniczą wypowiedź), świadomie do Saida (z imienia i nazwiska, wraz z przywołaniem genezy przemyśleń filozofa) nawiązując i dzieląc się swoją wiedzą z czytelnikiem: *Myśliciel Edward Said nazwał taką postawę orientalizmem. „Od czasów Homera każdy Europejczyk cokolwiek by powiedział o Oriencie, będzie to rasistowskie, imperialistyczne i prawie kompletnie etnocentryczne”, twierdził urodzony w Jerozolimie Amerykanin arabskiego pochodzenia. Said pił nie tylko do przeciętnego obywatela Zachodu, lecz także do środowiska akademickiego, które w swoich badaniach z góry zakładało, że Wschód jest irracjonalny i upadły, a Zachód rozumny i dojrzały. A to z kolei usprawiedliwiała kolonizatorów w dziele cywilizowania barbarzyńskiej Azji*. P. Skawiński, *Gdy nie nadejdzie jutro*, Słupsk 2011, str. 10.

<sup>109</sup> E.W. Said, *Orientalizm*. W: *Teorie literatury XX wieku. Podręcznik*, red.: A. Burzyńska i M.P. Markowski, Kraków 2006, str. 625.

na lekturę w duchu dyskursu postkolonialnego, ukazuje bowiem miejsce tej literatury wobec innych gatunków, jednak co rusz wystawiając ją na szwank z powodu jej najbardziej miarodajnych, jak się wydaje, źródeł opisu – czy innym bowiem będzie zapis teoretyczny i badawczo-gabinetowy, a czymś zupełnie innym relacja niejako z pierwszej linii frontu, gdy podróżnik organoleptycznie staje twarzą w twarz z Innym (zmagając się tym samym również ze swoim wyobrażeniem Innego).

## 2. Azja

**G**dy Rudyard Kipling podróżował po Japonii, miał zapisać: *Na świecie są tylko dwa rodzaje ludzi – jedni zostają w domu, a inni tego nie robią. Ci drudzy są ciekawsi.*<sup>110</sup> Przywołana na zakończenie poprzedniego podrozdziału publikacja Olgierda Budrewicza oprócz tego, że sama w sobie stanowi zwarte kompendium wiedzy o egzotycznym i malowniczym wyspiarskim archipelagu, może także przyszłym i potencjalnym podróżnikom posłużyć jako pozycja jedna z wielu, sięgająca w opisach do odległych krajów Dalekiego Wschodu. Tak się składa, że region ten nie jest reprezentowany w polskiej literaturze podróżniczej przez jakiegoś jednego określonego autora (tak, jak ma to miejsce np. w przypadku pisarskiej i publicystycznej postawy Włocha Tiziano Terzaniego i jego fascynacji Azją), a bardziej stanowi swoistą literacką mozaikę wypowiedzi, publikowaną co pewien czas w przeróżnej bardzo formule. Jednak ogrom Azji paraliżuje. *Czemu Azja? Wybrałem ją głównie dlatego, że była daleko, dlatego, że sprawiała na mnie wrażenie ziemi, na której zostało jeszcze coś do odkrycia. Pojechałem tam w poszukiwaniu „innego”, wszystkiego, czego nie znałem, w pogoni za ideami, ludźmi znanymi tylko z lektury.*<sup>111</sup> Dopiero patrząc na mapę, dociera do nas rozmiar wielkiej ziemskiej połaci, którą podróżnik ma do przebycia. Daleki Wschód, Chiny, państwa Azji Południowo-Wschodniej, Malezja z Filipinami i Indonezją, Indie z górzystym Nepalem i Pakistanem, Azja Środkowa, Bliski Wschód z Iranem i Półwyspem Arabskim, aż w końcu całe wielkie terytorium Rosji: z Kaukazem, Syberią i odległym obszarem wiecznej zmarzliny. Nie ma na świecie większego ładu, a książki podróżnicze docierają swoimi opowieściami w wiele z tych miejsc, często w opisach nachodząc na siebie i przywołując w kolejnych akapitach historie o podobnym i bardzo zbliżonym charakterze.<sup>112</sup>

Od czego więc zacząć? Może, trochę na przekór stereotypowi podróżnika-macho, od podróży z dziećmi? Z powodzeniem czynią takie wyprawy już od lat Anna i Krzysztof

---

<sup>110</sup> W. Ferguson, *W drodze na Hokkaido*, Wrocław 2012, str. 5.

<sup>111</sup> T. Terzani, *W Azji*, Warszawa 2009, str. 10.

<sup>112</sup> Dla zachowania względnego ładu i porządku, badawcza wędrówka po szeroko rozumianych publikacjach azjatyckich będzie przebiegać zasadniczo w niniejszej dysertacji według proponowanego terytorialnego klucza regionalno-państwowego i dotyczyć będzie wybranych kolejno obszarów, zaczynając na początek od tych, które leżą najdalej na wschód od Europy.

Kobusowie, wspomniani także na marginesie rozdziału o profesji podróżnika, gdy nad wyraz odważnie wędrują ze swoimi małymi pociechami po afrykańskiej Namibii. Tym jednak razem ich wspólna publikacja dotyczy azjatyckiej Tajlandii, Birmy i Kambodży. *W powszechnym polskim mniemaniu wyjazd z małymi dziećmi do krajów egzotycznych jest dla nich śmiertelnym zagrożeniem. „Lepiej już zabij maleństwo, niż masz je włóczyć po świecie” – padają skrajne opinie na rodzicielskich forach pod adresem tych, którzy ośmielają się pisać, że zamierzają zabrać pociechę do Indii, Kenii czy Meksyku. Tam brud, smród i zarazki na każdym kroku, a ci nieodpowiedzialni rodzice ciągną bezbronne dzieciąteczka na zatracenie.*<sup>113</sup> Małżeństwo podróżuje po Indochinach wcale nie z duszą na ramieniu. Publikacja przetrada się w swoisty przewodnik, w którym krok po kroku i kraj za krajem można przekonać się, że małe dzieci nie są wcale kulą u nogi, a niejednokrotnie także ciekawą turystyczną atrakcją dla mieszkańców tego azjatyckiego zakątka.<sup>114</sup> Kobusowie, także na początku pełni obaw, później bardziej spokojni, w myśl tajskiego powiedzenia, że gdy wyruszasz, droga jest wyboista, ale gdy powracasz – gładka, nie zrażali się drobnymi niedogodnościami. Azja ich oczyma jawi się spokojną i harmonijną krainą, a dzieci z biegiem czasu oswajają się z inną niż domowa rzeczywistością. *Michał eksplorował świat. Na ulicy jest wszak tyle ciekawych rzeczy do zbadania: i śrubka, i kawałek bambusa, i puszka, i kałuża...*<sup>115</sup> Książka stanowi więc praktyczne kompendium wiedzy, jak sobie poradzić z małymi dziećmi pod pachą i co zrobić, by podróż w takich warunkach była udaną eskapadą. Wskazówki rodziców rzucają także ciekawe światło na wiele barier, które tak naprawdę bardzo często kłębią się tylko i jedynie w głowach dorosłych, gdy podróżnicza rzeczywistość otwiera świat na oścież dla podobnych wędrowek.<sup>116</sup> Kobusowie przekonują i zachęcają, ale

---

<sup>113</sup> A. i K. Kobusowie, *Smoki i smoczki. Z dziećmi przez Azję*, Warszawa 2012, str. 9.

<sup>114</sup> Niespełna rok po ukazaniu się „Smoków i smoczków” wysiłkiem Kobusów wydany zostaje typowy już poradnik o podróżowaniu z najmniejszymi pociechami, zatytułowany po prostu „Podróżuj z dzieckiem”. Autorzy zawierają w nim ogromną ilość cennych informacji praktycznych, które dotyczą wędrowania z dziećmi nie tylko po Azji, ale po każdym niemal zakątku kuli ziemskiej. Publikacja stanowi unikatowy zbiór porad, które tematycznie odpowiadają na pytania, co wziąć w drogę, jak się przygotować, jak zaradzić trudnościom, co i gdzie jeść, jak się leczyć w przypadku nagłych infekcji i chorób. Książka koresponduje bezpośrednio np. z „Pępkim świata” Anny Kuziemskiej, o której kilka słów zamieszczam w następnym szerszym przypisie. *Stereotyp jest taki: gdy pojawi się dziecko, to koniec z wyjazdami, koniec z wolnością. Będziecie ciągle niewyspani, zarobieni praniem, sprzątaniami, przewijaniem i odechce się wam wszystkiego. A już na pewno wyjazdu. Mam wrażenie, że część osób, która to mówi, racjonalizuje w ten sposób swoje :poświęcenie dla dziecka”. Tymczasem dziecko poświęceń nie potrzebuje, bo przyjmuje świat taki, jaki mu damy, na wyjazdach zaś bywa... prościej.* W: A. K. Kobusowie, *Podróżuj z dzieckiem*, Warszawa 2013, str. 19.

<sup>115</sup> Tamże, str. 95.

<sup>116</sup> Na tym tle nieprawdopodobną wręcz publikacją podróżniczą będzie książka Anny Kuziemskiej, która rok temu ukazała się na polskim rynku wydawniczym pod dwuznacznym tytułem „Pępek świata”. Autorka dociera z szeregiem pytań do kilkunastu rodzin, które od lat podróżują z najmniejszymi dziećmi, a i zdarza się niejednokrotnie, że i w stanie bliskim szczęśliwego rozwiązania. Namówione do rozmów rodziny dzielą się

także wytrącają niedowiarkom argumenty z rąk, odpowiadając merytorycznie na potencjalne pytania i zarzuty: *Po co jechać z małym dzieckiem w świat, skoro ono nic z tego nie zapamięta? Problem takiego myślenia tkwi w dorosłym postrzeganiu rzeczywistości, które nijak się ma do punktu widzenia dziecka. Przede wszystkim, czy naprawdę żyjemy po to, by pamiętać? Gdy zrobiłam sobie rachunek sumienia, wyszło mi, że mam mgliste wspomnienia z wyjazdów sprzed kilku lat, wyprawy zaś z czasów studiów to istna terra incognita.*<sup>117</sup>

*W Kambodży nie mogłem usiedzieć na miejscu. Kampucza jak pucz. Wschodnia podróż była tak egzotyczna, że ani przez chwilę nie miałem zamiaru gapić się w sufit hotelowego pokoju. Na ulicach biednych miasteczek ludzie przemykali w swoich kapeluszach, które przypominały odwrócone żółte misy. Na targach ktoś polewał kurz. Mięso wisiało na hakach jak spodnie, a suszone ryby były prawie jak plastikowe zabawki. Chodziłem wte i wewte. W kieszeniach nie mieściły się miliony, bo kraj czekał na denominację – trochę jak Śpiący Budda. Słońce lało żarem z nieba. Czasem na drodze leżał jakiś zerwany most, a pod lasami dziesiątki tablic z ostrzeżeniem o minach. Ludzie Pol Pota nie spali i choć wojna już się skończyła, nadal rwali rodakom nogi w fajerwerkach. W ciągu trzech i pół lat rządów zarznęli prawie osiem milionów swoich obywateli. Dobra średnia – jak na uboju bydła. Trochę ponad sześć tysięcy sztuk dziennie. Rzeźnia. Czasem wieczorami czerwone słońce tak świeciło w wodne pola ryżowe, że wszystko wyglądało jak jeziora krwi, a zgarbieni chłopcy stali w nich po kolana i łuskali ziarna. Nawet mityczne Angkor Wat nie było wolne od śmierci. Siem Reap jak sierp. Weterani bez nóg tańczą dla jałmużny. Setki białych turystów strzela aparatami jakby ostrzyli o kamienny arras swoje tępe bagnety. Na jakimś podejściu tańczą trzy słonie i syczą węże – wszystko dla zabicia czasu. W Ta Prohm drzewa to płaczą, to owijają się w miłosnych uściskach. Nigdzie na świecie nie ma podobnych. Długie na cale metry korzenie przypominają wąsy wielkiego starca. W delcie Mekongu, opartej o Góry Kardamonowe i Góry Słonie, barki z sandałem i kamforą prą jedna o drugą. Ścisk jak w ulu. Cichy wrzask. Gdybym miał pięć wolnych lat, zamieszkałbym tutaj. Czerwoni Khmerzy zrobili swoje. Wchodzę do Tajlandii, która potem „humanitarnie” dała im wytchnienie. Jak tu ma być pokój? Most na rzece Kwai. Prawie suche koryto straszy przeszłością, a Kolej Śmierci kończy się dziś tuż przy turystycznej*

swoim doświadczeniem i szczerze opisują niezwykłe przygody z wszystkich kontynentów. Małżeństwa zgodnie opowiadają także o wędrownych perypetiach, a wszyscy z nich podróże z najmniejszymi pociechami uważają za spełnienie rodzicielskich marzeń. Nietuzinkowa publikacja stanowi w tym miejscu na tyle niewymiarowe dzieło, że za jednym razem służy wszystkim jako przewodnik, mapa, książka beletrystyczna i przygodowa, vademecum oraz jako album z nadzwyczaj interesującymi fotografiami. Opowieści pełne są autentyzmu i nieskrywanej pasji. Jak się również okazuje, podróże z dziećmi stanowią dla wszystkich kwintesencję ich rodzinnych powiązań i budowanych relacji matczyno-ojcowskich. Warty w tym miejscu jest także zwrócenie uwagi na dwa istotne komentarze przytoczone na końcu publikacji, gdzie autorka prowadzi merytoryczne rozmowy z pediatrą i psychologiem dziecięcym, którzy jednoznacznie wskazują na ogromną wagę budowanych w ten sposób więzi rodzinnych. A. Kuziemska, *Pepek świata*, Warszawa 2012.

<sup>117</sup> A. i K. Kobusowie, *Smoki i smoczki. Z dziećmi przez Azję*, Warszawa 2012, str. 260.



*restauracji. W muzeum wagony jak z Lokomotywy, ale trochę obryzgane, gdzieś resztki paznokci wbite w drewniane szczapy przy okiennych kratkach. Kanczanaburi. Wąwóz w litej skale wyryty przez alianckich więźniów łyżeczkami. Niektóre jeszcze wbite, a rzemieślnicy leżą obok, na białym jak porozrzucane po trawie kostki cukru, cementarzu. Takie są Indochiny. Między Morzem Andemańskim a Południowochińskim. Czasem jeszcze w Phuket uderzy jakieś zabląkane tsunami. Chodzę godzinami po europejskim Bangkoku. Banki. Banki. Banki. Budy częstują pieczonym psem, a Tajki zapraszają na masaż. Potem już nie wiem, co jem i jak pies Pawłowa wracam na targ po owoce. Nocą, w Nowy Rok, setki lampionów wędruje w niebo i płyną w Ocean Indyjski jak wielkie transatlantyki aż za Horn.*

„Książka o pięknej podróży” wydaje się być kwintesencją tytułów publikacji podróżniczych, bo dla każdego, kto wędruje przez świat, jego wyprawa stanowi nietuzinkową przygodę. Azja na skos – bo taką drogę przemierzają Danuta i Tomasz Grykowie, opisując swoją eskapadę przez dużą część syberyjskiej Rosji, potem przez Chiny, Półwysep Indyjski, aż po Indochiny i malezyjskie Kuala Lumpur. *I wreszcie przyszedł czas próby. Czy damy radę? Czy jesteśmy wystarczająco silni? Czy potrafimy wyrwać się z kieratu dom-praca, żyć życiem bezrobotnych włóczykijów i poczuć, czym naprawdę jest wolność i szczęście?*<sup>118</sup> Są dzielni i wręcz nieprawdopodobną wydaje się trasa, którą zgodnie razem pokonują z plecakami. Można byłoby przyjąć, że ich szlak stanowi główną podróżniczą aortę Azji, wokół której krążą jak krwinki wszystkie inne publikacje, stanowiące dokładniejszy opis miejsc odwiedzanych przez tych dwoje podróżników. Targani przeciwnościami losu kreślą swoją relację pełną logistycznych i transportowych utrapień. Jednak, w kontekście poruszanych w niniejszej rozprawie zagadnień, ciekawym wydają się sposoby i powody, które stoją u początku ich podróżniczego postanowienia: – *A może pojedziemy w podróż dookoła świata? – pytam, jakby nigdy nic. – ? – znaczące spojrzenie Tomka typu: „Zejdź na ziemię, kobieto”. Tym razem nie dam się tak łatwo uziemić. Jak zwykle to ja mam szalone pomysły, a Tomek zdrowy rozsądek. Z takiego połączenia wynikają same dobre rzeczy. Zaczynam przedstawiać swoją wizję: można wszystko sprzedać, zarabiać po drodze... Argument mam silny: już ktoś tak przed nami zrobił i udało się!*<sup>119</sup> *Po prostu trzeba się odważyć wszystko zostawić.*<sup>120</sup> I

<sup>118</sup> D. Gryka, *Książka o pięknej podróży*, Warszawa 2009, str. 9.

<sup>119</sup> Mowa tutaj o pięcioletniej wyprawie, jaką w latach 1998-2003 odbyła para młodych polskich śmiałków i podróżników, Kinga Choszcz i Radosław „Chopin” Siuda. *Świat jest wielki i fascynujący. A my zdecydowaliśmy się go zobaczyć. – Tak po prostu? Skąd ten pomysł? – pytają nas ludzie. Nigdy tak naprawdę się nad tym nie zastanawiałam. Chyba rzeczywiście – tak po prostu.* – pisze w swojej książce dorosła już potem Kinga, a jej

ruszają w podróż, a spisana po powrocie do domu przygodę kończą słowami: *Wsiadamy do pociągu. To już, nie licząc dojazdu z dworca do mieszkania teściów, ostatni etap naszej Wielkiej Podróży. A przynajmniej TEGO ETAPU. Podróż z Poznania do Singapuru zajęła nam dziewięć miesięcy, a z powrotem około czterdziestu godzin... Mocno wierzymy, że przyjdzie jeszcze czas na ciąg dalszy. Czekaj na nas przecież reszta świata...*<sup>121</sup>

Na tym tle, tak dalekich i najbardziej odległych lądów, ciekawym uzupełnieniem wydaje się zbiór felietonów, wydany w oznaczonym pierwszym tomie pod charakterystycznym tytułem „Świat z papieru i stali. Okruchy Japonii”, opowiadający o Kraju Kwitnącej Wiśni językiem ludzi, których życiowe plany w ten czy inny sposób na jakiś czas połączyły się z Japonią. *O Japonii pisze się dobrze albo źle, ale zawsze jak o kraju, w którym dzieją się niesamowite rzeczy i mieszkają egzotyczni ludzie. Byłam, widziałam. Rzeczy dzieją się różne, jak i wszędzie, a ludzie mieszkają zupełnie normalni, powiedziałabym nawet, że normalniejsi od nas...*<sup>122</sup> Zebranych kilkadziesiąt felietonów opowiada o japońskiej codzienności widzianej oczyma zarówno Japończyków, jak i Polaków, których losy wzajemnie się przeplatają. Trudno także jednoznacznie określić, na ile cytowana publikacja to książka podróżnicza. Nie stanowi bowiem zwięzłego zapisu z podróży, a bardziej jest obrazem codzienności w tak geograficznie odległym od Europy kraju. Nie mniej jednak dla wędrowca, jak się wydaje, ale i dla każdej osoby, która wybiera się w ten azjatycki zakątek świata, jest nie do przecenienia i w tym znaczeniu będzie publikacją podróżniczą, zawierając w sobie cenne opisy oddające charakter kultury, mentalności i technologicznego rozwoju. *Moja pierwsza, dwutygodniowa wizyta w Japonii przypomina mi teraz podróż japońskim superekspresem Shinkansen. Pociąg ten mknie z szybkością prawie 300 km/godz., a za oknem w błyskawicznym tempie przesuwać się i zmieniają krajobrazy. Fotografowanie z tego pociągu przypomina loterię, gdyż od momentu naciśnięcia migawki do momentu zrobienia zdjęcia widok może diametralnie się zmienić. Na pytanie: czy będzie widać przez okno górę Fudzi? Konduktor, szybko zerkając w rozkład, odpowiada: Tak, proszę pani, góra Fudzi*

---

relację czyta się o tyle z zapartym tchem, gdy znana jest historia najwyższej ceny, jaką niestety przyszło autorce wkrótce zapłacić. K. Choszcz, *Prowadził nas los*, Pelplin 2011, str. 9. W szerszym kontekście opis i charakterystyka ich wyprawy, wraz ze zwróceniem uwagi na książkową publikację, zamieszczony jest na końcu rozdziału „Azymuty podróży”, przy okazji przywołania innych, podobnych, naokoło światowych wypraw.

<sup>120</sup> D. Gryka, *Książka o pięknej podróży*, Warszawa 2009, str. 11.

<sup>121</sup> Tamże, str. 380.

<sup>122</sup> A. Watanuki, M. Taniguchi, *Świat z papieru i stali. Okruchy Japonii*, Warszawa 2011, str. 125.

powinna być widoczna pomiędzy godz. 14.02 a 14.04.<sup>123</sup> Podróżnik wie, czego może się spodziewać.

W nieco inny sposób swoją japońską opowieść konstruuje Anna Ikeda, – Polka, którą osobiste losy związały z krajem samurajów i gejsz przez osobę poznanego tam męża: *Mieszkam w Japonii. Gdy mówię to na głos, sama się dziwię, jak zaskakująco i egzotycznie to brzmi. Dlaczego akurat w Japonii? Bo los, pod postacią skośnookiego faceta, mnie tu rzucił.*<sup>124</sup> Publikacja przenosi więc czytelnika w odległy świat, jednak nie są to centra wielkich miast i metropolii, a bardziej obrzeża i peryferia. Dzielnice. Opłotki. Ikeda pisze o tym wszystkim z uśmiechem i humorem, zaznaczając także, że jej zamiarem nie było zredagowanie kolejnej książki o Japonii, a bardziej ukazanie swoich przeżyć na tle japońskiej kultury i cywilizacji. *W Tokio nie mieszkaliśmy, więc o Tokio nie będzie. Zresztą o stolicy Japonii już i tak grube tomy napisano. Po polsku nawet. Samuraje i gejsze mnie nie kręcą, więc o nich też nie będzie. A o japońskich kreskówkach to już na pewno nie. Więc o czym będzie? O codziennym życiu na japońskiej prowincji, w Tochigi, jednej z najbardziej zaściankowych prefektur w całym kraju. Z przymrużeniem oka. Z punktu widzenia jednej Polki, jednego Japończyka i dwóch kotów. A co! Koty też się liczą. I żeby nie było żadnych wątpliwości – to nie jest książka o Japonii. Jest to książka o moim życiu w Japonii. Z góry przepraszam.*<sup>125</sup> Autorka opowiada o wszystkim. Nawiązuje do wielu historycznych wydarzeń, tłumacząc co i skąd się bierze, choć czasem w znaczący sposób wyraża swoją dezaprobatę, pisząc: *Japonia może i jest ojczyzną innowacji, mocarstwem technologicznym i pod wieloma względami wyprzedza resztę świata, ale jakoś nikt tu jeszcze nie wpadł na pomysł instalowania w domach centralnego ogrzewania.*<sup>126</sup> Nie raz irytuje ją wschodnia mentalność, ale różnice zawsze kwituje uśmiechem zrozumienia. Jej książka nie jest więc tyle relacją z podróży, a bardziej, mówiąc metaforycznie, dziennikiem pokładowym kapitana, który właśnie swój okręt zacumował na dłużej w jednym z portów nad Oceanem Spokojnym. Czytając więc kolejne akapity, nie można Ikedzie nie zazdrościć, gdy na swój sposób dotyka na co dzień cywilizacji tak odległej i tak różnej od rodzimej, europejskiej. Autorka przygląda się realnemu życiu swoich nowych rodaków z nieskrywanym zainteresowaniem i podziwem, choć i czasem przywołuje obrazy dobrze znane każdemu, kto jeszcze dotąd Kraju Kwitnącej Wiśni nie odwiedził, a widuje Japończyków w miastach Zachodu: *Jeśli jest jedno narodowe*

<sup>123</sup> A. Watanuki, M. Taniguchi, *Świat z papieru i stali. Okruchy Japonii*, Warszawa 2011, str. 129.

<sup>124</sup> A. Ikeda, *Życie jak w Tochigi*, Warszawa 2012, str. 9.

<sup>125</sup> Tamże, str. 5.

<sup>126</sup> Tamże, str. 20.

hobby uprawiane przez niemal wszystkich obywateli bez względu na płeć, wiek i przynależność do grupy społecznej, religijnej lub politycznej, dla Japończyków jest to bez wątpienia obsesyjne fotografowanie wszystkiego i wszystkich, zawsze i wszędzie. Wypasioną lustrzanką, bądź telefonem komórkowym i każdym innym modelem sprzętu fotograficznego dostępnym na rynku w przeciągu ostatnich pięćdziesięciu lat.<sup>127</sup> Ikeda, mieszkając w Nikko, poświęca także chwilę uwagi sprawie nie tak odległej Fukushima, gdzie niedawno fale tsunami zalały i zniszczyły w miejscowej elektrowni reaktory jądrowe. Zwraca tym samym uwagę na nieskrywany problem wysiedleń z ogarniętymi zniszczeniami terenów i relacji społecznych zachodzących wskutek tych administracyjnych decyzji. Dla wnikliwego czytelnika obraz japońskiej sielanki i społecznej zgody zaczyna niestety w tym momencie mieć rysy, choć Ikeda zdaje się mówić jeszcze więcej między wierszami.

Natomiast w nieco innym charakterze przytoczyć można teraz ciekawe fragmenty z książki Anny Zielińskiej-Elliott, której już sam tytuł – „Haruki Murakami i jego Tokio. Przewodnik nie tylko literacki” – oddaje niecodzienny obraz tej publikacji. Autorka sama zaznacza we wstępie: *Pomysł napisania tej książki narodził się pewnego popołudnia w wydawnictwie Muza. Po powrocie z konferencji tłumaczy Murakamiego, która odbywała się w Japonii, pokazywałam w redakcji zdjęcie hotelu w Sapporo, będącego ponoć modelem hotelu Pod Delfinem z powieści „Tańcz, tańcz, tańcz”. Wtedy ktoś zasugerował, że fajnie byłoby mieć książeczkę ze zdjęciami innych miejsc opisywanych w powieściach Murakamiego, żeby czytelnicy mogli zobaczyć, jak one naprawdę wyglądają. W czasie następnego pobytu w Tokio zrobiłam więc mnóstwo zdjęć i zaczęłam pisać.*<sup>128</sup> Bogato ilustrowana książka jest jak mapa tokijskiego metra. Prowadzi za rękę i nie wodzi za nos. Jak po sznurku.<sup>129</sup> Krok za krokiem. Wydarzenie po wydarzeniu. Autorka umiejętnie wykorzystuje fotografię na swoje potrzeby,

---

<sup>127</sup> A. Ikeda, *Życie jak w Tochigi*, Warszawa 2012, str. 313.

<sup>128</sup> A. Zielińska-Elliott, *Haruki Murakami i jego Tokio. Przewodnik nie tylko literacki*, Warszawa 2012, str. 5.

<sup>129</sup> Tak naprawdę mamy tutaj po wtóre do czynienia z bardzo ciekawym i wręcz fundamentalnym przykładem tworzenia się i przetwarzania literatury podróżniczej, i to nie tylko polskiej czy europejskiej, ale i światowej. Trafnie ujął to Paul Theroux w swojej opowieści zatytułowanej „Pociąg widmo do Gwiazdy Wschodu. Szlakiem Wielkiego bazaru kolejowego”: *Uwielbiam topografie literatury, rzeczywistość w beletrystycznym ujęciu, chwile, gdy autor nagle pokazuje mi istniejącą drogę, którą mogę się przechadzać wraz z nim, tworząc jednocześnie swój własny jej obraz. I choć nie każdemu odpowiada odkrywanie świata w taki sposób, ja ubóstwiam doznawać go za pośrednictwem literatury pięknej, przeżywać olśnienie sztuką rodzącą się z połączenia pejzażu realnego i moich na jego temat wyobrażeń. Do najbliższych sercu „literackich atrakcji” zaliczyłbym: ulice i puby Dublinu wspomniane w *Ulissesie*, kolej z „*Anny Kareniny*”, miasteczka nad Missisipi, w których rozgrywiają się „*Przygody Hucka*”, moczary z „*Wielkich nadziei*”, zaułki z „*Opowieści starego Kairu*”, Londyn z „*Tajnego agenta*”, Kongo z „*Jądra ciemności*”, Paryż ze „*Zwrotnika Koziorożca*”, Chicago z „*Przypadków Augiego Marcha*” i rzecz jasna uwieczniony przez Pamuka Stambuł. P. Theroux, *Pociąg widmo do Gwiazdy Wschodu. Szlakiem „Wielkiego bazaru kolejowego”*, Wołowiec 2010, str. 139.*

czyniąc z niej nie tylko niemy i kolorowy zapis, ale także transponuje kolejne zdjęcia poprzez świat z opowieści noblisty. W tym znaczeniu po raz kolejny w podróżniczych publikacjach mamy do czynienia z retrospektywnym i reproduktywnym użyciem fotografii. Zdjęcie nie jest tylko obrazem miejsca, spełniającym zadanie estetyczne, ale przede wszystkim niesie w sobie ładunek informacyjny – wobec faktów. Grafia publikacji, utrzymana w tonacji czarnej (opis autorki) i innej, kolorowej (wymyki z książek Murakamiego), pozwalają także czytelnikowi na takie operowanie tekstem, które sytuuje jego spacer po Tokio niejako wewnątrz każdej tłumaczonej przez Zielińską-Elliott powieści. W gatunku książek podróżniczych próżno szukać podobnej. Dla lepszego i bardziej dokładnego przedstawienia nietuzinkowego sposobu budowy narracji, przedstawiam poniżej fragment, którego środkowa część w publikacji autorki (tutaj kursywą) przytoczona jest w kolorze różowym, jako wyciąg z opowiadania Murakamiego.

„Peter Cat był niewielką kawiarnią urządzoną w stylu hiszpańskim, z drewnianymi stołami i bielonymi ścianami. W jednym z esejów Murakami pisze, że codziennie kroił tyle cebuli, że do dziś przy jej krojeniu nie płacze. W napisanym dwadzieścia lat później opowiadaniu „Reklama kawiarni jazzowej, która była dawno temu w Kokubunji” (nietłumaczonym na język polski) żartobliwie opisał kawiarnię i siebie:

*Właściciel nie jest może milczący, ale nie mówi zbyt wiele. A może po prostu nie bardzo umie gawędzić z ludźmi. W wolnych chwilach siedzi przy kontuarze i czyta książkę. Prawdę mówiąc, cztery lata później w wyniku dziwnego zbiegu okoliczności sam napisze książkę i dostanie nagrodę magazynu literackiego za debiut, ale nikt jeszcze o tym nie wie. On sam też o tym nie wie. Prawdopodobnie myśli, że spokojnie dokona żywota, prowadząc tę kawiarnię jazzową w Kokubunji i słuchając sobie swojej ulubionej muzyki. Jak to nigdy nie wiadomo, co człowieka w życiu czeka.*

Znajomy Murakamiego, Eizo Matsumura, fotografik, powiedział o kawiarni Peter Cat, że było to miejsce, w którym czas się zatrzymał. Piwnica bez okien w dzień funkcjonowała jako kawiarnia, ale wieczorem podawano tam alkohol. W półmroku Murakami nastawiał płyty jazzowe, robił drinki, zmywał talerze. I czytał amerykańskie powieści. Gawędzeniem z klientami zajmowała się Yoko, jego żona. Sam Murakami wierzy, że gdyby nie spędził tak wielu dni w tym lokalu, pewnie nie mógłby zostać powieściopisarzem. Może też dlatego w tle utworów Murakamiego zawsze rozbrzmiewa muzyka.<sup>130</sup>

Historia powyższa, jak widać, ma jeszcze jeden kontekst, a mianowicie nawiązuje do samego pisarskiego procesu twórczego Murakamiego, przybliżając czytelnikowi wiele

---

<sup>130</sup> A. Zielińska-Elliott, *Haruki Murakami i jego Tokio. Przewodnik nie tylko literacki*, Warszawa 2012, str. 231.

sekretnych szczegółów, o których w pojedynkę, bez pomocy tłumaczki, pewnie nigdy by się nie dowiedział. W tym sensie literatura podróżnicza, będąc nie tylko przewodnikiem i mapą, staje się obrazem świata malowanym w innych, tak odbiegających od siebie rodzajem i gatunkiem, publikacjach. Daje wgląd nie tylko w geograficzne krainy, czy też ludzkie mentalności i historyczne wydarzenia – buduje także światy równoległe, wkraczając przez swoje publikacje na tereny codziennie jej nieznanne. Historia przewodnika po Murakamim jest tego najlepszym przykładem, gdy obok spacerów po japońskim Tokio otwiera się przed czytelnikiem swoista wędrówka po tomach pisarza. Kontekstualność takiej literatury wydaje się w tym miejscu nie do przecenienia.

„MrJedi” – bo tak każe siebie tytułować, czyli Paweł Musiałowski, pisze natomiast o Japonii inną ciekawą książkę, opartą jednak na nowej, prawie niespotykanej dotychczas technologii. W prozatorskie opisy wkleja charakterystyczne kody 2D, za pomocą których czytelnik, przykładając delikatnie swój telefon komórkowy do kartki książki w miejsce z zaszyfrowanym piktogramem, i posiadający jednocześnie wymaganą internetową aplikację, może oglądać na własnym przenośnym urządzeniu krótkie filmy, nakręcone uprzednio przez autora kamerą cyfrową. Musiałowski wydaje się być prekursorem takich podróżniczych publikacji, a rzecz jest wręcz nieprawdopodobna. Czytając więc kolejne akapity jest się w stanie, co pewien czas, zilustrować sobie przywołany opis, nakręconym wcześniej przez podróżnika filmowym ujęciem. Faktyczna literatura faktu. Bez wątplenia „Japonia oczami fana” staje się w tym sensie publikacją przełomową, gdzie nowoczesna technologia z pogranicza szeroko rozumianej edycji wkracza także oto na rynek literatury podróżniczej.<sup>131</sup> Po barwnych fotografiach, albumach i wielu książkach obficie wyposażonych w kolorowe zdjęcia, przychodzi czas na kolejną próbę, w którą zabiera czytelnika dziennikarz wielu magazynów komputerowych, i nie bez znaczenia wydaje się w tym miejscu powiązanie jego osobistej pasji elektronicznej ze smykałką do podróży i publikacji.

„Cała niniejsza książka, czyli punkt widzenia, z którego patrzę na japońskie realia, jest punktem widzenia gajdzina – czyli „obcego”, przybysza spoza Japonii, który jakimś dziwnym zrzędzeniem kosmicznych przypadków, wkradł się w japoński tłum i z

---

<sup>131</sup> Oczywiście przywołana sytuacja rodzi w tym miejscu szereg nowych i fundamentalnych pytań, między innymi o to, czy nadal jest to literatura, a nie np. film? Co służy czemu? Czy tym samym nie powstaje nowy gatunek literacki, który nie zamyka się już tylko w słowie pisanym, a wspierany przez film czy nie przekracza dotychczasowej umownej granicy o definicję literatury jako takiej? Gdzie więc i czy w ogóle jest/przebiega granica? Czy książka wykorzystuje film, czy też na odwrót? Jakie są, mogą, czy też powinny być, proporcje?

nieodłączną kamerą, w pokrętny sposób, komentuje nihońską rzeczywistość. Tak, przyznając się, jestem nieco szalonym entuzjastą Japonii i niepoprawnym optymistą.”<sup>132</sup>

Kilkuset stronicowa podróż po Japonii napisana jest więc językiem baczego obserwatora-filmowca. W odróżnieniu do innych przytaczanych w tym miejscu publikacji, autor jest przykładem tzw. typowego podróżnika, którego fascynacja danym krajem pcha w kolejną i kolejną wędrówkę na ulubione tereny. Jednak nie mieszka tam, a jedynie przebywa podczas wyprawy. Nie pracuje w Japonii, nie żeni się, nie kupuje domu i kota. Jest przykładem globtrotera i w tym znaczeniu jego publikacja odróżnia się od innych „japońskich”, a sam dodaje: *Każdy podróżnik, którego koleje losu zawiodą do Japonii, bardzo szybko odkrywa, że kraj ten nie ma jednego oblicza. Właściwie to trudno je zliczyć, choć można generalizować i próbować. Japonia nowoczesna i tradycyjna, powściągliwa i szalona, stonowana i eksplodująca feerią ostrych barw, wycofana i cicha, a zarazem natarczywa i krzykliwa.*<sup>133</sup> Autor wiezie za rękę, a gdy coś naprawdę ciekawego i nietuzinkowego przydarza mu się na ulicach zatłoczonego Tokio – filmuje to. Opisuje z werwą i zębem. *W Tokio do dnia dzisiejszego oficjalnie odnotowano kilkadziesiąt przypadków śmierci oraz poważnych obrażeń, wynikłych podczas składania tradycyjnych ukłonów.*<sup>134</sup> I w wielu miejscach swojej opowieści zwraca uwagę na japoński charakter – być może to też popycha go ciągle w objęcia ulubionej fascynacji. *W Japonii ciężka praca jest wartością samą w sobie. Nieważne co robisz, ważne że sprawiasz wrażenie zaharowanego na śmierć, co automatycznie daje ci szacunek otaczającego cię, równie zajętego pracowaniem, społeczeństwa.*<sup>135</sup> Jak się wydaje, jeśli podróżniczy szlak zawiedzie kogoś do Kraju Wschodzącego Słońca, to publikację Musiałowskiego warto ponad wszelką miarę mieć pod pachą lub w plecaku – i koniecznie z telefonem komórkowym.

Natomiast z nieco innego punktu widzenia swoją książkę o Japonii pisała Anna Golisz, zaznaczając we wstępie, że publikacja *jest zarówno albumem, jak i przewodnikiem, a także po części pamiętnikiem. Pozycja ta jest subiektywna, gdyż to „moja Japonia”.*<sup>136</sup> Autorka, mieszkając trzy lata w Kraju Kwitnącej Wiśni, przenosi czytelnika poprzez swoje fotografie w każdy rejon Japonii, snując swoją opowieść wokół zarówno zwyczajów życia codziennego, jak i typowych atrakcji turystycznych. Pozycja, mając charakter albumowy, jest

---

<sup>132</sup> P. Musiałowski, *Japonia oczami fana*, Gdańsk 2012, str. 10.

<sup>133</sup> Tamże, str. 9.

<sup>134</sup> Tamże, str. 17.

<sup>135</sup> Tamże, str. 365.

<sup>136</sup> A. Golisz, *Moja Japonia*, Kraków 2010, str. 5.

jednak, na dobrą sprawę, jedną z niewielu na polskim rynku wydawniczym, która ogniskuje wokół tego tak oddalonego od współczesnej Europy obszaru kulturowego – nie sposób więc i o niej tutaj nie wspomnieć. Symptomatycznie nawiązuje także do aspektu poruszanego w poprzednim rozdziale, jeśli ma się na uwadze profesję podróżnika – w tym przypadku Anna Golisz, jak sama zaznacza, spędza czas w Japonii jako rezydujący naukowiec.<sup>137</sup>

Czy jakiś kraj może być jeszcze dalej? *Ktoś kiedyś powiedział, że między Polską a Japonią jest tylko wielki las. Zaczyna się on wkrótce potem, jak samolot przeleci nad Uralem oddzielającym małą Europę od potężnej Azji i skręci na północ*<sup>138</sup> – tymi słowami rozpoczyna swoją także japońską opowieść Joanna Bator, publicystka, po części dziennikarka, ale chyba przede wszystkim oddana fanka japońskiej kultury. I również, podobnie jak cytowani i przywoływani powyżej poprzednicy, opowiada o Japonii swoimi słowami, kreśląc charakter kraju z punktu widzenia osoby, która przez dłuższy czas przebywa w Kraju Kwitnącej Wiśni. Rezydentura staje się przyczyną głębszych przemyśleń i na dobrą sprawę trudno znaleźć podróżniczą polską książkę, która napisana byłaby o Japonii z perspektywy np. jedynie kilkutygodniowego pobytu. Być może dzieje się tak za sprawą intratnej i przebogatej spuścizny kulturowej, która nie pozwala na traktowanie odwiedzanego kraju po macoszemu, a być może po prostu, gdy się jedzie/leci do Japonii – to tylko do Japonii i tylko dla niej, bowiem na dobrą sprawę kraj ten nie leży nikomu po drodze, a przez swój wyspiarski charakter wymaga osobnych decyzji, okupionych często dodatkowymi kosztami. Jednak „Japoński wachlarz” nie grzęźnie w lapidarnych opisach i kolorowych fotografiach – bardziej jest relacją z fascynacji, niż fascynacją relacji. Natomiast dla czytelnika, głodnego i spragnionego po części formy felietonowej, a po części eseistycznej, książka Bator namawia do niezbyt szybkiego odłożenia jej na półkę. *Taką książkę jak „Japoński wachlarz” pisze się tylko raz. Nie da się powtórzyć doświadczenia pierwszego spotkania z inną kulturą, pierwszych zachwytów i zdziwienia. Takich tekstów nie da się także poprawić, bo stałyby się fałszywe, nawet jeśli zyskałyby na historycznej czy antropologicznej głębi*<sup>139</sup> – celnie we wstępie zauważa autorka. Tak się również złożyło, że po wydaniu pierwszym, którego nakład bardzo szybko został w całości wyprzedany, po kilku latach trafiło na księgarski rynek wydanie drugie, ale tym razem nieco uzupełnione, a przede wszystkim z załączonym do niego fenomenalnym esejem „Apetyt na kanibala”. *Ta makabryczna historia Japończyka, który*

---

<sup>137</sup> A. Golisz, *Moja Japonia*, Kraków 2010, str. 5.

<sup>138</sup> J. Bator, *Japoński wachlarz. Powroty*, Warszawa 2012, str. 19.

<sup>139</sup> Tamże, str. 7.



zjadł Europejkę, służy mi jako przykład wzajemnego symbolicznego pożerania się przez Wschód i Zachód.<sup>140</sup> Bator w ostatnim rozdziale opisuje kulisy zbrodni i, może co ważniejsze, przywołuje liczne okoliczności, które towarzyszą całej sytuacji już po powrocie kanibala do Japonii z Paryża, gdzie uprzednio zjadł z apetytem ciało ofiary – a teraz staje się telewizyjną gwiazdą i celebrytą. Jednak obok makabrycznych wspomnień pozycja „Japońskiego wachlarza” cieszy się także uznaniem za sprawą licznych drobnych opisów, które dla europejskiego<sup>141</sup> czytelnika są naturalnym i pożądanym objaśnieniem kulturowym, np. w kwestii alfabetów: *Współczesny język japoński składa się z dwóch alfabetów fonetycznych zwanych sylabariuszami i około dwóch tysięcy chińskich znaków, czyli „kanji”; właściwie można doliczyć jeszcze nasz alfabet łaciński, który Japończycy też muszą znać, bo przypadki jego użycia często zdarzają się we współczesnej japońszczyźnie.*<sup>142</sup>

Gdy sam ruszałem nie tak dawno w samochodową podróż do Korei Południowej i Japonii, z pomocą przyszła mi jeszcze jedna publikacja, której jednak przesłania przed wyjazdem nie zrozumiałem. Stało się tak może i dlatego, że książek podróźniczych o dalekiej i nadpacyficznej Korei nie ma praktycznie wcale i nie sposób oprzeć się w planowaniu tak długiej i odległej eskapady na publicystycznych wzajemnych nawiązaniach, cytowaniach, tłumaczeniach i objaśnieniach. Sam autor, Konrad Godlewski, wskazuje pośrednio na przyczynę takiego stanu rzeczy, pisząc we wstępie do swojej „Korei szerokopasmowej”: *Niestety w polskiej debacie publicznej Azja Wschodnia pozostaje skansenem. Daleki Wschód wciąż stanowi dla nas przede wszystkim repozytorium starych rupieci wyciąganych tylko po to, by na przemian pozachwycać się obcą kulturą, westchnąć bezradnie nad niewyjaśnioną genezą nowoczesności, albo postraszyć nieprzeniknioną „egzotyką”, ostatnio głównie chińską. Choć żyjemy w globalnej wiosce, to Daleki Wschód pozostaje dla nas autentycznie daleki.*<sup>143</sup> Mimo całej sympatii, jaką od pewnego czasu darzymy kraje Dalekiego i Bliskiego Wschodu, spostrzeżenie Godlewskiego jest trafne. Popularność Orientu nie ma bezpośredniego przełożenia w rozlicznej literaturze podróźniczej, a i ze świecą szukać ciekawych, interesujących i kompetentnych opracowań.<sup>144</sup> Dziwi to o tyle, że atrakcyjność

---

<sup>140</sup> J. Bator, *Japoński wachlarz. Powroty*, Warszawa 2012, str. 9.

<sup>141</sup> Warto w tym miejscu nadmienić, że proza Joanny Bator jest systematycznie przekładana na język niemiecki, francuski, węgierski, chorwacki, macedoński, czy nawet hebrajski.

<sup>142</sup> Tamże, str. 330.

<sup>143</sup> K. Godlewski, *Korea szerokopasmowa*, Skarżysko-Kamienna 2012, str. 12.

<sup>144</sup> Wydawniczym wyjątkiem, choć jest to rozprawa o charakterze bardziej naukowym i syntetycznym niż podróźniczym lub nawet reporterskim, może być próba przywołania w tym miejscu obszernej publikacji Andrzeja Bobera, a zatytułowanej pytaniem „Korea zjednoczona – szansa czy utopia?”. Autor gromadzi w niej

tych regionów polega bardziej na boomie gospodarczym i powiązaniach finansowych, a nie na szeroko rozumianych związkach podrózniczo-turystycznych. Wciąż bowiem tylko nieliczna garstka podróżuje w tamtą stronę świata – o publikacjach więc nie mówiąc. W tym oto kontekście opracowanie Godlewskiego jawi się jako nietuzinkowe, a jego opisy oddają sedno kraju dynamicznych marek Samsunga, LG, Kii i Hyundaia, gdy nie ukrywając różnic, autor pisze, że *Na koreański rozwój warto spojrzeć z szerszej perspektywy. Ha-joon Chang pisze, że za jego życia koreańska gospodarka odnotowała 14-krotny wzrost. Na przejście takiej drogi Stany Zjednoczone potrzebowały 150 lat, a Wielka Brytania – dwóch wieków. Kiedy Waclaw Sieroszewski przyjechał do Korei, Warszawa była nowocześniejsza i trzy razy ludniejsza od Seulu. Dziś to Seul jest sześć razy większy od Warszawy, a jedyna funkcjonująca linia metra – przy 13 liniach w Seulu – skłania do krytycznych przemyśleń nad starym polskim określeniem „dzika Azja”*.<sup>145</sup> Publikacja ta wskazuje więc na charakterystykę kraju, a czytana pod takim kątem jeszcze przed podróżą, pozwala na mentalne przygotowanie się do spotkania z nie lada technologiczną atrakcją. Mnie jednak takiej refleksji zabrakło. I choć mało (praktycznie wcale) w niej informacji praktycznych, dotyczących np. noclegów, komunikacji i obiektów muzealno-turystycznych, to jednak w pełni ukazuje oblicze jednego z dwóch państw Półwyspu Koreańskiego – a mówi przede wszystkim o technologii komputerowo-internetowej, jaka zapanowała w tym kraju. Opisuje więc gry, sposoby pobierania filmów, poziomy wtajemniczenia i wiele innych ciekawostek, którymi żyje dziś przeciętny Koreańczyk. Gdy więc czytałem tę książkę przed podróżą, nie miałem jeszcze porównania myśląc, że autor wskazuje na jakąś społeczną efemerydę. Jednak z biegiem czasu, zwiedzając półwysep, ogarnęło mnie przekonanie, że cała Korea Południowa tak naprawdę ciągle podłączona jest do internetu i wszyscy w związku z tym bardziej przebywają w świecie wirtualnym, niż cielesnym i realnym.

*Ciemno. Głucho. Mokra. Wszedłem ostrożnie do tunelu. Długi na kilkaset metrów oddziela obie Koree od siebie. Wykopał go reżim z Północy, by móc pod majestatyczną górą przepchnąć niepostrzeżenie całe swoje wojsko. Południowcy w porę odkryli spisek i dziś od ich strony można wszystko zwiedzać. Broczę w zimnym mroku i co rusz objam głową o wystające stemple. Plastikowe latarenki wiszą tuż przy kolanach. Po co komu wojny? Z ogromnych tarasów widokowych szkolne wycieczki oglądają wrogie zasieki. Druty kolczaste jak girlandy. Na rozłożonych makietach widać, gdzie Kim ukrył w bujnych*

---

na kilkuset stronach obszerne opracowania dotyczące niemal całości spraw związanych z tym podzielonym od dziesięcioleci półwyspem. Por. A. Bober, *Korea zjednoczona – szansa czy utopia?*, Skarżysko-Kamienna 2013.

<sup>145</sup> K. Godlewski, *Korea szerokopasmowa*, Skarżysko-Kamienna 2012, str. 83.

trawach swoje garnizony. Wysokie drzewa ciągle przesuwają na platformach w prawo i w lewo, by zmylić przeciwnika. Ale tutaj wszyscy kupują lody i sączą zimną coca-colę. Dzieci celują fotograficznymi obiektywami. Zjeżdżam Koreę wzdłuż i wszerz. Żaden kraj na świecie nie jest tak skomputeryzowany. Magia przenośnych urządzeń. To nie telefony – to drugie życie. Alternatywne ja. Każdy coś ogląda, słucha muzyki, czyta książki. Młodzież gra w byle co. Ludzie piszą listy, sprawdzają poczty, wertują kolorowe strony. Terabajty przerobu na minutę. Gdy za kilka dni docieram do Japonii, jakbym wszedł do skansenu. Starzy i smutni ludzie siedzą w pustych sklepach i czekają na cud. Powoli. Jeszcze wolniej. Prawie nic nie działa. Nie umiem wejść do toalety: pcham, szarpię, prawie kopię i ciągnę drzwi, a trzeba je po prostu tylko przesunąć w bok. Lewostronny ruch odwraca runda na drugą stronę. Wulkan Aso syczy siarką i zionie otchłanią. W Nagasaki jakby zapomniano, kto i komu wypowiedział wojnę i kto po której był stronie blisko siedemdziesiąt lat temu. Nie mogę w to wszystko uwierzyć. Japonia jako największa ofiara XX-wiecznych wojen, niepamiętająca swoich Indochin, ataków na Chiny<sup>146</sup>, Rosję i Koreę, Pearl Harbor. Robię zdjęcie pod repliką bomby, biorę z placu kilka kamieni i uciekam na plażę. Gdy rano się budzę, otacza mnie wielka armia. Najpierw atak z wody: tysiące krabów. Umykam, ale atak z powietrza: miliony komarów. Niczego nie rozumiem na drogowskazach. Daleki Daleki Wschód. Rybacy w pustych łupinach pilnują wioseł. Wracam statkiem do Korei i cierpliwie czekam na tajfun, który nocą parkuje łodzie przy samochodach, a palmami ściele ulice. Wszędzie swastyki, buddyjskie dacany, samsungi i LG. Koreańczycy uśmiechnięci jak z katalogu. Monsun leje jak z cebra. Japońska epoka kamienia łupanego wita się z cywilizacją sam nie wiem ile 3G. Potem pakuję wszystko na statek i prę na północ, w Rosję. Czy jeśli Rosja wejdzie kiedyś do Unii Europejskiej, to Władywostok będzie w Europie, a Polska zagraniczy z Chinami? Dokąd zapłacę w euro? Czy środek Europy będzie wtedy nad Bajkałem?

Szeroko pojęty Daleki Wschód reprezentowany jest po 1989 roku w polskiej literaturze podróżniczej niezbyt licznymi publikacjami. Raptem kilka, kilkanaście książek.

---

<sup>146</sup> W całej złożoności omawianego kontekstu nie sposób w tym miejscu nie przywołać refleksji Elli Maillart, słynnej szwajcarskiej podróżniczki i pisarki, która już w latach trzydziestych ubiegłego wieku, podróżując po zajętej przez Japończyków Mandżurii, napisała zdanie: *Ale przede wszystkim na każdym kroku wyczuwałam nienawiść ze strony Japończyków. Oni nie cierpią nas wszystkich, białych... czy jesteśmy Rosjanami emigrantami, czy czerwonymi Rosjanami, Amerykanami czy Europejczykami, katolikami czy protestanckimi misjonarzami, i nie przepuszczą żadnej okazji, by nas sponiewierać. Ta nienawiść rasowa to zasadniczy fakt, antagonizm silniejszy niż wszystkie inne, i być może, jeśli wybuchnie wojna, zobaczymy bolszewików i rosyjskich emigrantów po tej samej stronie barykady. Muszę powiedzieć, że całe okrucieństwo tej nienawiści pojęłam dopiero wtedy, gdy bez wyraźnej przyczyny skopali mnie i pobili pięściami japońscy żołnierze, przez których wagon chciałam przejść do wagonu restauracyjnego w ekspresie Władywostok-Harbin.* W: E. Maillart, *Wysłanniczka specjalna do Mandżurii*, Warszawa 2012, str. 17. W dalszej części swojego opracowania autorka dodała także symptomatyczne dla niej zdanie: *Już taką mam naturę, że zawsze chcę podróżować do miejsc, do których wstęp wydaje się zakazany.* Tamże, str. 41.

Azja, choć egzotyczna, kolorowa i przesiąknięta buddyjskim duchem jest być może zbyt oddalona, by skupiać na sobie uwagę nie tylko podróżników, ale także – a może przede wszystkim – literatów. I choć polskich śladów na przestrzeni ostatnich wieków jest tam kilka (Ossendowski, Potocki), to jednak współcześnie teren ten nie doczekał się intratnych reportażowych opowieści.

„Zostałem dziennikarzem, ponieważ w wyścigach byłem zawsze ostatni. Chodziłem do jednego z florenckich liceów i z uporem uczestniczyłem we wszystkich biegach przełajowych, jakie odbywały się w parku Cascine. Nie miałem żadnych osiągnięć – z wyjątkiem rozśmieszania kolegów. Pewnego razu pod koniec zawodów, kiedy publiczność już się rozchodziła, a ja dopiero dotarłem na metę, podszedł do mnie mniej więcej trzydziestoletni pan z notesem i powiedział coś w rodzaju: „Jesteś uczniem? A więc nie startuj w biegach, tylko je opisuj!” Miałem wtedy szesnaście lat.”<sup>147</sup>

Być może, jak metaforycznie chce Terzani, wielki włoski admirał Azji, potrzebny jest jeszcze w Polsce czas, by pogodzić w sobie smykałkę podróżniczą z literacką samowolą i najlepsze w tej mierze dzieła dopiero czekają i na napisanie, i na odkrycie.

Kontynuując jednak azjatycką wędrówkę, nie sposób na podróżniczej mapie pominąć przeogromne Chiny. Kraj o nad wyraz bogatej historii i tradycji, dziś w dużej części otwarty jest na turystów. I co kuriozalne – rząd chiński nie pobiera żadnych opłat za wizy wjazdowe na terytorium Państwa Środka. Dostępność podróżniczych Chin nie współgra także z obiegową opinią o izolacyjnym charakterze tego kraju, i choć w wędrówce nie jest łatwy (obcokrajowcowi jeszcze do nie tak dawna praktycznie nawet nie wolno było wwieźć swojego roweru, o samochodzie nie mówiąc), to jednak największe chińskie atrakcje widziało już wielu z nas. Niemniej jednak, ku zaskoczeniu, na polskim rynku wydawniczym nie znajduje się zbyt wiele typowo podróżniczych publikacji – raptem dwa, trzy opracowania.<sup>148</sup>

---

<sup>147</sup> T. Terzani, *W Azji*, Warszawa 2009, str. 9.

<sup>148</sup> Ciekawą opowieścią, która w swoim finale dociera do Chin, jest niedawny reprint „Od Wisły do Rzeki Perłowej” autorstwa Ryszarda Sługockiego, który w 1957 roku wyruszył wraz z kolegą na wyprawę samochodową dookoła świata, jednak plany podczas drogi musiały zostać zweryfikowane. Autor dokonał przejazdu przez Bałkany, Turcję, Iran, Afganistan, Pakistan, Indie, Birmę i Chiny osobową Warszawą, kultowym jak na owe czasy rodzinnym polskim samochodem. W książce można zobaczyć stare fotografie, które w kontekście dzisiejszych wypraw samochodowych wydają się wręcz nieprawdopodobne. Autor notuje: *Ta podróż nie miała szans się odbyć, a jej uczestnicy wrócić cało i zdrowo. Ale się odbyła i obaj wrócili. Do dzisiejszego dnia nikomu nie udało się przejechać samochodem tej samej trasy. I stawiam dolary przeciw orzechom, że jeszcze długo się nie uda.* R. Sługocki, *Od Wisły do Rzeki Perłowej*, Poznań 2011, str. 9. I wspomina dalej: *Już kilka kilometrów przed Agrą ujrzeliśmy lśniącą w słońcu, białą marmurową kopułę i strzeliste wieże grobowca Tadź Mahal. Wewnątrz obszerne korytarze i sale ozdobione są delikatną koronką kamiennych fresków i kolorowych intarsji. Mleczne światło wpada przez okna przesłonięte misternie ciętą w marmurze kratą i wydobywa z mroku otoczone parawanem z marmuru płyty grobne intarsjowane szlachetnymi*

Niewątpliwie do najciekawszych należeć będą dwie książki: „Za Chiny ludowe” Katarzyny Pawlak, oraz Anny Jaklewicz „Niebo w kolorze indygo”. Obie nad wyraz ciekawe i nieprzeciętnie praktyczne.

Pozycja Pawlak, socjologa i tłumacza języka chińskiego, której dane było w latach 2009-2011 mieszkać i pracować na chińskiej ziemi, pozwala oglądnąć Kraj Środka oczyma nie kilkutygodniowego turysty, a w ujęciu rezydenta – z perspektywy szerszej i, jak się wydaje, nie opartej na powierzchowności i tymczasowości. Z tej kilkuletniej obecności powstaje „Za Chiny ludowe” – barwne wspomnienie okraszone fotografiami. Jednak nie była to dla niej sprawa prosta, i jak sama autorka wspomina, *Książka podzielona jest na dwie części. Obie mówią o pewnego rodzaju podróżach. Pierwsza dotyczy podróży w głąb chińskiego życia, druga – podróży w znaczeniu geograficznym. Aby w ogóle rozpocząć jakąkolwiek wędrówkę w kierunku chińskiego życia, musiałam najpierw przejść przez męki odcięcia się od swojej zwykłej codzienności i wygodnej, zbudowanej podczas studiów i kilku krótkich pobytów w ChRL, „wiedzy” o państwie środka.*<sup>149</sup> Pawlak, już na wstępie swojej publikacji, zwraca więc uwagę na konieczność surowej aklimatyzacji, i by stać się w miarę obiektywnym i wiernym korespondentem, zdaje sobie sprawę z własnych obciążeń i europejskiego/zachodniego plecaka, który czy chce, czy nie, ciągle niesie ze sobą. W opisach codzienności jest humorystyczna i spostrzegawcza: *Drugą ważną rzeczą jest rower. Koniecznie używany, bury i pogięty, bo jeśli będzie ładny i nowy, to nie miną trzy dni, a zostanie skradziony, a następnie sprzedany w okolicach kampusu Uniwersytetu Ekonomicznego. A potem tam zostanie skradziony i sprzedany w okolicach naszego kampusu, i tak w kółko, aż się zestarzeje, stanie się bury i pogięty, i przestaną go kraść.*<sup>150</sup> Zwraca także uwagę na rzeczywisty problem, jakim jawi się „chińskie drugie dno” albo „chiński drugi obieg”, pisząc: *Podobno dziś rzeczywistość już nie dzieli się na oryginały i kopie. Zwłaszcza współczesne Chiny pozwalają zrozumieć, że taki podział stracił ostrość w niemal dosłownym sensie. Weźmy na przykład takie podróbki – dziś coraz trudniej stwierdzić, czym różnią się od oryginału.*<sup>151</sup> Relacja Pawlak przesiąknięta jest więc doświadczeniem poznania, a wiarygodność opisów ma z pewnością swoje źródło zarówno w socjologicznym wykształceniu autorki, jak i w niebagatelnym fakcie, jak już wspomniałem, kilkuletniego

---

*kamieniami, które tworzą kwieciste wzory na podobieństwo perskich dywanów. Ale te wspaniałe grobowce są puste.* Tamże, str. 316.

<sup>149</sup> K. Pawlak, *Za Chiny ludowe*, Warszawa 2013, str. 7.

<sup>150</sup> Tamże, str. 19.

<sup>151</sup> Tamże, str. 53.

przebywania w kraju komunistycznej utopii. Daje to prawo do wyciągania szerokich wniosków, ale także pozwala na swoiste odwrócenie ról, gdy retorycznie pyta w lekturze anonimowego czytelnika-Polaka: *Ciekawe, ilu z Czytelników kiedykolwiek zastanawiało się, co by zrobiło, gdyby w Wigilię Bożego Narodzenia rzeczywiście zapukał wędrowiec. I to egzotyczny. Czy zaprosilibyście do środka? Ugościlibyście?*<sup>152</sup> „Za Chiny ludowe” wkracza na wiele takich pól minowych i na księgarskich półkach nie pozostaje tylko i wyłącznie książką podróżniczą, ponieważ w sobie charakterystyczny sposób zadaje pytania nie tylko w stosunku do odwiedzanego kraju, ale także o to, co wyjeżdżając w podróż, każdy wagabunda zostawia w swoim własnym, opuszczanym, domu i kraju.

Nieco odmienną będzie za to opowieść Jaklewicz. Dla przeciwwagi autorka stara się nie podróżować po wielkich chińskich miastach i ich obrzeżach, ale bardziej odnaleźć swoje wędrowne ścieżki na dalekiej i odległej prowincji. Penetruje. Śledzi. Opuszcza jeden świat dla innego. *Stęskniłam się za tym widokiem, ale w Hongkongu nie zabawię długo. Moja podróż po Chinach ma wieść szlakiem małych, zacisznych wiosek. Tę noc spędzę jeszcze w mieście, ale już jutro popłynę do rybackiej osady Tai O na Lantau – największej wyspie w obrębie SRAH.*<sup>153</sup> Pozycja Jaklewicz, z zawodu archeologa, bogato ilustrowana kolorowymi fotografiami, w wielu miejscach przypomina album, w którym opisy są jedynie niezdarnym dodatkiem do feerii barw. Autorka snuje się po „jej” Chinach, przypominając sobie wcześniejsze wyprawy. *Wszystkie te miejsca, z wyjątkiem Lhasy, dobrze znam z poprzednich wizyt w Chinach. Wokół Xi Hu jeździłam rowerem, Tai Shan zdobywałam, wspinając się po tysiącach stromych schodów, po Jangcy pływałam statkiem, a od placu Tiananmen rozpoczynałam wędrówki po Pekinie.*<sup>154</sup> Bardzo często zdarza się także, że sama zauważa sprawy, zwyczaje i obyczaje, które znowuż nie tyle mówią czytelnikowi, gdzie się zatrzymać i przenocować, a bardziej opowiadają o tle i charakterze spotkanej społeczności. Widzi chińskie babuliny siedzące w słońcu przed drewnianymi chatami. Obserwuje. Wnika. Jakby powiedziała dzisiejsza młodzież: rozkminia. *Przestaję się dziwić staruszkom, które niemal na każdej szerokości geograficznej spędzają czas w taki sposób, na ulubionych ławeczkach. Zamykam oczy i usiłuję zapamiętać tę chwilę, by móc wracać do niej w zgiełku miasta. Zapadam w stan półsnu, przyjemnej kontemplacji, w której liczy się tylko dany moment.*<sup>155</sup> Nostalgicznie opowiada o kraju, który w jakiś sposób od dziesięcioleci podlega światowej

<sup>152</sup> K. Pawlak, *Za Chiny ludowe*, Warszawa 2013, str. 167.

<sup>153</sup> A. Jaklewicz, *Niebo w kolorze indygo*, Gliwice 2013, str. 14.

<sup>154</sup> Tamże, str. 30.

<sup>155</sup> Tamże, str. 147.

izolacji: na swoją, a i świata prośbę. Jej prowincjonalna podróż pokazuje, jak można nie dużym nakładem środków dotrzeć do ciekawych miejsc i zwiedzić nie tylko tętniące życiem metropolie, ale także prawie zapomniane chińskie bezdroża. Książka jest również świadectwem na to, że bardzo często, by poznać tylko jeden fragment z administracyjnej mapy świata, dobrze jest odwiedzić go kilkakrotnie, albo – tak jak w przypadku publikacji Pawlak – zamieszkać w nim choć na jakiś czas.

Jednak w całkiem inny i różny sposób podchodzi do chińskiej podróży Piotr Strzeżysz, który w odróżnieniu do całej reszty wędrownego towarzystwa podejmuje nad wyraz udaną próbę penetracji Tybetu własnych na dwóch kółkach. W dodatku, za sprawą technicznych, a i towarzyskich wydarzeń, odbywa w ten mało uczęszczany region dwie, następujące po sobie w niedużej odległości czasowej, solenne i wymagające wyprawy. Skąd pomysł? *Wiosną 2006 roku postanowiłem, że latem pojedę do Tybetu. Rok wcześniej zwiedzałem rowerem Ladakh, krainę w północnych Indiach, stanowiącą najdalej na wschód wysunięty fragment Wyżyny Tybetańskiej*<sup>156</sup> – i rusza w drogę, a pokłosiem rowerowej ekspedycji staje się kolorowa relacja zatytułowana „Campa w sakwach, czyli rowerem na Dach Świata”. Autor, ze względu na polityczne i administracyjne zawirowania, dosyć szczegółowo opisuje projektowane jeszcze w kraju koncepcje logistyczne, by w końcu poddać się przygodzie. *Podpisuję się pod Rimbaudem, który stały pobyt w tym samym miejscu zawsze uważał za nieszczęście. Najwyższy czas ruszyć w drogę. Nabrać dystansu, właściwej odległości, która przytępi emocje, a rzeczom nada odpowiedni wymiar, pozwoli spojrzeć na wszystko z innej perspektywy, niekoniecznie słuszniejszej, ale na pewno świeższej, odmiennej, odróżnialnej. A, jak pisał Kapuściński, jednym z celów podróży jest dążenia do przeżycia odmienności.*<sup>157</sup> Leci samolotem do Pekinu i po kilku tygodniach żwirowo-asfaltowej jazdy dociera do tybetańskiej, osławionej Lhasy. Najwyraźniej jest szczęśliwy, choć trudy drogi dają mu się we znaki. Tybetańska codzienność i chińska administracja współlegzystują ze sobą, co dla autora stanowi asumpt ku snuciu refleksji. Zdobywa wszystko, co było do zdobycia, jednak – za sprawą poznanej Chinki – zostawia w Chinach rower i po powrocie do Polski, w niedługim czasie, wraca do Państwa Środka. Natomiast tym razem stawia sobie poprzeczkę wyżej i planuje... pokonać wysoki i mroźny Tybet zimą. *Ponieważ odcinek, który zamierzałem pokonać, znałem częściowo z autopsji, postanowiłem nie zabierać ze sobą namiotu, a tylko karimatę, folię NRC i ciepły spiwór. Zakładałem, że nawet jak nie uda mi się*

<sup>156</sup> P. Strzeżysz, *Campa w sakwach, czyli rowerem na Dach Świata*, Kraków 2011, str. 10.

<sup>157</sup> Tamże, str. 64.

dojechać do jakiejś wioski i zanoćować pod dachem u tybetańskiej rodziny, to zawsze będę mógł zatrzymać się, w jakiejś opuszczonej szopie, bądź ruinach, które osłonią od wiatru. Deszczu tym razem nie musiałem się obawiać, a jeśli nawet nie udało by mi się dojechać do jakichś zabudowań, to po prostu wykopię jamę w śniegu, okutam się w folię i jakoś do rana dociągnę.<sup>158</sup> Jak postanawia, tak czyni, a jego podróżnicza relacja mrozi krew w żyłach. Pokonuje z mozołem w śniegu kilometr za kilometrem – ale osiąga cel. Przywołane opisy pobudzają wyobraźnię i nie sposób nie odnieść wrażenia, że rzeczy, które uchodzą za niemożliwe do wykonania, oto stają się faktem. Opowieść Strzeżysza zasługuje na podróżnicze uznanie i w takim charakterze jego wyczyn zdaje się być oryginalnym, pierwszym i dotychczas nie powtórzonym, choć turystyka rowerowa, o czym w niniejszej rozprawie w wielu miejscach można przeczytać, staje się z roku na rok coraz bardziej popularną formą podróży. Bezpieczna. Zdrowa. I nad wyraz tania – choć awaryjna i fizycznie wyczerpująca.

Gdy Chiny (tylko pozornie) zostają za wędrownymi plecami, równie odległym opisem rządzi się świat ukazany słowem kilku podróżników, którzy swoje historie wiodą tym razem po odległych lądach południa Azji, choć *próbując dowiedzieć się czegoś więcej o dziejach Azji, skazani jesteśmy na chińskich kronikarzy. Nie tylko na ich sposób patrzenia na świat, ale również na ich zainteresowania i wybory tematów.*<sup>159</sup> Grzegorz Torzecki ląduje więc w Birmie, a np. Paweł Skawiński prowadzi czytelnika przez Indie i Nepal. Jednak Torzecki, po dwóch podróżach do Myanmar<sup>160</sup>, pisze książkę raczej o charakterze historycznym, niż podróżniczym. Kreśli dzieje kraju od jego powstania do dnia dzisiejszego, wskazując na zawiłą sytuację wewnętrzną i skomplikowane relacje polityczne. Publikacja stanowi jednak nieocenione podróżnicze tło, gdy stąpa się bosą stopą po kraju tak odległym i o tak innej, niż europejska, kulturze. Szeroko przywołana na tym polu historyczna faktografia wskazuje na bogatą tradycję duchową<sup>161</sup>, zadając także cenne i zasadnicze pytania: *Jednego tylko nie*

---

<sup>158</sup> P. Strzeżysz, *Campa w sakwach, czyli rowerem na Dach Świata*, Kraków 2011, str. 217.

<sup>159</sup> G. Torzecki, *Birma, królowie i generałowie*, Warszawa 2009, str. 57.

<sup>160</sup> *Birma, czy Myanmar? Z punktu widzenia prawa międzynarodowego nazwa kraju, o którym piszę, brzmi Związek Myanmar. „Birma” jest określeniem kolonizatorów brytyjskich* – zauważa we wstępie autor, mówiąc także o swoich dwóch wizytach w tym kraju, w roku 1997 i 2001. Tamże, str. 13.

<sup>161</sup> Do wschodniej tradycji duchowej nawiązuje wiele innych publikacji, trudnych jednak do przytoczenia ze względu na swój ogrom i złożoną problematykę. Buddyzm, hinduizm, islam oraz inne liczne wierzenia i systemy filozoficzne, znajdują swoje opisy na kartach wręcz niespotykanej ilości książek, broszur czy skryptów, jednak w niniejszej rozprawie ich charakterystyka nie znajduje większej reprezentacji ze względu m.in. na bardzo szeroki zakres tematyczny. Jednak w kolejnym rozdziale, gdy przychodzi zmierzyć się z tematyką poruszaną w narodowej literaturze podróżniczej, zostanie zwrócona uwaga na obecność i tego wątku w przywoływanych przekrojowo publikacjach. Warto w tym miejscu przytoczyć choćby dwie odmienne publikacje, gdzie pierwszą



potrafię zrozumieć: jak to się dzieje, że ta szczytna wiedza i praktyka buddyjska, która potrafi tak głęboko odcisnąć swoje piętno w umyśle człowieka, nie znajdowała odzwierciedlenia w codziennej praktyce sprawowania władzy nawet przez tych królów, którzy długo żyli w klasztorach jako mnisi.<sup>162</sup> Autor z uporem kluczy po meandrach królewskich rządów – aż do czasów współczesnych, do „Birmańskiego Lata”, a zamieszczoną na końcu książki bibliografię opiera, oprócz dwóch ogólnych pozycji, tylko i wyłącznie na literaturze anglojęzycznej. Stanowi to więc także dowód na unikatowość jego opracowania i słabe na dzień dzisiejszy rozeznanie birmańskiego tematu w publicystyce polskiej.

Natomiast w całkiem innym charakterze utrzymana jest opowieść Skawińskiego, będąca żywym indyjsko-nepalskim reportażem, osadzonym wewnątrz dwóch graniczących ze sobą krajów. Nepal jako Dawid i Indie jako Goliat, jednak ze względu na wysokie i graniczne pasma Himalajów, synonimika mogłaby być dokładnie odwrotna. *Ulicami Srinagaru idą zamaskowani chłopcy z procami, za nimi matki w kwiecistych tunikach. Podają swoim synom kamienie. Mówią, że coś w nich pękło.*<sup>163</sup> Autor wędruje z plecakiem od miasta do miasta. Rozmawia, robi zdjęcia. Buduje wielorakie refleksje. Nie jest li tylko podróżnikiem, nie trafia tam jedynie dla samej podróży, ale wyraźnie dla zrozumienia istoty odwiedzanych krajów. Nie dużo w tym historii, a zdecydowanie więcej współczesności. Konfrontuje, przywołując np. obraz mikropożyczek z Bangladeszu i wskazując tym samym na zasadność przyznania ich twórcy Pokojowej Nagrody Nobla. Wyświetla postać Arundhati Roy, pisząc o konsternacji, w jaką wtrąca swoją osobą i swoją twórczością indyjski establishment, wypominając mu liczne przeszłe i bieżące zaniedbania. – *Gdybym nie mówiła, co myślę, nie mogłabym nigdy więcej pisać. Bo zaczynasz się wtedy cenzurować. Wchodzisz w grę z wymyślonymi odbiorcami, których chcesz zadowolić, i jesteś skończony.*<sup>164</sup> Jego publikacja jest inna – być może trochę przez charakter odwiedzanych i opisywanych krajów, a może bardziej zważywszy na fakt, że autor spędza na indyjskim subkontynencie dużą część swojego dziennikarskiego życia, a w Polsce, jak zaznacza w krótkiej notce Wydawca, tylko pomieszkując.<sup>165</sup> Jednak obie przywołane powyżej podróżnicze książki wprowadzają czytelnika w swoisty klimat

---

będzie np. opracowanie zatytułowane „Oszuści w szatach” autorstwa Tomka Lehnerta (Gdańsk 1999), a drugą małą książeczką pt. „Na kawie z... Buddą” (Warszawa 2007). Religijne tło krajów Wschodu, ze względu na swoją obfitość i różnorodność, a także z uwagi na odmienność do europejskich przyzwyczajzeń, powinno, jak się wydaje, każdorazowo i obowiązkowo być brane przez podróżnika pod uwagę, gdy zamierza przemierzać rozległe rejony Azji.

<sup>162</sup> G. Torzecki, *Birma, królowie i generałowie*, Warszawa 2009, str. 38.

<sup>163</sup> P. Skawiński, *Gdy nie nadejdzie jutro*, Słupsk 2011, str. 105.

<sup>164</sup> Tamże, str. 88.

<sup>165</sup> Tamże, str. 217.

orientalnego i tajemniczego Wschodu, gdzie mentalność zgody na przeznaczenie jest odgórnym nakazem woli i to ono właśnie, jak chce Schopenhauer, rozdaje karty – a my tylko gramy. Zderzenie dwóch cywilizacji jest tutaj bardzo widoczne, a różnice wynikające z odmiennych systemów filozoficznych zdają się potęgować kolejne pytania. Wielu starało się to pogodzić, a Albert Camus swego czasu zapisał nawet, że proces tworzenia polega między innymi na tym, by nadawać kształt swojemu przeznaczeniu.

„Los Indii nie powinien być nam, Europejczykom, obojętny. XXI wiek to stulecie Azji. Sposób postrzegania świata przez Chińczyków i Hindusów wpłynie na nasze życie. Azjaci za jakiś czas zaczną rządzić naszym globem, całkiem możliwe, że mają własne pomysły na nowy porządek na świecie. Ich dziedzictwo i kultura są starsze od naszych. Dlatego warto się im bliżej przyjrzeć.”<sup>166</sup>

Nim jednak na dobre niniejsza rozprawa w swoich opisach podążać będzie na zachód Azji, warto w kilku słowach nawiązać do birmańskiego otoczenia, gdy o pobliskiej i malowniczej Tajlandii w nad wyraz humorystyczny i prześmiewczy sposób pisze Marek Lenarcik.

„Poniższa historia oparta jest na faktach, jakie miały miejsce w życiu autora między czerwcem 2009 a majem 2011 roku. Niniejsza książka powinna być używana jedynie w celach rozrywkowych. Autor nie ponosi odpowiedzialności za ewentualne szkody powstałe w wyniku jej używania w sposób niezgodny z przeznaczeniem, takie jak: bankructwo, uzależnienie od alkoholu i (lub) narkotyków, przegrzanie (w tym udar słoneczny), pobyt w tajskim więzieniu, zarażenie wirusem HIV i innymi chorobami wenerycznymi, obcięcie członka lub śmierć poniesiona w wyniku konfrontacji z zazdrosną Tajką, bądź też zakończenie żywota w jakikolwiek inny sposób. Dalej czytasz na własną odpowiedzialność. Zostałeś ostrzeżony.”<sup>167</sup>

Publikacja stanowi więc autorski i w pełni subiektywny zapis pobytu autora w Tajlandii, gdzie nie próżnuje ucząc w miejscowych szkołach angielskiego, a po godzinach używając życia. *Budzik wyrywa mnie za snu o siódmej. Jestem padnięty, ale widok nagiej Piam ściskającej koldrę między nogami przypomina mi, co robiliśmy całą noc. Dziewczyna, która z filmów porno uczyła się obsługiwać faceta? Przecież to marzenie każdego mężczyzny*<sup>168</sup> – pisze bez ogródek, a jego tajska relacja pełna jest takich i podobnych narracji. Lenarcik, ni turysta, ni podróżnik, ni zawodowy nauczyciel zostawia jednak w swoim

---

<sup>166</sup> P. Skawiński, *Gdy nie nadejdzie jutro*, Słupsk 2011, str. 211.

<sup>167</sup> M. Lenarcik, *Tajski epizod z dreszczykiem*, Kraków 2012, str. 12.

<sup>168</sup> Tamże, str. 130.

nietypowym przewodniku coś nie tylko o charakterze rozrywkowo-hedonistycznym, bardzo dokładnie opisując np. jak znaleźć pracę, albo gdzie zamieszkać. *Znalezienie mieszkania w Tajlandii nie należy do zadań trudnych. Najpierw musimy określić, gdzie zamierzamy się osiedlić. Najpopularniejsze, choć niejedne lokalizacje to Bangkok, Pattaya, Chiang Mai i Phuket. W Bangkoku warto zacząć od wynajęcia lokum na nie więcej niż miesiąc w ścisłym centrum miasta, blisko stacji skytarainu lub MRT. Stolica Tajlandii to olbrzymie miasto. Nie ma sensu wiązać się długą umową w jednej dzielnicy, nie wiedząc, gdzie będziemy docelowo pracować.*<sup>169</sup> Dla podróżniczego czytelnika takie wskazówki są na wagę złota, a Lenarcik zamieszcza ich wiele. Warto także zwrócić uwagę na fakt, że tajlandzki kierunek jest w polskich i typowo turystycznych podróżach wielce popularny, jednak bardziej szczegółowe, choć nie rozbudowane, opisy zamieszczone są w licznych opowieściach w ramach wielu podróży dookoła świata, gdzie szlak przez Indochiny stanowi ważną trasę tranzytową zarówno z północy na południe (relacja....), jak i odwrotnie, z południa na północ (relacja....). Gdy więc rozrywkowe sprawozdanie Lenarcika nie wystarcza, warto sięgnąć po inne proponowane wydawnictwa.

Paulina Wilk. Indie. A takich oto książek w ogóle nie ma. Z przekory? Publikacja pozbawiona chociażby jednego „ja”. W żadnym miejscu swoich reportaży autorka nie zamieszcza odniesienia do własnej osoby. Ni krzty prywaty – powiedziałaby krytyk. Czyste akapity zapisanych prawd – jakby bez autorstwa, bez ojcostwa. Pozycja nietuzinkowa w tym znaczeniu, że cała, od pierwszej do ostatniej strony, opowiada o azjatyckim kraju i ani razu nie odwołuje się do mechanizmu podróżowania, wędrówki, oglądania, penetrowania. Wprawne oko wystarcza. Bezosobowy zapis nie nudzi i zaskakuje przywoływanym kolorytem – to inna od pozostałych książka o Półwyspie Indyjskim. Setki kulturowych ciekawostek kontekstualnie podanych na tacy. O jedzeniu. O ubikacjach. O miłościach. O komunikacji. O deszczach. O świątyniach. Książka podróżnicza nie o podróży, ale o kraju. Zdumiewa w niej zasób informacji, który podany zważywszy na okoliczności, ukazuje ich złożoność i niejednorodność. *Nie ma jednego hinduizmu, jednych Indii. Jest wielość pozbawiona najwyższej reguły.*<sup>170</sup> Nie można nie odnieść także wrażenia o celowym literackim zabiegu autorki, by przede wszystkim pokazać świat, który zna niemal na pamięć z wielokrotnych podróży w tamten rejon ziemskiego globu, ukrywając jednak samą siebie za zasłoną snuty opowieści. Akapit w akapit. Można, jak się wydaje powiedzieć, że nie tyle

<sup>169</sup> M. Lenarcik, *Tajski epizod z dreszczykiem*, Kraków 2012, str. 262.

<sup>170</sup> P. Wilk, *Lalki w ogniu*, Warszawa 2011, str. 3.

jest to książka o podróży, ile bardziej o obecności w miejscu podróży. Ale czy przez to brak w niej podmiotu? Czy brak narratora? Wilk ma tak dużo do powiedzenia – albo inaczej: Indie mają tak dużo do powiedzenia – że ego podróżnika znika i ukrywa się od pierwszej do ostatniej strony. *Głos muezina rozprasza mrok.*<sup>171</sup> *W czasie deszczu Indie pustoszeją.*<sup>172</sup> *Jazda po miastach i miasteczkach jest skomplikowaną choreografią.*<sup>173</sup> *Targ jest sercem Indii, świadczy o żywotności kraju.*<sup>174</sup> *Piękno nie jest zarezerwowane dla kobiet.*<sup>175</sup> *Czystość reguł dotyczy także brudu.*<sup>176</sup> W całym kalejdoskopie podróżniczych publikacji książka Pauliny Wilk wyróżnia się swoistą estetyką ascezy: nie szuka poklasku i uznania – i gdyby nie dwa zdania na okładce od Wydawcy, nic więcej o autorce czytelnik by nie wiedział. Czy taki był zamiar?

Hinduskie powiedzenie brzmi: dzieci to goście, którzy pytają o drogę. Parafrazując można powiedzieć, że dziećmi będą dziś wszyscy czytelnicy pytający o drogę przez karty książek o wędrówkach, a dwie kolejne pozycje pozwalają im zatem w miarę łatwo ten kierunek odnaleźć. Jednak stanowią one bardziej opracowania w ujęciu politycznym i społecznym, niż sensualną opowieść o Azji Południowej. Agnieszka Kuszewska kreśli więc swoje przemyślenia jako adiunkt w Katedrze Stosunków Międzynarodowych Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie, a Daniel S. Zbytek dzieli się swoimi spostrzeżeniami jako były radca handlowy i przedstawiciel polskiego przemysłu stoczniowego w Bombaju, Kalkucie czy Karaczi. Obie syntezy uzupełniają się nawzajem. „Konflikt o Kaszmir” ukazuje więc złożone tło międzynarodowych waśni, *gdy przez wiele stuleci teren Kaszmiru był celem najazdów przeróżnych grabieżców, którzy usiłowali ustanowić tam swoje rządy, a pozornie odcięty od świata, kraj utrzymywał kontakty z Pendżabem, Tybetem, Turkmenistanem i Nepalem.*<sup>177</sup> Mimo, że książka Kuszewskiej jest typową naukową rozprawą, to nietrudno sobie wyobrazić jej wnikliwą lekturę przed podróżą w ten górzysty region Azji. Opis niestabilnej sytuacji politycznej każe zastanowić się nad obroną drogą i otwiera oczy na złożoność istniejących tam napięć etnicznych – a dobry podróżnik, to świadomy podróżnik. Można przyjąć, że w odróżnieniu do pozycji Zbytka, Kuszewska nie podróżowała po

---

<sup>171</sup> P. Wilk, *Lalki w ogniu*, Warszawa 2011, str. 258.

<sup>172</sup> Tamże, str. 192.

<sup>173</sup> Tamże, str. 170.

<sup>174</sup> Tamże, str. 101.

<sup>175</sup> Tamże, str. 65.

<sup>176</sup> Tamże, str. 39.

<sup>177</sup> A. Kuszewska, *Indyjsko-pakistański konflikt o Kaszmir*, Warszawa 2010, str. 20.

obszarze swoich naukowych badań,<sup>178</sup> tworząc tym samym opracowanie wewnętrzne, oparte w głównej mierze na dostępnej literaturze. Jak sama podkreśla we wstępie, *polskojęzyczne źródła dotyczące konfliktu o Kaszmir są raczej skromne i ograniczają się do nielicznych artykułów w niektórych dziennikach.*<sup>179</sup> Autorka przywołuje jedynie dwa dostępne, książkowe źródła w Polsce: monografię Barbary Wizimirskiej pt. „Indie-Pakistan-Bangladesz: między wojną a pokojem” (rok wyd. 1981) oraz książkę Jakuba Zajączkowskiego zatytułowaną „Indie w stosunkach międzynarodowych” (rok wyd. 2008). Natomiast Zbytek, choć konstruuje swoje opracowanie wokół podobnego, naukowego modelu, to jednak więcej uwagi poświęca całemu obszarowi tej części rozległej Azji. *Azja Południowa to region świata zamieszkały przez 2 mld ludzi, a to prawie jedna trzecia żyjących na ziemi. Największy kraj – Indie, ma ponad 1,2 mld ludności. To drugi pod względem zaludnienia, po Chinach, kraj na świecie, a według prognoz demograficznych, zajmie pierwsze miejsce w ciągu najbliższego 20-lecia.*<sup>180</sup> Przez przekrojowy charakter jego książka dotyka także w dużej mierze zagadnień religijnych, wskazując tym samym na źródła konfliktów i napięć w bilateralnych stosunkach ościennych krajów. Autor ukazuje także kulturowe uwarunkowania, o których wiedza w niebagatelny sposób ma znaczenie przy planowaniu podróży w każdy generalnie region świata. Znajomość kultury, do której zmierza podróżnik, wydaje się być dziś elementarzem i podstawowym wyposażeniem każdego wędrownego ekwipunku.

Każda z pięciu wspomnianych powyżej książek w jakimś sensie jest do siebie podobna. Dwie pierwsze i dwie ostatnie problemowo przedstawiają azjatyckie realia skupione wokół Indii, Pakistanu, Nepalu czy Bangladeszu. Fundamentalnie przygotowują podróż. Wydaje się, że nie można ich nie przeczytać na progu wędrówki. Stanowią jedną całość, a dopełnienie w postaci publikacji Pauliny Wilk skłania do kolejnych refleksji na temat kondycji polskiej literatury podróżniczej. Widać bowiem kolejne rozgraniczenie, gdy książka z tej kategorii nie musi koniecznie być pisana ręką czynnego podróżnika, ani także zawierać w sobie wielu cennych przewodnikowych wskazówek. „Birna” Torzeckiego, na wskroś popularno-historyczna warta jest przeczytania, by wiedzieć i znać przeszłość odwiedzanego kraju. Wędrówka Skawińskiego, okraszona rozmowami ze spotkanymi ludźmi, oddaje ducha

---

<sup>178</sup> Tym samym książka Agnieszki Kuszewskiej stanowi pewne kuriozum, nie tyle będąc literaturą podróżniczą, ile bardziej pozycją dla podróżnika, zbiorem cennej wiedzy o regionie. Skupione w niej informacje, będące opracowaniem innych licznie przywoływanych opracowań, stanowią zwartą syntezę, z którą warto się zapoznać przed wyruszeniem na ten niebezpieczny i egzotyczny szlak.

<sup>179</sup> A. Kuszewska, *Indyjsko-pakistański konflikt o Kaszmir*, Warszawa 2010, str. 12.

<sup>180</sup> D.S. Zbytek, *Azja Południowa. Tygiel islamu i globalizacji*, Warszawa 2010, str. 7.

narodu – podróżnik jedzie i mniej więcej wie, czego może się spodziewać. Potrafi przewidzieć, co może go spotkać. Chaos i złożoność konfliktów militarnych, które ukazują Kuszewska i Zbytek osadzają przyszłego wędrowca w twardych i bezkompromisowych realiach Wschodu. Giń, przepadnij. *W 2007 r. kładziono nacisk na demilitaryzację Kaszmiru, jednak ze względu na powtarzające się przygraniczne incydenty i indyjskie obawy przed sponsorowanym przez Pakistan terroryzmem, wycofanie wojsk z Kaszmiru okazało się niemożliwe.*<sup>181</sup> Zapalny region raz kusi przygodą, a raz nie. Jechać czy nie jechać? Odwaga czy strach? – a książki to preludium.

Dygresja. Wartym przytoczenia, nieco na marginesie powyższych rozważań, wydaje się być w tym miejscu np. fragment prywatnej i kontrowersyjnej korespondencji, jaką kiedyś wymieniałem z polskim ambasadorem w Algierze, co swoją drogą świadczy co najmniej o dwóch rzeczach: o pewnej przewidywalności możliwych kłopotów widzianych oczyma dyplomaty, ale także o nieskrywanym zamiarze skutecznego zniechęcenia ludzi do podróży (dbając tym samym o swoje partykularne interesy).<sup>182</sup>

Zapytanie:

„Witam, zwracam się do Państwa z ważną dla mnie sprawą: wybieram się wczesną jesienią w podróż do Kamerunu i Kongo samochodem z Polski. Czy jest możliwość przejechania przez Algierię jedną z dróg północ-południe? Najlepiej przez Tamanrasset do Nigru (Agadez). Jestem świadomy skomplikowanej sytuacji politycznej. Bardzo proszę o odpowiedź.”

Odpowiedź ambasadora:

„Szanowny Panie, zachęcam Pana do poczytania prasy, posłuchania informacji ze świata, wejście na strony internetowe polskiego MSZ lub innych krajów, słowem do zainteresowania się regionem, który zamierza Pan przejechać samochodem!!! Może wtedy dowiedziałby się Pan, że trwa tam właśnie wojna, prowadzone są działania operacyjne armii francuskiej, czadyjskiej i malijskiej i że nie ma żadnych możliwości podróżowania. Granica między Algierią a Mali jest zamknięta i nie dostanie Pan także pozwolenia miejscowych władz na podróż samochodem do Tamanrasset. Szanowny Panie, naprawdę warto się zainteresować co dzieje się na świecie, zanim podejmuje się wyzwania przygody! Z poważaniem, Ambasada RP w Algierze.”

---

<sup>181</sup> A. Kuszewska, *Indyjsko-pakistański konflikt o Kaszmir*, Warszawa 2010, str. 172.

<sup>182</sup> Na zjawisko utrudnionego i niechętnego wręcz kontaktu z polskimi placówkami dyplomatycznymi zwraca także uwagę Adam Wiśniewski, opisując w kilku słowach swoją wizytę w polskiej ambasadzie na terenie Mongolii. Por. A. Wiśniewski, *Mongolia, czyli drogi rzadko uczęszczane*, Brzezia Łąka 2011, str. 13.

W świetle uczynionej dygresji, szczególnie zwróciwszy uwagę na dyplomatyczny ton i pretensję ambasadora, widać wyraźnie, jak ważne i pożądane jest osadzenie swoich podróżniczych planów w realiach odwiedzanego regionu. Dlatego też wspomniana i cytowana powyżej literatura podróżnicza, choć nie zawsze wprost traktuje o podróży, na swój sposób jest także jej wiernym obrazem.

Jeszcze słowo o Indiach. Gdy po tym majestatycznym kraju podróżował Tomasz Mazur, nie przypuszczał, że z jego egzotycznej wyprawy powstanie grube na sześć centymetrów tomiszczce. W drodze prowadzi jednak dziennik, który po powrocie do kraju rozwija w formie zwartych przemyśleń, dodając do całego pisarskiego krajobrazu ogrom utrzymanych w czerni fotografii. Tym sposobem wydana zostaje „Mozaika indyjska” – relacja z wielkiej indyjskiej podróży. Ze względu na swoją objętość niemożliwym wydaje się zapakowanie jej do plecaka, jednak zawarte w niej informacje pomagają w wędrówce. *Wymiana pieniędzy – proceder doniosły, diabli biorą pół dnia.*<sup>183</sup> Albo: *Hampi. W każdym hotelu wisi kartka informująca przybyłych do miasteczka o konieczności zgłoszenia swojego przybycia na policji.*<sup>184</sup> Publikacja Mazura staje się kolejnym znacznikiem na podróżniczej mapie świata, jednak innym od pozostałych i tradycyjnych, a bardziej wtopionym w realność, która nie dla każdego wagabundy jest dostępna. Autor zapuszcza się w odległe rewiry jak samotny wilk – jednak nie poluje. On słucha. Wącha. Bada. Ogląda. Opiera konstrukcję swojej opowieści o hinduizm i podąża za nim w głąb wielkiego jak prawie cała Europa kraju. Ale także w głąb indyjskiego serca. Konfrontuje obie religie, to szukając cech wspólnych, to zastanawiając się nad różnicami. Penetruje Indie według swojego klucza, zdala od turystycznych szlaków. Na uboczu wszystkiego.

Bardzo zbliżoną do publikacji Mazura będzie także opowieść Maxa Cegielskiego, znanego i powszechnie lubianego dziennikarza, prezentera TVP Kultura. Choć edycyjnie jego książka znacząco różni się od poprzednika, to tematyka religijna wydaje się w niej także wychodzić na plan pierwszy. Cegielski konstruuje swoich „Pijanych Bogiem” wokół pakistańskich spotkań w miejscach świętych dla tej części azjatyckiej ludności. *Włącząc się z Sainami po Sehwan Śarif, zbieram od nich i pielgrzymów informacje o mistrzu, na którego grób wszyscy przybyliśmy. Codziennie poznaję kogoś nowego, przedstawionego mi przez Mittu. Czasem po prostu ktoś zaczepia mnie na ulicy, zaprasza na herbatę, cold drinka albo*

---

<sup>183</sup> T. Mazur, *Mozaika indyjska*, Poznań 2009, str. 85.

<sup>184</sup> Tamże, str. 523.

na ursowe uroczystości do swojego domu.<sup>185</sup> Kolejny więc kraj Azji przecinany jest podróżniczym szlakiem, którego plonem staje się intratna publikacja Cegielskiego. Autor nie kryje swojego głębokiego zainteresowania wierzeniami Pakistańczyków i krok po kroku, kilometr za kilometrem, przemierza Beludżystan z Pendżabem. Wskazuje na kastowe podziały w społeczeństwie, pisze o muzułmanach, heretykach, pirach i sufich. Można odnieść wrażenie, że czuje się tam jak w domu. Opisuje Pakistan przez pryzmat wiary, a swoje kilkakrotne tam pobyty w latach 2000-2004 widzi także w ujęciu zbliżającej się militarnej zawieruchy.

„Zniechęcony manipulacjami mediów, pojechałem do Lahaur. Tam nie było ekip telewizyjnych, było tylko paru wariatów jak ja, którzy jako ostatni opuszczali ukochany Pakistan. Czekaliśmy na wydawane w przyspieszonym trybie wizy, indyjskie lub irańskie. Tylko Chiny na wszelki wypadek zniechęcały do przyjazdu, wydłużając nagle procedury. Robiło się gorąco, krucjata została ogłoszona, wojna z terroryzmem obwieszczona, rakiety wycelowane, lotniskowce podpływały do wybrzeży kraju. Przyjechaliśmy do miasta w czwartek, przebijając się przez korki i klóćąc z policjantami, którym puszczały nerwy w upale i gęstniejącej atmosferze. Ameryka i teksańscy kowboje byli dla nas bardziej obcy od lokalnych radykałów.”<sup>186</sup>

Jednak koloryt codzienności wydaje się Cegielskiego frapować najbardziej. Gdy wybuchają nowojorskie wieże WTC, siedzi beztrząsowo w Pakistanie jak – można powiedzieć – u Allacha za piecem. Medialna fala zachodniej ekspansji jeszcze tam nie dociera, a jego opisy przybliżają ten kraj z nieco innej strony, niż znane i powszechne telewizyjne migawki. Z rozrzewnieniem wspomina swoje przygody i własne zdziwienia: *Piliśmy z braćmi herbatę w małym, ciemnym lokalu u wejścia do meczetu, gdzie znajduje się grobowiec świętego z XVII wieku. Dwaj bębniarze, dzicy i tajemniczy, stali się zwykłymi facetami, którzy na kolanach trzymają swoje dzieci i dopytują się, czy dobrze zagrali. Wtedy się w nich zakochałem. Chciałem zrozumieć, o co im chodzi, dlaczego grają na bębnach, jak ich występy mają się do muzyki kawwali, którą słyszałem wcześniej tego dnia?*<sup>187</sup> Dla Cegielskiego pakistańska odrębność religijna wydaje się mieć kluczowe znaczenie, gdy chcąc udać się w tamten rejon świata, do kraju między Indiami a Afganistanem, podróżnik powinien zdawać sobie sprawę z tak odmiennych okoliczności. Na swój sposób mamy tutaj do czynienia z oświatową rolą literatury podróżniczej, która nie tylko pyta i frapuje, ale także daje odpowiedzi.

---

<sup>185</sup> M. Cegielski, *Pijani Bogiem*, Warszawa 2007, str. 105.

<sup>186</sup> Tamże, str. 44.

<sup>187</sup> Tamże, str. 16.



Jednakże Cegielski to nie tylko Pakistan – to także przywoływane już Indie, skąd autor pisze relację niepodobną do innych w żadnym calu. Na potrzeby książki stwarza bowiem anonimowego bohatera. Trochę nieporadnie, trochę na opak – ale zamiana miejsc działa. A wszystko zaczyna się jeszcze w Polsce. *Wyruszył upozowany na samotnego faceta pełnego problemów. O zimnym świecie, zawinięty w szal, który dostał na do widzenia od Zosieńki. Na dworcu okazało się, że pociąg ma dopiero późnym popołudniem, a autobus właśnie odjechał.*<sup>188</sup> Można więc powiedzieć, że to podróż terapeutyczna, a Cegielski jedzie jeśli nie do szpitala, to w najlepszym razie do sanatorium. Wiernie konstruuje swoją opowieść w trzeciej osobie, wszystko w narracji zrzucając na impersonalnego podróżnika. Trochę sarkastycznie. Ironicznie. Z przekorą. Jest jednak coś w tym literackim chwycie, co przykuwa uwagę i od lektury nie daje oderwać oczu. *Hermann Hesse podczas swojej podróży na Wschód bał się, że Indie go zmieniają. Nie chciał się poddać wpływowi Wschodu, dlatego na wszelki wypadek unikał spotkań z joginami i różnymi guru. Nasz bohater, podobnie jak wielu innych europejskich młodych i nadętych przemyślicieli, bardzo chciał się zmienić. Zakończyć proces, który rozpoczął ponad rok temu. Może właściwie nie tyle zmienić, co w ogóle stworzyć się na nowo. Pewne etapy, które zapewne nastąpią w trakcie tej transformacji, byłoby lepiej ukryć, bo wstydlive. Zdystansować się przynajmniej. Uciekł więc do Indii, a uciekając, cały czas chciał prześcigać samego siebie. Uciekał od uciekania. Postanowił więc udawać, że to nie on jedzie do Indii. Zacznie być sobą, jak wróci.*<sup>189</sup> I w ten sposób opisuje swoje wędrówki po Indiach. Dzieli się z czytelnikiem nie tyle technicznymi nowinkami, a bardziej przedstawia swoje wrażenia. Opisuje trójkątny kraj z punktu widzenia wędrowcy szukającego własnego kąta i odpowiedzi na nurtujące go pytania. Można jechać do Indii śladem Cegielskiego, ale jego śladem nie można tego wszystkiego przeżyć. Co najwyżej można się beztrąsko i nonszalancko zapomnieć... *W tej nocy księżyc był w pełni. Kiedy bardzo późno po kolacji w dive-shopie Max wrócił do swojej zatoczki, okazało się, że zniknęła. Wiedział, że przyływy i odpływy są związane z księżycem. Nie miał jednak zielonego pojęcia, że podczas pełni przyływ może być tak wysoki. Woda zalała całą wąską w tym miejscu plażę i ledwo dotarł do swojego hamaka. Tuż pod nim chlupotały fale, więc musiał wrócić i spać gościnnie u Szwajcarów*<sup>190</sup> – ale to nie Cegielski, to bohater o takim samym imieniu. Być może w jakimś sensie opowieść autora spełnia dla niego rolę terapeutyczną, nie mniej jednak wiele przemyśleń na temat Indii wysnuwa być może z

<sup>188</sup> M. Cegielski, *Masala*, Warszawa 2011, str. 73.

<sup>189</sup> Tamże, str. 9.

<sup>190</sup> Tamże, str.157.

zadziwiająca celnością. *W Indiach nie da się być samemu, tak jak rozumiemy to Europie. Może dlatego w Azji wynaleziono medytację – żeby w tłumie odciąć się od innych i być z atamanem, czyli przejawem boskiej siły w człowieku.*<sup>191</sup> Książka jest więc dobrym kulturoznawczym przewodnikiem, napisanym w odmiennej od tradycyjnej formule, jednak daje czytelnikowi tym samym poczucie realności i wierności faktom. Można także na tę publikację spojrzeć przez pryzmat Cegielskiego jako autora i po „Pijanych...” dostrzec w nim nie tylko wędrowca i pielgrzyma-kuracjusza, lecz również sprawnego pisarza, z szerokim wachlarzem edytorskich umiejętności.

Ostatecznie pisanie o Azji przychodzi także kolejnym autorom z nieskrywaną łatwością. Być może, chociaż po części, wpisze się w ten schemat także inna, nad wyraz ciekawa i nietuzinkowa publikacja, a mianowicie czystej próby podróżnicza i szeroka penetracja Azji przez Marzenę Filipczak, kiedyś czynną zawodowo dziennikarkę i reporterkę, a dziś po prostu podróżniczkę-wagabundę. „Jadę sobie. Azja. Przewodnik dla podróżujących kobiet” jest więc książką, w której sprawa płci wydaje się nie odgrywać roli drugoplanowej. Z punktu widzenia czytelnika pozycja Filipczak jest także o tyle ważną publikacją, że przez pryzmat obszaru terytorialnego stanowi swoiste kompendium wiedzy o całym przemierzonym regionie, jednak z solennym zaznaczeniem: *W sześć miesięcy przejechałam Indie, Malezję, Tajlandię, Kambodżę i Wietnam. Miałam tylko ogólny plan trasy, a i tak często go zmieniałam. Jeśli gdzieś mi się podobało – zostawałam dłużej, jeśli dokądś odechciało mi się jechać – nie jechałam.*<sup>192</sup> Autorka wzięła się za bary z samą sobą i robiła w drodze to, co najbardziej lubi. *Jechałam sobie.*<sup>193</sup> Opowiada prostym i przystępnym językiem, jak pokonać tysiące kilometrów niemal w spódnicy. *Przez następne dni spacerowałam po wioskach sama, bo nie sposób się tam zgubić. A jednego dnia wynajęłam motor i pojechałam na najwyższą przełęcz w Wietnamie. Jazda była szaleńcza, widoki – niezemskie.*<sup>194</sup> Można powiedzieć, że Filipczak podróżuje zadziornie. Zwraca czytelniczą uwagę na wiele detali i rzeczy na pierwszy rzut oka nieistotnych, jednak zważywszy na obrany cel podróży, nie są to kwestie bagatelne i nie ważne, choć czasem ironicznie przywołane w konwencji czarnego humoru: *Przez jakiś czas szukałam agencji, która kupi mi bilety na dalszą drogę, ale wszyscy chcieli je sprzedać nie tam, dokąd ja chciałam, tylko tam, gdzie ich wujek prowadzi hotel, w którym*

---

<sup>191</sup> M. Cegielski, *Masala*, Warszawa 2011, str. 54.

<sup>192</sup> M. Filipczak, *Jadę sobie. Azja. Przewodnik dla podróżujących kobiet*, Warszawa 2009, str. 7.

<sup>193</sup> Tamże.

<sup>194</sup> Tamże, str. 139.

*mogłabym się zatrzymać.*<sup>195</sup> Pięć samotnie odwiedzonych krajów stanowi dla niej dobrą trampolinę do podróżniczej publikacji, a swoje wrażenia rozkłada na dwa wyraźne akcenty: na typową relację z drogi oraz na mini poradnik dla podróżującej kobiety, gdzie sporo miejsca poświęca na zagadnienia związane z dokumentami, pieniędzmi, zdrowiem. Pisze o ubraniach, o kosmetykach, o strukturach i obyczajach transportowych. Zwraca także uwagę na sposób i konieczność budowania w kobiecej podróży relacji z mężczyznami: czego unikać, jak się zachować i w jaki sposób nie narażać się na niepotrzebne konsekwencje nawet nieumyślnego paradowania swoją płcią w krajach i obszarach kulturowych, które tak bardzo różnią się i odbiegają od przyzwyczajzeń europejskich. Na swój sposób Filipczak jest trzeźwą i świadomą podróżniczką. Wprowadza do kanonu wędrowniczego vademecum spojrzenie samotnej kobiety, a jej spostrzeżenia z pewnością mogą być przydatne. Otwarcie także konkluduje: *Wyjechałam sama, bo nie miałam z kim. Nikt z moich znajomych nie miał sześciu miesięcy czasu, nie wspominając o tym, że żaden nie planował podróży w tamtą część świata,*<sup>196</sup> a w innych miejscach precyzyjnie wyjaśnia plusy i minusy samotnej eskapady. Dokonuje także finansowego rozliczenia, które daje wgląd w materialną stronę wyprawy, a średnie środki przeznaczone na jeden miesiąc podróży (z samolotami, noclegami i wyżywieniem) nie przekraczają dwóch tysięcy siedmiuset złotych – włączając w to perturbacje z liniami lotniczymi. Dużo to i mało – ale prawdziwie.

Całkiem w innym pisarskim stylu utrzymane są za to opowieści Mieczysława Bieńka, górnika-rencisty, który autostopem rusza do Indii. Autor wydaje w ostatnim czasie dwie książki i obie są nad wyraz charakterystyczne i praktyczne. Są to więc „Z hajerem do Dalajlamy” oraz „Z hajerem na kraj Indii” – w dużej części śląskim dialektem. Opisuje ze szczegółami każdy niemal swój zagraniczny krok i wspomina: *Spotykałem ludzi nie tylko podobnie zakręconych na punkcie podróży, ale też i złodziei, przemytników, prostytutki – wszystko, co ten świat niesie ze sobą dobrego i złego.*<sup>197</sup> Podróżuje przez Ukrainę, Rosję, Kazachstan. Jedzie do Uzbekistanu i potem przez Chiny i Pakistan do Indii. Spontanicznie spędza czas i gwarowo okrasza wspomnienia: *Jak się wkrótce okazało, zaraz obok znajdowała się ubicacja, jedyny sracz w całym hotelu.*<sup>198</sup> I podróżuje dalej: w Bhutan, Bangladesz i Sri Lankę. *Odwiedzając te kraje, dosłownie miałem poczucie, jakbym przeniósł*

---

<sup>195</sup> M. Filipczak, *Jadę sobie. Azja. Przewodnik dla podróżujących kobiet*, Warszawa 2009, str. 11.

<sup>196</sup> Tamże, str. 260.

<sup>197</sup> M. Bieńka, *Z hajerem do Dalajlamy*, Warszawa 2010, str. 9.

<sup>198</sup> Tamże, str. 86.

się w czasie.<sup>199</sup> Wędrówka nie jest prosta, ale autora nie opuszcza poczucie humoru i wiele rzeczy potrafi w charakterystyczny dla siebie sposób obrócić w żart. Można powiedzieć, że ten styl podróżowania nie raz ratuje mu skórę. Opowiada wreszcie o codzienności spotkanych ludzi, bierze sobie za kobietę spotkaną Chinę i stara się dotrzeć do obozów Tamiłskich Tygrysów – *Udałem się do komendy policji z prośbą o wydanie pozwolenia na wjazd. Otrzymałem je po 24 godzinach.*<sup>200</sup> Książka Ślaza z krwi i kości (co pewien czas Bieniek wtrąca liczne wspomnienia z pracy na kopalniach) ma jeszcze jedną, niewidoczną na pierwszy rzut oka zaletę, a mianowicie nieskrycie pokazuje, jak ktoś kompletnie nieprzygotowany, w pozie nawet podróżniczego ignoranta, przemierza tysiące kilometrów nie samolotami, nie z pełnymi kieszeniami pieniędzy i nie z całym bagażem wiedzy o kulturowych, obyczajowych czy religijnych różnicach – ale tak po prostu, bez praktycznie niczego. Jest przykładem szczęśliwego wagabundy znudzonego życiem w domu, który tak jak planuje, tak robi. Czytając jego często przasne i prostolinijne wspomnienia można zaobserwować także, jak autor coraz bardziej wsiąka w otaczający go świat i jak po pobieżnym oglądaniu rzeczy znajduje w sobie nutę bardziej wnikliwego obserwatora. *Wtedy też odkryłem, że na obrzeżach tego całego cyrku istnieje całkowicie odmienny świat, gdzie ludzie nie są głodni, nie wyciągają ręki po jałmużnę, że żyją niezmiennym rytmem od tysięcy lat, a ty jesteś tylko drobnym pyłkiem na ich życiowej drodze.*<sup>201</sup> Nie nudzi. Nie usypia. Nie narzeka. Z każdej podróżniczej sytuacji stara się wyjść obronną ręką. Liczy grosz, udzielając przy okazji cennych, wjazdowych do Bhutanu, wskazówek: *Niestety, ponieważ koszt wizy oscylował wokół 200 dolarów za dzień, dla mnie było to nie do udźwignięcia.*<sup>202</sup> I jest spostrzegawczy: *Co ciekawe, na terenie wokół świątyni widziałem tylko krowy, nie było ani jednego byka.*<sup>203</sup>

Publikacje Bienka są bardzo charakterystyczne. Autor szczerze relacjonuje świat, który widzi i który przeżywa. Nie koloryzuje, nie ubiera się w szaty reportera, znawcy kultur czy nawet wytrawnego podróżnika. Mówiąc jego językiem: ma jaja. Jednak na tle wszystkich podróżniczych wydawnictw wyraźnie się wyróżnia, a drugich takich książek po prostu nie ma. Mimo, że język ojczysty nie jest jego silną stroną, to ani specjalnie się tym nie przejmuje,

---

<sup>199</sup> M. Bieniek, *Z hajerem na kraju Indii*, Warszawa 2011, str. 9.

<sup>200</sup> Tamże, str. 312.

<sup>201</sup> Tamże, str. 8.

<sup>202</sup> Tamże, str. 144.

<sup>203</sup> Tamże, str. 251.

ani nie sili na wziętego erudyty. Pisze jak górnik dołowy, jak hajer z przodka, i ta cecha jest jego silną i oryginalną stroną.

Po przeciwległej jednakowoż stronie azjatyckiego bieguna jawi się za to inna intratna publikacja. Taką książką z pogranicza będzie w tym miejscu zapewne publikacja Konrada Wilka, która terytorialnie okala wspomniane powyżej rejony dalekowschodnich państw, wkraczając tematycznie jednak w takie państwa jak Tajlandia, Kambodża, Bangladesz, Birma, Indie i Nepal. Jednak autor snuje swoją refleksję także na kontynent afrykański, sięgając w kilku słowach Etiopii i Kenii. Jednak, podobnie jak u Bieńka i Filipczak, to Azja jest jego głównym szlakiem i obficie zachęca do podróży. *Podajcie mi swoje ręce i płońcie ze mną. Zapraszam w podróż po kręgach piekiel. Nie bójcie się, gdyż każde piekło ma swój koniec, a końcem tym może być nawet niebo. Niebo można też znaleźć w środku piekła, niedostępne dla wszystkich tych, co w obawie przekroczenia jego bram rezygnują z podjęcia ryzyka i decydują się na jałowe trwanie w szarej i nudnej doczesności, która jest śmiercią niegodną tego, by ją nazwać życiem.*<sup>204</sup> Wilk prowadzi narrację w dwójnasób: opowiadając o drodze i spierając się w myślach z jakby drugim samym sobą. Książka ma więc charakter po części przewodnika duchowego, a po części zwykłej opowieści o podróży. Autor, nazbyt zagubiony w azjatyckich realiach, trochę nieporadnie krzyżuje swoje europejskie przyzwyczajenia i oczekiwania z zastanym światem, ale czym dalej w drodze, tym jego wędrówka nabiera rumieńców. Początkowe perypetie wizowe na granicy kambodżańsko-tajskiej i brak pod ręką gotówki z biegiem czasu ustępują pod naporem zastanego świata. I choć często podróżuje z pretensją, z biegiem czasu pytania nikną i gubią się w natłoku atrakcji. Jednak Azja, językiem wojskowego dowódcy, mu się tłumaczy: *Rozumiem demokrację, pochwalam jej zasady i widzę plusy funkcjonowania tego systemu w teorii. Ale jak wygląda ona w praktyce? Ty nie wiesz, bo jesteś tu tylko gościem, turystą, który pozwiedza i wróci do Europy, która na niedoli takich krajów jak Nepal zbudowała dobrobyt, w którym się teraz pławicie.*<sup>205</sup> W podobnym tonie politycznych wyrzutów przywołuje autor wspomnienie z afrykańskiej Etiopii, gdzie po wielokroć rozmawiał z hinduskim przyjacielem-lekarzem, a ten wyłuszczał mu grabieżczy system Banku Światowego i innych podobnych „pomocowych” organizacji. *Na oczach świata rozgrywa się gra, którą ciężko jest nazwać filantropią, bo oto publiczne pieniądze pochodzące z podatków społeczeństw bogatych krajów są przesyłane pod nazwą „pomoc międzynarodowa” do bogaczy biednych krajów. Bogaci z*

<sup>204</sup> K. Wilk, *Naga Asu*, Poznań 2011, str. 11.

<sup>205</sup> Tamże, str. 144.

*biednych krajów oddają te pieniądze bogatym z bogatych krajów, by je bezpiecznie przechowali. Chodzi o to, by przekonać opinię publiczną, że to biedni z biednych krajów dostają te pieniądze. Zwycięża ten gracz, któremu uda się zachować twarz pokerzysty w czasie budowania miliardowego konta bankowego.*<sup>206</sup> Publikacja Wilka, choć więc podróżnicza, bo pisana w oparciu o szmat drogi, nosi w sobie cechy ideologicznego przesłania, a autor pokazuje inną stronę światowego medalu: to dziwić się, że jest inaczej i domagając się Europy w Azji, to rugując biały świat i żądając dezercji.

Podróżnicze szlaki są więc różne, a autorzy na ich podstawie tworzą potem swoje dzieła. Gorzkie prawdy szybko mieszają się z uśmiechem, a trudne przeprawy są za chwilę wynagradzane nadzwyczaj sprzyjającymi okolicznościami, choć tak naprawdę, na samym końcu wszystkich opowieści, mimo znużenia i zmęczenia, mimo wszystkich rozczarowań i niedogodności, *dla prawdziwego podróżnika nie ma miejsc nieciekawych.*<sup>207</sup> A z Azji, będącej „Naga Asu” trudno zrezygnować. Cały ten region kipi. Nieco dalej, na zachód od Indii i całej reszty zwiedzanych i opisywanych krajów, także nieodległy, górzysty i wojenny Afganistan, znajduje swoje odbicie na kartach wędrownych wspomnień. Można jednocześnie zauważyć, że przeróżnych publikacji podróżniczych o tej wschodniej części świata jest naprawdę sporo. Konkluzja taka świadczy o statystycznie popularnym i często odwiedzanym przez Europejczyków geograficznym obszarze. Tutaj się jeździ i stąd się pisze. Afganistan. Ślady podróży są wyraźne i jednoznaczne. Punktowe. Konkretne. Dzieję się tak za sprawą głównie dwóch polskich autorów, gdzie pierwszym z nich będzie Wojciech Jagielski, wieloletni dziennikarz Gazety Wyborczej. Jego opowieść o kraju targanym na przestrzeni ostatnich dekad dziesiątkami konfliktów przytroczona jest do realiów islamskiego świata, jak sakwy do jucznego osiołka. Nierozzerwalność poruszanych wątków przedstawia się na tle pozostałej części publikacji literaturą inną i odrębną, bo skonstruowaną wokół szeroko rozumianych wątków historiofilozoficznych. Opowieść innego turysty. Specjalistyczna podróż, by pojąć niepojęte. Wręcz chirurgiczna operacja. *Wraz ze zbliżaniem się do granicy narasta trudne do wytłumaczenia, lecz wyraźne przekonanie, że wyznacza ona nie tylko ramy przestrzenne, ale i czasowe. Że ważyć się na tę podróż, wkraczam w rzeczywistość odmienną i niepojętą, w której dotychczasowe kryteria logiczne i etyczne okazują się zupełnie nieprzydatne.*<sup>208</sup> Autor cierpliwie kreśli czterdziestoletnią historię kraju, ukazując tło konfliktu i całą złożoność

---

<sup>206</sup> K. Wilk, *Naga Asu*, Poznań 2011, str. 187.

<sup>207</sup> B. Gardocki, *Oczy Wuja Sama*, Poznań 2012, str. 11.

<sup>208</sup> W. Jagielski, *Modlitwa o deszcz*, Warszawa 2008, str. 7.

religijno-mentalną Pasztunów. Pogranicza w ogniu. Konflikt na konflikcie. Mord płacony mordem. Jednak wśród okrucieństwa i politycznych intryg wyłania się obraz kraju i narodu, który gdyby tylko nie wewnętrzne animozje, niczym nie różniłby się np. od krajów po drugiej stronie Pamiru.

„Aby poznać i spróbować zrozumieć Afgańczyków i ich kraj, trzeba zdobyć ich zaufanie, a najpierw szacunek. Trzeba chociaż spróbować żyć jak oni. W kraju, gdzie nie ma nic i prawie nic nie działa, każdy dzień, każde przedsięwzięcie, każda podróż to zmaganie się z fizycznym trudem i niemożnościami, które należy znosić z godnością i życzliwym, cierpliwym spokojem. Jak oni.”<sup>209</sup>

Jagielski odwiedza Afganistan wiele razy. Nabiera do niego przekonania, a kraj sam od siebie daje mu więcej i więcej. Jego opowieść nie jest jednak ani przewodnikiem, ani literaturą podróżniczą w tym sensie podobną do innych publikacji, że nie zawiera w sobie informacji praktycznych, pisanych niejako wprost: o hotelach, o sieci transportu, o jedzeniu. Jednak z drugiej strony jego książka wszystkie te informacje ma w sobie – podane jednak w inny, niż jesteśmy przyzwyczajeni, sposób. Trudno nie przeczytać tej publikacji, gdy ma się w zamiarze afgańską przygodę. Tym samym rodzą się kolejne pytania: co takiego musi mieć w sobie książka, by była literaturą podróżniczą? Czym powinna się wyróżniać, by na księgarskich półkach leżeć koło map i globusów? Czym jest jej język zapisu i jaki ma to wpływ na jej zaszeregowanie? Na ile język zapisu określa czytelnika? *Afgańskie podróże stawały się za każdym razem wyprawami w głąb nas samych. Wyprawami dokonywanymi w samotności, bo jak skonstratował Ryszard Kapuściński, samotność jest losem reporterów jeżdżących po świecie, do dalekich krajów. Piszą o tych, którzy nie czytają ich opowieści, dla tych, których mało interesują ich bohaterowie.*<sup>210</sup> I w końcu: czy takie gradacje i rozróżnienia faktycznie mają znaczenie?

Ale o Afganistanie pisze też kobieta. Dorota Kozińska, latynistka, krytyk muzyczny i teatralny. Raptem kilka lat temu zgłasza się do jednego z unijnych programów pomocowych i po niedługim czasie intensywnych przygotowań ląduje w afgańskiej wiosce z misją animacji działań szkolnych dla pasztuńskich dzieci.<sup>211</sup> Gigantyczne przedsięwzięcie logistyczne i

---

<sup>209</sup> W. Jagielski, *Modlitwa o deszcz*, Warszawa 2008, str. 81.

<sup>210</sup> Tamże, str. 82.

<sup>211</sup> Wojenny Afganistan kobieco-reporterskim okiem pokazuje także Anna Wojtacha, która jako korespondent wojenny żywo relacjonuje: *Kabul śmierdzi kurzem, padliną i lepi się do człowieka, włazi w niego jak zaraza. Każda rzecz w tym mieście pokryta jest wisującym w powietrzu pyłem, który po chwili ma się też w oczach, uszach i ustach. Chrzęści między zębami, sprawiając, że bezustannie chce się pić. Trudno opisać Kabul, bo ma*

emocjonalne, zważywszy przede wszystkim na fakt rozpętanej wojny i tak bardzo niestabilnej sytuacji wewnętrznej tego na wpół górzystego i pustynnego kraju. Tam też zbiera notatki do swojej „Dobrej pustyni” i po powrocie do kraju wiedzie polskiego czytelnika w realia islamskich terytoriów. Przy okazji żywego opisu rzeczywistości wyciąga także wiele cennych spostrzeżeń, a empatia i uczciwość wobec Innego pozwala jej zaskarbić serca spotkanych Afgańczyków. Potem, na koniec, nie wyjeżdża stamtąd bez żalu. *Człowiek Zachodu czuje się niezręcznie w podróży do wnętrza nieznannej wspólnoty, nie zawsze jest gotów na tajemnicę, którą Obcy próbuje się z nim podzielić. Chyba nic tu już po nas. Wypełniliśmy naszą misję najlepiej jak umieliśmy. Rozstanie jak zwykle przychodzi nie w porę. Zamiast liczyć dni do wyjazdu, otwieramy zmysły szerzej niż kiedykolwiek. Pora stłamsić niedosyt i wypełnić umysł nadzieją na nowy porządek.*<sup>212</sup> Dla Europejki takie doświadczenie zdaje się być bezcenne. Jej relacja, choć dotyczy jednego wybranego miejsca, okolic Mazar-e Szarif, rysuje bardzo wyraźnie zarówno wojenną codzienność życia w ciągłym zagrożeniu, jak i daje obraz podziału ról społecznych<sup>213</sup> w klanowych rodach pomiędzy mężczyznę a kobietę, wspominając: *Do tej pory podróżowałam po Azji wciśnięta między znajomych trekkerów a metalowe skrzynie z dobytkiem współpasażerów, piastując na kolanach dzieci, strząsając z siebie noclegowiczów na gapę, którzy z rosnącą ciekawością wystawiali na próbę moje poczucie dystansu fizycznego. Wyglądało na to, że ponad czterysta kilometrów drogi z Kabulu do Mazar-e Szarif pokonam na leżąco.*<sup>214</sup> Kozińska, wspólnie ze swoim towarzyszem (także

---

*on niewiele wspólnego z europejskim wyobrażeniem miasta. Chyba każdy budynek tutaj nosi znamiona wojny. Tej i poprzednich, bo w historii Afganistanu pokój to przerywnik, to czas przygotowań do kolejnej walki. Nie ma tu w zasadzie dnia bez zamachów, które rozdzierają ludzkie ciała, rozrzucają je po ulicach. Tworzą się wtedy korki, część miasta zostaje wyłączona. Jednak po kilku godzinach znowu jeżdżą tamtędy samochody. Rozjeżdżają krew po asfalcie.* A. Wojtacha, *Kruchy lód*, Warszawa 2012, str. 197. Autorka zawiera afgański opis w swojej debiutanckiej książce, która jest dobrym przykładem na wart podkreślenia aspekt, że czasem w ogromie tytułów z szeroko pojętego gatunku literatury podróżniczej opis danego kraju, lub chociażby niedługa i skromna edycyjnie charakterystyka jakiegoś regionalnego zjawiska – w tym miejscu jest to akurat afgańska stolica Kabul – nie musi znajdować się w publikacji, która w swoim tytule choć po części nawiązywałaby do nurtującej czytelnika tematyki. Szerzej wojenny reportaż Wojtacha przywołany jest przy okazji tematyki ogniskującej wokół zagadnienia podróży na świecie, na samym końcu niniejszego rozdziału.

<sup>212</sup> D. Kozińska, *Dobra pustynia*, Warszawa 2012, str. 190.

<sup>213</sup> Na marginesie przywołanego zagadnienia warto w tym miejscu przytoczyć fragment z obszernej kulturoznawczej publikacji Seyyeda Hosseina Nasra, muzułmańskiego filozofa i wybitnego znawcy islamu, Persa i profesora Uniwersytetu Jerzego Waszyngtona, który w prostych słowach wyjaśnia: *Nauki islamu podkreślają, że chociaż mężczyzna i kobieta są równi przed prawem i Bogiem, jednak mają zupełnie odmienne zadania w rodzinie i życiu społecznym. Równość przed Bogiem i prawem nie znosi ich komplementarności. Ktoś zapytał mnie, czy w islamie kobieta i mężczyzna są sobie równi. Zawsze odpowiadam, że przed Bogiem, w obliczu najwyższych rzeczywistości eschatologicznych i przed prawem, owszem, lecz na tym świecie, nie zawsze. Kobiety nie są równe mężczyznom, lecz tak samo mężczyźni nie są równi kobietom – tę prawdę część amerykańskich autorów określa ostatnio jako różnicę między „osobami z Marsa” i „osobami z Wenus”.* W: S.H. Nasr, *Istota islamu*, Warszawa 2010, str. 164.

<sup>214</sup> D. Kozińska, *Dobra pustynia*, Warszawa 2012, str. 28.



polskim wolontariuszem w ramach tego samego programu, spotkanym przypadkowo) dokonuje rzeczy wręcz niemożliwej, a jej postawa budzi najwyższy szacunek tym bardziej, że gdy na kolejną szkolną zmianę przylatują w to samo miejsce następne osoby, to radzą sobie na afgańskiej prowincji – jak można wywnioskować z ostatnich akapitów jej opowieści – po prostu nie najlepiej (nie dość powiedzieć, że ich zachowanie zwyczajnie tak dalece odbiega od przyjętych standardów, że miejscowa ludność śle skargi do centrali projektu). Autorka z widocznym zaangażowaniem oddaje się swojej pracy i powinnościom nauczyciela-pedagoga, ale i sama staje się obiektem nieskrywanej sympatii ze strony Afgańczyków. Jednak jej książka nie kończy się dobrze i sama w posłowiu dodaje: *To nie jest reportaż. Nie jest to również dziennik. To bardzo osobisty rozrachunek ze śmiercią człowieka niezwykłego. Rahmanqul – bo tak nazywał się nasz gospodarz – osierocił matkę, żonę i sześćoro dzieci. W pewnym sensie osierocił też nas, kilkoro Polaków, których z takim taktem i szacunkiem wprowadzał w świat afgańskiej odrębności.*<sup>215</sup> Afgańskie realia wydają się więc być okrutne i nad wyraz skomplikowane, gdzie tradycyjna miara ludzi Zachodu zwyczajnie nie pasuje. Przywołane w tym miejscu dysertacji obie książki, zarówno Jagielskiego, jak i Kozińskiej, ukazują świat tak odrębny kulturowo i cywilizacyjnie, że być może dopiero po wielu latach, przez takie i podobne publikacje, świadomość europejskiego czytelnika osiągnie zadowalający poziom gotowości na niebagatelną podróż do nietuzinkowej rzeczywistości. Bowiem jak chce Montesquieu, dopiero długość podróży, a w tym wypadku czas oczekiwania, każe mniemać, że się w końcu przybyło.

W nieco inny i odmienny sposób pisze o Afganistanie rowerzysta Adam Chałupski, którego wyprawa staje się także późniejszą inspiracją dla omawianej kilkanaście akapitów dalej, w afrykańskich przywołaniach, rowerowej wyprawy Magdaleny i Pawła Opasków na odległy Madagaskar. Gdy Chałupski rozpoczyna swoją barwną opowieść, już w pierwszym zdaniu musi zmierzyć się z nurtującą go konstatacją: *Ilekcroć zaczynam pisać już po chwili zatrzymuje mnie poczucie pokory, bowiem wszystko co chcę przekazać staje się nagle tak liche w obliczu potęgi drogi. Mógłbym zakończyć właściwie już teraz...*<sup>216</sup> Można się domyśleć, że podobne rozterki towarzyszą nie tylko jemu, a podróż – tym samym – nie kończy się nigdy w konkretnym momencie powrotu i zapukania do rodzinnych drzwi. Dla autora rowerowa wyprawa ma także znaczenie szersze niż sama podróż z oglądaniem po drodze ciekawych miejsc. Rzetelnie zwraca uwagę na powód swoistego niedopasowania i być

<sup>215</sup> D. Kozińska, *Dobra pustynia*, Warszawa 2012, str. 205.

<sup>216</sup> A. Chałupski, *Rowerem do Afganistanu*, Rzeszów 2011, str. 5.

może tak jak w przypadku przywołanej powyżej pozycji Maxa Cegielskiego, podróżniczą motywacją staje się próba rozrachunku z sobą samym i z własnym otoczeniem. *Wyjechałem z Polski, bo czułem się w niej zbyt ograniczony. Ramy społeczne nakładane niemal przymusowo na obywateli nie pozwalały mi złapać głębokiego oddechu. Aby to zrozumieć musiałem zetrzeć się ze społecznością oraz samym sobą. Masa ludzka przemienia każdego na własne podobieństwo. Mimo, że stykałem się wciąż ze środowiskami kreującymi intensywny przekaz ideologiczny, to dopiero podróż sprawiła, że odkryłem jak silnie manipulowane są społeczeństwa. Człowiek aby się oderwać, musi stoczyć bój z samym sobą, pokonać w sobie strach przed faktem stania się odrębnością.*<sup>217</sup> Powód bliski emigracji. Jednak mimo samego tytułu publikacji, trasa Chałupskiego jest dużo bardziej rozległa, a relacja, jak można przeczytać, stanowi tylko preludium do części zredagowanych po powrocie wspomnień i notatek. Trasa? *Książka ta jest pierwszą częścią zapisu wyprawy rowerem do Kazachstanu, Kirgistanu, Tadżykistanu, Uzbekistanu, Afganistanu, Pakistanu, Chin, Laosu, Wietnamu, Kambodży, Tajlandii, Birmy, Malezji, Indonezji, Filipin, Japonii, Korei Południowej i Mongolii. Powstała na bazie zapisków i listów jakie sporządzałem począwszy od wyjazdu w maju 2008 r.*<sup>218</sup> – imponująca. Autor zмага się z licznymi przeciwnościami i można sobie wyobrazić cały ogrom takiego przedsięwzięcia, tym bardziej, że wyprawa ma charakter rowerowy, opierając się po prostu na ludzkich mięśniach. Jednak Chałupski nie robi z tego tytułu problemów – wiedział, no co się decyduje. *Zdobywanie kolejnych przełęczy w tym rejonie nie jest zbyt pracochłonne. Pokonując pierwszą z nich wyjeżdża się na ciągnące się przez kilkaset kilometrów wzniesienie. Wszelkie znajdujące się na jego powierzchni różnice terenu nie stanowią większej przeszkody, gdy korzysta się z głównego traktu komunikacyjnego jakim jest Pamir Highway.*<sup>219</sup> Opowiada barwnym językiem, a cała książka pełna jest kolorowych ilustracji przedstawiających spotkanych ludzi, przyrodę i trud bezkresnych pamiirskich szos. Trud podróży nie przeszkadza mu w konstruowaniu nad wyraz ciekawej opowieści, choć można sobie wyobrazić codzienną gehennę podróżnika-rowerzysty. Od czasu do czasu autor z uśmiechem przywołuje mniej estetyczne wspomnienia, pisząc: *W czasie noclegów na brudnych pryczach złapałem wszy. Zwykle na łóżku rozścielam kupiony w Uzbekistanie kawał tamtejszej bawełnianej tkaniny. Prycze są poplamione i cuchnące. Czasem lepiej jest spać na ziemi. Jednak po ziemi chodzą myszy, szczury, oraz wiele innych*

---

<sup>217</sup> A. Chałupski, *Rowerem do Afganistanu*, Rzeszów 2011, str. 6.

<sup>218</sup> Tamże, str. 7.

<sup>219</sup> Tamże, str. 113.

rozmaitych okazów.<sup>220</sup> Afganistan jako kres pierwszego etapu. Gdy tam dociera, zrazu niemal dostaje po uszach. *Wyciągam aparat fotograficzny, aby zrobić zdjęcie. Akurat gdy naciskam spust migawki, w kadrze pojawia się dziewczynka na rowerze. Całą sytuację zauważyli pasażerowie jednego z przejeżdżających aut. Wszyscy są zbulwersowani.*<sup>221</sup> Takich sytuacji podczas każdej podróży jest wiele, gdy europejskie przyzwyczajenia i normy ścierają się z kulturami tak odmiennymi jak afgańska czy po prostu talibska. Jak się wydaje, problem jest jeden, tylko czasem zmienia się skala i profil zagadnienia. *Herodot wiedział o Bliskim Wschodzie to, czego Amerykanie uparcie nie chcą zrozumieć. Tam nie istnieje jedna linia frontu, tam się atakuje i ucieka. Dwa i pół tysiąca lat temu tamtejszy władca Dariusz wierzył, że potrafi pokonać Scytów. Stanął w nieskończonym stepie ze swoim bezużytecznym wojskiem naprzeciw nieprzewidywalnego wroga. Bush jeszcze tego nie pojął.*<sup>222</sup> Pozycja Chałupskiego, poprzez redakcję, stanowi także coś w rodzaju para przewodnika, bowiem autor zamieszcza wewnątrz swoich notatek krótkie encyklopedyczne charakterystyki odwiedzanych krajów, czyniąc tym samym ukłon w stronę czytelników, dla których jego wyprawa nie istnieje poza geograficzną i administracyjną świadomością. Wszystko to sprawia, że rowerowa podróż – zwarta między ramami terytorialnymi – wydaje się być spójną i dobrze zaplanowaną wędrówką, a tytułowy Afganistan, tak inny od obrazu Jagielskiego, czy nawet Kozińskiej, bramą do następnych podbojów na dwóch kółkach.

Po sąsiedzku, z mrocznym i wojennym jeszcze dziś Afganistanem, graniczy również, jak mogłoby się wydawać polskiemu czytelnikowi, reżimowy Iran. Kraj styku Bliskiego Wschodu z Azją Środkową, co czyni go tym bardziej podatnym na wpływy i nurty płynące z tych dwóch obszarów kulturowych, nie daje wytchnąć obserwatorom z całego świata. W krajach Zachodu na dźwięk słowa Iran natychmiast przychodzą do głowy najgorsze skojarzenia. Marek Kęskrawiec, dziennikarz, reportażysta i wykładowca na Uniwersytecie Jagiellońskim w „Czwartym pożarze Teheranu” nie tyle stara się obalić tę świadomość, ile raczej prowadzi czytelnika przez meandry złożoności kraju rządzonego ręką duchowych przywódców.<sup>223</sup> Krok po kroku wchodzi i wtapia się w teherańską rzeczywistość, podróżując

---

<sup>220</sup> A. Chałupski, *Rowerem do Afganistanu*, Rzeszów 2011, str. 250.

<sup>221</sup> Tamże, str. 196.

<sup>222</sup> R. Kapuściński, *Dalem głos ubogim*, Kraków 2008, str. 14.

<sup>223</sup> Czyni to także na swój sposób Szczepan Lemańczyk, absolwent iranistyki i podróżnik, znawca Iranu na tyle, że wydaje „Iran”, przewodnik po tym bliskowschodnim kraju. Jednak jego publikacja, mimo że pełna encyklopedycznych i turystycznych danych, stanowi o Iranie jedyną taką książkę na dzień dzisiejszy. Autor, podróżując kilkakrotnie po Iranie, można powiedzieć, że zna go jak własną kieszeń, a to pozwala mu i czuć się ekspertem, i napisać o tym, co podróżnika może czekać nad Tygrysem.

raz za razem do licznych znajomych w odległych miastach dawnej Persji. Sam też przyznaje: *Kiedy pierwszy raz leciałem do Iranu, niewiele wiedziałem o tym kraju. Spodziewałem się typowej autokracji, szarej, smutnej, pozbawionej energii. Jadąc z teherańskiego lotniska do północnej dzielnicy Tadżrisz, zobaczyłem świat nieprzystający do obrazu surowej islamskiej republiki, jaki miałem w głowie: ujrzałem potężne węzły autostrad, wysokościorowce, neony, billboardy reklamujące niezmiernie drogie zegarki, salony Dolce & Gabbany i Armani, parki pełne gimnastykujących się ludzi. Czulo się w powietrzu pragnienie życia, ale także świadomość kontroli, ciągłej presji ze strony władzy, która zmusza do prowadzenia stresującej, podwójnej egzystencji.*<sup>224</sup> Iran to dawny chleb Ryszarda Kapuścińskiego, a książka Kęskrawca opowiada o czasach ostatnich lat, gdy polityczne zawirowania wynoszą do władzy Ahmadineżada i jemu ideowo bliskich. Podobnie, jak w przypadku innych publikacji o zbliżonym charakterze, próżno w jego książce szukać konkretnych wskazówek podróźniczych, jednak dla wnikliwego czytelnika obraz rysowany w kolejnych akapitach pozwala uchwycić tło kraju szarijatu, a podróżnik powinien wiedzieć, że – *Masz zupełnie inną mimikę, inaczej gestykulujesz, inaczej się ubierasz, nawet chodzisz inaczej. Ciężko to jakoś logicznie opisać, ale na kilometr widać, że nie jesteś stąd – śmiał się ze mnie Madżid w środku nocnej awantury na Enqelab, kilkanaście godzin przed swoim aresztowaniem. Dosłownie pękał ze śmiechu, patrząc, jak ukryty pod czapką próbuję wtopić się w tłum, a i tak niektórzy pokazują mi palcami, jeden zaś młody chłopak podchodzi i pyta, gdzie mam aparat i z jakiej redakcji jestem.*<sup>225</sup> Zawsze widać, kto jest kto. I na swój sposób podróżnik także zawsze jest ambasadorem – jeśli nie swojego kraju, to z pewnością swojego obszaru kulturowego. Książka Kęskrawca może stanowić też przyczynek do otwartej dyskusji o granicach i charakterze reżimu, o jego wzlotach i upadkach – choć o całkowitym upadku mówić jeszcze nie można. Zwraca także uwagę na generalną różnicę w świadomości, jaką nosi w sobie Europejczyk myślący o Iranie i Irańczykach. Autor celnie i symptomatycznie<sup>226</sup> przywołuje wypowiedź artystki-malarki: *Trudno jest tworzyć w takim rozdwojeniu. Jeszcze*

---

<sup>224</sup> M. Kęskrawiec, *Czwarty pożar Teheranu*, Warszawa 2010, str. 24.

<sup>225</sup> Tamże, str. 61.

<sup>226</sup> Publikacja Kęskrawca z pewnością otwiera polskiemu czytelnikowi oczy na wygląd islamskiego państwa, które w ogólnodostępnych mediach niemal zawsze kreowane jest w opozycji białe-czarne, dobre-złe. Autor wskazuje tym samym, pośrednio, na swoistą manipulację medialno-polityczną, ponieważ obraz, jaki zastaje – jak się wydaje – znacząco odbiega od tego kreowanego w europejskich publikatorach. Dziś Iran nie jest tak jednoznaczny, jak dawniej, na progu rewolucji. W tym znaczeniu rola książki podróźniczej (lub para podróźniczej) znacznie wzrasta, gdy codzienne media żyją i żywią się newsem, chwilą i epizodem, a spisana relacja wydawnicza leży i cierpliwie czeka na półce – i się nie zmienia. W tym przypadku książka stanowi bardziej trwały obraz, nie zostanie jutro lub pojutrze „przykryta” kolejną falą medialnych ciekawostek, skandali i krótkich, nic nieznaczących informacji.

*trudniej jest walczyć z rolą, jaką przypisał ci świat, także ten zachodni. Kiedy jadę do Europy, właściciele galerii oczekują ode mnie potwierdzenie ich obrazu Iranu. Pragną czegoś egzotycznego, trochę groźnego i drapieżnego, trochę zahukanego i prymitywnego. Kiedy ich wreszcie spotykam, bywają mną trochę zawiedzeni. Nie chodzę w czadorze i chyba nie za bardzo różnię się od nich samych. Nie przypominam koczowniczki jeżdżącej na wielbłądzie po pustyni jakiegoś zacofanego kraju.*<sup>227</sup> Problem ma Europejczyk, czy Irańczyk?

W bardzo zbliżonym charakterze utrzymana jest także publikacja Mariusza Zawadzkiego, a pochodząca z graniczącego z Iranem Iraku. Jednak gdy Kęskrawiec opowiada o kraju pogmatwanym wewnętrzną polityką i przecinanym sprzecznościami, to dziennikarska pozycja Zawadzkiego osadzona jest, niestety, w wojennych i zaraz powojennych realiach państwa nad Tygrysem i Eufratem. *W pierwszych miesiącach po wojnie, kiedy samoloty pasażerskie jeszcze nie docierały do Bagdadu, jeździło się tam samochodem. Jesienią 2003 roku w Ammanie, stolicy Jordanii, wynająłem wielkiego jeepa z ciemnymi szybami i malunkami groźnych bojowników na drzwiach. Dwaj młodzi bracia, zagorzali zwolennicy Organizacji Wyzwolenia Palestyny, zgodzili się dowieźć mnie na miejsce za jedyne trzysta dolarów.*<sup>228</sup> Czytając kolejne akapity widać wyraźnie, że publikacja skonstruowana niemal na polu minowym nie będzie dobrym przewodnikiem po ziemi irackiej, a bardziej opowieścią o ludziach i czasach, jakich dotyczy. Autor zręcznie meandruje wokół kulisów amerykańskiej inwazji, co rusz zdając sobie sprawę z kruchego lody, po którym stąpa. *Jako cudzoziemiec, który przyjeżdżał do Iraku z powodu amerykańskiej inwazji, wolałem trzymać się z szyitami. Wszyscy moi tłumacze w Bagdadzie – Dżamal, Tahsin i pułkownik Rahim – byli szyitami.*<sup>229</sup> Dziennikarska ostrożność. *Na początku 2007 roku w kostnicach Bagdadu na jednego trupa szyickiego przypadały średnio trzy trupy sunnickie.*<sup>230</sup> Gdy bowiem konstruuje się taką opowieść, realia nie pozwalają o sobie zapomnieć. W odróżnieniu do innych podróźniczych publikacji, książka ta nie tyle przywołuje cenne podróźnicze wskazówki, za pomocą których łatwiej kolejnym śmiałkom penetrować bliskowschodnie ziemie, ile bardziej jest opowieścią samą w sobie – w jakimś sensie bezzwrotną i jednokierunkową, ponieważ trudno nawet dziś, kilka lat po wędrówkach Zawadzkiego, wyobrazić sobie inne podróże po tamtym obszarze geograficznym. Gdy w 1932 roku Aldous Huxley publikował swój „Nowy wspaniały świat” z

---

<sup>227</sup> M. Kęskrawiec, *Czwarty pożar Teheranu*, Warszawa 2010, str. 90.

<sup>228</sup> M. Zawadzki, *Nowy wspaniały Irak*, Warszawa 2012, str. 16.

<sup>229</sup> Tamże, str. 45.

<sup>230</sup> Tamże, str. 312.

pewnością nie przypuszczał, że prawie sto lat później parafraza jego tytułu znajdzie się na okładce polskiego wydania dotyczącego Iraku.

„Nowy wspaniały Irak”, jako publikacja reporterska, staje się także obrazem (pewnie niezręcznym, niezamierzonym i niepełnym) dziennikarskiego rzemiosła, i gdy mowa jest o sprofesjonalizowanych wędrownkach po świecie, mając na uwadze pracę zawodową autora – co ma bezpośredni wpływ na powód i zamiar wędrownki, warto, jak się wydaje, i ten aspekt twórczego warsztatu brać pod uwagę. *Na fotelu obok jordańskiego kierowcy siedział Piotrek Bernaś, fotograf „Gazety Wyborczej”, a we dwóch zawsze raźniej.*<sup>231</sup> Inny będzie charakter i sposób wędrownki, a tym samym późniejszej publikacji, typowego obieżyświata z plecakiem na ramieniu, nie rzadko z namiotem, rowerem czy pieszo, a inaczej – pod innym kątem i w oparciu o inne narzędzia – skonstruuje i swoją podróż, a później i reporterski zapis, wysłany na zlecenie, uzbrojony w niezbędne dokumenty i finanse, zawodowy dziennikarz. Nie sposób tych różnic nie zauważyć i nie odnotować. Nawet na przykładzie dwóch powyższych publikacji o Iranie i Iraku, po wręcz pobieżnej lekturze, tuż za ostatnią stroną każdego z przywołanych tytułów, wyłania się zamglony obraz autora opowieści, który i tak wcześniej, co chwilę, przebija się i prześwituje przez kolejne kartki i akapity. Można w tym miejscu prawdopodobnie przypuszczać, że codzienna profesja podróżnika ma znaczenie i jest bardzo istotna w całym procesie powstawania kolejnych edycyjnych tytułów.

Swoją opowieść niedaleko opisywanych powyżej regionów osadził także Bartek Sabela w wydanej nie tak dawno i przekornie zatytułowanej książce „Może morze wróci”. Autor, trochę architekt, trochę grafik i trochę projektant wybrał się na wycieczkę nad morze, ale... morza nie ma. Cofnęło się – być może na dobre. *Co tu się wydarzyło? Dlaczego to wszystko tak wygląda? Kto wyciągnął korek i spuścił całą wodę?*<sup>232</sup> – pyta retorycznie Sabela, stojąc suchą stopą w morzu. Opowiada o Uzbekistanie i swojej wędrownce przez ten kraj aż po wysychające Morze Aralskie. Centrum Azji Środkowej, znane dotychczas bodaj tylko z polskich opowieści Ryszarda Kapuścińskiego i kilku zagranicznych publikacji, m.in. Colina Thubrona czy Elli Maillart – to kamienie milowe.<sup>233</sup> Cały ten obszar milczy w polskiej

---

<sup>231</sup> M. Zawadzki, *Nowy wspaniały Irak*, Warszawa 2012, str. 42.

<sup>232</sup> B. Sabela, *Może morze wróci*, Gliwice 2013, str. 160.

<sup>233</sup> Obie publikacje ukazują się na polskim rynku wydawniczym z ogromnym i wręcz nieprawdopodobnym opóźnieniem. Pozycja Szwajcarki Elli Maillart, wspomnianej już kilkanaście stron wcześniej przy okazji japońskiej reminiscencji, zatytułowana „Od gór niebiańskich do czerwonych piasków” wydana została w Genewie już w 1986 roku, a polski czytelnik dostał jej przekład do ręki dopiero po dwudziestu jeden latach. Podobnie rzecz ma się z „Utraconym sercem Azji” angielskiego globtrotera Colina Thubrona, który na polskie tłumaczenie musiał czekać lat osiemnaście, aż od roku 1994. Na tym przykładzie widać wyraźnie, jak bardzo

literaturze podróżniczej. Czasem tylko jakieś wzmianki. Sabela robi zwrot we właściwą stronę – odkrywa zakryte, a prawda o barbarzyństwie wycięcia niemal w pień morza, krok po kroku wychodzi na światło dzienne. Tysiące kilometrów kanałów do nawadniania bawełnianych pól zabrało wodę, bez której umierają miasteczka i kończy się przedwcześnie uzbecki świat. Autor, docierając do cofającego się zbiornika, przemierza fragment dawnego Jedwabnego Szlaku.<sup>234</sup> *Aral ma wiele imion, każda cywilizacja panująca na tych terenach nadawała mu swoje. I tak przez Persów był nazywany morzem Chorezm – od starożytnej nazwy regionu, w którym leży. Rosjanie, którzy bywali na tych obszarach już w XVII w., mówią o nim Sinije Morie, Błękitne Morze. W języku Uzbeków i Karakałpaków ma nazwę Orol Dengizi lub Aral Teniz, co oznacza Morze Wysp.*<sup>235</sup> Odwiedza Taszkent, Samarkandę, Bucharę, Chiwę. Wiele miejsc dokumentuje barwną fotografią. Ociera się o Turkmenistan, który w swojej opowieści „Na wschód do Tatarii” wspomina w kilku słowach także inny zachodni reporter, Robert Kaplan: *Zostałem na pokładzie do późnej nocy, pośrodku czerniejącego morza, słuchając rżenia dobywającego się z maszynowni statku, który zmierzał ku niewidzialnej granicy między Azerbejdżanem i Turkmenistanem – między Kaukazem i Azją Środkową.*<sup>236</sup> Dla Sabeli Turkmenia musiała poczekać.

*Wjeżdżałem do tego kraju nie bez obaw. Nikt nic o nim nie wiedział. Kogo nie pytałem – cisza. Podobno cud, że wbili wizę. Stałem w porcie cały dzień. Żar. Statek z Baku bardziej przypominał żelazko, niż pasażersko-towarowy liniowiec do Turkmenbaszy. Kaplan miał sielankę – myślałem. Czego nie dotknąłem – parzyło. Gdy wyszliśmy w końcu w morze, lekko wiało tylko na szczycie, przy buchających dymem kominach. Tam spędziłem noc na twardej, ale chłodnej blasze. Nad ranem, może bardziej już koło południa, turkmeński port zaczął wołać syrenami. Złamany żuraw sterczał w wodzie jak kikot topielca. Odprawy, opłaty, protokoły, cła i setki papierów. Podobno to cud, że wpuścili ze swoim samochodem.*

rodzimy rynek wydawniczy jest jeszcze w powijakach i jak wiele tym samym ciekawych i wartościowych światowych publikacji czeka nadal na swój polski debiut.

<sup>234</sup> W historycznym ujęciu warto w tym miejscu przywołać także np. publikację Aleksandry Kajdańskiej i Edwarda Kajdańskiego, którzy nakładem wydawnictwa „Książka i Wiedza” wydali obszernie i skrupulatnie opracowanie zatytułowane „Jedwab. Szlakami dżonek i karawan”. Zawarte w publikacji informacje bez przeszkód mogą posłużyć wielu podróżnikom jako tło oraz jako swoisty klucz do właściwego odczytania licznych następnych książek podróżniczych. Wszak dzisiejsza wędrówka po Jedwabnym Szlaku toczy się aktualnymi drogami nowych państwowości: od Dalekiego Wschodu aż po basen Morza Śródziemnego. *Gdy w roku 445 p.n.e. Herodot zachwycił liczne audytorium w Atenach niezwykłymi opowieściami o nieznanym ludach Azji i Afryki, przekazał również swym słuchaczom zasłyszane informacje o istnieniu wielkiej drogi handlowej prowadzącej od Morza Czarnego daleko na wschód, aż do surowej, zimnej krainy słynącej z obfitości złotego kruszcu. Dziś wiadomo, że droga ta prowadziła do północnych obszarów Syberii, złoza złota zaś, o których wspomina Herodot, znajdowały się gdzieś nad Leną, Jenisejem lub w Górach Altajskich.* A. Kajdańska, E. Kajdański, *Jedwab. Szlakami dżonek i karawan*, Warszawa 2007, str. 12.

<sup>235</sup> B. Sabela, *Może morze wróci*, Gliwice 2013, str. 73.

<sup>236</sup> R.D. Kaplan, *Na wschód do Tatarii*, Wołowiec 2010, str. 456.

*Za kilka dni, ślimacząc się po pustyniach, dojechałem w końcu do stolicy. Aszchabad. Po drodze nie wiedziałem od upału, jak się nazywam. Pięćdziesiąt w cieniu. Nabierałem powietrza i niemiłosierny żar palił krtań. Tak tam jest, na południu Kara-kum. Siedemdziesiąt siedem w słońcu. I jak wtedy znaleźć igłę w stogu siana? Czego uczy podróż? Jak prawie każdemu się udaje? Na początku nijak nie mogłem go znaleźć. Zapadł się pod ziemię. Andrzej Madej jest misjonarzem w Turkmenii. – Przyjedź do mnie, przyjedź – mawiał przy różnych okazjach i w listach. Upał lał się z nieba jak tłuszcz z gorącej patelni. Otwierałem szybę i powietrze paliło ręce. Telefony nie działały. Jak go znaleźć w rozległej muzułmańskiej stolicy? Jakim sposobem? Kogo zapytać, poprosić o pomoc? Nie miałem adresu, nic. Kto może wiedzieć? Kto może zaprowadzić? To Polak – dedukowałem, czyli muszą go znać w polskiej ambasadzie. Ale jak znaleźć polską ambasadę? Jak „ambasada” będzie po turkmeńsku, a w najlepszym wypadku po rosyjsku? Miałem adres konsulatu, ale nikt nic nie wiedział: ani przechodnie, ani policjanci na rogach ulic, ani przydrożni sprzedawcy arbuźów i melonów. Kto może wiedzieć? Kto o mieście wie wszystko? Taksówkarze. Oni nigdy nie zawodzą. W tym skwarze, za drobną opłatą, zwiozą nawet do piekła. Zrzuć w czeluść, byle nie parkować beczynnie. Zawsze pomagają. Znają każdy sklep, każdy zakamarek. Wiedzą o skrótach, o ludziach nikczemnych profesji, o notablach. Są lepsi od rewirowych listonoszy. Ale jak znaleźć taksówkę? Jeździłem po mieście na wszystkie strony, a wszystkie taksówki, jak na złość, zapadły się pod ziemię. Tylko czasem mignął gdzieś żółty kolor karoserii, ale nie sposób było go dogonić; akurat nawrócić, potem wyprzedzić i zatrzymać. Miejscowi na potęgę korzystali z transportu-okazji: kto tylko miał wóz, dorabiał na własną rękę, udając taksówkę. Szara strefa w szarych samochodach. Ale jak znaleźć taksówkę? Oczywiście najlepiej na wyznaczonym postoju, a ten z pewnością będzie przy jakimś dworcu kolejowym. Ale gdzie jest dworzec? Ruch uliczny niczemu nie sprzyjał. Gwar. Hałas. Trąbienia. Dworzec będzie tam, gdzie tory. Ale gdzie są tory? Przy wjeździe do Aszchabadu tłukłem się przez wielkie kolejowe rozjazdy – trzeba tam wrócić i potem po nitce do kłębka, na dworzec. Patrzałem na słońce i z dobrą godzinę wracałem na północ, na rogatki miasta. Wszędzie ludzie siedzieli na piachach. Tam nawróciłem i wzdłuż torowisk przeskakiwałem do przodu, przed siebie. Mostami, przez wiadukty, po przejazdach, po zwrotnicach. Kilometr za kilometrem. Pod ścianą dworca kłębił się zbity tłum – ale stały też taksówki. Kierowca machał głową, że wszystko wie i rozumie, wziął pieniądze i kazał jechać za swoim bagażnikiem. Zaczął szukać. Pytać. Błądzić. Zawracać. Nawracać. Znowu pytać. Jechałem pokornie za żółtą jak żółtko ładą i czekałem na cud. Wiedział i nie wiedział. Domyślał się, ale nie był pewny. Lecz umiał pytać. Wszyscy byli niemal jego najlepszymi znajomymi. W końcu stanęliśmy pod małym i zalesionym domkiem ambasady. Kraty. Domofony. Kamery. Chciał jeszcze czekać, pomóc, ale machnął ręką i odjechał. Znalazłem w murze dzwonek i zgłosił się konsul. Za nic nie chciał wpuścić do środka i otworzyć drzwi. Lustrował obiektywami, które buczały na gzymsach jak szerszenie. W końcu wyszedł i stał karnie kilka metrów za siatką*



*ogrodzenia: rozmawialiśmy jak w więzieniu lub w obozie, tylko do dziś nie wiem, kto był uwięziony. Łatwiej w tym mieście znaleźć taksówkarza – pomyślałem, niż jak Polak z Polakiem zamienić słowo. W końcu powiedział, gdzie znajdę misjonarza: niedaleko, tylko wozem trzeba objechać jakiś zakaz. – Nie przegap jasnej, wciśniętej w zabudowania, bramy – tłumaczył. – Nie rozpędzaj się, bo przejeździsz – nadganiał spóźnioną uprzejmością. Pojechałem. Przejechałem. Nawróciłem i znów przejechałem. Szukałem krzyża, ale na bramie, zieloną emalią, ktoś wymalował rybę.*

Podróż Sabeli wyglądałaby pewnie podobnie. Ale i Turkmenistan, i wcześniej Syrię z Turcją i Iranem, oraz Uzbekistan, Tadżykistan i rozległe na koniec Chiny z kończącą przygodę Tajlandią mają na swojej podróżniczej mapie Ania i Robert Maciągowie. Postanawiają na rowerach przejechać kurs Jedwabnego Szlaku.<sup>237</sup> *Mieliśmy szczęście. Mnóstwo szczęścia. W dwa i pół roku po powrocie z rowerowej podróży do Indii znów byliśmy w drodze. Tak bardzo potrzeba nam było tej podróży. Tak bardzo bolała rozłąka z byciem w drodze, że trudno było żyć problemami miasta. Rachunkami i banalnymi zakupami.*<sup>238</sup> Gdy nie umieli już wysiedzieć w domowych pieleszach, wyznaczyli ambitny szlak podróżniczej przygody, zostawiając tym samym dla innych cenne drogowskazy. I choć książkę o wyprawie pisze Robert, jego małżonka jest tam ciągle obecna. Na co dzień oboje prowadzą fundację „Szkoly na końcu świata” oraz organizują szereg tematycznych warsztatów dla szkolnych dzieci i gimnazjalnej młodzieży. O swojej rowerowej eskapadzie opowiadają z zainteresowaniem i charyzmą godną dzielnych wojowników. Mimo zmęczenia nie tracą optymizmu. Odwiedzane kraje są im przyjazne i na swój sposób chcą dać o tym świadectwo. *Wróciliśmy z tej podróży cali i zdrowi. Przez osiem miesięcy nic nam się nie stało, nikt na nas nie napadł, nikt nie zrobił nam krzywdy. Jesteśmy parą zwykłych ludzi, którzy odważyli się pojechać w nieznanym im świat. Skoro wróciliśmy bez blizn i szwów, ten*

---

<sup>237</sup> Wartym odnotowania w tym miejscu jest niezmiernie cenne wznowienie w ostatnim czasie (po niemal stu latach) wspomnień barwnej postaci generała Bronisława Grąbczewskiego, które wiernie oddają przebieg jego wypraw i podróży po Azji Środkowej w końcu XIX wieku. Prezentując siedmuset stronicowe dzieło, w uwagach poprzedzających wstęp, Olgierd Budrewicz zapisał: *Mamy też niesamowite opisy bitew, dokonujemy szczegółowych przeglądów miast (na przykład Kyzylu do którego kiedyś osobiście w Tuwie trafilem!), pijemy kumys (co początkowo jest istną torturą i przychodzi z wysiłkiem na pewno większym niż udział w bitwach), towarzyszymy obronie podczas nocnego napadu bandytów na obóz odważnych podróżników. Później nic nie jest już straszne, nawet spotkanie z tygrysami i panterami, nawet konieczność wkraczania na wysokość pięciu tysięcy metrów, rozmowy z mieszkańcami aunów, z przywódcami plemion chińskich, z po raz pierwszy spotkanymi osobnikami i ich dziwnym językiem.* B. Grąbczewski, *Podróże po Azji Środkowej 1885-1890*, Warszawa 2010, str. 6.

<sup>238</sup> R. Maciąg, *Tysiąc szklanek herbaty*, Kraków 2012, str. 7.

świat musiał być dobry i przyjazny.<sup>239</sup> Gdy patrzy się na mapę, trudno uwierzyć w taką historię. „Tysiąc szklanek herbaty” (*W naszej podróży najwięcej było... herbaty. Zastanawiałem się długo, co było łącznikiem tych wszystkich miejsc, które tworzyły Jedwabny Szlak, i jakkolwiek bym kombinował, zawsze padało na herbatę. Od Damaszku przez Azję Środkową do Chin*<sup>240</sup>) jest opowieścią zarówno o przeżyciach dwójki śmiałków, jak i o urokach miast i miasteczek, do których przychodzi im zajeżdżać. Nie są ani zmęczeni, ani zniechęceni. Objuczone rowery toczą się z nimi jak pradawne wschodnie karawany. Obserwują. Robią zdjęcia. Analizują. Rozmawiają. *Podróże przedstawiają nam świat w wielu wymiarach. To już nie tylko historyjka opowiedziana przez znajomego czy obejrzana na ekranie. To smaki, kolory, wiatr we włosach, dźwięki i zapachy. Wystarczy usiąść na ławce w parku, by poczuć intensywność odwiedzanego miejsca.*<sup>241</sup> Ciągłe jadań na wschód, a odwiedzane kraje stanowią w ich opowieści nie mały bagaż wrażeń i ekscytujących przeżyć. Pokonują kilometry, granice, rzeki i góry. Wysiłek fizyczny zdaje się schodzić na plan dalszy, a podróżnicza codzienność skwapliwie wykorzystuje każdy moment, by nie dać o sobie zapomnieć – także na koniec mozolnych dni, gdy autor wspomina: *Choć we wszystkich przewodnikach napisane jest, że na terenach przygranicznych nie wolno nocować, rozbiliśmy namioty ledwo ze dwa kilometry od płotu z kolczastego drutu oddzielającego Turkmenistan od Uzbekistanu. Nie byliśmy żadnymi chojrakami ani nie próbowaliśmy czegoś dowieść czy rzucić czemuś wyzwania, tylko najzwyczajniej zrobiło się późno. Trzeba było położyć się gdzieś spać, a nie jeździć po nocy po obcym kraju. Wojskowi z przygranicznych koszar napelnili nam bukłaki wodą i o nic nie pytali, więc wzięliśmy to za dobrą monetę.*<sup>242</sup> Bez wątplenia są dziarscy, a na przykładzie ich publikacji można odnieść wrażenie, że świat staje się za mały i za ciasny, bowiem ile jeszcze takich i podobnych wyzwań? Dwa? Trzy? Tym samym literatura podróżnicza, jako relacja i sprawozdanie, powoduje taką oto sytuację, że zakamarki globu z początku XXI wieku przestają mieć tajemnice i coraz bardziej są na wyciągnięcie wędrownej ręki. Jeśli dwoje ludzi potrafi na rowerach przejechać tysiące kilometrów i spędzić w drodze, na siodełku, osiem miesięcy, cóż stoi na przeszkodzie ku innym podobnym wyprawom? Ich pomarańczowa książka, o nietypowym jak na przyjęte standardy formacie, dziś na księgarskich półkach jest jedyną w swoim rodzaju, ale jak będzie jutro? Co przyniosą kolejne tygodnie? *Wyjechaliśmy z tureckiego Stambułu, a zajechaliśmy*

---

<sup>239</sup> R. Maciąg, *Tysiąc szklanek herbaty*, Kraków 2012, str. 318.

<sup>240</sup> Tamże, str. 10.

<sup>241</sup> Tamże, str. 318.

<sup>242</sup> Tamże, str. 153.

ostatecznie do Bangkoku w Tajlandii. Ciągle nam było mało<sup>243</sup> – dodaje na zakończenie Maciąg.

Warto jednak wspomnieć, że „Tysiąc szklanek herbaty” nie jest pierwszą książką, jaka wyszła spod pióra Roberta Maciąga. Nieco wcześniej, wiedziony szaleńczym pragnieniem zapomnienia, przepadnięcia i osobistej terapii odbył rowerową podróż po Chinach, Wietnamie, Kambodży i Laosie. *To miały być zwykłe wakacje. Trzy tygodnie z wizytą u żony, która akurat studiowała chiński w Wuhu, 90 km na południe od Nanjing. Po kilku nocach okazało się, że ktoś już wcześniej zajął moje miejsce, a ja tylko przeszkadzam. Muszę się usunąć. Wyjechać. Wrócić do Europy i „coś ze sobą zrobić”.*<sup>244</sup> Targany wewnętrznymi emocjami – *Podróż jako terapia? Dlaczego by nie.*<sup>245</sup> – ruszył w trasę. Książka opowiada więc o podróżniczych perypetiach, a wnikliwość Maciąga budzi nieskrywany zachwyt. Skrzętnie i po benedyktyńsku zapisuje swój dziennik, by po powrocie do kraju wydać go w formie książki, która już dziś doczekała się drugiego wydania, co w przypadku typowej publikacji o takim charakterze nie zdarza się często, choć tak naprawdę, by zrobić z tego zaletę, trzeba byłoby również znać nakład wydania pierwszego i porównać takie dane z rzetelnymi informacjami pochodzącymi z innych polskich wydawnictw. Jednak Maciąg nie jedzie dla książki, tylko dla siebie. I relacjonuje: *Zatrzymałem się po drodze na codzienną zupę. Takich postojów „zdarza” mi się codziennie kilka. Czasem jest to wielka miska zupy, czasem bułki gotowane na parze. Czasem tylko herbata i jakieś herbatniki. Czasem ktoś próbuje mnie zagadać. Czasem szczerze, a czasem tylko po to, by inni zauważyli.*<sup>246</sup> Opisuje kraje, spotkanych ludzi, opowiada o charakterystycznych mementach. Jednak jego opowieść niesie w sobie jeszcze jedną konstatację podsumowaną kończącym wnioskiem: *Nie opuszcza mnie wrażenie, że tylko to, czego nie udało mi się zapisać było/jest tak naprawdę ważne. Wszystko inne było/jest na tyle proste/prostackie, że potrafiłem to ubrać w słowa.*<sup>247</sup> Doświadczenie drogi na swój sposób go oczyszcza i po siedmiu tysiącach kilometrów można powiedzieć, że wraca odmieniony i porządkuje z nową energią swoje życie prywatne: *Wróciłem pod adres, pod którym byłem zameldowany. Zabrałem swoje rzeczy i czym prędzej wyjechałem pod inny. Nie odzywałem się przez kilka miesięcy. Odbudowywałem Życie, Zaufanie i Wiarę w Ludzi i... zająłem się Zwyczajnością. Ona przecież najlepiej wypełnia*

---

<sup>243</sup> R. Maciąg, *Tysiąc szklanek herbaty*, Kraków 2012, str. 315.

<sup>244</sup> R. Maciąg, *Rowerem przez Chiny, Wietnam i Kambodżę*, Poznań 2009, str. 9.

<sup>245</sup> Tamże.

<sup>246</sup> Tamże, str. 39.

<sup>247</sup> Tamże, str. 175.

*Pustkę. Gdy znów zacząłem się uśmiechać, zażądałem rozwodu. Nie prosiłem, nie pytałem. Żądałem. Chciałem się pozbyć tego raka wspomnień i obrzydzenia. Kilka miesięcy później urosłem w siłę na tyle, by znów zaryzykować. Nowe wzruszenia, nowe nadzieje, Nową Miłość.*<sup>248</sup> W tym znaczeniu rowerowa i samotna podróż Maciąga spełnia także inną i odmienną rolę, choć być może jest i tak, że podobnych podróżniczych motywów jest wiele, jednak nie zawsze czytelnik dowiaduje się o tym tak wprost, jak w tym przypadku, a autor kończy swoją relację przekorną dedykacją: *Wszystkim Wojownikom Światła bo wszystko jest bezpieczniejsze od Miłości...*<sup>249</sup>

W jakimś jednak sensie trwa moda na rowerowe wyprawy<sup>250</sup>. Popularność tego środka transportu ma pewnie wiele przyczyn, jednak nie można tego nie zauważyć. Rower stał się sposobem na tanie i bardzo atrakcyjne podróżowanie, i choć wymaga nie lada siły fizycznej i sporej rezerwy czasowej, pozwala jednak zajrzeć w miejsca, które niejednokrotnie z punktu widzenia podróży samolotem, autobusem czy koleją, nieosiągalne są dla innych wędrowców. Dwa kółka mają też jeszcze jedną bezsporną przewagę i zaletę: są szybsze i wygodniejsze w podróży, niż np. własne nogi. Bieg czy marsz niesie w sobie wiele ograniczeń i taki sposób oglądu świata należy dziś do niezmiernie rzadkich i wręcz niespotykanych. Ekspedycja rowerowa otwiera na tym tle wiele unikatowych możliwości, a i w swoim charakterze wydaje się być bardzo atrakcyjną. Jadąc na dwóch kółkach można też zabrać więcej i łatwiej, jak się wydaje, znaleźć miejsce na nocleg. Kompatybilny i zwarty środek transportu, jakim jest rower, nie jest samochodem czy motorem: da się go w miarę łatwo gdzieś wnieść, przenieść, włożyć do pociągu, schować pod sianem i w trawach – ale i w miarę szybko i tanio naprawić. A badaj co najważniejsze: podróż rowerem nic nie kosztuje, bo rower po prostu nie spala paliwa innego, niż mięśnie podróżnika.

Gnani rowerową przygodą, Maciągowie redagują i piszą inną podróżniczą książkę. Zbierają własne doświadczenia i wydają „Podręcznik przygody rowerowej”. *Oddajemy Wam do rąk książkę pełną rowerowych wspomnień i wiedzy płynącej z doświadczenia. Znajdziecie*

---

<sup>248</sup> R. Maciąg, *Tysiąc szklanek herbaty*, Kraków 2012, str. 179.

<sup>249</sup> R. Maciąg, *Rowerem przez Chiny, Wietnam i Kambodżę*, Poznań 2009, str. 179.

<sup>250</sup> Popularna staje się nie tylko rowerowa eskapada, ale także spisane o niej słowo. Kolorową książkę o swoich rowerowych podbojach, terytorialnie jednak dotyczących Europy z kawałkiem Kaukazu (czy Kaukaz jest w Europie? – to pytanie powraca wciąż jak mantra), wydaje także Ryszard de Teisseyre, Polak i wrocławianin, z francuskim rodowodem sięgającym XIV wieku, przez przyjaciół pieszczotliwie zwany Markizem. Autor opisuje gros swoich rowerowych tras pokonywanych wspólnie z Ryszardem Grześkowiakiem, a kończy opowieść westchnieniem weterana: *Spotkani w czasie powrotu rowerzyści wręcz czołem dotykali asfaltu w podziękę za nasze rady – jak dać redę Nordkappowi*. R. de Teisseyre, *Turistika extreme*, Warszawa 2013, str. 488.

w niej wszystko, co wiemy o radzeniu sobie w drodze, o planowaniu, o urokach i przeszkodach. Dowiedcie się, jak znaleźć swój idealny rower i w jaki sposób to wszystko spakować i zabrać ze sobą w świat.<sup>251</sup> Publikacja jest o tyle ciekawa, że składa się z dwóch wyraźnych części, gdy w pierwszej przeczytać można kilkanaście autorskich relacji z różnych wypraw na rowerach (spisanych ręką licznych podróżników), a w drugiej autorzy skupiają się na praktycznych poradach dotyczących przygotowania sprzętowego, serwisu, części zamiennych i wszystkich innych technicznych informacjach niezbędnych, by usiąść w końcu w siodełku i jechać przed siebie. Pokazują także, na przykładzie zamieszczonych fotografii, jak i gdzie najłatwiej rozłożyć namiot, gdzie na rowerze wozic wodę, gdzie trzymać dokumenty i jak się zachowywać w ekstremalnie trudnych sytuacjach: nocą, na tłocznych miejskich drogach lub na gigantycznych i słonecznych pustkowiach. Publikacja ma więc w sobie co najmniej dwie zalety, a przemierzone i opisane na jej kartach śmiałe trasy rowerowe przywołują takie miejsca, jak nawet odległy Tybet, wyspiarski Madagaskar czy pustynną Mongolię. Autorzy zamieszczonych relacji opowiadają także o swoich wyczynach w Gruzji, Maroku, Sudanie, na europejskiej Islandii, czy nawet pedałując po Wietnamie i pamiirskim „Karakorum Highway”. *Gdyby nie rowerzyści, kto odwiedzałby wszystkie te wspaniałe miejsca leżące z dala od głównych dróg? Kto poznawałby ludzi i historie ich życia? Kto wytoczyłby nowe drogi wbrew wszystkiemu i zdrowemu rozsądkowi?*<sup>252</sup> Oczywiście otwartym w tym miejscu pozostaje pytanie do autorów o fakt proporcjonalnie jednak małej ilości publikacji płynących od piszących rowerzystów, jak i o charakter ich opowieści, gdy już za pióro sięgną.

Wartą przywołania w tym miejscu wydaje się także inna rowerowa i podróżnicza przygoda, której opis dotyczy kraju leżącego nieco na północny wschód od wspomnianego Uzbekistanu – a mianowicie stepowej Mongolii. Podróżniczy dziennik prowadzi z wyprawy Adam Wiśniewski, który skrupulatnie i nad wyraz dokładnie zapisuje każdy niemal techniczny szczegół ekspedycji na dwóch kółkach. Trójka znajomych poleciała na Gobi samolotem, by po wyjściu z lotniska udać się w karkołomnie trudną i wyczerpującą trasę.

„Kiedy samolot zaczął podchodzić do lądowania, za oknami widać było rozległe pustkowia. Górzysty teren o zielono-brązowej kolorystyce, gdzie doliny wcinały się w liczne pagórki, tworząc niesamowity widok. Tak, jakby nie miało to końca. Od horyzontu po horyzont. Siedzieliśmy i zastanawialiśmy się, gdzie są drogi, czy w ogóle jakieś da się

---

<sup>251</sup> A. R. Maciąg, *Podręcznik przygody rowerowej*, Gliwice 2012, str. 8.

<sup>252</sup> Tamże, str. 7.

znaleźć. Można było dostrzec tylko niewielkie nitki, niknące gdzieś w tym gąszczu pagórków. Kolejną, nową dla nas rzeczą był brak osad, miejscowości czy miast. Praktycznie wyglądało to tak, jakbyśmy mieli zaraz zostać zrzuceni na kompletnym pustkowiu. Trzyosobowy oddział, którego celem jest rozpoznać nowy, nieznaną teren.”<sup>253</sup>

Mongolia nie daje im wytchnienia, a po dziesięciu dniach wspólnego pedałowania jedna z osób rezygnuje z wycieczki i wraca do kraju. Kraina Czyngis Chana jest wymagająca. *W pewnym momencie, kiedy naciskałeś na pedał, rower po prostu stał w miejscu, a koła ześlizgiwały się na sypkiej nawierzchni.*<sup>254</sup> Takich i podobnych opisów jest bardzo wiele. Tajemnicza Mongolia wyciska z rowerzystów siódme poty. *Kiedy już ci się wydaje, że zdobyłeś najgorszą z nich, podjechałeś na najbardziej paskudną przełęcz w swoim życiu, i jesteś mistrzem, człowiekiem, który dokonał niemożliwego, nagle stajesz przed kolejną górą. Ta jest jeszcze wyższa, jeszcze bardziej stroma, a droga, która na nią prowadzi, wcale nie pomaga w osiągnięciu celu. Wydaje się wręcz, że i góra, i droga zmawiają się przeciwko tobie, utrudniają każdą rzecz, jaka tylko może być.*<sup>255</sup> Naprawdę strach to wszystko czytać i czym bardziej czytelnik zanurza się w głąb lektury dziennika, tym mniej dziwi przedwczesny powrót do kraju jednej z uczestniczek wyprawy. W wielu bowiem miejscach jazda na rowerze przeistacza się w ręczne i mechaniczne pchanie swojego jednoślada. Ukształtowanie terenu nie raz zmusza także współtowarzyszy do karkołomnej wręcz czynności, a mianowicie wciągania na wzniesienia jednego tylko roweru przez dwie osoby – co każe potem wrócić na sam dół góry – po drugi bicykl. Po tysiącu przejechanych kilometrów, kiedy wydaje się, że zmęczenie nie robi już na nich absolutnie żadnego wrażenia, Wiśniewski notuje w dzienniku: *A właściwie to dlaczego by nie rzucić pracy, spakować część rzeczy, resztę zostawić, i ruszyć przed siebie, przeżywając niesamowite chwile i nie martwiąc się tym, że czas zaczyna się kurczyć i zaraz trzeba będzie wracać do roboty, znowu siąść za biurkiem i myśleć tylko kiedy znowu uda się wyrwać na kilka tygodni? Czasem za mało mamy odwagi na taką decyzję, czasem uważamy, że jest już za późno, bo obowiązki, kredyty, praca.*<sup>256</sup> Przejeżdżają 1490 kilometrów.

Prastara i stepowa kraina Czyngis Chana sprzyja także i otwiera się szerokimi ramionami przed opowieścią Małgorzaty Dzieduszyckiej-Ziemilskiej. Pechowo dzieje się jednak inaczej i autorka feralnie, przez pięć tygodni, podróżuje w towarzystwie francuskich

---

<sup>253</sup> A. Wiśniewski, *Mongolia, czyli drogi rzadko uczęszczane*, Brzezia Łąka 2011, str. 9.

<sup>254</sup> Tamże, str. 76.

<sup>255</sup> Tamże, str. 79.

<sup>256</sup> Tamże, str. 155.

znajomych, a osobiste perypetie (i niestety europejskie, w tym przypadku wybitnie kolonialne przyzwyczajenia) nie pozwalają jej, jak się wydaje, na pogodną i beztrudną wędrówkę, gdy sama na początku relacji przyznaje: *Do Mongolii wybierałam się od kilku lat. Zaprzyjaźniona ze mną Francuzka Yvonne jeździ tam często w celach naukowych. Namawiała mnie na tę podróż z takim entuzjazmem, że w końcu uległam. Dawno temu odbyłam z nią wędrówkę po wschodniej Polsce, była interesującym kompanem. Sama niezły oryginał, przyjaciółka kotów, dzieci i zagubionych stworzeń, ciekawa dziwnych miejsc i niezwykłych ludzi. Wykupiłam bilet kilka miesięcy wcześniej, żeby było taniej. Tyle że się pomyliłam i zamiast do Ułan Bator kupiłam do... *Atma Aty*.<sup>257</sup> Sytuacja ta staje się brzemienne w skutki, tym bardziej, gdy wspomniana jest Polce w dosyć dokładnych i precyzyjnych słowach przez francuskiego towarzysza podróży: – *Nie mam dla pani za grosz szacunku! Jest pani największą kretynką, jaką znam! Krzyczy na cały parking, zwracając uwagę pary mongolskich turystów i pasących się jaków*.<sup>258</sup> Autorka sama sobie jest winna, a Mongolia cierpliwie i milcząco znosi jej obrazy (kaprysy), których co chwilę więcej i więcej. Mimo wykonanych wielu ciekawych zdjęć, a przede wszystkim odwiedzonych bezcennych miejsc na bezkresnym stepie, które przychodzi im wspólnie oglądać (w towarzystwie miejscowego i najętego do pracy kierowcy dżipa, któremu także się obrywa), najwyraźniej widać, że autorka nie tylko przez zakupiony bilet pomyliła się co do kierunku swojej eskapady. Być może najlepiej byłoby dla niej zostać w Polsce lub pojechać gdzieś na zachód Europy. Nie sposób w tym miejscu nie przywołać innej krótkiej relacji, gdy podobnych, na szczęście, próżno szukać na stronach licznych, dotyczących Mongolii i nie tylko, przykładów polskiej literatury podróżniczej.*

„Było jeszcze wcześniej, więc po tej emocjonalnej wycieczce zanurzyłam się w śpiworze i przykryłam swoim kocykiem z wełny jaka, gdy wtem zaludniło się w namiocie. Weszli gospodarze z dzieckiem i kolegą dziecka, i z siostrą, i z jakimś sąsiadem. Faceci usiedli na stołeczkach, kobiety przystąpiły do porannych toalet – czeszą się, nad umywalką obmywają twarze, myją zęby, robią dzióbek do lusterka, żeby pomalować usta – kompletnie nie zważając na to, że obok cztery obce osoby leżą w łózkach, w dodatku trzy jeszcze śpią w najlepsze. Budzę Yvonne i mówię, żeby wyrzuciła to towarzystwo, bo ja w swoim repertuarze języka mongolskiego nie doszłam jeszcze do odpowiednich sformułowań. Mogę posłużyć się w miarę uniwersalnymi „a sio” albo „a kusz”, ale nawet jeśli będą

---

<sup>257</sup> M. Dzieduszycka-Zielińska, *Wszyscy jesteśmy nomadami*, Warszawa 2012, str. 7.

<sup>258</sup> Tamże, str. 68.

rozumiały, to nie jestem pewna, czy przy tak wyrażonej różnicy kulturowej nie powstanie niepotrzebne napięcie.”<sup>259</sup>

Na swój sposób „Wszyscy jesteśmy nomadami” ilustruje smutną i bolesną prawdę o niestety jeszcze mnogich sposobach podróży Europejczyka do innych, pozakontynentalnych kultur. Stanowi jaskrawy przykład kompletnego nieprzygotowania i niezrozumienia, gdy zdziwieniu towarzyszą komentarze „a sio”, „a kysz”. Podobnych zachowań, o typycznym i wręcz książkowym przykładzie, jest w publikacji Dzeduszyńskiej-Ziemilskiej bardzo wiele, za dużo na publicystkę, krytyka teatralnego i dyplomatę – co o autorce można przeczytać w notce biograficznej na okładce książki. Za dużo na kierownika literackiego Teatru Kalambur we Wrocławiu i Teatru Studio w Warszawie. Za dużo na doradcę ministra kultury w pierwszym niekomunistycznym rządzie RP. Można też na tej okładce przeczytać, że relacja okraszona jest autoironicznym komentarzem. Wydaje się, że to nie autoironia, ale zwykły kulturowy skandal, gdy gradacja wartościująca aż kipi z opisów. Smutną konstatacją tej publikacji może być stwierdzenie jednego z filozofów, że rozczarowanie zawsze jest dzieckiem oczekiwań. Gdy bowiem na końcu swojej relacji, tuż przed odlotem, wsiada w Ułan Bator do mongolskiej taksówki, czeka tylko na moment, aż zostanie zgwałcona, sponiewierana, zaszlachtowana, ubita i porzucona na stepie z poderzniętym gardłem – w dodatku okradziona z pieniędzy i bagażu<sup>260</sup>, no bo jak wtedy wróci do ojczyzny?

Zgołą inną Mongolię od ponad siedemnastu lat, rokrocznie, odwiedza Bolesław Uryn, doktor nauk przyrodniczych, reporter i fotografik, na którego miejscowi wołają na stepie Boleebaatar. Jak można się domyślać, jego przywiązanie do bezkresnego stepu jest ogromne, a i podróżnicza publikacja ma charakter zarówno historycznej retrospekcji, jak i opowieści o przygodach i przeżyciach. Książka składa się bowiem z dwóch zasadniczych części, gdy w pierwszej akcent położony jest na zarysowanie właśnie tła historycznego, a w drugiej natomiast autor opowiada ze swadą o dzisiejszej codzienności stepowych mieszkańców. Zna Mongolię jak własną kieszeń i czuje się w niej jak w domu. Nic nie jest mu tam groźne, a jego publikacja stanowi unikatowy przykład relacji człowieka na dobre już zespolonego z podróżniczą miłością swojego życia. Śpi, pracuje, łowi. Wędruje u boku azjatyckich nomadów. *Czy wiecie, jak najlepiej oglądać Mongolię? Poznawać tę zachwycającą krainę, przemierzając w komfortowych warunkach setki kilometrów gór czy stepów? Po drodze goszcząc w jurtach, robiąc krótkie piesze lub konne wycieczki i codziennie wędkując?*

<sup>259</sup> M. Dzeduszycka-Zielińska, *Wszyscy jesteśmy nomadami*, Warszawa 2012, str. 148.

<sup>260</sup> Por. tamże, str. 263.



*Oczywiście – tylko spływając kanadyjką jedną z tamtejszych rzek. Jest w czym wybierać, bo przez ojczyznę Czyngis-chana płyną liczne, piękne i wielkie rzeki: Sziszchid, Tengys, Eg, Selenga, Orchon, Onon, Kerulen, Czuluut... Wspaniałe tysiąckilometrowe „autostrady”.*<sup>261</sup> Łatwość, z jaką snuje swoją opowieść Uryn, bezsprzecznie wskazuje na fakt, że jest z krainą Temudżyna za pan brat. Mnogość podróży do jednego tylko kraju powoduje wiarygodność opisu i z pewnością przysparza mu wielu gorliwych czytelników. Opisuje tę krainę z łatwością i widać w konstruowanych opisach, jak po latach łatwo przychodzi mu wyciągać generalne wnioski. *Są dwie Mongolie. Pierwsza – to biedne, brudne i smutne miasta, tkwiące jak wrzody na zdrowym ciele tej drugiej – świecie jurt, koni i bydła. Czystym, pachnącym oceanie stepów i błękitnego nieba.*<sup>262</sup> Można powiedzieć, że w swoich refleksjach jest autorytatywny i jeśli ktoś planowałby podróż na stepy – to koniecznie z publikacją Uryna pod pachą. Autor spostrzega także, jak ujemny wpływ na Mongolię ma rozwój cywilizacji wokół niej – a przy tym rozwój zorganizowanej turystyki – i wielokrotnie przychodzi mu precyzować swoje obawy, gdy już na wstępie pisze: *Corocznie kilkaset milionów osób wyrusza w świat w poszukiwaniu wrażeń. Ten exodus XXI wieku przypomina bary szybkiej obsługi sprzedające Fast food – usługa turystyczna serwowana jest masowo, tanio i szybko. Daje też niewielkie korzyści klientowi, Na dodatek nieodwracalnie dewastuje naturę. Produkuje beton, niezniszczalne opakowania.*<sup>263</sup> Jednak, zwracając na to uwagę, kluczy swoimi ścieżkami po Gobi i co rusz natrafia na kolejną i kolejną niespodziankę. Bez wątplenia jego podróżnicza relacja wyróżnia się na tle przywołanych powyżej, a na tym przykładzie widać wyraźnie, jak jeden kraj trójka nie związanych ze sobą ludzi może opisać w sposób tak diametralnie inny i niekonwencjonalny. Różni ich niemal wszystko: od powodów wyprawy, przez środki lokomocji aż po bagaż doznań i przeżyć – a co za tym idzie, wszystkie trzy publikacje zdają się oddawać wiernie charaktery podróżników. Jednak Uryn stawia krok dalej i z pasją penetruje. Nie zraża go ani niepowodzenie, ani wszystko to, co nowe i nieznanne. *Gdy w 1995 roku po raz pierwszy dotarłem do północnej Mongolii, poznałem szamankę, która potem wielokrotnie mnie gościła. Ten pierwszy kontakt z szamaństwem był dla mnie szokiem. Po kryjomu, nocą zaprosiła mnie do swojej jurty na odprawianie rytuałów.*<sup>264</sup> Jako fotograf stawia także czytelnik przed obrazami nie tylko

---

<sup>261</sup> B.A. Uryn, *W świecie jurt i szamanów*, Warszawa 2013, str. 245.

<sup>262</sup> Tamże, str. 327.

<sup>263</sup> Tamże, str. 7.

<sup>264</sup> Tamże, str. 149.

spisanymi w notatnikach ręką reportera, ale również wobec barwnej historii swoich perypetii, które można po wędrówkach oglądać na jego licznych wystawach.

Najbardziej wszelako zawrotną mongolską historię opisuje Anna Grebieniow, na co dzień zawodowo związana z organizacjami pozarządowymi zajmującymi się ochroną przyrody i kulturą. Tworzy historię wręcz nieprawdopodobną, swoim zakresem zbliżoną do innych mimetycznych wyczynów. Wielka podróż żaglowozem. Zbiegiem różnych okoliczności 12 sierpnia 2008 roku następuje start. *Kości zostały rzucone – bilety kupione! WYRUSZAMY! Już za momencik się zacznie!*<sup>265</sup> Można powiedzieć, że opowieść Grebieniow ma co najmniej trzy plany. Pierwszym i najstarszym, od którego wszystko się zaczęło, jest wspomnieniowa rekonstrukcja mongolskiej wyprawy, jaką w 1978 roku odbyła trójka entuzjastów: Wojciech Skarżyński, Bogdan Pigłowski i Ryszard Łuniewski. Drogim planem jest zasadnicza wyprawa z 2008 roku, będąca i osobnym wydarzeniem, ale przede wszystkim nawiązaniem do tej sprzed trzydziestu lat. I jest jeszcze trzeci plan, a mianowicie wszystkie inne okoliczności, takie jak przyroda, spotkania ludzie, krajobrazy, opisy niecodziennych miejsc i wydarzeń – jednym słowem Mongolia pokazana oczyma wiernych podróżników. Książka jest więc wiernym sprawozdaniem z realizacji wyczynu, którego prekursorów sprzed trzech dekad m.in. dobrze pamięta ówczesny mongolski konsul w Warszawie, Dorj Barkhas, mówiąc: – *Proszę Państwa, ja to dobrze pamiętam! Kiedy byłem małym chłopcem, witałem żaglowozy na przedmieściach Mandala-Gobi! To było wielkie wydarzenie w miasteczku, wszyscy biegaliśmy na spotkanie nietypowych podróżników, bardzo dobrze to pamiętam...*<sup>266</sup> I w takiej atmosferze autorka rozpoczyna budowę całego przedsięwzięcia, które szczęśliwie realizuje. Realne opisy przydają publikacji blasku, a zmaganie się z milionem kłopotów uwiarygodnia ogrom przedsięwzięcia, bowiem żeglowanie na żaglowozach nie należy do prostych podróżniczych czynności. Grebieniow opisuje wszystko z charakterystycznym dla siebie zębem, a i sama nie odkłada ręki od napraw i wszelkich prac technicznych. Można powiedzieć, że to literatura podróżnicza pełną gębą, bowiem gdy tylko podróż jest nietuzinkowa, książkowa relacja idzie w jej ślady. Żaglowozy na Gobi musiały robić ogromne wrażenie i nie sposób wyobrazić sobie całej reszty zamieszania. Jedna z piękniejszych podróżniczych przygód: nawiązująca, przypominająca i twórcza. Warto w tym miejscu zaznaczyć, że ponad trzydzieści lat temu osobą, która ze względu na odmowę wydania paszportu przez polityczny aparat PRL nie wzięła wtedy udziału w wyprawie, był Hubert

<sup>265</sup> A. Grebieniow, *Żagle nad pustynią. Z wiatrem przez Gobi*, Kraków 2011, str. 39.

<sup>266</sup> Tamże, str. 28.

Kiersnowski, który teraz, w pewnym momencie trwającej ekspedycji, entuzjastycznie dołącza do zespołu. *Dzisiaj za sterem Gobi-2 zasiada honorowo Hubert Kiersnowski, żeby nadrobić zaległości sprzed 30 lat. – Dolne naciągi to sprawa kluczowa, przesunąłbym te mocowania lekko do przodu, powinny lepiej się napinać – udziela nam jeszcze porad dotyczących remontu nadwyrężonego żaglowozu Gobi-3, ustalamy trasę i życzymy im powodzenia.*<sup>267</sup>

Cała wyprawa znajduje powodzenie dzięki licznej grupie osób, gdy na łamach „Żagli...” także często się wypowiadają lub są przez autorkę zgrabnie przywoływane. Oczywiście nie było tej podróży, gdyby nie dawny ślad Wojciecha Skarżyńskiego, któremu publikacja jest dedykowana. Cała ta historia opowiada w jakimś sensie o splecionych podróżniczych losach ludzi i literatur, gdzie jedno zachodzi na drugie, a świadomość możliwości zdobycia i zwyciężenia napędza tym razem nie koła roweru czy samochodu, a dziwnego wehikułu nazywanego żaglowozem.

„Nieuchronność nadciągającego końca podróży wywołała we mnie smutek i radość zarazem. Smutek, że kończyła się ta wspaniała przygoda, i radość, że staliśmy się gobijskim stadem. Gobinami. Zrozumiałam, że ani sprzyjające okoliczności, ani sprzęt, ani nawet pociągające piękno przyrody nie przywiodło nas aż tak daleko przez niełatwą drogę, lecz współpraca całej ekipy zespolona wspólną pasją zaszczerpioną nam przez Wojtkę. Jego miłością do tego pustynnego zakątka ziemi.”<sup>268</sup>

Niemal sto lat temu w swoich „Listach z podróży” Karel Capek zapisał: *Człowiek powinien by wiedzieć wszystko i wszystkiego dotknąć, tak jak poklepał tego osła w Toledo albo jak głaskał pień palmy w ogrodzie Alcazaru. Wszystkiego dotknąć choćby palcem. Cały świat przesunąć dłonią. To ci dopiero radość, człowieku, gdy widzisz lub dotykasz czegoś, czegoś dotychczas nie znał. Każda różnica w rzeczach i ludziach pomnaża życie.*<sup>269</sup> W kontekście przywołanych powyżej literackich przykładów książek podróżniczych, osobiste doświadczenie wydaje się być fundamentem udanej wędrówki – a co za tym idzie – prelude do skrzętnej opowieści. Przełamanie własnych słabości, upór w dążeniu do celu i odważna konfrontacja z całą plagą podróżniczych przeciwności czyni autora świadkiem często niebywałych historii. Determinacja prowadzi go w miejsca, o których nie raz rzadko można przeczytać gdziekolwiek, w jakiegokolwiek wybranej narodowej literaturze. Wędrówka jest dla autora paliwem. Poniekąd zwraca na to także uwagę Ryszard Kapuściński, nie tyle

<sup>267</sup> A. Grebieniow, *Żagle nad pustynią. Z wiatrem przez Gobi*, Kraków 2011, str. 111.

<sup>268</sup> Tamże, str. 201.

<sup>269</sup> K. Capek, *Listy z podróży*, Warszawa 2011, str. 293.

zyskując na poziom czy merytoryczną zawartość publikowanych relacji i sprawozdań, ile kierując uwagę na swoisty heroizm podróżnika, konstatując we wstępie do jednego z opracowań: *Gatunek „travel literature” jest już bardzo rozpowszechniony w świecie. Niemniej jednak, wśród ludzi piszących o podróży, stosunkowo niewielka tylko część w ogóle podróżuje, ponieważ człowiek z natury rzeczy, ze swojej istoty, jest taką osobą, która nie lubi podróżować. Ludzie nie lubią podróżować, to się im nie podoba. Jeśli mogą, to nie podróżują. Od czasu neolitu natura człowieka jest naturą sedentarną. Przywiązanie do „Heimatu”, do własnego miejsca urodzenia, poczucie dumy z konkretnego miejsca, skąd się pochodzi, jest właściwie tą pryncypialną cechą identyfikacyjną człowieka, jego tożsamości.*<sup>270</sup> Wyłania się więc niejako podwójna trudność: pokonanie przeciwności podróżniczych oraz, co może bardziej ważniejsze, pokonanie przeciwności wewnątrz siebie, owo zmaganie się z przypisanym prawem do ziemi, która ciągnie swoją grawitacją i co rusz na swój sposób stawia czynny opór podróżniczej przygodzie. Może być więc i tak, że największym przeciwnikiem dla zapalonego w podróżowaniu obieżyświata będzie nie kto inny, nie jakieś wydarzenie i okoliczności, ale tylko on sam, gdy walka idzie z jego przyzwyczajeniami, a nie z różnorodnością szlaku. W takim oto kontekście śmiałkowie na rowerach, samotni motocykliści czy też piechurzy gór przedstawiają poprzez swoją podróż nie tylko obraz świata, który widzą, ale także obraz siebie samych, jakimi obecnie są – a parafrazując tytuł afrykańskiego dziennika Mungo Parka, ich podróż do wnętrza Ziemi staje się podróżą do wnętrza siebie.

Gdy piaszczystą Mongolię i Uzbekistan z wysychającym Morzem Aralskim, ale i cały przemierzony na rowerach przez Maciągów Jedwabny Szlak, zostawi się za sobą, wtedy nieco na zachód, u wybrzeży większego, tym razem realnego i mokrego już morza, toczy się nieco inna historia. *Opuszczałem nazajutrz Hajfę z dziwnym uczuciem. Przypomniałem sobie wszystko, co widziałem w tym porcie Palestyny i co wchłonąłem instynktem obserwatora, wyrobioną, zaostrzoną zdolnością podświadomego widzenia i słyszenia.*<sup>271</sup> Publikacja Ferdynanda Ossowskiego, wznowiona niedawno po dziesięcioleciach nieobecności nakładem wydawnictwa Zysk i S-ka, stanowi w tym miejscu odpowiednie wprowadzenie do krótkiej analizy publikacji podróżniczych, które w swoich opisach sięgają obszaru dawnej Azji Mniejszej, a dziś odnoszą się do takich krajów, jak Izrael, Syria, Autonomia Palestyńska,

---

<sup>270</sup> R. Kapuściński. W: *Dziedzictwo Odyseusza*, red. M. Cieśla-Korytowska, O. Płaszczewska, Kraków 2007, str. 11.

<sup>271</sup> A.F. Ossendowski, *Gasnące ognie*, Poznań 2011, str. 263.

Liban, czy nawet północno-wschodnie obrzeża Egiptu oraz przeciwległy Irak. Opis podróżnika, złożony do drukarskich maszyn niemal sto lat temu, ukazuje ciekawe historyczne tło oraz zależności narodowe, które w następnym wieku spotęgowały, jak można przypuszczać, wzajemną niechęć i narodowe waśnie. Ponadto spostrzeżenia autora, używającego – rzecz jasna – języka i świadomości swoich czasów, także wskazują na złożoną strukturę społeczną i religijną Bliskiego Wschodu. *Teraz gospodarzami są tu bezsprzecznie Żydzi, opanowujący całe życie starożytnego miasta. Chrześcijanie pozostają w swoich oazach na zboczach i na szczycie Karmelu, który już od południa podkopują żydowski robotnicy z cementowni braci Polaków. Muzułmanie przyczaili się w swoich przedmieściach i na bazarach, coraz bardziej wypierani przez żydowski handel i żydowską ekspansję, zaborczą i bezwzględną.*<sup>272</sup> I dodaje dalej: *Na każdym kroku spotykałem placówki zdobyte przez cywilizację zachodnią rękami narodu wschodniego, przez Żydów – naród o całkiem odmiennej psychologii i ideologii, niemający nic wspólnego z duszą żadnego z ludów zachodnich.*<sup>273</sup> Ossendowski podróżuje z pasją. Szermierzy słowem i przykładem, a czytając barwne opisy, wracamy do przeszłości. Jego oczy są jak film, a ukazane tło jak najlepsza scenografia. Snuje także typowe dla siebie filozoficzne przypuszczenia, które po stu latach nie tracą prawie nic na aktualności pytań i prostocie odpowiedzi. *Islam to nie chrześcijaństwo, które obiecuje duchowe Niebo, lecz wymaga za nie wysiłku nad grzeszną naturą ludzką i zachowania szeregu nieraz trudnych do wykonania przepisów Nowego Zakonu.*<sup>274</sup> Arabia, Syria, Babilonia, Mezopotamia. Baseny mórz i szlaki karawan. *Podróżnicy, turyści, pobożni pielgrzymi dążący na Święty Wschód – miejcie się na baczności.*<sup>275</sup> Kolorowe podróżnicze opowieści przynoszą światło Orientu.

Mając na myśli Bliski Wschód, Ossendowski może dziś liczyć na godnych następców. Po jego wyprawach pozostały wielkie i znamienite dzieła, za pomocą których uważne czytelnicze oko może rozwikłać wiele z terazniejszych zagadnień. Geograficznym śladem wielkiego podróżnika, jednak wzorując się na innym potężnym pisarskim twórcy i autorytecie, podąża Piotr Smoleński.

„A teraz ludzie. Wszystkich kolorów skóry, o oczach czarnych, zielonych i wodniście niebieskich, blondyni, bruneci, rudzi. Okutana chustą Arabka obok uzbrojonego po zęby izraelskiego żołnierza w oliwkowym mundurze i sandałach na bosych stopach; kobieta

<sup>272</sup> A.F. Ossendowski, *Gasnące ognie*, Poznań 2011, str. 264.

<sup>273</sup> Tamże.

<sup>274</sup> Tamże, str. 305.

<sup>275</sup> Tamże, str. 51.

sprzedaje marchew, żołnierz stuka w bruk drewnianą pałką. Chasyd w staromodnym surducie, w czarnych pończochach i w lisiej czapie; za chwilę zapadnie piątkowy zmrok, początek szabatu. Dziewczyna w kusej spódnicy i w bluzeczce kończącej się tuż pod biustem; choć judaizm, wiara jej przodków, zabrania zdobienia skóry, na lędźwiach ma wytatuowane celtyckie runy. Mężczyzna w kipi i z karabinem na plecach idzie ku Ścianie Płaczu. Palestyńczyk, najpewniej chrześcijanin, rozmawia z prawosławnym mnichem na schodkach sklepu z alkoholami. Chłopczek w kipi sprzedaje pomarańczowe opaski; znak protestu przeciwko likwidacji osiedli w Gazie. Inny, w zniszczonych portkach, pcha dwukołowy wózek. Żeńskie domy zakonne przytulone do minaretów. Mnich prawosławny i mnich etiopski. Franciszkanin w brązowym, przykrótkim habitcie. Wysoka szwedka, która już jutro będzie opalać się topless na plażach Eliatu.<sup>276</sup>

Oto podróżnicze życie i podróżnicze oko! Inność wpisana w codzienność. Książka nie tyle mówiąca, jak trzeba się ubrać, ale jak wyglądają mieszkańcy. Pośrednia, a nie bezpośrednia. Autor pokazuje Izrael, jakby chodził po sklepie spożywczym. Terytorium jak tygiel. Reportaż osadzony między Morzem Czerwonym a Śródziemnym. Dla Smoleńskiego, reportera, publicysty i dziennikarza taka narracja jest kluczem do poznania oglądanego świata, ale – jak sam wspomina – nie byłoby jego książki, gdyby sam nie podążał śladami kogoś innego. Jego mistrzem był Amos Oz, który w 1983 roku wydał zbiór reportaży zatytułowany „Na ziemi Izraela”. Smoleński pisze o tym tak: *Kiedy pojechałem do Izraela, książka Oza była dla mnie ważniejsza niż przewodnik. Chciałem być w miejscach, które opisał. Szukałem ludzi, z którymi rozmawiał. Włączyłem się po zaułkach jerozolimskiego Starego Miasta i po rozgrzanych letnim słońcem ulicach Mea Szarim. Jeździłem wedle tych samych tropów po Zachodnim Brzegu i według podobnego klucza po Strefie Gazy. Wysiadywałem z nią na plażach Tel Awiwu, w kibucach i w moszawach na pustyni Negew, choć żaden jej rozdział tam się nie dzieje.*<sup>277</sup> Tym samym książka podróżnicza staje się śladem dla kolejnej podróży i można przypuszczać, że nie jedna osoba od czasu publikacji Smoleńskiego także oglądała Izrael z jego publikacją pod pachą.<sup>278</sup> W jakimś sensie na

---

<sup>276</sup> P. Smoleński, *Izrael już nie frunie*, Wołowiec 2007, str. 17.

<sup>277</sup> Tamże, str. 9.

<sup>278</sup> Pięć lat po debiucie „Izrael już nie frunie” Smoleński oddaje w ręce czytelnika kolejną swoją książkę zatytułowaną „Arab strzela, Żyd się cieszy”. I znów w tylko sobie charakterystyczny sposób opowiada o Izraelu, a Konstanty Gebert zauważa we wstępie, że *szczęśliwie nie jest to książka polityczna. Ona jest też o tym, jak smakuje kawa, jak wygląda Jaffa nocą, o czym marzą chłopcy w Tiry i gdzie się nosi kamień wart tyle, co dziesięć kamienic. Że to wszystko czasem poprzetykane baśnią? A jak ma być w kraju nadmiernie obiecanym zbyt wielu ludziom, i w którym najwięksi marzyciele nadal gadają do ściany?* W: P. Smoleński, *Arab strzela, Żyd się cieszy*, Warszawa 2012, str. 7. Smoleński zdaje się ściągać z poruszanej tematyki niepotrzebne napięcie i opowiada swoje historie na wpeł z przymrużonym okiem, a na wpeł z przeświadczeniem, że tak to wszystko po prostu na co dzień w Jerozolimie wygląda: *Widziałem kiedyś izraelski film: w Hebronie młodzi żołnierze podmienili w meczecie kasetę magnetofonową, zamiast muezyna też zaśpiewał Freddie Mercury, akurat „We Are*

oczach czytelnika literatura podróżnicza sama się nadbudowuje, tworząc tym samym kolejne piętra jednego bloku, któremu w tym wypadku na imię Izrael, Palestyna lub po prostu Bliski Wschód.<sup>279</sup>

Z tego geograficznego obszaru pochodzi jeszcze jedna ciekawa pozycja, a mianowicie wydany w formie książkowej dialog dwóch dziennikarzy: Elego Barbura i Krzysztofa Urbańskiego, a zatytułowany „Właśnie Izrael”. Pozycja ta odznacza się na tle pozostałych książek nietuzinkową budową, która nie jest zwykłym sprawozdaniem z pobytu, czy też relacją z podróży, a bardziej dialogowaną refleksją na temat izraelskiej codzienności. Na okładce, w podtytule, można przeczytać hasło: „Gadany” przewodnik po teraźniejszości i historii Izraela. Dziennikarze rozmawiają, dzieląc się swoimi izraelskimi doświadczeniami. Książka, podobnie jak przywołana powyżej pozycja Smoleńskiego, nie zawiera w sobie tradycyjnych wskazówek znanych z przewodników lub innych typowych sprawozdań z podróży, jednak dla wnikliwego obserwatora stanie się nieocenionym źródłem praktycznej wiedzy, np. o taksówkach (*Wsiadasz do taksówki, czasem kierowca pomaga ci wstawić rzeczy do bagażnika, a czasem nie. Bardzo też niechętnie, nawet przy największym upale i wskaźniku wilgotności powietrza ponad osiemdziesiąt procent, włącza klimatyzację*<sup>280</sup>) lub o ukazujących się aktualnie gazetach (*W kioskach z prasą widać zalew gazet i kolorowych magazynów wydawanych w Izraelu w języku rosyjskim*<sup>281</sup>) – dla kogoś, kto nie zna jidysz. Skomplikowana sytuacja polityczna w tym regionie świata każe sięgać po takie publikacje i korzystać z wiedzy autorów. Po wylądowaniu na lotnisku Ben-Guriona trudniej wtedy dać się zaskoczyć przez zgoła inną rzeczywistość.<sup>282</sup> Rozmowa dwóch znajomych ma przy tym także

---

*the Champions*”. Wtedy obyło się bez ulicznej awantury. Lecz żołnierzom słusznie zmyto głowy za głupoty. Tamże, str. 43.

<sup>279</sup> Bliskowschodnich publikacji jest wiele. Zapalny obszar, niezbyt odległy od Europy, a i nacechowany wielowiekowym sporem o Ziemię Świętą, znajduje liczne odniesienia w podróżniczych opracowaniach. Można na ten przykład wymienić w tym miejscu jeszcze dwie charakterystyczne pozycje zagraniczne: jedną napisaną piórem peruwiańskiego pisarza i prozaika Mario Vargasa Llosy i zatytułowaną „Izrael – Palestyna. Pokój czy święta wojna” oraz drugą, autorstwa amerykańskiego politologa Normana Finkelsteina, a zatytułowaną „Gaza – o jedną masakrę za daleko”. Obaj autorzy z uwagą przyglądają się bieżącej polityce izraelsko-palestyńskiej i nie pozostają wolni od komentarzy, wniosków i sądów – niosąc tym samym dla czytelnika własny i oryginalny obraz opisywanej rzeczywistości. Por. M.V. Llosa, *Izrael – Palestyna. Pokój czy święta wojna*, Warszawa 2007 i N.G. Finkelstein, *Gaza – o jedną masakrę za daleko*, Warszawa 2010.

<sup>280</sup> E. Barbur, K. Urbański, *Właśnie Izrael*, Warszawa 2006, str. 10.

<sup>281</sup> Tamże, str. 187.

<sup>282</sup> Autorzy z ironicznym pietyzmem przez kilka stron opisują charakter największego z izraelskich portu lotniczego, wskazując przy okazji na wiele niepraktycznych rozwiązań i problematycznych aspektów tego miejsca, nie pozostawiając także suchej nitki na architektach, budowniczych i bieżącej obsłudze terminalu. M.in. można przeczytać o fatalnym stanie oznakowania (str. 6), a takich informacji nigdy w podróży za wiele. Symptomatycznym i charakterystycznym wydaje się także w tym kontekście fakt, że swoją rozmowę o współczesnym Izraelu obaj redaktorzy i publicyści kończą również wokół tematyki lotniska, gdy Urbański

walor publikacji kulturoznawczej, dzięki której literatura podróżnicza nie staje się zwykłą relacją, a bardziej wglądem w głębsze i niejednoznaczne aspekty ludzkiej egzystencji. Rozdroża wyborów i podejmowanych politycznych decyzji rysują tło mentalne kraju, do którego ciągnie z Polski zawsze wiele wycieczek, podróżują turyści i pielgrzymi, a Jerozolima znana jest niemal każdemu.

Kiedy swoje reporterskie opowieści przemieszane z filozoficznymi przemyśleniami kończą dwaj dziennikarze, Izrael, a w zasadzie droga do niego, staje się areną rowerowego zmagania Krzysztofa Skoka publikującego „Rowerem przez świat”. Autor wyrusza na czele sześciuosobowej grupy znajomych w pielgrzymkę do Ziemi Świętej.<sup>283</sup> Jadą przez Bosfor, potem przez Syrię, Liban i Jordanię – aż do samej Jerozolimy. Lecz swojej trasy nie kończą na Izraelu: *Do przejechania mamy ponad 5 tys. km, ponieważ nie mamy taniego samolotu z Izraela i musimy jechać do Egiptu, aby stamtąd wracać samolotem z naszą wycieczką do kraju.*<sup>284</sup> Skok barwnym językiem w notesowej formie opowiada o przygodach i sprzętowych perturbacjach, zamieszcza dziesiątki zdjęć i relacjonuje pokutne pedałowanie. Dla czytelnika kraje przestają być obce i niebezpieczne, a noclegi wszędzie możliwe: *Nieswojo było mi nocować samemu na dzikiej plaży tym bardziej, że oddalałem się od miejsca wyjazdu. Jednak po drodze zauważyłem jakąś budowlę (chyba kolejnego hotelu). 5 minut rozmowy z ochroną i kierownikiem budowy wystarczyło, by uzyskać zgodę na nocleg na terenie obok bramy. Ochrona miała sprawdzić mi bagaże, ale jak zobaczyła, że sam wypakowuję śpiwór, matę izolacyjną i namiot, to zrezygnowała.*<sup>285</sup> Publikacja Skoka wskazuje więc na zgoła inną od pozostałych motywację do podróży, gdy aspekt religijny staje się motorem i napędem dla podjęcia wędrownych wysiłków. Nie ma wiele takich pozaeuropejskich publikacji.

Natomiast niecodzienną wyprawę, jednak nie do Izraela, a w jego bezpośrednie okolice zorganizowała samej sobie Anna Jackowska, która na motocyklu wybrała się przez

---

konkluduje: – *No i znowu jesteśmy na lotnisku Ben-Guriona... Przez cały czas chodzi mi po głowie, że Izrael tak naprawdę w dużym stopniu powstał z desperacji, szaleństwa, rozpacz i jeszcze czegoś... – Wychodzi na to, że tak.* – dodaje w ostatnim zdaniu Barbur. E. Barbur, K. Urbański, *Właśnie Izrael*, Warszawa 2006, str. 221.

<sup>283</sup> Skądinąd autor znany jest z odważnej rowerowej wyprawy do Pekinu w roku 2008, kiedy to po kilku miesiącach podróżniczych zmagani dotarł samotnie na igrzyska olimpijskie i z początkiem sierpnia zameldował się w stolicy ówczesnego światowego sportu. W bardzo niskim nakładzie, sumptem własnym i przyjaciół, udaje mu się później, już po powrocie, wydać książkę zatytułowaną „Rowerem na igrzyska. 10255 km samotnej wyprawy z Sopotu do Pekinu”, jednak nie jest ona powszechnie dostępna. Dopiero publikacja z pielgrzymki do Jerozolimy w pełni ukazuje się na księgarskich półkach Relacjonuje jednak z rozrzewnieniem: *Po przejechaniu samotnie na rowerze 10255 km w cztery miesiące, 8 sierpnia 2008 roku docieram do Pekinu. Ale w sercu zamiast radości pojawia się smutek – skończyła się moja wielka przygoda.* K. Skok, *Rowerem przez świat*, Pelplin 2011, str. 5.

<sup>284</sup> Tamże, str. 6.

<sup>285</sup> K. Skok, *Rowerem przez świat*, Pelplin 2011, str. 97.



południową Europę i Turcję do pobliskiej bliskowschodniej Syrii i Jordanii. Na co dzień dziennikarski i podróżniczy wolny strzelec: opowiada o podróżach, prowadzi różnego rodzaju eventy, w szkołach opowiada dzieciom o świecie. Odważna. Dzielna. Samodzielna. *Nie wiem, kiedy tak naprawdę zaczyna się i kończy podróż. Czy definiują ją tylko przejechane kilometry? Gdzie zaklasyfikować przygotowania i wyobrażenia towarzyszące nam przed wyjazdem, a gdzie myśli i wspomnienia? Siedzę przy komputerze w swoim warszawskim mieszkaniu, dwa tygodnie po powrocie. Mimo to cały czas mam wrażenie, że ta podróż trwa nadal, że cały czas we mnie bardzo intensywnie żyje. I że na pewno jeszcze się nie skończyła.*<sup>286</sup> Wskazuje tym samym na zjawisko podróży będące przeżywaniem przeżyć, intensywnym doznaniem, któremu nie brakuje ram czasowych i emocjonalnych – i jak chce Huxley, znamienity pisarz angielski, gdy pamięć człowieka staje się jego prywatną literaturą, Jackowska dzieli się obficie tą pamięcią z podróżniczym czytelnikiem. A na początku pyta i odpowiada jeszcze: *Dlaczego chcę podróżować na motocyklu? Bo właśnie to lubię robić. Jeżdżę za sobą i po swojemu.*<sup>287</sup> I opisuje swoją podróż: barwnie, ze zdjęciami, z historiami, z wizerunkiem spotkanych na trasie ludzi. Dziś do Syrii, ze względu na działania wojenne, wjechać nie można, stąd wyprawa Jackowskiej, jeszcze przed domową wojną, daje obraz Syrii, którego już nigdy nie będzie. Meandruje po szosach jak węgorz i nad wyraz dobrze radzi sobie z ciężką maszyną. Opisuje spotkany świat na wszystkie strony, a za jej sprawą rzeczy prawie nierealne stają się możliwe. Pokazuje codzienność. *Na ulicy występuje duża dosłowność reklam. Jeżeli w kamienicy przyjmuje dentysta, to nad wejściem musi być ogromny ząb. Najlepiej, żeby miał oczy i się uśmiechał. U nas niby plastikowe zęby też wiszą, ale są chyba mniejsze i mniej się uśmiechają. Ślusarz też oznaczony w międzynarodowej, standardowej symbolice – klucza Yeti. Tylko nie jednego, ale trzech, bardzo dużej wielkości ileś tam razy większej od standardowej, zwisających tuż nad głowami przechadzających ludzi.*<sup>288</sup> Oczywiście, jak przystało na stosunkowo krótki zasięg motocyklowych baków, i jej doskwiera od czasu do czasu swoiste i branżowe „osamotnienie paliwowe”. *Na przejściu spędziłam dwie godziny. Wydałam dużo kasy, wywaliłam sporo złości i znowu podróżuję w nocy. Prawdopodobieństwo, że zahaczę o nieoświetlony obiekt przydrożny jest spore. Na dodatek zaraz GS-owi skończy się paliwo. Stacje po drugiej stronie są, po mojej – nie wybudowano. Oczywiście obecność stacji benzynowych po drugiej stronie jest lepsza niż brak*

---

<sup>286</sup> A. Jackowska, *Kobieta na motocyklu*, Bielsko-Biała 2011, str. 7.

<sup>287</sup> Tamże.

<sup>288</sup> Tamże, str. 137.

stacji w ogóle. Jeżeli nie ma jak na tamtą stronę przejechać, to zawsze można przejść.<sup>289</sup> Publikacja Jackowskiej stanowi więc odpowiedź na podróżnicze wyzwanie: jechać, czy siedzieć w domu? Próbować, czy stęchnąć? Pokonuje setki problemów, ale krok po kroku realizuje swój motoryzacyjny plan, a w polskiej literaturze podróżniczej pozostawia jedyny, jak dotąd, taki ślad. Dziś malownicza Syria równana jest z ziemią, a do Jordanii najłatwiej z Egiptu, morzem.

*Stacje benzynowe do gehenna zmotoryzowanego podróżnika. Nie ważne, czy motocyklem, czy samochodem, czy nawet autostopem – choć tym pierwszym bodaj najgorzej ze względu na konieczną częstotliwość tankowania. Mały bak, mało paliwa, mały zasięg. Stacje to eldorado: są, ale niekoniecznie mają benzynę. Mają benzynę, ale niekoniecznie na sprzedaż. Mają na sprzedaż, ale zależy w jakiej cenie. Wszystko zależy od pana i władcy. Zazwyczaj najpierw trzeba pójść zapłacić, a potem dopiero lać. Po wielu tankowaniach w przeróżnych miejscach wóz potem krztusi się, stęka, prycha. Wyrzuca z siebie kłęby białego dymu, a silnik przestaje ciągnąć. Paliwo z wszyskąd i z wszystkim. Śmieci, paprochy, trawy. Ropa na talony i nie uświadczysz inaczej, jak tylko odkupić talon od jakiegoś kamazowca. W wielu krajach trzeba stać w kolejkach, a bywa i tak, że cudzoziemcom się nie sprzedaje. Trzeba wtedy jechać na jakąś bazę transportową pełną ciężarówek i kupić z przepału od kierowców, którzy ze swoich baków zlewają po kilka litrów do jednego baniaka. I zazwyczaj tylko gotówka: żadnych kart, dolarów i euro, żadnych czeków podróżnych. Gdy stacja jest na prąd, a prądu nie ma – trzeba czekać. Ewentualnie, za dodatkową opłatą, ktoś może ręcznie napompować litrów jak ze studni. Są stacje i stacje: małe i duże, opancerzone na bezdrożach i okratowane jak najlepsze banki, z jednym lub kilkoma sprzedawcami. Gdy jeden i akurat musi iść na obiad – trzeba czekać. Jak rozmawia przez telefon – trzeba czekać. Jak śpi lub ogląda mecz – trzeba czekać. Stacje to mordęga podróży, żeby ktoś się nie pomylił i zamiast ropy nie wlał benzyny. Stacja to wydarzenie drogi, osobny rozdział: jak muzeum, znalezienie hotelu lub przejście graniczne. Pieniądże mogą być zakwestionowane, a cena nagle podskoczyć o niewiedomo ile w górę. Pan i władca decyduje. Zamknięte – ale po prośbie ktoś otworzy. Na kazachskich stepach, w jakimś niedużym miasteczku, sprzedawczyni poleciła, bym podjechał za dziesięć minut, bo wtedy już szefa nie będzie i należy taniej. Raz można wozić w kanistrach, a raz policja każe wylewać do rowu. W Turkmenistanie płaci się w przeliczeniu nawet nie 40 groszy za litr, a w Turcji pod dziewięć złotych. Na oparach jechał pewnie każdy, a nie jednemu przyszło pchać – dobrze mieć w wozie linkę holowniczą. Stacje to państwa w państwie. Czasem można zjeść, kupić co nieco, skorzystać z toalety, nalać wody do bukłaków. Można umyć szyby albo ktoś za drobną opłatą umyje cały wóz. Można rozprostować kości, wyrzucić śmieci z całego dnia, dopompować koła. Dopytać kogoś o drogę, czy rzeka nie*

<sup>289</sup> A. Jackowska, *Kobieta na motocyklu*, Bielsko-Biała 2011, str. 272.

wystąpiła, albo czy osuwisko z kamieniami nie zatarasowało jakiejś półki skalnej. W Kamerunie wylał akurat wulkan. Ale stacje to także prostytutki, narkotyki, drobny hazard. Uciekinierzy z syberyjskich więzień, autostopowicze, myśliwi. Handlarze wszystkim i warsztaty naprawcze. To loteria. Są wcześniej znaki, że będzie stacja, ale tylko leje po bombach. Drogowskazy, że już za pięć kilometrów – ale to kłamstwa, bo za dziesięć kolejny znak, że już za pięć...

Jednak ogromna geograficznie Azja to także ogromna geograficznie Rosja. Droga w wielu kulturach łączona jest z niepewnością, zawiera w sobie element grozy, niebezpieczeństwa, jest wyjęta spod prawa. A w Rosji dodatkowo długa i nudna.<sup>290</sup> Kraj tak wielki i tak rozległy, że sam w sobie mógłby być kontynentem – a w zasadzie nim jest. Bóg dał ręce po to, aby brać – mawia rosyjskie przysłowie. I przez wieki Rosjanie wrywają z ogromnej tajgi i tundry co się tylko da: ropę, gaz, drzewo, surowce mineralne, wodę z Morza Aralskiego. Wielka plama na globusie od obrzeży Polski po Alaskę i Morze Żółte z Japońskim. Kiedy na mapach jakieś państwo mieści się raptem w źrenicy, na Rosję trzeba patrzeć kilkoma oczyma naraz. Liczne strefy czasowe i klimatyczne. Od mroźnego zimna na Kole Podbiegunowym po upały przy granicach Kazachstanu i Mongolii. Niezliczone ludy i języki, tradycje, religie i kultury. Matrioszki prawdy. Po pierestrojce wszystko stało się prostsze – przynajmniej dla podróżnika. I zaczęli pchać się tam niemal wszyscy. Jednak podróż to nie to samo, co literatura podróżnicza, a przejechane wzdłuż i wszerz kilometry, choć sportretowane na kartach licznych książek, nie oznaczają tym samym, jak się wydaje, mnogości opisów. Gdy bowiem spogląda się na półkę, grzbiety publikacji nie wołają wieloma tytułami, choć ze względu na obszar terytorialny można byłoby się spodziewać, że będzie ich dużo, dużo więcej.

Jacek Hugo-Bader kupił w Moskwie starego terenowego UAZ-a i pojechał do Władywostoku. *Modliłem się tylko, żeby nie nawalił mi w nocy w tajdze i żeby nie spotkał bandytów. Na pierwsze z tych nieszczęść byłem przygotowany, na drugie – nie. Byłem chyba jedynym wariatem, który przez ten straszny ocean lądu podróżował bez broni, do tego samotnie*<sup>291</sup> – mówi na początku swojej literackiej „Białej gorączki”. I jedzie wozem przez całą Rosję, a na końcu dociera do miasta, które Włada Wschodem. Tam sprzedaje prawie na części zdezelowanego grata trzem niepewnym typkom i wraca samolotem do Polski. Podróży

<sup>290</sup> I. Kaliszewska, M. Falkowski, *Matrioszka w hidzabie*, Warszawa 2010, str. 15.

<sup>291</sup> J. Hugo-Bader, *Biała gorączka*, Wołowiec 2009, str. 11

sobie jednak nie ułatwia i... jedzie zimą. – *To cud, że po drodze ci go nie ukradli. Co ty byś, biedaku, zrobił? – Ruszyłbym autostopem. Albo koleją. Albo gdzie indziej bym pojechał, a może został tam, na miejscu. To podróż jest ważna, a nie jej cel.*<sup>292</sup> Mija kolejne miasta i niezamieszkałe obszary. Kopie w śniegu nory do spania. Swoją opowieść konstruuje jednak nie w sposób tradycyjny i chronologiczny, gdzie wplatałby przeżycia z setek kilometrów, ale najpierw pisze o samej kolejności drogi, by już w zasadniczej części publikacji oddać głos spotkanym ludziom. Zawiera z nimi pakt: *Zabierałem do samochodu wszystkich, z którymi było mi po drodze, ale w zamian za podwiezienie musieli opowiedzieć mi swoją historię i zgodzić się na zdjęcie.*<sup>293</sup> Opowiada nimi ich historie. Rosja w pigułce, co dobrze w słowie wstępnym zakreślił Mariusz Szczygieł: *Ryszard Kapuściński opisywał imperium z lotu ptaka; uchwycił mechanizmy myślenia, zachowań, procesów. Hugo-Bader opisuje imperium z perspektywy wałęsającego się psa; chwytą mechanizmy myślenia, zachowań, procesów i na dodatek szczura za ogon.*<sup>294</sup> Czasem też cytuje swój dziennik, w którym skrupulatnie odlicza kilometry, średnie, godziny, benzyny i zapisuje adresy. Węszy jak pies. Lecz ma i godnych poprzedników, do których bez wątplenia należą i wspomniani już zagraniczni Colin Thubron czy Tiziano Terzani, ale i Polak Jacek Pałkiewicz.

Można jednak powiedzieć, że dla Hugo-Badera podróż i przygoda nie ma końca. Różnie natomiast jest z pisaniem (*A gdyby robota mi nie szła, mam wyjść z domu i nakarmić to moje drzewo*<sup>295</sup>), i z tym zwraca się do czytelnika na początku swojej kolejnej książki słowami: *Na koniec praktyczna rada ode mnie. Wcale nie trzeba tej książki czytać od deski do deski. Żeby odbyć ze mną całą podróż, wystarczy przeczytać tylko Dziennik, zatem co drugi, trzeci rozdział. Ale najlepsze, co mnie w niej spotkało – to znaczy ludzie i zawartość rozka z glutami – opisane jest w pozostałych rozdziałach.*<sup>296</sup> Podróż po Kołymie jest nie lada wyzwaniem. Trudnodostępny rejon Rosji ciągle czeka na kolejnych śmiałków i zdobywców.<sup>297</sup> A Hugo-Bader w swoim zawadiackim stylu zachęca każdego do drogi – i

---

<sup>292</sup> J. Hugo-Bader, *Biała gorączka*, Wołowiec 2009, str. 209.

<sup>293</sup> Tamże, str. 193.

<sup>294</sup> Tamże, str. 5.

<sup>295</sup> J. Hugo-Bader, *Dzienniki kołymskie*, Wołowiec 2011, str. 9.

<sup>296</sup> Tamże, str. 16.

<sup>297</sup> Hugo-Bader pisze jeszcze jedną książkę o postsowieckim świecie, a mianowicie „W rajskiej dolinie wśród zielska”, gdzie po swojemu Rosję ogląda i po swojemu o niej pisze. Z zębem. Zawadiacko. Bez pardonu. Publikacja stanowi intratny obraz zdemolowanego kraju, po którym autor przemierza tysiące kilometrów na wszystkie geograficzne strony. A potem zbiera w całość mnogość swoich wspomnień, przywołując np. już na początku od strony domowych pieleszy postać konstruktora słynnych karabinów, Michaiła Kałasznikowa: *Konstruktor mieszka w ładnym, trzypokojowym, 70-metrowym mieszkaniu na drugim piętrze niewielkiego bloku. Nie jest to byle jaki blok z płyty leningradzkiej, ale solidny dom z cegły. Mieszkanie z pianinem i sztucznym*

najlepiej zimą. Jadę na Kołymę, żeby zobaczyć, jak się żyje w takim miejscu, na takim cmentarzu. Najdłuższym. Można się tu kochać, śmiać, krzyczeć z radości? A jak tu się płacze, płodzi i wychowuje dzieci, zarabia, pije wódkę, umiera? O tym chcę pisać. I o tym, co tu jedzą, jak płuczą złoto, pieką chleb, modlą się, leczą, marzną, tłuką po mordach...<sup>298</sup> I o tym wszystkim pisze, gdy przewodniki milczą. O Trakcie Kołymskim zwanym Trasą Magadańską, o przełęczach, o przeprawie przez Ałdan – i o łagrach. *Starzy ludzie mówią, że ta droga to jak dłuższy cmentarz świata. Policzyłem, że gdyby wszystkie ofiary kołymskich łagrów epoki Stalina położyć jedna za drugą, toby się na niej nie zmieściły.*<sup>299</sup> Ktokolwiek ruszały w ten rejon Rosji, książkę Badera powinien mieć przy sobie, lub chociaż przeczytać. Wartym odnotowania jest również fakt, że podczas swojej podróży autor publikował swoje notatki na jednym z prasowych portali – u swojego pracodawcy. Tym samym publikacja posiada dwa oblicza: szybkie internetowe i jakoby spóźnione, to papierowe. Można przypuszczać, że taka jest obecna tendencja wydawnicza. W jakimś sensie dzieje się tak od dawna, gdy jednak w zamierzchłych czasach bardzo często zdarzało się, że wzięty i uznany autor najpierw publikował w rodzimej prasie fragmenty reportaży i esejów, a potem dopiero powstawała z tego faktyczna książka w oprawie.

„Dzienniki kołymskie” stosują jeszcze jeden wydawniczy i marketingowy – jak się wydaje – zabieg. Można go umownie nazwać półprawdą. W polskiej literaturze podróżniczej dzieje się tak niezwykle rzadko i należy przypuszczać, mieć nadzieję, że takich i podobnych uproszczeń nie będzie się praktykowało. Na okładce książki Hugo-Bader siedzi okuty w czapkę z nausznikami, taką po czołgście, na motorze z boczną, bagażową przyczepką. Czytelnik odnosi nieodparte wrażenie, że cała podróż autora odbywała się takim wehikułem. Jest to o tyle prawdopodobne, że przez karty poprzedniej publikacji („Biała gorączka”) podróżował po całej Rosji, od Moskwy po Władywostok, kupionym starym i zdezelowanym UAZ-em. Znając tę niesamowitą historię łatwo uwierzyć w kolejną fanaberię artysty. Nic nie stoi na przeszkodzie, by tym razem dosiadł motoru. Jest jednak inaczej: *Teraz mogę się*

---

*kominkiem, umebłowane solidnym „zestawem” kupionym jeszcze za nagrodę stalinowską. Kuchnia wielka. Liczę lodówki. Dwie. I jeszcze jedna w przedpokoju. Dużo, jak na kraj, w którym obywatele mieli kłopoty z zapelnieniem jednej. Sprawdzam. Dwie są wyłączone. Szokuje gabinet, prawdziwy skansen komunizmu, mauzoleum marksizmu-leninizmu, izba proletariackiego internacjonalizmu. Na ścianach dyplomy, Lenin na polowaniu, flaga radzieckich pograniczników, dalej Kirow, Che Guevara: Amerykanie podarowali indiański pióropusz, Chińczycy gustowny zegar obwiedziony taśmą do karabinu maszynowego. Doliczam się 23 głów, biustów i całych postaci Lenina, poza tym tuzina Dzierżyńskich...”, J. Hugo-Bader, *W rajskiej dolinie wśród zielska*, Wołowiec 2010, str. 17.*

<sup>298</sup> J. Hugo-Bader, *Dzienniki kołymskie*, Wołowiec 2011, str. 23.

<sup>299</sup> Tamże, str. 18.

przyznać. Marzyłem, że tę podróż odbędę na motocyklu. Nawet specjalnie na tę okoliczność zrobiłem prawo jazdy na jednoślady. Chciałem, żeby było troszkę wyczynowo, ale wszystko poszło nie tak. Nawalił umówiony człowiek z Magadanu, który miał mi sprzedać motocykl, a zima przyszła wcześniej niż zwykle. Musiałem zrezygnować z tego wariantu.<sup>300</sup> Ilu więc ludzi dało się zwyczajnie nabrać i kupiło książkę, sugerując się zapowiadającą nieprawdopodobne wydarzenia okładką? Ilu czytelników po fotografii na obwolucie uznało, że warto kupić, bo motorem..., bo z taką dziwną przyczepką..., bo do tego zimą...? Czy śnieg na zdjęciu jest w tym kontekście także „dorobiony”? Ilu czytelników buduje w swojej świadomości obraz niezłomnego reportera, widząc tylko okładkę z nazwiskiem, ponieważ z wielu ważnych dla nich powodów nie może w tym momencie nabyć publikacji? Oczywiście dla całości kapitalnego skądinąd opracowania nie ma to znaczenia – okładka mogłaby być w kwiaty lub w ogóle bezbarwna. Tekst wewnątrz broni się sam i nie potrzebuje podobnych manipulacji. Jednak zastosowane skojarzeniowe uproszczenie, jak się wydaje, nie powinno mieć miejsca, bo jednoznacznie sugeruje nieprawdę, a podróżniczy reportaż, lepiej by było, gdyby od takich nawet domysłów, a co dopiero faktów, stawał się wolny.

Być może nie ma to znaczenia, a poczyniona uwaga jest zbyteczna. Jednak kiedy nie chodzi o fikcję literacką, a umowa społeczna niejako nakazuje w podróżniczej literaturze faktu trzymać się jak najbliżej prawdy, sprawa nie jest jednoznacznie ambiwalentna. Powszechnie znana jest ocena, jaką w biografii Ryszarda Kapuścińskiego zamieścił Artur Domosławski, przywołując konstatację jednego z amerykańskich reporterów: *Jeśli jeden korespondent jest współpracownikiem wywiadu, to wszyscy jesteśmy podejrzani. Współpraca z wywiadem to cholernie niebezpieczny dla naszej profesji proceder. Nie tylko ze względu na wiarygodność, aspekt moralny; jest wiele „szarych” sytuacji, wymykających się jednoznacznym ocenom. Chodzi też jednak o zwykłe bezpieczeństwo nas jako ludzi. Jeśli pada podejrzenie na jednego, nikt nie może czuć się bezpiecznie.*<sup>301</sup> I choć sprawa ta nie dotyczy „okładki”, wniosek niesie w sobie przesłanie, by cienkiej linii świadomej manipulacji nie przekraczać. A bezspornie, jak się wydaje, takie wydawniczo-graficzne nadużycie, świadome i celowe, ma tutaj miejsce – bo Hugo Badera orężem i tak pozostaje słowo: *Jedyny sposób pokonania tej trasy to autostop. Jazda solidnymi ale topornymi ciężarówkami rosyjskiej*

---

<sup>300</sup> J. Hugo-Bader, *Dzienniki kołymskie*, Wołowiec 201, str. 258.

<sup>301</sup> A. Domosławski, *Kapuściński non-fiction*, Warszawa 2010, str. 519.

*produkcji: kamazami, uralami i krazami, zwanymi potocznie błotochodami. Białoruskie liazy też się tu sprawdzają.*<sup>302</sup>

Innym „Zdobycą-Podróżnikiem” jest za to wspomniany już powyżej Jacek Pałkiewicz. Nim jednak poruszony zostanie obraz syberyjskiej wyprawy tego polskiego globtrotera, wędrowca i eksploratora, warto w tym miejscu pochylić się chwilę nad broszurowym i nie dużym opracowaniem Mirosława Stachowskiego, który nieco ponad rok temu wyruszył z kolegą w motocyklową wyprawę nad Bajkał i z powrotem. Patrząc na ścienną mapę i licząc kilometry, bez dwóch zdań w drodze był dłużej niż na łamach „Białej gorączki” Hugo-Bader, bo ten wracał z Władywostoku samolotem, a Stachowski na motorze z Polski wyjechał i na motorze do ojczyzny wrócił. *Pokonałem 17 000 km dróg i bezdroży Europy i rosyjskiej Syberii, przekraczając wielokrotnie strefy czasowe. Wyruszyłem w drogę o świecie, gdy moi domownicy w tym samym czasie szykowali się do snu.*<sup>303</sup> Jednak opowieść Stachowskiego nie jest opowieścią o Rosji, a bardziej o trudach wyprawy. Autor zmagają się z problemami technicznymi i co rusz opisuje stan swojego motocykla. *Moim zmartwieniem było teraz jak najszybsze znalezienie stacji benzynowej, bo jechałem już na oparach paliwa. Wreszcie zobaczyłem na peryferiach z daleka światelka stacji i ulżyło mi, bo w razie czego ten kawałek drogi będę już w stanie motocykl dopchnąć.*<sup>304</sup> Dla podróżniczego oka w pamięć zapadają astronomiczne ceny za hotele, jakie motocyklista płacił i można odnieść wrażenie, że skrupulatność rozliczeń była dla niego bodaj najważniejszą z cech eskapady. Niestety, ku przestrodze, opisuje także moment rozstania się z podróżniczym partnerem, gdy ich drogi w Niżnym Nowogrodzie definitywnie się rozchodzą. *Przechadzaliśmy się w milczeniu. Po wyjściu z części historycznej Janusz zaproponował przejście się głównym deptakiem miasta. Odpowiedziałem, że niespecjalnie mi się chce i zaczekam na niego przy motocyklach. – Wiesz, chyba coś się między nami psuje – napomknął Janusz. – Chyba tak – odpowiedziałem. „Było to oczywiście od jakiegoś czasu” – pomyślałem. – Coś trzeba z tym zrobić – zasugerował. – Masz rację. Jadę poszukać innego hotelu, a później prosto do Polski. – Jak uważasz – odpowiedział i po chwili dodał – a co ze zdjęciami, jak mi je dostarczysz?*<sup>305</sup> Różnice charakteru nie pozwoliły im wspólnie kontynuować podróży, a opis wskazuje na niebagatelną kwestię, jaką zawsze jest odpowiedni dobór w podróży osoby towarzyszącej.

---

<sup>302</sup> J. Hugo-Bader, *Dzienniki kołymskie*, Wołowiec 2011, str. 18.

<sup>303</sup> M. Stachowski, *Motocyklem nad Bajkał*, Poznań 2013, str. 137

<sup>304</sup> Tamże, str. 129

<sup>305</sup> Tamże, str. 128.

Nasuwa się jednak kilka pytań. Publikacja Stachowskiego stanowi odmienny i na wskroś inny rodzaj literatury podróżniczej. Jest relacją i sprawozdaniem, dziennikowym zapisem bardzo odbiegającym od książek, w których autorzy-bohaterowie również pokonują tak wiele kilometrów transportem drogowym. A może to tamte publikacje odbiegają od „Motocyklem nad Bajkał”? Kto ma to wszystko ocenić i czy jakkolwiek ocenność jest tutaj wskazana i ma znaczenie? I czy też ostatecznym cenzorem nie będzie podróżniczy czytelnik, który kupi lub nie kupi jedną czy drugą publikację? Jednak pytając w ten sposób, nie można nie pójść dalej i zapytać, czy wynik sprzedaży ma decydować o formie publikacji? I jeszcze dalej: czy doświadczenie, jakie posiadają już dziś koncerty wydawnicze, może decydować jeszcze na etapie redakcji o kształcie potencjalnego tytułu? Jak do tego zagadnienia ma się dobór treści, dobór zdjęć, objętość, cena? Jaki jest ranking? Czy w ogóle istnieje coś takiego, jak ranking, gdy wszystko jest na swój sposób subiektywnym opisem od serca – czego zabronić autorowi nie można. W jakimś sensie każdy opisuje jak chce, jak widzi i jak umie. Czy w końcu, tym samym, nie następuje w zakresie *travel literature* zjawisko tabloidyżacji? Warto polecić dla zobrazowania zagadnienia obie powyższe publikacje, gdy i Hugo-Bader, i Stachowski jadą przez jedną i tę samą Rosję – wtedy różnica sama się otwiera. Ciekawą w tym kontekście będzie także biograficzna notatka, którą autor zamieszcza na końcu swojej opowieści, a która także bezpośrednio nawiązuje do zawodowych profesji podróżników, w sensie odpowiedzi na pytania, kto jedzie i kto pisze? *Z wykształcenia jestem technikiem mechanikiem i magistrem melioracji wodnych. Nie zawsze jednak pracowałem w wyuczonych zawodach. Byłem górnikiem na ścianie przy bezpośrednim wydobyciu węgla, sygnalistą szybowym, ratownikiem wodnym, operatorem koparki, kierowcą samochodu ciężarowego, robotnikiem budowlanym, instruktorem tenisa, kierownikiem budowy, inspektorem nadzoru, przedsiębiorcą. Zawsze szukałem czegoś nowego. Podróże również przynoszą codziennie coś nowego.*<sup>306</sup>

Wracając jednak do Jacka Pałkiewicza. To on w 1989 roku, czyli na przełomie dziejów, ruszył z grupą śmiałków w głąb zimowej Syberii, pisząc po latach o tej wyprawie barwną opowieść zatytułowaną „Syberia. Wyprawa na biegun zimna”. Zuchwała przygoda przedstawiona na kilkuset stronach tekstem i fotografią. *Syberia! Zakątek ziemi przeklętej przez Boga, symbol cierpienia, niesprawiedliwości i przygody. Jej tajemnicze piękno i nieprzebrane bogactwa od dawna rozpalają wyobraźnię i przyciągają śmiałków. W czasach*

---

<sup>306</sup> M. Stachowski, *Motocyklem nad Bajkał*, Poznań 2013, str. 140.



carskich osadnikami byli przestępcy, odbywający karę ciężkich robót, i zesłańcy, w tym rewolucjoniści. W czasach radzieckich zastąpili ich więźniowie stalinowskich gułagów i współcześni pionierzy – budowniczości syberyjskiego przemysłu. Zaproponowano im dobre zarobki. W zamian mieli stworzyć socjalizm.<sup>307</sup> Ale historia Pałkiewicza nie jest li tylko książką podróżniczą. Jak przystało na globtrotera, odkrywcę i eksploratora autor zawiera w niej także cały szereg cennych uwag i wskazówek dotyczących samego procesu podróży. Jako twórca europejskiego survivalizmu zręcznie prowadzi czytelnika przez meandry wyprawy grupowej, gdzie jeden musi współpracować z drugim, a powodzenie każdej wyprawy zależy od właściwego doboru uczestników.<sup>308</sup> Opowieść stanowi więc relację z podróży w niedostępny Ojmiakon – światowy biegun zimna we wschodniej Syberii. Współtowarzysze, o międzynarodowych korzeniach, prą przez śnieg na reniferach, a dowódca Pałkiewicz toczy zręczną grę o przetrwanie z tajgą i tundrą. Nie jest to jednak, tak jak wspomniałem, jedynie zapis z podróży – tutaj można nauczyć się, jak przeżyć. Praktyczne wskazówki o twardym i bezkompromisowym trudzie wędrówki. Krew za krew. I nie ma zmiłuj.

„Jestem liderem trudnym, wymagającym i nieraz szorstkim. Mówią, że podczas wyprawy łatwiej jest usłyszeć ode mnie słowa krytyki niż pochwały. Sporo w tym prawdy. Z zasady wymagam maksymalnego zaangażowania i nawet wtedy, kiedy ktoś sprawuje się wzorowo, uznaję to za normę. Nie pozostawiam wiele miejsca na demokrację. Uważam, że takie ekspedycje zawsze muszą być podporządkowane pruskiej dyscyplinie. W trudnych sytuacjach, gdzieś na obrzeżach świata, nie może być inaczej. Tylko dzięki dyscyplinie osiąga się sprawny wybór rozwiązań, szybkość podejmowania decyzji i harmonijną współpracę w krytycznych momentach.”<sup>309</sup>

Warto w tym miejscu, jak się wydaje, zwrócić w kilku słowach większą uwagę na samą postać Jacka Pałkiewicza oraz wnikliwiej przyjrzeć się jego dotychczasowym podróżniczym publikacjom. Oczywiście wiele z nich przywołanych jest na kartach niniejszej dysertacji w kontekście wszystkich kontynentalnych omówień, gdy np. rejony Ameryki Południowej Pałkiewicz opisuje w „Amazonce...” lub w „El Dorado”, a mroźną Syberię w „Syberii...” – już kilka akapitów poniżej. Jednak ze względu na swoje miejsce zamieszkania, oraz mając pewnie na uwadze liczne kontakty i znajomości, parę książek wydaje polski globtroter i zdobywca we Włoszech, np. „Il mio Borneo”, „Mestiere vivere”, czy „Passaporto per l'avventura”. Natomiast w Polsce ukazuje się jeszcze jego „Pasja życia” i „Eksploracja”.

---

<sup>307</sup> J. Pałkiewicz, *Syberia. Wyprawa na biegun zimna*, Warszawa 2007, str. 11.

<sup>308</sup> Tamże, str. 12.

<sup>309</sup> Tamże, str. 44.

Również ze względu na szeroki wachlarz poruszanej przez niego tematyki podróżniczej (zarówno penetrowanie i zdobywanie, jak i wędrówne wskazówki dla każdego, kto pragnie podobnej przygody) Pałkiewicz powieli i ponawia wiele swoich edycji, często coś dodając i poszerzając o nowe, ważne informacje. W tym znaczeniu jego podróżniczą twórczość można podzielić na wyraźne dwie części: tę od zdobywania (co) i tę od objaśniania (jak). Niezwykle jak się wydaje ważnym będzie także przypomnienie, że Jacek Pałkiewicz jest członkiem rzeczywistym Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie, a np. w 1998 roku otrzymał w Polsce nagrodę „Bursztynowego Motyla” (im. Arkadego Fiedlera) za najlepszą książkę podróżniczą roku – a była nią „Terra incognita”. Jest powszechnie znanym i cenionym podróżnikiem-odkrywcą, innym niż Ryszard Kapuściński, innym niż Olgierd Budrewicz oraz innym od dzisiejszych młodych wilków. Swoją charakterystykę budował przez lata trudnych i wymagających wypraw, o których dzięki powstałej literaturze można i więcej dowiedzieć się o nim samym, i o świecie, który nadal penetruje – choć ten tajemnic ma coraz mniej, nie tylko przez Jackiem Pałkiewiczem.

Wracając jednak do zagadnień bezpośrednio już związanych z problematyką pisarskiego ukazania reprezentacji Rosji na literackich półkach wydawnictw podróżniczych, na podstawie zebranych materiałów należy, jak się wydaje, zauważyć, że literaturę podróżniczą dotyczącą kraju tak rozległego geograficznie jak właśnie Rosja, można podzielić na dwie zasadnicze grupy: książki obejmujące swoją retrospektywą cały obszar kraju, oraz te publikacje, które swoją tematyką opisują jakiś konkretny region lub po prostu wybrane na mapie miasto. W takim oto ujęciu zarówno przywołana powyżej publikacja Hugo-Badera, jak i wędrówka przez Syberię Pałkiewicza reprezentują w dużej części kategorię pierwszą proponowanego podziału. W ostatnim czasie na polskim rynku wydawniczym ukazała się także pozycja Macieja Jastrzębskiego, wrocławianina i wieloletniego dziennikarza Polskiego Radia, która swoim zakresem – choć pisana głównie z perspektywy Moskwy – opowiada o całej Rosji językiem osoby, która po wielokroć obiekt swojej publikacji odwiedziła. Autor zwraca na to uwagę we wstępie do „Matrioszki Rosji i Jastrzębia”, przyrównując nie bez powodu cały obszar UE do ogromnej Rosji. *W ciągu 20 lat pracy w Polskim Radiu wiele razy odwiedzałem Rosję, choć częściej bywałem u naszych zachodnich sąsiadów. Paryż kojarzy mi się z wiosną. Bruksela z alejami kasztanowców. Rzym z hałasem pędzących samochodów, a Wiedeń z grzanym winem. W Madrycie poznałem cudownych ludzi. W Atenach skakałem na*

*koncercie Paula McCartneya, a w Lizbonie darłem się na meczu Benfiki.*<sup>310</sup> Autor opowiada o szarej codzienności wielu Rosjan, przywołując liczne wątki historyczne i polityczne, gdy władza nie daje obywatelowi o sobie zapomnieć. Moskiewska perspektywa pozwala także innymi oczyma spojrzeć na rozległe terytoria, gdzie centralna jurysdykcja nie zawsze idzie w parze z miejscowym prawem i obyczajem. Dla wnikliwego czytelnika uwagi Jastrzębskiego mogą być bardzo przydatne, tym bardziej, gdy fizyczna odległość nie pozwala zweryfikować pożądaných dokumentów i pozwoleń. Wystarczy tysiąc kilometrów na wschód lub zachód i miejscowa władza już na swój sposób interpretuje odgórne zarządzenia. Ale książka Jastrzębskiego to także spojrzenie w oczy zwykłego Rosjanina i pytania o jego dzisiejszą tożsamość: *Spotkałem kiedyś na ulicy w Moskwie znanego reżysera teatralnego Aleksandra Wilkina. – Jacy są Rosjanie? – zapytałem. – Trudno tak w dwóch słowach odpowiedzieć – stwierdził. – Kiedy kochamy, to do śmierci, kiedy się złościmy, to aż iskry lecą, a pijemy jak Polacy.*<sup>311</sup>

Natomiast innym, całkiem w tym miejscu odrębnym i oryginalnym wydarzeniem wydawniczym, będzie niesamowita i nieprawdopodobna wręcz opowieść, jaką na łamach „Przez Dziki Wschód” opisuje Tomasz Grzywaczewski. Wraz z dwójką kolegów dokonali wielkiego dzieła odtworzenia drugiego ucieczki z rosyjskiego łagru polskiego Sybiraka Witolda Glińskiego. *Kilka miesięcy wcześniej nie miałem pojęcia, kim jest Witold Gliński ani o czym dokładnie opowiada „Długi marsz”. Podczas moich wcześniejszych podróży odwiedziłem wprawdzie rejon jeziora Bajkał, ale moje wyobrażenia o bezmiarze syberyjskich przestrzeni były mocno ograniczone i opierały się głównie na lekturze książek przygodowych.*<sup>312</sup> Autor, student ostatniego roku prawa, można byłoby się spodziewać, porywa się z motyką na księżyc. Zbiegiem wielu niemożliwych okoliczności dociera do żyjącego jeszcze w Anglii, dziewięćdziesięcioletniego Witolda Glińskiego, a potem, krok po kroku przygotowuje wyprawę, którą wraz ze swoimi towarzyszami podróży realizuje na przestrzeni kolejnego roku. Koledzy z mozołem docierają do licznych informacji i odtwarzają wstępną mapę przyszłej trasy-chołdu. *Z artykułu Dysona wynika, że w 1941 roku z obozu położonego gdzieś w odległej Jakucji ucieka grupa więźniów, w której skład wchodzi Witold Gliński, inicjator ucieczki. Aby zmylić pogoń, kierują się nie na wschód, ale na południe, w stronę Mongolii. Po*

---

<sup>310</sup> M. Jastrzębski, *Matrioszka Rosja i Jastrząb*, Gliwice 2013, str. 13.

<sup>311</sup> Tamże, str. 258.

<sup>312</sup> T. Grzywaczewski, *Przez Dziki Wschód*, Kraków 2012, str. 9.

około roku pieszej wędrówki docierają do Indii, gdzie pomagają im brytyjscy żołnierze.<sup>313</sup> Historia wydaje się być na tyle nieprawdopodobną, że w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku jedna z osób podszyła się, być może pod gdzieś zasłyszaną historię, i przedstawiła ucieczkę jako własną.<sup>314</sup> Na podstawie tej opowieści, jak z zapalem relacjonuje Grzywaczewski, *Publikacja zostaje okrzyknięta światowym bestsellerem. Jej całkowity nakład przekracza milion egzemplarzy, a wydawcy prześcigają się w kolejnych tłumaczeniach. Ostatecznie „wspomnienia” zostają przełożone na ponad dwadzieścia języków. W końcu „National Geographic” umieszcza książkę na pięćdziesiątym trzecim miejscu listy przygodowych książek wszech czasów. Przez kolejne pół wieku Rawicz udziela wywiadów, wygłasza wykłady i spotyka się z czytelnikami, opowiadając o swoim nieprawdopodobnym wyczynie. Dopiero kiedy umiera, dociekliwi dziennikarze odkrywają wstrząsające fakty. Dokumenty zachowane między innymi w Instytucie Sikorskiego w Londynie wskazują, że Rawicz nigdy z żadnego obozu nie uciekł. Cała historia jest zmyślona, a jej autor dokonał rzeczy faktycznie trudnej do wyobrażenia.*<sup>315</sup> Grzywaczewski dokonuje swoistej reasumpcji wydarzeń i wraz z kolegami postanawiają przemierzyć „zweryfikowaną prawdę”. I w końcu wyruszają: idą pieszo, jadą konno, płyną rzekami. Korzystają z podwózki, czasem pociągiem, wozem. Sytuacja polityczna przez kilka dziesięcioleci tak się zmieniła, że nie sposób dokonać wszystkiego tak samo jak kiedyś Witold Głiński. Wizy, granice, pozwolenia, jurysdykcje. Jednak młodzi adepci reportażu z krwi i kości nie poddają się. *Minęliśmy rozgałęzienie na dwie nitki Topo. Trochę się pogubiliśmy, ale w końcu odnaleźliśmy właściwą drogę. Dolina okazała się wyjątkowo mroczna i bardzo zimna. Wydychane powietrze zmienia się w kłęby pary, a nad rzeką snują się mgły. W błocie spostrzegamy sporo niedźwiedziich śladów i odchodów,*<sup>316</sup> albo GPS wskazywał wysokość bezwzględna 5150 metrów n.p.m. Rozległa, pokryta rachityczną trawą i kamieniami łąka przypominała wielki płaskowyż, a nie przełęcz

---

<sup>313</sup> T. Grzywaczewski, *Przez Dzikie Wschód*, Kraków 2012, str. 16.

<sup>314</sup> Rzeczą dotyczy osoby Sławomira Rawicza i jego spisanych rzekomych wspomnień zatytułowanych „Długi marsz”, które doczekały się dwudziestu pięciu tłumaczeń na inne języki oraz bestselerowej ekranizacji filmowej „Niepokonani” m.in. z Colinem Farrellem i Edem Harrisem w rolach głównych. Niebawem głośna opowieść zyskała na całym świecie wielkie uznanie, a gdy żyjącego jeszcze Rawicza (zm. 2004 r.) pytano o powojenne losy swoich kompanów z ucieczki, odpowiedział (1997 r.) w posłowie do jednego z amerykańskich wydań: *Nie spotkałem ich więcej, a świadomość, że nie wiem, co się z nimi stało, jest bardzo przykra. Byli mądrzejsi ode mnie, przewidzieli bowiem, jak ułoży się sytuacja w powojennej Europie i że zwycięscy Rosjanie zagarną większą część kontynentu na ponad półwiecze. Towarzysze mojej epopei mówili, że kiedy opuszczą szpital, wyjadą byle gdzie, ale nie zamieszkają już nigdy w kraju komunistycznym. Być może nie żyją, a może z siebie tylko znanych powodów woleli zachować milczenie.* S. Rawicz, *Długi Marsz*, Gdańsk 2011, str. 271. Dodać należy, że także relacja Witolda Głińskiego budzi nie małe emocje, gdy dziennikarze i badacze co rusz doszukują się nieścisłości i znaków zapytania.

<sup>315</sup> T. Grzywaczewski, *Przez Dzikie Wschód*, Kraków 2012, str. 16.

<sup>316</sup> Tamże, str. 246.

rozdzierającą Himalaje. [...] Ostatni raz spojrzeliśmy na rozciągający się za naszymi plecami płaskowyż tybetański i rozpoczęliśmy szaleńczy zjazd. Przed nami był największy uskok na kuli ziemskiej. Na przestrzeni stu czterdziestu kilku kilometrów teren opada o prawie cztery i pół tysiąca metrów. Dwadzieścia cztery godziny później byliśmy już w dżungli u nepalskiego podnóża Himalajów.<sup>317</sup> I tak w końcu docierają do hinduskiej Kalkuty. *Kalkuta zdobyta!!!*<sup>318</sup>

Książka Grzywaczewskiego stanowi w tym miejscu nieocenione źródło wiedzy, a także inspirację do podobnych wyczynów. Trudno wszystko oszacować, lecz z pewnością „Przez Dzikie Wschód” jest nietuzinkowym podróżniczym zapisem, który w swojej istocie opowiada tak naprawdę za jednym razem kilka historii: i tę Witolda Glińskiego, i tę Sławomira Rawicza, i tę w końcu, przeżytą przez trójkę śmiałków. Paradoksalnie, jak gdzieś w opowieści wspomina autor, nie byłoby tego wszystkiego, gdyby nie mistyfikacja osoby z lat pięćdziesiątych. A Witold Gliński? *Rozmawiając z Glińskim po zakończeniu wyprawy, zamiast wygłaszać długie zdania, powiedzieliśmy tylko: „Panie Witoldzie, dziękujemy!”.* W odpowiedzi usłyszeliśmy jedno zdanie: „Dobra robota, panowie!”.<sup>319</sup>

Nie mniejszym zainteresowaniem, jak przywołane powyżej opisy książek, może cieszyć się publikacja Witolda Michałowskiego, który opowiada polskiemu czytelnikowi o południowo-zachodnich krańcach Rosji, kładąc jednak nacisk i na Kaukaz, i na Ałtaj. Autor, z wykształcenia inżynier, z zamiłowania podróżnik i tropiciel, snuje swoją opowieść zarówno przez reminiscencję historyczną, jak i wskazując na teraźniejsze rozdroża krain, które odwiedza. *Ałtaj jest krainą niezwykłą: tu zetknęły się wpływy pierwotnych wierzeń syberyjskich, buddyźmu (również lamaizmu), islamu i chrześcijaństwa (w wersji nestoriańskiej, staro obrzędowej i prawosławnej).*<sup>320</sup> Wędrowanie nie jest mu obce, a opisany przez niego po części Ałtaj nie znajduje w polskiej literaturze podróżniczej bodaj żadnego ani prekursora, ani naśladowcy. Dziś terytorialnie Ałtaj należy do trzech krajów: Rosji, Mongolii i Kazachstanu – i tak naprawdę przecinany jest z północy na południe tylko jedną wielką drogą: M52. Jej ślad urywa się na granicy mongolskiej, skąd później tylko stepy i pustynia. Michałowski zwraca jednak uwagę także na coś, co podróżnikowi nie powinno umknąć – na kurhany w Pazyryku, pisząc: *Do własnej przeszłości Ałtajczycy odnoszą się z wielkim szacunkiem i bardzo dużo na ten temat wiedzą. Kultem darzą kurhany na południu kraju. Są*

---

<sup>317</sup> T. Grzywaczewski, *Przez Dzikie Wschód*, Kraków 2012, str. 424.

<sup>318</sup> Tamże, str. 434.

<sup>319</sup> Tamże, str. 436.

<sup>320</sup> W. Michałowski, *Ałtajskie tropy*, Poznań 2010, str. 194.

one przeważnie pochodzenia scytyjskiego. Znalezione w nich szczątki pod względem antropologicznym niewiele mają wspólnego z rasą altajską. Kiedy przed kilkunastu laty na płaskowyżu Ukok odkryto wspaniale zachowaną mumię „altajskiej księżniczki” (tatuaze pokrywające jej ramiona są imponujące), natychmiast uznano ją za narodową świętość.<sup>321</sup> Szerzej, w charakterystycznej dla siebie narracji, pisze o tym magicznym i świętym dla Altajczyków miejscu przywoływany już wcześniej Colin Thubron w „Po Syberii”. Jego mistrzowska relacja, jak się wydaje, nie ma sobie równych, a Pazyryka nie można nie odwiedzić. *Podę mną, w nieregularnych odstępach na dnie doliny wezbrało się jak pęcherze pięć potężnych kurhanów. Budowano je między VI a IV wiekiem p.n.e. – podziemne komory grobowe złączonych belek, osłonięte kopcami z ziemi i skał. Głazy zdjęte znad odkrytych komór otaczały je teraz w krąg jak skamieniałe kratery. Rozrzucony dookoła rumosz zostawił ślady na trawie.*<sup>322</sup> Altajskie góry, doliny i rzeki tętnią dziś także życiem turystycznym, stanowiąc dla Rosjan z północy górską enklawę odpoczynku. Na podróżniczych szlakach nie raz można spotkać tam także pieszych wędrowców z Europy, czy obiężyświatów na motorach i w samochodach, tym bardziej, że szosa M52 stanowi tranzytowe połączenie wprost do krainy Czyngis Chana – do zielonej Mongolii. Michałowski, jako podróżnik i reporter, ale także jako baczny obserwator świata, który na jego oczach mija i odchodzi, kończy swoją opowieść charakterystycznym dla siebie zdaniem na okładce, że i tak *wszyscy jesteśmy wędrowcami. Wcześniej czy później będziemy przecież musieli przygotować się do tej najdłuższej, bezpowrotnej, ale najbardziej fascynującej podróży.* Świadomość przemijania staje się dla autora kanwą opowieści.

Jonathan Dimbleby zanotował: *Chociaż zafrapowała mnie różnorodność setek ludzi, których poznałem podczas mojej podróży, szybko zrozumiałem, że sto czterdzieści milionów obywateli Federacji Rosyjskiej jest do siebie zasadniczo podobnych pod dwoma istotnymi względami: wrogości do zachodniej demokracji i żarliwego nacjonalizmu – bezwarunkowej miłości do kraju, który bez zażenowania nazywają „Mateczką Rosją”.*<sup>323</sup> Brytyjski dziennikarz podróżował po Rosji z całą swoją telewizyjną świtą, a książkowa publikacja stanowi pokłosie medialnego eksperymentu BBC. Można i tak. Miałem jego książkę pod pachą, gdy jechałem wozem do Władywostoku i z powrotem. W jej kontekście koniecznym wydaje się rozczytanie następnych polskich publikacji podróżniczych, zważywszy na fakt, że

<sup>321</sup> W. Michałowski, *Altajskie tropy*, Poznań 2010, str. 193.

<sup>322</sup> C. Thubron, *Po Syberii*, Wołowiec 2011, str. 122.

<sup>323</sup> J. Dimbleby, *Rosja. Podróż do serca kraju i narodu*, Poznań 2012, str. 10.

perspektywa patrzenia na Rosję z punktu widzenia medialnej gwiazdy, jaką bez wątpienia jest Dimbleby, stanowi istotny zwrot w sposobach opisu i ukazywania świata poza europejskiego.<sup>324</sup> Nie po raz także pierwszy na tle takich publikacji rysuje się bardzo wyraźnie istota polskiego reportażu, w której mniej ocen i konkluzji, a więcej głosu dla spotkanego w drodze tuziemca.

Takimi głosami będą zapewne kolejne przywołane w tej dysertacji tytuły: publikacje Magdaleny Skopek i Andrzeja Dybczaka, przybliżające polskiemu czytelnikowi codzienność ludów odległej Syberii. Nieńcy i Ewenkowie. Skopek jedzie w Jamał i zaczyna żyć na ich warunkach. Nieńcy dają jej schronienie. Półwysep leży kilkaset kilometrów na północ od Uralu. *W muzeum w Salechardzie dowiedziałam się, że słowo tundra wywodzi się od fińskiego tunturi oznaczającego bezleśne wzniesienie.*<sup>325</sup> Na całej mapie podróżniczych tropów to wyczyn nie lada, a powiązanie wędrówki z publikacją autorka zaznacza krótkim wstępnym podziękowaniem dla wszystkich spotkanych w drodze: *Bez Was moja podróż – a tym samym powstanie tej książki – nie byłoby możliwe.*<sup>326</sup> Jej determinacja godna jest podziwu i naśladownictwa. Wtapia się, jak umie, w świat zaszczuty wodą i komarami. Pokonuje bariery przyzwyczajęń i łamie stereotypy. Jedzie nie daleko od Polski, ale daleko od świata – na sam jego skraj. A zdumienie, jakie budzi, najlepiej opisuje poniższy dialog z naczelnikiem Alekssem.

„– No ładnie, z Polski... Dobrze, dobrze... Dokumentów innych... – przeczucił kilka kartek w paszporcie, szukając mojego imienia. – ...Magdaleno, rozumiem, nie macie?  
– Nie mam.  
– Jak to?  
– Eee... Co „jak to”?  
– Jak udało się wam tutaj przyjechać bez dokumentów? – Uściślił w odpowiedzi na moje jąkanie.  
– No jak...? Pociągiem, statkiem, helikopterem...  
– Dobrze. To jasne. A kontrola?  
– Kontrola?

---

<sup>324</sup> Istotnym w tym momencie dysertacji jest także zwrócenie uwagi na fakt, że medialne sprawozdanie Dimbleby'ego znacznie odstaje nie tylko od innych, w tym wypadku nieangielskojęzycznych, publikacji, ale także deprecjonująco jawi się na tle pisarstwa Zachodniej Europy: Colina Thubrona czy Tiziano Terzaniego. By nie dokonywać gradacji wartościującej, można trafnie zauważyć, że jego relacja skupia się na w jakimś sensie stworzeniu medialnego show, co odbiera jej walorów obiektywizmu i bezstronności – choć być może w rozumieniu samej BBC relacja wziętego dziennikarza w pełni mieści się w sztywnych ramach medioznawstwa anglosaskiego. Trudno powiedzieć.

<sup>325</sup> M. Skopek, *Dobra Krew. W krainie reniferów, bogów i ludzi*, Warszawa 2013, str. 73.

<sup>326</sup> Tamże, str. 5.

- *Kontrola po drodze. Musiała przecież być kontrola?*  
– *Nie było żadnej kontroli – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.*<sup>327</sup>

Nieco inny charakter edycyjny, chociażby przez wzgląd na brak barwnych fotografii, ma książka Andrzeja Dybczaka, opowiadająca o życiu rodziny ewenkijskich pasterzy reniferów. Autor broczy w błotach Jeniseju, a jego bohaterowie opowiadają swoje historie. Nieznany lud ma raptem chwilę, by przelać ułamek swojej codzienności na karty okryte zieloną jak dojrziała choina okładką. Podróż w głąb ziemi, gdzie słychać gugarę – dźwięk dzwonek na szyi reniferów. Książka-mozół. *Od środka zatapiał mnie ciepły pot, z zewnątrz zimna woda. Czasami musieliśmy przekraczać ślizgający się między drzewami strumień lub bagno, zwykle głębsze, niż można było się tego spodziewać. Jeden nieuważny krok i gumowiec albo dwa zamieniały się w akwarium, a wtedy już wszystko stracone, wszystko mokre.*<sup>328</sup> Kolejny ślad w bezkresie podróżniczych możliwości. Książka mówiąca nie tyle o tym, że jedzie się jak najdalej, ale o tym, że rusza się jak najgłębiej – nie w drogę, tylko w czas. Dybczak nie okrasza i nie pisze na około – w tym sensie jego publikacja różni się od wielu innych opowieści, bo zbudowana jest tylko ze słowa, co w ogólnej wydawniczej tendencji staje się rzadkością. I nie rzadko są to tylko słowa cierpkie. Ciężkie. Trudne. I nie ma w nich autora – staje się cieniem, jednym z nich. Zresztą obie przywołane publikacje, tematycznie związane i spójne w opisie, nie tyle stają się relacją z podróży, ile bardziej opowieścią o mieszkańcach, o Kapuścińskich Innych. Nie sposób trafić w miejsce, gdzie Dybczak łowi renifery, ale łatwo sobie to wyobrazić. Druga taka podróż może tam nie sięgnąć, ale za jego przykładem ktoś jest zdolny skonstruować inną, podobną. Faktograficzny ślad, jaki zostawia Skopek, jest wyraźniejszy, jednak zbudowanie podobnej więzi mało prawdopodobne. Książki mają jeszcze jedną wspólną cechę, która swoje odzwierciedlenie ma także w publikacjach z innych kontynentów: a mianowicie, i „Dobra krew”, i „Gugara” traktują o jednym wąskim zagadnieniu. Nie są dziełami podróży retrospektywnej i ciągłej, a bardziej relacją z pobytu u celu. Nie opowiadają o drodze (choć po części u Skopek tak jest), ale bardziej o określonym punkcie.

„Życie, podróżować, pisać. Być może najbardziej autentyczną literaturą jest dzisiaj ta, która nie posługuje się czystą wyobraźnią i fikcją, lecz mówi bezpośrednio o faktach i rzeczach, owych szalonych i zawrotnych przemianach, które – jak powiada Ryszard Kapuściński – nie pozwalają uchwycić świata jako całości; przedstawia nie jego syntezę, lecz jedynie

<sup>327</sup> M. Skopek, *Dobra Krew. W krainie reniferów, bogów i ludzi*, Warszawa 2013, str. 78.

<sup>328</sup> A. Dybczak, *Gugara*, Wołowiec 2012, str. 31.



fragmenty, jak w przypadku reportażu z pola bitwy. Sam Kapuściński zresztą tworzy pełną życia literaturę, zanurza się w rzeczywistość i przedstawia ją z rygorystyczną precyzją, chwytając niczym pies myśliwski jej istotne, chociaż najbardziej ulotne wycinki, układa z nich obraz zarazem wierny i wymyślony na nowo, będący portretem świata i podróży przez świat. Być może podróż jest idealnym tematem literatury, prozy *no fiction* zachwalanej przez Trumana Capote'a.<sup>329</sup>

Na kanwie powyższych założeń i spostrzeżeń warto w tym miejscu przywołać jeszcze dwie ciekawe, jak się wydaje, i charakterystyczne publikacje, które mimo, że w swojej budowie i tematyce są od siebie odrębne i różne, to jednak skupiają uwagę podróżniczego czytelnika na jednostkowym i wymiernym fragmencie opisu. Bartosz Jastrzębski i Jędrzej Morawiecki piszą w ten sposób swój „Krasnojarsk Zero”, a pod redakcją Ewy Nowickiej i Małgorzaty Głowackiej-Grajper powstaje historia zatytułowana „Wierszyna z bliska i z oddali”. Są to więc publikacje o dwóch konkretnych miejscach w Rosji, na dobrą sprawę nawet nie bardzo oddalonych od siebie – raptem tylko tysiąc kilometrów, co w perspektywie siedemnastu tysięcy kilometrów długości państwa-kontynentu nie jest odległością, jak by się mogło wydawać, zawrotną. Czysta Syberia. Czyści ludzie. Brudne i okrutne historie. Jednak Jastrzębski i Morawiecki, prowadząc czytelnika po zakamarkach „miasta czerwonych jarów”, już na samym początku swojej opowieści zwracają uwagę na coś, co dotychczas w takim brzmieniu nie pojawiło się na kartach żadnej z przedstawianej tutaj publikacji. Praktycznie nie byłoby tych wszystkich książek, gdyby nie ich cisi i bezimienni zazwyczaj bohaterowie: przewodnicy. *Możesz jednak wziąć przewodnika. Tego, który wprowadzi cię w miasto. Tak przecież czynią prawdziwi reporterzy i wędrowni pisarze. Znajdź więc ciekawego bohatera, takiego, co zarwie dla ciebie dzień w pracy, zaniedba rodzinę, przewali swe życie do góry nogami, portfel zaś wywróci na lewą stronę, żeby tylko wziąć dla ciebie taksówkę.*<sup>330</sup> Autorzy zdają sobie sprawę, że gdyby nie pomoc bezimiennych i anonimowych ludzi, ugrzęźliby na samym początku swojej każdej i kolejnej podróży. Piszą o tym zwarty akapit, który wart jest w tym miejscu przytoczenia, a nawiązuje on także w swojej istocie do tytułu niniejszej rozprawy, do „Podróży ograbionej”, do zjawiska swoistego ograbiania w podróży. Do zagarnięcia.

„Przewodnicy są zwykle ofiarni. I serdeczni. Czasem obsesyjni. Niektórzy z nich oplączą cię całym sobą, oplączą na długie dni, wszędzie z tobą pójda, wypytają o plany, zorganizują ci każdą godzinę, skontrolują, coś już widział, a czegoś zaniedbał. Może nawet

<sup>329</sup> C. Magris, *Podróż bez końca*, Warszawa 2009, str. 16.

<sup>330</sup> B. Jastrzębski, J. Morawiecki, *Krasnojarsk Zero*, Warszawa 2012, str. 61.

obwiozą cię po upiornych akademiach, wtłoczą w sztampe delegacyjnej wizyty na prowincji. Inni oddadzą łóżko syna, którego wysiedlą z pokoju na czas przyjazdu gościa. Obdzwonią pół obwodu, by pomóc ci dotrzeć do rozmówców, zorganizują transport, wyproszą u znajomego samochód. Później jednak będą płonąć nadzieją dyskretnego rewanżu, przychylnego akapitu w tekście, pomocy w zdobyciu pracy w Polsce, czy też po prostu pochwalenia się zagranicznym przybyciem przed szefostwem, przed administracją rządową, przed księdzem czy konkurencyjną organizacją polonijną.<sup>331</sup>

Obdarte realia przybliżają warsztat reportażysty i wskazują na nieuchronne zdanie się podróżnika na łaskę i niełaskę spotkanych w drodze ludzi. Trochę jak himalajscy Szerpowie, a trochę jak kolarscy grigarios-pomocnicy. Tym większe ma to znaczenie, im bardziej charakter podróży jest stacjonarny i osiadły, gdy na dłuższy czas przychodzi wagabundzie posiedzieć z różnych powodów w jednym określonym miejscu.<sup>332/333</sup> A pozycja wrocławian jest właśnie czymś takim: wwierceniem się w tkankę miejską, penetracją stolicy Kraju Krasnojarskiego, spacerem po zakazanych rewirach trzeciej co do wielkości metropolii Rosji. Topografia. Mapa. Karta. Plan. *Charakteryzuje go przezroczyista urbanistyka i architektura wszechwiedzącej władzy. One znowu zasadzają się na rozległych, darmowych przestrzeniach, które i tak zwyciężają człowieka swym cichym ogromem.*<sup>334</sup>

Natomiast zgoła odmienną, choć w swoimi charakterze podobną, bo utrzymaną w konwencji opisu jednego wybranego miejsca, jawi się publikacja o syberyjskiej wiosce Wierszyna, którą od ponad stu lat zamieszkują Polacy, dziś potomkowie emigrantów z początku poprzedniego wieku. Książka jest oto plonem badań terenowych przeprowadzonych przez dwie pracownice Zakładu Antropologii Społecznej w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego<sup>335</sup> i stanowi nieocenione źródło wiedzy o tym wręcz

<sup>331</sup> B. Jastrzębski, J. Morawiecki, *Krasnojarsk Zero*, Warszawa 2012, str. 61

<sup>332</sup> Celnie, aczkolwiek pobłażliwie i w formie raczej smutnej anegdoty, wskazuje także uwagę na to zjawisko w swojej opowieści o Syberii Colin Thubron, gdzie przytacza taką oto formę rozstania ze swoim przypadkowym pomocnikiem: *Siedziałem na zapyłonej drodze, otoczony przez żebraków, którzy najwyraźniej wyczuli konkurencję. Wiktor omiatał wzrokiem szosę, szepcząc do mnie przymilnie: – Zapłać mi pan. Chociaż troszkę... zapłać... Przecież wiedziałem, że ruble spłyną mu zaraz do gardła. Zostawiłem już pieniądze Anfissie. Długo trzymała banknoty w garści, wpatrując się w nie ze zdumieniem – piętnaście dolarów równało się jednej trzeciej jej emerytury – po czym odwróciła się do zlewu, żeby pozmywać czyste naczynia, mruczając pod nosem: „Świetny interes. Nie spodziewałam się”.* C. Thubron, *Po Syberii*, Wołowiec 2011, str. 47.

<sup>333</sup> Podobną sytuację przywołuje Riccardo Orizio na kartach zbioru reportaży o białych plemionach: – *Wynajmę jeden z twoich samochodów, jeśli mi zagwarantujesz, że kierowca jest bardzo dobry. Nie chcę taksówki. Potrzebuję przewodnika. Musi mówić płynnie po angielsku i zawieść mnie do Burgów, doradzić, do kogo mam pojechać i gdzie – poprosiłem go, świadom, że moje życzenie trudno będzie spełnić. – W zamian dam mu pracę na wiele dni – dodałem.* R. Orizio, *Zaginione białe plemiona*, Wołowiec 2009, str. 20.

<sup>334</sup> B. Jastrzębski, J. Morawiecki, *Krasnojarsk Zero*, Warszawa 2012, str. 60.

<sup>335</sup> Stało się tak w dużej mierze dzięki Subsydium Profesorskiemu Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej, z którego obie badaczki korzystały w latach 1998-2002.

fenomenalnym zjawisku, jakim jest zachowana w całej swojej oryginalności polska struktura narodowo-społeczna. Polacy pod rosyjskim Irkuckiem żyją i mówią czystą polszczyzną, a *przybyłego z Polski badacza uderza ich język polski pozbawiony akcentu rosyjskiego, pełen ludowych archaizmów w wymowie i gramatyce. Gdy wysiada się z autobusu przyjeżdżającego do Wierszyny, można odnieść wrażenie, że się przybyło do jakiegoś miejsca w Polsce.*<sup>336</sup> Opisana znad Bajkału historia składa się z pięciu zasadniczych części, gdzie dwie pierwsze stanowią pokłosie pracy naukowej, a trzy kolejne są zwięzłymi wypowiedziami kolejnych osób: Ludmiły Figury – miejscowej nauczycielki, której dane było po 1989 roku ukończyć studia polonistyczne w Polsce i wrócić do Wierszyny, Marianny Dobrowolskiej – przyjezdnej do miejscowej szkoły na pewien czas z Polski nauczycielce, oraz Jana Pawła Tryka – podróżnika i miłośnika odległych kresów. Publikacja, choć nie stanowi popularnego i wyłożonego na księgarskich półkach tytułu, ma w sobie nieoceniony walor kulturoznawczy i antropologiczny, a dla każdego, kto podróżuje w okolice Świętego Morza, jest elementarzem historii polskich zesłań, repatriacji, gułagów i wschodnich obozów pracy. Natomiast z punktu widzenia intratnej domeny podróżniczego zapisu, będącego skutkiem czynnej obserwacji, należałoby w tym miejscu dodać za autorkami: *Idąc tropem rozważań Clifforda Geertza można powiedzieć, że odkąd wyniesiono na piedestał badania terenowe dokonywane samodzielnie przez antropologa, zaczęto się coraz bardziej skupiać na jego obecności w miejscu badania. Doprowadziło to do analizowania odczuć naukowca w obcej mu kulturze – odmienne kultury pokazywane są poprzez, jak to określa Geertz, „zaświadczające Ja” antropologa.*<sup>337</sup> Jednak poruszana problematyka ma jeszcze inny wymiar, gdy badawczą pracę Polek zestawia się i porówna w kontekście np. publikacji włoskiego reportera Riccardo Orizio, który kilka lat temu wydał również na polskim rynku swoje głośne „Zaginione białe plemiona”. Publikacja zasięgiem terytorialnym nie jest przypisana do jednego tylko kontynentu, a autor przemierza niemal cały glob w poszukiwaniu niezwykłych i rzadkich przypadków, gdzie z wielorakich powodów człowiek rasy białej osiadł pośród ras innych. Na tle tej opowieści polska Wierszyna, choć nie ujęta we włoskich rozważaniach,<sup>338</sup> nadawałaby się do takiej scenerii bez przeszkód, gdy Orizio filozoficznie konkluduje: *Niezwykłe*

---

<sup>336</sup> E. Nowicka, M. Głowacka-Grajper, *Wierszyna z bliska i z oddali*, Kraków 2003, str. 9.

<sup>337</sup> Tamże, str. 14.

<sup>338</sup> Włoch zamieszcza natomiast barwny opis innej polskiej migracji, a mianowicie przywołuje obraz potomków Polaków, którzy wylądowali na Haiti w ramach oddziałów armii Napoleona, by ujarzmić niepodległościowe dążenia Haitańczyków. Plan jednak się nie powiódł, polscy żołnierze stanęli po stronie rdzennych mieszkańców, lecz tym samym zamknęli sobie drogę morskiego powrotu do obiecaną przez Napoleona, a będącej pod zaborami, ojczyzny. Por. R. Orizio, *Zaginione białe plemiona*, Wołowiec 2009, str. 155-214.

przypadki? Pozbawione jakiegokolwiek znaczenia? Być może. Ale i my wszyscy, pod pozorami normalności, należymy do jakiegoś zaginionego plemienia. My wszyscy możemy stać się mniejszością. Jesteśmy potencjalnie wszyscy zmarginalizowani. Biali, którzy żyją w jamajskiej Dolinie Bananów, nie różnią się zbytnio od jamajskich emigrantów z miejskich peryferii Zachodu. I jedni, i drudzy są często przegrani. I jedni, i drudzy mają nie ten, co trzeba, kolor skóry.<sup>339</sup> Na tym przykładzie widać wyraźnie kontekstualność literatury podróżniczej, jej wzajemne przenikanie i nakładanie się na siebie opowieści choć z różnych krajów, to jednak o podobnych wnioskach i przesłaniach. Znamiennym wydaje się także fakt, że żadna z narodowych literatur podróżniczych nie istnieje niejako tylko w sobie i tylko dla siebie, a raczej stanowią one poszczególne części jednego większego obrazu. Dzieje się tak w wielu innych przypadkach, których nie sposób tutaj w całości przywoływać, jednak temat komparatystyki literatury podróżniczej godny jest, jak przypuszczam, kolejnych badań.

Osobnym wątkiem, któremu warto w tym miejscu poświęcić chwilę uwagi, będzie zagraniczna publikacja Michaela W. Younga, w całości skierowana w stronę barwnej biografii Bronisława Malinowskiego. I choć autor opracowania nie jest Polakiem, przez co jego książka nie zawiera się bezpośrednio w tytule niniejszej rozprawy, to jednak dla polskiego czytelnika, zanurzonego w tematyce podróżniczej, może ona stanowić nieocenione źródło wiedzy o odległych ludach i narodach. Dzieje się tak również za sprawą przywołanej powyżej książki o syberyjskiej Wierszynie, która w jakimś sensie zbudowana jest na dydaktyce badawczej Malinowskiego. Jego obserwacja uczestnicząca stała się prekursorską metodą oglądu świata, tak odmienną od brytyjskich czy francuskich domen sir Jamesa Frazera, czy też Johna Lubbocka. Na ich tle Malinowski był gigantem. *Odyseja antropologa obejmuje pierwszych trzydzieści pięć lat życia Malinowskiego i stawia sobie za cel wyjaśnienie, jak i dlaczego został on antropologiem. Podąża szlakiem podróży intelektualnej i sentymentalnej, wiodącym z miejsca urodzenia, stolicy prowincji cesarstwa austriackiego Galicji, przez basen Morza Śródziemnego i Wyspy Kanaryjskie, Lipsk, Londyn, warszawę, Zakopane, Cejlon (Sri Lanke), Australię, kolonialną Papuę i Wyspy Trobrianda; a kończy się, gdy Malinowski odpływa do Anglii, obładowany etnograficznym bogactwem, które stanie się jego spuścizną.*<sup>340</sup> Polak, metodą swojej pracy, wykreślił na stałe nowy antropologiczny warsztat, i choć mija już wiek od jego fenomenalnych badań, to nie przestaje intrygować i zachwycać. Gdy Ryszard Kapuściński odbywa swoją ostatnią przed śmiercią podróż do

<sup>339</sup> R. Orizio, *Zaginione białe plemiona*, Wołowiec 2009, str. 14.

<sup>340</sup> M.W. Young, *Malinowski. Odyseja antropologa 1884-1920*, Warszawa 2008, str. 18.

Włoch, oprócz spotkań z liczną italską młodzieżą, kieruje swoje kroki nie gdzie indziej, a właśnie do domu Malinowskiego. Na jednym z wynotowanych spotkań wyjaśnia: *W Bolzano mieszkał kiedyś polsko-angielski antropolog Bronisław Malinowski, który wysunął tezę mówiącą o tym, że aby poznać inne kultury, trzeba po prostu wśród nich żyć, trzeba się z nimi stykać, a nie od nich izolować.*<sup>341</sup> Gdyby więc zadać pytanie o twórcze inspiracje, jakie gnały Kapuścińskiego w świat i do ludzi z krańców ziemi, to antropolog z Bolzano z pewnością swoje piętno odcisnął. Powszechnie znanym jest także zamiar, jaki żywił reportażysta, by w jedną ze swoich kolejnych podróży udać się właśnie do matecznika Malinowskiego, dla którego Wyspy Trobrianda były niemal tym samym, czym odległe Galapagos dla Darwina. *Niespełna rok później pyta znajomą z Gdańska, jak dostać się na Wyspy Trobrianda, gdzie Malinowski prowadził swoje badania*<sup>342</sup> – notuje Domosławski. Po napisaniu bowiem „Podróży z Herodotem” Kapuściński przymierzał się przez lata do kolejnej opowieści, tym razem właśnie śladami Bronisława Malinowskiego.<sup>343</sup> Niestety, wszystko stało się za wcześnie.

Na zarysowanym powyżej przykładzie jak szczeble jednej drabiny układa się całość. Zniesiona graniczność literatury bije w dzwony skończonej nowoczesności. Powiązania jak neurony niosą światło na nieczytelne i nierozczytywane dotychczas marginesy. Literatura podróżnicza jest tworzona i tworzy. Gdy staje się skutkiem, nie trudno po niej o przyczynę. Przez Malinowskiego literaturoznawczo docieramy do kilku bohaterów powieści i dramatów Witkacego, a językoznawczo do koncepcji fatycznej funkcji języka. *Sześćdziesiąt lat po śmierci Malinowski nadal nas intryguje. Zakładając, że Charles Darwin ucieleśnia archetyp biologa, Bronisława Malinowskiego musimy uznać za archetyp antropologa – to polski szlachcic, który stworzył wymagający rytuał przejścia, zwany etnograficznym badaniem terenowym, i zrewolucjonizował antropologię społeczną w Wielkiej Brytanii. Przypisuje mu się rolę Wilhelma Zdobywcy wobec króla Haralda w osobie sir Jamesa Frazera, to jest rolę*

---

<sup>341</sup> R. Kapuściński, *Dalem głos ubogim*, Kraków 2008, str. 31.

<sup>342</sup> A. Domosławski, *Kapuściński non-fiction*, Warszawa 2010, str. 543. (W tym miejscu biografii Domosławski skrzętnie przedstawia także całą historię i plan przewidywanej podróży, wskazując nawet na wynotowane przez Kapuścińskiego koszty wyjazdu, miejsca noclegowe, czy też prowizoryczne trasy przelotu.)

<sup>343</sup> Fakt zamiaru napisania nowej książki odnotowuje także wieloletni przyjaciel Ryszarda Kapuścińskiego, Mirosław Ikonowicz, pisząc o trzech wydawniczych planach: *Chciał napisać o swoim idolu, polskim badaczu wysp Oceanii, a pod koniec życia również północnego Meksyku, Bronisławie Malinowskim, do której miał zebrane materiały. O swoich przeżyciach w Ameryce Łacińskiej, które wykorzystał literacko jedynie w niewielkim stopniu. No i o rodzinnym Pińsku*. M. Ikonowicz, *Hombre Kapuściński*, Warszawa 2011, str. 82.

*zabójcy króla, a zarazem i tego, który dał Wyspom Trobrianda w Melanezji Księgę Sądu Ostatecznego.*<sup>344</sup> Ale czy przykład może być dowodem?

Wracając jednak do jądra literackich rozważań, swój ogląd rozległej syberyjskiej krainy przedstawia także ksiądz Kazimierz Sowa, popularny bywalec stacji telewizyjnych i różnych środków masowego przekazu. Z podróży po Rosji przywozi wiele ciekawych spostrzeżeń i dzieli się nimi z czytelnikiem na wielobarwnych kartach „Moich syberyjskich podróży”. Publikacja, oprócz reporterskiej relacji, zawiera także wątki autobiograficzne, w których ksiądz Sowa opowiada o swojej rodzinie, pochodzeniu, edukacji. Wskazuje na kluczowe i przełomowe momenty swojej „kariery” duchownego, a w wielu miejscach syberyjskiej publikacji nawiązuje do wątków historycznych i religijnych. Jednak w żadnej mierze nie konstruuje opowieści martyrologicznej czy też pielgrzymkowej. Pisze o twardej wędrówce przez twarde kraj pełen twardych ludzi. *Po mszy pakujemy resztę sprzętu, pompujemy pontony i dokonujemy podziału na załogi. Mnie przypada ponton Igora, a co za tym idzie szczególna troska o sztucery i strzelbę. Przemek ze Zbyszkciem stanowią załogę drugiego pontonu, na trzecim – gumowym co prawda, ale bardziej przypominającym indiańskie kanu – łąduje Kostia z Gieną. Czwarty ponton dostaje wraz z zapasami żywności Nikołaj. Siergiej bierze swoją łódź motorową i pruje daleko przed nami, sprawdzić, czy szlak wodny nadaje się do przepłynięcia.*<sup>345</sup> Warto także zwrócić uwagę, że podróżnicza relacja kapłana jest jedną z nielicznych, jeśli nie w ogóle jedyną, spisaną ręką duchownego. Wprawdzie o swoim misyjnym skrawku afrykańskiej ziemi wspomniana była już opowieść księdza Hieronima Siwka, jednak tamten kapłan nie podróżuje, a opowiada historie z punktu widzenia pobytu na misyjnej placówce. Natomiast ksiądz Sowa rusza z plecakiem w drogę i podróżuje.

Wielka Rosja nie daje więc o sobie zapomnieć. Jest jak matrioszka. Kraj z krajów, albo jeszcze inaczej: *by przytoczyć aforyzm Churchilla – wciąż był „zagadką, owiniętą w tajemnicę, wewnątrz enigmy”.*<sup>346</sup> Z nieco jednak innego punktu widzenia przymierza się do Rosji Igor Miecik, wieloletni dziennikarz, reporter i publicysta „Polityki” oraz „Newsweeka”. Pisze o dawnym Kraju Rad nie w ujęciu terytorialnym, ale ze względu na wydarzenia. Siłą przewodnią jego publikacji są krótkie reportaże nie tyle z miejsc albo drogi, a bardziej z konsekwencji zaistniałych faktów. Rozmowy ze spadkobiercami tragedii. Jednak jego

<sup>344</sup> M.W. Young, *Malinowski. Odyseja antropologa 1884-1920*, Warszawa 2008, str. 15.

<sup>345</sup> K. Sowa, *Moje syberyjskie podróże*, Warszawa 2013, str. 283.

<sup>346</sup> J. Dimpleby, *Rosja. Podróż do serca kraju i narodu*, Poznań 2012, str. 17.

książkowy debiut jest nieco inny od pozostałych opowieści – stanowi bowiem zwarty zbiór reportaży, ale wszystkie wcześniej są już opublikowane na łamach „Polityki”. W tym znaczeniu podróżniczy czytelnik miał już okazję spotkać się z relacją autora, a teraz dostaje do ręki zwartą konstrukcję w twardej jak śmierć oprawie. *Poprzedniego lata, rok przed katastrofą, Kursk niezauważony dotarł na Morze Śródziemne, wykryto go dopiero w drodze powrotnej. W Murmańsku i Widiajewie było wielkie święto. Marynarze opowiadali sobie, jak to cała VI Flota USA została postawiona w stan gotowości, sztab ogłosił, że kontr operacja kosztowała Amerykę dziesiątki milionów dolarów. Załoga została obsypana medalami, a kapitan Giennadij Liaczin dostał medal Bohatera Rosji.*<sup>347</sup> Potem wszyscy zginęli, a Miecik dociera do rodzin po kilku latach od tragedii. Rozmawia. Wędruje w swojej książce nie po miejscach na mapie, ale po sercach w ludziach: jak się mają? co dziś myślą? kim są? Jedzie kilka tysięcy kilometrów Koleją Transsyberyjską, trochę bez celu i powodu – tylko dla ludzi, którzy w przedziałach opowiadają mu swoje historie. Ogląda Moskwę. Wynajduje niezwykle miejsce. *Dom postawiono specjalnie dla kierownictwa związku radzieckiego. Mieszkali tu między innymi: Tuchaczewski, Żukow, Litwinow, Rykow, Sierow, Mikojan, rodziny pierwszej i drugiej żony Stalina. Lepszy adres to był tylko Kreml.*<sup>348</sup> Sprawdza, gdzie kto mieszkał i jak jest dziś. Gdzieś indziej dociera do weteranów kampanii afgańskich i ceczeńskich. Snuje się po Żeńskim Gimnazjum Maryjskim w Krasnojarsku, mieście daleko za Uralem, o którym swoją książkę napisali wspomniani już Bartosz Jastrzębski i Jędrzej Morawiecki. Trafia też na Kaukaz, do zmasakrowanej szkoły w Biesłanie, gdzie *rozwarły się wrota piekieł i wypelzły demony: ból, nienawiść, gniew, pogarda, żądza zemsty.*<sup>349</sup>

*Wchodziłem do tej sali gimnastycznej już kilkakrotnie. I za każdym razem prawie łkam. Jakby przed chwilą ktoś przeciągnął serią po ścianach – nie raz, setki razy. Połamane i osmolone żerdzie drabinki. Dziury po bombach w nadpalonym parkiecie. Wytrzaskane okna. Czarne od pożaru kaloryfery. Na środku prawosławny krzyż, a wokół dziesiątki plastikowych butelek z czerwonymi goździkami i różami. Za pierwszym razem nie wiedziałem, że butelki symbolizują pragnienie wody, kiedy przez kilka dni gehenny dzieci umierały z wycieńczenia. Zawsze chodzę tu jak opętany. Odbijam się od ściany do ściany, chcę wyjść i uciec – ale wracam. Wszędzie wiszą kolorowe fotografie uczniów, nauczycieli i rodziców. W rzędach, jak na akademii. Błądzą po całej szkole, po roztrzaskanych zakamarkach. Absurdalnie myślę, że jeszcze kogoś odnajdę. W klasach na szybko wryte napisy, że pomścimy, że pamiętamy, że mamę kocham cię, że tęsknię i się boję. Długopisy.*

<sup>347</sup> I.T. Miecik, *14:57 do Czyty*, Wołowiec 2012, str. 30.

<sup>348</sup> Tamże, str. 47.

<sup>349</sup> Tamże, str. 133.

*Zeszyty. Wieńce. Połamane schody. Pluszak wciśnięty w róg. Krew na framugach. Jakbym był na poligonie. Wybite trocylem okna. Pod sufitem obrazy Puszkina i Gogola. Zegar z dziewiątą piętnaście. Ciągnę za sobą nogi jak na skazanie. Wsiadam w wóz i jadę kilka kilometrów za miasto, drogą na lotnisko. Miasto Aniołów. Aż trzeba było wybudować nowy cmentarz. Czy cmentarze się buduje? Kilka setek takich samych grobów. Pojedyncze. Podwójne, jak ginęło rodzeństwo, albo z mamą, tatą. Dziewięć lat temu. Na mogiłach drobne zabawki: resoraki, lalki, wyścigówki, lego. Chaczkar od dzieci z Armenii. Znów butelki i kwiaty. Marmurowe płyty lśnią w słońcu jak nie wiem co, bo tego nie da się porównać. I nie można zapomnieć. Wszystkie śmierci z samym początkiem września, do trzeciego włącznie. Przy jednym grobie babulina czyści zdjęcie wnuków i składa paciorki. Dziewczynka zginęła od razu, a chłopca znaleziono kilka dni po masakrze w przydrożnym rowie. Aleje śmierci. Gdzieś białe jak dusza anioły. Zamroczony widzę te pogrzeby. Tam nigdy nie będzie spokoju.*

Biesłańska tragedia przewija się w opisach wielu wędrówek na Wschód i chyba nie sposób ominąć tego miasta podczas kaukaskiej podróży, choć lepiej byłoby, gdyby mogło niczym się nie wyróżniać. Niewiele jest bowiem takich miejsc na świecie, które lepiej, gdyby może nie miały historii.

„Innych zagnano do sali gimnastycznej. Dwie szahidki przepasane ładunkami wybuchowymi stanęły w tłumie z rękami na zapalnikach. Później Zara widziała je w sali. Terrorysty zaczęli minować teren. Zmusili do pomocy młodych mężczyzn, wyluskanych z tłumy. Potem wyprowadzili ich z sali i rozległy się serie z automatów. Wszyscy zostali zabici na miejscu. Dwadzieścia ciał wyrzucono przez okno. [...] Najważniejsze jest utrzymanie ciszy. Kiedy w sali gimnastycznej podnosi się hałas, terroryści wpadają w złość. Strzelają po ścianach. Robią się jeszcze gorsi i jeszcze bardziej agresywni. Jak utrzymać ciszę w sali, gdzie znajduje się kilkaset dzieci?”<sup>350</sup>

Masakra nie ma sobie równych. Wspomnienie mrozi krew w żyłach. Nikomu nie jest obojętne. Mijają lata, ale pamięć trwa. Na swój sposób opowiada o tym także Paweł Reszka w książce zatytułowanej „Miejsce po imperium”. Kreśli ślady po swoich podróżach ręką dziennikarza i korespondenta wojennego. Włócząc się po „Starej Rosji” pokazuje spuściznę ZSRR w agonii. Wyrasta ukraińska Pomarańczowa Rewolucja i gruzińska Rewolucja Róż. Sypie się moloch. Autor wiedzie czytelnika trochę szlakiem historii, trochę teraźniejszości. Jego opowieści i spostrzeżenia, wplątane i czytane wspólnie z innymi, odślaniają po kolei

<sup>350</sup> P. Reszka, *Miejsce po imperium*, Warszawa 2007, str. 96.



złożoność tego regionu. Jak się wydaje, wszystkie książki o Kaukazie najlepiej przeczytać za jednym razem, bo choć w tematyce są podobne i zbliżone do siebie, jednak w szczegółach uzupełniają planszę jednej wielkiej łamigłówki.

„Planeta zamyka się między Morzem Czarnym na zachodzie a Morzem Kaspijskim na wschodzie oraz między równiną Donu na północy a Turcją i Iranem na południu. Mierzy czterysta czterdzieści tysięcy kilometrów kwadratowych. Tyle, co Szwecja. Niewiele. A jeśli nie liczyć pasa stepów – jeszcze mniej. Wypełnia tę przestrzeń zagmatwana mozaika ludów, kultur, języków i religii. Autorzy piszący o Kaukazie najczęściej porównują go do wielkiego tygla, albo – ponieważ to ziemia niespokojna, obfitująca w wojny, konflikty, krwawe zamieszki – do beczki prochu.”<sup>351</sup>

Wojciech Górecki w latach 2002-2007 bawił w azerbejdżańskim Baku jako radca i sekretarz polskiej ambasady. Był także ekspertem misji UE badającej okoliczności wojny w Gruzji w 2008 roku, a obecnie związany jest z warszawskim Ośrodkiem Studiów Wschodnich. Oddaje w ręce podróżniczego czytelnika dwie książki o Kaukazie: „Planetę Kaukaz” oraz „Toast za przodków”, a niedawno także „Abchazję”. Wielu ten region już opisywało, ale bodaj nikomu nie udało się to tak dobrze, jak Góreckiemu. Wiedzie swoje opowieści przez umęczone konfliktami krainy, które przyparte do górskich ścian Kaukazu są trochę jak mysz zapędzona w ślepy kąt. Skrupulatnie opisuje rzeczywistość Dagestanu, Czeczenii, Inguszetii, obu Osetii, Kabardyno-Bałkarii, Karaczajo-Czerkiesji, Abchazji, Adygei, Kałmucji. Zjeżdża Kraj Krasnojarski i Stawropolski. Penetruje Gruzję, Armenię i Azerbejdżan. Gdy spojrzy się na mapę tego regionu, widać kilkanaście małych państweczek: o różnych religiach, różnych przeszłościach i przeróżnych kulturach. Jedno nie podobne do drugiego – w dodatku tak małe, że koniecznie zależne. Ale od kogo, jeśli nie od Rosji? Tygiel narodów. Jak pranie w pralce automatycznej. Tam nigdy nie będzie spokoju. Nawet dziś, gdy pytam w kolejnej podróży o coś prostego, nie dostaję odpowiedzi. Każe mi się jechać inną drogą, nadkładać setki kilometrów, bylebym nie wjeżdżał do sąsiada-wroga na śmierć. *Wojna jest łatwiejsza niż pokój. Na wojnie wszystko jest białe albo czarne, są przyjaciele i nieprzyjaciele. Jest wreszcie broń, która daje władzę i poczucie panowania nad losem. Pokój to nieskończone odcienie szarości, trudne wybory i rozczarowanie nowym życiem – bo po wojnie nic nie jest takie samo jak dawniej.*<sup>352</sup> Kaukaz Góreckiego jest realny i nad wyraz

---

<sup>351</sup> W. Górecki, *Planeta Kaukaz*, Wołowiec 2010, str. 11.

<sup>352</sup> Tamże, str. 152.

rzeczywisty. W swoich dwóch książkach autor przywołuje ten geograficzny obszar w dwóch odsłonach, i po pierwszej książce zaraz wydaje drugą – o Południu.

„Leszka M. gościliśmy w Baku kilkakrotnie. Za pierwszym razem przyjechał z Teheranu. Przeszedł się po mieście, zajrzał do herbaciarni, popatrzył na ludzi. Wieczorem powiedział: – *Czuję się jak w Europie*. Za drugim razem przyleciał prosto z Warszawy. Przytłoczyły go zgiełkowe ulice, chaotyczny ruch samochodów i przechodniów, namolni sklepikarze i kierowcy taksówek. – *To jednak Azja* – stwierdził. Za trzecim razem nic go nie zdziwiło.”<sup>353</sup>

Opisami oddaje charakter Gruzji, Armenii i Azerbejdżanu, wskazując na różnice kulturowe i religijne. Jest i Ararat, i chaczkary. I meczety. Na długiej liście odwiedzanych miast i miasteczek nie brakuje bodaj żadnego. Píše o wojnach, starciach militarnych, waśniach i antagonizmach. Gruzja nie odpuszcza Osetii Południowej ani Abchazji, a tym samym Rosja nie pozostaje dłużna Gruzji. Strefy wpływów mieszają się z partykularnymi interesami – a mapa nie kłamie. Można przypuszczać, że gdyby Rosja dała sobie z tym regionem spokój, to z biegiem czasu wpadłby on w ręce ortodoksyjnego islamu rodem z Iranu (i z całego w tym wypadku południowego wschodu) i mogłaby utracić na zawsze cały wielki klin ziemi między Morzem Czarnym a Kaspijskim; między Ukrainą a Kazachstanem.<sup>354</sup> Góry Kaukazu to naturalna granica wpływów – ani kroku dalej. *Ale oprócz tego Kaukaz uwielbia się bawić – śpiewać, tańczyć, biesiadować, pić wino.*<sup>355</sup>

Ten posępny i malowniczy (pod względem niestety krwi, ale i przyrody) region opisuje jeszcze kilku polskich autorów i można odnieść wrażenie, że wśród całej literatury podróżniczej o Rosji (w kontekście Azji) wielki Kaukaz ciągle znajduje swoją aktualną reprezentację. Kraje, do niedawna zwane jeszcze Zakaukaziem i Przedkaukaziem, stanowią

---

<sup>353</sup> W. Górecki, *Toast za przodków*, Wołowiec 2010, str. 13.

<sup>354</sup> W politycznym kontekście zwracają na to zagadnienie także uwagę np. wspomniani już Iwona Kaliszewska i Maciej Falkowski w swojej „Matrioszce w hidżabie”, pisząc: *Gdybyśmy wyobrazili sobie Kaukaz Północny jako składającą się z wielu „babuszek” matrioszkę, tylko jedna z nich byłaby rosyjska. Ta zewnętrzna. Każda kolejna miałaby już z Rosją niewiele wspólnego. Nosilaby prawdopodobnie nie wyszywaną w tradycyjne wzory chustę, jakie zakładają babcie idące do cerkwi, tylko muzułmański hidżab. Choć zdecydowana większość mieszkańców Dagestanu i Czeczenii – wbrew rozpowszechnionej u nas opinii – wciąż czuje silne związki z Rosją, ich codzienne życie ma z tym krajem coraz mniej wspólnego w sensie cywilizacyjnym, kulturowym. Rosjanie mówią, że „święte miejsce nie pozostaje puste”. Miejsce wspólnych dla całego byłego ZSRR wartości, tradycji, stylu życia, ideologii zajmuje islam. Powoli lecz konsekwentnie i – jak się wydaje – nieodwracalnie wdziera się w każdą niemal sferę życia mieszkańców regionu. Następuje islamizacja, a raczej reislamizacja Kaukazu, islamska rekonkwista kierowana chęcią powrotu do sytuacji sprzed podboju rosyjskiego w XIX wieku, kiedy to islam był najważniejszym elementem kaukaskiej rzeczywistości – zanim carscy czynownicy i bolszewicy komisarze nie narzucili dumnym góralom nowych porządków. I. Kaliszewska, M. Falkowski, *Matrioszka w hidżabie*, Warszawa 2010, str. 7.*

<sup>355</sup> W. Górecki, *Toast za przodków*, Wołowiec 2010, str. 380.

dla wielu wędrowców dogodny i w miarę dostępny obszar swoich eskapad. Być może czyni go takim względnie nie duża odległość od polskich granic i w miarę sprawna siatka połączeń: czy to lotniczych, czy drogowych. Wystarczy przejechać przez Ukrainę i kupić jedną rosyjską wizę. Dzieje się tak pewnie również za sprawą wielkiej góry o dwóch majestatycznych wierzchołkach, bo *zdobycie Elbrusu nie jest technicznie trudne i nie wymaga specjalnego sprzętu. Wystarczą raki i kije narciarskie. Trasę wyznaczają rozstawione co sto metrów tyczki. Stromizna rzadko przekracza dwadzieścia pięć stopni.*<sup>356</sup> Jeśli Kaukaz jest w Europie, to Elbrus bije na głowę Mont Blanc. A gdy stoi się prawie u szczytu Elbrusu, już na wiecznym śniegu, lśni wśród gór Abchazja. Parapaństwo. Z drugiej, nie bardzo odległej strony, zaczyna się tuż za olimpijskim Soczi. Miałem okazję być raz przy jednym szlabanie, raz przy drugim – ale nigdy wewnątrz.

Ma swoje terytorium, granice i obywateli. Prezydenta, premiera, parlament. Armię. Centralna Komisja Wyborcza organizuje wybory, poczta emituje znaczki. Trzydziestoletni helikopter Abchaskich Linii Lotniczych wozi pasażerów z Suchumii do wysokogórskiego Pschu. Donoszą o tym: agencja Apsnypress, telewizja, radio, gazety, internet. Polska nie uznaje Abchazji. Uważa ją za część Gruzji. Tego samego zdania jest reszta świata – z wyjątkiem Rosji, Nikaragui, Wenezueli, Nauru, Vanuatu i Tuvalu.<sup>357</sup>

Najdokładniej Abchazję ukazuje Górecki. Wiedzie czytelnika przez niespokojne dwudziestolecie, kiedy jedni napadają na drugich i nigdzie nie ma spokoju. Można odnieść wrażenie, że rozmawia z każdym Abchazem po kolei. Z każdym z osobna. Na tle krainy przypartej do Morza Czarnego autor opowiada szarą i przestrzeloną z każdej strony historię, a literatura drogi staje się na oczach czytelnika faktem i doznaniem. Doświadczeniem. Kartka za kartką prawie jak pamiętnik. *Mam dwadzieścia trzy lata i zaczynam przygodę z Kaukazem. Jestem tu drugi raz, wcześniej jeździłem do Moskwy, na Białoruś i Ukrainę. Już wiem, że znalazłem swój temat. Czekają na mnie dziesiątki miejsc i setki ludzi – bojowników, pasterzy, profesorów, prezydentów, dziennikarzy, artystów. Tysiące historii. Czekają książki, ich mądrość i jad. Czekają odkrycia, zdumienia, fascynacje i rozczarowania. Czuję podniecenie jak przed długą podróżą.*<sup>358</sup> Publikacja Góreckiego ukazała się raptem kilka miesięcy temu. Na księgarskich półkach czołg z okładki można znaleźć z dziale reportażu, w dziale podróży,

---

<sup>356</sup> W. Górecki, *Planeta Kaukaz*, Wołowiec 2010, str. 18.

<sup>357</sup> W. Górecki, *Abchazja*, Wołowiec 2013, str. 11.

<sup>358</sup> Tamże, str. 14.

wśród przewodników i map. Leży tam, gdzie „Geografia” i „Nowości”. Raz znajduję ją w „Prozie Polskiej”.<sup>359</sup>

Postać Wojciecha Góreckiego zasługuje w tym miejscu na szczególną uwagę. Jest przykładem innego rodzaju podróżnika, a tym samym, niemal automatycznie, jego publikacje stają się różne od pozostałych. Jak sam zaznacza, od ponad dwudziestu lat penetruje Kaukaz i mając teraz na karku czterdziestkę, trochę się zmienił. Można powiedzieć, że przesiedział w tym regionie świata kawał swojego jednego i jedyne go życia. Dziś myśli i snuje ostrożne plany o podobnej penetracji Azji Mniejszej czy Iranu. Związany obecnie z warszawskim życiem akademickim ukończył kaukaski tryptyk, a wszystkie trzy książki pewnie nie powstałyby w takim okazaniu, gdyby nie kilkuletni dyplomatyczny pobyt w Baku. Na jego przykładzie widać wyraźnie, jak rozchodzą się drogi podróżniczego pisarskiego rzemiosła. Inne powody, inne intencje, inne założenia. Inny *modus operandi*. Jak wiele czynników ma wpływ na konstrukcję trafnej lub mniej trafnej analizy i z ilu składowych dzieje się na końcu spisana opowieść. Można także zaobserwować, dzięki otwartości autora, jak z podróżnika i wędrownego skryby (pełnego pewnie wzniosłych młodzieńczych ideałów) łatwo dziś niemal niepostrzeżenie przeistoczyć się i przepotwarzyć w zgrabnego i zgrzebnego turystę-gryziopórka. Górecki pisze o tym sam w ostatnim rozdziale „Abchazji”, kończąc jakże celnym, jak się wydaje, akapitem uczciwej reporterskiej i podróżniczej konstatacji.

„Przed hotelem zaczepia mnie dwunastoletni może chłopiec. Pokazuje swoje obrazki, chce je sprzedać, mówi, że zbiera na komputer. Rzucam okiem, rysunki są niedobre, zła kompozycja, rozchwiane proporcje. Już czmycham do Marriotta, ale chłopak łapie mnie za rękę, pyta, skąd jestem. Cieszy się, że z Polski, wyciąga dwadzieścia złotych, prosi, żebym mu wymienił na darmy. Wymieniam i czuję, że wypada jeszcze coś powiedzieć, więc chwałę jego rosyjski, na co słyszę, że zna siedem języków. Szczerze mu gratuluję i składam życzenia urodzinowe – ten komputer wymarzył sobie na urodziny. Zadowolony z siebie znikam.

W pokoju uświadamiam sobie, że przegapiłem temat. Marriott uśpił moją czujność.

Powinienem spytać chłopca:

– Jak ma na imię?

---

<sup>359</sup> O Abchazji wspominał także Osip Mandelsztam, kreśląc bez mała sto lat temu swoją „Podróż do Armenii”: *Chociaż w słonecznym życiu Abchazji jest dużo naiwnego grubiaństwa i nadużyć, nie sposób nie ulec administracyjnym i gospodarczym urokom tej małej nadmorskiej republiki, dumnej ze swych drogocennych gleb, bukszpanowych lasów, oliwkowego sowchozu na Nowym Athosie i wysokiej jakości tkwarczelskiego węgla* (O. Mandelsztam, *Podróż do Armenii*, Warszawa 2004, str. 50), choć dla Góreckiego dzisiejszym węglem będą po prostu abchaskie mandarynki: *Mandarynki. Tony mandarynek. Zalegają haldami wzdłuż szosy, gniją wokół kiosków z papierosami i wódką, wysypują się z rozklekotanych wołg, moskwiczów i ład. Dziurawy asfalt pokrywa mandarynkowa miazga. Mandarynki są z Abchazji*. W. Górecki, *Abchazja*, Wołowiec 2013, str. 17.

- Skąd zna te języki?
- Gdzie się uczy?
- Kim chce zostać?
- Co robią rodzice, dziadkowie?
- Nie martwią się, że po jedenastej nie ma go w domu?
- Od jak dawna sprzedaje obrazki?
- Dlaczego akurat pod Marriottem
- Ile już sprzedał?
- Jakie idą najlepiej?
- A który on lubi najbardziej?
- Czy go tu nie gonią (ochroniarze, policja, inne chłopaki)?
- Kto mu dał dwadzieścia złotych?
- Po co właściwie chce ten komputer?

Wybiegam na plac, ale chłopca już nie ma. Pocieszam się, że pewnie nie byłby ze mną szczerzy. Bo co by mógł pomyśleć o biorącym go na spytki dupku? Czy marriottowiec nadaje się na kumpla, brata łątę, wolnego słuchacza – na osobę, którą musi stać się reporter, żeby ludzie chcieli się przed nim otwierać? Miałem się tłumaczyć, że ja tylko tak, że na chwilę, że ten garnitur to przypadkiem?

Nie można bezkarnie mieszać dwóch ról, dwóch różnych porządków. Być światowcem i obieżyświatem. Nie da się mieszkać w Marriocie i pozostać reporterem.

Przynajmniej ja nie potrafię.<sup>360</sup>

Swoje trzy grosze o Kaukazie wtrąca także małżeństwo Anny i Marcina Mellerów, dziennikarzy, po części celebrytów i medialnych gwiazd radia, telewizji i kolorowych magazynów. Ich opowieść dotyczy Gruzji, w której się zakochali i w której się pobrali. *Ta książka powstała oczywiście z miłości do tego kraju. Ale mamy nadzieję, że nie jest nią zaślepiona. Dowodem może być fakt, że nasi gruzińscy i gruzinofilscy przyjaciele zzymali się niekiedy, czytając jej fragmenty. Z drugiej jednak strony nie udajemy obiektywnych obserwatorów: przyznajemy uczciwie – jesteśmy Gruzją zac zadzeni<sup>361</sup>* – wyznają we wstępie. Piszą barwnie, osobiście i kolorowo. Dziesiątki zdjęć opowiada osobne historie. Gruzja z innej strony: przez śmiech, żarty, przy winie i tradycyjnych toastach. Ale także historyczna, wojenna, niepodległa. Realna: *Lotnisko w Tbilisi jest piękne i romantyczne jak wszystkie lotniska świata.*<sup>362</sup> Po przeczytaniu ich relacji trudno tego kraju nie polubić, a zważywszy na postać czołgisty Grigorijego z serialu „Czterej pancerni i pies” emocjonalne polskie związki z

<sup>360</sup> W. Górecki, *Abchazja*, Wołowiec 2013, str. 171.

<sup>361</sup> A. Dziewit-Meller, M. Meller, *Gaumardżos*, Warszawa 2011, str. 6.

<sup>362</sup> Tamże, str. 317.

Gruzją wydają się silniejsze, niż można byłoby przypuszczać. W jednym ze swoich fragmentów „Gaumardzos” wskazuje jeszcze na inny, bardzo charakterystyczny wątek, gdy przychodzi rozmyślać nad związkami łączącymi czynność podróży, twórczość literatury i osobę podróżnika. W tym znaczeniu korespondencja wydaje się jaskrawa: *Zadzwoń do „Gazety” i poproszę o połączenie z panem Wojciechem Jagielskim, już wtedy znanym korespondentem zagranicznym, specjalizującym się między innymi w konfliktach postsowieckiego Kaukazu i Zakaukazia, którego nigdy wcześniej nie widziałem na oczy.* – *Dzień dobry panu, mówi Marcin Meller z „Polityki”, lecę za chwilę do Armenii i Gruzji i chciałem zapytać, czy mógłby mi pan dać jakieś namiary.*” *Czy jakoś tak. Już parę lat później Wojtek powiedział mi, że gdy zrelacjonował komuś tę historię, ten zapytał: „I co? Pogoniłeś bezczelna?”. Otóż nie. Jagielski dał mi kontakty do swoich przyjaciół, poradził, gdzie się skierować. Niebawem. Zwłaszcza w świecie dziennikarskim, gdzie właściwe wejście jest wszystkim. Do dzisiaj się czerwienię na myśl o tym telefonie.*<sup>363</sup> W tym konkretnym znaczeniu książka niemal rodzi książkę, autor wskazuje na powiązania różnych historii, gdy nie tylko przez księgarskie półki dochodzi do udanej reporterskiej podróży. Jeden zawdzięcza coś drugiemu: literatura podróżnicza jak stacja przekaźnikowa. Dzieje się tak nie tylko jednak w tym przypadku. Serdeczną przyjaciółką Mellerów jest Katarzyna Pakosińska, szerzej znana w Polsce jako kabaretowa współtwórczyni Kabaretu Moralnego Niepokoju. Fascynatka Gruzji podróżuje po Kaukazie wielokrotnie, także w towarzystwie wspomnianych przyjaciół, i być może po części zainspirowana ich „Gaumardzos” wydaje rok później swoją barwną opowieść zatytułowaną „Georgialiki”. W sobie charakterystyczny sposób opisuje odwiedzane regiony Gruzji, ciągnąc czytelnika w górzystą Swanetię, do Tuszenii, Adżarii i Imeretii. Zwiedza Samcche-Dżawachetię, Kachetię oraz dużo czasu spędza w słonecznym Tbilisi. Jako wzięta aktorka scen kabaretowych jej książka przesiąknięta jest i sarkazmem, i cynizmem – ale artyście wypada. Na wszystkie sposoby rozmawia ze spotkanymi ludźmi, a historie jej i Mellerów korespondują ze sobą. Spoglądając na Gruzję ma jednak ciągle podróżniczą świadomość, że jest tam tylko gościem. *Nie zliczę dni, które spędziłam w Gruzji. A jednak zawsze będę tu osobą z zewnątrz, wychowaną w innej kulturze i realiach. Cudzoziemką mimo najbliższych więzi i dzielenia z nią życia na dobre i złe.*<sup>364</sup> Pakosińska, ciekawa świata i z dystansem do niego, w humorystyczny sposób przywołuje najrozmaitsze przygody, a jej książka z kartki na kartkę staje się oryginalnym przewodnikiem po kaukaskim kraju. Od

---

<sup>363</sup> A. Dziewit-Meller, M. Meller, *Gaumardzos*, Warszawa 2011, str. 98.

<sup>364</sup> K. Pakosińska, *Georgialiki*, Bielsko-Biała 2012, str. 235.

znajomych wyciąga najprzeróżniejsze ciekawostki, dialogując trochę prześmiewczo np. z Natią o wziętej stolicznej restauracji Moulin Electric: – *Mylisz, że kiedy ktoś pierwszy raz jedzie do Gruzji, to powinien się jakoś szczególnie przygotować? Coś przeczytać, czegoś posłuchać? – Był taki człowiek z... Nie pamiętam, skąd przyjechał. Ba, on nawet nie miał pojęcia, gdzie jest. Wystali go z jakimś biurem podróży właśnie tu, do Gruzji. Bał sam. I uwierz mi, naprawdę nie wiedział nic. Wyobraź sobie, że od razu, w pierwszej godzinie pobytu, trafił właśnie do Moulin Electric. A tam już się nim zajęliśmy. Skończyło się na tym, że spędziliśmy razem tydzień. I było super.*<sup>365</sup> By jednak zwiedzić Gruzję, nie trzeba koniecznie mieć przy sobie ani publikacji Mellerów, ani spowiedzi Pakosińskiej. Jednak, podobnie jak w przypadku wielu książek o zbliżonym charakterze, warto po takie lektury sięgać. Gruziński duch, bliski emocjonalnie polskiej tradycji, nie traci nic ze swojego polotu i animuszu, a osobiste przeżycia autorów stają się wręcz kapitalnym ujęciem spraw ważnych i mniej ważnych w jedną, spójną całość. Dla autorki „Georgialiki” są także bardzo prywatnym zapisem, co satyryczka wyraźnie podkreśla zarówno w podtytule swojej publikacji, jak i w całej barwnej opowieści, nazywając ją pokrętnie humorystycznym neologizmem – książką pakosińsko-gruzińską. Warto także zwrócić uwagę na przebogatą warstwę fotograficzną, gdy przez kolorowe ujęcia do czytelnicych oczu dociera jeszcze bardziej wyraźny przekaz z gruzińskiego świata. Wielobarwne ilustracje prowadzą za rękę do niecodziennych miejsc i wręcz w niespotykane kaukaskie rewiry.

Wywołany również przez Mellerów do pisarsko-podróżniczej tablicy Wojciech Jagielski, po wspomnianej już kilka akapitów wyżej afgańskiej „Modlitwie o deszcz”, także z Kaukazu śle do kraju swoje reporterskie doniesienia. I pisze dwie kolejne książki: „Wieże z kamienia” i „Dobre miejsce do umierania”. „Wieże” opowiadają tym razem o Czeczenii, gdy dolina Tereku płonie wojną z Rosją.<sup>366</sup> Pod gradem kul pisze następne słowa swojej wschodniej trylogii. *Kolorowe sny, wspaniałe plany i wielkie ambicje rozbijały się jednak o wszechobecne przeszkody, mury niemożności, piętrzące się wokół jak skaliste góry Kaukazu.*

---

<sup>365</sup> K. Pakosińska, *Georgialiki*, Bielsko-Biała 2012, str. 310.

<sup>366</sup> Skomplikowaną sytuację w kaukaskiej Czeczenii opisuje także korespondencyjnie, przy okazji swoich licznych wędrowek w „Altajskich tropach”, wspomniany kilka akapitów wcześniej Witold Michałowski. Autor, nieustraszony obrońca czeczeńskiej sprawy, oddaje w opisach charakter czasów, kiedy w dolinie Tereku pokój nie wydawał się artykułem pierwszej potrzeby. *W Groznm, na niewielkim placyku pomiędzy „Kafe Wajnach” a sklepem myśliwskim, gdzie sprzedawano ongiś haczyki na ryby, sztuczne przynęty i kamizelki na magazynki, handlowano bronią. Ceny były umiarkowane. Kalasznikow od 200-250 USD. Pistolet Tokariewa (popularna TT) – 350 USD. Pistolet Makarowa – 200-250 USD. Pocisk do granatnika – 60 rubli. Obowiązkowym wyposażeniem każdego „bojownika” były też bagnety, kaukaskie kindżały, noże fińskie, a nawet hiszpańskie maczety. Broń każdy kupował sobie sam. Tak było na Kaukazie od prawników. Od zawsze.* W. Michałowski, *Altajskie tropy*, Poznań 2010, str. 102.

*Bieda, beznadzieja, pogarda, brak zajęcia, brak pieniędzy, brak przyszłości. Taki żywot wiodła większość Czeczenów w górskich aulach. Niewielu tylko starczało sił i odwagi, by się wyrwać z tego zaklętego kręgu.*<sup>367</sup> Jagielski wspomina dziesiątki swoich rozmów i setki przejechanych kilometrów. Trafia w sam środek kotła. Nie można nie odnieść wrażenia, że igra z losem. Gra w rosyjską ruletkę z czeczeńskim przeznaczeniem. I cytuje polowego dowódcę Sulejmana: – *My nie walczymy, by wygrać. To nie jest możliwe – powiedział. – Walczymy tylko po to, by nie przegrać.*<sup>368</sup> Jego opowieść kontrastuje z innymi podróżniczymi publikacjami, i choć w formie zapisu podobna jest do rzetelnych opracowań Góreckiego, różni się od nich i stylem, i zakresem. Jagielski męczy. Nie jest łatwy i przyjemny – i trafia przez to do innej, może bardziej wymagającej, grupy czytelników. Nie ma zdjęć. Nie ma ochów i achów. Nie ma słońca. „Wieże z kamienia” są twarde – może jak sam Kaukaz. Trudno dorównać mu kroku. Jest innym formatem podróżnika, przez co jego wędrowny zapis także staje okoniem. *O to przecież szło. Być jak najbliżej, przekonać się, co jest za zakrętem, dotknąć samemu, sprawdzić jak to jest naprawdę. Nie po to, żeby coś przeżyć, z czymś się zmierzyć, ale żeby po prostu doświadczyć, wczuć się w rolę, cudzą rolę. A potem zdać z tego sprawę. Jak bowiem ukazać koszmar, samemu go nie przezywając? A strach? Triumf? Jak opisać ślepy zaułek, jeśli nie oglądało się go nawet z daleka?*<sup>369</sup> Proza Jagielskiego jawi się bardziej nie jako reportaż literacki, a jako literatura reporterska. Książka, przez integrację autora z planem opisu i ludźmi, których spotyka, jest więc raczej podmiotem działania, a nie przedmiotem do działania. Nie tyle opowiada podróż, ile jest podróżą. Podobnie rzecz ma się z „Dobrym miejscem”, jednak tutaj przybliży polskiemu czytelnikowi niemal cały Kaukaz, pisząc o Gruzji i jej kolejnych politycznych przywódcach, o Osetii Południowej, o mużułmańskiej Inguszetii. Wspomina Armenię z historią Ormian i targany na wszystkie strony Górny Karabach. *Każdy kalkulował po swojemu. W obliczu śmiertelnego tureckiego zagrożenia Ormianie szukali pomocy w Rosji. Spokrewnieni z Turcją Azerowie widzieli swoją przyszłość w sojuszu ze Stambułem. Gruzini z nadzieją spoglądali na Niemcy, Anglię, Amerykę. Zagraniczni przyjaciele, którzy nigdy nie spełniali obietnic, a prawie zawsze okazywali się wyrachowanymi zdrajcami, jeszcze bardziej dzielili mieszkańców Kaukazu.*<sup>370</sup> W każdej ze swoich książek Jagielski roztacza szeroką perspektywę, szukając powodów i przyczyn – albo inaczej: opowiadając o nich przez pryzmat zawilej historii i konsekwencji

---

<sup>367</sup> W. Jagielski, *Wieże z kamienia*, Warszawa 2008, str. 185.

<sup>368</sup> Tamże, str. 320.

<sup>369</sup> Tamże, str. 86

<sup>370</sup> W. Jagielski, *Dobre miejsce do umierania*, Warszawa 2012, str. 12.



decyzji, które zbyt często podejmowane były raczej w Moskwie, niż na Kaukazie. Dzieli się z każdym kolejnym podróżnikiem smutną konstatacją: *Nikt po wojnie nie stosował wobec Burgów, Egipcjan, Palestyńczyków, Hindusów czy Khmerów zbiorowej kary. Tylko Rosja tak surowo potraktowała swoich niełojalnych poddanych – nakazała deportację całych narodów na Syberię i pustynie Kazachstanu. W praktyce oznaczało to wyrok śmierci. Kiedy w 1957 roku Moskwa zrehabilitowała Tatarów, Turków, Kałmuków i kaukaskich górali, okazało się, że połowy z nich nie ma już wśród żywych.*<sup>371</sup>

Malowniczy Kaukaz wdzięczy się więc w wielu opowieściach. Piszą o nim nie tylko Polacy, a dawne opowieści brzęczą w uszach jak cygańskie kolczyki. *Na początku kwietnia przyjechałem do Suchumi, miasta żaloby, tytoniu i wonnego oleju roślinnego. To stąd należy rozpocząć zgłębianie elementarza Kaukazu*<sup>372</sup> – zaznacza w swojej poetyckiej balladzie wspomniany już Osip Mandelsztam. Gdy rusza się w podróż, dobrze znać i takie opisy. Intertekstualność literatury staje się wprost proporcjonalna do ilości odwiedzanych miejsc, a opisy to nawiązują do siebie, to się uzupełniają. *Baku było więc miejscem, w którym Turcy, Rosjanie i Irańczycy bez tłumacza czuli się jak w domu, ale częste zmiany alfabetu i nazw ulic wywoływały ciągłą dezorientację*<sup>373</sup> – zauważa w swojej podróżniczej publikacji Robert Kaplan, amerykański pisarz, dziennikarz i komentator polityczny. Wiedzie swoją opowieść po Południowym Kaukazie początku lat dziewięćdziesiątych. Dawno. Wtedy wszystko było tam jeszcze inne. Zestawienie jego opracowań z literaturą, która powstaje dziesięć czy dwadzieścia lat później daje ogląd zmieniającej się rzeczywistości. Na Kaukazie nic nie stoi w miejscu, choć *w regionalnej polityce niewiele się zmieniło od czasów Herodota i Tukidydesa. Według Herodota granice mają charakter etniczny i kulturowy. Grecy, Persowie, Scytowie i inni toczyli w starożytności wojny terytorialne, tak jak w latach dziewięćdziesiątych XX wieku Gruzini, Abchazowie, Osetyjczycy, Azerowie i Ormianie. Tukidydes sprowadził Herodotową kronikę zderzenia kulturowego do polityki siły. I tak naprawdę Bliski Wschód nadal pozostaje tygłem czystych egoizmów narodowych.*<sup>374</sup> Można przypuszczać, że gdyby Rosja była tak gigantycznie silna jak Stany Zjednoczone, to Kaukazem stałaby się Europa. – *Niewielkie unikatowe skupiska domów pochodzących jeszcze z dwunastego wieku zrównano z ziemią – westchnął. – Pod względem materialnym niemalże nas zmiażdżyli, ale duchowo – nie. Usiłują nas złamać od trzystu lat, lecz my mamy coś, czego oni nie mają. My wiemy, o co*

<sup>371</sup> W. Jagielski, *Dobre miejsce do umierania*, Warszawa 2012, str. 232.

<sup>372</sup> O. Mandelsztam, *Podróż do Armenii*, Warszawa 2004, str. 49.

<sup>373</sup> R.D. Kaplan, *Na wschód do Tatarii*, Wołowiec 2010, str. 454.

<sup>374</sup> Tamże, str. 493.

walczyliśmy: o wolność i niezależność – powiedział, lecz zaraz dodał ze smutkiem: – Ale teraz walczyliśmy przede wszystkim o przeżycie<sup>375</sup> – wspomina swoje rozmowy norweska dziennikarka, która we wstrząsającej publikacji nie pozostawia złudzeń odnośnie do roli kaukaskiej Czeczenii i Putinowskiego planu podporządkowania sobie tej walecznej i niepokornej republiki. Ale opowieść Seierstad ma jeszcze inny charakter: autorka zwraca uwagę na dzieci<sup>376</sup> i wokół ich zachowań konstruuje swoją reporterską narrację, pisząc m.in.: *W tym czasie Grozny leżał w gruzach. W powietrzu krążyły myśliwce, po ulicach czołgi, nocą trwał ostrzał. Wielu mieszkańców uciekła, ci, którzy mogli, wyjechali, inni wczepili się mocno w to, co pozostało, nie mieli dokąd pójść i walczyli o przetrwanie w chaosie. Mało kto zwracał uwagę na dzieci.*<sup>377</sup> Na łamach literatury podróżniczej takich i podobnych opisów można znaleźć wiele, tym bardziej, gdy głos odda się dziennikarzom-reporterom.

*Czym większa dyktatura, tym większy porządek. Im więcej ciszy, tym więcej skrytych mordów. Grozny zaczyna świecić jak brylanty. Wymuskany od prezydenckiego palacu na wszystkie strony. Budowany od nowa, bo na zdjęciach z niedawnych wojen wygląda jak Warszawa z 1945. Kilka szerokich arterii, szklane wieżowce, marmurowe kostki. Na środku miasta meczet imienia wysadzonego w powietrze Kadyrowa – ładunki wybuchowe ukryto już kilka lat wcześniej w żelbetach trybuny honorowej na miejskim stadionie. I tak jest wszędzie. Gdy pachnie dyktaturą i tyranią, pachnie też prochem. W białoruskim Mińsku po ulicach prawie nawet nie wieje wiatr. Nie ma psów i kotów. Najmniejszy listek, piórko, źdźbło trawy zbierane jest natychmiast przez służby porządkowe. Wielkie plakaty z prezydentem na każdym rozwidleniu: z dziećmi, z psami, z armią, na łące, w żniwach. Im większa dyktatura tym więcej landrynek. Turysta prawie nie może się połapać – gdyby nie literatura, nie połapałby się nigdy. Słodko aż nuży. Wyczyszczone światy kłamstw. W turkmeńskim Aszchabadzie to samo. Nigdzie żywego ducha. Jeśli gdzieś ktoś się pojawi, umyka chyłkiem jak przed okupacyjną łapanką. Puste aleje prezydenta-ojca i prezydenta-syna. Wszystko lśni jak porcelana na Wystawie Światowej. I ta cisza. Tylko*

<sup>375</sup> Å. Seierstad, *Dzieci Groznego*, Warszawa 2009, str. 50.

<sup>376</sup> Pojęcie „dziecka” można w tym wypadku rozumieć także metafornalnie, jako „pokolenie” czy „spadkobiercy”. Dzieci jawią się nowym pokoleniem, ale w co najmniej podwójnym znaczeniu: jako uwikłane w przeszłość, widzące wcześniej wojenne śmierci i gehennę przesiedleń, ale także jako całkiem nową generację, wyrosłą już po politycznych zawirowaniach i po czasach dyktatur. W tym znaczeniu „dziećmi” są dorosłe osoby, dla których doświadczenie np. komunizmu jest znane tylko z opowiadań. Przykładem na taką publikację będzie w tym miejscu reportersko-podróżnicza publikacja Any Uzelac pt. „Dzieci z Putino”, w której autorka opowiada o losach pokolenia wyrosłego w cieniu puczów, wojen i kryzysów tyle co postradzieckiej Rosji. *Dziesięć lat po upadku Związku Radzieckiego w Rosji wyrosło nowe pokolenie. Po raz pierwszy od siedemdziesięciu lat w państwie pojawili się dorośli już ludzie, których nie uczono doktryny marksizmu, nie zaganiano do organizacji pionierskich lub komsomołu, którym nie wpajano zasad posłuszeństwa wobec partii i jej przywódców. Przed tym pokoleniem, zamiast niezmiennych, przewidywalnych radzieckich perspektyw, leżała przyszłość w nowej, na zawsze zmienionej Rosji.* A. Uzelac, *Dzieci z Putino*, Sejny 2004, str. 5.

<sup>377</sup> Å. Seierstad, *Dzieci Groznego*, Warszawa 2009, str. 13.

*mój chód. Słyszę tylko siebie, swoje skrzypiące sandały. Stójkowi kręcą jedynie głowę. Tutaj wiatr hula od pustyni pełną piersią. Jest tyle miejsca, że pojęcie miejskich obrzeży znika. Turkusy, złota, szkła. W Iranie Chomeini z Chameneim – billboard w billboard. Czarne turbany i brody. Na kominach. Na murach. Na wieżach. Dyktatura szarijatu? Przepisy na wszystko, nawet jak się nie całować. Pusta Astana. Deptak zapomnienia – raptem kilkanaście osób na kilka kilometrów: nie chodzić, nie dotykać, nie siadać, nie myśleć, wynocha. Nawet kosze na śmieci są puste. W końcu promenady, na kolumnadzie pałac prezydencki – jak makieta. W dzisiejszych reżimach wszystko jest jak makieta: od linijki, ułożone, schludne. Wyznaczone miejsce na tamto i siamto. Kartonowe rezydencje marionetek. W libijskim Trypolisie, jeszcze za Kadafiego, odniosłem wrażenie, jakby wielkie plakaty z jego wizerunkiem wieszano według klucza: przez którekolwiek ramię się oglądniesz, masz widzieć wodza. Mubarak w Egipcie – to samo. Ben-Ali w Tunezji – to samo. Asad w Syrii – to samo. Castro na Kubie. Arafat w Palestynie. W Korei Północnej jest już tak dobrze, że w ogóle nie są potrzebni przyjezdni. Jak jest za pusto, to jest za źle. Prowizoryczna cisza.*

Nie bez znaczenia będzie nazywanie bliskowschodniego terytorium tygłem lub polem minowym. Prawdopodobieństwo wystąpienia zamieszek jest tam największe na świecie, a następujące po sobie akty agresji nie wróżą podróźniczego spokoju. Zawilości religijne i obyczajowe nie sprzyjają normalizacji stosunków sąsiedzkich, a np. Górecki w jakimś sensie wyklada kawę na łąkę.

„Europa, Azja. Odkąd jeżdżę na Kaukaz, zadaję sobie pytanie, jaki to kontynent. Nie ma jednej odpowiedzi. Nawet geografowie nie są zgodni (choć większość uważa, że jednak Azja). Oczywiście wszystko można zadekretować: w styczniu 2010 roku przewodnictwo w Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie objął Kazachstan, a Izrael od dawna startuje w rozgrywkach sportowych w grupach europejskich. Gdyby jednak brać pod uwagę kryterium kulturowe, według mnie najważniejsze, granica przecinałaby region, ale nie prostą kreską, tylko zakosami, łukami, esami-floresami, zostawiając po obu stronach liczne enklawy należące do sąsiada. Na dodatek zmieniałaby co chwilę swój przebieg.”<sup>378</sup>

**N**a zakończenie reprezentacji polskiej literatury podróźniczej, która bezpośrednio dotyczy obszaru Rosji, warto w tym miejscu przywołać jeszcze dwie ciekawe i nad wyraz

<sup>378</sup> W. Górecki, *Toast za przodków*, Wołowiec 2010, str. 381.

interesujące dziennikarskie publikacje. Pierwszą będzie więc książka Barbary Włodarczyk „Nie ma jednej Rosji”, a drugą „Głową o mur Kremla” Katarzyny Kurczab-Redlich. Włodarczyk, znana i popularna reporterka, wieloletnia korespondentka telewizji publicznej w Moskwie, wydała zbiór reportaży odnoszący się do rosyjskiej codzienności. Bez politycznych analiz, spisków i sensacji. Jest więc o milionerze z lasu, pogromcy imigrantów, maszyniście z moskiewskiego metra, myśliwym znad Bajkału czy o sławetnym sobowtórze Lenina z Placu Czerwonego – każdy, kto był w Moskwie, musiał się z nim spotkać. Włodarczyk pisze o tym, co widzi, co słyszy. Sucho, ale boleśnie opisuje, zestawiając dwa światy.

„Ekskluzywna restauracja w Moskwie. Złoto, marmury, kryształy. Właściciel lokalu, rosyjski miliarder Telman Ismailow, obchodzi pięćdziesiąte urodziny. Specjalnie dla niego śpiewa Jennifer Lopez. Wykonuje cztery piosenki. Za dwa miliony dolarów. Na koniec jubilat wręcza jej prezent. Złoty mikrofon z brylantowymi zdobieniami.

Wioska Romanowo w centralnej Rosji. Staruszka w starych rozdeptanych walonkach z trudem przebija się przez śnieżne zasy. Dźwiga dwa wiadra z wodą. Ze studni. Mieszka w drewnianej walącej się chałupie. W domu nie ma wody ani ogrzewania, ani gazu. Jest za to telewizor, a w nim codziennie przywódcy państwa zapewniają, że Rosja to bogaty kraj...”<sup>379</sup>

Idzie między ludzi: kręci i włącza mikrofon. Nie daje się zwieźć. Słucha. Podgląda. Z *budki wartowników wychodzi dwóch mundurowych. Każą natychmiast wyłączyć kamerę. Legitymują operatora, dźwiękowca i mnie.*<sup>380</sup> Opowiada po reportersku – w zasadzie to nie ona opowiada, to opowiada Rosja. Pisze cicho, ale głosu, jak strzałów w Katyniu, nie można nie słyszeć. *Egzekucje odbywały się bez świadków, ale ludzie w okolicy domyślali się, po co bezpieczeństwa wywozi Polaków do lasu. Tym bardziej, że nikomu nie wolno było tam wchodzić. Cały teren ogrodzony był wysokim płotem z drutami kolczastymi. Mieszkańcy domów położonych na skraju lasu nie mogli nie słyszeć strzałów.*<sup>381</sup> Publikacja stanowi unikatowe dzieło, a przez wzgląd na zawodową pracę autorki pozbawiana jest praktycznie elementu drogi i podróży – nie ma w niej przemieszczania, hoteli i przesiadek. Pozbawiona jest codziennych wędrownych trosk i całego podróźniczego zamieszania – tylko Rosja.

Inaczej pisze Kurczab-Redlich, i należy, jak się wydaje, wspomnieć i przytoczyć tutaj tę znaną i szeroko komentowaną dziennikarską publikację wziętej i zadziornej reporterki,

---

<sup>379</sup> B. Włodarczyk, *Nie ma jednej Rosji*, Kraków 2013, str. 5.

<sup>380</sup> Tamże, str. 136.

<sup>381</sup> Tamże, str. 341.

która na kilkuset stronach zawiera swój ogląd postsowieckiej Rosji. To literatura zaangażowana. Bez cienia i patosu. Można powiedzieć, że walcząca, choć co na przykładzie literatury faktu, jaką jest publicystyka podróżnicza, może być „walcząca” i „nie walcząca”? Już na wstępie autorka dokonuje więc głębokiej, na wskroś eseistycznej syntezy powodów i sposobu dziennikarskiego zapisu. Jej wypowiedź jest w tym miejscu symptomatyczna nie tylko dla własnej publikacji, lecz wskazuje na taki, a nie inny rozłam, który dokonuje się gdzieś głęboko w niej samej. Pisząc o Rosji trudno jej utrzymać swoją osobę w jednej roli i wskazuje na istotne jej zdaniem wymieszanie się własnych pisarskich postaw.

„Jestem dziennikarką. Interesują mnie przede wszystkim fakty. Powinnam się tylko na nich koncentrować, emocje chowając głęboko. Nic z tego. Rosja jest wirówką emocji. W polityce i w życiu codziennym. Tu, gdzie strumienie wina i łez, krwi i wódki łączą się w obmywającą każdy dzień rzekę, beznamiętny opis to fałsz. A fałszu staram się unikać.

Jestem z wykształcenia prawniczką. W całej jurysprudencji interesuje mnie nie tyle tworzenie prawa, ile jego stosowanie. Sprawiedliwość. Kategoria niezwykle rzadka w stosunkach władza – naród. Czy pisząc o tym, mogę elegancko zachować dystans?

Jestem też po prostu człowiekiem, który żyjąc w Rosji przez wiele lat, łączył swój los z losem jej mieszkańców, był pośród nich, a nie gdzieś na zewnątrz, w sztucznych enklawach dla obcokrajowców. Mizerne dochody przybliżały mnie do moich niebogatych sąsiadów. Jeździłam tym samym metrem i tymi samymi pociągami, co zwykli Rosjanie. Leżałam w ich zwykłych szpitalach. Bywałam też – i to nie jako dziennikarka, lecz zwykły obywatel – na milicyjnym posterunku i stawałam przed sądem. Dlatego mój los jest częścią ich losu. I dlatego tak bardzo chciałabym, żeby to był dobry los.”<sup>382</sup>

Dziennikarz, prawnik, człowiek. Autorka, świadoma różnych pisarskich porządków, wskazuje tym samym na fakt, że pisarz (nie tylko pewnie na jej przykładzie) nie ma zadania nurzać się w bezstronności i tzw. obiektywizmie – że coś takiego praktycznie nie istnieje, a spoglądając na przywoływane w niniejszej rozprawie publikacje widać wyraźnie, że każda z nich, na swój sposób, przedstawia subiektywny i własny, autorski obraz świata. Nawet w książkach typowo reporterskich dochodzi do takiego, a nie innego doboru rozmówców, przytaczania wydarzeń i pewnej, ustalonej przez autora, chronologii faktograficznej. Jeśli bowiem literatura podróżnicza staje się plonem i pokłosiem wędrówki, to nigdy nie będzie niejako niezależna od wydarzeń, bo to one właśnie decydują o jej kształcie. Nigdy nie będzie toczyć się na osobnym planie i równoległym torze. W tym sensie narracja literatury

---

<sup>382</sup> K. Kurczab-Redlich, *Głową o mur Kremla*, Warszawa 2011, str. 9.

podrózniczej, jak się wydaje, zawsze będzie zależna i podporządkowana – tak jak i sam fenomen podróży. Akt wolnej woli co do decyzji o chęci wyjazdu i kierunku drogi jest w konsekwencji przedłużany, przeobraża się, w rządy przeznaczenia. Jeśli w lipcu decyduję się na podróż do pamińskiego Tadżykistanu, to czekają już tam na mnie bardzo ściśle i określone fakty historyczne w sensie tekstów kultury, przewidywana prognoza pogody oraz codzienna realność w postaci dróg, infrastruktury czy w końcu aktów przyrody. Podróżnik, decydując się na fakt podróży, decyduje się tym samym na rolę przeznaczenia, na paletę przeznaczonych mu wydarzeń i obrazów. W konsekwencji jego publikacja stanie się później zwierciadlanym odbiciem takiego stanu rzeczy.

Książka Kurczab-Redlich stanowi w podsumowaniu ciekawy obraz rosyjskiej rzeczywistości, gdzie polityka ma wiele wspólnego z codziennością szarych obywateli. Autorka wykazuje, w jaki sposób przebiegają kremlowskie manipulacje i na jakich liniach dochodzi do krzyżowania się władzy z prostym rosyjskim ludem. Jej diagnoza oparta jest na głębokiej obserwacji, której sprzyjał kilkuletni pobyt, co dało jej asumpt do w miarę swobodnej interpretacji faktów. I choć jej oknem na rosyjski świat jest Moskwa, to w wielu miejscach traktuje stolicę jako wysoką wieżę, z której widać daleko i szeroko. Przywołuje także licznie cytowane opinie, także takie, które czynią dokładnie odwrotnie: nie tyle charakteryzują Rosję, co świat poza nią – choć także w jakimś sensie, tym samym, mówią o Rosjanach: *Rosjanie, których spotykałam, to dorośli ludzie, a ich stosunek do Zachodu charakteryzował się nie tylko strachem przed nieznanym, ale też wrogością. Ileż to razy słyszałam od Rosjan, że każdy Francuz czy Anglik, a zwłaszcza Amerykanin, marzy tylko o tym, by Rosja upadła i zbiedniała, aby on mógł opanować jej bogate tereny, wydrzeć jej dobra naturalne i niewolniczą pracę zhańbić jej obywateli. Uczynienie z Rosji wyłącznie nędznego dostawcy surowców to główny cel zachodnich ekonomistów i polityków. Rosjanie powtarzają to i powtarzają jak mantrę.*<sup>383</sup> O tym, na ile owa publikacja jest prawdziwa, niech świadczy chociażby fakt, że od dłuższego czasu pisarka nie może ponownie otrzymać wizaż wjazdowej na terytorium Federacji Rosyjskiej. Dzieje się tak może i dlatego, że w przygotowaniu na wydawniczy rynek dziennikarka posiada obszerną biografię Władimira Putina, której niewielka część znalazła się także na kartach „Głową o mur Kremla”. Jej książka w dużej części poświęcona jest także sprawie wyzwolenia kaukaskiej Czeczenii, której Kurczab-Redlich wydaje się być gorącą i nieskrywaną zwolenniczką, podpisując się

---

<sup>383</sup> K. Kurczab-Redlich, *Głową o mur Kremla*, Warszawa 2011, str. 134.

zgodnie pod wieloma poglądami reprezentowanymi swego czasu przez skrycie zamordowanych Aleksandra Litwinienkę i Annę Politkowską.

Natomiast definitywnie ostatnim akordem na zabużańskiej partyturze, choć nieco innym rodzajem literatury podróżniczej, obejmującym swoim zasięgiem wschodnie, około poradzieckie rejony świata (Kazachstan, Kirgistan), będzie jawić się w tym miejscu książka nieżyjącego już niestety polskiego ambasadora, Zdzisława Nowickiego. Pośmiertne, za sprawą żony, przytoczone wydawnictwo ukazuje nie tyle ambasadorskie życie, ile bardziej – i przede wszystkim – świat, do jakiego z dyplomatycznymi misjami ambasador był posyłany. Publikacja nie jest więc klasyczną relacją z wędrowki, a bardziej wspomnieniem i zbiorem artykułów, które na przestrzeni lat (1999-2006) ukazywały się np. w dominikańskim miesięczniku „W drodze”. Na swój korporacyjny sposób opowieść stanowi także pośmiertny hołd i podziękowanie dla nieżyjącego już kolegi, przyjaciela i towarzysza licznych ludzkich wędrówek. Książka zawiera więc mnogość opisów ciekawych i niecodziennych wydarzeń, wokół których ambasador snuje wiele swoich spostrzeżeń i charakterystyk. Z punktu widzenia czynionej podróży są to informacje niebagatelne, a co najważniejsze, sprawdzone. Publikacja, choć pośmiertna, ukazuje także samą ambasadorską osobę Zdzisława Nowickiego, jako kogoś niestrudzonego i głęboko zafrasowanego kondycją pokomunistycznej ziemi, przywołując np. osobę Aleksandra Mienia, bestialsko zamordowanego na początku lat dziewięćdziesiątych prawosławnego księdza. *Przez całe lata komunizmu wmawiano szczególnie natarczywie Rosjanom, Ukraińcom, Białorusinom, wszystkim mieszkańcom tego „raju na ziemi”, że między nauką a wiarą istnieje przestrzeń nie do przebycia, że człowiek inteligentny nie może być wierzący. Ojciec Aleksander udowadniał coś odwrotnego: związek nauki i wiary, i ukazywał bezmiar prymitywizmu komunistycznej ateistycznej propagandy. Obnażał też jej główne narzędzie: kłamstwo.*<sup>384</sup> Autor opisuje ziemię, do której zostaje zawodowo posłany, niemal z każdej strony, przywołując na kartach publikacji wydarzenia i humorystyczne, i niebezpieczne, wspominając np.: *Kiedy w ubiegłą środę powróciliśmy z wyprawy nad Bałchasz, w pracy czekała na nas bolesna nowina: od ściany Chan Tengri – tak nazywa się najwyższy i najpiękniejszy szczyt w kazachstańskiej części gór Tien-szan – odpadła młodzietka dziewczyna z Poznania. Miała szczęście w nieszczęściu: uszkodziła sobie kręgi szyjne, ale przeżyła i zapewne będzie żyć. Czy grozi jej kalectwo? Za wcześnie wyrokować... Ta dwudziestotrzyletnia dziewczyna przyjechała na*

---

<sup>384</sup> Z. Nowicki, *Ikona z kawałkiem chleba i cebuli*, Poznań 2012, str. 24.

*zjazd alpinistów zwany Festiwalem Chan Tengri. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego ktoś organizuje wspinaczkę na Chan Tengri na przełomie lipca i sierpnia. W górach Tien-szan jest to czas lawin i sieli. Zwłaszcza ten rok jest niebezpieczny, od wielu lat nie było tu takich opadów.*<sup>385</sup> I cała książka ambasadora Zdzisława Nowickiego ma podobny i zbliżony charakter – podróżnik, gotowy na azjatyckie wyprawy, znajdzie tu wiele cennych informacji, które nie raz każą mu się zastanowić nad podjęciem jakiegoś wędrownego wyzwania. Celnie i nad wyraz sprawiedliwie rzecz oddaje także inny znany polski ambasador, Jerzy Bahr, pisząc w posłowie kilka zdań o koledze po fachu: *Czytelniku, trzymasz w ręku książkę niezwykłą. W miarę zagłębiania się w tekst będzie narastać twoje zdumienie i niedowierzanie: więc tacy też mogą być polscy dyplomaci? Rozświetleni, tak jak się pisze w tradycyjnych tekstach, światłem wiary, chrześcijańską pasją współodczuwania? A zarazem przenikliwi w analizach społecznych i politycznych?*<sup>386</sup>

Literatura podróżnicza jest jak mozaika i układa najpierw Azję, a potem wchodzącą w jej skład Rosję w jeden wielki zbiór kolorowych obrazków. Od plaży Pacyfiku po mury Kremla. Ogromny geograficzny obszar od Arktyki po Ocean Indyjski znajduje swoje odzwierciedlenie w kilkudziesięciu tak różnych od siebie publikacjach. Swoisty dyferencjał stylów przeplata się z barwnymi fotografiami – a wszystko to odsłania życie codzienne zwykłych ludzi, ich bliskie i dalsze otoczenie oraz wnika, często bardzo głęboko, w ich najgłębsze światy wewnętrzne. Czytając kolejne książki można odnieść wrażenie, że wszystko już zostało spenetrowane i naruszone. Że wszędzie zajrzał już polski podróżnik – a jednak tak nie jest. Byłaby to mylna diagnoza. Białe plamy w postaci wielu nie odwiedzonych jeszcze krajów, kilkanaście tras, które na różne sposoby można wytyczyć i pokonać, obszary suche od śladów oraz liczne (i niepoliczalne) wątki kulturoznawczo-literaturoznawcze stoją, jak można przypuszczać, jeszcze otworem. Małe tradycje, niewielkie religie, miasteczka z wiekowymi historiami i tacyż ludzie. Szlaki do pokonania na każdą kieszeń – bo w opisane podróże wcale nie wyjeżdżają ludzie bogaci i majątni, a książki nie są dziełem krezusów i rekinów finansowych. Rowerowe i piesze ślady, namioty i spanie po chmurą, pociągi i małe autobusy. Czasem motory i samochody – jakaż w tym ekstrawagancja? Podróże kosztują, ale niepodróże nie są za darmo. Jednak wymiar materialny, jakikolwiek by był i z której by na niego nie patrzeć strony, wydaje się tylko składową częścią szerokiej filozofii podróży, ponieważ można być pewnym, że każdej przytoczonej relacji towarzyszy ludzki pierwiastek

<sup>385</sup> Z. Nowicki, *Ikona z kawałkiem chleba i cebuli*, Poznań 2012, str. 293.

<sup>386</sup> J. Bahr. W: Z. Nowicki, *Ikona z kawałkiem chleba i cebuli*, Poznań 2012, str. 293.



okiełznania, zobaczenia i dotknięcia. Własna skóra jako laboratorium, a potem już tylko, być może jak u Włocha, snuta po latach refleksja.

„Ja też zawsze wracam, a teraz, po długiej wędrówce, latach spędzonych wśród innych narodów, ciągle w poszukiwaniu odmiennego, egzotycznego, w pogoni za sensem tej nonsensownej rzeczy, jaka jest życie, coraz częściej zadaję sobie pytanie, czy ta dolina nie jest aby miejscem najbardziej odmiennym, posiadającym najwięcej egzotyki i sensu. I czy po tylu przygodach i tylu miłościach, po Wietnamie, Chinach, Japonii i Indiach, Orsigna nie jest – jeśli mam szczęście – moją prawdziwą, ostatnią miłością.”<sup>387</sup>

---

<sup>387</sup> T. Terzani, *W Azji*, Warszawa 2009, str. 522.

### 3. Afryka

**O**becnie, z europejskiego punktu widzenia, współczesną i nowożytną wielką ludzką wędrówkę można umownie podzielić na trzy kontynentalne części. Pierwszą będzie zatem technologiczny i gospodarczy tranzyt z Azji na zachód: przepływają towary, przemieszczają się ludzie, transportowane są technologie i nowinki teleinformatyczne. Drugą stanie się wędrówka ku zdobywaniu obu Ameryk – od pradawnych czasów Kolumba i Magellana, gdy atlantyckie prądy niosły na łodziach i śmiałków, i imigrantów: Ameryka jako od zawsze Ziemia Obiecana – aż po dzisiejsze symboliczne i nostalgiczne ubieganie się o ruch bezwizowy dla np. Polaków. Natomiast trzecią podróżą (najstarszą, bo genealogiczną, i najmłodszą, bo wciąż za chlebem) będzie droga człowieka z południa na północ – z Afryki do krajów Zachodu. W 1991 r. prezydent Senegalu, Abdou Diouf, ostrzegał: *„Trzeba uważać, aby po zniknięciu antagonizmu Wschód-Zachód nie pojawił się poważniejszy i groźniejszy antagonizm Północ-Południe. Jutro możecie być zalani falą Afrykanów, których nędma popchnie do krajów Północy. I na próżno będziecie wymyślać ustawy antyimigracyjne: nie będziecie mogli powstrzymać tego napływu, bowiem nie można gołymi rękami powstrzymać oceanu”*.<sup>388</sup> Wszystkie trzy nurty trwają od dawien dawna do dnia dzisiejszego, i choć wędrówki te mają przez wieki różne natężenia, to człowiecza podróż przesiąka ziemię i oceany na dobre i na złe.

„Badacze uważają, że Afryka jest kolebką człowieka, a pojawienie się wczesnych przedstawicieli rodzaju ludzkiego poza Afryką musiało być poprzedzone ich wyjściem z tego kontynentu. Pierwszy opuścił Afrykę *Homo erectus*, który około 1,7-1,5 mln lat temu zajął duży obszar południowo-wschodniej Azji. Człowiek prawdopodobnie wychodził z Afryki trzykrotnie: podczas drugiego wyjścia zasiedlił północną Azję, a trzecie prawdopodobnie doprowadziło do zasiedlenia Europy. Około 550 tys. lat temu Afrykę opuścił *Homo heidelbergensis*. Dopiero 75-60 tys. lat temu z Afryki wyszedł *Homo sapiens* – gatunek, który powstał 120-150 tys. lat temu w środkowej Afryce. W tym wyjściu uczestniczyła niewielka grupka, być może około 50 osobników na przestrzeni 70 lat, w której było 6 płodnych kobiet, albo do 500 osobników w skali 200 lat. (...) Badania

---

<sup>388</sup> C. Hoche, *Zapomniani na dryfującym statku*, „Spotkania”, 1991, nr 45, str. 22-23. W: A. Zwoliński, *Biedy Afryki*, Kraków 2009, str. 5.

genetyczne potwierdziły, że każdy człowiek dzisiaj nosi w sobie mitochondrialny DNA (w skrócie mDNA) afrykańskiej kobiety, która żyła ponad 10 tys. pokoleń temu.<sup>389</sup>

W dzisiejszych podróżach najciekawsze jest więc to, że zawsze jesteśmy protoplastami. Śledząc wiekowe i ludzkie migracje, ktoś bardzo często szedł już przed nami tą i tą ścieżką. Nawet, jeśli pioniersko przemierzamy Saharę, kiedyś ktoś pędził już po niej na najdawniejszych dromaderach (albo na dinozaurach, ponieważ nie brak wciąż nowych teorii naukowych o tym, że pod piachami Sahary znajdują się zakopane tam i ukryte szczątki pradawnych cywilizacji). Gdy także po zakrętach Amazonki docieramy do jej źródeł, miejscowi, jak się okazuje, od lat znają te miejsca na pamięć. Edmund Hillary wszedł na Everest z nepalskim Szerpą Norgayem Tenzingiem. Kto komu pomagał? Czy ma to znaczenie?

Po więc azjatyckich krajobrazach przychodzi czas na spękaną ziemię, z której przed setkami tysięcy lat cała wielka człowiecza podróż się zaczęła. Przywołana w tym miejscu publikacja Andrzeja Zwolińskiego nie jest typową książką podróżniczą, jednak jako kompendium wiedzy o Czarnym Lądzie stanowi unikalną pozycję wśród przewodników<sup>390</sup>, encyklopedii czy barwnie drukowanych albumów. Wszystko o Afryce. Autor osadza południowy kontynent w historii i geografii. Rysuje charakterystykę lądu, który od wieków kusi śmiałków i pobudza wyobraźnię twórców. Jedno z afrykańskich przysłów powiada, że gdy chcesz poznać wierzchołek baobabu, poznaj najpierw jego korzenie. Współczesna polska literatura podróżnicza nie reprezentuje jeszcze w pełni całego afrykańskiego obszaru, choć historycznie polskie ślady w buszu i na sawannach są bardzo widoczne, czy to za sprawą

---

<sup>389</sup> A. Zwoliński, *Biedy Afryki*, Kraków 2009, str. 101.

<sup>390</sup> Nietypowym przewodnikiem traktującym o całym afrykańskim kontynencie, a nie tylko o jednym wybranym kraju lub o regionalnej grupie państw, jest wydana w ostatnich latach w ramach serii „Podróże z pasją” edycja zatytułowana „Afryka po raz pierwszy”. Ta nietypowa publikacja, nie będąca tradycyjnym przewodnikiem na wzór tych, jakie znaleźć można na księgarskich półkach, opowiada najpierw wręcz encyklopedycznie o każdym afrykańskim kraju z osobna, a następnie wiedzie czytelnika przez proponowane trasy podróży, wskazuje na lokalne obyczaje i różnice kulturowe oraz zapewnia obfitą informację dotyczącą noclegów, przejazdów czy opieki zdrowotnej. Podane są także orientacyjnie miejscowe ceny i wskazówki dotyczące najdogodniejszych terminów wypraw czy też informacje dotyczące wiz, biletów i wyjazdów na safari. Autorzy optymistycznie zachęcają do podróży i wskazują po wielokroć na sumę potencjalnych zysków nad stratami: *Każdego roku tysiące podróżników wyjeżdżają do Afryki na własną rękę i powracają z pięknymi wspomnieniami oraz marzeniami, by ponownie wyjechać po jeszcze więcej wrażeń. Aby w pełni wykorzystać wszystko, co oferuje ten fascynujący kontynent, potrzeba jedynie otwartego umysłu i wolnego ducha. Przy odrobinie zdrowego rozsądku nie trzeba martwić się o bezpieczeństwo; to samo dotyczy kwestii zdrowotnych (wyjątkiem mogą okazać się sporadyczne dolegliwości żołądkowe), pod warunkiem, że zadbało się o szczepienia i pamiętało o przyjmowaniu leków przeciwmalarycznych (jeśli zachodzi taka potrzeba).* J. Finke, D. Jacobs, J. Hart, Y. Brown, *Afryka po raz pierwszy*, Warszawa 2009, str. 9.

„Jądra ciemności” Josepha Conrada, czy przy udziale „W pustyni i w puszczy” noblisty Henryka Sienkiewicza.

Można powiedzieć, że ich śladami poszli następni. *Pierwszy dzień trzeciego miesiąca, który spędzamy w Afryce, wzbogacił nasz rozkład o piękne trofeum. Zdobył je Zamoyski, a był nim słoń, już trzeci na naszej liście.*<sup>391</sup> Warto więc zacząć od trochę już zamierzchłych czasów, choć przywołanych wydawniczym wznowieniem. Podróż Józefa Mikołaja Potockiego, polskiego ziemianina, podróżnika i zapalonego łowczego staje się oto tłem dla afrykańskich opowieści. Reprint jego wspomnień wypiera białe kruki dawnych wydań, a hrabia – jakoby dziś – żywo opowiada o Afryce sprzed ponad stu lat. Książka, choć stara w treści, nie była dotąd znana szerszemu gronu czytelników. Żyła w opisach i opracowaniach oraz w kilku skrytych bibliotecznych zasobach. Powielona, *stanowić może wielką atrakcję nie tylko dla badaczy historii łowiectwa* – jak we wstępie zaznacza Barbara Walicka – *lecz także dla amatorów relacji podróżników, którzy mieli odwagę wyprawiać się w niezbadane jeszcze rejony świata.*<sup>392</sup> Nowa-stara podróżnicza publikacja, która swoim językiem, opisem otaczającej myśliwych przyrody i ukazaną na wskroś kolonialną rzeczywistością przywołuje obrazy z oczywistych powodów nieobecne w dzisiejszych sprawozdaniach. Próżno szukać podobnych wspomnień, a przy okazji, jak przy żadnej innej publikacji, można mieć nieograniczony wręcz dostęp do botanicznej i zoologicznej wiedzy z początku XX wieku.

„Prócz obstalunków broni, amunicji, namiotów i wszelkiego sprzętu potrzebnego do dłuższego obozowania, zakupiłem w Londynie obliczone na trzy miesiące zapasy żywności i wytrawnej wody mineralnej Apollinaris. [...] We wrześniu otrzymałem za pośrednictwem Czetwertyńskiego odpowiedź od wspomnianego Alikhara, iż otrzymał wezwanie i jest do moich usług. Posłałem mu zaraz kwotę potrzebną na zakup wielbłądów i wstępne wydatki.”<sup>393</sup>

Barwna opowieść wiedzie więc czytelnika na tereny dzisiejszej Somalii, wtedy zwanej Somalilandem. Wysokie trawy pełne lwów. Słonie podchodzące pod obozowisko. Węże w szalaszach. Kunszt wystrzałów – dziś z pewnością nazwany kłusownictwem. Z punktu widzenia niniejszej rozprawy książka hrabiego Potockiego może bez przeszkód stać się wstępem do badawczej penetracji pozostałych podróżniczych publikacji, które osadzone w

---

<sup>391</sup> J. Potocki, *Notatki myśliwskie z Afryki*, Poznań 2009, str. 189.

<sup>392</sup> B. Walicka. W: tamże, str. 6.

<sup>393</sup> Tamże, str. 17

historiach buszu i sawanny wskazują tym samym na liczne i poza azjatyckie ślady polskich wędrowników.

Jednak myśliwskie opowieści Józefa Potockiego są wyjątkiem na mapie. Ponad sto lat później, po drugiej stronie afrykańskiego kontynentu, rozpoczyna się całkiem inna przygoda, a odmienne w niej jest wszystko: począwszy od czasów, przez postać podróżnika, aż po sam terytorialny zakres wędrówki. Dowodem oto jest książka, w której barwne i osobiste akapity mają także nieco różną dynamikę, a to głównie ze względu na... rowerowy charakter wyprawy Pawła Wróblewskiego. Przygoda znajduje szczegółowy i pobudzający wyobraźnię opis na stronach „Do ciepłych krajów”, gdzie autor opowiada o eskapadzie wręcz niemożliwej: od Maroka po kongijską Kinszasę. Jedzie na rowerze i pisze. Publikacja ukazuje się w Polsce na dwa sposoby: w miarę możliwości autor prowadzi podczas podróży zapiski w formie internetowego bloga, by po powrocie wydać wszystko, uzupełnione o niezbędne notatki i wyjaśnienia, jako książkę podróżniczą – a to znów w komplecie z wersją czytaną i pokazem slajdów. Edycja ma charakter unikatowy i bodaj jedyny taki na rynku. Czytając wersję papierową można na bieżąco, według zaznaczeń umieszczonych na paginach, oglądać fotografie w formie elektronicznej. Wróblewski opisuje podróż przez dwanaście afrykańskich krajów aż do momentu, gdy zakochuje się w kongijskiej dziewczynie. Wtedy to zmienia plany podróży, wraca do Polski w celu dopełnienia wielu formalności, a potem bierze w Afryce ślub z Chantal. Jego przygoda jest nietuzinkowa, a książka zawiera wiele cennych rad dla każdego następnego podróżnika. Jest także zwartą publikacją, obejmującą swoim prywatnym zapisem obszar Afryki, który znajdując się po przeciwległej stronie Kilimandżaro, stanowi również w miarę jednorodną przestrzeń dogodną dla rowerzysty-globtrotera. *Czasem w mijanych wioskach pokazują mi ścieżkę na skróty. Ścieżka wąska, jednośladowa, wydeptana przez chodzące gęsiego kolumny interwioskowych handlarzy. Ścieżka, która sprawia, że czuję się, jakbym jechał gdzieś na krańcu wszechświata.*<sup>394</sup>

Relacja Wróblewskiego jest jedną z kilku dotyczących tego regionu, jednak podróż na rowerze to nie lada wyczyn. Prekursorem podobnej wyprawy był w okresie międzywojennym inny Polak – Kazimierz Nowak. Jednak jego eskapada wiodła w obie, na wskroś kolonialne wtedy jeszcze, afrykańskie strony: na samo południe przez centralną Afrykę i następnie z powrotem, nieco bliżej wschodnich wybrzeży – choć i tak daleko od nich. Pełne wspomnienia wraz z szeregiem starych, czarno-białych fotografii ukazały się w piątym wydaniu raptem

---

<sup>394</sup> P. Wróblewski, *Do ciepłych krajów*, Gdańsk 2009, str. 296.

kilka lat temu pod wzbudającym grozę tytułem „Rowerem i pieszo przez Czarny Ląd”. Cała wyprawa zajęła Nowakowi ponad pięć lat, a w prologu zapisał: *Znam Algier, Tunis, Kair, Johannesburg, Kapsztad, Brazzaville... trudno wręcz wyliczyć te wysepki cywilizacji rzucone na oceany puszcz i pustyni Afryki. Mimo że zahaczyłem o nie w swojej wędrówce, nie były one celem mej podróży. Obierałem przeważnie szlaki najmniej uczęszczane i najdziksze. Trasa moja biegła przez kraje zupełnie bezdrożne, poprzez pustki i bezludzia. Widziałem Afrykę, która, mimo wielu dzieł napisanych o niej, jest lądem prawie zupełnie nieznanym jeszcze, niczym tajemniczy Sfinks. Postanowiłem zajrzeć za spowijającą twarz tego czarnego Sfinksa zasłonę i mam wrażenie, że mi się to po części udało, a com odsłonił z tajemniczego oblicza, czytelnikom ukazuję.*<sup>395</sup> Dwie wspomniane powyżej publikacje korespondują ze sobą zacięciem pisarskim oraz współgrają kontynentalnym terytorium, choć obaj podróżnicy na swojej trasie odwiedzają różne kraje. Zresztą wiele z tych państw po upadku systemu kolonialnego przestało istnieć, w związku z czym wytyczono nowe granice administracyjne, a odwiedzane obszary przyjęły nowe nazwy. Wróblewski czytał opowieść Nowaka przed swoją wyprawą i w jakimś sensie podróż sprzed prawie stu lat stała się inspiracją dla gdańskiego rowerzysty. Przeczytał w niej, że można próbować, że może się udać. W tym znaczeniu literatura podróżnicza zawsze będzie otuchą. Międzywojenne przygody Nowaka rzucają jeszcze inne światło na niniejszą publikację, a mianowicie wskazują w wielu miejscach na swoisty przełom czasów, na różnicę nie tyle w sposobie podróżowania (rower do roweru podobny, a i zasada pedałowania taka sama...), ale także na gehennę organizacyjną. *Pocztą tutejszą doręczyła mi zaledwie część korespondencji, która szła ponad dwa miesiące, jeden zaś z listów, i to lotniczy, szedł z Tuluzy we Francji do Lobito trzy miesiące. Wina to Portugalczyków, którzy chcą w swych rękach utrzymać cały eksport i import Angoli, włącznie z pocztą, a brak im marynarki własnej.*<sup>396</sup> Na tym przykładzie widać wyraźnie, jak dziś, w oparciu o jak inne i różne narzędzia, konstruowana jest komunikacja między podróżnikiem a czytelnikiem. Elektroniczne łącza zrewolucjonizowały formę przekazu. Zmieniła się prędkość i pojemność transferu. W pewnym sensie czas przestał istnieć – i o tym także, między wierszami, mówi dzisiejsza literatura podróżnicza, którą nie zawsze trzeba czytać od deski do deski, a bardziej łącząc różne fakty w częściach i akapitach w niej ukazywane. Choć i to wydaje się niejednoznaczne. *Wróbla okradziono podczas podróży trzykrotnie. Stracił karty pamięci z zapisanymi na nich zdjęciami. Przetrwały tylko te, które przed kradzieżą zdążył*

---

<sup>395</sup> K. Nowak, *Rowerem i pieszo przez Czarny Ląd*, Poznań 2009, str. 22.

<sup>396</sup> Tamże, str. 264.

wysłać mailem<sup>397</sup> – można przeczytać w lakonicznej notce od Wydawcy. W podobnym tonie zadziwienia i niedopasowania utrzymana jest krótka pocztowa wzmianka Andrzeja Korybuta-Daszkiewicza w opowieści z Sudanu, gdzie cała zagadka doręczania listów polega na tym, że nikt ich nie doręcza; wyjątkiem są instytucje państwowe oraz – choć nie zawsze – placówki dyplomatyczne. Tak jest w bardzo wielu krajach arabskich i afrykańskich. Po prostu nie istnieje tam pojęcie listonosza. [...] Dlatego na Poczcie Głównej Republiki Sudanu, w niezbyt dużej Sali stoją wielkie kartony pełne korespondencji. Każdy, kto spodziewa się nadejścia listu, mniej lub bardziej regularnie zachodzi do tej Sali. Z podziwu godną cierpliwością, wspólnie z innymi, grzebie wśród setek lub tysięcy dużych i małych kopert. Oczywiście pewien problem stanowi fakt, że nie wszyscy potrafią czytać. Precyzyjnie rzecz ujmując, nie potrafi około 90 procent.<sup>398</sup>

Wróblewski, jadąc na południe, przejeżdża przez Maroko, które kilka lat później staje się sceną dla podróżniczej przygody telewizyjnego małżeństwa Joanny i Jarosława Podolaków. *Podróż ma w sobie każdy. Jaką i dokąd? Odpowiedzi będzie tyle, ile osób, które spróbują zadać sobie to pytanie. O jakiej wyprawie ty marzysz? A może wcale nie musi to być wyprawa.*<sup>399</sup> Wyruszają we dwoje samochodem, który pieśczośliwie nazywają Dragon. I robią pokazną pętlę po marokańskich szosach, wijąc się od Tangeru na południe, przez Atlas, by wrócić do Europy wybrzeżem nad Atlantykiem. *Tanger widziałam w swoich myślach od dawna. Wyobrażałam sobie, jak witają nas te „wrota Afryki”. Jak zaprasza nas miasto, które przed laty ściągало wszystkich awanturników Europy marzących o afrykańskiej przygodzie.*<sup>400</sup> Fotograficznie dokumentują swoją podróż, a książka pełna jest typowych opowieści z drogi. Oglądają wielkie miasta i opuszczone niemal osady. Grzęzną w pyle i śpią szczęśliwi na pustyniach. Gołe niebo jest im dachem, a rzeki miejscem do mycia. Mają czas. Mają siebie. Zaglądają w liczne zakamarki, a Dragon pozwala im na mnogość szlaków, których nie zobaczyliby, gdyby nie cztery kółka wiernego jak pies dżipa. Autorka, będąc dziennikarką telewizyjną, umyślnie i z wyczuciem szuka ciekawych miejsc godnych odwiedzenia i spenetrowania, a jej relacja może stanowić dla wielu podróżniczych naśladowców niezbity dowód na szansę powodzenia takiej eskapady – wszak Maroko, mimo że jest krajem afrykańskim, znajduje się w osiągalnej i w miarę łatwej logistyce transportowej. Choć gros z wymienionych na końcu podsumowania kosztów i tak pochłaniają wydatki na drogie

<sup>397</sup> P. Wróblewski, *Do ciepłych krajów*, Gdańsk 2009, str. 13.

<sup>398</sup> A. Korybut-Daszkiewicz, *W pustyni bez puszczy*, Poznań 2009, str. 78.

<sup>399</sup> J. Rzymkowska-Podolak, *Zakochani w świecie. Maroko*, Łódź 2012, str. 9.

<sup>400</sup> Tamże, str. 33.

europäische Paliwo i Autostrady.<sup>401</sup> Jednak spontaniczność ich wyprawy napawa dużym optymizmem, a radość z udanej eskapady każe przypuszczać, że nie jest to ich ostatnia podróż samochodowa. *A potem ludzie mogli zobaczyć dwójkę wariatów, którzy przytulali się do niemożliwie brudnego auta, a potem do siebie. I prawie płakali. I nie wiedzieć czemu, całowali ten stary samochód. Kochani, to nie samochód, to Dragon! Będzie z nami jeszcze przez wiele lat i przywiezie na masce kurz z niejednej wyprawy! Ta niestety już się kończy.*<sup>402</sup> Najwyraźniej trudny codziennej wędrówki spodobały się małżeństwu nad wyraz, bo kończą swoją zakochaną relację nostalgicznym wspomnieniem: *Kiedy pierwszego ranka po powrocie obudziliśmy się w naszej sypialni, w naszym łóżku, popłakaliśmy się oboje. Jak dzieciaki. Leżeliśmy z zasmakanyimi nosami i oczyma pełnymi łez. Tak bardzo chcieliśmy cofnąć czas! Rozstawić małą kuchenkę, zalać owsiankę z torebki, rozłożyć mapę i planować dalszą trasę.*<sup>403</sup> Warto także w tym miejscu nadmienić, że podróżnicze małżeństwo już wcześniej miało okazję zapuszczać się w odległe rejony globu, jednak tym razem, po raz pierwszy, zdecydowali się na wspólną wędrówkę motoryzacyjną, której, jak widać po publikacji, wcale nie żałują.

Interesującą i nad wyraz godną w tym miejscu przywołania jest książka Suzanny Clarke zatytułowana „Dom w Fezie”, w której autorka od A do Z opisuje kulisy przeciekawej i osobistej historii – i choć nie jest ona typowo polską relacją, może posłużyć za dobry przykład, jak oto toczą się losy podróżniczego rzemiosła. *Może i było to przejawem szaleństwa, ale po zaledwie drugim pobycie w Fezie, dawnej stolicy Maroka, postanowiliśmy kupić tam dom. Zupełnie jak ci zapaleńcy, którzy w przyplýwie podobnej beztroski nabywają nieruchomość w obcym, odległym kraju, którego języka nie znają i z którego mieszkańcami nie mają właściwie nic wspólnego.*<sup>404</sup> Na kanwie i zakupu, i remontu autorka barwnie opisuje współczesne Maroko z jego arabską biurokracją, wspomina utarczki z marokańskimi robotnikami i wprowadza czytelnika w zaułki północnoafrykańskiej kultury. Humor przeplata się z rozeźleniem, a początkowa irytacja ustępuje na końcu zrozumieniu. Clarke co chwilę dowiaduje się nowych rzeczy, a budowa domu przeradza się w swoiste studia nad kulturą.

---

<sup>401</sup> Powszechnie znany „drogi” Zachód nie wytrzymuje przez to konkurencji z relatywnie „tanim” Wschodem, gdzie np. w Rosji paliwo jest średnio o połowę tańsze niż w Europie, a drogi bezpłatne (jeśli w ogóle są, bo oczywiście o autostradach nie ma mowy). Takim sposobem podróż do odległej Mongolii okazuje się sporo tańsza, niż dojazd na Gibraltar. W tym sensie położenie geograficzne Polski ma znaczenie i uzasadnienie, gdy na wschodnich bezdrożach pojazdów z polskimi numerami rejestracyjnymi można spotkać relatywnie dużo.

<sup>402</sup> J. Rzymkowska-Podolak, *Zakochani w świecie. Maroko*, Łódź 2012, str. 172.

<sup>403</sup> Tamże, str. 173.

<sup>404</sup> S. Clarke, *Dom w Fezie*, Kraków 2012, str. 7.



*Arabowie są ludźmi pustyni i pusta przestrzeń zawsze wzbudzała w nich przerażenie. Dlatego też szukali sposobów, by jakoś ten bezkres kontrolować. Francuski filozof Pascal mawiał, że widok bezkresnego gwiazdzistego nieba napawa go takim niepokojem, że musi uznać istnienie Boga. Człowiek potrzebuje czegoś, co będzie mógł zmierzyć i oszacować. W feskich domach stosuje się symetrię opartą na kształcie koła lub kwadratu, by wytłumaczyć i objaśnić przestrzeń. Zellidż jest jak metafizyka. Układa się go po to, by nadać cech wymierności.<sup>405</sup> I cierpliwie uczy się dalej o zellidżu: *Spojrzałam na ogromne ilości maleńkich kafli, misternie ułożonych w mozaikę, która pokrywała cały dziedziniec. Małe elementy starannie dzieliły przestrzeń na schludne pięciocentymetrowe kwadraty. Teraz wszystko nabrało sensu.*<sup>406</sup> Małżeństwo, po nabyciu trzystuletniego domu, przechodzi w Maroku szkołę życia, remontując dziedziniec, salony, poddając renowacji fontannę, dbając o cedrowe drzwi, łukowate sklepienia, poznając znaczenia takich domowych słów jak halqa, masrijja czy hamman. Cała historia, będąca skutkiem marokańskiej podróży, stanowi więc tło dla budowniczych przedsięwzięć, jednak przede wszystkim, jak się wydaje, jest dla małżonków nie lada wyzwaniem kulturowym i społecznym, a Clarke jeszcze na początku, rekomendując swoją budowlaną przygodę i zachęcając do lektury, dodaje: *Choć lista argumentów „przeciw” ciągnęła się w nieskończoność, to sam pomysł nie dawał nam już spokoju. Chodził nam po głowach, dojrzewał i buzował w zakamarkach umysłów. To, co ostatecznie miało się wydarzyć, znacznie jednak odbiegało od naszych najśmielszych wyobrażeń. Naiwni i nieświadomi, wkroczyliśmy w nieznaną, by doświadczyć najintensywniejszych i najzabawniejszych przeżyć w naszym życiu.*<sup>407</sup>*

Zostawiając jednak Maroko za sobą i wracając do wspomnianej powyżej wyprawy Pawła Wróblewskiego, i niejako także w korespondencyjnym nawiązaniu do jej niebagatelnych trudów fizycznych i trudności administracyjnych, kilka lat po wyprawie śmiałego rowerzysty, w miarę podobnym szlakiem przedwojennego Kazimierza Nowaka (po drugiej stronie afrykańskiej mapy), wyrusza inna karkołomna ekspedycja, z której relację można przeczytać na łamach podróżniczej książki zatytułowanej „Afryka. Przekrój podłużny”. Kilko śmiałków i rowerowych obiężyświatów podejmuje się nie lada wyzwania, a inne wędrownicze książki i tym razem stają się po raz kolejny podróżniczą inspiracją.

---

<sup>405</sup> S. Clarke, *Dom w Fezie*, Kraków 2012, str. 138.

<sup>406</sup> Tamże.

<sup>407</sup> Tamże, str. 12.

„O mało nie przyrosłem do fotela przy moim ulubionym stoliku w bibliotece uniwersyteckiej. Odkurzyłem „W pustyni i w puszczy”, która od lat stała w tylnym rzędzie na półce z książkami, i przeczytałem jednym tchem, odtwarzając trasę włóczęgi Stasia i Nel przez Afrykę w Google Earth. Przeczytałem „Rowerem i pieszo przez Czarny Łąd” Kazimierza Nowaka, wokół którego zrobił się szum parę lat temu. Dziś w Polsce chyba wszyscy wiedzą o tej niezwykle barwnej postaci urzędnika państwowego, który w czasie wielkiego kryzysu postanowił zrealizować swe dziecięce marzenie o podróżowaniu po Afryce. Ale jeszcze niedawno świat o nim nie pamiętał. Więc gdy listy Nowaka z Afryki zostały „odkopane” i wydane, podchwyciliśmy temat. Wprawdzie nasza trasa była wtedy już z grubsza opracowana i nie pokrywała się z trasą podróży Nowaka, ale uznaliśmy, że przynajmniej będziemy nawiązywać do jego wyczynu.”<sup>408</sup>

I wyruszają. Ciągną swoje rowery przez Egipt, Sudan, Etiopię, Kenię, Tanzanię, Botswanę – aż po sam Kapsztad. Na samo dno Afryki. Niżej nie można. W niespokojnych i niestabilnych politycznie i militarnie czasach, szczególnie w kontekście planowanego podziału Sudanu, dokonują rzeczy nieprawdopodobnej, a zarazem bardzo ciekawej i wdzięcznej. Kilka miesięcy przysparza rotującym uczestnikom, z czteroosobowym niezmiennym trzonem, niezapomnianych wrażeń i doświadczeń. Kreują swój podróżniczy świat. *Od początku rzucamy się na głęboką wodę.*<sup>409</sup> Wędrują przez gorącą Afrykę niezrażeni drobnymi niedogodnościami i awariami sprzętu. Publikacja Czaplńskiego, szczerą i otwartą, pokazuje inne oblicze wędrowki, gdy postawiony sobie cel znika gdzieś po drodze, na piaszkowych wydmach, czy w równikowych lasach. Autor dzieli się swoimi przemyśleniami i obserwacjami, a droga co chwilę obfituje w nowe inspiracje. Gdy zsiadają z rowerów, penetrują miasta i osady, a Czaplński wspomina: *Przez cały następny dzień chodziłem sam po mieście. Zapuszczałem się również w mniejsze uliczki, rozmawiałem z ludźmi. Nigdzie nie czułem się nieprzyjemnie, choć widać, że ludzie nie są tak bezpośredni jak we wcześniej odwiedzanych krajach. Sami raczej nie zagadną pierwsi, ale gdy to ja zaczynałem rozmowę, byli zupełnie tacy sami jak wszędzie – sympatyczni, przyjaźni i ciekawi.*<sup>410</sup> Swoją eskapadą zadają także pośrednio kłam obiegowej opinii o niebezpieczeństwach czyhających na białego Europejczyka w Czarnej Afryce, wiele razy wskazując na stereotypy idące w ślad za nimi uprzedzenia rasowe. W końcu jednak docierają do kresu swojej wędrowki i stawiają stopy na Przylądku Igielnym<sup>411</sup>. *A więc dotarliśmy. Znajdujemy się na 34 50' 00" szerokości*

<sup>408</sup> M. Czaplński, *Afryka. Przekrój podłużny*, Kraków 2011, str. 12.

<sup>409</sup> Tamże, str. 19.

<sup>410</sup> Tamże, str. 291.

<sup>411</sup> Przylądek Dobrej Nadziei stał się natomiast nie końcem, a początkiem monstrowej wręcz wyprawy pieszo na północ, aż do jeziora Tyberiackiego w Izraelu. Dokonała tego para francuskich śmiałków: Sonia i Alexandre

południowej i 20 00' 09.15" długości wschodniej. Czyli 7350 kilometrów w linii prostej od Kairu, a 9700 – od domu. Udało się! Pokonaliśmy 13 tysięcy kilometrów, przemierzaliśmy Afrykę rowerami jako, o ile wiemy, pierwsi Polacy po Kazimierzu Nowaku. Aby tu dotrzeć, potrzebowaliśmy ponad ośmiu miesięcy, za kilka dni, by wrócić do kraju, wystarczy nam 12 godzin.<sup>412</sup>

Gdy wertuje się publikację Czaplińskiego, przeglądając jego zapiski i barwne fotografie, widząc oczyma wyobraźni afrykańskie czerwone, laterytowe drogi, pewnie nie jeden z czytelników ma zamiar wsiąść na rower i popedałować hen przed siebie. Obok przywołanego powyżej opisu Pawła Wróblewskiego i przykładu sprzed dziesięcioleci, jaki dał podróżnikom Kazimierz Nowak, w polskiej literaturze podróżniczej są to bodaj jedyne udokumentowane przypadki, choć trasy zachodnim wybrzeżem Wróblewski nie doprowadził do końca (z powodu zakochania w Kongijce). Od czego jednak marzenia? I gdy na koniec swojej opowieści Czapliński konstatuje refleksję: *Czy taka podróż zmienia człowieka? Na pewno poszerza horyzonty. W polskich gazetach pokazują niestety tylko nasze brudne podwórko, ale na szczęście jest internet, a w nim prasa kenijska, egipska, południowoafrykańska. Czarny Ląd wrze. Od naszego pobytu powstało w Afryce nowe państwo, zmieniły się rządy w Egipcie i Tunezji – „ex Africa semper aliquid novi – pisał przed dwoma tysiącami lat Pliniusz<sup>413</sup>*, zaraz potem, w ostatnim zdaniu książki, szczęśliwie i ochoczo dodaje: *Powoli wykuwa się nowy pomysł – a gdyby tak... przejechać Afrykę*

---

Poussin. Ich barwa i niesłychanie plastycznie przedstawiona relacja (ze stosunkowo małą liczbą fotografii, co czyni lekturę opowieści jeszcze bardziej wciągającą dla czytelnicznych oczu) złożyła się na dwa tomy sprawozdania przetłumaczonego nie tak dawno również na język polski, które swoim opisem o terytorialnym zakresie i o zmaganiu się o własnych siłach z trudami podróży czyni ją niebagatelną i fundamentalną. I arcyciekawą. Należy w tym miejscu także nadmienić, że Alexandre Poussin kilka lat wcześniej, wraz z przyjacielem Sylvainem Tessonem, objechał świat na rowerze, a w 1997 roku przeszedł na piechotę Himalaje. Jednak przejście na własnych nogach kontynentu afrykańskiego urosło do rangi światowego rekordu, a sami uczestnicy nadali wyprawie od samego początku wymiaru symbolicznego, którego nie kryli: *Mali, biali, na samym dole. Wiatr z wyciem wdziera się do opuszczonego bunkra na samym końcu świata; Przylądka Dobrej Nadziei. A nadziei rzeczywiście trzeba nam sporo! To początek naszego gigantycznego projektu: chcemy przemierzyć na piechotę całą Afrykę. W nocy zakradliśmy się nielegalnie do Parku Narodowego Góry Stołowej i teraz, schowani tuż pod nosem strażników, przytuleni do siebie, dygoczący na przejmującym, lodowatym wietrze dmuchającym prosto z Antarktyki, czekamy na świt 1 stycznia 2001 roku. Po to tylko, by z marszu rozpocząć trzecie tysiąclecie. Ot, taki pomysł dla uczczenia dwóch tysięcy lat naszej historii.* S. i A. Poussin, *Afryka Trek, od Przylądka Dobrej Nadziei do Kilimandżaro*, Poznań 2011, str. 10. A gdy skończyli swój marsz, na zakończenie drugiego tomu opowieści, zapisali podziękowania: *Bez naszych 646 gospodarzy spotkanych w ciągu 639 dni nie powstałby drugi tom tej książki. Na Afryka Trek złożyły się spotkania i świadectwo 1147 osób z ciągu 1171 dni przez 13874 przebyte na piechotę kilometry.* S. i A. Poussin, *Afryka Trek 2, od Kilimandżaro do Jeziora Tyberiadzkiego*, Poznań 2011, str. 649.

<sup>412</sup> M. Czapliński, *Afryka. Przekrój podłużny*, Kraków 2011, str. 319.

<sup>413</sup> Tamże, str. 331.

rowerem? W poprzek.<sup>414</sup> *Przejechaliśmy już brytyjską linię KK (Kair – Kapsztad), pora na francuską linię DD (Dakar – Dżibuti). Podobno Afryka zachodnia jest zupełnie inna. Warto by się przekonać.*<sup>415</sup>

Południki i równoleżniki poszatkowały świat. W przeważającej mierze, po upadku narodowych systemów kolonialnych, stało się tak także w Afryce. Patrząc na mapę, widzimy w miarę równo pokrojony tort. Dostyc często na Czarnym Lądzie powtarzane jest przysłowie, że można wprawdzie zabrać człowieka ze środka Afryki, ale nie można zabrać Afryki z wnętrza człowieka. O tym czarnym jak smoła kontynencie pisali więc bodaj wszyscy, którzy postawili tam swoją stopę. Obrazy afrykańskiej sawanny przesuwają się po literackich publikacjach jak zdjęcia w fotoplastikonie. Białego fascynuje niemal każdy detal bajecznej afrykańskiej flory i fauny. Malowniczość krajobrazów, tubylczość mieszkańców i dzikie zwierzęta – gotowe rozszarpać w mig europejską koszulę – znajdują wiele śladów w literackich reminiscencjach. A i pisarska tradycja nie jest w tym względzie uboga. Światowo, na swój prekursorski sposób, Afrykę dla czytelnika odkrywał Ernest Hemingway – ale i po nim przyszli następni, i tak, jak już wspomniałem w pierwszej części rozprawy, nie tak dawno, raptem kilka lat temu, literacka Nagroda Nobla przypadła w udziale brytyjskiej pisarce, Doris Lessing – między innymi za „Opowieści Afrykańskie” i „Drugie Opowieści Afrykańskie”. Wielkie afrykańskie tło rozpościera się także w licznych, pomniejszych publikacjach, które czy w całości, czy tylko w częściach poświęcone są krajobrazom na południe od Starego Kontynentu – a uchylone drzwi wywarzają co rusz kolejni i kolejni.

Gdy więc Doris Lessing, urodzona w ówczesnej Persji, a wychowywana od najmłodszych lat na terenach afrykańskich posiadłości Rodezji Południowej cierpliwie spisuje swoje opowieści, i gdy rowerowy szlak wiedzie i Macieja Czaplińskiego, a wcześniej Kazimierza Nowaka także przez te same terytoria – dziś zwane Zimbabwe lub Botswanę, zrazu na myśl przychodzi niedawna publikacja Bartosza Marca, przenikliwego reportera i recenzenta literackiego, a zatytułowana „Nasz człowiek w Botswanie”. Jednak w tym

---

<sup>414</sup> Podobnego wyzwania podjął się londyńczyk Fran Sandham, jednak z podwójnym zastrzeżeniem: wszczepił przesyłać Afrykę pieszo i dokonał tego nie lada wyczynu nieco poniżej linii wyznaczonej przez Macieja Czaplińskiego – od Wybrzeża Szkieletowego w Namibii aż po Zanzibar przy Tanzanii. Jego opowieść doczekała się niedawno polskiego tłumaczenia i ukazała się na rynku księgarskim pod wymownym tytułem „Samotna wędrówka przez Afrykę”. Autor, wyraźnie zafascynowany wielkimi poprzednikami pokroju Livingstone’a, Stanleya i Grogana, chciał sam, na własnej skórze sprawdzić, jak to jest – iść przez Afrykę, i już od dziecka kontynent ten absorbował jego uwagę, a opowiada o tym ironizując: *Do Afryki sprowadziła mnie fascynacja wielkimi odkrywcami. Uległem urokowi tego lądu, gdy jako sześciolatek przeczytałem pierwszy komiks z Tarzanem.* F. Sandham, *Samotna wędrówka przez Afrykę*, Warszawa 2011, str. 11.

<sup>415</sup> M. Czapliński, *Afryka. Przekrój podłużny*, Kraków 2011, str. 331.

przypadku to nie autor odkrywa temat swojej opowieści, a dzieje się dokładnie odwrotnie: opowieść odnajduje autora. *Ta książka jest zapisem podróży, a podróż zaczęła się właśnie wtedy. Była późna jesień 2001 roku, na stole w mieszkaniu Marka Nowakowskiego leżał zaczerpiony drobnym drukiem rulon papieru do faksu.*<sup>416</sup> Nowakowski przeczytał Marcowi fragment opowiadania, natomiast pochodzenie utworu zostało jeszcze natenczas ukryte. Jednak ziarno zaczyna kiełkować i po dwóch latach dochodzi do spotkania pary autorów: Marca i Wojciecha Albińskiego<sup>417</sup>. Kanwę książki stanowi więc wspomnienie, jakie o swoim życiu snuje Polak-emigrant, ongiś zafascynowany twórczością Conrada i „Dżunglą zgrozy” Józefa Białoskórskiego, a dziś pisarz w wielu literackich recenzjach do Conrada porównywany. Życiowe dzieje Albińskiego wplatają się w polską historię XX wieku, a także przenoszą opowieść i do szwajcarskiej Genewy, a później i do Botswany, i do RPA. *Z Polski przez Szwajcarię do Afryki południowej. Odbyłem tę samą drogę. Albiński zszedł na ląd jedenastego dnia, mnie podróż do Johannesburga zajęła dwanaście godzin, trzynaście – jeśli liczyć przesiadkę na lotnisku w Zurychu.*<sup>418</sup> Albiński opowiada o afrykańskiej rzeczywistości końca czasów apartheidu i o procesach społecznych, jakich był świadkiem. I tak oto podróż zatacza wiele kręgów, a w tym konkretnym przypadku podobna jest do kamienia rzuconego na taflę wody, po której krąg za kręgiem dociera w końcu do brzegu. Rozmowa Marca z Albińskim celnie trawestuje po prozatorskich opowiadaniach ostatniego, i odkrywa tym samym, przy okazji, prawdziwych bohaterów z afrykańskich epizodów. Czy jest to książka podróżnicza? Z pewnością tak, jednak nie w jej tradycyjnym i stereotypowym ujęciu, gdy przez podróż rozumie się tylko fizyczną wędrówkę, a nie wędrówkę przez wydarzenia wkomponowane w życiowy szlak autora. Jednak na tym i poprzednich przykładach, mając na uwadze kategoryzację terytorialną podróżniczych opowieści, można bez przeszkód dostrzec szlak pisarskich wędrówek, gdy zarówno droga lubi się powtarzać, jak i literatura w formie szkatułkowej wylania się jedna z drugiej.

---

<sup>416</sup> B. Marzec, *Nasz człowiek w Botswanie*, Warszawa 2012, str. 7.

<sup>417</sup> Autor, będąc pisarzem, wydaje jeszcze kilka pozycji głęboko osadzonych w afrykańskich realiach, takich np. jak „Antylopa szuka myśliwego” lub „Lidia z Kamerunu”. Dużym zainteresowaniem cieszy się także jego ostatnia prozatorska próba pt. „Soweto – my love”, w której Albiński z zaangażowaniem, a co najważniejsze – z autopsji, opisuje codzienność botswańskiego miasta. Osadzone na afrykańskim terenie wspomnienia ujmuje w formie reporterskiego eseju, sącząc i wiedzę, i niespotykaną w Polsce narrację: *Biały jadący do Soweto stanął dla policji niemały problem. Co go tu sprowadza? Nie można wykluczyć, że działalność wywrotowa. Podejrzane odczyty, szkolenia pod przykrywką działalności kulturalnej? Szykuje się do podburzania czarnych czy dostarcza im broń? A może przynaglony chęcią odwiedzenia kochanki, chce do niej dotrzeć przed zapadnięciem nocy. Później nie jest łatwo znaleźć właściwy domek, bo wszystkie są do siebie podobne.* W. Albiński, *Soweto – my love*, Warszawa 2012, str. 21.

<sup>418</sup> B. Marzec, *Nasz człowiek w Botswanie*, Warszawa 2012, str. 89.

Tak się też składa, że Republika Południowej Afryki jest także miejscem, gdzie swój dziennik prowadzi Paulina Plewako, i publikuje go następnie, nie tak dawno, w formie kolorowej książki. *Jak to się stało, że dotarłam do Afryki? Opowiadanie powinnam chyba zacząć od studiów. Jak pewnie już wiecie, od samego początku pragnęłam zostać weterynarzem.*<sup>419</sup> Z zamiłowania więc i z wykształcenia pani weterynarz, trafia w końcu, w ramach jednego z europejskich programów wolontariatu, tuż na obrzeża Parku Krugera i zaczyna swoją przygodę z opieką nad słońiami. Z pasą opowiada o codziennych zajęciach, a dla osób, które mają w zamiarze odwiedzenie południowoamerykańskiego safari przemycia mnogość cennych informacji o tym szczególnym i wręcz kultowym miejscu. Opowiada także w kilku słowach o swojej wcześniejszej podróży do Indii, a także snuje wiele osobistych rozmyślań, które na końcu Afryki towarzyszą jej niemal dzień w dzień. Z charakterystycznym sobie humorem szafuje również anegdotami, gdy np. *Na koniec musiałam wymienić w banku przywiezione dolary na południowoafrykańskie randy. Skserowali mi przy tym cały paszport, pytali, po co tu jestem, na ile przyjechałam, u kogo się zatrzymałam. W pewnym momencie zaczęłam się zastanawiać, czy rozumieją, że przyszłam tylko wymienić gotówkę, a nie proszę o kredyt.*<sup>420</sup> Jednak i tak najwięcej uwagi poświęca swoim słońiom i to one są głównymi bohaterami perypetii młodej Polki, a sama dodaje: *Dzień jak co dzień. Słonie, konie, potem znowu słonie. Uwielbiam przychodzić do stajni, gdy słonie jeszcze leżą na boku w swoich boksach.*<sup>421</sup> Jej książka, choć stanowi jedynie relację z pobytu, a nie opis wędrownych przygód, przedstawia wycinek czynnej pracy zawodowej i w takim ujęciu, jako bodaj jedyna występuje na rodzimym rynku wydawniczym. Autorka nieskrywanie opowiada o całym swoim zaangażowaniu w powierzone jej zadania i zajęcia, a niejednokrotnie musi sama odnaleźć się w realiach zarówno pracy kontraktowej, jak i zwykłej kobiecej codzienności. Kolorytu nadają jej opowieści także drobne perypetie sercowe, z którymi boryka się od kilku lat i które, jak się wydaje, stanowią dla niej większy problem, niż wielotonowe dzikie i oswojone słonie.

Jednak południe Afryki, to nie tylko wyżej wspomniane publikacje. Kilka lat temu swoje wędrowne szlaki poprowadziła w tamtą stronę Sonia Draga, a plonem jej dwóch podróży jest albumowe wydanie zatytułowane „RPA – kraj niespodzianek”. Autorka przemierza z aparatem fotograficznym kilka tysięcy kilometrów i z werwą relacjonuje

---

<sup>419</sup> P. Plewako, *Zaklinaczka słoni*, Łódź 2012, str. 184.

<sup>420</sup> Tamże, str. 10.

<sup>421</sup> Tamże, str. 26.

wyprawę: *Docieram do kamienistego wybrzeża i mam takie wrażenie, że jak dłużej tu pobędę, to doczekam się delfinów, a może i wielorybów.*<sup>422</sup> *Dziwnie ekscytujące uczucie mnie ogarnia, bo mam wrażenie, że grasuję po terenie zabronionym, tym bardziej że przecież niedaleko jest stado lwów. Mam jednak nadzieję, że strażnik ma broń nabitą.*<sup>423</sup> *Wreszcie docieram na szczyt, co przy moim lęku wysokości jest niemałym wyczynem.*<sup>424</sup> Autorka-podróżniczka, skądinąd sprawnie szefująca w Polsce wydawnictwu „Sonia Draga” (przekłady Dana Browna czy nad wyraz ostatnio poczytnej E L James z jej sagą „Greya...”), wydaje się łączyć przyjemne z pożytecznym, a reportażowa relacja przybliży polskiemu czytelnikowi egzotyczny kraj dawnego apartheidu. Osobiste sprawozdanie, prowadzone językiem pełnym nawiązań do codziennych zmagania z afrykańską teraźniejszością, skłania do refleksji o różnorodności świata i rzuca światło na komunikacyjne trudności, gdy z punktu widzenia Europejczyka coś powinno być proste i jednoznaczne, a w realiach RPA staje się problematyczne i zawile. Nie sposób także nie zwrócić uwagi na fotograficzny charakter jej afrykańskich wspomnień, gdzie wyzwolona migawka aparatu stanowi uzupełnienie spisanych wspomnień. Draga pisze o tym, co fotografuje i fotografuje to, o czym pisze. Obraz potwierdza relację – i odwrotnie. Nie tarczy rezonu, gdy markowy sprzęt po prostu się psuje, i zaraz, oczywiście z perypetiami, kupuje drugi. Wielobarwne fotografie ścielą jej publikację jak zwiedzane sawanny. W tym znaczeniu jak bumerang powraca namysł nad zagadnieniem związanym z rolą fotografii w literaturze podróżniczej, gdy tę podzieli się jeszcze na reporterską, dziennikarską, na literaturę faktu, na biograficzne wspomnienia, relacje z licznych podróży czy politologiczno-kulturoznawcze sprawozdania i raporty. Draga fotografuje z zębem, a jej osobista relacja zdaje się potwierdzać zamiłowanie do podróży. *W kolejnych latach jeździłam w różne miejsca, ale nie tam, co jakiś czas jednak jak bumerang wracało pytanie: „A może by tak do RPA...?”*<sup>425</sup> Penetruje. Zagląda. Wierci. Pisze inaczej od innych, bo i charakter jej podróży jest inny – można metaforycznie powiedzieć, że koloryt fotograficznej matrycy odzwierciedla stan ducha autorki, a drobne podróżnicze nieporozumienia i perypetie dodają jej tylko animuszu.

Zwrotnik Koziorożca przecina Ósmy Kontynent na samym jego południu. Dumna i okazała wyspa pasuje jak ulał do lądu, od którego oderwała się około pięćdziesiąt milionów

---

<sup>422</sup> S. Draga, *RPA – kraj niespodzianek*, Katowice 2010, str. 147.

<sup>423</sup> Tamże, str. 84.

<sup>424</sup> Tamże, str. 134.

<sup>425</sup> Tamże, str. 9.

lat temu, a dziś, jako czwarta na świecie pod względem wielkości, sterczy u wybrzeży afrykańskiego Mozambiku.

„Chałupski dojechał do Indii na taniej meridzie, Maciąg podróżował po Państwie Środka na starym chińskim rowerze. Może i nam udałoby się przejechać przez Madagaskar na „chińczykach”? Jednak znalezienie takowego pojazdu, zdatnego do użytku, nie było łatwe. Na poszukiwaniach spędziliśmy dwa dni, podczas których trafiliśmy chyba na każde stoisko z rowerami na targu, odwiedziliśmy każdy, nawet najlepiej skrywany sklepik rowerowy oraz oceniliśmy wytrzymałość wszystkich bicykli w ofercie jedyne go wielkopowierzchniowego supermarketu. W sprzedaży dominowały rowery „plastyczne” – tj. bardzo łatwo zmieniające kształt. Przy moich dziewięćdziesięciu kilogramach nie wróżyło to zbyt długiego użytkowania. Ostatecznie znaleźliśmy salon samochodowy, gdzie sprzedawano również jednoślady. Kupiliśmy dwa ENDURO WARRIOR-y. Stalowa rama, przerzutki SHIMANO! Wszystkie osiemnaście! To nic, że rower był dla mnie za mały. Jedziemy!”<sup>426</sup>

I tak swoją podróżniczą opowieść rozpoczyna małżeństwo, dla którego egzotyczny Madagaskar nie był wszelako pierwszą taką wyprawą.<sup>427</sup> Jednak tym razem ograniczają się do wielkiej wyspy, a oblewający ją Ocean Indyjski – można humorystycznie powiedzieć – pozbawia możliwość jechania wciąż dalej i dalej, tak jak miało to miejsce w przypadku wcześniejszej podróży. *Madagaskar ma 1600 kilometrów długości i 570 kilometrów szerokości. Po tej czwartej co do wielkości (po Grenlandii, Papui Nowej Gwinei i Borneo) wyspie świata przepedałowaliśmy na rowerach 1825 kilometrów, więc w jakimś sensie prawie zjechaliliśmy ją wzdłuż i wszerz.*<sup>428</sup> Publikacja stanowi więc nieocenione źródło czystej podróżniczej wiedzy. Podróż nie skąpi przygód, a te znajdują swoje miejsca na kolejnych kartach publikacji. Ponadto autorzy zamieszczają ogromną ilość barwnych fotografii, które przeplatane z opowiadanymi historiami dodają całej lekturze kolorytu i smaku. W końcowej części książki, która miejscami bardziej przypomina album, niż prozatorską relację, umieszczono także kilka ciekawostek technicznych oraz rad i wskazówek dla potencjalnych następców. Rowerowa eskapada nie jest łatwa: często błotnista, poprzecinana rzekami i lasami oraz, niestety, często narażona na sprzętowe awarie. Jednak, jak Paweł Opaska sam przyznaje, *Nie znam autora, który potrafiłby lepiej oddać klimat Madagaskaru niż Arkady Fiedler. Lektura jego książek niewątpliwie wzbogaciła naszą podróż, nadała jej innego*

<sup>426</sup> P. Opaska, M. Opaska, *Przez Madagaskar na rowerach*, Łódź 2011, str. 36.

<sup>427</sup> W dalszej części rozprawy, kończącej rozdział „Azymuty podróży”, historia rowerowych wędrówek małżeństwa Opaska zostaje przywołana przy okazji literatury podróżniczej dotyczącej podróży dookoła świata, a taką właśnie na rowerach udało im się kilka lat temu odbyć.

<sup>428</sup> Tamże, str. 244.



wymiaru. Pozwoliła głębiej zrozumieć ten fascynujący kraj. Naszą ulubioną stała się „Wyspa kochających lemurów”, ale z nie mniejszym zainteresowaniem przeczytaliśmy też „Madagaskar, okrutny czarodziej” i „Gorącą wieś Ambinanitelo”. Pozycje te, choć napisane stosunkowo dawno, pod wieloma względami niewiele straciły na aktualności.<sup>429</sup> W tym sensie wiele takich i podobnych wypraw posiada swój mimetyczny charakter, który nie koniecznie musi przejawiać się w dokładnym kopiowaniu drogi lub miejsc, ale wydobyty z dawnych, często dziecięcych inspiracji, stanowi swoisty pomost między kolejnymi pokoleniami podróżników.

Wymagające, choć nad wyraz egzotyczne południe Afryki, wraz z karkołomnymi rowerowymi wyprawami, warto w tym miejscu pozostawić już za sobą, by w dalszej części dysertacji skupić uwagę na kolejnych publikacjach, które płyną z Czarnego Łądu. Ale *Nie jest to więc książka o Afryce, lecz o kilku ludziach stamtąd, o spotkaniach z nimi, czasie wspólnie spędzonym. Ten kontynent jest zbyt duży, aby go opisać. To istny ocean, osobna planeta, różnorodny, przebogaty kosmos. Tylko w wielkim uproszczeniu, dla wygody, mówimy – Afryka. W rzeczywistości, poza nazwą geograficzną, Afryka nie istnieje.*<sup>430</sup> Kiedy Azja wydaje się być strukturą w miarę administracyjnie ułożoną, w Afryce nic do niczego nie pasuje. Zburzonej przeszłości nie można odbudować, a przyszłość przelewa się przez palce jak woda w Kongo czy Nilu. Polski podróżnik nie daje jednak za wygraną; nie przeszkadza mu skwar i spiekota, kurz i błoto czy też malaryczne schorzenia. Obrazem tych zmagania stają się kolejne publikacje – jedne po tropach, inne kreślone od początku do końca samodzielnie, w oparciu o własne mapy i własne marzenia.

„Mrok buszu, potem ciemność – barbarzyństwo, światy obce, których znać nie chcemy, bo budzą grozę. Dudniący bęben, pomalowane twarze, szaleńczy taniec, lew czający się w buszu – intensywność życia i śmierci ponad naszą Mierę. Boimy się takiej Afryki, więc oswajamy ją: w wioskach fotografujemy scenki rodzajowe, gotowanie i zabawy dzieci, tańce i rytuały opisujemy w języku etnografów, a lwy oglądamy na safari. Bezpieczna, mdła Afryka, nasze wakacyjne marzenie.”<sup>431</sup>

Książka Dariusza Rosiaka, dziennikarza radiowego i prasowego, to barwny zbiór reportaży z kilkunastu afrykańskich krajów. Senegal, Mali, Etiopia, Rwanda i Uganda, Kenia i RPA. Autor podróżuje po nieznanym zakątkach Ghany czy Etiopii i przekornie do tytułu

---

<sup>429</sup> P. Opaska, M. Opaska, *Przez Madagaskar na rowerach*, Łódź 2011, str. 270.

<sup>430</sup> R. Kapuściński, *Heban*, Warszawa 2005, str. 5.

<sup>431</sup> D. Rosiak, *Zar. Oddech Afryki*, Kraków 2010, str. 292.

swojej publikacji kpi: *Żar? Jaki żar? Na malijskiej pustyni spałem w dwóch swetrach i śpiworze, w Addis Abebie marzłem w nocy na kość, a w Akrze w czasie harmatanu czułem się jak w suchej saunie.*<sup>432</sup> Opowieści, przeplatane fotografiami, sytuują wydawnictwo – jeśli kierować się proponowanym opozycyjnym podziałem czynne/bierne – zdecydowanie po stronie publikacji czynnej, a to głównie ze względu na codzienny charakter pracy Rosiaka. Gdy wyjeżdża do Afryki, robi to przede wszystkim na zlecenie polskich publicznych mediów, sam zaznaczając we wstępie: *Nie byłoby również ani tej książki, ani moich podróży po Afryce, gdyby Krzysztof Skowroński, dyrektor Programu III polskiego Radia, nie wymyślił w 2007 roku akcji „Trójka przekracza granice”.*<sup>433</sup> I dalej dodaje: *Podstawę tej książki stanowią materiały zebrane przeze mnie jako reportera radiowej Trójki, gdzie nadawałem relacje z Afryki, i dziennika „Rzeczpospolita”, w którym pierwotnie ukazywały się teksty z moich afrykańskich podróży. Zostały one rozszerzone i opracowane ponownie na potrzeby tej książki.*<sup>434</sup> Jest to więc typowa literatura podróżnicza powstała nie wskutek przywoływanych już licznie publikacji osób, które podróżują – a dokładnie odwrotnie: podróż staje się pretekstem i narzędziem do osiągnięcia konkretnego zamierzenia marketingowego. Rozróżnienie takie wydaje się na tyle istotne, że ma bezpośredni wpływ na zawartość merytoryczną publikacji, język autora i zasięg terytorialny zebranych reportaży – gdy stoi za tym możliwy państwowy sponsor.

Z tego punktu widzenia całkiem inną przygodą może poszczycić się Marcin Mińkowski, publikując kilka lat temu pozycję zatytułowaną „Tam, gdzie nie ma coca-coli”. Młody podróżnik nie wylewa za kołnierz i nie daje łatwo za wygraną, a tytułowa coca-cola staje się interesującym symbolem. Podobnie jak Rosiak, autor podróżuje po Afryce, jednak bez dziennikarskiego paszportu.<sup>435</sup> Mimo przeciwności losu dociera do kilkunastu krajów. A

---

<sup>432</sup> D. Rosiak, *Żar. Oddech Afryki*, Kraków 2010, str. 7.

<sup>433</sup> Tamże, str. 10.

<sup>434</sup> Tamże.

<sup>435</sup> Warto w tym miejscu przywołać notkę biograficzną zamieszczoną przez Wydawcę na samym początku publikacji, która to – w charakterystyczny i bardzo odmienny do zawodowej profesji Dariusza Rosiaka – przedstawia podróżnika w świetle szarej polskiej codzienności: *Marcin Mińkowski (ur. 1975), absolwent szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, posiadacz dyplomu MBA. Na co dzień pracuje w firmie informatycznej; koordynuje prace związane z wykonaniem i utrzymaniem systemów wykrywania nadużyć, opartych na technologiach ETL, EJB, DB2, AIX, skryptach Shell i zadaniach Cron, WAS, SQL, J2EE, Cognos oraz modelach danych ODS i DWH... Co jakiś czas rzuca krawat, skrypty, zadania, modele danych i rusza w świat. Jeździł na osiołku w Pakistanie, pił kumys w jurcie w Mongolii, szukał śladów piratów na Madagaskarze i rozmawiał o życiu w nocnym pociągu na Syberii. Jednak jego największą pasją i miłością jest Afryka. Stara się pokazać dobre strony świata młodym ludziom, którzy mają w życiu pod górkę, pracując w Towarzystwie Przyjaciół Dzieci na warszawskiej Woli. Publikował m.in. w „Podróżach” i „Voyage”. Lubi śpiewać, choć nie umie. Trochę marzyciel.* M. Mińkowski, *Tam, gdzie nie ma coca-coli*, Bielsko-Biała 2011, str. 6.

w Afryce 80% planów bierze w łeb.<sup>436</sup> Relacjonuje. Opowiada. Rządzi wydarzeniami, które i tak poniewierają nim jak chcą i ile chcą. Podróżnik w podróży. Wspomnienia okraszone fotografiami. *Jednak przejechałem te kilka tysięcy kilometrów. Każdy dzień dostarczał mi nowych wrażeń, doświadczeń, dzień po dniu – zanurzałem się w Afryce. Uczylem się jej po raz kolejny. Czy ją poznałem?*<sup>437</sup> Kilkuset stronicowa relacja Mińkowskiego przywołuje także wiele wydarzeń, które dzieją się z dala od wielkich afrykańskich miast, gdzieś na obrzeżach sawanny i dzikiego buszu – przez co obraz nie jest tak skomercjalizowany i ułożony w przewidywalną całość. Wytrwałe oko amatora sięga głęboko w czeluść Czarnego Lądu – czyniąc tym samym obie przywołane publikacje różnymi od siebie: gdy opracowanie Rosiaka jest metodyczne i dziennikarsko skrupulatne, a książka Mińkowskiego pełna opowieści emocjonalnych i spontanicznych. Oba obrazy uzupełniają się wzajemnie, nie eliminując jeden drugiego. Stanowią dwie cenne podróżnicze wskazówki dla każdego kolejnego podróżnika. I to bodaj cieszy w nich najbardziej.

*Dzieci zawsze podchodzą najchętniej. Ciekawość przeważa nad ostrożnością, choć to przecież one są u siebie. Nigdy nie mają skrupułów. Dotykają białą skórę, jakby to była kora baobabu. Uśmiechają się zalotnie i ciekawe każdego szczegółu oglądają to wóz, to bagaże, to w końcu mnie samego. Nie ma sytuacji, by z braku zainteresowania odwróciły głowę. Czasem, nagabywane i poganiane przez starszych, wyciągają rękę po jakiś podarek, ale zazwyczaj same dają od siebie orzeszki, kawałki bawełny, jakieś świecidelka. Zawsze, jak tylko są dzieci, jak wybiegają gdzieś z polnej szkoły, zawsze wiadomo, że jest życie. Czasem w różowych, czasem w niebieskich mundurkach. Śmieją się na wszystkie strony i można odnieść wrażenie, że europejskie są bardziej przygaszone i smutne. Gdy już przełamią pierwsze lody, pytają o wszystko: ile mam krów, ile żon, ile dzieci. Gdzie mieszkam, ile mam lat i dlaczego chodzę w butach po trawie i rzece. I tak w kółko. Pokazują wystrugane zabawki albo kleją z jakiegoś drutu srebrną bransoletkę, którą koniecznie mam nosić na zawsze. Dzieci nie znają przeszłości, a to co teraz – jest jedynym ich światem. Reszta nie ma znaczenia. Na afrykańskich połaciach sawanny widać je wszędzie. Małe. Umorusane. Boso. Kleją się do mamy jak rzepy. Często już same, mając kilkanaście lat, noszą na plecach swoje młodsze rodzeństwa. Jest w nich zainteresowanie światem i ciekawość wszystkiego, co nie czarne. Świdrują oczyma. Ubogość świata, w którym przyszło im żyć i dorastać, nie daje wiele rozrywek, gier i zabaw – więc same wymyślają. Rzucają czymkolwiek do celu. Z byle czego robią zabawki. Lepią gliną małe figurki, a z metalowych drutów, które wyciągają ze starych opon, dziergają ozdoby na szyję. Gonią się po rozłożystych drzewach albo kokosami rzucają z palmy w wybrane*

<sup>436</sup> M. Mińkowski, *Tam, gdzie nie ma coca-coli*, Bielsko-Biała 2011, str. 192.

<sup>437</sup> Tamże, str. 301.

*miejsce na piachu. Łuskają na wyścigi orzeszki. Dzieci wszędzie jest najwięcej i to je właśnie najłatwiej zapytać o drogę i kierunek. Nic sobie nie robią ze słońca, deszczu i kurzu. Kopiają wszystko, co się kula i turla. Mali chłopcy na targu w Adumri biegają między straganami jako łącznicy. Gdy tylko ktoś chce coś kupić, wystarczy go na kilka sekund zatrzymać rozmową przy straganie: malec w mig dostarczy potrzebny towar od innego sprzedawcy, inkasując prowizję. Z byle kałuży w porze deszczowej robią morze ze statkami, falami i portami. Grają w kapsle. Donoszą wodę, zamiatają, pędzą kijami zebu. Zbierają bawełnę z najniższych partii krzewów. Na plażach oceanów sprzedają muszle i rozgwiazdy. I rodzą się na potęgę. Afryka to dziś dzieci i kolory.*

Claudio Margis zapisał: *W podróży, będąc nieznanymi wśród nieznanomych, uczymy się być Nikim, pojmujemy konkretnie, że jesteśmy Nikim. To właśnie pozwala w ulubionym miejscu, które stało się niemal fizycznie częścią albo przedłużeniem nas samych, powiedzieć za Don Kichotem: Tutaj wiem, kim jestem.*<sup>438</sup> Perspektywa afrykańska obdziera ze skóry. Nie pozostawia złudzeń co do tego, kim jestem i jakim jest świat, który widzę.<sup>439</sup> Być *Nikim*, jak chce Margis, znaczy być sobą. Obraz materialnej biedy zabija oczy – i jest to bieda, a nie „inne bogactwo”. Każda książka o Afryce kładzie cień na europejskie teorie: uwierają, trzeszczą w szwach i obcierają. Afryka rośnie jak pieczone ciasto i wylewa się z foremek, które ludzie Zachodu z dumą nazywają równouprawnieniem, postkolonializmem czy też tzw. pomocą humanitarną. Milczenie Zachodu. Afrykańska perspektywa nie pozostawia złudzeń, a literatura o tamtych krajach boli jak wypalanie stałą znamion. Ale nie ma bodaj drugiego takiego kontynentu, gdzie słowa Margisa byłyby aż tak aktualne. Każda podróż na kontynent afrykański obdziera z człowieczeństwa – a może tylko zmywa bród? Może jedynie sytuje wartości w odpowiednich miejscach i w odpowiednich relacjach? Oczyszcza? Naga nagość. I

<sup>438</sup> C. Margis, *Podróż bez końca*, Warszawa 2009, str. 26.

<sup>439</sup> Nicco na marginesie można w tym miejscu celnie przywołać krótki fragment wspomnienia Jarosława Mikołajewskiego, który w publikacji „Dalem głos ubogim” tak oto wspomina rozgoryczenie Ryszarda Kapuścińskiego: *Te trzy gęste, fascynujące stronicie „Podróży z Herodotem”, z oszołomieniem ich autora, są sygnałem pewnego nadmiaru, którego dostarczał Ryszardowi Rzym. Tego samego nadmiaru, który podczas tej naprawdę ostatniej podróży do Rzymu, 24 października 2006 rano, na Piazza Navona, wycisnął z niego łzy. Kiedy siedziałem z Ryszardem w kawiarni na wprost kościoła Świętej Agnieszki, był rozpromieniony. Śmiał się, pokazując nietypowych ludzi, dostrzegał wyjątkowo ładne buty, patrzył, jak cień wędruje po placu, i nagle... szloch. „Tego jest za dużo”, powiedział. Potem przyznał, że szok, którego efektem były łzy, nie wynikał z samego nagromadzenia urody tego świata. Zapłakał, ponieważ na tak intensywne piękno Włoch nałożył mu się obraz Afryki i jej nędzy. I sam nie mógł do końca zrozumieć własnej reakcji, zwłaszcza tego, że w tym samym miejscu zdarzyła mu się już po raz drugi. Droga przez świat, o której pisze Alicja Kapuścińska we wstępie – od Rzymu do Rzymu – była więc drogą do nadmiaru piękna w konfrontacji z nędzą świata, do nadmiaru piękna w konfrontacji z nędzą własnego dzieciństwa i dojrzewania, wojny.* R. Mikołajewski. W: R. Kapuściński, *Dalem głos ubogim*, Kraków 2008, str. 84.

często, jak się wydaje, nie rzecz jest w Innym i relacji do Innego, a bardziej w skromnej konstatacji Don Kichota, że tutaj właśnie wiem, kim jestem – kim jestem ja. Skwar. Brud. Głód. Utrapienia. Owady. I znów skwar, droga w mozole kilku kilometrów na godzinę: Afryka nie wybacza. Stawia Białego wobec ściany – albo życie, albo śmierć. Często najprostsza czynność urasta do rangi heroizmu. Nie ma wody – nie ma życia. Człowiek postawiony wobec prawd najprostszych jak nadzy Żydzi w komorach gazowych. Nie można tego nie zauważać: podróż jest wtedy gehenną. A jeśli Bóg karałby, wędrówka byłaby karą boską. Jechać w podróż nie tyle dla brudu, ile dla oczyszczenia. Nie tyle dla zobaczenia, ile by przestać widzieć – nie by żyć, ale by umrzeć. W takim znaczeniu literatura podróżnicza nie jest tylko suchym opisem rzeczywistości, ale w przypadku Afryki staje się przestrzenią filozoficzną i agorą przemysłów. Żaden inny kontynent nie zmusza czytelnika do tak głębokich konfrontacji wobec tego, co wie i jak jest naprawdę.

„Afryka, którą obserwuję, nie jest romantyczna, nie podąża za żadną ideą, niewiele pragnie, niczego nie pożąda, nie cierpi z powodu utraty i rzadko kocha. Ten kontynent nie ma czasu tęsknić za pustynią, buszem, domem rodzinnym, za stadami wielbłądów czy nawet długorogich krów, które są tutaj wszystkim.”<sup>440</sup>

O Czarnym Łądzie można pisać co najmniej na dwa sposoby – tak zresztą, jak o każdym innym kontynencie. Wspomniani już Olszewski, Rosiak czy Mińkowski dokonują syntetycznego zapisu z podróży, która wiedzie ich przez kilkanaście afrykańskich krajów. Opisują państwo za państwem – każdy ze swojej podróżniczej perspektywy i w oparciu o własne rzemiosło. Każdy także z nich ląduje w Afryce z nieco innych powodów, stąd też zbiory opracowań stanowią niepowtarzalną mozaikę pełną różnorodności i wzajemnych uzupełnień. Ale bywa i inaczej, gdy autor wybiera się w podróż do jednego tylko kraju i jego literacka opowieść ogniskuje wokół tylko jednego państwa. Dzieje się tak w przypadku np. Konrada Piskały, który we wstępie do swojej książki pisze: *Chcę przejechać cały kraj. Podróż przez Sudan zacznie się w spokojnej arabskiej Wadi Halfie na granicy z Egiptem, a zakończy w Nimule, na pograniczu z Ugandą. To nie tylko kilometry, ale również wędrówka z islamu do chrześcijaństwa, z pustyni do lasu deszczowego, z bieli do czerni.*<sup>441</sup> Pozycja stanowi więc zapis wędrówki przez połacie ogromnego afrykańskiego kraju: z plecakiem, ciężarówkami, łodzią po Nilu, na piechotę. Jest tak prawdziwa, że czytelnik już jutro chciałby wsiąść w samolot i polecieć do Chartum. To zapis z drogi, wędrówki nie po śladach i uczęszczanych

<sup>440</sup> K. Piskała, *Sudan*, Warszawa 2010, str. 292.

<sup>441</sup> Tamże, str. 16.

szlakach, a po zakamarkach wypalanej blaskiem słońca sawanny. I choć opowieść dotyczy tylko jednego kraju, w pełni oddaje obraz i rzeczywistość państw ościennych, osadzonych na wysuszonych żarem subsaharyjskich terytoriach. Można powiedzieć, że Piskała jest rzeczywisty do bólu, a czytając kolejne akapity – mimo opisywanego upału – krew mrozi się w żyłach. *Szlak oddalał się od Nilu, wjechaliśmy w pustynię. Pierwsze miejsce, w którym się zatrzymaliśmy po kilku godzinach jazdy było małą wsią. Wyglądało o wiele gorzej niż Renk, choć myślałem, że nic brzydszego, nic bardziej prowizorycznego nie może istnieć. Na zaplechach bud leżały tony ścierwa – wyschniętych ryb, ości i wnętrzości kóz. Wszystko cuchnęło. Zaczęliśmy przesiąkać tym mdłym, ale jedynym prawdziwym zapachem Afryki.*<sup>442</sup> W literaturze podróżniczej jego opowieść stanowi ułamek większej całości, dotyczy konkretnych granic. Nie jest wnioskiem, a raczej przyczyną do podsumowań. Jest też szlakiem.

Ale już inaczej swój Sudan opisuje Andrzej Korybut-Daszkiewicz, dla którego afrykańska podróż śladami Sienkiewiczowskich Stasia i Nel stała się spełnieniem dziecięcych marzeń.<sup>443</sup> Autor, po długich latach oczekiwania, podróżuje po Sudanie, tworząc przy okazji encyklopedyczny obraz kraju.<sup>444</sup> Fakty historyczne, nawiązania do plemiennej tradycji, spekulacje kulturoznawcze. Notuje z dokładnością Tukidydesa. Opowieść nie osnuta wokół podróżowania, a bardziej podróż jako opis inności. Bez zdjęć, bez własnego „ja”. Faktografia na tle pokonywanej drogi. Opis kraju nie tyle od strony własnej wędrówki, a bardziej przez obraz afrykańskiej codzienności. Setki informacji osadzonych wokół Nilu. Przewodnik po pustyni. Podróżnicza pasja z pragnieniem odwiedzenia Czarnego Lądu: *W tym czasie utrzymywałem się z bardzo wczesnie rozpoczętego dziennikarstwa. Surowo mnie wówczas recenzujący mój kuzyn Melchior Wańkowicz – mistrz reportażu – doradził krótko: koniecznie jedź. Afryka to kontynent w sam raz dla takich szaleńców jak ty.*<sup>445</sup> Jak za rękę można z tą książką trafić wszędzie: jest tak inna i odmienna od podobnych publikacji, że nie sposób jej nie zauważyć. Miliony danych przytaczanych przy każdej okazji – i gdyby jechać do Sudanu, warto egzemplarz mieć w torbie. Gdy bowiem przychodzi do niezgrabnego porównania, które zawsze ma więcej wad niż zalet, widać wtedy wyraźnie, czym jest różnorodność w literaturze podróżniczej: przez styl, zasób wiedzy, zakres tematyczny i opisywany obszar terytorialny.

---

<sup>442</sup> K. Piskała, *Sudan*, Warszawa 2010, str. 224.

<sup>443</sup> A. Korybut-Daszkiewicz, *W pustyni bez puszczy*, Poznań 2009, str. 7.

<sup>444</sup> Autor przywołuje na tę okoliczność spotkanie z Ryszardem Kapuścińskim, który miał powiedzieć: – *Ktoś może zarzucić encyklopedyczny wręcz zasób informacji, ale to może być także zaletą, że udało ci się zebrać na temat tej krainy.* Tamże, str. 10.

<sup>445</sup> Tamże, str. 8.

Publikacja kresowego warszawiaka wyróżnia się spośród innych. W perspektywie afrykańskiej, śledząc uważnie wydawnicze nowości, trudno także nie zauważyć, że w literaturze podróżniczej opisującej bezkresy sawanny, bardzo rzadko zdarza się, by jeden poszczególny kraj, w tym wypadku Sudan, miał na swój temat kilka różnych publikacji (z oczywistym wyłączeniem np. Ruandy opisywanej ze względu na ludobójstwo, czy turystycznej Kenii – Mekki podróżników pobliza Kilimandżaro). Nie powstało na przestrzeni lat kilka książek o Gabonie, czy np. o symbolicznym Kongu Korzeniowskiego.

Na szczęście perspektywa badawcza nie stoi w miejscu. Innym, cennym i rzadkim, rodzajem opowieści podróżniczej jawi się w tym miejscu książka znanego dziennikarza Gazety Wyborczej, Wojciecha Jagielskiego, zatytułowana „Nocni wędrowcy”. Także, jak w przypadku publikacji Piskały i Korybuta-Daszkiwicza, dotyczyć ona będzie jednego tylko, wybranego przez autora, kraju: afrykańskiej, graniczącej od północy z Sudanem, Ugandy. Oba państwa łączy wielki równikowy las, a wspomniane tutaj trzy książki idealnie wydają się ze sobą współgrać i korespondować, gdy czytelnikowi (siedzącemu w europejskim i polskim domu) przychodzi wędrować oczyma własnej wyobraźni po opisywanym i przedstawianym w kolejnych akapitach obszarze. Jednak narracja tej książki utrzymana jest w konwencji pewnej fikcji literackiej, choć nie do końca. W krótkim wstępnym objaśnieniu reporter zaznacza: *Jest to opowieść prawdziwa, podobnie jak prawdziwe jest miasteczko Gulu, w którym się ona rozgrywa. Prawdziwi są też bohaterowie opowieści: opętani przez duchy Joseph Kony, stary Severino, Kenneth Banya, król Aczolich, ich wodzowie, księża, żołnierze, a także dzieci, z których nocami duchy czynią okrutnych i bezlitosnych partyzantów. Nora, Samuel i Jackson na potrzeby tej opowieści stworzeni zostali z kilku rzeczywistych postaci.*<sup>446</sup> Publikacja jest więc opisem małego wycinka rzeczywistości, będąc raczej pozycją problemową, niż podróżniczą – choć sceneria i wydarzenia dzieją się w obszarze afrykańskiej egzotyki. Jagielski opisuje krwawy ugandyjski proceder najmowania do działań militarnych małych dzieci, z czego słynął wściekły i bestialski rebeliant Joseph Kony.<sup>447</sup> Spływające krwią wojny

---

<sup>446</sup> W. Jagielski, *Nocni wędrowcy*, Warszawa 2009, str. 6.

<sup>447</sup> Szczegółowo jego postać i jego działania opisuje w „Skradzionych Aniołach” Kathy Cook, która już na początku swojej wstrząsającej książki zaznacza: *Joseph Kony był najbardziej poszukiwanym człowiekiem w Afryce, a wręcz, opierając się na oskarżeniach Międzynarodowego trybunału Karnego, najbardziej poszukiwanym człowiekiem na świecie. Temu rebeliantowi z północnej Ugandy postawiono zarzuty zbrodni wojennych, jak i zbrodni przeciw ludzkości. Był oskarżony między innymi o morderstwa, gwałty, zniewolenia, podżeganie do gwałtu, podżeganie do zniewolenia, wcielanie dzieci siłą do armii i okrutne traktowanie ludności cywilnej podczas operacji zbrojnych. (...) Kony był niewykształconym żarliwym katolikiem, który twierdził, że przemawia przez niego niezadowolony Bóg, zdenerwowany wszechobecną korupcją i przemocą.* K. Cook, *Skradzione Anioły*, Kraków 2010, str. 13.

domowej małe państewko między Sudanem a Tanzanią, leżące nad majestatycznym i wielkim Jeziorem Wiktorii, na drugim brzegu którego niemal rozciągają się już błogie i śnieżne pasma Kilimandżaro, staje się w oczach czytelnika mroczną krainą kaźni. Jagielski nie czaruje. Nie owija w białą bawełnę. Twardy, faktograficzny opis zmusza do refleksji i, w odróżnieniu do wielu podobnych przywoływanych tutaj publikacji, nie zachęca do podróży w tamte rejony świata. Bezlitosna rzeczywistość obdziera za złudzeń. Zamiast czarnych czcionek można widzieć litery pisane krwią. Książka w swoim charakterze i tematyce w wielu miejscach koresponduje także z publikacją wspomnianej już powyżej Brytyjki Kathy Cook, która w „Skradzionych Aniołach” podejmuje poruszony przez Jagielskiego temat w kontekście głośnego na cały świat uprowadzeń uczennic z Aboke.<sup>448</sup> Porwanie dziewczyn rozpoczyna jej wstrząsającą literacką opowieść. Ze względu także na zasięg terytorialny działań podejmowanych przez Bożą Armię, fragmentarycznie treści z książki Cook uzupełniają wiele opisów i spostrzeżeń zarówno z sudańskiej opowieści Piskały, jak i z fabuły Jagielskiego. W tym konkretnym sensie kontekstualność literatury podróżniczej splata się wieloma wątkami w jeden obraz całego regionu.

„Pośród uprowadzonych były też dwadzieścia trzy uczennice z Aboke. Siedem dziewcząt zdobyło się na odwagę i wykorzystując odpowiednią okazję, uciekły przed przekroczeniem granicy z Sudanem. Niektórym udało się to podczas zamieszania, które wywołał atak ugandyjskiego wojska w okolicach Gulu, innym podczas przekraczania dróg. Uciekały razem lub w pojedynkę, na szczęście każdej udało się dotrzeć bezpiecznie do domu. Pozostałe uczennice uznały, że uciekinierki nie żyją. [...] Rebelianci już się nie bali przekraczać dróg i przechodzili przez sudańskie posterunki bez żadnego problemu. Inni żołnierze napotkani na drodze machali do nich. W oddali Grace Grall zauważyła mnóstwo glinianych chatek i zrozumiała, że dotarli do celu. Kiedy podeszli bliżej, setki młodych rebeliantów, w większości w ich wieku, wybiegło im na spotkanie i klaskało radośnie, witając nowych rekrutów. Jaka była ta obca sudańska ziemia, na którą wkroczyli?”<sup>449</sup>

Dygresja. W całej rozciągłości przytaczanych tutaj publikacji, niejako na marginesie niniejszej dysertacji, pojawia się zagadnienie, które na swój sposób nie do końca bezpośrednio dotyczy sztuki podróży połączonej z talentem literackiego opisu, jednak dotyka w swojej istocie prymarnej wręcz, kryminalnej zasady *modus operandi*. Co dzieje się takiego,

---

<sup>448</sup> Swoją drogą, Jagielski spotyka się z inną dziennikarką, która także opisuje tamto wydarzenie: *W Lirze mieszkała też pewna belgijska dziennikarka, którą kiedyś poznałem w Kampali. W Nairobi i Kampali pracowała jako afrykańska korespondentka belgijskich i holenderskich gazet, rozgłośni radiowych i stacji telewizyjnych. Zarzuciła dziennikarstwo po napisaniu książki „Dziewczęta z Aboke”, o porwaniu i tulaczkę uczennic wziętych do niewoli przez partyzantów z Bożej Armii.* W. Jagielski, *Nocni wędrowcy*, Warszawa 2009, str. 109.

<sup>449</sup> K. Cook, *Skradzione Anioły*, Kraków 2010, str. 61.



że dziennikarz-reporter-podróżnik pchany jest na końcu świata, aż po sam kres horyzontu? Jaka siła wygania ich z domu i gna w tak odległe rejony, gdzieś hen pod widnokregi? Czego skutkiem jest podróż – a w dalszej konsekwencji, literatura, którą tworzą? Co sprawia, jaka etyka i jaki etos, że tułacze porzucają ciepłe domowe pielesze, by ruszyć w świat dla kilku skrawków zapisanego papieru i marnych paru groszy za publikację? Czy jest owym tym tylko i wyłącznie praca zawodowa z profesjonalnym spełnieniem obowiązku? Gdzie się znajduje, a jeśli się znajduje, to gdzie przebiega, granica między widzeniem zimnymi dziennikarskimi oczyma, a oglądaniem świata przez soczewki człowieczeństwa? Kiedy kończy się zawód i relacja, a zaczyna człowiek i uczucia? I w końcu: czy można to wszystko oddzielić i jaką cenę płacą podróżnicy? Trafnie zwraca na to uwagę Jagielski: *W starym sporze o naturę dziennikarskiego fachu jedna szkoła głosi, że naszą rolą jest świat opisywać, inna – że dziennikarz może, a nawet powinien świat zmieniać. Nie wiem, co okazuje się dla dziennikarza boleśniesz: nieadekwatność wszelkiego opisu do rzeczywistości wojennego koszmaru i ogromu nieszczęścia czy też uświadomienie sobie własnej bezradności – niemożności wpływania na losy świata.*<sup>450</sup> Autor „Nocnych Wędrowców” wskazuje tym samym na moralny dylemat, kiedy przychodzi zmierzyć się z rzeczywistością tak inną i tak odległą, że aż nieprawdopodobną. I co wtedy zrobić? Jak się wydaje, literatura podróżnicza nie znajduje na takie pytania jednej, prostej i klarownej odpowiedzi, jednak sama w sobie, opisując fakty, stanowi pole do wielopoglądowych dyskusji.

„Znam kilku kolegów, którzy po zderzeniu z okrucieństwami wojny postanowili porzucić zawód dziennikarza. Pewien Brytyjczyk, po którejś z kolei podróży na ogarnięte wojnami Bałkany, zwolnił się z pracy i wrócił do Sarajewa po to, by adoptować kilkoro wojennych sierot i zabrać je do Londynu. Inny mój znajomy, fotograf z Republiki Południowej Afryki, po powrocie z kolejnej wyprawy do Sudanu odebrał sobie życie. Czeszka Petra, która poświęciła cały swój czas, serce i zdrowie wojnie w kaukaskiej Czeczenii, założyła w Groznych sierociniec i przestała nadsyłać ze zburzonego miasta korespondencje, których nikt nie chciał drukować, czytać ani się nimi przejmować. Z Kaukazu wyjechała do Afganistanu. Nie po to, by pisać artykuły, lecz by założyć dobroczynną organizację i pomagać ofiarom wojen, które wcześniej opisywała. Jeśli rozczaruje się Afganistanem – zapewne wyjedzie. Ale zawsze będzie ją można spotkać w jakimś obozie dla uchodźców w sudańskim Darfurze czy w górach Kurdystanu.”<sup>451</sup>

---

<sup>450</sup> W. Jagielski, *Nocni wędrowcy*, Warszawa 2009, str. 110

<sup>451</sup> Tamże, str. 110.

Podobnych sytuacji, o zbliżonym obserwacyjnym charakterze, jest wiele. Wspomina o tym na różne sposoby niemal każdy podróżnik-korespondent. Rozdroża moralne nie dają spokoju, gdy na progu nowo powstającej publikacji zderzają się dwa inne światy: obserwatora i obserwowanego. W nieco odmiennym i na wskroś ironicznym tonie, jednak z dużym marginesem niedopowiedzenia, zwraca na to uwagę także Wiktor Bater, wieloletni telewizyjny i radiowy korespondent wojenny, pisząc we wstępie do swojej książki „Nikt nie spodziewa się rzezi”: *Lato 2006 roku, Izrael jest ostrzeliwany przez Hezbollah z terytorium Libanu. Rakiety spadają na centrum Hajfy – to cud, że giną tylko dwie osoby. Dziennikarze filmują, co trzeba: krew, góry odłamków i szkła, spanikowany tłum i policjanta z megafonem, który próbuje nad nimi zapanować. Właściciel arabskiej kafejki pokazuje ściany posiekane odłamkami i kulkami łożyskowymi, którymi dla zwiększenia siły rażenia – Inshallah!, „Co komu Allah przeznaczył!” – nafaszerowano pocisk raketowy. Materiał zrobiony, można wrócić do hotelu Dan Panorama, żeby wypić drinka lub popływać w basenie. Nuda.*<sup>452</sup> Czy więc podróż nie odczłowiecza? Czy wyprawa na terytoria ogarnięte konfliktami zbrojnymi nie stawia niemego podróżnika po stronie agresora i oprawcy?<sup>453</sup> Czy fotografia nie jest jak karabin? *Strach to efekt działania rozsądku, który podpowiada: dość! Dość kuszenia losu! Potem, niemal równocześnie, pojawia się nieposłuszeństwo wobec głosu rozsądku. Wynika ono z przekonania, że dziennikarz może umrzeć, ale pozostawi coś – na papierze, taśmie filmowej – dla tych, którzy żyli i kochali. Dla tych, którzy nie chcą zapomnieć. Dla tych, którzy oddali życie lub którym je zabrano. Wreszcie dla tych, którzy chcą wiedzieć: dlaczego?*<sup>454</sup> I dodaje dalej: *Po to jeżdżę we wszystkie te miejsca. Do budzącego grozę Sarajewa i niemal sielankowej na jego tle Hajfy. Może rzeczywiście jestem hieną, ale zawsze jestem też świadkiem zbrodni i próbuję dociec jej przyczyn. Mimo że wojna – każda wojna, niezależnie*

---

<sup>452</sup> W. Bater, *Nikt nie spodziewa się rzezi*, Kraków 2008, str. 9.

<sup>453</sup> Nie można w tym miejscu nie przytoczyć izraelskiego obszernego i plastycznie ukazanego fragmentu, który znajduje źródło w cytowanej już wojennej opowieści Anny Wojtacha: *Wieczorem uczta. Udka kurczaka w ziołach. Pociski Izrael-Gaza. Steki. Pociski Gaza-Izrael. Hamburgery, świeży chleb. Alarm przeciwbombowy. Musztarda, keczup. Chyba trzeba włożyć kamizelki kuloodporne. Ostrzał trwa nieprzerwanie w zasadzie całą dobę. Z czasem się do niego przyzwyczajamy i nie przeszkadza nam, na przykład w spaniu. Gorzej jest z rozmawianiem. Często ktoś z nas zaczyna coś opowiadać i nie może skończyć. Chyba najbardziej cierpi Mariusz, który trzy razy próbuje dojść do puenty kawału. Świst rakiet, dźwięk, jaki wydają samoloty F-16, szum śmigieł bojowych apache'a AH-64 słychać też w naszych relacjach. Kilka razy podczas lajfu milknę na moment, czekając, aż przeleci kolejna maszyna. Po tygodniu w Izraelu jesteśmy kompletnie zobojętniali i nie biegamy do schronów. Kilka domków dalej mieszkają sumienni koreańscy dziennikarze. Mkną do schronu podczas każdego alarmu. W piżamach albo owinięci ręcznikami, bez butów, z książkami w rękach. My siedzimy rozwaleni na plastikowych krzesłkach, twarze wystawiamy do słońca, na grillu robią się steki. Koreańczycy nie mogą tego pojąć i jeden z nich po alarmie przychodzi do nas. Tłumaczy, że kiedy usłyszymy alarm, musimy biec, i to jak najszybciej, żeby się schronić. Paweł patrzy na faceta, przekładając steki na drugą stronę. – Koles, ja nie mam czasu biegać, mięso mi dochodzi. A. Wojtacha, *Kruchy lód*, Warszawa 2012, str. 148.*

<sup>454</sup> W. Bater, *Nikt nie spodziewa się rzezi*, Kraków 2008, str. 11.

*od tego, ile rakiet spadło i ile było ofiar – jest zbrodnią i jak każda zbrodnia nie znosi świadków, więc się ich eliminuje. Tak mogło być w Hajfie, tak było w Sarajewie.*<sup>455</sup>

Filozof niemiecki Karl Jasper mawiał, że obojętność jest łagodniejszą formą nietolerancji, a dla osiemnastowiecznego niemieckiego pisarza Georga Lichtenberga tam, gdzie umiarkowanie było błędem, tam obojętność stawała się zbrodnią. Wielokrotnie, czytając literaturę podróżniczą, można odnieść wrażenie, że autor powinien rzucić wszystko, zostawić na boku własne aspiracje i zamieszkać w opisywanych miejscach z całym swoim bogactwem Białego Człowieka, z wiedzą budowy i gromadzenia, z umiejętnością upraw i przetrwania, z talentem organizacji. Jednak takie założenie w sposób naturalny konfrontuje się z praktyczną i szarą codziennością: zarówno podróżnika-włóczęgi, jak i tubylca-osadnika. Wchodzi także w teoretyczny konflikt poprzez założenia dyskursu postkolonialnego, według którego filozofie człowieka Zachodu nie zawsze i nie koniecznie muszą sprawdzać się na gruncie innych kultur i innych cywilizacji, kiedy implementacja rodzi straty, a nie korzyści. Przywołane powyżej zachowania nie są bynajmniej jednostkowe, a Jagielski trafnie konkluduje: *Bo dziennikarstwo, wieczne podróże i chęć, by zawsze znajdować się w epicentrum wydarzeń, jest także formą poszukiwań. Albo ucieczki.*<sup>456</sup>

Uganda, choć mała między wielkimi sąsiadami, jest także bohaterką dwóch podróży Michała Kruszony, z zawodu muzeologa i historyka kultury. Historia jego wyjazdu, a i w konsekwencji podróżniczej publikacji zatytułowanej po prostu „Uganda”, powodowana była od początku prymarną ciekawością autora, jak i ukrytym przed towarzyszem podróży enigmatycznym przesłaniem: *Nosiłem w sobie jeszcze jeden ważki powód odbycia podróży. Nie mówiłem o nim Robertowi, aby nie zrazić go do moich planów. Uganda stała się przed laty drugą ojczyzną dla tysięcy Polaków. Była miłym i gościnnym miejscem postoju po syberyjskiej tulaczce. „Nigdy nikomu z nas nie stała się w Afryce żadna krzywda z rąk lokalnej ludności, choć obawy o bezpieczeństwo kobiet i dzieci były początkowo ogromne. Byliśmy wszyscy głęboko wzruszeni rozstaniem z Afryką” – wspominała jedna z mieszkanek polskiego osiedla nieopodal Masindi w Ugandzie.*<sup>457</sup> Polska migracja z lat czterdziestych ubiegłego wieku, zrzędzeniem nieprawdopodobnych losów, trafiła do tego afrykańskiego państwa, i oczekiwaniem Kruszony było zobaczyć miejsca ich życia i pochówku. Podróżnicy docierają w końcu do „polskiego” Masindi i stamtąd ślą swoje opisy. Tak się też złożyło, że

<sup>455</sup> W. Bater, *Nikt nie spodziewa się rzezi*, Kraków 2008, str. 11.

<sup>456</sup> W. Jagielski, *Nocni wędrowcy*, Warszawa 2009, str. 111.

<sup>457</sup> M. Kruszona, *Uganda*, Poznań 2011, str. 47.

po pierwszym pobycie autor postanowił odwiedzić Ugandę po raz drugi i razem z przyjacielem, niemal po pół roku, wylądowali na lotnisku, które pozdrawia podróżnych obiecującym napisem: „Witamy w Perle Afryki”. Jednak za drugim razem dochodzi do symptomatycznej sytuacji, która czasem zdarza się, gdy przesył egzotyki ujmuje z podróżniczego napięcia aurę oczekiwania, niepewności i swoistej świeżości z zastanego obrazu. *Podjechaliśmy do znanego nam motelu i wynajęliśmy pokój. Brakowało i emocji towarzyszących przyjazdowi sprzed pół roku. Wszystko wydawało się znane i oczywiste niemal tak, jakbyśmy wrócili do siebie po krótkiej nieobecności. Zналиśmy miejscowe piwo, whisky i afrykańskie powietrze pachnące tysiącem kwiatów, butwiejącymi roślinami i czymś do końca nieokreślonym.*<sup>458</sup> Jednak Kruszona się nie zraża i podróżuje dalej. Jego książka, bogato i kolorowo ilustrowana, staje się dla polskiego czytelnika swojskim wizerunkiem Afryki, a sam autor przywołuje wiele charakterystycznych dla tej części świata anegdot, pisząc m.in.: *Urzędową karą za śmierć pod wpływem alkoholu jest skazanie nieboszczyka na chłostę. Zwłoki bito po śmierci ku przestrodze innych. Wiele to mówi o wierze w życie po śmierci.*<sup>459</sup> Wraz ze swoim współtowarzyszem podróży dociera także na połacie gęstych lasów, gdzie daje o sobie znać ugandyjska fauna. *W strugach deszczu, przedzierając się przez zarośniętą drogę na skraju lasu Budongo, dotarliśmy na miejsce. Jeśli docierają w te okolice jacyś turyści, to wyłącznie po to, by obserwować małpy i ptaki. Wielka ich obfitość żyje w pobliskim lesie. Wśród nich najliczniejsza w Ugandzie, licząca około ośmiuset osobników, populacja szympanów.*<sup>460</sup> Relacja z podróży, jaką przedstawia autor, stanowi dla czytelnika jeszcze jeden, niebagatelny, jak się wydaje, przyczynek do rozmyślań o tej części afrykańskiej rzeczywistości. Bowiem na tle innych publikacji z tego regionu, skrótowo przywoływanych w niniejszej rozprawie, książka Kruszony nie mówi prawie nic zarówno o zbrodniczych działaniach armii Josepha Kony’ego, jak i o exodusie i ucieczce plemion Tutsi z pobliskiej Rwandy. W tym znaczeniu „stara” Uganda nie istnieje i być może celowo autor pomija te wątki, ponieważ ani nie chciał napisać książki historycznej, ani książki o zabarwieniu politycznym czy na wskroś społecznym. Uganda jako „Perła Afryki” jest dla niego wszystkim tym, czym jest teraz i tutaj. Warto więc odnotować, że książki podróżnicze, mimo całego bagażu bardzo podobnych wędrownych doświadczeń autora, nie są pisane według jakiegoś jednego schematu. W niemal każdej z nich czytelnicza uwaga może być zwrócona na inne wydarzenie, które opisane w poprzedniej publikacji i uznane za ważne, w tej jednej może w

<sup>458</sup> M. Kruszona, *Uganda*, Poznań 2011, str. 236.

<sup>459</sup> Tamże, str. 263.

<sup>460</sup> Tamże, str. 282.

ogóle nie wystąpić – pozostawiając tym samym niejako miejsce dla innych, według autorskiego wyboru.

Czarny Kontynent reprezentowany jest także w innych polskich podróżniczych publikacjach, a granicząca z opisywaną przez Jagielskiego Ugandą maleńka Rwanda<sup>461</sup> staje się w tym przypadku obszarem szczególnej historii. Dzieje się tak przede wszystkim z powodu masakry ludobójstwa dokonanej przez lud Hutu na ludzie Tutsi. *Książki, międzynarodowe raporty i Google podpowiadają mi, że ten górzysty kraj w Afryce Centralnej, wielkości jednego polskiego województwa (ktoś nazwał Rwandę państwem kieszonkowym), liczy dziesięć milionów ludzi. Większość z nich mieszka na wsi.*<sup>462</sup> Ale książka Wojciecha Tochmana jest inna. *Dowiedziałem się również, z innego źródła, że trzask rozłupywanej maczety głowy brzmi jak trzask rozłupywanej kapusty.*<sup>463</sup> Makabryczna opowieść wstrząsa i porusza do żywego, będąc obrazem niezapomnienia. Nie można jej z niczym porównać i wymyka się prostej klasyfikacji – w jakimś sensie rodząc także pytanie, czy jest oto książką podróżniczą? A jest – w charakterze zbliżona do przytaczanej już przy okazji wspomnienia o zawodowych profesjach pozycji prof. Ryszarda Vorbricha o kameruńskich Daba, gdzie podróż dla autora staje się tylko pretekstem i pomocą do opisu innych, niż podróżnicze zjawiska. Wędrówka jako narzędzie. Wędrówka jako tło. Wędrówka jako przyimek. Podróżnik opowiada o afrykańskim kraju przez pryzmat wojennej tragedii – a nawet inaczej: to tragedia opowiada o kraju. Naród odbija się w lśniącym metalu maczety. Tym samym wstrząsające opisy nie zapraszają w głąb podrównikowej rzeczywistości. Odstraszą od niej. Jechać wszędzie, tylko nie tam. Poznawać świat, tylko nie Rwandę. Podróżować z uśmiechem, ale nie ze łzami. Omijać ją szerokim łukiem. Nie zawitać. Broń Boże nie pomylić tam drogi. A i Tochman nie pozostawia złudzeń: *Przez sto dni zabijano tu dziesięć tysięcy*

---

<sup>461</sup> Od dłuższego już czasu nakładem warszawskiego wydawnictwa TRIO ukazują się na księgarskim rynku publikacje z kategorii nauk politycznych i historii, a będące bezpośrednim nawiązaniem do charakterystyki poszczególnych odległych i egzotycznych krajów. W przypadku Rwandy dzieje się tak za sprawą Joanny Bar, która kreśli popularnonaukowy obraz Rwandy, opierając swoją publikację o liczne źródła zagraniczne. Książka stanowi więc, jak można przeczytać w notce od redakcji, pierwszy na polskim rynku wydawniczym zarys XX-wiecznej historii Rwandy, której historia wyraźnie wyodrębnia etap okresu kolonialnego, lata I i II Republiki, wojnę domową lat 1990-1994 oraz powojenne lata odbudowy państwa, prowadzonej przez ekipę obecnego prezydenta, Paula Kagame. Prezentowana książkowa monografia jest zarazem próbą naukowej analizy XX-wiecznych przemian Rwandy, w pierwszym zaś rzędzie przebiegu procesów społeczno-politycznych, które doprowadziły u progu lat 60. do zaburzenia stabilnej dotąd konstrukcji państwowej i nieodwracalnych zmian w strukturze społeczeństwa. Najbardziej tragicznym ich skutkiem była trzydziestoletnia wojna domowa, której momentem kulminacyjnym był rok 1994 i próba całkowitej eksterminacji Tutsi, a wydarzenie to w swojej publikacji wyświetla przywoływany wyżej Wojciech Tochman. Por. J. Bar, *Rwanda*, Warszawa 2013.

<sup>462</sup> W. Tochman, *Dzisiaj narysujemy śmierć*, Wołowiec 2010, str. 11.

<sup>463</sup> Tamże, str. 12.

ludzi dziennie, czterystu w ciągu godziny, siedmiu w ciągu minuty.<sup>464</sup> Książka podróżnicza, która odstrasza. Nie zachęca do podróży – przynajmniej teraz, choć już dwadzieścia lat po ludobójstwie. Tej książki się nie czyta – ją się przeżywa. – *Ścieli nas wszystkich – usłyszeli wreszcie. – Sąsiedzi. Mamę, tatę, braci też, i siostry. Było nas dziesięcioro. Jeszcze babcię, ciotkę i jej dzieci, wszystkich ośmioro. Leżałem pod nimi chyba tydzień. Bez ruchu, powietrza, wody. Piłem sok, który z nich wypływał.*<sup>465</sup> Na mapie Rwandy prawie nie widać. Reporter jak saper-samobójca: co historia, to wybuch. Ekspłodują wspomnienia, rany i mordy. Wszystko dzieje się nawet nie wczoraj – tylko dziś. Historia na jutro, tak nieprawdopodobnie gorzka i zła, że chciałoby się zatrzymać ten film, skrócić taśmę, zmienić fabułę albo wyjść z kina.

W podobnym tonie utrzymane są inne publikacje dotyczące przeraźliwego afrykańskiego ludobójstwa. Pytania o przyczyny są pytaniami o odwrócony kolonializm.<sup>466</sup> Literatura podróżnicza staje się swoistą literaturą egzystencjalną: wprost z dziedzin hermeneutycznych i fenomenologicznych. Przywołuje w swoich obrazach i „Dżumę” Alberta Camusa, i „Jądro ciemności” Josepha Conrada. Mały afrykański kraj robi się wyrzutem sumienia. Czytelnik nie znajduje odpowiedzi. Pomagać, czy nie pomagać? Przepraszać, czy prosić? Dawać, czy sprzedawać?

„Rola białego w Afryce polega na udzielaniu pomocy i wykorzystywaniu. Sprzedaje samochody z przyciemnianymi szybami, wznosi piętrowe budynki, których my nie odważylibyśmy sobie nawet wyobrazić, zaprasza nas na swoje uniwersytety, wydaje miliony dolarów, by zapobiec AIDS, nawadnia całe kilometry plantacji. Nie wiem, czy jest przyjacielem, czy wrogiem czarnych. Jest zasadniczy, dobrze zorganizowany, a w duchu bardzo chytry. Afrykanin zakopuje ziarno w ziemi i cieszy się tym, co wyrośnie. Białe kopie pod ziarnem, wydobywa diament czy fosfaty i zaraz podsuwa kontrakt.”<sup>467</sup>

Ruandyjskie ludobójstwo płynie krwią przywołując najczarniejsze karty ludzkości. Droga przesiewa znaczenia, a Jean Hatzfeld w „Sezonie maczet” konkluduje: *Powiedzmy jedno: tę cechę należy podkreślać właśnie dziś, gdy słowo „ludobójstwo” jest coraz bardziej*

---

<sup>464</sup> W. Tochman, *Dzisiaj narysujemy śmierć*, Wołowiec 2010, str. 14.

<sup>465</sup> Tamże, str. 24.

<sup>466</sup> Termin wprowadzony na potrzeby niniejszego opracowania (proponowany także przy okazji innych, podobnych rozważań), który jawi się jako przeciwieństwo kolonializmu, jednak w tym znaczeniu, gdy kolonializm, najogólniej rzecz ujmując, będzie robieniem czegoś wobec kogoś (wobec i wbrew woli kogoś), a kolonializm odwrócony staje się w tym wypadku nierobieniem niczego, milczeniem w obliczu napaści na słabszego.

<sup>467</sup> Wypowiedź Innocentego Rwililiza, obszernie przywołana przez Jeana Hatzfelda w toku jego rozmowy o roli cywilizacji Zachodu na kontynencie afrykańskim. I. Rwililiz. W: J. Hatzfeld, *Strategia antylop*, Wołowiec 2009, str. 155.

rozmywane, używane w sposób błędny przez polityków, dziennikarzy, dyplomatów, kiedy mówią o masowych czy okrutnych rzeziach.<sup>468</sup> Książki o Ruandzie to bodaj najczarniejsze z książek. Jeżeli literatura podróżnicza miałaby gdzieś mieć swój kres, to byłby nim szlak po Ruandzie – w samym sercu Afryki. Tutaj nie ma radości z podróżowania – co najwyżej jest radość z odkrywanej prawdy. Niewiele jest takich publikacji – może też dlatego, że na szczęście nie wiele na świecie jest takich konfliktów, ale tym bardziej, gdy się zdarzają, ich rozbrłyk widać wyraźnie na horyzoncie sielskiej codzienności innych krajów. Książka Tochmana, jak i obie wspomniane tutaj pozycje Hatzfelda, są na wskroś podróżnicze, gdy słowo „podróż” zmienia znaczenie i nie mówi już tylko o podróży fizycznej, a bardziej przeistacza się w podróż egzystencjalną, na granice hermeneutyki i fenomenologii. Podróż do wnętrza człowieka. Do środka nie świata, a siebie.

Taką podróż odbywa także Cyprian Kosiński, Polak od lat na stałe mieszkający we Francji, jednak z powodów zawodowych bardzo długo przebywający na Czarnym Łądzie. Przedsiębiorca, budowniczy, inżynier. Związany ze światem korporacji i wielkich gospodarczych przedsięwzięć. Bez dwóch zdań – patriota. Po latach zawiera ogrom swoich przemyśleń i przygód w barwnej opowieści, którą wydaje pod przekornym tytułem „Afrykańskiego poloneza”. W odróżnieniu jednak do powyższych trzech publikacji, autor trafia do pobliskiego Zairu, który w późniejszym okresie, po wojnie domowej 1996-1997 zmienia nazwę na Demokratyczną Republikę Konga, a granicząc z Rwandą i Ugandą staje się miejscem bezpośrednich licznych migracji wojennej ludności. Książka Kosińskiego, bogato ilustrowana i pełna osobistych historii, stanowi dobry przykład przeplatania się ludzkich losów z biegiem międzynarodowej historii, bowiem autor ukazuje swoje prywatne perypetie na tle przemian politycznych i gospodarczych. W jakimś także sensie dokonuje rozrachunku ze swoją własną historią, a „Polonez” jest dla takich przemyśleń i podsumowań bardzo dobrym, jak się wydaje, miejscem. *I tak oto znów powróciłem do Afryki. Powróciłem, by ją opisać i zatrzymać jej obraz na zawsze. Zapragnąłem też pokazać ją inaczej, inną, ale prawdziwą, widzianą nie oczami podróżnika czy reportera, ale kogoś, kto tam żył, codziennie dotykał tamtejszej rzeczywistości, pracował z tubylcami, kierował nimi, obserwował ich radości i dramaty i nie był im obojętny, a także przeżywał rozterki Polaka oddalonego od najbliższej rodziny o tysiące kilometrów i kilka stref klimatycznych.*<sup>469</sup> Podróżniczy czytelnik nie tyle więc znajdzie tutaj wędrownie wskazówki, a bardziej ma okazję przyjrzeć się, jak z

<sup>468</sup> J. Hatzfeld, *Sezon maczet*, Wołowiec 2012, str. 107.

<sup>469</sup> C. Kosiński, *Afrykański polonez*, Warszawa 2012, str. 8.

punktu widzenia biznesmena i przedsiębiorcy wygląda afrykańska codzienność. Książka Kosińskiego to bowiem pamiętnik, księga rodzinna, niemal saga: z perypetiami, z uczuciowymi rozdrożami, z akcentami miłości, sukcesów i porażek. Dopiero długo, długo później otwiera się w niej okno na Afrykę jako kontynent. *Nie ma konkurencji dla królewskiego prestiżu. Jeden z członków plemienia przechwalał się kiedyś, że lepiej zna obyczaje Bakuba niż król. Karą za przestępstwo jest nakaz samobójstwa przez otrucie się; człowiek ów uczynił to niezwłocznie, przepraszając i prosząc o przebaczenie całe plemię (nie króla).*<sup>470</sup> Autor opisuje także liczne powiązania ze światem polskiej polityki, wskazując już na początku lat dziewięćdziesiątych na konieczność zbudowania korzystnych relacji z afrykańskimi krajami, a sam bardzo często stanowił w takich bilateralnych rozmowach pomost.

Na marginesie tematyki związanej z Demokratyczną Republiką Konga wartą w tym miejscu przytoczenia jest także drobna broszurowa publikacja Piotra Kucharskiego w ramach wydawniczej serii Bitwy-Kampanie-Wojny, a zatytułowana „Zair 1996-1997”. Autor kreśli w niej w miarę szczegółowy opis działań wojennych, w wyniku których jeden dyktator zastępuje drugiego, a za fasadą demokratycznych zmian stoją wciąż te same mechanizmy działania. *Mobutu rządził Zairem przez 32 lata. Jak się szybko okazało obalenie długoletniego dyktatora nie rozwiązało problemów Zairu, ani nie umożliwiło ich rozwiązania. W miarę pokojowe zajęcie Kinszasy oddaliło jedynie groźbę etnicznych rzezi, które mogły objąć cały region afrykańskich Wielkich Jezior. System polityczny w Zairze pozostał właściwie taki sam, natomiast zmieniło się jedynie nazwisko dyktatora i jego protektor.*<sup>471</sup> Dla osoby podróżującej po obszarze Konga książka Kucharskiego może stanowić ciekawe i interesujące źródło w topografii toczących się walk, a załączone mapki – ze względu na brak cywilnych kartografii – bez przeszkód posłużą za drogowe wskazania. Autor, pisząc o kulisach działań wojennych, wskazuje także na ogromne i niebagatelne znaczenie, jakie na tym obszarze mieli i mają europejscy i amerykańscy politycy, co niejednokrotnie obnaża pruderię i zakłamanie Zachodu, szczególnie Francji, Wielkiej Brytanii i Belgii: dostarczają broń, chronią zbrodniarzy i nie pomagają zwykłej ludności. Nie bez znaczenia jest także pytanie: co oni tam właściwie robią i w imię czego? Również liczni najemnicy w tych etnicznych konfliktach zdają się odgrywać niepoślednią rolę, co również Kucharski zauważa. *W tym czasie pojawiły się także pogłoski (potwierdzone pod koniec lutego przez komisarza Unii Europejskiej ds.*

<sup>470</sup> C. Kosiński, *Afrykański polonez*, Warszawa 2012, str. 190.

<sup>471</sup> P. Kucharski, *Zair 1996-1997*, Warszawa 2002, str. 50.



*Humanitarnych), że do Zairu przybyła grupa najemników z krajów europejskich oraz Angoli, Mozambiku i RPA, wśród których większość stanowili Serbowie, Ukraińcy, Belgowie, Francuzi i Chorwaci. Na ich czele stał prawdopodobnie jeden z serbskich wojskowych zwany pułkownikiem Dominikiem Yugo. Oddział ten, nazwany Białym Legionem i liczący około 300 najemników, wraz z 2 tys. angolskich partyzantów z UNITA został rozmieszczony w promieniu 30 km wokół Kisangani, którego mieli bronić.<sup>472</sup>*

Niestety – wielka Afryka konfliktów zna za dużo. I niestety można też odnieść wrażenie, że to wojny rodzą książki.<sup>473</sup> Powstaje tym samym swoista wojenna literatura podróżnicza i na przywołanych powyżej przykładach bynajmniej się nie kończy. A w całym militarnym rozgardiaszu miejsce wszystkich międzynarodowych reporterów, dziennikarzy i fotooperatorów jest nietuzinkowe<sup>474</sup> – a dziś, bardzo często, ich krótkie relacje z linii frontu znajdują potem, po wszystkim, miejsce na kartach zwięzłej i jednorazowej publikacji książkowej. – No bo dlaczego by tego nie wydać? – pada pewnie retoryczne pytanie od wydawców. Plonem takiej oto sytuacji stanie się w tym miejscu przywołanie publikacji Andrzeja Mellera z ogarniętej wojną domową Libii. *Podróż na front: nie tyle do miejsca, ile w czas. Bo bilans tej wojny jest koszmarny. Przez osiem miesięcy działania wojenne przetaczały się przez kraj, niszcząc Libię jak tsunami. Pozostały po niej wszędzie cmentarze z tysiącami nowych mogił, zwykle cementowych, naprędce zalewanych. Brakowało w ciągu tych ośmiu miesięcy często jedzenia, brakowało benzyny, ale nie brakowało cementu.<sup>475</sup>* Autor opisuje afrykański kraj u brzegu Morza Śródziemnego, ogarnięty wojną domową – obalić Kaddafiego. Krąży po miastach i miasteczkach przywołując wiele przykładów barwnej codzienności reporterów wojennych, a przy okazji oddając w ręce czytelnika wierną topografię Libii. *Reporterski warsztat. Rzemiosło: Panuje zupełny chaos. Libijczycy uciekają z Libii. Dziennikarze pchają się w przeciwnym kierunku.<sup>476</sup>* Podróż do piekła. Podróż jako zaświadczenie. Afrykańska Wiosna Ludów. Jednak mając w rękach książkę Mellera nie sposób nie porównać jej do innych publikacji, które w swoim charakterze prezentują zbliżoną formułę budowania narracji, gdy dziennikarz-reporter relacjonuje wprost z pola bitwy. W tym

---

<sup>472</sup> P. Kucharski, *Zair 1996-1997*, Warszawa 2002, str. 33.

<sup>473</sup> Ciekawym w tym miejscu wydaje się konstatacja, na ile bywa odwrotnie, kiedy nie tyle wojny rodzą książki, co książki rodzą wojny – w tym sensie pytając o inspirację. W publikacji „Dyktatorzy” Jarosław Giziński wielokrotnie wskazuje na odczytanie i czerpanie wzorców z różnych gatunków literackich (w tym także z bogatej literatury dotyczącej innych krajów) przez światowych dyktatorów XX wieku. Por. J. Giziński, *Dyktatorzy. Kroniki tyranii i szaleństwa*, Warszawa 2012.

<sup>474</sup> A. Meller, *Zenga zenga*, Warszawa 2012, str. 7.

<sup>475</sup> Tamże, str. 100.

<sup>476</sup> Tamże, str. 84.

znaczeniu można dostrzec różnice w języku wypowiedzi, w warsztacie pozyskiwania informacji oraz w zainteresowaniu poszczególną tematyką – wojna wojnie nie równa.

*Jestem tam wcześniej. Plac zmieniał przez lata swoje nazwy: najpierw Włoski (od kolonialnych wytyczeń), potem przemianowany na Niepodległości (po słusznym wyparciu kolonizatorów), Zielony za Kaddafiego i w końcu Męczenników, gdy miasto zajmują siły opozycji. Chodzę na wszystkie strony. Setki samochodów. Trąbią. Parkują i jeżdżą. Znów trąbią. Zielone palmy sterczą jak na oazie, a lekki od zatoki wiatr kołysze ich ramionami jak podartym malachitowym żaglem. Wielgachny biały namiot czeka na dyktatora: odrapany, popękany, zardzewiały. Stary jak reżim. Gdyby bardziej zawiało, runąłby na wartownika, który śpi w drewnianej i wiekowej budce. Oparł głowę na książce, a tę na lufie karabinu. Ludzie pędzą w stare miasto. Nieduża brama wpuszcza na arabski suk. Złota. Kadzidla. Mirry. Jedwabie tkane na obrzeżach Trypolisu. Po drugiej stronie beztroski park: dzieci skaczą po linach, zakochani siedzą na trawach. Nic nie chce się wydarzyć. Dwa żółwie śpią pod hiacyntami. Na straganach można kupić biblię Kaddafiego: sławną na cały świat zieloną książeczkę. Kupuję i czytam o beduińskim socjalizmie i dżamahirii. O trzeciej drodze, gdy łączy się islam z socjalizmem. Idea, czy utopia? Siadam na jakiejś ławce i patrzę na kobiety. Zwiewnie przykryte lekkimi i kolorowymi chimarami i szajlami. W hidżabach. Libijki, które już za chwilę chwycą u boku swoich mężów za broń i spalą wszystko, co zielone. Puszczą z dymem i ten namiot, i dyktatora. Pod wieczór zapalają się jupitery jak na piłkarskim stadionie. Setki białych luksów. Plac pustoszeje od samochodów i zaludnia odpoczynkiem. Starsze dzieci kopią piłkę, czasem jakaś drobna stłuczka. Kaleka zamiata. Kiedyś wódz kazał w stolicy wybić wszystkie wielbłądy – były ponoć za mało stołeczne. Na przeciwległej pierzei stare białe domy włoskich matron. Swego czasu Berlusconi przekazał za ich spuściznę pięć miliardów dolarów. Patrzę na port: bandery zewsząd. Kaddafi musi być dumny. Zerka na to wszystko z wielkich billboardów, jak Chomeini z Chameneim w Teheranie. Ale kogo zapytam o dyktatora, każdy albo kładzie palec na ustach, albo przeciąga po szyi. Nie pytam. I tak jestem na smyczy dwóch agentów, którzy jak cień idą za mną w każdą dziurę. Po kilku dniach zaczynamy ze sobą rozmawiać. Zapraszamy się na posiłki. Proszą, bym im nocą nie uciekał, bo mają rodziny. Pewnego ranka spotykam Polaków. Pytają o wódkę. Co tu robisz? Budują wielkie systemy irygacyjne w głąb Sahary: na zlecenie włoskiego rządu. – Berlusconi odbiera swoje miliardy – myślę. Kiedyś Kaddafi kazał zamknąć wszystkie przydrożne kawiarnie i bary: uznał je za gniazdo lenistwa. Mordował na potęgę. W ciągu trzech godzin stracił 1200 libijskich więźniów politycznych. Sam nie wiem, co ciągnie mnie do takich krajów. Domagam się embarga i światowej izolacji, a następnego dnia kupuję wizę, jego ropę i gaz.*

Na zagadnienie to zwraca uwagę wielu komentatorów, gdy realia XXI wieku nie pozwalają już na takie prozatorskie relacjonowanie, które wyprzedziłoby w swoim przekazie transmisje radiowe i telewizyjne. W zasadzie jest to niemożliwe, więc reporterskie sprawozdanie o formie publikacji książkowej wydaje się mieć tylko i wyłącznie znaczenie dziś bardziej archiwalne i sentymentalne niż informacyjne. Zatem kluczowe będzie także postawienie pytania o przyszłość takich publikacji.

„Praca reportera nie jest skazana na przeminięcie, jeśli już, skazana jest na specjalizację. W epoce internetu stała się bardziej złożona, ponieważ nie istnieją już uprzywilejowane pozycje. Nie wystarczy nawet indywidualna odwaga, gotowość mierzenia się z osobistymi zagrożeniami, zapal i determinacja, aby dotrzeć na miejsce wydarzeń przed konkurencją; zawsze będzie jakiś niedziennikarz, który znajdzie się tam przypadkiem i cię uprzedzi. Nie wystarczy powiedzieć „ja tam byłem i opowiem wam, co widziałem”, ponieważ bezpośrednio świadectwo stało się powszechnie dostępnym i tanim surowcem. Dotarcie do publiczności jest uproszczone, tradycyjne bariery broniące wejścia do biznesu informacyjnego rozpadają się, internetowe strony gazet zamieszczają obok siebie blogi reporterów i czytelników, przy jednoczesnym wymieszaniu hierarchii. Każde stwierdzenie, jakie reporter publikuje na temat dalekich i egzotycznych krajów, może być natychmiast zweryfikowane przez jego odbiorców za pomocą tak potężnych i szybkich narzędzi, jak Wikipedia i Google.”<sup>477</sup>

Publikacja Mellera jest dotarciem w rejon najgorętszych walk. To nietypowa książka podróżnicza, a bardziej wędrówka za wydarzeniem. Wojna kieruje losem korespondenta. Podróżnik w kamizelce kuloodpornej. Wędrowiec bardziej w hełmie, niż z kompasem. Raczej przygarbiony i skulony, niż wyprostowany i z sokolim okiem na otaczające go dumnie pejzaże. Podróżnik-dziennikarz-reporter-reporter wojenny. Gdy Amerykanie swego czasu wkraczali do Bagdadu, anglosaskie stacje telewizyjne transmitowały te wydarzenia na żywo: dziennikarze szli w pierwszej linii ognia, tuż za czołgiem. Najwęższa ze specjalizacji. Publikacja niemal przed czasem. Jednak przytoczone powyżej wskazanie Rampiniego, że nie wystarczy powiedzieć „ja tam byłem i opowiem wam, co widziałem”<sup>478</sup> na swój sposób dekonstruuje rolę takich przekazów. To za mało. Czytelnik zaczyna wymagać więcej. *Jeśli chodzi o jakość narracji, nie może ona ucierpieć z powodu faktu, że na rynku informacji pojawia się tak wiele nowych postaci. Im większa konkurencja, tym twardsza selekcja. Ci sami młodzi ludzie, którzy tłoczą się na MySpace ze swoimi pamiętnikami spisany*

---

<sup>477</sup> F. Rampini. W: O. Fallaci, *Wywiad z historią*, Warszawa 2012, str. 10.

<sup>478</sup> Tamże.

*nastoletnią składnią, idą do księgarni szukać książek Oriany Fallaci.*<sup>479</sup> Nie wystarcza najprostsza relacja – choćby z końca świata. To za mało. Chcemy więcej – ale nie przez ilość, tylko przez jakość. W jakimś sensie odsłania to część prawdy o literaturze podróżniczej, która stoi dziś na podobnym rozdrożu: jak pisać? o czym pisać? kiedy pisać? gdzie pisać? dla kogo pisać? Jak publikować, by nie zginąć na kolorowych półkach popularnych magazynów księgarskich? Sama obecność, jak się wydaje, nie wystarcza.

Niejako przy okazji libijskiej publikacji Andrzeja Mellera, przy automatycznym w tych okolicznościach zwróceniu uwagi na dyktatorską postać Muammara Kaddafiego, oraz w świetle cytowanego fragmentu ze wstępu do książki Oriany Fallaci, warto w kilku słowach zatrzymać się przy postaci wspomnianej powyżej włoskiej reporterki. W swoich „Wywiadach z historią”, które przeprowadza zaledwie w ciągu siedmiu lat z bodaj największymi osobistościami ówczesnego globalnego establishmentu, w sposób jednoznaczny zabiera czytelnika w podróż po świecie, gdzie na tym przykładzie pojęcie literatury podróżniczej zmienia i rozszerza swoje znaczenie. Rozmowy z wpływowymi politykami pokazują rzeczywistość wokół nich, okoliczności, w jakich przychodzi im rządzić, walczyć i zawierać pokojowe i wojenne pakt. Kissinger. Arafat, Gandhi, Bhutto, Andreotti, Bramdt – to tylko kilka nazwisk, do których dodać można jeszcze parę innych: Syllasje, Reza Pahlawi, Soares czy Makarios. Fallaci nie zna kompromisów. *Jest w niej zuchwałe odrzucenie neutralności.*<sup>480</sup> Pyta o wszystko, a w krótkich wstępach do wywiadów ukazuje tło polityczno-społeczne, w którym już za chwilę osadza jak w turmie głównego bohatera. Nic nie jest anonimowe. Swada jak szpada. Zbiór wywiadów nie jest ani przewodnikiem, ani mapą – jest jednak wszystkim tym dla każdego świadomego podróżnika, dla którego odwiedzany region i kraj nie jest tylko zlepkiem przyrodniczych krajobrazów i przypadkowo spotkanych ludzi. Rozmowa z władcą staje się kluczem do poddanych. Włoszka draży jak droga na bezkresach Sahary. *Strapiony dochodzisz do wniosku, że takiego a nie innego przełomu dokonuje niewielu, że taką a nie inną drogę każe nam obrać niewielu, niewielu tworzy idee, dokonuje odkryć, rewolucji, wywołuje wojny, zabija tyranów. Jeszcze bardziej strapiony zastanawiasz się, jacy oni są: inteligentniejsi od nas, silniejsi, bardziej światli, bardziej od nas przedsiębiorczy? A może to ludzie tacy jak my, ani od nas lepsi, ani gorsi, zwyczajni, niezasługujący na naszą złość, na nasz podziw, na naszą zazdrość?*<sup>481</sup> Świat oczyma okoliczności, przez pryzmat sprawcy i

---

<sup>479</sup> F. Rampini. W: O. Fallaci, *Wywiad z historią*, Warszawa 2012, str. 11.

<sup>480</sup> Tamże, str. 9.

<sup>481</sup> O. Fallaci, *Wywiad z historią*, Warszawa 2012, str. 16.

kreatora. Podróżnicza publikacja, które nie pyta wprost: gdzie? jak? dlaczego? ile? Jednak w sposób jednoznaczny mówi o unikatowym charakterze odwiedzanych miejsc, wskazując na różnice kulturowe, religijne i polityczne.

Fragment wywiadu z Hajle Syllasje, ówczesnym cesarzem Etiopii:

„Trzeba dobrze wszystko rozpatrzyć. Odkryje się wtedy, że kara śmierci jest właściwa i konieczna. Na przykład dla nieposłusznych. Dlaczego? Dlatego że jest w interesie narodu. Znieśliśmy wiele rzeczy. Znieśliśmy niewolnictwo. Ale kary śmierci nie; nie możemy jej znieść. To byłoby tak, jakbyśmy zrezygnowali z ukarania kogoś, kto ośmiela się podważać autorytet władzy. Tak My sądzymy i tak musi być.”<sup>482</sup>

Fragment wywiadu z Mohammedem Rezą Pahlawim, ówczesnym szachem Iranu:

„Proszę wziąć pestkę jabłka i zasiać je w Teheranie, a potem wziąć inną pestkę tego samego jabłka i zasiać ją w Rzymie: drzewo, które wyrośnie w Teheranie nie będzie takie samo jak drzewo, które wyrośnie w Rzymie. Rozstrzeliwanie niektórych ludzi jest tutaj słuszne i konieczne. Okazywanie litości jest tutaj czymś absurdalnym.”<sup>483</sup>

Oba przytoczone powyżej za Fallaci przykłady pokazują tło kulturowe, tak inne i odmienne od europejskiego – ale także przywołują świat, w którym różnice w rozumieniu fundamentalnych paradygmatów każą wnikliwemu i cierpliwemu podróżnikowi spodziewać się rzeczywistości diametralnie odmiennej od jemu właściwej.<sup>484</sup> Podważone zostaje tym samym samo stwierdzenie o „fundamentalnych paradygmatach”: czy istnieją, a jeśli tak, to

---

<sup>482</sup> O. Fallaci, *Wywiad z historią*, Warszawa 2012, str. 414.

<sup>483</sup> Tamże, str. 443.

<sup>484</sup> Po zamachach z 11 września Oriana Fallaci publikuje trzy fundamentalne dla niej książki, które, w świetle jej ciężkiej, nieuleczalnej i w konsekwencji śmiertelnej choroby, wydają się być życiową sumą autorki. Są to w kolejności polskiego wydania: „Wściekłość i duma”, „Siła rozumu” oraz „Wywiad z samą sobą. Apokalipsa”. W każdej z tych pozycji Włoszka na swój sposób rozprawia się z islamem, wskazując na ogrom zagrożeń, jaki spada na Europę i ludzi Zachodu ze strony nieobojętnego świata muzułmańskiego. Nie można nie odnieść wrażenia, że czytelnik ma tutaj do czynienia z tzw. pośrednią literaturą podróżniczą, która stanowi kapitalne tło i uzupełnienie do tzw. bezpośredniej literatury podróżniczej. W niniejszej dysertacji rozgraniczenia tego używam jednak po raz pierwszy. Wziąwszy to po uwagę można wyciągnąć wniosek odnośnie do istnienia takiej właśnie kategoryzacji, gdzie literaturę podróżniczą podzielił się na pośrednią i bezpośrednią – w ujęciu z powodu na charakter opisu. Czym innym będzie „Szachinszach” Ryszarda Kapuścińskiego, „Czwarty pożar w Teheranie” Marka Kęskrawca czy też tylko w części traktująca o Iranie książka Roberta Maciąga „Tysiąc szklanek herbaty”, a całkiem czymś innym na ich tle ukażą się przywołane właśnie powyżej trzy publikacje Oriany Fallaci. Na swój sposób „Wywiady z historią” także będą pośrednią literaturą podróżniczą. W podobnym tonie można byłoby utrzymać propozycję powyższego podziału, gdy omówieniu podda się w szerszym kontekście literaturę podróżniczą tworzoną w oparciu o fikcję i prawdę literacką, gdzie fikcją będzie beletrystyka podróżnicza („W pustyni i w puszczy” Henryka Sienkiewicza, czy też „Afrykanka” Artura Baniewicza, a prawdą (dla przekory tytułu) np. „W pustyni bez puszczy” Andrzeja Korybuta Daszkiewicza. W tym znaczeniu mamy do czynienia z wyraźnym więc podziałem na tzw. miękką beletrystykę podróżniczą tworzoną w oparciu o talent i fantazję pisarza (obserwacja nieuczestnicząca), oraz na tzw. twardą literaturę podróżniczą będącą skutkiem organoleptycznych doświadczeń pisarza (obserwacja uczestnicząca).

czym i jakimi są dla kogo? Jakie mają znaczenie? Według jakich norm i porządków postępują dane narody, kraje i obszary kulturowe na całym globie? *Ja bym Irakijczykom pozwoliła nurzać się w ich własnym bagnie. Ponieważ wolność i demokracja to nie dwie kostki czekolady do sprezentowania komuś, kto czekolady nie zna i znać nie chce, kto jej nie jada i jadać nie chce* – konkluduje Fallaci, i dodaje: *Wolności i demokracji, moi drodzy, trzeba pragnąć. A żeby pragnąć, trzeba wiedzieć, czym są, zrozumieć ich założenia. W dziewięćdziesięciu pięciu procentach muzułmanie odrzucają wolność i demokrację nie tylko dlatego, że nie wiedzą, o co w nich chodzi, ale dlatego, że, gdy im to wyjaśnisz, nie pojmują. To pojęcia zbyt odmienne od tych, na których opiera się teokratyczny totalitaryzm. Zbyt obce tkance ideologicznej Islamu. W tej tkance ideologicznej to Bóg rządzi, nie ludzie. To Bóg decyduje o przeznaczeniu ludzi, nie sami ludzie.*<sup>485</sup> Literatura podróżnicza skłania do głębszych refleksji i nie pozostawia czytelnika samemu sobie. Dlaczego więc ją lubimy i dlaczego ją czytamy? Może właśnie dlatego, że bezpretensjonalnie zmusza do myślenia, do wędrówek po nie tylko innych i różnych obszarach geograficznych, ale także po całkiem odmiennych niż własne, systemach filozoficznych, religijnych i społecznych. Koloryt przemysłów, z jakimi przychodzi się zmierzyć jest jak ukształtowanie powierzchni: wędrówka intelektualna po meandrach niejednoznacznego świata.

W całej zawilości afrykańskiej tematyki oraz w ślad za podróżniczymi wędrówkami, karty literackich opowieści prowadzą wciąż dalej i dalej. Egzotyka podróży jest jak magnes. Niebezpieczeństwo jak narkotyk. A droga jak nałóg. Wystarczy tylko chwilę pobyc na każdym europejskim lotnisku i spojrzeć na nazwy miast z elektronicznych wyświetlaczy – widać same końce świata. Porty migają jak latarnie. Tysiące podniebnych mil niemal na wyciągnięcie ręki. Nie ma chyba bardziej romantycznego miejsca w podróży, jak ławka pod *timetable* – tablicą odlotów i przylotów.

Jednak, nim wszelkiej maści aeroplany wzniosły w niebo miliony podróżnych, człowiecza wędrówka skazana była na prostsze formy transportu. A nawet jeśli i dziś można z samolotu skorzystać, wielu wynajduje sto powodów na to, by podniebnej eskapady uniknąć.<sup>486</sup> Ferdynand Ossendowski w roku 1925 nie miał jednak takiej możliwości wyboru i

---

<sup>485</sup> O. Fallaci, *Siła Rozumu*, Warszawa 2004, str. 68.

<sup>486</sup> W sobie charakterystyczny ironiczny sposób na rozterkę tę wskazuje Paul Theroux, pisząc: *Nie lubię latać, a ilekroć to robię – cierpiąc z powodu ogłuszającego buczenia i chłodnej duszności – zawsze podejrzewam, że kraina, nad którą przelatujemy, jest bogata, cudowna, ale wszystko to mi umyka. Podróż lotnicza jest bardzo prosta, irytująca i zawsze wzbudza niepokój. Przypomina wizytę u dentysty; nawet fotele są podobne. Podróż lądowa odbywa się wolniej, wiąże się z nią znacznie więcej kłopotów, jest jednak niewygodna w sposób*

skazany był na tradycyjny rodzaj wędrówki: najpierw statkiem do Tunezji, a potem pieszo i karawanami przez pustynię do Algierii. *Z Biskry odbyłem podróż na południe, w głąb Sahary. Natychmiast za oazami, przylegającymi do Biskry, rozpoczyna się kamienista pustynia, martwa i monotonna. Jest to państwo śmierci. Z żyjących istot spotkać tu można tylko skorpioną, skolopendrę i jadowitą wiperę. Nawet ptaki tu nie dolatują, chyba tylko jastrzębie i orły, gdy ujrzą trupa wielbłąda lub muła.*<sup>487</sup> Reprint jego podróżniczych podbojów ukazał się niedawno, wzbudzając żywe zainteresowanie czytelników, a sama postać podróżnika, choć nie znana szerszemu gronu odbiorców, zaczyna zyskiwać coraz to większe uznanie. Warto w tym miejscu nadmienić, że książki autora do 1989 roku były objęte przez peerelowską cenzurę zakazem wydawniczym, stąd ukazujące się od niedawna reprints i wznowienia stanowią na polu literatury podróżniczej niebagatelną wręcz rolę, a osoba podróżnika i pisarza – owiana mrocznymi legendami (wystarczy wspomnieć, że zaraz po jego śmierci spalono ze względów bezpieczeństwa doszczętnie i skrupulatnie całe jego archiwum, a gdy Armia Czerwona wkroczyła do Polski, komuniści dokonali nawet ekshumacji jego grobu ze względu na liczne podejrzenia) – z roku na rok zaczyna zyskiwać na znaczeniu. Dzieje się tak, jak można przypuszczać, z dwóch powodów: gdy pierwszym będą barwne i nieprawdopodobne życiowe przygody samego bohatera, a drugim zasięg i zakres jego publikacji. Na czasy, w których przyszło mu żyć, walczyć i tworzyć, jest to nie lada wyczyn, a nawet dziś trudno o znalezienie następców. Zresztą egzotyczne afrykańskie podróże owocują dwoma niedawnymi wznowieniami: pierwszym, już wspomnianym, „Pod smaganiem samumu” oraz drugim, równie barwnym obrazem, zatytułowanym „Niewolnicy słońca”.

Samum to wiatr. Suchy. Gwałtowny. Gorący. Wieje niemiłosiernie z południa i niesie piach po otwartych saharijskich pustyniach. Przenika na wskroś, a książka Ossendowskiego wieje się wokół jego podmuchów. Wielobarwna opowieść przywołuje mityczne obrazy, a ziarnisty wiatr staje się tłem wydarzeń. *Dwa dni i dwie noce mknął samum nad Saharą, pędząc przed sobą niezliczone szeregi żółtych widm na podbój zielonych, malowniczych oaz, na zniszczenie, na mord. Wreszcie wyczerpany i osłabły legł gdzieś na miękkich falach piasku Wielkiego Ergu, a wtedy opadać zaczęły chmury i kłująca mgła, wyłoniło się z niej niebo i ucichły głosy burzy.*<sup>488</sup> Autor malowniczo opisuje swoje przygody, już w czasach względnego pokoju, a przynajmniej nie za dni walki u boku Kołczaka i Białej Armii. Zresztą Afryka była

---

całkowicie ludzki, a często dodaje otuchy. P. Theroux, *Stary Ekspres Patagoński. Pociągami przez Ameryki*, Wołowiec 2012, str. 12.

<sup>487</sup> A.F. Ossendowski, *Pod smaganiem samumu*, Poznań 2012, str. 95.

<sup>488</sup> Tamże, str. 307.

w tym czasie na wskroś kolonialna i inne od wschodnich cechowały ją problemy. Oko podróżnika jednak się nie gubi i nie błądzi. Opisuje z przedwojenną gracją. *Francuscy autorzy jednogłośnie twierdzą, że Tuareg jest poetą, składa mniej lub bardziej barwne wiersze o przebytej niedawno podróży, o stoczonych walce podczas bandyckiego najazdu na przejeżdżającą karawanę lub o swojej ukochanej.*<sup>489</sup> Dla Ossendowskiego wszystko jest dobrym tematem, a dzisiejsza podróż do Afryki skłania XXI-wiecznego podróżnika do interesującej konfrontacji, tym bardziej, że wjazd na terytorium dzisiejszej Algierii jest ze względów polityczno-wojskowych praktycznie nie możliwy. Jednak Ossendowski nie byłby sobą, gdyby swoją Afrykę zamknął ostatnim zdaniem: *Staliśmy z żoną oparci o balustradę pokładu i ze smutkiem patrzyliśmy na południe, gdzie przed chwilą pogrążyły się w morzu najwyższe szczyty gór... Afryka znikła nam z oczu*<sup>490</sup> – i wkrótce wyrusza znów.

„– Afrykański brzeg... – szeptem powtórzył biały człowiek, wpatrzony w żółte pasmo ziemi, nabierającej coraz bardziej czerwonej barwy. Oczy mu się zwęziły, szczęki zwarły mocniej, aż guzy mięśni poruszać mu się zaczęły koło uszu; nozdrza wciągnęły z rezygnacją czy z rozpaczą gorący dech nieznannej ziemi.”<sup>491</sup>

Ossendowski dociera drogą morską do senegalskiego Dakaru i krok po kroku opisuje swoje przygody. Wiedziony instynktem penetruje więc i Senegal, i Gwineę oraz resztę dawnej Zachodniej Afryki Podzwrotnikowej. Co rusz zapuszcza się dalej i dalej, a brzegi Nigru przemierza na kilka stron. *Nie można było marzyć o śnie! Z trzęsawiska dolatywały do naszego domu coraz to nowe i bardziej liczne zastępy gryzących owadów. Byliśmy zmuszeni do ucieczki, gdyż nawet siatki nas nie broniły. Drobne muszki wślizgiwały się wszędzie i gryzły bez litości i bez wytchnienia.*<sup>492</sup> Toczy więc liczne boje z przyrodą i przeciwnościami losu, a jego opowieści pachną odległą i niecodzienną przeszłością. Opowiada o wierzeniach, o uprawach, o kolonialnych administracjach. Odważnie i z rozmachem przedstawia swoje poglądy, gdy idzie o rozwój afrykańskiego kontynentu, wskazując jednoznacznie, że nie można w czambuł potępiać np. francuskiej pracy w Afryce Zachodniej (nota bene zestawiając ją z amerykańskim eksperymentem w pobliskiej Liberii, który w skutkach jest druzgocący, a jego echo trawa po dzień dzisiejszy w postaci bodaj najbardziej niestabilnej sytuacji politycznej w krajach afrykańskich), i dodaje: *Naturalnie, że kolonizowany kraj spoziera na kolonizatorów okiem nieprzychylnym. Lecz co powiedzieliby ci obrońcy ludów kolorowych,*

<sup>489</sup> A.F. Ossendowski, *Pod smaganiem samumu*, Poznań 2012, str. 125.

<sup>490</sup> Tamże, str. 385.

<sup>491</sup> A.F. Ossendowski, *Niewolnicy słońca*, Poznań 2011, str. 12.

<sup>492</sup> Tamże, str. 229.



gdyby sami znaleźli się w kraju, chociażby swoim własnym, nawiedzonym i dziesiątkowanym przez dżumę lub trąd, bez możliwości i środków walki z tymi epidemiami? Czy nie żądaliby pomocy od innych, bardziej zasobnych i zdolnych do walki narodów? Czyżby nie przeklinali ich w wypadku odmowy tak niezbędnej pomocy?<sup>493</sup> Tym samym Ossendowski snuje na kartach swojej afrykańskiej odysei rozważania, które warto dziś konfrontować z obecną doktryną polityczną i naukową, gdy mówi się o dyskursach postkolonialnych lub neokolonialnych. W tym znaczeniu reprint ten stanowi niebagatelne przywołanie sposobu myślenia ludzi tamtej epoki i pokroju godnego narodowych reprezentacji. Jest także przykładem na swego rodzaju przerwane dzieło, urwane w pół drogi przedsięwzięcie, ponieważ niewiele – jeśli nic – nie zostało z mrzonek podróżnika, gdy optymistycznie przypuszczał o skutkach tendencji obecności Europejczyka w Afryce: *Przez piaszczyste, rozpalone w słońcu obszary Sudanu, przez pękającą w skwarze nużącego dnia ziemię Górnej Wolty biali czarownicy przetną kanały, zmuszą ludzi, by zapomnieli o żółto-brunatnym, zwarzonym na śmierć buszu, zlagodzą nieznośny, zabijający wolę i siły żar słońca; przez pola termitowe wytkną cementowe jezdnie, zarośla dzikich traw zmienią w plantacje arachidów, bawełny lub agawy zwyciężą, stanowiąc ostatnią kropkę w tragicznej księdze męczeńskich losów szczepów leśnych i tych, którzy je wyparli do kniei, walcząc pod godłem hetyckiej bogini Ma<sup>494</sup> i przyniesionych z Egiptu znaków Węża i Ptaka.<sup>495</sup>*

Obie przywołane afrykańskie publikacje Ferdynanda Ossowskiego irytują. Stanowią literaturę podróżniczą z gatunku Sienkiewiczowskiej „W pustyni i w puszczy”, nawiązują do najznamienitszych dzieł polskiej literatury drogi, przygody i nietuzinkowych, odważnych przeżyć. Obie też stanowią intratny z punktu widzenia czytelnika sposób na zrozumienie świata, przedstawiając opinie autora w sposób jasny i klarowny, gdy dzieli się swoją kontrowersyjną, jak na obecne czasy, refleksją.

„Jeżeli jednak nie będziemy patrzyli na kolonizację wyłącznie z punktu widzenia obecnego momentu historycznego, lecz przez pryzmat przyszłych dziejów ludzkości, okaże się, że taki pogląd jest błędny. Pod kątem teraźniejszości dla zdobycia dzikiego, odważnego

<sup>493</sup> A.F. Ossendowski, *Niewolnicy słońca*, Poznań 2011, str. 49.

<sup>494</sup> Warto odnotowania jest w tym miejscu niedawna publikacja Heike Owusu, w całości poświęcona ponad trzystu symbolom czarnoskórych plemion i narodów. Autor, w przetłumaczonej na język polski publikacji, a zatytułowanej po prostu „Symbole Afryki”, przedstawia znaczenia i pochodzenia licznych afrykańskich symboli, których cała obfitość zawiera się w kulturze, kulcie przodków, sztuce ludowej czy też wszelakich czynnościach dnia codziennego. Idąc tym tropem, i pewnie za namową autora lub jego zagranicznego agenta, Wydawnictwo KOS spopularyzowało także w podobny sposób symbolikę Inków, Majów i Azteków, symbole Egiptu oraz bogatą w znaczenia symbolikę Indian Ameryki Północnej. Por. H. Owusu, *Symbole Afryki*, Katowice 2002.

<sup>495</sup> A.F. Ossendowski, *Pod smaganiem samumu*, Poznań 2012, str. 549.

zołnierza, taniego i wytrwałego robotnika, setek tysięcy ton bawełny, cukru, ryżu, węgla lub nafty dzieją się w kolonialnej polityce białej rasy rzeczy istotnie nie zawsze zgodne z zasadami wysokiej cywilizacji i nauki Chrystusa. Lecz jak już się wypowiedziałem w swoich książkach o Afryce Północnej, nawet potępienia godne wdzieranie się białych do dzikich krajów, kierowane samorzutnie przez doskonalącego się tymczasem ducha pewnych ras, z białą na czele, daje na przestrzeni wieków rezultaty dobre; zapewniają one całej ludzkości coraz lepsze i bardziej sprawiedliwe formy istnienia i przyłączają wszystkie rasy i szczepy do wspólnej, wielkiej rodziny ludzkiej, dążącej, być może, do celu, tymczasem niewytkniętego jeszcze z powodu różnic chwilowych interesów poszczególnych ludów, lecz wielkiego i, miejmy nadzieję – świetlanego.<sup>496</sup>

Gdy Ossendowski podróżował przez spaloną słońcem Algierię, nie mógł przypuszczać, że kilkanaście lat przed jego śmiercią urodzi się w mroźnej Szwecji Sven Lindqvist, nad wyraz wybitny dziennikarz i publicysta, a potem autor m.in. „Wytępić całe to bydło”. *Wiesz już wystarczająco dużo. Ja też. To nie wiedzy nam brakuje. Brak nam odwagi, by zrozumieć to, co wiemy, i wyciągnąć z tego wnioski*<sup>497</sup> – zaczyna swoją rozprawę z kolonializmem. Podróżnik rusza na poły w pieszą, na poły w autobusową podróż przez algierskie pustynie i draży własne przemyślenia tak, jakby cierpliwie skrobał pirogę.

„Mimo to fakty ujrzwały światło dzienne. Wykształceni Francuzi zdawali sobie sprawę w mniejszym lub większym stopniu, w jaki sposób zdobywano kolonie i zarządzano nimi. Tak jak i w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ci sami wykształceni Francuzi dobrze wiedzieli, co robią ich oddziały w Wietnamie i Algierii. Podobnie jak wyedukowani Rosjanie w latach osiemdziesiątych wiedzieli, co robią ich oddziały w Afganistanie, a południowi Afrykanie i Amerykanie byli świadomi charakteru działań prowadzonych przez „siły wsparcia” w tych samych latach w Mozambiku i Ameryce Środkowej. Podobnie jak światli Europejczycy wiedzą dzisiaj, że dzieci umierają dlatego, że nad biednymi krajami wisi bicz zadłużenia. To nie wiedzy nam brakuje. Oświecone społeczeństwa w swojej większości i niezależnie od epoki posiadały wiedzę na temat popełnianych dawniej i popełnianych obecnie potworności w imię Postępu, Cywilizacji, Socjalizmu, Demokracji i Rynku.”<sup>498</sup>

Publikacja, choć nie z kanonu literatury polskiej, to jednak adekwatna przywołaniem, gdy naprzeciw jednego zdania warto przytoczyć drugie, odrębne. Tym bardziej, że Szwed kreśli z całą mocą kolonialne powiązania z mrocznym duchem faszystowskich Niemiec, z Holocaustem w tle – albo na planie pierwszym. Autor przemierza Algierię i podróż służy mu

<sup>496</sup> A.F. Ossendowski, *Pod smaganiem samumu*, Poznań 2012, str. 48.

<sup>497</sup> S. Lindqvist, *Wytępić całe to bydło*, Warszawa 2011, str. 11.

<sup>498</sup> Tamże, str. 230.

za czas i miejsce do rozrachunku z białą rasą. Co rusz popada w zadumę, a późny wiek skłania go do otwartych wniosków. *Jednego byłem pewien: ludzie wpadają w amok, kiedy zaczynają stosować przemoc. Przemoc, którą noszą w sobie, przeobraża ich i sprawia – nawet kiedy już jest po wszystkim – że stają się kimś nie do poznania.*<sup>499</sup> Publikacja Lindqvista stanowi więc na tle innych podobnych rozważań dzieło znamienite i fundamentalne, choć należy zaznaczyć, że od momentu pierwszego zagranicznego wydania, na polskim rynku księgarskim rozprawa ukazała się dopiero po siedemnastu długich latach.

„Kwintesencja myśli europejskiej? Tak, istnieje zdanie, krótkie i proste zdanie, trzy lub cztery słowa opisujące dzieje naszej części świata, naszego człowieczeństwa, całą historię naszej biosfery od holocenu po Holocaust. Nie mówi jednak nic o Europie jako ojczyźnie humanizmu, demokracji i dobrobytu. Nie mówi więc nic o tym wszystkim, z czego nie bez racji jesteśmy dumni. Niesie jedynie tę prawdę, którą najchętniej wymazalibyśmy z pamięci. Studiowałem to zdanie wiele lat. Zebrałem ogromny materiał, na którego przeanalizowanie nigdy nie znalazłem czasu. Chciałbym zniknąć gdzieś w tej pustyni, gdzie nikt by mnie nie znalazł, gdzie miałbym czas tylko dla siebie. Zniknąć i nie wrócić, dopóki nie zrozumieję tego, co już wiem.”<sup>500</sup>

Wytępić całe to bydło.

Mroczna europejska świadomość z roku na rok staje się szersza: ciemniejsza lub jaśniejsza. Dywagacje każdego z autorów-podróżników, na różne strony rozczytywane przez całe rzesze anonimowych czytelników, niosą w sobie pewność, że z całej tej dyskusji stanie się jakieś większe opamiętanie. *Nie ma bardziej humanitarnego zadania dla literatury współczesnej niż właśnie przełamywanie tych schematów i budzenie nowej świadomości*<sup>501</sup> – zaznacza Ryszard Kapuściński, i dodaje: *Wkraczamy bowiem w wiek, który jest nie tylko wchodzeniem w jakiś nowy okres, lecz który wymaga od nas dwóch rzeczy – nowej wyobraźni i nowej wrażliwości. I jeśli ukształtujemy na nowo te dwie rzeczy, będzie w tym szansa naszego przeżycia i przetrwania.*<sup>502</sup>

Afrykańskie opisy mogą być jednak różne, gdy tak wielki kontynent oddaje swoje rozległe terytorium na pastwę podróżniczych eskapad: zarówno poprzez głębokie przemyślenia i książki osadzone tym samym z gruntu rzeczy w czarnej Afryce, natomiast w

<sup>499</sup> S. Lindqvist, *Wytępić całe to bydło*, Warszawa 2011, str. 34.

<sup>500</sup> Tamże, str. 12.

<sup>501</sup> R. Kapuściński. W: *Dziedzictwo Odyseusza*, red. M. Cieśla-Korytowska, O. Płaszczewska, Kraków 2007, str. 13.

<sup>502</sup> Tamże, str. 13.

swoich licznych dywagacjach nawiązujące do spraw szerszych i ogólnoświatowych, mówiące o globalnej kondycji człowieka, jak również i te, które bez głębszych zanurzeń docierają w swej treści do kolorowej i malowniczej afrykańskiej codzienności. Ponieważ Afryka, to także metafora.

„– Kilkunastoletnia dziewczyna pasła stado owiec i kóz w oazie na Saharze. Położyła się w cieniu krzaka i zmorzył ją sen. Gdy się obudziła, jej stada nie było. Przez wiele dni błąkała się po pustyni, szukając go, aż dostrzegła w oddali zieloną oazę. Gdy dotarła tam, zobaczyła swoje owce i kozy skubiące trawę przy niewielkiej kałuży. Ucieszona i spragniona napiła się wody, która była tak smaczna, że dziewczyna postanowiła pozostać w oazie. W miejscu, gdzie stała kałuża, wykopała studnię. W jej języku studnia nazywała się *tim*, a dziewczyna miała na imię Buctu. Tak narodziło się Timbuktu. Jesteście w tajemniczym mieście u bram Sahary. Drugiego takiego nie ma na całym świecie.”<sup>503</sup>

Taką też wędrówkę, w takie miejsca, proponuje polskiemu czytelnikowi Tadeusz Biedzki, który wraz z żoną przemierza z przygodami Afrykę Zachodnią. Nie mają strachu. Senegal. Mali. Burkina Faso. Kilka krajów nieco powyżej Równika. Kreślą swoją mapę dziennikarskim piórem autora, który barwnymi atramentami opowiada o przysaharyjskiej wędrówce. Podróżują i dżipem, i autobusami. Po sawannie, bezdrożach i oazach. Za grosze i bardzo drogo. Niebezpieczne przygody z handlarzem narkotyków o mały włos nie skazują ich na malijskie więzienie. *Gdyby znalazł te narkotyki wróciłibyśmy do Polski w trumnach. Żaden biały nie przeżyje dziesięciu lat w malijskim więzieniu*<sup>504</sup> – wspomina Biedzki kontrolę już przy samolocie, gdy cudem, raptem godzinę przed odjazdem na lotnisko, odkrył w swojej torbie podrzucone białe proszki. Małżeńska relacja jest także o tyle charakterystyczna, że w wielu miejscach nawiązuje do historycznych śladów zarówno obecności w odwiedzanych krajach białych kolonizatorów, jak i osadza codzienną realność w czasach jej początków – nawet do tysiąca lat wstecz. Autor wspomina plemiennych królów, meczety z piachów Sahary czy też źródła pradawnych animistycznych wierzeń. A gdy spotyka europejskich turystów, sam sobie odpowiada na pytanie o sens dzisiejszego białego osadnictwa: *Ma rację, Afryka, zwłaszcza Czarna Afryka, nie jest kontynentem dla białych. Samo trwanie, fizyczne i psychiczne przeżycie każdego dnia, jest ekstremalnym wysiłkiem. Biali, którzy tutaj mieszkają, są tu, bo muszą. Mało jest tych, którzy wybrali ten świat z własnej woli, a naprawdę niewielu takich, co z życia tutaj są zadowoleni.*<sup>505</sup> Ale podróż Biedzkiego to także droga po śladach, o

<sup>503</sup> T. Biedzki, *Sen pod baobabem*, Poznań 2012, str. 199.

<sup>504</sup> Tamże, str. 323.

<sup>505</sup> Tamże, str. 192.

czym wspomina przy okazji dotarcia do mitycznej rzeki Niger, trzeciej po Nilu i Kongo<sup>506</sup> w Afryce. *Podczas drugiej podróży, rozpoczętej w styczniu 1805 roku, Mungo Park zamierzał dotrzeć do ujścia Nigru. Nie zdołał tego dokonać. Jego łódź, gdy zbliżała się do brzegu, była atakowana przez tubylców. W pobliżu Mopti, Djenne i Timbaktu podróżnicy ledwo uniknęli śmierci. Ale w Yauri, w dzisiejszej Nigerii, łódź utknęła na skale., a tubylcy zaatakowali włóczniami i strzałami z łuków. Park i jego towarzysze mieli jedną drogę ucieczki – skoczyli do rzeki. Nurt był jednak zbyt silny – utonęli, uratował się tylko niewolnik, który przekazał historię tej wyprawy. Płyniemy teraz trasą, którą ponad sto lat temu podążał Park.*<sup>507</sup>

Skądinąd afrykańska wyprawa Mungo Parka miała miejsce nie sto, jak chce Biedzki, a dwieście lat temu, i jako druga w kolejności wyruszyła na płaćne zlecenie Towarzystwa Afrykańskiego z końcem stycznia 1805 roku, z brytyjskiego Portsmouth. Mungo Park pisał dziennik, a polskim wydaniem ukazał się on dopiero nakładem wydawnictwa Dalavich Press w roku 2008. Jednak *dla kogo przeznaczone jest to polskie wydanie Parka? ...Chyba nie dla badaczy Afryki czy historii jej i odkrywania – ci bowiem owo łatwo dostępne w oryginale źródło już dawno wyzyskali i trudno by było znaleźć jakikolwiek poważniejszy tekst o odkrywaniu Afryki, który nie odwoływałby się do doświadczenia Parka.*<sup>508</sup> Na tym przykładzie widać wyraźnie, jak duże jeszcze w polskiej literaturze podróżniczej panuje zapóźnienie co do translacji milowych dzieł europejskiego dziedzictwa odkrywczych geograficznych wydawnictw. Wartym w tym miejscu wydaje się także przytoczenie dalszych słów Michała Kozłowskiego, który tłumacząc na język polski dzieło Parka, celnie i nad wyraz trafnie definiuje w swoim Wstępie potencjalnych odbiorców i czytelników „Podróży we wnętrzu Afryki”, oraz skrętnie odpowiada o adresata. Można także jego akapity potraktować jako

---

<sup>506</sup> Gdy Biedzki jedynie zahacza o wielki Niger, zaledwie kilka lat wcześniej Brytyjczyk Tim Butcher wyrusza na podbój majestatycznej Kongo – tym razem jednak śladami słynnej XIX-wiecznej wyprawy Henry’ego Mortona Stanleya, w miarę wiernie odtwarzając jego przygodę. *Pod palcami w kieszeni wyczulem kawałek papieru. Była to przepustka poplamiona atramentem przez miejscowego nadzorcę okręgu, zezwalająca „Butcherowi, Timothy’emu” na odbycie podróży drogą lądową do rzeki Kongo. Wymieniono w niej dozwolone środki lokomocji: rower, motocykl oraz wydrążona łódka. By dotrzeć do celu, musiałem się udać na zachód, przez prowincję Katanga, opanowaną przez rebeliantów od ponad 40 lat, oraz przez Maniemę, gdzie kanibalizm jest równie często praktykowany dziś, jak w XIX wieku, gdy tragarze odmawiali prowadzenia tam podróżników. Nawet jeśli dotarłbym do rzeki, i tak miałbym przed sobą kolejne 2500 kilometrów, zanim trafiłbym do celu mojej podróży, w pobliżu miejsca, w którym Kongo wpada do Atlantyku.* Publikacja Butchera stanowi w tym miejscu przykład zarówno eksploracji, jak i podróżniczego pisarstwa, którego na próżno szukać w podobnej rodzimej literaturze. Autor dokonuje rzeczy wręcz nieprawdopodobnej, gdy będąc człowiekiem rasy białej – jak sam pisze, przywołując słowa nadzorcy z Kalemii – *będzie potrzebował w tej wędrówce czegoś więcej niż szczęścia.* T. Butcher, *Rzeka krwi*, Warszawa 2009, str. 11.

<sup>507</sup> T. Biedzki, *Sen pod baobabem*, Poznań 2012, str. 175.

<sup>508</sup> M. Kozłowski. W: M. Park, *Podróże we wnętrzu Afryki*, Warszawa 2008, str.17.

swoisty wzorzec, gdy pytamy o czytelniczy profil obecnego lub przyszłego podróżnika. Dla kogo więc jest taka literatura?

„Raczej – dla ciekawych, jak wyglądało kolonizowanie Afryki, uprzytomnienie, że nie był to proces łatwy i prosty, i nie koniecznie polegał po prostu na wysyłaniu wojska. Że chociaż kolonizacja była w dużym stopniu procesem gospodarczym, to nie zawsze, a może i nie przede wszystkim, polegała na bezrefleksyjnym eksploatowaniu prymitywnych ludów. Że poświęcenie, jakiego te podróże wymagały, nie zawsze dałoby się wytłumaczyć żądzą pieniędzy.

Podróżnicy, chcący skonfrontować swoje wakacyjne afrykańskie doświadczenia z doświadczeniami swego kolegi sprzed 200 lat, znajdą w książce wiele materiału porównawczego. Odkryją, jak Afryka się zmieniła, ale również wyjaśnią sobie zjawiska istniejące nadal. Mogą tę książkę czytać tak, jak ludzie znający komunistyczną Rosję czytają *Listy z Rosji* markiza de Custine’a. Dowiadują się, że chociaż na przestrzeni kilkunastu dziesięcioleci świat się radykalnie zmienił, to nadal część klocków, z których jest zbudowany, pozostała ta sama.

Turyści, którzy dopiero wybierają się do Afryki, z pewnością dowiedzą się czegoś, czego mogą tam oczekiwać. Niech nie martwią się, że tekst powstał przeszło 200 lat temu. Powszechna wiedza o Afryce jest niewiele większa niż wiedza o niej w czasach Parka. Sondaż na temat kierunku, w którym płynie Niger, przeprowadzony teraz na warszawskiej ulicy, przyniósłby zapewne podobne wyniki, jak przeprowadzony na londyńskiej ulicy w końcu osiemnastego wieku.<sup>509</sup>

Niestety, druga wyprawa Mungo Parka zakończyła się katastrofą. Zaatakowani przez tubylców zginęli wszyscy, z wyjątkiem jednego pomocnika, który potem opowiedział o tragicznych losach królewskiej ekspedycji. Rzeka nie miała litości. Śmierć zakończyła książkę. I choć mowa w tym miejscu o gorącej i mrocznej Afryce dwieście lat temu, niestety kostucha zbiera swoje żniwo także podczas innych wypraw – po dziś dzień. 8 kwietnia 2009 roku, w trakcie wyprawy na ośmiotysięcznik *Dhaulagiri*, *Piotrek zginął śmiercią tragiczną*.<sup>510</sup> Olga Morawska<sup>511</sup> pisze odważnie o ich wspólnej miłości i pasji, jaką dla jej małżonka były

<sup>509</sup> M. Kozłowski. W: M. Park, *Podróże we wnętrzu Afryki*, Warszawa 2008, str.17.

<sup>510</sup> O. i P. Morawscy, *Od początku do końca*, Warszawa 2010, str. 6.

<sup>511</sup> W dalszej części rozprawy, przy okazji omawiania publikacji osadzonych tematycznie w kręgu wypraw około światowych, gdy mowa będzie o podróżach górskich, przywołana zostaje inna książka autorki, a mianowicie „Góry na opak, czyli rozmowy o czekaniu”. Natomiast warto w tym miejscu wspomnieć, że za sprawą podróżniczych opowieści Morawskiej na wydawniczym rynku ukazała się ostatnio seria mini-książeczek sygnowanych żółtą ramką National Geographic, a skupionych wokół nadrzędnego tytułu-hasła „Małe wielkie podróże”. Autorka przybliży czytelnikowi odwiedzane przez nią kraje (*Podróżowałam, od kiedy rodzice pozwolili mi na samodzielność. Przez jakiś czas nawet myślałam, że spędzę życie, zmieniając co kilka miesięcy lub lat miejsce zamieszkania*. O. Morawska, *Wakacje w Kanadzie*, Warszawa 2012, str. 5.), uzupełniając opisy o

wysokie góry. Publikacja stanowi przejmującą historię nad wyraz szczęśliwego małżeństwa, do samego końca. *I tak powstała ta książka. Nasz wspólna książka. Po części napisana po śmierci jednego z autorów. Pokazująca życie na bieżąco i we wspomnieniach. Bardzo cieszę się, że w ten właśnie sposób udaje mi się wydać książkę Piotra. Spełnić jedno z jego marzeń.*<sup>512</sup> Tragiczna śmierć w górach stała się kanwą opowieści, w której wdowa zamieszcza obszerne pamiętniki męża, a ostatni, optymistyczny i śnieżny wpis pochodzi z wieczoru poprzedzającego wypadek pod szczytem: *Wpełzamy do środka. Też pełno śniegu. Ale powoli, powoli wewnątrz zaczyna przypominać namiot, a nie jaskinię śnieżno-lodową. Coraz cieplej i przyjemniej. Wiatr czasem zawiewa, ale chyba się uspokoił. Oby do jutra.*<sup>513</sup> Traumatyczne przeżycia udzielają się czytelnikowi, gdy nie sposób wyobrazić sobie i tragedii, i tego wszystkiego, co dzieje się później, gdy żona, szlakiem męża, leci do Nepalu i dociera do jego ostatnich śladów. Takie oblicze literatury podróżniczej skłania w tym miejscu do refleksji, że nie każda podróż w najlepszym wypadku kończy się drobną kradzieżą dokumentów czy pieniędzy, albo też mniej ważnym wypadkiem. Bywa i okrutniej, czego pośrednim świadkiem staje się także gatunek *travel literature*.

Wracając jednak do afrykańskich śladów, swój literacki znak oddaje także Mirosław Kowalski, lekarz kardiolog, podróżnik i fotografik, dla którego kraje Sahelu zdają się nie mieć tajemnic. Podróżuje z pasją i zainteresowaniem godnym lepszej sprawy, ale pewny jest także własnych wad i niedociągnięć. *Odbywam tę podróż niemal dwieście lat po pierwszych Europejczykach. Nie muszę się przebierać ani ukrywać. Nie muszę znać arabskiego ani żadnego z języków ludów zamieszkujących Sahel. Nie znam obyczajów Bambara ani Mossich, nie przeczytałem Koranu. Czy człowiek będący takim ignorantem może tam wyruszyć? Czy taka podróż może się dobrze skończyć? Nie wiem.*<sup>514</sup> I porywa.

Barwna opowieść, okraszona afrykańskimi fotografiami, jest jak uczta przy suto zastawionym stole. Autor maszeruje przez Mali, Burkinę Faso i fragment Nigru. Dobrze i wzorcowo wciela się w rolę podróżnika – i pisze z przekąsem o czekających na niego pytaniach: *Zada sobie szereg pytań. Czy to jest stolica kraju? Dlaczego wszystko tutaj jest takie inne: odgłosy ulicy, temperatura powietrza, dławiąca gardło woń? Dlaczego mimo*

---

praktyczne informacje turystyczne dotyczące noclegów, transportu, wymiany walut. Pisze o aktualnych cenach, dostępności internetu oraz wskazuje na okoliczności ewentualnego podróżowania z dziećmi. Z krajów pozaeuropejskich seria dotyczy RPA, Nepalu, Kanady i można przypuszczać, że wkrótce ukażą się kolejne.

<sup>512</sup> O. i P. Morawscy, *Od początku do końca*, Warszawa 2010, str. 7.

<sup>513</sup> Tamże, str. 329.

<sup>514</sup> M. Kowalski, *Szkatulka pełna Sahelu. Subsaharyjska ballada*, Gliwice 2012, str. 11.

*późnej pory w małych drewnianych czy tekturowych budkach wciąż jest jasno? Czy to możliwe, że ludzie ciągle tam handlują w świetle zawieszonych u stropu lampek oliwnych? A jeśli tak, to gdzie śpią? Przecież w pobliżu nie ma żadnych budynków mieszkalnych.*<sup>515</sup> Korzysta z licznych form transportu, sypia w różnych hotelach i nie stroni od kontaktu z tuziemcami. Książka kipi przeżyciami i autentyczną radością z podróży, a czytając wiele podobnych sprawozdań nabiera się pewności, że w taką drogę warto się wybrać. Autor czasem jest zły, psioczy na samego siebie i walczy z myślami: *Ilekcroć jadę samochodem przez Saharę, źle się z tym czuję. Podświadomie chcę doświadczyć trudów, które były udziałem pierwszych eksploratorów. Gdybym mógł choć przez chwilę iść przez pustynię, niosąc mały plecak i bukłak na wodę. Albo gdybym mógł wsiąść na rower i przez godzinę lub dwie pedałować, pokonując opór piachu. Czuję, że gdybym podjął takie wyzwania, zrozumiałbym skalę ich wysiłku, poznałbym swoje możliwości.*<sup>516</sup> Przekracza w całym afrykańskim kolorycie kolejne granice, pisząc o tym najprawdziwszą z prawd: *Przekraczanie granic w Afryce to loteria. Urzędnik może zakwestionować wszystko, nawet uzyskaną wizę – może stwierdzić, że jest krzywo wklejona, nieczytelna, wydana w konsulacie, który już nie istnieje. I doskonale zdaje sobie sprawę, że podróżny nie zadzwoni o piątej rano do ministerstwa spraw zagranicznych czy swojej ambasady, nawet jeśli taka działa na danym terytorium. Może się oczywiście wyklócać i buntować, ale nie przyniesie to rezultatu. Ktoś już dawno wymyślił, że nieformalny datek przekazany afrykańskiemu urzędnikowi koryguje nieprawidłowości, zapala zielone światło, pozwala na wyjazd.*<sup>517</sup> Takich i podobnych uwag ze świecą szukać w licencjonowanych przewodnikach, a z ust kogoś, kto szedł tamtędy pieszo, brzmi taka informacja jak memento. Kowalski w swojej publikacji pamięta także o wielkich poprzednikach – *Pierwsi podróżnicy musieli przecież widzieć to samo co ja. W wyglądzie pustyni nie dokonały się w ciągu stuleci żadne zmiany*<sup>518</sup> – zarówno tych zagranicznych, jak i polskich – wskazując jednakże na niebagatelne różnice: *Ibn Battuta był z honorami przyjmowany przez władców. Nowak zmagał się z Afryką samotnie. Nikt go nie zapraszał.*<sup>519</sup> Przypomina więc rowerową pięcioletnią podróż Kazimierza Nowaka i tym samym, po raz kolejny, wyraźnie widać zażyłość korespondencyjną, jaka wiąże ze sobą poszczególne dzieła literatury podróżniczej, gdy jedna tylko trasa jednego podróżnika, w tym przypadku

---

<sup>515</sup> M. Kowalski, *Szkatulka pełna Sahelu. Subsaharyjska ballada*, Gliwice 2012, str. 22.

<sup>516</sup> Tamże, str. 314.

<sup>517</sup> Tamże, str. 266.

<sup>518</sup> Tamże, str. 314.

<sup>519</sup> Tamże.



Kazimierza Nowaka, ma w następnych latach historii tak wiele nawiązań i wszelakich odwołań.

Lekarska narracja Kowalskiego jest niebagatelna. Autor nie stroi się w szaty wziętego obieżyświata, nie uzurpuje sobie prawa do każdej wiedzy, a to, co widzi i co przeżywa, pokazuje w dostępnej i niezawilej formie edycyjnej. *Ta podróż, jak wiele innych, pozostawiła we mnie szkatułkę pełną wspomnień. Co mam z nią zrobić? Nosić dumnie pod pachą? Postawić na półce? A może otworzyć? Może pozwolić, by wszystko, co jest w niej nagromadzone, wydostało się na zewnątrz, uleciało, dotarło do innych?*<sup>520</sup> Czy może być lepsza rekomendacja? Afryka, tak jak już pisałem, nie wybacza błędów. Jak żaden inny kontynent, wykorzysta bezlitośnie niedoświadczenie i nonszalancję białego podróżnika. Zabierze wszystko, co się ma: obedrze ze skóry grzejącym słońcem, zasuszy na śmierć brakiem wody, ukąsi skorpionem, zmiją lub wężem. Zasypie harmatanem<sup>521</sup>. Przedziurawi koła i nie pozwoli przez bezkres wezwać pomocy. Utopi w nagłej deszczowej rzece, odetnie przez nią wylaną drogi powrotu. Zatruje srogim jedzeniem, albo już w kraju dobjie odzywającą się malarią. Kiedyś przez jedno z afrykańskich jezior musiałem przepłynąć pirogą. Stary wioślarz, gdy zobaczył, że jestem sam, nie pozwolił wsiąść i kazał znaleźć jeszcze kogoś do podróży, bo jego łódka, jedyna w okolicy, była tak dziurawa, że z doświadczenia wiedział już, że jedna osoba nie nadąży z wylewaniem wody i niechybnie pójdziemy w połowie drogi na dno. O podobnych obawach wspomina także Kowalski.

„Do Timbaktu miałem płynąć rzeką. Najlepsza byłaby któraś z dużych jednostek pływających po Nigrze. Teraz jednak, w porze suchej, wszystkie zacumowały w portach. Stan wód jest zbyt niski. Pozostają jedynie pirogi i pinasy – drobne łódki służące do transportu towarów. Ich kapitanowie zabierają na pokład także ludzi, nie za darmo oczywiście. Podróż odbywa się w skrajnie trudnych warunkach. Łódki nie mają przecież kabin, łóżek, stołu, prysznic. Nawet pogodziłem się już z myślą, że w takich warunkach spędzę kilka dni i nocy. Każda podróż po obszarze Sahelu jest próbą wytrzymałości, niezależnie od środka lokomocji. Rejs jawi mi się jako najbardziej kusząca forma

---

<sup>520</sup> M. Kowalski, *Szkatulka pełna Sahelu. Subsaharyjska ballada*, Gliwice 2012, str. 347.

<sup>521</sup> O afrykańskich wiatrach z lubością wspomina Michael Ondaatje w swoim bestsellerze zatytułowanym „Angielski Pacjent”: „*Harmattan*” *przemierza Saharę niosąc z sobą czerwony pył, palący jak ogień, drobny jak mąka, wciskający się do wnętrza łuf i zamków karabinowych. Marynarze nazywają ten czerwony wiatr „morzem ciemności”. Czerwone drobiny piasku z Sahary docierały aż do Kornwalii i hrabstwa Devon, zabarwiając padające tam gwałtowne deszcze tak intensywnie, że brano je za broczącą z nieba krew*. M. Ondaatje, *Angielski Pacjent*, Warszawa 1997, str. 23. Natomiast w zekranizowanej już opowieści następuje w pewnym momencie znamienita scena, jak w ciągu zaledwie jednej nocy dwa z trzech pojazdów, które przemierzają Saharę, zostają w mgnieniu oka zasypane miliardami ziarenek piachu i ratunek przychodzi w ostatniej chwili – ku szczęściu zaskoczonych, acz wytrawnych przecież podróżników-geografów.

przemieszczania się, trochę nawet awanturnicza. Odwiodła mnie jednak od niego niepewność czasu. Na pytanie, ile trwa rejs do Timbaktu, nikt nie potrafił udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Mówili, że różnie, że trzy, może pięć dni.”<sup>522</sup>

Aliści cały afrykański kontynent wart jest wędrówki, choć strach jest tutaj dobrym doradcą. Egzotyczne niebezpieczeństwo – lep, na który wielu się nabiera. Jak widać z przytoczonych opisów, Afryka nie zabrania podróży. Wiele krajów znalazło swoje odbicie w literackim obrazie autorów, a kolejne czekają i na podróżnicze penetrowanie, i na późniejsze sprawozdania. Na dobrą sprawę polski czytelnik nie zawsze wie, gdzie na mapie szukać Angoli, Kamerunu czy Burkiny Faso. Oświatowość i edukacyjna rola gatunku *travel literature* kładzie w tym miejscu szerokie i grube podwaliny, bo jak chce szwedzka pisarka Selma Lagerlöf, rozumienie wyklucza nienawiść. Druga strona medalu? *W Europie krowy dostają więcej pieniędzy niż ludzie w Afryce.*<sup>523</sup> Tam się mówi, że gdzie jest bieda, nie ma dyskusji.

Przywołane liczne afrykańskie opisy, od tych najstarszych – niedawno i obecnie wznawianych, po szlaki kreślone przez wagabundów kilku lub całej ilości przemierzonych krajów, dają jakiś obraz czarnej jak smoła rzeczywistości, ale także, podobnie jak Azja, pełnej białych plam. Przejazdy z północy na południe i z zachodu na wschód ciekawią czytelniczą duszę zagadką opowieści. Nic tam nie jest takie samo jak w Europie. Gdy Azja, szczególnie z rosyjskiego obszaru językowego, w jakimś jeszcze stopniu Stary Kontynent przypomina, to Afryka jest jak odcięcie nożyczkami. Dzieli nas małe morze wielkiego czasu i wielka pustynia małych szans. W Afryce nie trzeba być dobrym fotografem – wystarczy mieć aparat. Reszta wyłoni się sama.

---

<sup>522</sup> M. Kowalski, *Szkatulka pełna Sahelu. Subsaharyjska ballada*, Gliwice 2012, str. 166.

<sup>523</sup> K. Brinkbäumer, *Afrykańska odyseja*, Wołowiec 2009, str. 109.

## 4. Ameryki

**O**gromne terytorium obu Ameryk, a praktycznie Ameryk trzech, ponieważ oprócz Północnej i Południowej istnieje jeszcze niewielka Ameryka Środkowa, stanowi dla każdego podróżnika nie lada wyzwanie. Mroźne północne krańce Kanady, Kraina Wielkich Jezior, mityczne Stany Zjednoczone ze wschodu na zachód, meksykańskie sombrera, wąskie gardło krajów przy Kanale Panamskim – a potem już tylko Amazonia, Andy i Kordyliery. Gdy do takich krajobrazów dorzuci się jeszcze archipelag wszystkich wysp na południe od Florydy, z komunistyczną Kubą i biednym Haiti, oraz bezbrzeżne prerie Patagonii, wydaje się to wszystko rajem dla współczesnego wagabundy. Bez wątpienia jest tutaj wszystko, każdy rodzaj dzisiejszej Ziemi Obiecanej. Od śniegu po śnieg. Przez pustynie, wodospady i Wielki Kanion. Krainy marzeń i przekleństw, szmuglu narkotyków i umiłowania prawa do tego drastycznego stopnia, że anachronizm kary śmierci gości tu do dziś. Mozaika religii i wierzeń, prastare cywilizacje Azteków i Majów, mityczne Eldorado. Wielkie amerykańskie miasta z symbolami Statuy Wolności i filmowym Hollywood. Gdy samotny żeglarz chce zobaczyć Horn, musi mieć się na baczności. Sporne Falklandy/Malwiny, Darwinowe Galapagos i tajemnice Wyspy Wielkanocnej. Preria z kaktusami i Jamajka z marihuaną Boba Marleya. Historyczny dziki Zachód.

„Wyprawiając się w podróż, z której zrodził się *Stary Ekspres Patagoński*, poszukiwałem przygód. Postanowiłem wyjść z domu w Medford w stanie Massachusetts i ruszyć na południe, ku Patagonii, nie odrywając się od ziemi. Zapragnąłem opuścić wygodne, przytulne miejsce, gdzie się urodziłem, i udać się do odległej, niezemskiej – jak mi się wydawało – krainy na południu Ameryki południowej. Mój plan zakładał nawiązanie kontaktu między tym, co znane, a tym, co nieznanne, bez opuszczania zachodniej półkuli. Nie byłaby to podróż okrężna, jaką opisałem w *Wielkim bazarze kolejowym*, ale raczej linearna, wiodąca Stąd Tam.”<sup>524</sup>

Z pewnością na wiele różnych sposobów ludzie od lat podróżują po tym nad wyraz ciekawym lądzie. Inny od Wschodu, inny od Afryki. Podobny nieco do Europy, choć przecież tak bardzo nie taki sam. Wędrowcy, wiedzeni od setek lat przemożną ochotą eksploracji

---

<sup>524</sup> P. Theroux, *Stary Ekspres Patagoński. Pociągiem przez Ameryki*, Wołowiec 2012, str. 8.

nieznanych krain, również i tutaj stawiają swoje kroki ku czci kiedyś kolonialnych podbojów, a dziś z ciekawości i pasji. Ameryki kuszą najodważniejszych i ciągle, jak się wydaje, czekają na kolejne pokolumbowe odkrycia. Jednak lądy te, bodaj przede wszystkim przez wzgląd na europejską przeszłość, na przeszłość tkwiącą w korzeniach Zachodu, stają się nie tylko teatrem dla czystko podróżniczych eskapad, ale także, w całej rozciągłości, są nieustającą kanwą dla każdego innego rodzaju twórczości poznawczej. W takim kontekście dochodzi bardzo często do uprawnionych porównań, gdy poprzez znaczenia historyczne można w Ameryce doszukiwać się – paradoksalnie – przeszłości Starego Kontynentu, jak i jego czasów przyszłych. Kontekstualność takiego podejścia, porównawcza i mimetyczna, pozwala więc na podróż w te rejony nie tylko wytrawnym podróżnikom – starym lisom kompasowego rzemiosła, ale także otwiera swoje podwoje przed każdej maści, ciekawego świata, wędrownikiem-amatorem.

„Stosunek, jaki zachodzi między Ameryką i Europą należy raczej nazwać konfrontacją, niż pokrewieństwem. Uwidacznia on dzielącą oba kontynenty granicę nie do przebycia. I nie chodzi tu tylko o rozminięcie się odmiennych dróg rozwoju, lecz o bezpowrotnie oddzielającą nas od Ameryki przepaść nowoczesności. Nowoczesnym nie można się stać, nowoczesnym trzeba się urodzić. My zaś nigdy nie byliśmy nowoczesni. W Paryżu wiek XIX rzuca się w oczy. Po przylocie z Los Angeles ląduje się w XIX stuleciu. Każdy kraj podlega własnej historycznej predestynacji, która prawie nieodwołalnie określa jego cechy. Nasz profil cywilizacyjny wyznacza mieszczański model a la 1789 wraz z jego niekończącym się schyłkiem. I nie da się z tym nic zrobić: całe nasze życie obraca się w orbicie dziewiętnastowiecznego mieszczańskiego snu.”<sup>525</sup>

Filozof Baudrillard opisał Amerykę Północną, a ściślej Stany Zjednoczone, w sposób wręcz fenomenalny, poświęcając jednak swoją uwagę nie tyle Ameryce jako takiej, ale Ameryce jako nieprawdopodobnemu zjawisku kulturowemu. W pewnym stopniu kraj ten stał się także dla niego przyczynkiem do rozrachunku ze swoją domową Europą, gdy patrząc z pozycji wschodnich i nowojorskich wybrzeży USA pozwolił sobie na okrutne, acz jak się wydaje ze wszech miar słuszne, analizy europejskiej kondycji duchowej. Baudrillardowskie konstatacje mogą przerażać, jednak dla każdego, kto ląduje na JFK lub LaGuardii mogą także okazać się nad wyraz pomocnym przewodnikiem. Taka wizja Ameryki nie pozostawia złudzeń, ale daje także niepowtarzalną możliwość spojrzenia na zjawisko podróży przez

---

<sup>525</sup> J. Baudrillard, *Ameryka*, Warszawa 2011, str. 90.

pryzmat pozostawienia za plecami swojego domu i świata. Podróż po Ameryce staje się wtedy podróżą po Europie.

„Ameryka szokuje przybywsza nieoczekiwanym współlistnieniem pierwszego poziomu (prymitywność i dzikość) i świata trzeciego typu (*simulacrum* absolutne). Nie ma środka. Dla nas, dla których rzeczywistość drugiego stopnia, czyli refleksja, rozdwojenie, świadomość nieszczęśliwa, zawsze była uprzywilejowana, sytuacja taka jest trudna do pojęcia. Ale żadna wizja Ameryki rozwijana bez uwzględnienia tego odwrócenia wartości nie może pretendować do słuszności: Disneyland, oto autentyczność! Kino, telewizja, oto rzeczywistość! *Freeways, safeways, skylines*, prędkość, pustynie – oto Ameryka, nie zaś muzea, kościoły, kultura... Okażmy temu krajowi uwielbienie, na jakie zasługuje i skierujmy wzrok na śmieszność naszych własnych obyczajów: w tym tkwi korzyść i przyjemność podróży. Aby ujrzeć i poczuć Amerykę, trzeba przynajmniej przez chwilę doświadczyć gdzieś w dżungli *downtown*, na Painted Desert albo na zakręcie *freeways*, że Europa nie istnieje. I przynajmniej na chwilę dopuścić do siebie pytanie: „Jak można być Europejczykiem?”<sup>526</sup>

Jak widać, rola literatury podróżniczej (czy „Ameryka” Jeana Baudrillarda jest literaturą podróżniczą?) nie sprowadza się tylko i wyłącznie do nawet i najbarwniejszych interesujących opisów ze świata fauny i flory, ale także skutkuje przemyśleniami na wskroś filozoficznymi i egzystencjalnymi. Świat ciągle czeka na odkrycie i nie do końca musi mieć znaczenie tylko jego powierzchowny wygląd zewnętrzny – i otwarte tym samym pozostaje pytanie o taki sens podróży, by przemyślenia i obserwacje stawały się bardziej przyczynkiem do rozwiązywania zarzewi konfliktów, a nie koniecznym do ustawicznego szperania po starych kościołach i zabytkach. Pytania więc o rolę *travel literature*, a w tym również o znaczenie nawet małego i skromnego wycinka polskiej literatury podróżniczej, są jak najbardziej zasadne i być może nie istnieje na dzień dzisiejszy inna tak oświatowa i popularna literacka forma, która o różnorodności świata opowiadałaby w sposób tak częsty i adekwatny.

W całej terytorialnej rozciągłości obu geograficznych kontynentów podróżnicze publikacje nie raz sięgają do amerykańskiej tematyki, jednak, jak można zauważyć, wielokrotnie częściej do takich opisów dochodzi niejako przy okazji edycji książek o szerszej niż amerykańska perspektywie. Kilka z nich zostanie więc przywołanych na końcu niniejszego rozdziału, przy okazji wglądu w polskie wędrówki dookoła świata. Wtedy to

---

<sup>526</sup> J. Baudrillard, *Ameryka*, Warszawa 2011 str. 127.

bowiem podróżnicze szlaki docierają do każdej z Ameryk, będąc zarówno tranzytem do Europy, jak i osobnym wydarzeniem na globtroterskiej mapie.

Interesującym ewenementem będzie także wybiórczy opis Ameryki, a w zasadzie Stanów Zjednoczonych, w publikacji amerykańskiego dziennikarza Erica Weinerja, który wybrawszy się w podróż po całym świecie swoją książkę zatytułował „Geografia szczęścia”. I poszukując szczęśliwych krajów do zamieszkania trafia także (na samym jednak końcu) do USA, pisząc: *Miami kojarzy się ze szczęściem, o ile nawet nie z samym rajem. Plaże. Palmy. Słońce. Ale w raju ma się do czynienia także i z presją. Wszystko wokół krzyczy: „Bądź szczęśliwy, do jasnej cholery!”*.<sup>527</sup> Weiner, będąc podróżnikiem upartym, szukał szczęścia wszędzie, a jego publikacja z powodzeniem mogłaby stać się częścią (jako zagraniczne tło) do podrozdziału „Na świecie” niniejszej rozprawy, w którym przywołuję rozliczne przykłady tematycznych podróży po całym globie, gdy autora przyciąga w jakieś określone miejsce/miejsca intratna idea.<sup>528</sup>

Gdy jednak przychodzi zmierzyć się z np. północnoamerykańską rzeczywistością poprzez bardzo konkretne podróżnicze polskie już publikacje, opisów tych nie będzie wiele. Zbadanie takiego stanu rzeczy może więc przysporzyć nad wyraz ciekawych wniosków, ponieważ sytuacja ta na swój sposób wydaje się być niecodzienną. Wielkie i potężne Stany Zjednoczone – i raptem kilka książek. Być może źródeł takiej sytuacji szukać należy także w przemysłeniach francuskiego filozofa, który bezpardonowo ogołaca: *Seks, plaża i góry. Seks i plaża, plaża i góry. Góry i seks. Parę pojęć. Seks i pojęcia. „Just a life”*.<sup>529</sup> Więc o czym pisać?

Jednak Jean Baudrillard nie musiał długo czekać na polską odpowiedź. Piotr Orliński, na co dzień dziennikarz prasowy i zapalony admirator USA, a w przeszłości np. absolwent chemii, kreśli osobistą opowieść, posługując się na potrzeby tytułu swojej książki znaną metaforą „Ameryka nie istnieje”. *Gdy podróżowałem przez USA, zbierając materiały do tej książki, w przydrożnym motelu odebrałem maila do swego redaktora z podchwytliwym pytaniem: „skoro Ameryka nie istnieje, to gdzie ty właściwie jesteś?”*. *Na szczęście moje*

---

<sup>527</sup> E. Weiner, *Geografia szczęścia*, Warszawa 2009, str. 347. Warto także nadmienić, że w swojej publikacji autor skrętnie opisuje szczęśliwość takich krajów jak: Holandia, Szwajcaria, Bhutan, Katar, Islandia, Mołdawia, Tajlandia, Wielka Brytania oraz Indie.

<sup>528</sup> Trzy lata po „Geografii szczęścia” Eric Weiner wydaje swoją kolejną książkę, tym razem ogłoszeniowo zatytułowaną „Poznam sympatycznego Boga”, w której także wędrując po całym świecie, poszukuje dla siebie bóstwa idealnego. Por. str. 329 i 376.

<sup>529</sup> J. Baudrillard, *Ameryka*, Warszawa 2011, str. 42.

*badania terenowe były już dość zaawansowane i miałem gotową odpowiedź. Brzmi ona tak: podróżując przez Amerykę, zawsze jest się w miejscu, którego mieszkańcy uważają, że owszem, gdzieś tam rzeczywiście jest ta słynna, znana z filmów i książek Ameryka. Ale tutaj jej nie ma, tutaj u nas sprawy wyglądają zupełnie inaczej.*<sup>530</sup> Autor podąża przez Stany Zjednoczone odwiedzając liczne znane i popularne miejsca. Książka, jak wiele podobnych, zawiera w sobie dziesiątki kolorowych fotografii i także, jak wiele podobnych, bardziej przypomina album z nieco tylko szerszymi opisami, niż kompozycję zbudowaną w oparciu o wnikliwe spostrzeżenia. Stanowi jednak interesujący przewodnik dla kogoś, kto w podróżniczych planach marzy o wędrówce przez kolejne amerykańskie stany, z koniecznym zawitaniem w mityczne krajobrazy, powszechnie znane z fabularnych filmów i różnych znamienitych ekranizacji. *Chyba najwięcej radości z moich podróży po Ameryce sprawiło mi odwiedzenie Strefy 51 – tajnej bazy Air Force w okolicy słonego jeziora Groom Lake na pustyni w Nevadzie. Baza jest tajna o tyle, że amerykański rząd oficjalnie przyznaje, że coś tam jest – ale oficjalnie odmawia dalszych informacji.*<sup>531</sup> Orliński przemierza USA na wszystkie strony. Zwiedza Nowy Jork, Las Vegas, Los Angeles. Penetruje fenomen Doliny Krzemowej. Pchany żądzą przygody zagląda na pustynię – *Spora część Route 66 biegnie – jak to zaznaczyliśmy – przez pustynię, spora też przez objęte w latach 30. klęską burz piaskowych stepy Oklahomy*<sup>532</sup> – jednak niejako przy okazji wspomina o mitycznej drodze, znakowanej od dawien dawna numerem 66. I w tym miejscu dwie kolejne historie zaczynają się nakładać.

Rok po „Ameryce...” Orliński rozpowszechnia kolejną jankeską pozycję, jednak tym razem bierze na dziennikarsko-poznawczy warsztat osławioną i legendarną szosę „Route 66”. Droga-matka. Książka do złudzenia przypomina poprzednią: zawiera bowiem dziesiątki wielobarwnych fotografii, lapidarne opisy, a i w samym tytule nie odbiega od poprzedniczki. „Route 66 nie istnieje” – przekornie woła do czytelnika kolejną Baudrillardowską parafrazą. Tytułacja nie jest więc przypadkowa, a autor demaskująco dodaje: *Route 66 nie istnieje. Przepraszam, że się powtarzam, ale w odróżnieniu od mojej poprzedniej książki, „Ameryka nie istnieje”, nie chodzi tu o metaforę, aluzję do Baudrillarda ani w ogóle o żadną wielką filozofię. Chodzi o banalny prawno-geograficzny fakt: amerykański odpowiednik polskiej Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad, Federal Highway Administration, zdyktował ją*

---

<sup>530</sup> P. Orliński, *Ameryka nie istnieje*, Bielsko-Biała 2011, str. 11.

<sup>531</sup> Tamże, str. 314.

<sup>532</sup> Tamże, str. 136.

z mapy sieci drogowej w roku 1985, kiedy ukończono budowę autostrad.<sup>533</sup> I podobnie jak poprzednio, przemierza USA, jednak tym razem według szosowych drogowskazów. Pnie się zakrętami zaglądając to tu, to tam. Opisuje to, co widzi. Spotyka nietuzinkowych ludzi, toczy dysputy z kierowcami wielkich ciężarówek. Przybliża czytelnikowi Amerykę nie tyle cukierkową i wygładzoną, ale monotonna, pracująca i szarą. Nie stroni od przygód i można powiedzieć, że obie kredowane publikacje stanowią dwutomową całość. Gdy z Chicago dojeżdża już na sam koniec szosy, nad Ocean Spokojny, mimochodem zauważa: *Tak, to już koniec. To już ocean. Ale gdzie tabliczka wyznaczająca zachodni kraniec Route 66? W Chicago stoją przecież nawet dwie, na wschodnim końcu i wschodnim początku. A co z końcem zachodnim? No nie ma.*<sup>534</sup> Po czym więc jechał? *Pozostaje mi zostawić samochód na jednym z parkingów towarzyszących deptakowi 3 ulicy i udać się pieszo na słynne molo Santa Monica. Po drodze mija się pomnik Willa Rogersa i symboliczną tablicę na molo, upamiętniającą drogę, która nigdy tu nie dotarła. Po głębszym namyśle muszę przyznać, że to ma sens... Skoro Route 66 zaczyna i kończy się w Chicago, to znaczy, że podróż nie będzie kompletna, jeśli się jej nie odbędzie w obie strony.*<sup>535</sup> I czy wraca? A filozof dodaje: *Jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie w ogóle istnieją, o świecie: molo w Santa Monica, spienione fale uderzające o brzeg, szare po horyzont niebo nad Venice, bladozielony lub raczej turkusowy hotel wznoszący się na plaży i zaniedbane hotele oświetlone pochodniami; na ich ścianach widać wielowarstwowe graffiti, które odslania wciąż nowe i nowe pokłady.*<sup>536</sup>

Obie wspomniane wyżej publikacje Orlińskiego pokazują Stany Zjednoczone nieco od kuchni. Gros w nich praktycznych informacji i wskazówek, a opisy trafiają do podróżniczej wyobraźni. Zestawione na wskroś z filozoficzną „Ameryką” Jeana Baudrillarda dają wręcz mieszkankę wybuchową, a przemyślenie, czy w ogóle można jeszcze na Stany Zjednoczone patrzeć nie przez pryzmat uwag francuskiego filozofa, nie pozostawia po lekturze czytelnika w uśpionym błogim spokoju – a raczej budzi do następnych literackich wędrówek.

Szansą na to może być inna ciekawa publikacja, a mianowicie drogowe sprawozdanie znanej dziennikarki telewizji publicznej, Doroty Warakomskiej, która jako wieloletnia wysłanniczka swojej rodzimej stacji kreśli podróżniczy szlak również przez stary i historyczny asfalt Drogi 66. Z pewnością to nie przypadek, że zarówno Orliński, jak i

---

<sup>533</sup> P. Orliński, *Route 66 nie istnieje*, Bielsko-Biała 2012, str. 7.

<sup>534</sup> Tamże, str. 314.

<sup>535</sup> Tamże.

<sup>536</sup> J. Baudrillard, *Ameryka*, Warszawa 2011, str. 76.



Warakomska skupiają dziennikarską uwagę na transportowej nitce, która wiodąc ich przez osiem kolejnych stanów, musi być na tyle atrakcyjna, że potrafi wyszukane reporterskie apetyty zaspokoić. Łatwo można sobie zatem wyobrazić kolejnego polskiego śmiałka, lub nawet grupę odważnych, już nie koniecznie związanych z jakąkolwiek redakcją, którzy zwiedzeni pokusą nieprawdopodobnego przeżycia, ruszają do USA.

Książka Warakomskiej jest jednak inna. Mniej zdjęć, więcej osobistych refleksji. *Gdy w moim życiu nadszedł moment, w którym nie mogłam znaleźć odpowiedzi na ważne pytania, nie wahałam się – ruszyłam w podróż. I choć wcześniej wielokrotnie objeżdżałam Stany Zjednoczone wzdłuż i wszerz, wybrałam właśnie Amerykę, a w niej regiony będące synonimem wolności, uwiecznione na fotografiach Ansela Adamsa, Dorothei Lange, Paula Stranda, Richarda Avedona, pokazane w „Gronach gniewu” i kultowych filmach: „Swobodnym jeźdźcu”, „Znikającym punkcie”, „Konwoju”. Zdecydowałam się na trasę, którą przemierzili i którą opisali John Steinbeck i Jack Kerouac, przecinając USA na skos, od północnego wschodu do południowego zachodu – Drogę 66.<sup>537</sup> Autorka wsiada w wóz i jedzie. Spotyka całe mnóstwo ciekawych ludzi i opowiada o miejscach, które w jakimś sensie szosa o numerze 66 stworzyła. Można odnieść wrażenie, że stając się aortą amerykańskiego transportu, na długo jeszcze przed powstaniem międzystanowych autostrad, jest dziś dla wielu turystów swoistą Mekką i szlakiem pielgrzymek. Dzięki artystom, zapaleńcom, podróżnikom i ludziom niebojącym się zainwestować w podupadłe budynki Droga 66 ożywa.<sup>538</sup> Festyny, imprezy plenerowe, miasteczka z letnimi samochodowymi kinami, parkingi pełne przyczep kempingowych, samotne stacje benzynowe i posterunki policji – wszystko to żyje, podtrzymywane przez mit. Opowieść Warakomskiej, podobnie jak Orlińskiego, zmierza jednak także ku nieuchronnemu zakończeniu, gdy przygoda na szosie musi mieć swój kres. Trochę to jak dotarcie na biegun, trochę jak osiągnięcie Everestu. Gdy dojeżdża do końca, notuje resztkę typowej Ameryki: *Wieczorem wróciłam do Santa Monica. Słońce już chowało się w Pacyfiku. Na trawie, na skwerze przed zejściem na plażę bezdomni wyciągali swoje kartony i rozkładali pod palmami. Widać było rozbłyskujące światła nad pobliskim Malibu. Miasto Aniołów – świątynia snu o sławie, szczęściu i bogactwie – szykowało się do snu. Dotarłam do celu podróży. W Los Angeles, jak zwykle, cudownie spędzałam czas: świetna pogoda, zachwycające widoki, niezwykle atrakcje, fantastyczni ludzie. Ale coś nie pozwalało mi się tym cieszyć. Słuchałam szumu fal i zastanawiałam się dlaczego. Wreszcie zrozumiałam,**

<sup>537</sup> D. Warakomska, *Droga 66*, Warszawa 2012, str. 9.

<sup>538</sup> Tamże, str. 12.

że tęsknię za widokiem szosy, za wiatrem, że chcę odkryć coraz to nowe miejsca. Że to Droga jest moim celem. Wskoczyłam do auta i ruszyłam z powrotem na wschód. Drogą 66.<sup>539</sup> Zachodnie Wybrzeże jako koniec i początek, a Baudrillard dodaje: *Wschód słońca w Los Angeles, nad wzgórzami Hollywood. Czuje się wyraźnie, że słońce zaledwie muska Europę, by wstać naprawdę dopiero tutaj, gdy osiągnie ten geometryczny, płaski teren, gdzie jego światło, choć całkiem nowe, jest jednak tym samym, które świeci nad pustynią. Wysokie pnie drzew palmowych, jedyne oznaki wertykalności w płaskiej przestrzeni chwieją się przed elektrycznymi billboardami. O szóstej rano jakiś człowiek telefonuje już z budki przy Beverley Terrace. Nocne reklamy rozplywają się, zapalają się dzienne. Jasność dnia oświetla i ujawnia wszędzie nieobecność architektury. Ale właśnie to nadaje intymne i gorące piękno temu miastu, zakochanemu w swej horyzontalności bez granic, tak jak Nowy Jork mógłby być zakochany w swojej wertykalności.*<sup>540</sup>

Każda z trzech przywołanych publikacji jest typową książką drogi. Autor wsiada i jedzie. „Route 66” sprzyja takiej egzystencji, a poczynione notatki w miarę dokładnie odsłaniają tę część świata przed czytelnickimi oczyma. Autorzy: trochę w pracy, trochę nie. Jednak w ten zakątek zaprowadziło ich zawodowe rzemiosło. Być może inaczej napisałby o szosie laik. Z pewnością odwrotnie ująłby wszystko Baudrillard. W nieco także innej konwencji utrzymana jest publikacja Kamili Sławińskiej, która jako publicystka i krytyk filmowy zamieszkuje od kilku lat w Nowym Jorku i miasto to staje się sceną jej opowieści. Autorka opisuje światową metropolię z punktu widzenia rezydenta i jak sama we wstępie przyznaje, Nowy Jork a Ameryka to dwie różne kwestie. *To miejsce, tutaj, Pięć Dzielnic, niecałe pięćset mil kwadratowych powierzchni, położonej w znacznej części na wyspach – to nie Ameryka. Wiedział to już Henry Hudson, pierwszy Europejczyk, który dopłynął do brzegów tego kawałka świata i postawił stopę na skrawku lądu nazwanym później Manhattanem. Dzielnny żeglarz był przekonany, że dotarł do Chin, i nawet jeśli za jego czasów nie było Chinatown i niezliczonych azjatyckich restauracji na dole Miasta, trudno powiedzieć, by Hudson bardzo się pomylił.*<sup>541</sup> Oryginalna opowieść, prawie ulica za ulicą, kwartał za kwartałem, jest także wwierceniem się w miejską tkanę wydarzeń kulturalnych, sportowych i czasem religijnych. Gdy patrzy się na wszystkie polskie publikacje podróżnicze po 1989 roku, opisujące świat z perspektywy wędrowca, nie ma bodaj drugiej podobnej książki, która

---

<sup>539</sup> D. Warakomska, *Droga 66*, Warszawa 2012, str. 402.

<sup>540</sup> J. Baudrillard, *Ameryka*, Warszawa 2011, str. 65.

<sup>541</sup> K. Sławińska, *Nowy Jork. Przewodnik niepraktyczny*, Warszawa 2008, str. 8.

by ogniskowała wokół tylko jednego miasta – w tym znaczeniu dzieło Sławińskiej wydaje się być jedynym i stanowić ewenement. Publikacja kończy się interesującą próbą zebrania w jednym miejscu przydatnych i bardzo często używanych nowojorskich zwrotów, za którymi kryją się praktyczne znaczenia. W słowniczku tym Sławińska wymienia więc „plejsy” jako miejsca, gdzie łatwo dorobić na sprzątanii, rozszyfrowuje popularne skróty, np. FDNY – czyli nowojorską straż pożarną, albo wyjaśnia inny z popularnych skrótów – Dr Z – będący wszechobecną reklamą nowojorskiego dermatologa, Jonathana Zizmora, którego kiczowate billboardy torpedują niemal wszystkie wagoniki i stacje metra. Jako krytyk filmowy nie pozostaje też dłużna kinowym obrazom, gdy z rozrzewnieniem konstatuje: *Ostatnio zauważyłam w polskiej prasie modę na rozpisywanie się o obrazie Nowego Jorku w filmach. Dziennikarze snują opowieści o Scorsese, Allenie, Wangu, ale nikt nie wspomina, że w tych urzekających wizjach więcej jest fantazji niż prawdy. Trudno zresztą mieć o to pretensje. Tak jest z każdą wielką ideą, a Nowy Jork jest wielką ideą.*<sup>542</sup> Jej więc na swój sposób badawcza nowojorska perspektywa przynosi i rozczarowania, i sukcesy. Ogląd miasta, choć subiektywny i autorski, sprzyja lekturze i ma przez to szansę na korzystną czytelniczą recenzję. I choć Nowy Jork wzbudza w mieszkańcach globu nieskrywane i skrajne emocje<sup>543</sup>, to jednak spacer ze Sławińską dla wielu podróżników może okazać się udany. Autorka snuje także liczne refleksje, gdy mierzy ogrom miasta z tragedią 11 Września. *To współczucie, które wtedy okazał nowojorczykom świat, nie miało chyba aż tak dużo wspólnego z liczbą ofiar, ich narodowością i bestialstwem terrorystów. Kiedy waliły się Wieże, wielu z tych, którzy współczuli, chodziło nie tylko o utracone życie, o wyrwę w brzuchu rzeczywistego Miasta, ale o ideę, większą niż Miasto. Ideę, która żyje w milionach głów, rozpala tęsknotę w milionach serc. Każdy bowiem, kto kiedykolwiek śnił o miastach, choćby wbrew własnej woli, już jest nowojorczykiem – obywatelem ulotnego Miasta ze snów.*<sup>544</sup> Z podróżniczego bowiem punktu widzenia Nowy Jork nie jest aglomeracją obojętną i nieważną, a kontekstualność

---

<sup>542</sup> K. Sławińska, *Nowy Jork. Przewodnik niepraktyczny*, Warszawa 2008, str. 369.

<sup>543</sup> W sobie charakterystyczny sposób pisał o tym także wspomniany już po wielokroć Jean Baudrillard, dla którego Nowy Jork stał się uosobieniem prawie wszystkich jego amerykańskich przemysłów: *Dlaczego ludzie żyją w Nowym Jorku? Nie łączą ich żadne związki, lecz rodzaj wewnętrznej elektryczności mającej swe źródło w absolutnym bezładzie. Wytwarzane przez sztuczne skupisko, magiczne odczucie stykania się i przyciągania. Oto co czyni z tego miejsca autoatrakcyjny świat, którego nie ma powodu opuszczać. Jak nie istnieje, oprócz czystej ekstazy bezładu, żadna inna racja, by w nim żyć.* J. Baudrillard, *Ameryka*, Warszawa 2011, str. 23. I dalej: *W Nowym Jorku dokonuje się podwójny cud: każdy z wielkich budynków króluje lub królował przez chwilę nad miastem i każda z grup etnicznych panuje bądź panowała nad nim raz jeden na swój sposób. Przemieszczenie obdarza tu każdy ze składników blaskiem, podczas gdy gdzie indziej raczej znosi różnice. W Montrealu występują te same czynniki – grupy etniczne, wielkie budowle, północnoamerykańska przestrzeń – ale brakuje tam blasku i przemocy miast USA.* Tamże, str. 24.

<sup>544</sup> K. Sławińska, *Nowy Jork. Przewodnik niepraktyczny*, Warszawa 2008, str. 370.

nawiązań wydaje się być w tym miejscu adekwatna do roli, jaką miasto odgrywa na międzynarodowej arenie.

*Wylądowałem w Stanach pół roku przed 11 Września. Oto Ameryka – pomyślałem. Nic nigdzie nie jest takie jak tam. I to nie mit – to doświadczenie. Cały Daleki Wschód z najwyższymi szklanymi drapaczami chmur ma się nijak do Manhattanu. Nie jest nawet podobny. Próbuje nieudolnie naśladować, ale tego nie można skopiować – i nie jest to kwestia ropy-ceny-gazu. Dziś widzę, że to światopogląd. Różnica w założeniu. Jeśli można się w życiu zdziwić, to Nowy Jork jest dobrym powodem. Chodziłem kracziastymi ulicami jak w amoku. Skręcałem to tu, to tam szukając wszystkiego i byle czego. Nie ma na świecie drugiego takiego miasta i gdyby nasza planeta miała mieć jedną stolicę – byłby nią Nowy Jork: z metrem jak z miastem pod miastem, z majestatycznym Mostem Brooklińskim, z nocnym Time Square, ze szpicem Empire i samotną Statuą Wolności. Nie mogłem się napatrzyć. Szerokie na dziesięć pasów ulice pełne żółtych taksówek. Chinatown z barami i kawiarenkami. Rozwidlana Hudson. W Central Parku, tam gdzie zastrzelono Lennona, kilka kwiatów na chodniku. Policjanci jak z filmów. Jest w tym wszystkim jakaś przekora: niby nic, a wszystko, niby pustka i blichtr – ale każdy chce widzieć. Tysiące turystów. Najbardziej zielone dolary. Sklepy ze wszystkim i wszystko na sprzedaż. Gigantyczna oferta na lepsze życie. Zapachy, ubrania, idee. Śmieciarze prawie w garniturach i lakierkach. Wieżowce tak wymyślne i tak pionowe, że gdyby wjechać windą na samą górę, można być niemal pewnym, że dotyka się nieba. A pół roku wcześniej byłem w piekle. Czarna Afryka przy Równiku. Bieda do entej potęgi. Na boso, bez wody i prądu, o misce czegoś tam – jak się uda. Bawelna jeszcze na krzakach, a nagie ciała nigdy jej nie założą. Niemilosierny kurz, brud i jeszcze raz bieda. Smród i nędza. Nie ma niczego, tylko prawie miliard ludzi. Ludzie w chatkach na półtorej metra – w norach, a nie w chatkach – pilnują Bóg jeden wie czego. Słońce pali skórę skrajnym upałem. Może deszcz spadnie za kilka miesięcy – może nie. Żadnych ulic, asfaltów. Doły, rowy, wyrwy. Zerwane mosty, stare francuskie ruiny – tylko oczy jak nie z tego świata. Umieranie za życia. Na żywo. Pod baobabem skulona babulina zionie ducha. Rach ciach ciach i po niej. Za godzinę do ziemi, piach. Dziecko z gliny zrobiło kulkę i chce ją sprzedać. Biały jest tam bogiem. Los traktuje marzenia i ciągnie w dół jak kula u nogi topielca. Czy jest piekło na ziemi? Tak, jest – w Afryce. Można nic nie widzieć z otwartymi oczyma i widzieć wszystko z zamkniętymi. Polacie wysuszonej sawanny. Gigantyczne piachy Sahary, które wolność trzymają w kajdanach. Najczarniejsza prawda – lepiej jej nie widzieć, bo przewraca świat.*

**A**meryka od samego jej odkrycia fascynowała świat. Amerykański sen na przestrzeni set lat śnił się, i nadal śni, zarówno wielu potencjalnym imigrantom, jak i zwykłym obywatelom, chcącym na własnej skórze przekonać się o urokach przygody znad Dzikiego Zachodu. Dawniej wizje te i pragnienia ożywiały Karol Maj pisząc o Winnetou i Oldzie Surehandzie. Dziś podobne, jeśli nie większe emocje, rozpała każda światowa telewizja lub niemal każda hollywoodzka superprodukcja z Oscarami w tle. W jakimś więc sensie Ameryka opowiada się sama i może dlatego podróźniczych o niej publikacji jest jak na lekarstwo. Natomiast z pewnością jedną z nich będzie również książka dziennikarza telewizyjnego, na co dzień na usługach komercyjnej telewizji, który swoją opowieść wije wokół pobytu w USA z punktu widzenia „za pracą”. Mimo gwarantowanego kontraktu Marcin Wrona pokazuje Stany Zjednoczone od strony konieczności załatwiania codziennych sprawunków i w ten sposób, konstruując taką oto narrację, przybliży Amerykę polskiemu czytelnikowi.<sup>545</sup> *Okazuje się, że kilkanaście wizyt turystycznych czy zawodowych w Ameryce nie ma nic wspólnego z prawdziwym życiem. Na przykład gdyby ktoś przed naszym przyjazdem powiedział mi, że w Ameryce, w Waszyngtonie, zaraz koło Białego Domu, kradną auta, roześmiałbym mu się w twarz. Przecież auta kradną w Polsce, z tego słyszymy, ale w Ameryce? Nie. Nigdy.*<sup>546</sup> Dziennikarska swada i łatwość pióra pozwala autorowi opowiadać lekko i przyjemnie, a zamieszczone fotografie uwydatniają amerykańską rzeczywistość. Rezydując z małżonką mają we dwoje niecodzienną okazję przyglądać się życiu od kuchni, a perturbacje związane z kulturowym dostosowaniem nie raz w relacji Wrony przysparzają

---

<sup>545</sup> W podobnej sytuacji znajduje się inny polski dziennikarz, Marek Wałkuski, który od roku 2002 przebywa w Stanach Zjednoczonych jako wysłannik Polskiego Radia. Korespondent radiowej „Trójki” wydaje książkę, na okładce której amerykańska flaga rozwija się z... wałka do ugniatacia ciasta. W ten metaforyczny sposób autor zachęca do lektury, pisząc: *Podobnie jak Włochy różnią się od Francji, Francja od Niemiec, a Niemcy od Polski, tak Wirginia różni się od Florydy, Floryda od Missisipi, a Missisipi od Kalifornii. I choć USA budują tożsamość narodową od 200 lat, to nadal są bardzo zróżnicowane. Cały czas napływają tu przybysze z całego świata, dorzucając do amerykańskiego tygla etnicznego nowe przyprawy. Moim celem jest pokazanie zarówno amerykańskiej różnorodności, jak i cech wspólnych Amerykanów. Piszę o tym, co odróżnia Stany Zjednoczone od innych krajów. Staram się wyjaśnić, dlaczego pewne rozwiązania, które obywatelom wydają się bezsensowne albo śmieszne, w amerykańskich realiach sprawdzają się całkiem nieźle. Nie usprawiedliwiam wad Ameryki, ale próbuję pokazać je w szerszym kontekście. Ta książka ma podważyć niektóre stereotypy na temat Stanów Zjednoczonych i sprawić, że Czytelnik poczuje choć trochę ducha Ameryki.* M. Wałkuski, *Wolkowanie Ameryki*, Gliwice 2012, str. 12. Wałkuski ukazuje więc Amerykę w nieco inny sposób, objaśniając jej różnorodność, stając się tym samym jej najlepszym ambasadorem. Interesująca publikacja przybliży specyfikę USA i w jakimś sensie oddaje ducha tego potężnego kraju. Książka nie tyle opowiada o perypetiach stałego korespondenta, ile bardziej o jego nowej ojczyźnie i z tego punktu widzenia stanowi niebagatelne źródło wiedzy. A pisząc o cechach Amerykanów, obserwacja wiedzie go np. do takiej konstatacji: *W USA człowiek na co dzień spotyka się z bezinteresowną uprzejmością. Przekonanie, że trzeba pomagać innym, Amerykanie mają tak głęboko wpojone, że czują się w obowiązku wskazać drogę, nawet gdyby sami jej nie znali.* Tamże, str. 26.

<sup>546</sup> M. Wrona, *Wrony w Ameryce*, Warszawa 2012, str. 10.

czytelnikowi uśmiechu. Czynią także sugestię, że amerykański świat nie do końca polega na samowoli i beztrosce, a często cechowany jest nie pogonią, a zwolnieniem tempa. *Zasada trzecia to istny kosmos. Generalnie wszyscy jadą tu z tą samą prędkością (gdzie podziłało się nasze przekraczanie dozwolonej prędkości, o ile się da, a nawet trochę więcej), nikt się nie spieszy i nikt specjalnie nie garnie się do wyprzedzania. Gdy spytasz Amerykanina o odległość między Waszyngtonem a Nowym Jorkiem, powie ci: „Od czterech do pięciu godzin”, między Waszyngtonem a Orlando na Florydzie: „Okolo czternastu godzin”. Dlaczego tak? Ano dlatego, że skoro wszyscy jadą z tą samą prędkością, czyli o jakieś pięć mil więcej niż wolno, to każdy będzie miał taki sam czas dojazdu.*<sup>547</sup> W tym przypadku coś, co dla Wrony będzie powolną jazdą, Baudrillard zamieni w filozofię życia, nadmieniając: *Inteligencja społeczeństwa amerykańskiego zawiera się w antropologii obyczajów samochodowych – bardziej pouczających niż idee polityczne. Wystarczy zrobić dziesięć tysięcy mil przez Amerykę, by wiedzieć o niej więcej niż wszystkie instytuty socjologii i nauk politycznych świata.*<sup>548</sup> Pozycja Wrony jest więc jednym z interesujących głosów w polifonicznej narracji dotyczącej Ameryki Północnej. Można przypuszczać, że także pewnie dzisiaj lub jutro wieczorem jego twarz i jego głos zagości w wielu polskich domach za sprawą albo telewizyjnej relacji na żywo, albo poprzez prezentację jakiegoś z reportaży. Literatura podróżnicza, choć przesłana już w pliku i wydrukowana jako książka, tworzy się zatem nadal i niemal pewną jest jej druga kiedyś część, choć autor „Wrony...” kończy zdaniem nie wskazującym na łatwy i szybki chleb za oceanem, pisząc: *Stany Zjednoczone nie są krajem idealnym. Mit o tym, że dolary leżą na ulicy i trzeba się tylko schylić, żeby je podnieść, odszedł w siną dal do przeszłości. Ludzie pracują tu niezwykle ciężko, żeby związać koniec z końcem, a mimo tych kłopotów i przeciwności losu jest fajnie. Warto spróbować, choć początki są bardzo, bardzo trudne.*<sup>549</sup>

Z pewnością czytelniczą uwagę przykuje także barwna i nad wyraz kolorowa publikacja (na blisko pięćset stron aż co czwarta stanowi całostronicową fotografię, nie licząc wielu pomniejszych zdjęć oraz kolorowej szaty graficznej przy samej edycji tekstu) Bartosza Gardockiego, tym bardziej, że anonsowana jest na okładce nagrodą *National Geographic Traveler* za najlepszy reportaż z podróży. Autor, trochę podróżnik, trochę dziennikarz i trochę prawnik, zwiedza część Stanów Zjednoczonych rozpoczynając swoją krótką wędrówkę od

---

<sup>547</sup> M. Wrona, *Wrony w Ameryce*, Warszawa 2012, str. 28.

<sup>548</sup> J. Baudrillard, *Ameryka*, Warszawa 2011, str. 68.

<sup>549</sup> M. Wrona, *Wrony w Ameryce*, Warszawa 2012, str. 238.

Nowego Jorku, by po kilku dniach przenieść się do San Francisco i stamtąd przewędrować przez kilka obrzeżnych stanów. Pobyt na Manhattanie kwituje podsumowaniem, że *Nie sposób opisać Nowy Jork w kilku akapitach. Nie wiem, czy w ogóle można opowiedzieć o tym zjawisku, wyczerpując temat. Podejmowali się tego artyści wszelkich sztuk. Miast to, jak mało które na Ziemi, było bohaterem niezliczonych filmów, piosenek, przedstawień, powieści, obrazów, zdjęć, spektakli...* Nie sposób wymienić tutaj wszystkie dzieła zainspirowane tym niezwykłym miejscem.<sup>550</sup> Warto w tym miejscu, jak się wydaje, przywołać nieco inny ogląd znad rzeki Hudson, gdy swoją refleksję snuje Wojciech Karpiński, Polak na stałe mieszkający w Paryżu, dla którego pobyt w Stanach Zjednoczonych posłużył jako kanwa do swoistej rozgrywki interdyscyplinarnej. W pewnym sensie zestawienie obu akapitów ukazuje, w jak dalekim stopniu może odbiegać od siebie opis jednego konkretnego miasta przez dwie podróżujące osoby. A jeśli dodatkowo przywoła się liczne już cytowane fragmenty, lub po prostu odda się rozczytaniu poszczególnych książek, dysproporcje mogą być naprawdę olbrzymie. Niezwykle świadczy to o edycyjnym pluralizmie, który pozwala z różną treścią dotrzeć do różnego czytelnika.

„Oglądanie Nowego Jorku zacząłem od Piątej Avenue. Byłem rozczarowany. To ma być stolica świata? Zachwycać się wysokością budynków? Nie chodzę z głową zadartą do góry. A zresztą rekordy techniki Małomnie interesują. Bogactwo sklepów? Wystawy Paryża czy Londynu na pewno nie są mniej szykowne. Ruch samochodów? Widziałem ulice szersze i bardziej zatłoczone. Wspaniałe perspektywy, kompozycje urbanistyczne? Nie tu ich szukać, chyba że zupełnie przypadkiem otworzy się w nocy widok na kontrapunktowy rytm wieżowców bądź o zmierzchu słońce zapali nurt Hudsonu rudą czerwienią. Po kilku godzinach dostrzega się bogactwo kształtów, po kilku tygodniach, po zobaczeniu wielu Nowych Jorków, fascynuje jedyne w swoim rodzaju spiętrzenie energii ludzkiej, stworzenie na niewielkiej przestrzeni otwartych, lecz skutecznych ram dla tak różnorodnych jednostkowych poczynań.”<sup>551</sup>

Książka Gardockiego nie jest metaforyczna – to podróżnicza kawa na łąkę. Gdzie mieszkać, jak jeść, za co nie płacić. Jak spać, z kim rozmawiać, gdzie pracować – bowiem autor dostał się USA w kontyngencie jednego z programów pomocowych, w ramach których trzy miesiące powinien spędzić w pracy, a dwa kolejne (jeden na początku i jeden na końcu) może wykorzystać na pobyt w Ameryce wg dowolnego własnego uznania. Podróżuje więc w miarę do woli, a nawet w czasie pracy stara się niczego nie przegapić. Na jego malowniczej

<sup>550</sup> B. Gardocki, *Oczy Wujka Sama*, Poznań 2012, str. 17.

<sup>551</sup> W. Karpiński, *W Central Parku*, Warszawa 2010, str. 33.

trasie jest więc jezioro Tahoe, olimpijskie Salt Lake City, Idaho, park krajoznawczy Yellowstone, Buffalo, Denver – no i oczywiście Wielki Kanion z licznymi niespodziankami. Dociera także do Las Vegas, do kolejowej i westernowej Yumy, by na końcu zobaczyć San Diego i Los Angeles. *Wszędzie w Stanach można dostrzec coś fascynującego. Wystarczy tylko odpowiedni się im przyjrzeć i oddzielić stereotypy powtarzane przez malkontentów od porywającej na każdym kroku rzeczywistości*<sup>552</sup> – sam dodaje. Autorowi nie można odmówić samozaparcia i wręcz huraoptymizmu, gdy nawet skacze ze spadochronem. Dla czytelnika, który zamierza odwiedzić zachodnie wybrzeże USA, publikacja Gardockiego może przysporzyć samych pozytywnych odniesień, a jego podróżnicze perypetie są świadectwem na taką wędrówkę, podczas której – jak chce Franz Kafka – istnieje tylko cel, ale nie ma drogi, bo to, co jest drogą, tak naprawdę jest wahaniem.

W całkiem natomiast innej konwencji swoją książkę o Stanach Zjednoczonych utrzymuje właśnie Wojciech Karpiński, dla którego USA nie tyle są podmiotem opowieści, a raczej drugoplanowym tłem ku rozważaniom innym niż podróżnicze.<sup>553</sup> Zanurza się więc w refleksję nad Nabokovem, nad Lechoniem, dla którego okno na Manhattanie było niestety ostatnim tragicznym oknem, nad Hockneyem. Przywołuje filozofię Alexisa de Tocqueville’a oraz wiedzie swoje przemyślenia w stronę amerykańskiego systemu politycznego. Autor nie jest ani podróżnikiem, ani wędrowcem. Nie jest też obieżyświatem – co najwyżej podróżnym i turystą, jednak jego publikacja sięga znaczenie głębiej niż wyświechtane stereotypy. *Od dłuższego czasu podróżowałem. Nigdzie nie zatrzymałem się na dłużej. Najczęściej wyjeżdżałem po jednym, dwóch dniach. Niekiedy budząc się, z trudem przypominałem sobie nazwę miejscowości, w której nocowałem. Cały czas, nie tylko gdy siedziałem w aucie, towarzyszyło mi wrażenie, jakbym oglądał Nowy Świat zza szyby potężnego samochodu: widoki są wspaniałe, rzeczywiste, o, tam, niemalże na wyciągnięcie ręki, dostrzegam je wyraźnie, ale oddzielony jestem od nich szybą, jestem tylko Gościem, tylko turystą w nieznaną okolicy, który za chwilę ustąpi krajom nowym, równie pięknym, równie przelotnym. Czy warto gonić uciekający do tyłu widok, gdy pędzi za nim inny, i jeszcze, a każdy odmienny,*

---

<sup>552</sup> B. Gardocki, *Oczy Wujka Sama*, Poznań 2012, str. 12.

<sup>553</sup> Paradoksalnie i symbolicznie można w tym miejscu przywołać także pozycję Waltera Sobchaka, psychologa i filozofa, który za tytułem „Druga Ameryka” kryje polską rzeczywistość po 1989 roku. W tym znaczeniu jego powieść opowiada o metaforycznym przesłaniu, jakie niesie w sobie mit Ameryki, gdy amerykański ląd staje się marzeniem i ideą. Oczywiście o tym zagadnieniu można także przeczytać w wielu innych publikacjach, a gdy np. Paul Theroux kończy pisać swój „Pociąg widmo...”, notuje w ostatnim akapicie: *Ludzie ledwie mieszczą się na globie, ale coraz więcej spędza dni, głodując, wyobrażając sobie Amerykę jako statek matkę*. P. Theroux, *Pociąg widmo do Gwiazdy Wschodu*. Szlakiem „Wielkiego bazaru kolejowego”, Wołowiec 2010, str. 689.



*zaskakujący wspaniałością.*<sup>554</sup> Autor w podobny sposób rozważa wiele kwestii, zadając tym samym pytanie o sens opisywania czegoś, co było i bezpowrotnie minęło. Staje tym samym na rozdrożu wyboru: pisać, czy nie pisać? Opowiadać, czy zaniechać? Dzielić się, czy zostawić dla siebie? *Nowość doświadczeń amerykańskich skłaniała często do milczenia. Jak bowiem nazwać dziwne zwierzęta nagle przeskakujące przez szosę w światłach naszego samochodu? Jak nazwać wielobarwne i wielokształtne formacje skały? I czy odnalezienie słów tu coś pomoże?*<sup>555</sup> W podobnym tonie utrzymana jest większość zapisków, co zresztą w przypadku autora-pisarza nie powinno dziwić. Karpiński w metaforyczny sposób obrazuje również wagę i sens korzystnej lektury przed wyjazdem, a także umiejętnie zwraca czytelniczą uwagę na konieczność różnorodnej podróźniczej refleksji opartej na rozlicznych tytułach. *W czasie amerykańskiej podróży z wielkopańskim gestem zatrudniałem licznych przewodników. Wciąż szukałem dalszych. Mieli przecież niełatwe zadanie: oswoić nowy kontynent. Zachowuję ich we wdzięcznej pamięci.*<sup>556</sup> Waga *travel literature* wydaje się nie do przecenienia.

Tych kilka „amerykańskich” książek z pewnością nie odzwierciedla wielkiego kontynentu (choć mowa tutaj tylko o USA – bez Kanady i Meksyku), jednak są bezspornym przykładem na obecność i tej także tematyki w szeroko rozumianym wydarzeniu publicystycznym, jakim na przestrzeni ostatnich przeszło dwudziestu już lat staje się polska literatura podróżnicza. Ogromne skupiska polonii amerykańskiej z pewnością toną w setkach własnych notatek oraz tu i ówdzie czynionych publikacji. Ameryka, na swój sposób polska ziemia obiecana, jest także bardzo często niemy i głośnym bohaterem licznej części twórczości zaliczanej do szeroko rozumianej literatury z półki prozy i poezji. Od powojnia stała się domem dla dużej części polskiej inteligencji, a rozmyślania samego Czesława Miłosza za swoje tło bardzo często mają po prostu cień powiewającej amerykańskiej flagi. Jednak ze wszech miar, jak się wydaje, konstatacje Jeana Baudrillarda, choć nie Polaka, wydają się najszerzej nawiązywać do każdego z przywołanych powyżej cytatów, a sprawa Nowego Jorku co rusz mogłaby otwierać nowy rozdział rozważań i przywołań.

„Mówi się, że w Europie ulice żyją, a w Ameryce są martwe. To nieprawda. Nie ma nic bardziej intensywnego, elektryzującego, żywotnego i rwącego niż ulice Nowego Jorku. Tłum, ruch uliczny, reklama wypełniają je z niewymuszoną swobodą, kiedy indziej zaś

---

<sup>554</sup> W. Karpiński, *W Central Parku*, Warszawa 2010, str. 42.

<sup>555</sup> Tamże, str. 163.

<sup>556</sup> Tamże, str. 25.

przemocą. Wypełniają je miliony wałęsających się ludzi, nonszalanckich, brutalnych, jakby nie mieli nic innego do roboty i bez wątpienia nie mają naprawdę do roboty nic oprócz tworzenia permanentnego scenariusza tego miasta. Muzyka jest obecna wszędzie, ruch uliczny jest intensywny, gwałtowny, lecz bezgłośny, to nie to, co nerwowy i teatralny ruch uliczny we Włoszech. Ulice i aleje nigdy tu nie pustoszeją. Ale jasna i przestronna geometria miasta oddala je zdecydowanie od tętniczej plątaniny europejskich uliczek.”<sup>557</sup>

I dalej:

„W Europie ulica żyje tylko w porywach, w chwilach dziejowych wydarzeń, podczas rewolucji, na barykadach. Na co dzień wszyscy dokądś pędzą, nikt już nie błąka się po mieście bez celu, włóczęgi należą do przeszłości. To tak jak z europejskimi samochodami: nie żyje się w nich, bo brakuje im przestrzeni – czy raczej przestrzeń ta uchodzi z publiczną, nosi na sobie piętno wszystkich oznaczeń sceny publicznej, ci jest równoznaczne z zakazem przekraczania jej granic i jej odwiedzania, jakby była pustynią albo ziemią niczyją. Amerykańska ulica nie zna być może wielkich momentów historycznych, ale jest zawsze ruchliwa, ożywiona, kinetyczna i kinematograficzna, na podobieństwo całego kraju, gdzie historia i polityka znaczą mało, lecz tempo zmian wspomaganym przez technologię, różnicę ras i media jest ogromne: wymusza je sam styl życia.”<sup>558</sup>

I dalej:

„W Nowym Jorku wir miasta jest tak potężny, a siła odśrodkowa tak wielka, że sama myśl o byciu we dwoje, o dzieleniu z kimś życia wymaga nadludzkiego wysiłku. Samotni, grupy pokoleniowe, gangi, mafie, inicjacyjne albo perwersyjne stowarzyszenia i tym podobne formy wspólnotowości mogą przetrwać, ale nie prawdziwy związek. To przeciwieństwo Arki, na której zwierzęta zaokrętowano w parach, by ocalały swój gatunek z potopu. Na nowojorską Arkę każdy wchodzi samotnie i każdego wieczoru sam musi poszukiwać ostatnich ocalałych na ostatnie party.”<sup>559</sup>

Jednak Ameryka Północna to nie tylko USA, ale także Kanada i Meksyk. Gdy o Kraju Klonowego Liścia trudno szukać podręczniczej publikacji, Meksyk ukazuje się wędrownym i czytelniczym oczom np. książką Mirosława Olszyckiego, autora programów telewizyjnych, fotooperatora i twórcy festiwalu podróżniczego „Mediatravel”. *Mirosław Olszycki tak ułożył własne itinerarium, by w podróży po Meksyku uwzględnić wszystkie ważniejsze cywilizacje prekolumbijskie, które ongiś kwitły w granicach obecnego państwa, a nawet poza nimi, bo w*

---

<sup>557</sup> J. Baudrillard, *Ameryka*, Warszawa 2011, str. 26.

<sup>558</sup> Tamże.

<sup>559</sup> Tamże.

poznawaniu cywilizacji Majów znalazł się również obszar dzisiejszej Gwatemali.<sup>560</sup> Autor z głęboką wnikliwością opowiada więc o związkach amerykańskiej prehistorii z czasami obecnymi, a zabytki traktuje z atencją godną większej sprawy. Pisze o Olmekach<sup>561</sup>, Aztekach i Majach. Tropi stare historie Zapoteków i Misteków. Odwiedza święte miejsca meksykańskiej cywilizacji i niejednokrotnie można odnieść wrażenie, że czuje się tam jak w domu. Przywołuje dziesiątki historycznych odwołań, a w swojej relacji stara się niczego nie pozostawić bez racjonalnej odpowiedzi – nawet jeśli racjonalizm staje się magią i wierzeniem. *Według starych meksykańskich przekazów dotyczących stworzenia świata, na początku była ciemność okrywająca wszystko. Ciemność ta trwała wieczność, aż do chwili, kiedy to Wielki Wąż Okryty Piórami, spoczywający do tej pory w wodzie, poprzez swe słowa i myśli powołał świat do istnienia.*<sup>562</sup> Licznymi fragmentami nawiązuje także do burzliwej przeszłości Meksyku, gdy najeżdżany przez Hiszpanów, grabiony i łupiony przez Europejczyków, na wszystkie możliwe sposoby walczył o własną niezależność. Dociera także do kraju poniżej meksykańskiej granicy.<sup>563</sup> *Tam, gdzie są drogi, tam znajduje się cywilizacja – ta stara maksyma dotyczyła także Gwatemali. Przy utwardzonych wapiennym kamieniem traktach kwitło życie. Sklepy, restauracje, kramy, było ich pełno i znajdowały się wszędzie. Na pustych parkingach obok drogi, we wsiach, w miasteczkach. Każdy postój autobusu wiązał się z wtaczaniem się do jego wnętrza dziesiątków handlarzy utrzymujących się ze sprzedaży prażonej kukurydzy, placków, różnych ciast, napojów, owoców.*<sup>564</sup> Cała skrętna publikacja Olszyckiego przesiąknięta jest intratnymi wtrąceniami o charakterze zarówno dotyczącymi szarej codzienności, jak również wiele mówi i źródłach historycznych, wokół których kraj

---

<sup>560</sup> J. Gać. W: M. Olszycki, *Meksyk. Szlakiem zdobywców*, Pelplin 2012, str. 8.

<sup>561</sup> Kilka lat temu nakładem wydawnictwa Amber ukazała się na polskim rynku księgarskim ciekawa publikacja Davida Hatcher Childressa, a zatytułowana „Tajemnica Olmeków”, w której autor z naukowo-badawczą metodologią mierzy się z prehistorycznym ludem. Pozycja ukazuje nie małą część dorobku starożytnej cywilizacji, a autor przedstawia zarania dziejów na terenach dzisiejszego Meksyku. Por. D.H. Childress, *Tajemnica Olmeków*, Warszawa 2008.

<sup>562</sup> M. Olszycki, *Meksyk. Szlakiem zdobywców*, Pelplin 2012, str. 27.

<sup>563</sup> Wartym w tym przytoczenia jest fragment ze „Starego Ekspresu Patagońskiego...”, gdzie Paul Theroux w ten oto obrazowy sposób opisuje meksykańskie pogranicza: *Trudno zapanować nad tymi nazwami. Gwatemala to kraj w kształcie kowadła, sąsiadujący z Meksykiem; Salwador jest małym państwem, ściśniętym przez wyrzucenie Hondurasu do prostokątnej tratwy, która okazała się nieprzydatna do pływania po Pacyfiku; Nikaragua to klin, Kostaryka zaś to mankiet rozciągniętego rękawa Panamy. W Belize nie ma linii kolejowych. Biorąc pod uwagę historię tych krajów – nie tylko zamieszek, wojen domowych i rewolucji, ale także silnych trzęsień ziemi oraz niesłabnącej aktywności wulkanicznej – należy uznać za cud, że nie zniknęły w morskich odmętach, tylko nadal istnieją. Kraje te leżą na jednym z najgorszych uskoku tektonicznych naszej planety, nad szczeliną wulkaniczną, która każdego roku grozi przesunięciem i połknięciem państw wraz z ich sporami. O dziwo, najbardziej szczytują one wulkanami: występują na godłach, pieniądżach, zajmują poczytne miejsce w lokalnych przesądach.* P. Theroux, *Stary Ekspres Patagoński. Pociągiem przez Ameryki*, Wołowiec 2012, str. 142.

<sup>564</sup> M. Olszycki, *Meksyk. Szlakiem zdobywców*, Pelplin 2012, str. 228.

znad Zatoki Meksykańskiej wyrósł. Autor wie, czego szuka i nie bez znaczenia, jak się wydaje, są dla niego liczne ślady odległej przeszłości, a warto w tym miejscu również nadmienić, że Olszycki miał okazję uczestniczyć kilka lat temu w zdobywczej wyprawie „Colca Condor 2008/2009” do najgłębszego kanionu na świecie – Kanionu Colca w Peru.

„A my, wędrowcy i podróżnicy, zapaleni entuzjaści poświęcający niekiedy całe życie na wyjaśnienie tajemnic naszego globu, obracając się ciągle w sferze domysłów, możemy jedynie, podczas przemierzania tysięcy kilometrów śladami zaginionych cywilizacji, pozwalać sobie na rozbudzanie naszej fantazji. W wielu przypadkach owa fantazja podparta jest wnikliwą obserwacją i prowadzeniem systematycznych badań, a w wielu oparta jest po prostu na intuicji lub zwykłej ludzkiej wyobraźni.”<sup>565</sup>

Jednak Meksyk to nie tylko Olszycki. Przy okazji afrykańskich reminiscencji była już mowa o podróżnicze z fotograficznym zacięciem, która penetruje świat, sprawnie dzieląc wędrowne przygody pomiędzy spisane sprawozdanie, a wielobarwny zbiór pikseli. Tym jednak razem Sonia Draga, wespół z towarzyszem podróży i współautorem publikacji, Łukaszem Gołębiewskim, dociera właśnie do Meksyku<sup>566</sup>. *Pragnęłam zobaczyć kraj, w którym z niewiadomych przyczyn wyginęły cywilizacje, poznać wspaniałą przyrodę i różnorodną kulturę oraz zweryfikować znajomość przyswajanego od paru lat języka hiszpańskiego*<sup>567</sup> – pisze we wstępie autorka. Barwnie ilustrowana relacja pokazuje heterogeniczny kraj pełen kontrastów i niecodziennych wydarzeń. Dla Dragi to trzecia z kolei wizyta i można odnieść wrażenie o swoistym zadomowieniu. Jest o mieście rekinów, o szamańskich rytuałach czy też o pradawnych Olmekach. Dla podróżniczego czytelnika, który planuje Meksyk odwiedzić, publikacja ta przybliży i oswoja z kulturą tak odmienną od europejskiej. *Meksyk nie jest niebezpiecznym krajem, nie bardziej niż inne w tym regionie, w którym wiele osób żyje na granicy ubóstwa. Zwłaszcza na prowincji i południu ludzie żyją spokojnie, z uśmiechem witają „gringo”, są życzliwi, choć zamknięci w sobie.*<sup>568</sup> Draga wiedzie czytelnika przez miasta i miasteczka, zagląda do wsi, słucha ludzi na zakurzonych rynkach. Opowiada o codzienności, a podróżując wynajętym samochodem ma możliwość

---

<sup>565</sup> M. Olszycki, *Meksyk. Szlakiem zdobywców*, Pelplin 2012, str. 276.

<sup>566</sup> Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na charakterystyczny fakt, że zarówno podczas podróży po Meksyku, jak i późniejszej podróży po RPA, Draga nie odwiedza opisywanych krajów tylko raz, jednak po wpiętej krótkiej wycieczce wykupionej w polskim biurze podróży, symptomatycznie dla obu przywołanych w niniejszej rozprawie publikacji powyjazdowych, decyduje się na kolejną wyprawę do poznanego już wcześniej kraju. W tym znaczeniu, można przypuszczać, jej powtórna penetracja danego obszaru kulturowego rodzi o autorki bardziej ekspresyjne doznania i dokładniejsze obserwacje, nie obarczone już towarzystwem grupy, do której z racji wykupionej wycieczki wcześniej należała.

<sup>567</sup> S. Draga, Ł. Gołębiewski, *Meksyk, kraj kontrastów*, Katowice 2007, str. 7.

<sup>568</sup> Tamże, str. 21.

zajrzenia w sam środek meksykańskiego świata. El Tajín. Becán. Calakmul. Gdy strudzeni wielogodzinną podróżą na kilka godzin wynajmują hotel, nad ranem okazuje się, że śpią w... domu publicznym.<sup>569</sup> Meksykańska przygoda zdaje się nie mieć końca, a wydana po powrocie publikacja, pełna kolorowych fotografii, stanowi intratne źródło wiedzy o tym, jak bezpiecznie zwiedzić najmniejszy kraj Ameryki Północnej. *Chcieliśmy pokazać to wszystko, czym kraj ten fascynuje, bo nawet jeśli przychodzą chwile zmęczenia i zniechęcenia, to zachwyty zdecydowanie przeważa. We wspomnieniach pozostają kolory, dźwięki, zapachy i smaki. I to wszystko staraliśmy się w naszej relacji z Meksykiem przekazać czytelnikom*<sup>570</sup> – dodaje na zakończenie Gołębiowski. Wybierając się do Meksyku, warto więc mieć pod pachą zarówno książkę Olszyckiego, jak i wnikliwą publikację Dragi i Gołębiowskiego.

Gdy jednak Amerykę Północną zostawi się za sobą, podążając wkrótce – trochę za wskazaniem Olszyckiego i Dragi, by szukać, – podróżniczymi śladami na południe, wielkie podwoje otwiera przed czytelnikiem ogromny obszar Ameryki Południowej z dwunastoma kolejnymi krajami. Mityczny kontynent Azteków i Majów ciągle czeka na konsekwentne wędrówki, a polskiej literatury podróżniczej tutaj bardzo mało. Po przebogatej literaturze dotyczącej swojej tematyką Azji i Afryki, południe amerykańskiego świata nie stanowi intratnej kanwy dla barwnych opowieści – więcej i fragmentarycznie o tej ziemi (podobnie jak w przypadku Ameryki Północnej) w relacjach dotyczących podróży dookoła świata niż bezpośrednich opisów z całego regionu, o poszczególnym kraju lub dwóch nie wspominając. Trudno w tym miejscu rozwickłać to zagadnienie, bowiem jak w przypadku Ameryki Północnej (USA, Kanady czy nawet Meksyku) odpowiedź nasuwa się raczej przez zwarte podobieństwo kulturowe, to w przypadku krajów i narodów na południe od Równika, lub tych tuż przy nim, rekuza nie jest taka prosta i oczywista (choć związki religijne nie są bez znaczenia). Być może dzieje się tak ze względu na koszty: zarówno te transportowe, jak i te bezpośrednio związane z pobytem i podróżowaniem – choć, jak się wydaje, lot do Tokio, Pekinu czy do Indonezji wcale nie jest krótszy (tańszy) niż do Caracas lub Rio<sup>571</sup>. Nie mniej jednak bariera Pacyfiku istnieje.

---

<sup>569</sup> Por. S. Draga, Ł. Gołębiowski, *Meksyk, kraj kontrastów*, Katowice 2007, str. 194.

<sup>570</sup> Tamże, str. 198.

<sup>571</sup> Rio de Janeiro, Stycziowa Rzeka, znajduje w tym miejscu swój ciekawy i nad wyraz interesujący opis w reportersko-lirycznej publikacji Paulo Linsa, a zatytułowanej „Miasto Boga”. Zważywszy na ogólny brak podobnych polskich opracowań, książka brazylijskiego pisarza, dawniej mieszkańca opisywanych faweli, tchnie autentycznością i rzetelnością opisu, a w krótkiej notce od Wydawcy, zamieszczonej na tylnej okładce, można przeczytać m.in.: *Tytułowe „Miasto Boga” to tani kompleks mieszkaniowy, który powstał w ramach projektu*

Nim ostatecznie wstęga podróźniczych opowieści dotrze na dobre do Ameryki Południowej, jednym z rodzyńków w cieście okazuje się książka Michała Głombiowskiego, dziennikarza współpracującego z czołowymi polskimi tytułami prasowymi i twórcy internetowego bloga „Podróże reportera”. Autor zwiedza z plecakiem Meksyk, Gwatemalę, północny Honduras i Salwador. I z rozmachem kreśli „Wieczorem przyjdź na zócalo”. *Zócalo to plac i otaczające go budynki, lecz najważniejsze jest jego serce. Wyspa pełna zieleni, wysokich drzew z wilgo wronami ukrytymi w gałęziach. Zócalo w Meridzie wygląda tak samo, jak w każdym innym mieście Meksyku, a pewnie i całej Ameryki Środkowej. Może jest bardzo okazałe, większe, a kolonialne budynki robią mocniejsze wrażenie. Zazwyczaj na zócalo stoi kamienna katedra z dwoma wieżami, ewentualnie kościół, ale on także musi mieć wieże.*<sup>572</sup> Zważywszy na praktyczny brak literatury porównawczej, nawet półki z polskojęzycznymi przewodnikami śmiało milczą, publikacja Głombiowskiego zasługuje na uznanie. Autor przekracza wraz z przyjaciółmi latynoskie granice i w opisach pokazuje świat niecodzienny, kolorowy – choć miejscami groźny i czujny. *Teraz siedzieliśmy na krawężniku przy Avenida Tulum, patrząc na wilgo wrony. Ulicą przejechał policyjny chevrolet pick-up. Po obu stronach pojazdu, na progach przy drzwiach, stało dwóch mężczyzn w ciemnych okularach, z długą bronią przewieszoną przez ramię. Samochód sunął powoli, a policjanci robili odpowiednio groźne wrażenie. Omiotli nas wzrokiem.*<sup>573</sup> Zwiedzają m.in. meksykańskie Cancun, Meridę, gwatemalskie Todos Santos, Antigüę, Montericco, salwadorskie El Tunco, honduraskie Copan, czy też Tikal i Livingston znów w Gwatemali. Włóczą się po okolicy, a ich wyprawa nie ma charakteru szybkiej pogoni i bezpardonowej wędrówki-maratonu. Mają czas, a zócalo stanowi dla nich punkt odniesienia. Borykają się cierpliwie z amerykańską codziennością. *Notoryczny brak wody w kranie był jedynym mankamentem hotelu przy głównej, pokrytej betonowymi płytami ulicy miasteczka. Dostaliśmy pokój na piętrze drewnianego, zbitego z grubych bali domu, do którego wchodziło się zewnętrznymi schodami prowadzącymi na galerijkę.*<sup>574</sup> Przywołują historyczne prawdy, czując po kościach, że stąpają po kruchym ludzie terażniejszości, gdy przeszłość – choć wielka – odeszła w zapomnienie.

---

rządowego, aby zapewnić dach nad głową i lepsze warunki życia mieszkańcom dzielnic nędzy zniszczonych powodzią. Ludzie wprowadzili się tam z całym bagażem obyczajowym i kulturowym brazylijskich slumsów. Przynieśli ze sobą nędzę i analfabetyzm, sambę i kulty afro brazylijskie, futbol i tanie knajpy, przestępczość i narkotyki, prowizorkę i brak nadziei. Bohaterem zbiorowym „Miasta Bogów” jest społeczność kolorowych: wiejskich imigrantów, miejskiej biedoty i cwaniaków, prostytutek i handlarzy narkotyków. W: P. Lins, *Miasto Boga*, Warszawa 2006.

<sup>572</sup> M. Głombiowski, *Wieczorem przyjdź na zócalo*, Kraków 2013, str. 47.

<sup>573</sup> Tamże, str. 11.

<sup>574</sup> Tamże, str. 295.

*Majowie, niezrównani specjaliści od matematyki, arytmetyki i astronomii, posługiwali się na co dzień aż trzema kalendarzami. Każdy kolejny był bardziej skomplikowany.*<sup>575</sup> Publikacja, napisana żywym i ciepłym językiem, z pewnością przysporzy autorowi wielu czytelników, a zawarte w niej opisy każdemu, kto planuje podróż w tamtą stronę, może posłużyć za interesujący przewodnik i mapę. Warto w tym miejscu zwrócić także uwagę na horrendalną wręcz różnicę w formie publikacji, gdy o tych kilku krajach, w ramach swojej podróży dookoła świata, piszą Justyna Minc z Pauliną Pilch (książka przywołana będzie w jednej z następnych części rozprawy, gdzie mowa jest o podróżach dookoła świata). Gdy ma się w ręce obie publikacje, dopiero wtedy widać wyraźnie trudną do wykazania na pierwszy rzut oka różnicę, a widoczną najbardziej po dłuższej nieco lekturze i głębszym porównawczym zastanowieniu. Można także śmiało powiedzieć, że obie pozycje, choć tak inne od siebie, stanowią jednak dwa odrębne narzędzia potrzebne do opisu świata, a metaforycznie mogą wyglądać jak dwa monterskie klucze o tym samym rozmiarze i do tej samej śruby, gdy jednak pierwszy będzie nasadowym, a drugi zwykłym, bocznym. Innymi słowy: dwa narzędzia do tej samej sprawy. Minc z Pilch „przelatują” (*Nie odwiedziłyśmy, wbrew pierwotnym zamierzeniom, Salwadoru, a przez Honduras dosłownie przemknęłyśmy*<sup>576</sup>), gdy Głombiowski ze znajomymi siadają na zócalo. *Starsze Indianki, które nie musiały już piec placków, korzystały z przywilejów wieku i siedziały na chodniku w miejscu, gdzie zatrzymał się autobus. Wszystkie były okute w niebieskie pasiaste derki i czarne wełniane spódnice, spod których wylaniały się bosc stopy. Nieliczne młodsze kulily się z zimna, zakrywając twarze dłońmi w naciągniętych na nie rękawach bluz, ale te też miały bosc stopy w skórzanych sandałach i najwyraźniej nogi im nie marzły.*<sup>577</sup> Albo dalej: *Trudno nie polubić Salwadoru. Poczuliśmy się w nim dobrze już na moście nad wyschniętą rzeką Paz, oddzielającą kraj od Gwatemali, spotkawszy celników, wesołych i uradowanych naszym widokiem. Byli zachwyceni naszym pomysłem wizyty w Salwadorze i zapewniali z przekonaniem, że nie musimy mieć żadnej pieczętki świadczącej o przejściu granicy, jeżeli tylko mamy stempel wjazdowy do Gwatemali.*<sup>578</sup>

Natomiast drugim rodzyńkiem będzie bez wątpienia barwna opowieść Magdy i Marcina Musiałów, kroczących przez kilka krajów w rytmie drogich im i skocznych tańców. *Trasa wyprawy pobiegnie przez Nikaraguę, Kostarykę, Panamę, Kolumbię i Wenezuelę.*

<sup>575</sup> M. Głombiowski, *Wieczorem przyjdź na zócalo*, Kraków 2013, str. 265.

<sup>576</sup> J. Minc, P. Pilch, *Dziewczyńska podróż dookoła świata*, Łódź 2013, str. 217.

<sup>577</sup> M. Głombiowski, *Wieczorem przyjdź na zócalo*, Kraków 2013, str. 147.

<sup>578</sup> Tamże, str. 211.

*Chcemy, by ta podróż dała odpowiedź naszemu głodowi przygód, chcemy dotrzeć do źródeł naszych ulubionych tańców – salsa i bachaty – oraz odnaleźć skarby, które czekają na nasze odkrycie.*<sup>579</sup> I podobnie jak wielu cytowanych już wcześniej poprzedników – ruszają odważnie w drogę. Z uśmiechem, nadzieją i otwartą na przygody głową. *Ta książka opowiada o marzeniach, które stały się rzeczywistością. O ludziach poznanych w drodze. O licznych niesamowitych przygodach, które mogły przytrafić się każdemu. Te historie wydarzyły się naprawdę. Mało tego, one przydarzyły się nam. Wszystkie...*<sup>580</sup> Relacjonują o zastanej codzienności i przenoszą się z kraju do kraju. Włóczęga kosztuje ich dużo wysiłku. Brudni i odrapani. Można powiedzieć, że zdezelowani. *Mówi się, że powyżej jednego centymetra brud powinien sam odpaść. W tym przypadku ta reguła nie działa: brud jest mocno zatłuszczony, więc odpadać nie chce.*<sup>581</sup> Dla czytelnika ich opowieści mogą brzmieć prawdopodobnie, a wspólna wyprawa ma jeszcze jeden kontekst, a mianowicie w tle podróży pojawia się postać Kamila, niepełnosprawnego młodzieńca, wokół którego w jakimś sensie całe to wędrowne zamieszanie się kręci. *Podczas naszej wyprawy oraz po jej zakończeniu zachęcaliśmy ludzi do wspierania Kamila. Po powrocie organizowaliśmy licytację zdjęć z naszych podróży, przeprowadzaliśmy zbiórki pieniędzy podczas slajdowisk i festiwali podróżniczych. Zebrane fundusze poszły na zakup protezy dla Kamila, który przeszedł operację przeszczepu mięśni z pleców na nogę i kończy rehabilitację. Czuje się świetnie pod opieką lekarzy, jest po uszy zakochany i układa sobie życie.*<sup>582</sup> Małżeństwo Musiałów, co warto w tym miejscu dodać, poznało „swojego” Kamila przez Jasia Mełę, który swego czasu wraz z polarnikiem Markiem Kamińskim<sup>583</sup>, jako osoba także niepełnosprawna, zdobył w jednym roku dwa bieguny. W tym ujęciu i podróż, i literatura podróżnicza niejako nadbudowuje kolejne znaczenia, stając się nośną platformą dla altruistycznych poczynań.

Dwa lądy oddziela od siebie basen Morza Karaibskiego: z Zatoką Moskitów, z Zatoką Honduraską, z Cieśniną Jukatańską. A wszystko pełne marlinów. Wierne wspomnienia snuje z tego obszaru także Agnieszka Buda-Rodriguez, jednak jej opowieść nie dotyczy, niestety, żadnej z Ameryk, a Kuby – wyspy oblanej właśnie Morzem Karaibskim, częścią Zatoki Meksykańskiej i Morzem Sargassowym. Czyż może być lepsze położenie dla podróżniczej

---

<sup>579</sup> M. i M. Musiałowie, *Tańce wśród piratów*, Kraków 2013, str. 92.

<sup>580</sup> Tamże, str. 10.

<sup>581</sup> Tamże, str. 111.

<sup>582</sup> Tamże, str. 324.

<sup>583</sup> Podróżnicza publikacja Marka Kamińskiego zostaje omówiona na zakończenie podrozdziału traktującego o podróżach dookoła świata.



publikacji? Jednak Polka nie mieszka w Polsce, ani na Kubie. Jest mieszkanką Kanady, gdzie emigrowała wraz z mężem już jakiś czas temu. *Jestem Polką mieszkającą obecnie w Kanadzie. Do kraju klonowego liścia przybyłam z Kuby, gdzie mieszkałam ponad dwadzieścia lat. Poza krajem ojczystym spędziłam dwie trzecie mojego życia. Jestem obieżyświatem, lecz tęsknię do korzeni, które są nie tylko w Polsce, ale i tutaj, na kontynencie amerykańskim, szczególnie bujne i mocno wrośnięte w pejzaż karaibskiej wyspy.*<sup>584</sup> Mając doświadczenie przebywania na Kubie tak długo, opowiada o kraju językiem perypetii i ciekawych wydarzeń. Kreśli niewielki wstęp historyczny, a potem opowiada o wyspie. Mimo ciekawych i wiernych wspomnień, ma jednak świadomość, że Kuba nie jest tą Kubą, jaką mogłaby być. *Zdania na temat Kuby i jej mieszkańców pełne są stereotypów. Chciałabym je obalić. Opowiedzieć o zamożnym kiedyś kraju zwanym perłą Antyli, o jego stolicy Hawanie, dawniej urzekającej, szczytującej się sławą Paryża Ameryki, dziś zrujnowanej. O tym, jak komunizm potrafił zniszczyć wszystko, co kraj ten miał najlepszego: od eleganckich, pełnych wystaw ulic hawańskich, do zadbanej plantacji trzciny cukrowej, cytrusów, tytoniu, które dawały bogactwo, poprzez odebranie ludziom tego, co dla nich najcenniejsze – wiary. O wielu rzeczach, o których trudno dowiedzieć się podczas wakacyjnego, krótkiego pobytu.*<sup>585</sup> Zżyma się na polityczną sytuację i w niej upatruje główne źródło niepowodzeń zasobnego lecz zdefraudowanego kraju. *Rewolucja pozbawiła Kubę splendoru, a propaganda komunistyczna zrobiła z niej ubogi kraj, któremu dopiero komunizm miał przynieść dobrobyt. Wiemy, czym się to skończyło...*<sup>586</sup> Książka stanowi więc na poły prywatną opowieść o życiu w kubańskim świecie, pełna jest opisów osobistych historii i przywołuje obrazy, które przez lata towarzyszyły autorce na antylskiej wyspie. Sentymentalne wspomnienia, wplecione w rodzinne historie, przywołują dziesiątki drobnych faktów oraz pokazują przyjaznych ludzi, z którymi polsko-kubańskie małżeństwo się spotykało – zarówno na polu prywatnym, jak i zawodowym. Dla podróżniczego czytelnika, chcącego wybrać się do Hawany i okolic, ale także w najdalsze zakątki słonecznej wyspy, pełnej rumu i cygar, publikacja Budy-Rodriguez stanowi nieocenione źródło innej, niż przewodnikowa i ogólnodostępna, wiedzy. Ponadto przy zakończeniu autorka dodaje w ramach „plotkarskiego vademecum” podręczny słowniczek popularnych na Kubie zwrotów i terminów – objaśniając np., że *Jinetera* *znaczy dżokejka. Nazwa „jinetera” w żargonie ulicznym oznacza prostytutkę specjalizującą się w sztuce miłości zarezerwowanej tylko dla dolarowych cudzoziemców. Ten stary jak świat zawód*

<sup>584</sup> A. Buda-Rodriguez, *Kuba daleka piękna wyspa*, Poznań 2009, str. 7.

<sup>585</sup> Tamże, str. 10.

<sup>586</sup> Tamże.

*przeżywa obecnie renesans na Kubie. Pretendują do niego nie tylko piękne, ale i wykształcone córki rewolucji*<sup>587</sup> albo że oro znaczy złoto, a pierwszym, który szukał złota na Karaibach, był Krzysztof Kolumb. Niestety nie znalazł.<sup>588</sup>

Jednak książka Agnieszki Budy-Rodriguez, oprócz całej swojej warstwy poznawczej, stanowiąc bez wątpienia ciekawy i oryginalny sposób opisu symbolicznej wyspy – jednego z ostatnich reżimowych bastionów – jest także przykładem takiej literatury podróżniczej, która ma w sobie niejako dwoje drzwi: otwarte i zamknięte, gdy za cenę książki płaci się w bardzo twardej walucie – w dolarach wolności. *Wydaniem tej książki zamknęłam sobie drogę powrotu na wyspę, dopóki reżim Fidela Castro trwa.*<sup>589</sup> Szczerze opisy mają swoją cenę, a odmowa udzielenia wizy wjazdowej może okazać się nie raz skutecznym administracyjnym kneblem. W tym kontekście znana powszechnie jest również sytuacja polskiej dziennikarki i publicystki Krystyny Kurczab-Redlich, która od kilku lat za krytyczne wobec Kremla artykuły i książki, spotyka się z odmową otrzymania pozwolenia na wjazd na terytorium Federacji Rosyjskiej. Sytuacja taka przywodzi na myśl pojęcie autocenzury, gdy spodziewane reperkusje wymuszają na autorze taką budowę tekstu opracowania, by nie spowodować publikacją dolegliwych konsekwencji. Pokazuje to także wagę, jaką mimo wszystko państwa niedemokratyczne przywiązują do podobnych syntez – z ich punktu widzenia szkodliwych i niepożądanych, a jedyną ich bronią jest obowiązek wizowy. Okoliczności takie były także symptomatyczne w przypadku Ryszarda Kapuścińskiego, jednak z tym zastrzeżeniem, że to jego współpraca z komunistycznym wywiadem kazała mu potem, w obawie przed różnymi konsekwencjami, nieco skorygować własne zapisy. *Współpracą z wywiadem wyrządził krzywdę przede wszystkim sobie, a świadomość tego przyszła dobrych parę lat po jej zakończeniu. Gdy w połowie lat osiemdziesiątych w Ameryce wychodził szachinszach, Kapuściński sam, bez niczyich nacisków – to moje przypuszczenie – usunął fragmenty dotyczące kluczowej roli CIA w obaleniu irańskiego premiera Mosaddegha w 1953 roku.*<sup>590</sup> Takich sytuacji jest pewnie więcej, jednak nie często wypływają na światło dzienne. Nie mniej jednak tworzenie literatury podróżniczej potencjalnie może leżeć w domenie zainteresowania różnych służb danego kraju – i z pewnością tak się dzieje.

---

<sup>587</sup> A. Buda-Rodriguez, *Kuba daleka piękna wyspa*, Poznań 2009, str. 354.

<sup>588</sup> Tamże, str. 255.

<sup>589</sup> Tamże, str. 9.

<sup>590</sup> A. Domosławski, *Kapuściński non-fiction*, Warszawa 2010, str. 520.

Od politycznych komentarzy nie stroni także Krzysztof Mroziewicz, znany dziennikarz i dyplomata, ambasador w Indiach i Nepalu, korespondent wojenny w Nikaragui, Afganistanie i na Sri Lance. Wydaje on wznowioną po latach i poszerzoną „Fideladę”. Pierwsza część tej książki została opublikowana jeszcze w roku 1978, a wtedy autor zatytułował ją „Guantanamo. Korespondencja z Hawany”. Można więc powiedzieć, że w jakimś sensie pisał swoją opowieść przez trzydzieści lat, a dwa światy, jakie ukazuje w publikacji, na terenie Kuby zlewają się w jeden, niezmienny od dziesięcioleci obraz. Mroziewicz opisuje Kubę innymi oczyma niż Buda-Rodriguez. Może dzieje się tak ze względu na charakter jego pracy zawodowej, gdzie polityczne kontakty i układy wydają się odgrywać ważką rolę. Opisy dotyczą systemu, szerszych aspektów gospodarczych, zjawisk społecznych – nie rzadko o dwuznacznym wydźwięku: *Seks na Kubie, mimo rygorów obyczajowości i propagandy socjalistycznej radzieckiego chowu, był wszechobecny i żaden gorset nie potrafił go zdusić. Działały „posady”, czyli hotele na godziny, były czynne kluby, jak Szeherazada, w których panowały egipskie ciemności i gdzie kelner mógł jedynie mikroskopijną latareczką oświetlać kwotę na rachunku.*<sup>591</sup> Dziennikarz obserwuje, wyciąga wnioski z czytanych gazet i medialnych komentarzy. Gdy Buda-Rodriguez przywołuje rozmowy ze zwykłymi ludźmi, Mroziewicz szacuje społeczeństwo. Wskazuje na mechanizmy. *Chiny inwestują w Kubę około miliarda dolarów rocznie. Ale nie są to inwestycje militarne. Budują przyczółek, bo zajęły już miejsce Rosji jako drugie supermocarstwo i chcą mieć nie tylko Chinatown w Los Angeles, ale także „lotniskowiec” u wybrzeży, na którym montują rowery, podstawowy dziś na Kubie środek lokomocji.*<sup>592</sup> Dla podróżnika taka komunikacyjna informacja może mieć niebagatelne znaczenie, a Kuba jeszcze nie raz będzie sobą fascynować. Jednak zabieg edytorski, jakiego dokonuje Mroziewicz, wydając niejako dwie książki w jednej okładce, pokazuje także Kubę jako kraj stagnacji i swoistego niedorozwoju – *...Kuba byłaby dziś dostatnim krajem. Ale za rządów braci Castro trudno to sobie wyobrazić, ponieważ obydwoj są tępymi doktrynerami*<sup>593</sup> – natomiast uważnie śledząc życiowe losy autora, można byłoby zadać wiele interesujących pytań dotyczących i jego przeszłości, i fascynacji komunizmem, i powiązań z tą stroną świata, do której Kuba jeszcze nie tak dawno należała, jednak z tym zastrzeżeniem, że Wyspa została do dziś dnia w tym samym miejscu, a jej polityczni i systemowi protektorzy zbankrutowali i umarli. W tym znaczeniu emigracyjna opowieść Budy-Rodriguez pozwala na takie

---

<sup>591</sup> K. Mroziewicz, *Fidelada*, Poznań 2011, str. 218.

<sup>592</sup> Tamże, str. 396.

<sup>593</sup> Tamże, str. 370.

podróżnicze zestawienia, które nie tylko po raz kolejny dotyczą samych książek i opowieści, ale także, a może przede wszystkim, wskazują na złożoność ludzkich historii, gdy osobną kartą książki staje się sam autor publikacji, uwikłany w losy powojennych historii. Wtedy podróż dzieje się w podróży, a termin „ograbienia” nabiera kolejnego znaczenia.

Niemal w czterokrotnie większej odległości, jaka dzieli na północ Kubę, Haiti i Dominikanę od stałego lądu Ameryki Środkowej, na samym przeciwległym południu tego szlaku, tuż pod Zwrotnikiem Koziorożca, znajduje się Wyspa Wielkanocna, będąca bohaterką opracowania Zdzisława Jana Ryna – profesora psychiatrii, byłego ambasadora RP w Chile, Boliwii i Argentynie, prywatnie podróżnika i zapalonego badacza antropologii Indian Ameryki Łacińskiej. *Celem tej książki jest m.in. opis medycyny tradycyjnej i medycyny profesjonalnej na Wyspie Wielkanocnej. Początkowo autor zamierzał ograniczyć temat do medycyny tradycyjnej uprawianej współcześnie przez miejscowych uzdrowiaczy („taóte”). Jednak wobec braku w języku polskim opracowań o Rapa Nui wydało się celowe ukazanie aspektów medycznych na szerszym tle. Uwzględniono więc aspekty historyczne, demograficzne, antropologiczne, etnograficzne, religijne i archeologiczne.*<sup>594</sup> I taka jest ta książka. Przedstawia bezprecedensowy przykład przewodnika po mitycznej ziemi, bowiem *Rapa Nui ze swoimi trzydziestoma tysiącami obiektów archeologicznych uchodzi za największe muzeum świata pod gołym niebem. Wyobraźmy sobie trzydzieści tysięcy stanowisk archeologicznych na wulkanicznej wyspie o wymiarach 16x18x24 kilometrów; w tym około tysiąca kamiennych posągów, które – chociaż w większości powalone – stały się ikoną wyspy. O tej niezwyklej wyspie opublikowano około dwóch tysięcy książek!*<sup>595</sup> Z pewnością dla każdego podróżnika taki zasób wiedzy stanowi niebagatelny materiał porównawczy, a wyprawa na wyspę nie lada pokusę. *Rapa Nui (Wielka Wyspa), Te Pito o Te Henua (Pępek Ziemi), Isla de Pascua (Wyspa Wielkanocna). Równie dobrze mogłaby się nazywać „końcem świata”, z powodu swojej izolacji jest bowiem jednym z najpóźniej zaludnionych miejsc na Ziemi*<sup>596</sup> – wyjaśnia autor, a cała jego obszerna publikacja pełna jest podobnych, wręcz encyklopedycznych, informacji. *Dzisiaj wyspa należy do Chile i chilijskie linie lotnicze LanChile utrzymują regularne loty z Santiago na lotnisko Mataverí. Lot trwa pięć i pół godziny.*<sup>597</sup> Autor z ogromną pieczołowitością dokumentuje kilka swoich pobytów na wyspie, a jego opracowanie kipi od faktów historyczno-geograficznych oraz ciekawostek z pogranicza

---

<sup>594</sup> Z.J. Ryn, *Wyspa Wielkanocna*, Kraków 2013, str. 15.

<sup>595</sup> Tamże, str. 8.

<sup>596</sup> Tamże, str. 7.

<sup>597</sup> Tamże, str. 14.

magii, religii, antropologii – i w ogóle kultury. Kanibalizm? – *Ludność Rapanui nie była tu odosobniona. Kanibalizm był traktowany jako akt sakralny, poprzez który bóstwo przekazywało ludziom swą moc „mana”*.<sup>598</sup> Ambadorska publikacja nie jest jednak typową książką podróźniczą, choć w swoim zakresie tematycznym zawiera pełną optykę spojrzenia na tak odległy ląd z punktu widzenia oczekującego wiedzy i rzetelnej relacji czytelnika.

Tuż pod Zwrotnikiem Koziorożca, nieco na bok od Wyspy Wielkanocnej, raptem sterując kilkaset mil morskich na zachód, leżą oblane Pacyfikiem cztery małe wyspy, z których jedna słynie z dwóch znamienitych wydarzeń. Jednakże obie historie, choć oddzielone od siebie dwustoma latami historii, mają wspólny mianownik – a mianowicie bunt. W 1790 roku dotarła tam na żaglowcu i schroniła się część buntowników z Bounty wraz z kilkunastoma niewolnikami (kobiety i mężczyźni) z Tahiti. Dwa wieki później miniaturowy archipelag jest scenerią wydarzeń związanych, niestety, z przestępstwami seksualnymi. I o tym właśnie swoją książkę napisał Maciej Wasilewski. – *Podziwiam odwagę Molly. To ta, która powiadomiła policję o gwałtach, która dała odwagę innym. W pierwszej chwili pomyślałam, że jest samobójczynią, że wdepczą ją w ziemię. Podobno była na skraju wytrzymałości. Kierowała nią wściekłość, to musiał być ten graniczny stan, który można pomylić z opanowaniem albo hipnozą. Żadna nie potrafiła się wcześniej zebrać, opowiedzieć. Wszystkie liczyły na to, że zrobi to inna. Kochana Molly. Jakaś siła nakazała jej bunt*.<sup>599</sup> Nie dość dodać, że gdy autor spisywał zastaną historię, na Pitcairn mieszkało raptem sześćdziesiąt osób, a dziś ogólnodostępne media podają liczbę nie przekraczającą pięćdziesięciu mieszkańców. Wasilewski (trudno w takiej sytuacji zachować pozę inną niż intruz i wścibski dziennikarz) opowiada o tych smutnych dla wyspy historiach, ale trudno przypuszczać, by ktoś podążył jego kursem. Czytelnik widzi wydarzenia spisane ręką podróźnego reportera – i to musi mu wystarczyć. Jest jednak w tej historii, jak się wydaje, jeszcze jeden wspólny mianownik, który cztery małe wyspy wiąże nie tyle z ich historią, ile bardziej z kresem świata, gdy Wasilewski opowiada: *Idę na cmentarz, jest w ruinie. Zapadłe groby przypominają o istnieniu wędrowców, których zabiły włócznie, choroby weneryczne, astma. Życie kończyli tu mnisi, ewangelizatorzy, handlarze, łowcy fok i wielorybnicy. Cała ich różnorodność zamieniła się w jednakowe mogiły*.<sup>600</sup>

---

<sup>598</sup> Z.J. Ryn, *Wyspa Wielkanocna*, Kraków 2013, str. 160.

<sup>599</sup> M. Wasilewski, *Jutro przypłylnie królowa*, Wołowiec 2013, str. 160.

<sup>600</sup> Tamże, str. 157.

Gdy jednak maleńką Pitcairn i symboliczną Wyspę Wielkanocną, wcześniej z Kubą i całym panamskim przesmykiem, zostawi się za sobą, dla czytelniczego podróżnika południowoamerykańską przygodę warto w tam miejscu zacząć od ponownego zwrócenia uwagi na istnienie intratnych opisów w ramach relacji dookoła światowych, a gdy przychodzi zmierzyć się z konkretną już literaturą miejsca, na pierwszy plan wysuwa się oto niedawna publikacja Asi i Ediego Pyrków, którzy wespół ze swoim ośmioletnim synem Mateuszem penetrują z zapalem Amerykę Południową – poniżej Równika. *Jadąc w podróż „prawie dookoła świata”, mieliśmy dwa zadania – po pierwsze, zebrać materiały o polskich emigrantach dla nowo powstającego w Gdyni Muzeum Emigracji, a po drugie, dla Wydawnictwa Pedagogicznego Operon znaleźć odpowiedź na pytanie: Czy prawdziwa edukacja to ciągle powtarzający się ciąg relacji Mistrz-Uczeń?*<sup>601</sup> Ich nietuzinkowa opowieść zaczyna się jednak nie od amerykańskiego kontynentu, a od Terra Australis Incognita – od miejsca, które już na początku naszej ery starożytny Ptolemeusz umieścił na swojej mapie. Zwiedzają więc i opisują kraj Aborygenów, by następnie przenieść się w relacji jeszcze na chwilę do USA, a potem już tylko do Ameryki Południowej. Brazylia, Argentyna. Chile, Peru. Kreślą swój podróżniczy świat odwiedzając znane i popularne miejsca, jednak nie brakuje im czasu i siły, by realizować ekspedycyjne zamierzenia. W dużej części ich szlak jest polskim szlakiem, a spotkani rodacy chętnie opowiadają im swoje historie, i jak celnie zaznaczają autorzy: *W tej książce jest niestety tylko kilka ich historii. Po prawdzie to każdy z naszych bohaterów zasługuje na oddzielną książkę.*<sup>602</sup>

Opowieść Pyrków jest barwna i działa na wyobraźnię. Jednak w odróżnieniu do wielu podobnych do siebie na pierwszy rzut oka publikacji, autorzy bardziej zdają się opowiadać o miejscach i ludziach z wędrownego szlaku niż o sobie i swoim podróżniczym kieracie. Takich wzmianek praktycznie nie ma, a jeśli się pojawiają, to w kontekście jednego z wydarzeń. Są wyraźnie zafascynowani światem, który widzą, a różnice i ciekawostki podają w zwartych i humorystycznych opisach: *Na plaży Copacabana nie ma ładnych kobiet. Chociaż możliwe też, że byłem na niewłaściwym kawałku plaży. Podobno w zależności od tego, jak ładny jesteś, możesz przyjść na konkretny kawałek plaży. Jest więc plaża dla brzydkich, ładnych, takich OK. i jest też dla bardzo ładnych, i dla szczególnie ślicznych. Choć ci ostatni mają naprawdę niewielki kawałek plaży.*<sup>603</sup> Ich publikacja stanowi ciekawe spectrum spojrzenia na świat

---

<sup>601</sup> A. i E. Pyrek, *Światy Równoległe*, Warszawa 2012, str. 5.

<sup>602</sup> Tamże, str. 6

<sup>603</sup> Tamże, str. 163.

oczyrna ludzi, którzy nie jadą w podróż dla samej podróży, zdobycia jakiegoś wyznaczonego miejsca czy przejechania jakiegoś takiego czy takiego odcinka trasy. Podróżują dla zebrania wiedzy. I nie są to wiadomości, które leżą na ulicy, a bardziej te, wyszarpane odwiedzanym miejscom czy spotkanym ludziom wg ich własnego klucza. W tym znaczeniu po raz kolejny przychodzi na myśl metaforyczny tytuł niniejszej rozprawy, gdy „podróż ograbiona” będzie zabieraniem świata tego, co bardzo często ma za jedyne i jednostkowe, niepowtarzalne i oryginalne. *Najlepiej mają biali. Oni są na samym szczycie łańcucha pokarmowego. Potem są Metysi, po nich Indianie, a na samym końcu czarni. Od bieli do czerni. Pełne spectrum. Jeszcze niżej są dzieci ulicy. Kolorowe dzieci ulicy. W samej Limie jest prawdopodobnie kilkanaście tysięcy dzieci ulicy, większość z nich uciekła z domu, kiedy miały 5-6 lat. Te dzieciaki są często wykorzystywane do sprzedawania narkotyków, prostytucji, kradzieży.*<sup>604</sup> „Światy Równoległe”, choć wydane na kredowym papierze z dziesiątkami barwnych fotografii (co strona, to jedno, dwa zdjęcia) stanowią jednak ciekawe i interesujące ujęcie, gdy podróżnik stara się zanurzyć w otaczający go świat i dotrzeć do ukrytej przed jego powierzchownym wzrokiem wiedzy. Być może publikacja ta, nieco rozbudowana i zredagowana do innej formy wydawniczej, mogłaby bez przeszkód stanowić książkę o charakterze bardziej problemowym i kulturoznawczym, niż tak jak w kształcie obecnym być gamą kolorów i żalem po nierozwiniętych przemysleniach.

Historia Piotra Strzeżysza, dzielnego i upartego rowerzysty, który dwa razy udał się na objazd strzelistego Tybetu, z tym zastrzeżeniem, że drugą wyprawę zorganizował zimą (!), była już przytaczana przy okazji kwerendy publikacji podróżniczych dotyczących Wschodu. Jednakowoż tym razem czytelnik ma okazję przeczytać kolejną książkę autora – tym razem o podróży na dwóch kółkach przez Andy i Kordyliery. *Pomysł wydawał się prosty. Pojechać do Chile, kupić najtańszy, w miarę sprawny rower i przepedałować na nim do Patagonii przez drogę zwaną Carretera Austral. Raz w życiu chciałem sobie oszczędzić przepraw na lotnisku z rowerowym pudłem, zastanawiania się, czy jednośląd doleci w całości. Postanowiłem kupić rower na miejscu i ruszyć na nim z Puerto Montt na południe. Droga nie sprawiała wrażenia ani zbyt trudnej, ani długiej, miałem do pokonania niecałe tysiąc kilometrów i trzy tygodnie wolnego.*<sup>605</sup> Ale tak naprawdę Strzeżysz opowiada o dwóch amerykańskich wyprawach, gdy drugą, wcześniejszą w czasie, wiedzie z chilijskiej Arici przez Boliwię do Argentyny – także z północy na południe. *Podróżowanie utwierdza mnie w przekonaniu, że czas nie jest*

<sup>604</sup> A. i E. Pyrek, *Światy Równoległe*, Warszawa 2012, str. 262.

<sup>605</sup> P. Strzeżysz, *Makaron w sakwach, czyli rowerem przez Andy i Kordyliery*, Gliwice 2012, str. 14.

*linearny, tylko cykliczny. Rzeczy wracają na swoje miejsce. Rankiem znów muszę odmrażać namiot, znów budzą mnie temperatury rzędu minus dziesięć stopni, wraca grzechotka, a ludzie przestali zapraszać na kawę, a zamiast tego wysyłają na ulicę albo w las.*<sup>606</sup> Opowiada z zębem o swoich przygodach, o wywrotkach, złych pogodach i spotkanych ludziach. Nie ma dnia, by nie działo się coś ciekawego. Relacja, ozdobiona fotografiami, jest jedną z kilku w całej wydawniczej serii nazwanej wdzięcznie przez Wydawcę „Szlaki ludzi ciekawych”. Bo Strzeżysz jest nad wyraz ciekawy – zarówno on sam, jako autor, jak i jego wręcz bajeczne wyczyny. *Kilka kilometrów dalej stało się coś, czego skutki miałem odczuwać do samego końca tej wycieczki. Otóż, kiedy zjeżdżałem szybko ze stromego, kamienistego zbocza, jakiś dziwnie głęboki dół pojawił się na mojej drodze, niestety, nie miałem szans, aby wyhamować, zdążyłem tylko lekko podbić rower, ale tylne koło i tak wpadło w rozpadlinę, rowerowe rodeo, rozpędzony rumak prawie wybił mnie z siodełka, rower na moment stał się jakiś lekki, usłyszałem głośnie trach, jakby ktoś rozłupał orzech włoski, i zanim zdałem sobie sprawę, co naprawdę się stało, na ułamek sekundy zobaczyłem twarz babci, która od małego powtarzała: żebyś tylko nie jeździł jak szatan!*<sup>607</sup>

Od pewnego czasu wiele słychać w polskim światku podróżniczo-rowerowym o takich i podobnych wyprawach. Można powiedzieć, że ludzie zaczynają wyjeżdżać na potęgę. Pokonanie formalności biletowo-bagażowych nie nastręcza już większych problemów i coraz częściej młodzi Polacy decydują się na podobne eskapady w najdalsze części globu. Z pewnością obie publikacje Strzeżysza, zarówno ta „wschodnia”, jak i relacja z przeprawy przez Andy i Kordyliery, sprzyjają popularyzacji tej formy wólczygi. Zdrowo, tanio i przyjemnie. Potrzebna tylko tężyzna fizyczna i hart ducha, bo po wielu podobnych lekturach widać wyraźnie, że rowerzysta około światowy musi mieć w sobie to coś. Literatura podróżnicza, w tym kojonym wypadku rowerowa, spełnia na poziomie organizacja podobnych eskapad nieprzecenioną rolę. Oprócz czystej informacji stanowi także, a może przede wszystkim, spory zastrzyk otuchy i wiary, że kolejna wyprawa może się udać. Jeśli ktoś przejechał, to dlaczego nie ja? Jeśli komuś się udało, to dlaczego mnie ma się nie udać? Zgrzebne notatki żyją nie tylko w notesie autora, ale ozywają czytane i realizowane przez następców.

---

<sup>606</sup> P. Strzeżysz, *Makaron w sakwach, czyli rowerem przez Andy i Kordyliery*, Gliwice 2012, str. 270.

<sup>607</sup> Tamże, str. 163.



Jednak Ameryka Południowa, szczególnie z mitycznymi rejonami peruwiańskiego Machu Picchu, nie obyłyby się bez obecności Jacka Pałkiewicza, wspomnianego już przy wielu innych okazjach podróżnika i odkrywcy. W te rejony wraca ze szczególną ochotą, a jego „El Dorado” stanowi wyrefinowaną opowieść, niemal jak z doskonałego filmu historyczno-przygodowego. Wraz z Andrzejem Kapłankiem, publicystą, podróżnikiem i żeglarzem, penetruje tajemnice Inków, zgłębiając przy okazji, i obficie przywołując, wiele spisanych i interesujących źródeł na ten temat. Natomiast przed wszystkim obaj autorzy zanurzają się w podróż po Peru i... szukają mitycznych skarbów. *Nie jest to jedyny skarb zatopiony w zimnych wodach wielkiego jeziora. Podobny los spotkał złoto zgromadzone na Wyspie Słońca, siedzibie boga Inti. Każdy z Inków miał obowiązek przynajmniej raz w życiu przybyć z pielgrzymką do tutejszej świątyni i oczywiście złożyć stosowne ofiary.*<sup>608</sup> Kroczą, brodzą, płyną. Dla Pałkiewicza to raj na ziemi, i wspomina: *W lesie tropikalnym trudno poruszać się według namiaru kompasowego. Przede wszystkim brak przestrzeni, by ustalić kierunek, no i stale trzeba kluczyć, omijając grzędzawiska, zwaliska drzew, gęsto szczepione drzewa i krzaki.*<sup>609</sup> Można sobie to wszystko wyobrazić. *Na ognisku gotujemy kolację i suszymy ubrania. Po całym dniu przedzierania się przez las wszystko jest przeпоcone i brudne.*<sup>610</sup> Czytelnik otrzymuje przy lekturze potężną dawkę emocji okraszonych barwnymi fotografiami. Inkaskie ryciny, ślady rzek, naskalne reliefy. Pałkiewicz, mimo wielu turbulencji, przedstawia świat, który jest jakby na wyciągnięcie ręki – bo to on właśnie, lata wcześniej, prowadzi naukową ekspedycję lokalizującą źródła Amazonki, a odkrycie – oficjalnie uznane przez Limeskie Towarzystwo Geograficzne – wynosi go potem na szczyt podróżniczej drabiny. „El Dorado” jest więc opowieścią, jaka nie zdarza się często, bo w odróżnieniu do podróży samochodowych, rowerowych czy pociągowych, tutaj nie ma miejsca na jakąkolwiek mechanikę: tylko mięśnie i głowa. Na koniec swojej opowieści Pałkiewicz, gdy niestety Amazonia każe się wycofać, snuje także kilka cennych i osobistych refleksji, gdzie po latach przychodzi czas na zastanowienie i prywatną retrospekcję.

„Teraz jestem prawdziwym nomadem. Byłem wszędzie. No prawie wszędzie, a przynajmniej tam, gdzie ciekawie, gdzie coś się dzieje. Podróżowałem na wielbłądach, słoniach, reniferach i jakach, pirogami i pieszo. Opuszczałem wygodny dom, wyruszałem w drogę, by coś odkryć, coś udowodnić komuś lub sobie. Niekiedy szukając wyzwolenia od dławiących układów, wspomnień, bolesnych słów, sieci powtarzanych gestów. Bo

---

<sup>608</sup> J. Pałkiewicz, A. Kapłanek, *El Dorado*, Poznań 2005, str. 176.

<sup>609</sup> Tamże, str. 332.

<sup>610</sup> Tamże, str. 340.

człowiek po iluś latach obrasta rzeczami, papierami, bibelotami, obrazkami, nawykami. To one niewolą, przykuwają do miejsca więzami gorszymi od kajdan. Dlatego zarzucałem plecak na grzbiet i ruszałem w świat, by choć na chwilę rozstać się z tym dławiącym bagażem przeszłości, korzeniami tkwiącymi w ziemi ojców. Korzenie można mieć w sobie.”<sup>611</sup>

Nieco na marginesie publikacji Pałkiewicza (trudno nazwać ją podróźniczą, a bardziej eksploratorską i odkrywczą) zagadnienie mitycznego miasta Eldorado zgłębia także po części Brytyjczyk John Gimlette, dla którego obrzeża Amazonii stają się przyczynkiem do barwnej opowieści o trzech krajach, których śladu próżno szukać w polskiej literaturze podróźniczej – chyba że przez sam przekład angielskiego reportera. Gujana, Surinam i Gujana Francuska stają się więc sceną piekielnie trudnej i odważnej wyprawy, jaką przez kilka dobrych miesięcy prowadzi śmiałek, a w jednym z akapitów przywołuje zmyśloną, jak się wydaje, opowieść niejakiego Martineza z 1586 roku.

„Mówi, że uratowali go Manoanowie, mieszkańcy miasta Złotego Człowieka. Każdy słyszał o Eldorado. To wielki król, który mieszka na jeziorze, a jego poddani obsypują go sproszkowanym złotem. Europejczycy od wielu lat szukają jego miasta. A teraz zjawia się człowiek, który mówi, że tam był! Martinez twierdzi, że jego nowi przyjaciele prowadzili go z zawiązanymi oczami przez czternaście dni, aż doszli do złotego miasta. Było tak rozległe, że potrzebował całego dnia, by przejść z jednego końca na drugi, a wszystko, czego dotykał, zrobione było ze złota. Twierdzi, że spędził tam siedem miesięcy, a potem uprowadził tabor wozów wyładowanych samorodkami złota. Byłby najbogatszym człowiekiem na świecie, gdyby nie to, że go obrabowano. Zostały mu tylko ta tykwa i kilka bryłek cennego kruszcu.”<sup>612</sup>

Oczywiście wszyscy wierzą cudownie ocalałemu prawie biedakowi i cała ówczesna można Europa wyrusza na poszukiwania. Dzieje się tak aż do tego stopnia, że tereny poszukiwań stanowią np. królewską zapłatę za stare długi i zobowiązania wobec innych władców. Nikt jednak nic nie znalazł – choć mit żyje: w opowieściach i euforycznych metaforach przywołań. Na swój sposób kpi także z europejskiej głupoty Wolter, pisząc swojego Kandyda, gdzie Martineza usadza na czele karawany jaskrawoczerwonych owiec. Gimlette wraz ze swoim przewodnikiem bez trudu dociera nad samo mityczne jezioro Parima, gdzie opukuje kurz z butów (jezioro okazuje się wysuszoną plamą, pełną wody tylko podczas dreszczów) i wraca na główny szlak swojej podróży. *Nawet Waterton stracił swój zwykły*

---

<sup>611</sup> J. Pałkiewicz, A. Kapłanek, *El Dorado*, Poznań 2005, str. 439.

<sup>612</sup> J. Gimlette, *Dzikie Wybrzeże: podróż skrajem Ameryki Południowej*, Wołowiec 2013, str. 166.

entuzjizm, kiedy dotarłszy na to miejsce, znalazł tylko kurz. „Oto całe jezioro Parima – pisał z przekąsem – i Eldorado”.<sup>613</sup>

Wracając jednak do Jacka Pałkiewicza, nie można nie przywołać w tym miejscu jeszcze jednej z jego amerykańskiej publikacji, a mianowicie opowieści „Amazonka. Zagadka źródła królowej rzek”. Autor w połowie lat dziewięćdziesiątych dociera do źródeł Amazonki, zyskując sławę i liczne gratulacje, a książka opowiada i o tej wyprawie, i o pięknej krainie zwanej do dziś płucami świata. *Legenda głosi, że troszczący się o każdy szczegół Stwórca, powołując do życia Amazonię, był nieco roztrągniony, coś zaabsorbowało jego uwagę i nie dokończył dzieła tworzenia. Wymknęło się ono spod boskiej kontroli i ten stan trwa po dzień dzisiejszy.*<sup>614</sup> Dla eksploratora takiego jak Pałkiewicz, Amazonia z Amazonką i licznymi dopływami skupia w sobie sens podróżniczego życia i jeśli czytelnik szuka odległych krain, które wycisną z niego tzw. siódme poty, to nic, tylko iść i płynąć śladem mistrza. Jest jeszcze coś innego, na co w publikacjach Pałkiewicza warto zwrócić uwagę i co rzuca się w oczy, będąc jednak bardzo często w publicznym odbiorze czystą i pewną oczywistością. Rzecz mianowicie w jego umiejętności konstruowania wyprawy w oparciu o liczny kapitał ludzki, przy czym nie zapomina o swoich towarzyszach podróży także w konstruowanych później opisach. Wymienia każdego. Posiada bowiem rzadką umiejętność skupiania wokół siebie odpowiedniego zespołu, w którego skład wchodzi i tragarze, i ludzie nauki, i znający się na rzemiośle kucharze, kierowcy czy wiosłarze. Pałkiewicz raczej nie podróżuje samotnie i wskazuje tym samym, nawet o tym nie pisząc, jak ważny przy zamiarze osiągnięcia wyprawowego zwycięstwa jest szeroko pojęta konsultacja i współpraca. A publikując wspomnienia, wciąga kolejnych swoich naśladowców w niezapomnianą przygodę – tym razem po Amazonii: *Sama jej nazwa już fascynuje. Trudne do przebycia interno verde, zielone piekło, prymitywne plemiona indiańskie i legendy, wyrosłe w umysłach pierwszych śmiałych podróżników, są przesiąknięte fantazją i tajemniczością i zdolne są uwieść każdego współczesnego eksploratora. Nie inaczej było już w czasach Francisca de Orellany, który w XVI wieku poszukując cynamonu i mitycznego złotego miasta, odkrył Amazonkę i przypadkowo spłynął do jej ujścia.*<sup>615</sup>

Lecz oprócz szlaków rzecznych istnieją także i szlaki żelazne. Gdy ponad trzydzieści lat temu swoją pasjonującą kolejową podróż wiódł przez Andy Paul Theroux, w pewnym

<sup>613</sup> J. Gimlette, *Dziki Wybrzeże: podróż skrajem Ameryki Południowej*, Wołowiec 2013, str. 171.

<sup>614</sup> J. Pałkiewicz, *Amazonka. Zagadka źródła królowej rzek*, Poznań 2009, str. 15.

<sup>615</sup> Tamże, str. 15.

krótkim fragmencie wspomina o pracy, jaką na rzecz peruwiańskiej i ekwadorskiej kolei położył polski inżynier i konstruktor Ernest Malinowski. *Powszechnie uważa się, że zaprojektował ją Amerykanin Henry Meiggs, ale najważniejszych pomiarów dokonał polski Emigrant Ernest Malinowski*<sup>616</sup> – pisze. Polskich śladów w Ameryce Południowej nie jest jednak za wiele, choć jedno z nielicznych z pewnością zasługuje na bliższą cytację, mając mianowicie na uwadze książkę Wojciecha Lewandowskiego zatytułowaną „Zamknij oczy i pomyśl o Andach”. Geograf i geoekolog organizuje niebagatelną i na swój sposób pamiątkową wyprawę w południowoamerykańskie Andy. *Książka jest osobistą opowieścią o źródłach i narodzinach marzeń, o ich spełnianiu. To wynik mojej fascynacji Andami i losami polskich przedwojennych wypraw w te niezwykle góry. Utkana jest z własnych wspomnień, relacji z podążania śladem historii pierwszej polskiej wyprawy andyjskiej, fragmentów przekazów jej uczestników, wspólnoty miejsc i przeżyć. Chciałbym przypomnieć i ocalić od zapomnienia wspaniałe postacie przedwojennych alpinistów, aby ci niesamowici faceci do nas wrócili. Żeby to, co wydarzyło się nie tak dawno, stało się dla nas współczesnych bliskie, osobiste i dotykane.*<sup>617</sup> Autor podąża więc polskimi śladami w wysokie i majestatyczne góry dla szczytnego celu, propagując tym samym, i przypominając, kilka wcześniejszych narodowych osiągnięć. Jednak źródłem oraz *Inspiracją do realizacji tego spełnionego, górsko-geograficznego marzenia była kultowa dla andynistów, choć nieco zapomniana książka podróżnika i alpinisty Wiktora Ostrowskiego „Wyżej niż kondory”.* Kultowa – bo *znają ją chyba wszyscy, którzy marzą o Andach, braterstwie liny, przygodach i górach wysokich.*<sup>618</sup> Przedwojenni Polacy zdobywają Andy ekspedycją, która trwała od listopada 1933 roku do maja 1934. Jak się okazuje, *Książki, które pozostawili, były nie tylko wspaniałym źródłem inspiracji, ale wciąż są nieocenionym źródłem informacji o Andach.*<sup>619</sup> Mając okazję przeglądać stare wydanie „Wyżej niż Kondory” nie można Ostrowskiemu nie przyznać racji, a realne i dokładne opisy bez przeszkód mogą i dziś służyć za nieocenione źródło podróżniczych wskazówek. Również książka Ostrowskiego sama w sobie stanowi przebogatą mieszankę ukazującą świat andyjskich wspinaczy wędrujących po wysokogórskich darniach. Zważywszy także na fakt braku na polskim rynku wydawniczym większej ilości podobnych publikacji, tym bardziej skupienie uwagi na tej opowieści wydaje się zasadne i pożądane, a wspinaczkowa i wspomnieniowa relacja jest także opowieścią o, po

---

<sup>616</sup> P. Theroux, *Stary Ekspres Patagoński. Pociągiem przez Ameryki*, Wołowiec 2012, str. 394.

<sup>617</sup> W. Lewandowski, *Zamknij oczy i pomyśl o Andach*, Warszawa 2011, str. 5.

<sup>618</sup> Tamże, str. 11.

<sup>619</sup> Tamże, str. 6.

prostu, ludzkiej wędrówce, gdy autor sam w podsumowaniu zaznacza: *Zdaję sobie sprawę, że moja opowieść sprawia wrażenie chaotycznej i nielinearnej. Zarazem sądzę, że aby opisać doświadczenie, gdzie wszystko przebiega diametralnie inaczej, niż w oswojonej przez nas codzienności, taka właśnie nieeuklidesowa, irracjonalna narracja jest bliższa prawdzie. Bowiem góry – w każdym razie moje góry – nie grzeszą nadmiarem symetrii, a to, co w nich się zdarza – w każdym razie mnie się zdarza – przenosi nas w świat zupełnie odmienny niż ten, który zawarty jest w traktatach logiczno-matematycznych.*<sup>620</sup>

Lewandowski, od lat wierny amerykańskim górcom, wydaje w bieżącym roku jeszcze jedną ciekawą pozycję, a mianowicie „Przez pustynie na ośnieżone szczyty...”. Konstruuje niebagatelny przewodnik, jaki napisać może mało kto. Bowiem w tym przypadku góry nie tyle trzeba kochać, co je po prostu znać. *Z tytułami książek podróżniczych tak już bywa, że są efektem końcowym miotania się pomiędzy prozą czytelnego, bezpośredniego przekazu a liryką tego, co w dalekich podróżach jest najważniejsze – przygody. W tym przypadku kluczem do przygody są wspomnienia związane z wejściami na wysokie szczyty i inne, jakże ciekawe, wierzchołki ogromnego i wyjątkowego obszaru zwanego Ameryką Łacińską. Stąd tytuł tej książki „Przez pustynie na ośnieżone szczyty...”. Znajdziemy tu jednak znacznie więcej: tajemnicze wulkany, bezczelne zielone góry tropikalne, wspaniałą i wciąż dziką przyrodę, przyjaznych ludzi, ciekawe zwierzęta czy legendy, a wszystko to może wywołać fascynację Ameryką Łacińską.*<sup>621</sup> Górskie krajobrazy to jego życie i dla każdego, kto wybiera się w odległe Andy czy Kordyliery, publikacja warta jest polecenia. *Większość z blisko trzydziestu opisywanych tu szczytów poznałem osobiście w trakcie trzynastu (nazbierało się!) wypraw i wyjazdów do Ameryki Łacińskiej. Większość odbyłem z moją żoną Joanną – której w tym miejscu jeszcze raz z serca dziękuję za wszystkie wspólne „Vamos!”. Znalazły się tu także relacje z czterech wypraw odbytych w ramach projektów „Wyżej niż kondory – 70 lat później” i „Polskie Andy” (www.polskieandy.pl). Cztery szczyty opisane są „z drugiej ręki”, na podstawie relacji przyjaciół, dla których „Una vez mas, Grabias por todo!”.*<sup>622</sup> Lewandowski przemierza wszystkie pasma i czuje się tam jak w domu, a góry są pretekstem do innych, ciekawych opowieści. Wskazuje także na różnorodność krajobrazu, a poprzez publikację kolorowych zdjęć przybliży czytelnikowi Amerykę, jakiej nie znamy. *Dodając do listy liczne państwa i państewka z rejonu Morza karaibskiego oraz terytoria zależne i*

---

<sup>620</sup> W. Lewandowski, *Zamknij oczy i pomyśl o Andach*, Warszawa 2011, str. 194.

<sup>621</sup> W. Lewandowski, *Przez pustynie na ośnieżone szczyty...*, Warszawa 2013, str. 9.

<sup>622</sup> Tamże, str. 10.

zamorskie, mamy ponad 40 szczytów i najwyższych wzniesień. Aby zachować spójność geograficzną, chwilowo zachowajmy na naszej liście przynależność niektórych krajów, gdzie panuje język angielski, do obszaru łacińskiego. Nie dajmy się jednak zwariować, bo interesują nas przecież tylko prawdziwe góry, dlatego wejścia na takie „kolosy”, jak np. najwyższa kulminacja Bahamów na wyspie Cat, wysokość 63 m n.p.m., czy 43-metrowy The Bluff na Kajmanach traktujmy jedynie w kategoriach ciekawostek geograficznych.<sup>623</sup> W jakimś sensie dla autora to podróż sentymentalna, podsumowanie ogromnego życiowego wysiłku i wytyczenie śladów dla następców. *To pomysł na wyprawy dla tych, którzy mają „wiatr w kieszeni” i marzą o dalekich podróżach, a nie zawsze wiedzą, jak zacząć. To wreszcie osobista opowieść o górach, krajach, ludziach. Mozaika ułożona z kamyków zdarzeń, którą stworzyły wieloletnie włóczęgi po niezwykłym świecie Ameryki Łacińskiej.*<sup>624</sup> Ale i konstatacja podróżniczej gradacji: *W tamtym regionie mówi się czasem, że ludzie dzielą się na: turistas, viajeros i aventureros (turystów, podróżników i poszukiwaczy przygód).*<sup>625</sup> Tak więc oto południowoamerykańskie góry zapraszają wędrownych obieżyświatów, a sute nagrody czekają zdobywców na wierzchołkach. *Bez problemu dotarliśmy na szczyt po zupełnie przyzwoitych sypuchach i mogliśmy popatrzeć sobie na okolicę i latające nad nami kondory. Zadzwoniliśmy przez telefon satelitarny Inez do rodzin w Polsce, a potem, radośnie zakręcając na kijkach (prawie jak na nartach), zbiegliśmy w tumanach kurzu na dół.*<sup>626</sup>

Jednak piękny i tajemniczy świat Ameryki Południowej przyciąga uwagę wielu śmiałków – nie tylko górskich wspinaczy i nizinnych włóczęgów. Do takich bez wątpienia należą także uczestnicy dawnej wyprawy w najgłębszy kanion świata, gdzie spływem penetrują peruwiańską Colcę. Jednak dopiero po ponad trzydziestu latach barwnie opisują tę historię, przywołując także obszernie sam proces przygotowania ekspedycji w komunistycznej wtedy Polsce. Korespondencyjność poniższego zapisu przywołuje w tym miejscu wspomnianą przy okazji mongolskich reminiscencji organizację starej wyprawy na żaglowozach, a dla dzisiejszego czytelniczego podróżnika ukazuje karkołomność tamtych przedsięwzięć.

„Pomysł wyprawy na drugą półkulę, konkretnie do Argentyny, tylko po to, by pływać po górskich rzekach, wydawał się w Polsce końca lat siedemdziesiątych XX wieku wręcz niedorzeczny. Zdobycie pozwolenia na wyjazd, wydanie paszportów, otrzymanie wiz

<sup>623</sup> W. Lewandowski, *Przez pustynie na ośnieżone szczyty...*, Warszawa 2013, str. 26.

<sup>624</sup> Tamże.

<sup>625</sup> Tamże.

<sup>626</sup> Tamże, str. 268.

następowały poważnych trudności. Kompletowanie sprzętu, żywności, dewiz, załatwienie ciężarówki w czasach, gdy brakowało podstawowych produktów, wymagało sporego wysiłku i sprytu. W ciągu półtora roku, dzięki pomocy Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, której byliśmy studentami, oraz Akademickiego Klubu Turystyki Kajakowej „Bystrze”, którego byliśmy członkami, udało się zgromadzić wszystkie lub prawie wszystkie rzeczy niezbędne do realizacji ekspedycji: sprzęt ważący niemal 25 ton, 21 kajaków i nowiutką ciężarówkę Star 266 z przyczepą. Pod koniec 1978 roku uznaliśmy, że jesteśmy gotowi do wyjazdu.”<sup>627</sup>

Wyprawa kończy się powodzeniem, a wyczyn Polaków zostaje wpisany do *Księgi Rekordów Guinnessa*. Dokonują rzeczy nieprawdopodobnej, a książka zaświadcza o tym licznymi fotografiami, wspomnieniami uczestników i szczegółowymi opisami. Mimo, że jest to wspomnienie po latach, autor wraz z kolegami przywołują setki drobnych szczegółów i można odnieść wrażenie, że spełnili swoje marzenia. Również później, kilkakrotnie wracają w te rejony i w jakimś sensie są wzorem dla pozostałych. *Cztery wyprawy do kanionu Colca odbyte pod auspicjami „National Geographic” oraz wyprawa amazońska i następujące po niej ekspedycje do źródeł rzeki zrealizowaliśmy w ramach założonej przeze mnie i moich kolegów w 1983 roku fundacji Canoandes Inc., której celem jest wspieranie i promowanie wypraw organizowanych przez młodych, ciekawych świata ludzi. Nieustannie utrzymujemy związki z naszym macierzystym klubem kajakowym „Bystrze”, działającym już 40 lat, dzięki któremu w ogóle narodziła się i doszła do skutku ekspedycja latynoamerykańska.*<sup>628</sup> Publikacja stanowi więc cenne źródło wiedzy o tym, co było kiedyś i pokazuje, jak zapał i zaangażowanie potrafią na trasie wędrówki prawie góry przenosić, a na pewno ciężkie kajaki, którymi nie można było wszystkich miejsc przepłynąć. Wracając natomiast do polskich śladów w Ameryce Południowej, Piętowski również przywołuje postać Ernesta Malinowskiego, pisząc: *Na przełęczy Ticlio, w najwyższym miejscu, dokąd dociera wspomniana linia kolejowa (4818 m n.p.m.), w 1999 roku został odsłonięty pomnik upamiętniający polskiego inżyniera. Również niezwykle zasłużonym dla młodego państwa peruwiańskiego był Edward Habich, który w 1876 roku założył w Limie pierwszą w Ameryce Łacińskiej politechnikę – dziś najważniejszą szkołę wyższą w Peru. W tym samym czasie podwaliny dla badań geologicznych stworzył tu Ignacy Domeyko, choć związany bardziej z terenami na południe – w Chile. Zaledwie pięć lat przed wyprawą Canoandes 79 w annałach zapisali się Tony Halik i Elżbieta Dzikowska, którzy brali udział w odkrywczej ekspedycji*

<sup>627</sup> A. Piętowski, *Canoandes. Na podbój kanionu Colca i górskich rzek obu Ameryk*, Gliwice 2013, str. 6.

<sup>628</sup> Tamże, str. 17.

profesora Edmunda Guillena do ruin Vilcabamby.<sup>629</sup> Na podstawie tych autorskich wspomnień łatwo można sobie wyobrazić kolejną taką wyprawę, i nie koniecznie do mitycznego kanionu, ale śladami Polaków-prekursorów.

Dla wielu włóczykijów świat podróży od zawsze i pewnie na zawsze pozostaje celem samym w sobie. Mimo, że każdy z nich realizuje po drodze własne zamierzenia, to nie byłoby tego wszystkiego, gdyby nie wędrówka. Jest jak rama obrazu, jak szachownica, bez której żadna partia nie może być rozegrana. No i na nic Pałkiewiczowi samochód, jak tam, dokąd dociera, nie ma drogi. Podróżnicze publikacje, mimo tego, że opisują zastany świat, kreślą także ludzkie sylwety i ukazują wszelakie dobra kultury, przyrody czy cywilizacji – również nieco na swoich marginesach przynosząc opisy inne od tych spodziewanych. Didaskalia potęgują przez to siłę przekazu, a osobę podróżnika pokazują z pozycji nie lwa-zwycięzcy, a bardziej jako samotnego wilka. Cierpliwe czytelnicze oko dostrzeże w nich także budowę warsztatu pisarskiego. *Tęskniłem za domem – pisze Theroux. Jaki sens miała ta podróż, jeśli pominąć fakt, że niepokój wygnał mnie od biurka i nie pozwalał znieść kolejnej zimy? Z domu wyjeżdżałem w podniosłym nastroju, ale nie byłem żadnym odkrywcą: podróż miała dostarczyć radości, a nie być próbą wytrzymałości czy cierpliwości. Nie czerpałem żadnej przyjemności ze znoszenia trudów podróży, chciałem tylko uczynić z nich materię literacką.*<sup>630</sup> Lewandowski, wspinając się po Andach, także na koniec szuka wytchnienia i każdemu, kto pochodzi z drogi, znany jest moment, kiedy już tylko zaczynamy żyć wspomnieniami. *Ostatnie dni w Chile spędziliśmy poznając dokładniej Santiago, a potem nadmorską miejscowość Algarobo, gdzie przez niecałe trzy dni cieszyliśmy się życiem w wynajętym domu z niewielkim ogródkiem (za cenę pokoju nad brzegiem morza), gdzie czuliśmy się trochę jak bohaterowie dramatów Czechowa. Prowadziliśmy trwające do świtu rozmowy, wspominaliśmy góry i przyjaciół, spieraliśmy się, dyskutowali albo razem słuchali muzyki. Może był to nasz „Wiśniowy sad”, może „Wujaszek Wania”, a może tylko senna atmosfera płynącego niespiesznie czasu, końca tutejszego lata, wzbogaconego radośnie przez pyszne chilijskie wino.*<sup>631</sup>

Niecodzienną podróż do świata Inków i Majów odbywa także Dorota Głuska, przedzierając się samotnie przez Chile, Argentynę, Boliwię i Peru, a we wstępie do swojej podróżniczej książki uczciwie przyznaje: *Wyruszyłam ostatniego dnia listopada 2009 roku, za*

<sup>629</sup> A. Piętowski, *Canoandes. Na podbój kanionu Colca i górskich rzek obu Ameryk*, Gliwice 2013, str. 168.

<sup>630</sup> P. Theroux, *Stary Ekspres Patagoński. Pociągiem przez Ameryki*, Wołowiec 2012, str. 130.

<sup>631</sup> W. Lewandowski, *Zamknij oczy i pomyśl o Andach*, Warszawa 2011, str. 242.



towarzystwo mając jedynie czerwony plecak, otwarte serce i niczym niezmqcone przekonanie, że robię coś bardzo dla mnie ważnego. I pewność, że wrócę w jakimś sensie odmieniona. Tylko nie miałam jeszcze pojęcia, w jakim. Znam ludzi, którzy o podróżowaniu zaczęli marzyć w chwili, gdy wyszli z łona matki – a przynajmniej tak twierdzą. Mogłabym napisać, że ze mną było dokładnie tak samo, że zawsze chciałam zostać wielkim podróżnikiem, włóczęgostwo wyssałam z mlekiem matki, a po nocach śniło mi się, że zglębiam tajemnice odległych krajów. Tyle że, delikatnie rzecz ujmując, minęłabym się z prawdą.<sup>632</sup> I wiedzie czytelnika w dal. Opisuje szczerze i kolorowo. Kroczy dziarsko przez Amerykę i ma to, czego chce. Pokonuje tysiące kilometrów, barwnie opisując kontynent. Co rusz zmienia plany, jednak nie robi z tego katastrofy – w jakimś sensie wiedziała, na co się decyduje (choć czy przed wyruszeniem w drogę któryś z podróżników wie, na co się decyduje?). I tak oto wyruszyłam z zamiarem przejechania południowoamerykańskiego kontynentu z południa na północ, poczynając od Chile, przez Boliwię, Peru i Ekwador, nieśmiało dodając „i może zahaczę o Kolumbię”, co niezmiennie wywoływało u wszystkich intensywne stukanie się palcem w czoło. Planowałam poświęcić najwięcej czasu na Chile, około sześciu tygodni, kosztem Boliwii i Ekwadoru (po trzy tygodnie). Równy miesiąc przypadł na Peru. Wtedy nie miałam jeszcze pojęcia, że w Chile nie zabawię zbyt długo, za to zwiedzę tam czternaście różnych miejsc, z Boliwii wygoni mnie po kilku dniach pora deszczowa, a w Peru zwiedzę wszystko poza Machu Picchu.<sup>633</sup> Innej książki o samotnej kobiecej wyprawie do Ameryki Południowej w Polsce próżno szukać. Autorka dzieli się swoimi spostrzeżeniami, pisze o doskwierającej samotności – wieczorem z całą siłą dociera do mnie, że jestem sama<sup>634</sup> – i opisuje historie spotkań z wielu ciekawymi ludźmi. Z nostalgią i rozrzewnieniem wspomina Podróżnika. Podróżnik nie przypomina w niczym osób, z jakimi zetknęłam się podczas dotychczasowej włóczęgi. Podróżnik nie podróżuje. Podróżnik mieszka w podróży. Żyje podróżą. Wyjechał z Francji, mając 25 lat, i od dziesięciu już lat jest wciąż w drodze. Podczas gdy przeciętny człowiek wyjeżdża na dwutygodniowe wakacje, on wraca na dwa tygodnie do rodzinnego Paryża. Przez resztę roku ze swoją trzydziestopięciokilogramową walizką włóczy się po świecie. Ma kilka ulubionych miejsc w Azji i czasem tam pomieszkuje, pracuje dorywczo gdzie tylko się da, podejmując pracę instruktora nurkowania, fotografa i reżysera (choć reżyserowanie sprowadza się zwykle do krótkich filmów reklamowych robionych na zlecenie hoteli). Ostatnio był statystą w kolumbijskiej telenoweli. Żyje skromnie, ale zgonie ze

<sup>632</sup> D. Głuska, *Burza depta mi po piętach*, Warszawa 2012, str. 9.

<sup>633</sup> Tamże, str. 12.

<sup>634</sup> Tamże, str. 22.

swoimi przekonaniami, a zmagając się z wiecznym brakiem pieniędzy, przez lata podróżowania opanował do perfekcji sztukę negocjacji.<sup>635</sup> Można w tym miejscu przywołać rozgraniczenie, jakie dokonane zostało na początku rozprawy, gdy mowa była o terminach życia w podróży i podróży w życiu. I właśnie wędrówka Podróżnika jest takim przykładem na życie w podróży, gdy droga staje się domem, a pobyt w domostwie tradycyjnym jest tylko wakacjami. Autorka nie grzeszy bezradnością, a jej przygody mogłyby być kanwą dla ekranizacji. *A ponieważ apetyt rośnie w miarę jedzenia, zaczęłam więc równie nieśmiało myśleć o wypadzie nad wodospady Iguacu, leżące na odległej granicy argentyńsko-brazylijskiej. Tam też miałam nie jechać. Ale co tam, jak szaleć, to na całego.*<sup>636</sup> Wędruje z południa na północ, to uciekając przed deszczem, to goniąc przygodę. Żuje liście koki, je świnkę morską (pieczoną!), popija halucynogeny napój z ayahuasca. I choć dużo w niej podróżniczej improwizacji oraz kierowania się zasadą CMBTB (Co Ma Być To Będzie), swoją wędrówkę kończy szczęśliwym powrotem do domu.

Na tle przywołanych publikacji, nieco w cieniu, choć z pewnością w duchu iberamerykańskiej literatury podróżniczej, kryje się jeszcze jedna książka, stanowiąca część edycyjnej serii poznańskiego potentata wydawniczego, Wydawnictwa Zysk i S-ka. W ramach swoich „Podróży retro” oficyna zapełnia księgarskie półki reprintem opowieści Mieczysława Lepeckiego zatytułowanym „Niknący Świat”. Autor, urodzony ponad sto lat temu na podlubelskiej wsi, najpierw był żołnierzem, a potem już tylko podróżnikiem. Penetrował Wschód, a po II wojnie osiadł na szereg lat w Brazylii. Pokłosiem tej przygody jest właśnie książka traktująca o umiłowanej środkowej Brazylii. *Opisywany przeze mnie Goias to Goias na wiele lat przed zbudowaniem w jego południowej części nowej stolicy państwa, miasta Brasílii, który tam istniał podówczas, istnieje wprawdzie i nadal, ale z wolna niknie. Cywilizacja zapuściła już weń swe ostre zęby i coraz głębiej przenika do centralnej Brazylii, do tego największego rezerwuaru pustych ziem, którymi na kuli ziemskiej ludzkość jeszcze dysponuje.*<sup>637</sup> Lepecki osadza swoją opowieść o motyw poszukiwania akwamarynu – szlachetnego kamienia, jednak wśród mniej szlachetnych konkwistadorów, poszukiwaczy przygód i zwykłych szubrawców. Opisuje szereg potyczek i penetrowanie brazylijskiej dziczy zdala od cywilizacyjnego gwaru. Nie jest więc dzisiejszym przewodnikiem i typową lekturą przed podróżą, jednak wznowione po dziesiątkach lat wydanie tętni barwnym amazońskim

---

<sup>635</sup> D. Głuska, *Burza depta mi po piętach*, Warszawa 2012, str. 316.

<sup>636</sup> Tamże, str. 79.

<sup>637</sup> M. Lepecki, *Niknący świat*, Poznań 2013, str. 10.

światem i pokazuje w końcowych wierszach, czym może być podróż i przygoda mimo nieodnalezieni drogocennego kruszcu – gdy był już tuż tuż. *Jeszcze przed kilku chwilami zdawało mi się, że jestem bliski spokojnego życia, że pozbyłem się konieczności ciągłych wędrówek, włóczęgi po lasach i stepach, no i, proszę, musiałem się z tą perspektywą pożegnać, zająć się nowymi projektami, obmyślaniem nowych wypraw.*<sup>638</sup>

Ameryki są wielkie. Ogromne. Obie, połączone wąskim gardłem lądowego przesmyku panamskiego, ciągną się w olbrzymiej odległości od południowej Ziemi Ognistej po północny czubek Alaski. Gdyby nie Cieśnina Beringa, można byłoby przejść lub przejechać po stałym lądzie aż w Rosję, a potem przez Europę, na samo południe Hiszpanii. I gdyby nie Cieśnina Gibraltarska, można byłoby dalej podążać na południe, na sam Przylądek Dobrej Nadziei w RPA. Cieśnina Beringa, od amerykańskiego do rosyjskiego brzegu, liczy sobie 85 kilometrów długości, a Cieśnina Gibraltarska to kolejne 14 kilometrów morza. Razem daje to około stu kilometrów długości i gdyby w tych miejscach wybudować gigantyczne mosty, świat byłby połączony: drogą i koleją. Największy na świecie most wybudowali nie tak dawno w swoim kraju Chińczycy i ciągnie się on aż przez 42 kilometry. Łatwo sobie wyobrazić konstrukcję trochę ponad dwukrotnie dłuższą, a jeśli Chiny za swój most zapłaciły około, jak podają oficjalne źródła, 33 miliardy dolarów, to światowa inwestycja w połączenie globu nitką szosy mogłaby kosztować około stu miliardów dolarów. Jeśli świat potrafi kopać kanały, łącząc drogi morskie, to być może umiałby także wybudować mosty łączące drogi lądowe. Czy ma to jednak sens i znaczenie? Czy szybciej kontynenty nie połączą się ze sobą w sposób naturalny? – choć to akurat może nastąpić za dobre kilka milionów lat. Czy budowa mostów jest realna i potrzebna? Czemu służyłaby taka inwestycja, a przecież nie bez znaczenia będzie wtedy przejezdność Alaski i Syberii wraz z udroźnieniem możliwości bezpiecznej podróży przez kontynent afrykański, co rusz targany wojnami domowymi, napadami i aktami terroru. Jednak wtedy podróż przez świat – pieszo, na rowerze, motorem lub samochodem – byłaby nad wyraz realna i łatwo także wyobrazić sobie biura podróży oferujące ucieleśnienie marzeń z „W 80 dni dookoła świata”, z tym jednak zastrzeżeniem, że końcem szosy byłby Horn lub Przylądek Igielny.

Publicystyka podróżnicza obejmująca swoim zakresem oba amerykańskie kontynenty jest, jak widać, ciekawa i interesująca. Niczym w kalejdoskopie przewijają się kolejne kraje i regiony, a podróżnicze aspiracje sięgają wciąż dalej i dalej. *Lecz pewnego dnia wpadła mi w*

---

<sup>638</sup> M. Lepecki, *Niknący świat*, Poznań 2013, str. 268.

*ręce książka Chatwina, a wówczas odzyskałem świat, który już uznałem za utracony, a który wciąż na mnie czekał – świat na końcu świata. Gdy przeczytałem ją po raz pierwszy, poczułem rozpaczliwie pragnienie powrotu, jednak Patagonia leży bardzo daleko, a odległość ta jawi się w swym oczywistym wymiarze wówczas zwłaszcza, gdy wspomnienia wynurzają się niby boje na wzburzonym morzu najtrudniejszych lat życia*<sup>639</sup> – notuje gnany na samo południe Luis Sepúlveda, gdy ratuje wieloryby z rąk japońskich korsarzy-morderców. Także w przypadku tych lądów książki na półkach o tytułach zbliżonych do amerykańskich fraz nie wydają się rozdziałem skończonym i zamkniętym, a hiszpańskie powiedzenie, że długa podróż jest jak długie kłamstwo, pozostanie tylko konkwistadorską mrzonką.

---

<sup>639</sup> L. Sepúlveda, *Podróż do świata na końcu świata*, Warszawa 2003, str. 12.

## 5. Antypody

**A**ntypody literatury podróżniczej. Ze świecą szukać opracowań, które opowiadałyby o tej części świata. Australia z Nową Zelandią, choć kulturowo zbliżone do cywilizacji zachodniej, są jednak tak fizycznie odległe, że globtroterska podróż tylko i jedynie do tamtego miejsca zwyczajnie może się nie opłacać. Trudno powiedzieć. Gdy patrzy się na księgarskie półki poszukując książek podróżniczych dotyczących np. Europy, także nie ma ich zbyt wiele – wbrew pozorom. Można byłoby wszak przypuszczać, że bliskie Polsce kraje staną się płodnym tematem godnym dziesiątków opisów – a jednak tak nie jest. Wpływ na to może mieć powszechność i powszedniość cywilizacyjna, generalnie taka sama kultura z religią, a i świadomość, że wszystko to jest na wyciągnięcie ręki i zawsze będzie czas, by zobaczyć i dotknąć. Być może podobnie dzieje się także w związku z opisami tyczącymi odległej, wschodniej części świata, topiącej się w oceanach Indyjskim i Spokojnym. Kilka jednak opisów znajduje się niejako przy okazji podróży dookoła świata, przywołanych w kolejnym podrozdziale, choć i tam nie są to relacje obfite i spektakularne. Ciekawostką wartą przytoczenia jest w tym miejscu np. refleksja z „Dziewczyńskiej podróży” o charakterze rodem z transmisji wehikułem czasu: *Jutro opuszczamy Nową Zelandię i udajemy się w długą podróż do Argentyny. Lecąc z Australii do Ameryki Południowej, mijają się międzynarodową linię zmiany daty. Dzięki temu „odzyskamy” wszystkie godziny „stracone” w podróży na wschód. Z Sydney, gdzie mamy międzylądowanie, wylatujemy 19 marca o godzinie jedenastej rano. W Buenos Aires lądujemy natomiast 19 marca o godzinie... dziesiątej rano, czyli cofamy się w czasie. Niestety doba ta będzie dla nas trwała całe trzydzieści dziewięć godzin.*<sup>640</sup>

Skądinąd Międzynarodowa Linia Zmiany Daty oczywiście nie przebiega według sugestii podróżujących autorek, a kryje się jeszcze bardziej na wschód za Nową Zelandią, jednak samolotowa podróż po samym spodzie kuli ziemskiej musi być arcyciekawym doznaniem. Autorki zapomniały, że lecąc samolotem, także czas biegł do przodu i zmiana daty nie nastąpiła – nastąpiłaby, gdyby wylądowały w Buenos 18 marca.

---

<sup>640</sup> J. Minc, P. Pilch, *Dziewczyńska podróż dookoła świata*, Łódź 2012, str. 36.

„Lady Australia” – na tym więc tle jedną z nielicznych publikacji będzie wręcz melancholijna opowieść Marka Tomalika, który o największej na świecie wyspie opowiada barwnie fotograficznie i przejrzyście edytorsko. Ten podróżnik i dziennikarz, a w chwilach wolnych aktywny organizator m.in. podróżniczego festiwalu „Trzy Żywioty”, wędruje po Australii wiele razy i wie, jak pokazać ją w całej krasie. *Lady A. ma swoje sposoby, by zafascynować, oczarować i uzależnić. Pomaga jej w tym skutecznie cała Przyroda, która – jak to celnie ujął mieszkający tam kiedyś Jacek Kaczmarek – jest fantasmagoryczna. Inna od wszystkich. Obeszładniająca, halucynogenna, odrealniona, często przerażająca. Potrafi otumanić jak prawdziwa femme fatale, przestraszyć jak zły sen. Jak to kobieta, lubi klejnoty i ma ich niemało: aż 15 spośród jej naturalnych skarbów znalazło się na Liście światowego dziedzictwa kulturalnego i przyrodniczego. Wśród tych najważniejszych: parki narodowe Kakadu, Uluru-Kata Tjuta, Region Wyschniętych Jezior Willandra (jedno z najciekawszych miejsc archeologicznych świata), Wielka Rafa Koralowa i nieprzebrane bogactwa dzikiej Tasmanii.*<sup>641</sup> Publikacja jest więc czymś z pogranicza fotograficznego albumu i opisu świata, gdzie podobno na samych jego południowych skrawkach rower sam jedzie po prostej drodze, a krzywizna Ziemi prawie naciska na pedały. Tomalik to podróżnik-czarodziej. Zafascynowany przestrzenią jak mało kto, stara się oddać jej jakość i bezmiar, ubierając swoje opisy we wręcz Baudrillardowskie metafory.

„Outback, rozumiany jako interior Australii, jest wielki, niezmierny i nieogarnięty. Jest większy i surowszy niż życie. Wszystko pozostaje poza nim. Sprawy i rzeczy. To miejsce, gdzie chwilowe harmonie utkane są z kontrastów. Miejsce na pograniczu dwóch stanów skupienia, na krawędzi snu. Blake’owskie drzwi percepcji. Jak Czerwona Dziura zasysająca nie tylko materię, ale nawet światło. Hotel California ze starej piosenki The Eagles – do którego łatwo wejść, ale nie sposób go opuścić. Wdałeś się we flirt z Australią Jej Środka – przepadłeś. Monogamia. Zapomnij o innych. Już ona zadba, aby cię wyizolować, najpierw podstępnie eksponując swe wdzięki, aby całkowicie otumanić, uzależnić. Jest miejscem osamotnienia – ze średnią dwóch ludzi na kilometr kwadratowy (czasem, pokonując tysiące kilometrów, nawet tych dwóch nie widziałem). Miejsce, gdzie nie tylko na horyzoncie zakrzywia się przestrzeń. Absolutny dostatek przestrzeni – jak okiem sięgnąć – ty i nieskończoność z pozoru powtarzalnego krajobrazu.”<sup>642</sup>

Zwraca także uwagę na niebagatelny problem podróżniczego niedopasowania, gdy po wędrowce przychodzi czas na zakończenie przygody i niejednokrotnie, niestety, na zderzenie

---

<sup>641</sup> M. Tomalik, *Lady Australia*, Gliwice 2013, str. 22.

<sup>642</sup> Tamże, str. 16.

się z szarą codziennością pełną problemów i marazmu. Jednak podróż żyje i o sobie przypomina. Nie daje zapomnieć, a jedną z form dalszego z nią kontaktu jest właśnie napisanie po powrocie o tym wszystkim książki. *Kiedy wracam do domu z kolejnej wyprawy, na jakiś czas wysiadają mi wszystkie zmysły oprócz węchu. Wącham dłonie, rękaw koszuli, zasypiam... i czuję Busz. Busz i niedosyt... Receptory działają na pełnych obrotach. To wszystko dzieje się zbyt szybko, zbyt krótko, w szelestach wskazówek, zbyt intensywnie, pospiesznie... Kosmos znów niedokończony. Więc z jednej strony niedosyt, a z drugiej tyle szczęścia.*<sup>643</sup> Zarówno ta publikacja Tomalika, jak i cała jego podróżnicza i publicystyczna działalność zasługują na uznanie i uwagę. Na palcach góra dwóch rąk można w Polsce doliczyć się podobnych osób-instytucji i należy być pewnym, że kolejne wydania, o Australii i nie tylko, czekają na swoje premiery.

Wartą w tym miejscu przywołania jest także zagraniczna publikacja niestrudzonego i cytowanego już przy okazji afrykańskich reminiscencji Szweda Svena Lindqvista, który również zabiera podróżniczego czytelnika w świat kangurów, jednak dużo więcej miejsca (wszystek), niż faunie i florze, poświęca sprawie australijskich Aborygenów. Z wrodzoną sobie przenikliwością konstruuje opowieść, opierając ją w głównej mierze na takiej wędrówce przez wielką wyspę, by przede wszystkim ukazać losy człowieka. *Niektóre obszary Azji należą do najgęściej zaludnionych na świecie; Australia jest najmniej zaludnionym kontynentem na Ziemi. Można wręcz powiedzieć, że z chińskiego lub indonezyjskiego punktu widzenia Australia jest praktycznie niezamieszkana. Zgodnie z teorią „ziemi czyjej”, na którą powoływali się Brytyjczycy, kiedy kolonizowali Australię, Azjaci mieliby prawo zająć jej terytorium.*<sup>644</sup> Autor kreśli swoją rozprawę wokół licznych zagadnień sięgających korzeni antropologii i literatury, wskazując jednak na głęboki proces dokonanego na Aborygenach ludobójstwa – ręką i przepisem białego człowieka. Krok po kroku, z zegarmistrzowską cierpliwością wyklada o przyczynach i powodach, dla których wymordowano rdzenną ludność: jeśli nie bezpośrednio zabijając i wycinając w pień całe plemiona, to pośrednio za pomocą przemysłu, aktów prawnych i rolnych przywłaszczeń. Przemierza bezkresy interioru i co rusz szuka świadków. Rozmawia. Tropi. Słucha. Chodzi po muzeach, kościołach i urzędach. Wyrzucają – to wraca. Nie odkłada nogi. Dla podróżniczego czytelnika, który szuka w Australii przeszłości i historii, tutaj ją odnajdzie – mało tego, zobaczy i dowie się, jak była niegdyś fałszowana i zamazywana. Odważny, a przede wszystkim uważny Lindqvist

<sup>643</sup> M. Tomalik, *Lady Australia*, Gliwice 2013, str. 34.

<sup>644</sup> S. Lindqvist, *Terra Nullius*, Warszawa 2010, str. 19.

idzie jednak jeszcze dalej i obśmiewa, demaskując, wiele tak zwanych badań, które mieli przez lata prowadzić w Australii biali naukowcy: *Z tego też powodu główny nurt badań naukowych nie przejawiał zainteresowania geografiami miejsc sakralnych. Spencer i Gillen zajmowali się pokrewieństwem człowieka ze zwierzętami, Radcliffe-Brown – pokrewieństwem między ludźmi. Nikt nie zajmował się pokrewieństwem ludzi z ziemią.*<sup>645</sup> Kpi także obficie ze sławnego skądinąd i podróżującego w tamte rejony Lévi-Straussa: *Jego własne nieświadome zasady są niemal komiczne w swoim seksizmie. Kobiety postrzega on wyłącznie jako dobra należące do mężczyzn. Ich potrzeby uznaje albo za nieistniejące, albo nieistotne. Do ich zaspokojenia wystarczy kobiecie biologiczna rodzina, społeczeństwo zaś rodzi się z potrzeb mężczyzn. Jeżeli chcemy żyć w systemie społecznym, musimy zaakceptować władzę ojca, brata i koniec końców tak zwane zabójstwa honorowe. Oto praktyczny wniosek z modelu skonstruowanego przez Lévi-Straussa.*<sup>646</sup> Jego podróż po Australii pokazuje więc kontynent przeorany krwawym doświadczeniem, a kolonialna przeszłość ciągle woła o swoją pamięć w *głęboko niesprawiedliwym świecie.*<sup>647</sup>

---

<sup>645</sup> S. Lindqvist, *Terra Nullius*, Warszawa 2010, str. 163.

<sup>646</sup> Tamże, str. 130.

<sup>647</sup> Tamże, str. 207.



## 6. Dookoła świata

**W**ielki świat nie ma już granic i choć istnieje kilka krajów, do których nie można w łatwy i przystępny sposób się dostać (taką enklawę stanowi na swój sposób Korea Północna), generalnie drogi nie mają końca. Po wewnątrzkontynentalnych wędrówkach, prześledziwszy terytorialne podróźnicze publikacje, warto w tym miejscu zwrócić uwagę na książki, które ujrzały światło dzienne wskutek niecodziennych podróży dookoła globu. Jednak charakter tych publikacji ma w zasadzie trzy oblicza i na trzy kategorie tę prozatorską reprezentację można, jak się wydaje, na wstępie podzielić.

Pierwszą częścią będą więc książki napisane ręką jednego podróżnika (podróżującego samotnie, we dwoje/dwie/dwóch lub w kilka osób) i dotyczące jednej, konkretnej, określonej w czasie, wyprawy dookoła świata. Publikacja taka stanowi w tym miejscu obraz zwartej wędrówki przez kontynenty, jednak z tym zastrzeżeniem, że nie jest kompilacją kilku czy kilkunastu relacji i sprawozdań różnych autorów, które na potrzeby wydawnicze zostały zebrane przez np. jednego redaktora prowadzącego/pomysłodawcę w jedną całość i przedstawione jako zbiór opowieści z całego świata. Taka bowiem gradacja w zupełności wypełnia znamiona drugiej kategorii proponowanego podziału. Natomiast trzecią częścią międzykontynentalnych wydawnictw mogą stać się publikacje, w których autor jeden konkretny autor opisuje swoje wędrowne losy splecione z podróźniczymi doświadczeniami, jednak gdy zawierają one w sobie mnogość opisów i wrażeń nie z jednej tylko wyprawy – a i w czasie rozłożone są na dużą część życia autora. Tak więc, dla uproszczenia, można powiedzieć, że czym innym będzie spisany i wydany opis jednoosobowej lub grupowej wyprawy dookoła świata, a czym innym również zebrany i wydany zbiór opisów licznej grupy podróżników, gdy każdy z nich, z osobna, opowiada o jednym tylko, wybranym, obszarze geograficznym lub po prostu państwie. Natomiast jeszcze czymś innym będzie opowieść autora o całym swoim podróźniczym życiu.<sup>648</sup>

„Bilet w jedną stronę, dwa plecaki, pięćset osiemdziesiąt trzy dolary i dwadzieścia pięć centów (cały nasz kapitał), niewiele planów i dużo marzeń. Tyle mieliśmy ze sobą, kiedy

---

<sup>648</sup> Znamienitym przykładem pozycji trzeciej w proponowanej gradacji będą „Podróże z Herodotem” Ryszarda Kapuścińskiego.

wylądowaliśmy w Nowym Jorku. Była środa, siódmy października 1988 roku... Wiedzieliśmy jedno: chcemy objechać świat dookoła. CAŁY! Jak tego dokonać prawie bez pieniędzy? Jak to zrobić, aby jak najbliżej poznać ludzi i kultury przemierzanych krajów? Oczywiście – autostopem!”<sup>649</sup>

Takie wydają się być początki wszystkiego. Decyzje oparte na marzeniach. Odwaga, a może i nieświadomość. Młodzieńcza fantazja i strach zostawiony w domu. Otwartość równa bezczelności, kiedy nie można, a trzeba. Wędrówka poza rozeznanie czasu, gdy nie stanowi on dla podróżnika żadnej bariery. Rządzi miejsce, a nie czas. Głośny skowyt cywilizacji zostaje za plecami, a droga po okręgu wydaje się nie mieć końca. Tylko nieliczni z naprawdę już nielicznych dokonują takich rzeczy, a czytając wspomnienia, każdy czytelnik popada w zadumę: jak to możliwe?

„Nie wyznaczaliśmy trasy – wybraliśmy tylko ogólny kierunek. Nie wczytywaliśmy się w przewodniki – naszymi przewodnikami byli kierowcy, którzy zabrali nas na stopa, ludzie spotkani na górskiej ścieżce, przypadkowo znaleziona mapa... Pozwalaliśmy wydarzeniom po prostu się wydarzyć, a drodze prowadzić nas poprzez nowe miejsca, kraje i przygody. Nie wiedzieliśmy wtedy, że zajmie nam to... pięć lat.”<sup>650</sup>

Relacja dzielnej Polki stanowi przejmujące świadectwo życiowej wędrówki, gdy – nawiązując do konstatacji o różnicy pomiędzy pojęciami „podróży w życiu” i „życia w podróży” – człowiek staje na jakiejś, dla niego samego niezrozumiałej, krawędzi decyzji i podejmuje ją z nieukrywaną fascynacją. Żyje w podróży. W dodatku, w całej rozciągłości wydarzeń, spisuje swoje przeżycia, by przez lata były obecne w pamięci po podróży i po podróżniku.

„Przez tych pięć lat, dzień w dzień, pisałam pamiętnik, zapełniając drobnym maczkiem kilka grubych tomów. Pisałam, siedząc oparta o plecak, czekając na stopa na zakurzonym paragwajskim pustkowiu, pisałam na pokładzie łódki przemierzającej amazońską dżunglę albo otoczona gromadką ciekawskich, bosonogich dzieci w laotańskiej wiosce... Kiedy tylko była możliwość, wklepywałam to do komputera, a Chopin archiwizował na naszej stronie internetowej.”<sup>651</sup>

Kinga Choszcz i Radosław „Chopin” Siuda na spartański sposób włóczą się przez Amerykę Północną, przemierzają kraje Ameryki Łacińskiej i przez całą Amerykę Południową docierają w końcu na Przylądek Horn. *Przeprawiamy się promem na drugą stronę Cieśniny*

<sup>649</sup> K. Choszcz, *Prowadził nas los*, Pelplin 2011, str. 9.

<sup>650</sup> Tamże, str. 9.

<sup>651</sup> Tamże, str. 10.

*Magellana, na Ziemię Ognistą. Kiedy pod wieczór docieramy do miasteczka Ushuaia, nasz kierowca oświadcza z uśmiechem. – No to proszę. Koniec świata.*<sup>652</sup> Gdy cena statku na Antarktydę (jak się okazuje, super ekskluzywnego wycieczkowca) jest za wysoka, lecą na Nową Zelandię i podróżując przez Australię, Indonezję i cały niemal Daleki Wschód, wracają do Chin, a później do Indochin. *Gdybyśmy nocowali tak jak wszyscy obcokrajowcy w hotelikach, nie mielibyśmy okazji zobaczyć takich obrazków, jakie oglądamy dziś rano w tej laotańskiej wiosce – przed oświetloną porannym słońcem świątynią kilkunastoletni mnich goli młodszemu (może dziesięcioletniemu) głowę i brwi, a przygląda się temu cała grupka świeżo ogolonych mniszków.*<sup>653</sup> Penetrują zakola rzek, korzystając z różnych form transportu i docierają do Indii. A stamtąd już tylko przez Azję wędrują po szczyty Pamiru, by Jedwabnym Szlakiem i Kaukazem wrócić po latach do domu – ale nie razem. Z powodu poważnej choroby Chopina (dur brzuszny) i innych okoliczności rozłączają się na Wschodzie i do Polski docierają oddzielnie, a Kinga relacjonuje ostatnie chwile podróży.

„Wysiadam na polskiej ziemi i pierwsza osoba, z którą tu rozmawiam, to... autostopowicz, który też czeka na tej samej trasie. Klasyczny, młody podróżnik, z kapeluszem i gitarą.

Rozmawiamy chwilę, pytam, jak się stopuje, a on mówi:

– Nie zgadniesz, skąd właśnie wracam. Z Hiszpanii!

– A zgadnij, skąd wracam ja... – odpowiadam.

Kolejny kierowca przygląda mi się uważnie i pyta:

– Jesteś Polką? Masz taki akcent...

Jeszcze ze dwa krótsze stopy i trzeci jedzie już prosto do Warszawy, która w momencie, gdy do niej dojeżdżamy, jest oświetlona niesamowicie zachodzącym słońcem. Kierowca wysadza mnie na Pradze. Odnajduję blok, mieszkanie, dzwonię domofonem.

– To ja...

Na klatce schodowej wpadam w ramiona Chopina.”<sup>654</sup>

Ostatecznie na tym opowieść się nie kończy, a podróżniczy środowisko zna tragiczne zakończenie Pięknej Podróży. Gdy po pięciu latach wracają do domu, świat nie pozwala dzielnej Kindze długo wysiedzieć na miejscu i z zapalem projektuje kolejną wyprawę, tym razem do Afryki, która poprzednio została pominięta. Mimochodem wspomina o tym jednak wcześniej, gdy po rozstaniu z Chopinem, w trakcie samotnej już wędrówki, pisze z azerbajdzkańskiego Baku: *Idę an Internet i wysyłam Chopinowi SMS z wiadomością, że*

---

<sup>652</sup> K. Choszcz, *Prowadził nas los*, Pelplin 2011, str. 217.

<sup>653</sup> Tamże, str. 393.

<sup>654</sup> Tamże, str. 514.

*niedługo spotkamy się w Polsce. Nie będzie to mój powrót, ale przystanek przed ostatnim, afrykańskim etapem podróży. Da to też Chopinowi szansę przyłączenia się do mnie, jeśli będzie miał ochotę, bo mam nadzieję, że szybko odzyska formę.*<sup>655</sup> Fakty są jednak okrutne i Kinga Choszcz umiera podczas afrykańskiej przygody, śmiertelnie chorując w Akrze na malarię mózgową – tę samą, która o mały włos w 1962 roku nie zabiła w Ugandzie Ryszarda Kapuścińskiego. Część jej prochów Chopin rozsypuje na Oceanie Atlantyckim, a część przywozi i chowa na jednym z gdańskich cmentarzy w czerwcu 2006 roku. Podróż dookoła świata zostaje brutalnie przerwana nie przez wypadek, jakiś nieszczęśliwy zbieg okoliczności czy bandycki i kryminalny napad – to świat w całej swojej mrocznej sile okazał się bezlitosnym zabójcą.<sup>656</sup>

Jednak wędrówka tej pary przez kontynenty staje się polskim symbolem zarówno podróży, jak i w tym wypadku literatury podróżniczej, która opisuje to wydarzenie. Takiej drugiej książki po prostu nie ma, jak i nie ma drugiej takiej wyprawy, i nie będzie już z pewnością drugiej takiej Kingi. Ostatecznie, patrząc na historię przeróżnych światowych podbojów, raczej można być pewnym, że kiedyś ktoś, być może samotnie, być może w parze lub w większej grupie śmiałków, przejedzie świat autostopem ich śladem i według ich wspomnień, a „Prowadził nas los” stanie się na tej drodze przewodnikiem i mapą. Jeśli dziś, dla upamiętnienia jakiejś wyprawy, za honor uchodzi powtórzenie jej z w miarę wiernym odwzorowaniem, to być może za pięćdziesiąt lub sto lat ktoś inny, jakiś młody i odważny obieżyświat, odgrzebie z zakurzonej półki wspomnienia Kingi i ruszy według jej zapisków.

Całkiem innego wyzwania podjął się natomiast Piotr Kuryło, który między sierpniem 2010 a sierpniem 2011 roku odbył roczną podróż dookoła świata w ramach propagowanej przez siebie akcji „Bieg dla pokoju”. *Od momentu przekroczenia granicy biegłem zwykle od świtu do nocy. Wolno zmierzałem w kierunku Berlina. Z drogi widziałem jedynie podmokłe pola, a na nich robotników w gumiakach, którzy wybierali z błota jakieś warzywa.*<sup>657</sup> I w ten sposób przebiegł świat dookoła, ciągnąc w dodatku za sobą specjalistyczny wózek z niezbędnymi na tak długą drogę akcesoriami. Można powiedzieć, że biegł, biegł i biegł –

---

<sup>655</sup> K. Choszcz, *Prowadził nas los*, Pelplin 2011, str. 497.

<sup>656</sup> Po śmierci córki, mama Kingi, Krystyna Choszcz, zakłada Fundację Freespirit, nazwaną tak od pseudonimu, jakim Kinga była najczęściej określana. Fundacja spełnia swoje statutowe cele poprzez przede wszystkim *stwarzanie szans edukacyjnych dzieciom i młodzieży, dla których podstawowe prawo do nauki znajduje się w kręgu marzeń* – jak można przeczytać w preambule statutu. Fundacja prowadzi szereg działań, dla których ciągłą inspiracją jest postać Kingi, a o wszystkim można przeczytać na stronie internetowej [www.fundacja-freespirit.pl](http://www.fundacja-freespirit.pl).

<sup>657</sup> P. Kuryło, *Ostatni maraton*, Gliwice 2012, str. 23.

trochę swoim wyczynem przypominając legendarną już postać Forresta Gump'a z niegdyś znanego filmu Roberta Zemeckisa, z Tomem Hanksem w tytułowej roli. Kuryło najpierw przemierzył kontynent europejski, następnie samolotem przeleciał do Stanów Zjednoczonych, przebiegł USA ze wschodu na zachód by znów samolotem dostać się na dalekowschodnie rubieże Rosji i biegnąc wytrwale przez cały ten wielki kraj<sup>658</sup>, dotarł w końcu na powrót do Polski. *Biegłem przez wioski kierując się w stronę Litwy*<sup>659</sup> – jak sam prostym językiem opisuje. Jednak jego wyprawa nie miała charakteru poznawczego i generalnie brak było w niej walorów np. kulturoznawczych i typowo podróżniczych – nie takie zresztą zadanie postawił przed sobą autor. Z kilku ważnych dla siebie powodów uznał, że bieg ten będzie ostatnim jego maratonem i kolejne lata spędzi już zdala od bieżni i maratońskich zawodów, co od wielu lat czynił i co było jego wyraźną pasją. Obiegnięcie świata stało się wyzwaniem i szczytnym manifestem idei „Ziemi bez wojen”, a przez to wyczynem i aktem dla niemal samego wyczynu i aktu, a nie formą podróży czy wędrówki. W tym znaczeniu dokonanie biegacza można porównać do samotnego opłynięcia świata, przelotu na około niego szybowcem lub balonem, czy też do jakiegokolwiek innej, bardziej sportowej i wyczynowej formy wydarzenia, jakim jest „zrobienie czegoś i czymś” dookoła świata. Nie mniej wyczyn Kuryły spotkał się z szerokim echem i uznaniem<sup>660</sup>, choć jak sam autor wspomina, przeżywał i chwile grozy: *Góry trochę mnie męczyły, ale kierowcy jeszcze bardziej. Moja walka z nimi rozgorzała na dobre. Zepchnęli mnie już na pobocze, które było nierówne i kamieniste, przez co rozerwała mi się przednia opona.*<sup>661</sup> Na dobrą sprawę trudno sobie wyobrazić tak karkołomną wyprawę, gdy jedynie nogi służą za bezpośredni napęd i tylko siłą własnych mięśni (nawet nie na rowerze) pokonuje się kilometr za kilometrem. *Rankiem było jeszcze zimniej niż ostatnio. Bolały mnie stopy: pojawiły się na nich twarde odciski. Raz mijiałem brzoźowy las, a raz bagno.*<sup>662</sup> Publikacja maratończyka stanowi w tym miejscu, na szlaku

---

<sup>658</sup> Gdy Jacek Hugo-Bader redagował na Kołymie swój dziennik, wspomina na jego kartach innego biegacza, podążającego przez Rosję, tylko w odwrotnym kierunku. *Jakucja oszalała. Na punkcie bieguna (czyli biegacza), Piotra Siemionowicza Naumowa, niemal ociemniałego inwalidy pierwszej grupy, bo prawym okiem nic nie widzi, a lewym minus dwadzieścia pięć dioptrii. Ma sześćdziesiąt jeden lat i właśnie ukończył bieg na dystansie 12 009 kilometrów z Kaliningradu do Władywostoku. Zajęło mu to dwieście sześć dni. Z tego wynika, że codziennie przebiegał ponad pięćdziesiąt osiem kilometrów.* J. Hugo-Bader, *Dzienniki kołymskie*, Wołowiec 2011, str. 307.

<sup>659</sup> P. Kuryło, *Ostatni maraton*, Gliwice 2012, str. 159.

<sup>660</sup> Między innymi został nagrodzony w roku 2011 aż trzykrotnie najstarszą polską nagrodą podróżniczą, Kolosem. Otrzymał go w kategorii „Wyczyn roku”, „Nagroda dziennikarzy” i „Nagroda publiczności”. Warto w tym miejscu dodać, że ta podróżnicza gala – zwana oficjalnie Ogólnopolskim Spotkaniem Podróżników, Żeglarzy i Alpinistów – rokrocznie odbywa się w Gdyni od roku 2000, choć pierwsze jej edycje miały miejsce w Kopalni Soli w Wieliczce i w Krakowie.

<sup>661</sup> Tamże, str. 153.

<sup>662</sup> Tamże, str. 128.

polskiej literatury podróżniczej, kolejną ciekawą i oryginalną pozycję z rzędu tych najbardziej nieprawdopodobnych opowieści, gdy człowiek mierzy się nie tylko z innym krajem i inną kulturą, ale przede wszystkim musi stawić czoła samemu sobie – pokonać własne słabości. Gdy Kuryło wraca do domu i solennie obiecuje każdemu, a przede wszystkim rodzinie, już nigdzie i nigdy nie wybiegać, kusi się także o refleksję opartą na maratonie przez świat: *Długa droga nauczyła mnie tego, że losy różnych ludzi często się splatają.*<sup>663</sup>

Wręcz mityczna podróż dookoła świata kusi nie jednego, a globus nie daje spokoju. Być może bywa i tak, że po prostu czasem w życiu każdego człowieka, nie koniecznie zapalonego podróżnika-pasjonaty przychodzi czas i ochota, by zrobić, wykonać, dokonać rzeczy nietuzinkowej i jedynej w swoim rodzaju. Przykładem takiego wydarzenia bezsprzecznie może być podróż Tomasz Gorazdowskiego i Michała Gąsiorowskiego, którzy na dwóch mechanicznych jednośladach przemierzili świat, jednak w odwrotnym kierunku niż piechur Kuryło, a mianowicie z zachodu na wschód.

„Kiedy patrzę na naszą wyprawę z perspektywy kilku miesięcy, które minęły od jej zakończenia, coraz bardziej jestem przekonany, że ONA nie miała prawa się udać. A jednak, ta ułańska fantazja... Daliśmy radę! Dzięki determinacji, szczęściu i dobrym ludziom po drodze. Mimo mojego zepsutego kręgosłupa, który kilka miesięcy wcześniej miał być operowany, mimo naszego motocyklowego doświadczenia, którego właściwie nie było i mimo bladego pojęcia o tym, na co się porywamy. To była ekstremalna wyprawa. Ekstremalna dla nas, którzy wcześniej nie przejechaliśmy motocyklem nawet stu kilometrów. „Każdy ma swoją górę do zdobycia” powiedział kiedyś któryś z podróżników. Dla nas ta wyprawa była jak wejście na Mount Everest.”<sup>664</sup>

Po szczęśliwym powrocie Gorazdowski barwnie spisuje swoje wspomnienia, pieczołowicie oddając się pisarskiemu rzemiosłu. Wiedzie czytelnika na południe Europy, potem przez Turcję i Iran<sup>665</sup> do Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Opowiada o logistycznych kulisach: *Zaczynał się kolejny etap podróży. Bardzo egzotyczny etap. Na początku, kiedy urodził się pomysł wyprawy, nie sądziłem, że z Emiratów polecimy do Indii.*

---

<sup>663</sup> P. Kuryło, *Ostatni maraton*, Gliwice 2012, str. 391.

<sup>664</sup> T. Gorazdowski, *126 dni na „kanapie”*. *Motocyklem dookoła świata*, Kraków 2010, str. 7.

<sup>665</sup> Niestety w Iranie ma miejsce bardzo poważny wypadek, gdy towarzysz Gorazdowskiego zostaje znacznie poturbowany w drogowej kraksie i niemal cudem nie dochodzi do tragedii. Na szczęście obrażenia nogi nie są zbyt dotkliwe, a motor udaje się po czasie naprawić. Jak się później okazało, było to najgroźniejsze z wydarzeń i o mały włos nie doszłoby do przerwania podróży. „No to porumakowaliśmy... To koniec wyprawy” – pomyślałem. „Daleko nie zajechaliśmy. Będę musiał wracać do Polski sam, ale jak przetransportować uszkodzoną yamahę do kraju?” – zacząłem sobie zadawać pytania. Może nie było to na miejscu ze względu na dramaturgię zdarzeń sprzed kilku minut, ale jednak właśnie o tym pomyślałem – wspomina autor. Tamże, str. 78.

*Pierwotnie z Iranu mieliśmy wjechać do Pakistanu i południowym skrajem kraju przedostać się do Indii.*<sup>666</sup> W końcu docierają drogą lotniczą do Indii, a w Bombaju autor pisze: *Sarajewo ma swoją „aleję snajperów”, dla mnie droga z lotniska do centrum Bombaju zawsze będzie „drogą beznadziei”. Trwają prace nad modernizacją tej drogi. Potworna bieda nie będzie pierwszą rzeczą, jaką goście zobaczą po przylocie. Zobaczą ją w drugiej kolejności, zaraz po zjechaniu z nowej arterii. Bo bieda jest wszędzie.*<sup>667</sup> Wędrują i wędrują, a motory wiodą ich do kolejnych państw. Zwiedzają Tajlandię, Malezję i Singapur<sup>668</sup>, a potem transportują się do Stanów Zjednoczonych. Po drodze co rusz natrafiają na wiele przeciwności, które ze swadą przytacza Gorazdowski. *Na dodatek wieczorem ukradli mi buty. Moje ukochane nike.*<sup>669</sup> Borykają się z wręcz nieprawdopodobnymi perturbacjami graniczo-celnymi, gdy przychodzi im ekspediować motory. W tym sensie „126 dni...” staje się bardziej opowieścią nie o drodze, wędrowce i podróży, a bardziej o perturbacjach, kłopotach i niedogodnościach. Narracja autora w wielu miejscach zamienia się w bezsilną irytację, gdy świat Innego styka się z przyzwyczajeniem i oczekiwaniem człowieka Zachodu. Na tym poziomie publikacja, choć bogata w technologiczne i administracyjne opisy, daje czytelnikowi do myślenia zarówno o procedurach prawnych, jak i o roli cierpliwości, gdy przychodzi zmierzyć się z biurokratycznym bezwładem państw Wschodu. Zresztą i w USA dochodzi na tym tle do widocznych zgrzytów, gdy podróżnicy za nic i niemal w żadnym stopniu nie mogą porozumieć się z urzędnikami celnymi, a Gorazdowski co chwilę klnie jak szewc.

Jak się wydaje, warto w tym miejscu uzupełnić przywołanie powyższej podróżniczej publikacji o informację, że motocyklowa wyprawa Gorazdowskiego i Gąsiorowskiego miała ścisły związek, jako etatowych radiowców, z ich codzienną pracą zawodową. Będąc bowiem na co dzień pracownikami Polskiego Radia w Warszawie, traktowali swoją wyprawę także, albo przede wszystkim, jako etatowe zobowiązanie i niemal codziennie ślali do kraju, na fale popularnej „Trójki”, podróżnicze relacje i sprawozdania. W tym celu zostali także przez pracodawcę zaopatrzeni w sprzęt radiowo-satelitarny, a cała ich kilkumiesięczna wyprawa

---

<sup>666</sup> T. Gorazdowski, *126 dni na „kanapie”*. *Motocyklem dookoła świata*, Kraków 2010, str. 103.

<sup>667</sup> Tamże, str. 106.

<sup>668</sup> Cytowana już m.in. przy okazji afgańskiego Kabulu Anna Wojtacha, ze względu na polityczny przewrót w Tajlandii także tranzytowo ląduje w Singapurze, relacjonując najpierw konsularne utarczki w tajskiej ambasadzie oraz pisząc w kilku słowach o małym państwie na południu Malezji: *Singapur to bajka stworzona z wyczuciem i smakiem. Mam wrażenie, że nie ma tu ani jednego zbędnego budynku, a każdy z nich jest zadbane i porośnięty bujnymi krzewami lub kolorowymi kwiatami. Nie wiem, jak żyje się w takiej bajce, ale na pierwszy rzut oka można tu być tylko szczęśliwym. Cały dzień zwiedzamy, a wieczorem docieramy do hinduskiej dzielnicy, gdzie aż roi się od straganów z jedzeniem. Zajadamy się owocami morza i ostro przyprawionymi makaronami. Jeden dzień oddechu po indyjskim maratonie.* A. Wojtacha, *Kruchy lód*, Warszawa 2012, str. 134.

<sup>669</sup> T. Gorazdowski, *126 dni na „kanapie”*. *Motocyklem dookoła świata*, Kraków 2010, str. 136.

była bodaj w całości refinansowana ze źródeł sponsorskich, w czym zaplecze radiowe zdawało się mieć niebagatelne znaczenie – jako solidne koło zamachowe i rękojmia. Nawet motory zostały im wypożyczone przez jeden z motoryzacyjnych koncernów.

„Radio. Dużo czasu zajęły wewnątrzradiowe ustalenia. Jak będziemy pracować, jak będą wyglądały nasze relacje, w jakich godzinach będą, w jakie dni, ile będą trwały, na żywo czy nie i kto będzie odpowiedzialny za kontakty z nami podczas wyprawy? Uciążliwe było załatwienie tych wszystkich papierkowych spraw. Ubezpieczenie nas samych, ubezpieczenie sprzętu, rozliczenia, zaliczki, karty płatnicze, pokwitowania, pokwitowania pokwitowań, no i cały sprzęt techniczny do nadawania, nagrywania i montowania. Wszystkie mniejsze urządzenia mieliśmy zdublowane na wypadek awarii. Mieliśmy tylko jedną antenę satelitarną i jeden kodek, czyli urządzenie pozwalające łączyć się z radiem za pomocą anteny. Kable, wtyczki, złączki, mikrofony, słuchawki, sprzęt do nagrywania, zasilacze – wszystko musieliśmy skompletować, podpisać, odebrać, i przede wszystkim sprawdzić, czy działa. I spakować.”<sup>670</sup>

Nie można powiedzieć, że nie było to ważne i nie miało znaczenia, a przykład ten stanowi jedynie wierzchołek góry lodowej i swoje rozwinięcie znajdzie w dalszej części niniejszej dysertacji, gdy poruszone zostanie zagadnienie licznych wypraw i publikacji, których jakoby głównym celem nie tyle jest mozolna podróż i wędrówka, co raczej zarabianie pieniędzy i uzyskiwanie dochodu.<sup>671</sup> W żadnym stopniu nie umniejsza to rangi i pozycji podróżniczego szlaku, a co za tym idzie, publikacji, jednak już na przykładzie trzech powyższych wędrówek dookoła globu widać wyraźnie, jak inne i różne mogą być sposoby, motywy, cele, idee, ale także geograficzne kierunki i azymuty. Każda bowiem podróż jest różna od innej, a reportersko-dziennikarski zapis, jak się wydaje, ma także co najmniej dwie odsłony: pisany i wyrzucany z siebie przez autora jako osobista relacja i sposób na podsumowanie – będąc wtedy podróżniczą „kropką nad i”, oraz gdy czyta to wszystko zwykły i przeciętny czytelnik, dla którego jedne fakty są ważne, a jedne nie – i to on tak naprawdę jest ostatnim i najważniejszym recenzentem i cenzorem publikacji. Kupi – nie kupi? Przeczyta – nie przeczyta? Na tym przykładzie publikacja Gorazdowskiego nosi jeszcze jedno znamię, gdy dzisiejszy przemysł wydawniczy uzurpuje sobie prawo, w zamian pewnie za finansowe, a już na pewno marketingowe, profity, do przeróżnego uatrakcyjniania

---

<sup>670</sup> T. Gorazdowski, *126 dni na „kanapie”*. *Motocyklem dookoła świata*, Kraków 2010, str. 14.

<sup>671</sup> Jednym z licznych przykładów na taki obrót sprawy są dwie niedawne publikacje, przywoływane już kilkakrotnie przy innej okazji, a bezspornie wskazujące na fakt niejako dwóch odrębnych filozofii podróży, dwóch motywów przewodnich, albo i sposobów realizacji zamierzonego celu. Mam tutaj na myśli samotną podróż Colina Thubrona po Syberii i jego „Po Syberii” oraz ekspedycję Jonathana Dimbleby’ego z całym zawodowym zapleczem telewizyjno-marketingowym i jego „Rosję. Podróż do serca kraju i narodu”.



wydawanych książek, a publikowanie wewnątrz autorskiej relacji wirtualnych adresów do galerii zdjęć czy filmów z wyprawy jest tylko jednym z nielicznych przykładów takich działań. Wiąże się to z resztą z komentowanym już zagadnieniem zamieszczania w książkowych publikacjach kodów 2D lub innych medialnych przekierowań. Wtedy oto książka przestaje być już tylko książką w jej tradycyjnym i tylko papierowym rozumieniu, a staje się publikacją transgraniczną pomiędzy fotografią i filmem oraz nierozzerwalną częścią przemysłu wydawniczego: pod rękę z portalem internetowym, takową księgarnią czy też radiem i telewizją od jednego właściciela. Zasadnym będzie więc w dalszej części rozmyślań odpowiedzenie na nurtujące pytanie, czy w dzisiejszych czasach podróż rodzi przemysł, czy też jest dokładnie odwrotnie i oto przemysł rodzi podróż? I czy końcowa konstatacja Gorazdowskiego ma w ogóle jakieś znaczenie, gdy dzieli się osobistym spostrzeżeniem: *Długo jakoś nie mogło do mnie dotrzeć, że się udało. Że jutro nie trzeba wstawać i jechać. I z jednej strony czulem wielką ulgę, z drugiej lekki zawód, że to już koniec. Najważniejsze, że porwałem się na takie wyzwanie. Potem, że wspólnie jakoś doprowadziliśmy do całego przedsięwzięcia, no i że nie pękliśmy po drodze, gdzieś w Iranie. Że wróciliśmy w jednym kawałku, z nowymi doświadczeniami, nowymi horyzontami, nowym podejściem do życia. W końcu, jak mawiają Chińczycy – dopiero ze szczytu góry można ocenić rozległość równiny. Czulem, że stoję na szczycie. Spełniłem swoje marzenia, a te mają to do siebie, że nie spełniają się od reki. I dlatego są marzeniami.*<sup>672</sup>

Lecz nie tylko na dwóch mechanicznych kółkach podróży naokoło świata dokonał Gorazdowski z kolegą. Mała Ziemia nie znosi pustki i żywi się konkurencją – choć w tym przypadku nie chodzi o konkurencję podróżniczą, a raczej o współzawodnictwo na księgarskiej półce: kogo książkę kupić?

„Zabieram się do tej książki z mieszanymi uczuciami i ze sporym opóźnieniem. Z mieszanymi uczuciami, ponieważ z jednej strony obawiam się, czy sobie poradzę, i może lepiej, żebym poświęcił czas na coś, na czym się znam, a ponadto podróże motocyklowe dookoła świata nie są dzisiaj niczym nadzwyczajnym. Ludzie jeżdżą, często nawet samotnie lub tylko z partnerką na tylnym siodełku. Z drugiej strony jest to dla mnie wyprawa życia i serce mi podpowiada, aby przekazać coś z emocji, jakie targają psychiką człowieka przesadzonego na pół roku zza biurka na siodełko motocykla. W końcu jeśli ludzie mają czytać, ktoś musi pisać. Jest nas dwóch, ja i mój australijski przyjaciel Kenneth, zwany po prostu Kubą. Przez siedem miesięcy przejechaliśmy 40 tysięcy

---

<sup>672</sup> T. Gorazdowski, *126 dni na „kanapie”*. *Motocyklem dookoła świata*, Kraków 2010, str. 286.

kilometrów na kołach i jakieś dziesięć tysięcy statkami, promami i samolotami. Mam tu na myśli sytuację, kiedy nie było wyjścia i musieliśmy coś przeskoczyć. Ale nasze rumaki były z nami bądź za chwilę ruszały za nami, czy to na pokładzie statku, czy w luku bagażowym samolotu.”<sup>673</sup>

Korzystając z osobistych australijskich kontaktów, Oskroba wyrusza w swoją podróż na motorze nie z Polski, a z kraju kangurów i wiecznie śpiących misiów koala. Jadą z kolegą przez Indonezję, Malezję, wjeżdżają od południa do Tajlandii, potem przenoszą się do Indii i przez Pakistan z Iranem docierają do granic Turcji. Można powiedzieć: szybki skos przez Azję – ale i tak siedem miesięcy. Nie wolni od przygód i administracyjnych potyczek. *Na przykład ambasada Indii w Warszawie zdecydowanie i niegrzecznie odmówiła wydania mi wizy z uwagi na to, że nie posiadam kopii biletu lotniczego do tego kraju. Nie chcieli słuchać żadnych wyjaśnień, że motorem, że nie z Polski będę leciał. Nie i już! Powiedzieli, że w Bangkoku może mi dadzą. Może!?! Niezła perspektywa. A jak nie dadzą?*<sup>674</sup> Książka jest więc raportem z podróży, pisana w oparciu o przeżycia, których autor broni. Nie chce na siłę upiększać i buntuje się na sygnał do politycznej poprawności. *Co do subiektywizmu. Tak, jestem subiektywny. Czasem złośliwy. Ta książka to nie jest przewodnik turystyczny, tylko moje spojrzenie na świat i jego historię. Kiedy piszę, że Aborygeni to najbrzydsi ludzie na świecie, to piszę to subiektywnie. Ja tak uważam! Choć jak wiadomo, nie to ładne, co ładne, tylko co się komu podoba.*<sup>675</sup> I taka jest ta opowieść – nie zmyślona i podkolorowana, ale pokonana własnym wysiłkiem i za własne pieniądze. W tym znaczeniu rzetelnie może konkurować z podróżą Gorazdowskiego, gdy na jego wyprawie nawet motocykle były niejako z innej parafii. Nie jest zadaniem niniejszej dysertacji ani oceniać, ani wskazywać na plusy lub minusy takich i podobnych rozwiązań, jednak nie sposób milczeniem wskazanych faktów pominąć. W jakimś przecieży sensie odwiedzany i oglądany świat przez to rozróżnienie nie będzie inny i każdy z motocyklistów, czy za swoje środki finansowe, czy pozyskane od sponsora (czy wtedy już też nie są swoje i własne?) jedzie wszak po tej samej ziemi i tą samą szosą; widzi te same drzewa, brodzi w podobnych rzekach, a i granice przekracza być może u tego samego celnika.

Publikacja Oskroby pokazuje także po raz kolejny, że nawet najtrudniejsza fizycznie i technicznie podróż jest do pokonania. Zмага się z wieloma przeciwnościami, jednak czas

---

<sup>673</sup> D. Oskroba, *Dosięgnąć horyzontu czyli motocyklem przez świat*, Poznań 2011, str. 5.

<sup>674</sup> Tamże, str. 55.

<sup>675</sup> Tamże, str. 468.

działa na jego korzyść. Dużo tu historii i cywilizacyjnych nawiązań. Nie rzecz w tym, by tylko przejechać. *Im bardziej na zachód Jawy, tym ludzie stają się mniej przyjemni. Rządziej się uśmiechają, częściej patrzą na nas tak jakoś spode łba*<sup>676</sup> – i dodaje na swój sarkastyczny sposób: *Pewnie inny poziom islamu. Meczety na każdym kroku, ładne, brzydkie i mnóstwo w budowie.*<sup>677</sup> Autor dokonuje iście autorskiego oglądu świata i w wielu przypadkach jest pewnie tak, jak pisze. A gdy od powrotu mija ponad rok, szykuje z przyjacielem kolejną wyprawę. *Wokół biurka, przy którym piszę te słowa, walają się mapy, przewodniki, wyposażenie kempingowe. Za dwa dni wyruszamy znowu. Motocykle przejrzone, sprzęt prawie skompletowany, podniecenie narasta. Tym razem Afryka. Mamy zamiar dotrzeć z Polski do Kapsztadu w RPA. Spodziewamy się, że będzie to około 20 tysięcy kilometrów i zabierze trzy – cztery miesiące. Stamtąd planujemy wysłać pojazdy do Chile lub Argentyny i następnie przejechać obie Ameryki. Co dalej – nieustalone.*<sup>678</sup> I tak oto przygoda dzieje się w nieskończoność. Droga nie zna końca, a po dzielnych motocyklistach przyjdą następni i następni. Wytyczone ślady zapełnią się kolejnymi, a świat odwiedzą liczni naśladowcy. Podróż kołem się toczy i niezmiennie, dzień za dniem, czeka na kolejnych śmiałków. Piechotą, motorem lub wozem. Statkiem i samolotem, przez wszystkie granice i strefy niczyje – i tylko czekać na kolejne publikacje.

*Co kraj to obyczaj. Wkraczam jak armia. Zawsze myślę, że mi się należy – ale to zła droga. Korekta: może mnie wpuszczą? Może pozwolą przejść na drugą stronę? Ziemie niczyje są jak azyl. Jak bezpańskie psy. Wałęsają się od szlabanu do szlabanu. Czasem uprawiane i orane – częściej opuszczone i zaminowane. Jak samotne kobiety porzucone na pastwę losu. Gdzieś między Jordanią a Syrią pogranicznicy wciskają mnie na siłę do jakiegoś wozu: w sześcioosobową rodzinę, dwa psy, kilka kotów i kozę. Duchota. Smród. Odór. Cztery godziny pieczętek, kwitków, oplat, znaczków, zgód, papierków na wszelki wypadek. Kolejki do każdego okienka, pod każdym karabinem. Krzyki i huki. Matki z dziećmi gnane od Annasza do Kajfasza. Rozbebeszone bagaże. Nic nie działa. Między Tajlandią a Kambodżą ogromne kasyno – można wygrać miliony. Krupierzy uchylają nieba. Koła fortuny tylko dla mnie. Dziesiątki budek z owocami i napojami. Szemrani sprzedawcy fałszywych walut. Muzyka z kaset. Co jakiś czas jedzie polewaczka i przepędza jaszczurki. Można się ostrzyc, wejść na masaż, kupić żółwie. Flagi na masztach. Prezydenci na masztach i banknotach. A potem już tylko potrzebny czas na oswojenie. Terra Incognita. Kurz syczy jak węże. Nowy kraj pachnie nowością. Byle wtopić się w tłum. Zunifikować z rozbieganym otoczeniem – jeżeli kolor skóry na to pozwoli. Czasem inaczej pachnie,*

<sup>676</sup> D. Oskroba, *Dosięgnąć horyzontu czyli motocyklem przez świat*, Poznań 2011, str. 188.

<sup>677</sup> Tamże.

<sup>678</sup> Tamże, str. 466.

*słyschać inne muzyki, inne krzyki ulicznych sprzedawców. Chciałoby się wyrzucić torbę, plecak – być lekkim jak tuziemiec. Trzeba wymienić pieniądze, zorientować w terenie. Gdzieś napić się herbaty, usnąć na boku. Urok nowej ziemi. Każda dawno zamieszкана, a dla mnie pierwsza. Snuję się po uliczkach i dzielnicach jak dziecko po podwórkach sąsiadów. Patrę na ludzi, a oni na mnie. Wącham. Smakuję. Gryzę. Wszystko inne, różne, ciekawe. Detale. Pierwsze chwile na obcych ziemiach zawsze tchną intrygującą tajemnicą: jak będzie? co się wydarzy? kogo spotkam? ile zapłacę? jak przejadę? co zobaczę? Trzeba wszystko znaleźć, odkryć powiązania transportowe, przywyknąć do smaku. Co przeliczam banknoty, to się gubię – za dużo zer, ile skreślić? Ale po jakimś czasie wszystko wraca do normy. Bazar staje się czytelny, jedzenie trzeba kupić tu a tu, transport tędy, modły wtedy a wtedy. Bilety i drobne monety gnieźdzą się w kieszeniach jak pisklęta, a mapy zaczynają przeszkadzać. Coraz więcej rozmów. Idź tam, zobacz to – słyszę co pewien czas. Słońce już tak nie praży. Przejściowy deszcz trzeba przeczekać i wiele brać za dobrodziejstwo bogów. Powoli przesiąkam ich światem i jak nie słyszę muezina, czegoś mi brakuje. Hidzaby już nie dręczą, czarczafy nie straszą. Nie przeszkadza brak wody, a skóra robi się ciemniejsza. Potem przestaję odwracać się za czarcim czadorem, a sam założyłbym kufijję.*

**J**eszcze innym projektem podróżniczym jest przygoda młodych ludzi lansowana hasłem „Busem przez świat” i jako pod takim tytułem ukazała się pierwsza, z planowanych pewnie kilku, książka podróżnicza Karola Lewandowskiego. Świeżo upieczony student zaraził swoim pomysłem kilku kolegów i po niedługim czasie ruszyli w świat. Jednak ich zamierzenia nie stanowią jednej zwartej wyprawy, a bardziej są rozłożonym w czasie penetrowaniem świata – co w sumie po części robi niemal każdy z autorów przytaczanych książek. Każdy na swój sposób i w swoim tempie zwiedza kraj za krajem. Cytowana publikacja opowiada więc tylko o ich pierwszej wyprawie przez całą Europę, po Gibraltar i Portugalię. Bus, stary model znanej hipisowskiej marki, zakupili wcześniej własnym sumptem i wyremontowali do gołej blachy. Tak powstał ich wehikuł podróży, a Lewandowski przekonywał kolejnych uczestników: *Właśnie w tym jest nasza szansa. Nikt tak nie robi! I tak. Śpimy na dziko, więc noclegi mamy z głowy. W razie czego kimniemy się w samochodzie. Czemu nie? Zostawimy trochę pieniędzy na jakiś motel, gdyby zaszła potrzeba, ale... będzie lato, prawda? W Polsce nakupimy konserw. Cena paliwa może cię przestraszyć, to jakieś trzy tysiące złotych jak nic, ale jak będzie nas pięciu, ile to wyniesie? Nie ma już granic,*

*skorzystajmy coś z tej Unii. Jeszcze raz ci powiem: nikt tego wcześniej nie zrobił.*<sup>679</sup> Europejską trasę pokonali z wieloma perturbacjami, a wrócili *Ani z tarczą, ani na tarczy. Nie busem ani bez busa. Na lawecie.*<sup>680</sup> Jednak młodzieńczy projekt żyje nadal i od tego czasu, jak można przeczytać na ich stronie internetowej, zwiedzili podczas kolejnej wyprawy Amerykę Północną i szykują się do kolejnych podbojów. *Poznaliśmy niesamowitych ludzi i przeżyliśmy wiele przygód, których nie zapomnimy do końca życia. Ale o tym prawdopodobnie w kolejnych książkach. Bo wyprawa wciąż trwa. Jedziemy jeszcze dalej, zdobywać kolejne kontynenty.*<sup>681</sup>

To, co nie udaje się jednym, staje się udziałem drugich. Niewidoczne dla licznych, wylania się tylko niektórym. Może też dlatego książek opisujących podróże dookoła świata nie jest wcale wiele, a i podróży śmiałków garstka. A może dlatego, że gdyby – jak chce żydowskie przysłowie – wszyscy ciągnęli w jedną stronę, świat przewróciłby się do góry nogami?

„Podróż-pisanie jest archeologią pejzażu. Podróżny-pisarz zapuszcza się niczym archeolog w głębokie warstwy rzeczywistości, aby odczytać również znaki ukryte pod innymi znakami, zgromadzić jak najwięcej możliwych egzystencji i historii oraz uratować je przed rzeką czasu, falą zapomnienia zacierającą ślady; buduje kruchą papierową arkę Noego, świadomy wszakże jej ulotności. Pejzaż jest również cmentarzem, ossarium, które stało się nawozem i limfą życia: mogiły pod Verdun wyglądają jak pagórki, a stworzyły je przecież bomby i śmierć.”<sup>682</sup>

Justyna Minc i Paulina Pilch wyruszyły na swoją roczną wyprawę dookoła świata z głębokim wewnętrznym przekonaniem, że musi się udać, choć, jak same przyznają we wstępie do spisanych wspomnień, *Wyruszając z domu, miałyśmy cztery wizy w paszporcie, plecaki przeładowane niepotrzebnymi rzeczami i... strach w oczach. Po miesiącu, gdy opuszczałyśmy Mongolię, po strachu nie było ani śladu, duża część zbędnego bagażu została wyrzucona lub odesłana do domu, a nam wydawało się, że oto zdobywamy świat i nikt już nam nie stanie na drodze. Stały... Chiny i ich miliard trzysta milionów mieszkańców, ale potem było już tylko łatwiej.*<sup>683</sup> Wędrują z plecakami przez Rosję do Mongolii, odwiedzają Chiny i pręc dalej na południe, przez Indochiny docierają do Malezji oraz na indonezyjską

---

<sup>679</sup> K. Lewandowski, *Busem przez świat*, Kraków 2011, str. 23.

<sup>680</sup> Tamże, str. 300.

<sup>681</sup> Tamże, str. 302.

<sup>682</sup> C. Magris, *Podróż bez końca*, Warszawa 2009, str. 17.

<sup>683</sup> J. Minc, P. Pilch, *Dziewczyńska podróż dookoła świata*, Łódź 2012, str. 9.

Sumatrę i Jawę. Wcześniej jeszcze, z Bangkoku, lecą na jakiś czas do Indii. Wędrują inaczej, niż np. Kinga Choszcz z „Chopinem”, ponieważ przede wszystkim rolę odgrywa czas – rok wolnego od warszawskiej codzienności. Swoje znaczenie mają w tym przypadku także zasoby finansowe, których po prostu kobiety posiadają relatywnie dużo i, jak same podliczają na końcu drugiego tomu publikacji, wydają miesięcznie niemal dwa tysiące dolarów na osobę. Nie można więc nie zauważyć, że w jakimś sensie zasoby finansowe decydują o ich podróżniczych założeniach i bardzo łatwo sobie wyobrazić tym samym inną „podróż dookoła świata” – np. ogromnym transatlantykiem w ramach jednego z ekskluzywnych rejsów (czy zawody Formuły 1 są sportem, a jeśli tak, to dlaczego nie ma ich w programie żadnych igrzysk olimpijskich?). Jak się wydaje, nie jest ani kompetencją, ani zadaniem niniejszej rozprawy rozpatrywanie finansowych aspektów podróży, jednak kiedy stają się one nieodzowną częścią podróżniczej publikacji, i są one w niej poruszane i wyliczane, to nie sposób tego faktu nie zauważyć i nie przywołać – bowiem w całej rozciągłości podróżniczej i wydawniczej rzeczywistości istnieje i ma znaczenie.

Ad rem. Po powrocie z rocznej eskapady kobiety publikują w dwóch częściach książkowe wspomnienia. Kolorowe fotografie świecą barwami i uzupełniają opisy swoim obrazem. Gdy pierwsza część zmodyfikowanego na potrzeby książki bloga (podczas trwania wyprawy autorki w miarę systematycznie dzielą się swoimi przeżyciami i doświadczeniami za pomocą popularnej forum komunikacji internetowej) kończy się na słonecznym Bali, druga wiedzie podróżniczki przez Australię (*Spędziłyśmy w Australii tylko tydzień i – z wyjątkiem wyjazdu do Gór Błękitnych – przez cały ten czas nie ruszyłyśmy się poza Sydney*<sup>684</sup>) i Nową Zelandię do Ameryki Południowej. Zwiedzają Argentynę, Chile, Peru, Boliwię oraz część Brazylii. Następnie lecą do Panama City i wędrując po Meksyk, lecą do Nowego Jorku, a stamtąd do rodzinnej Warszawy, via Berlin. Ich szlak ma więc charakter wybitnie równikowo-południowy. Kobiety korzystają z różnych form transportu i na własną rękę rozwiązują wiele logistycznych łamigłówek, zamieszczając na końcu drugiego tomu cenne i intratne informacje praktyczne. W tym znaczeniu literatura podróżnicza po raz kolejny stanowi unikalne kompendium wiedzy dla licznych obieżyświatów i może bezsprzecznie pomóc następnym wagabundom. Publikacja w wielu miejscach jest więc jak praktyczny przewodnik, a autorki dzielą się szarą prozą swego wędrownego przeznaczenia: *W związku z tym, że śpimy w namiocie, naszym głównym zmartwieniem jest znalezienie campingu w*

---

<sup>684</sup> J. Minc, P. Pilch, *Dziewczyńska podróż dookoła świata*, Łódź 2012, str. 21.

granicach miasta i zasięgu komunikacji publicznej.<sup>685</sup> Jednak wyprawa przynosi im także wiele nietuzinkowych wrażeń, jest również polem ogólnych obserwacji, gdzie spotkany świat po wielokroć różni się od tego z ich wyobrażeń. *Po kilku godzinach spędzonych na ulicach Ułan Bator możemy się przyznać, że popełniliśmy kardynalny grzech większości Amerykanów (a do niedawna i Europejczyków), którzy przyjeżdżając do Polski parę lat temu, spodziewali się, że po Marszałkowskiej krążyć będą furmanki z sianem albo biegać białe niedźwiedzie. My wyobrażałyśmy sobie stolicę Mongolii jako małą, socjalistyczną miścinę – coś pomiędzy dużą wsią a chaotycznym miasteczkiem.*<sup>686</sup> Albo: *W Chinach, podobnie jak w Japonii i kilku innych krajach azjatyckich, publiczne dmuchanie nosa w chusteczkę jest uznawane za jedno z najbardziej odrażających zachowań. Nie robi się tego, tak jak na przykład w Europie nie sika się publicznie, co akurat w Chinach wcale nie przeszkadza – zarówno dzieci, jaki i mężczyźni bez zażenowania załatwiają takie potrzeby fizjologiczne publicznie; te pierwsze siusiąją również do torebki choćby na środku KFC czy McDonalda.*<sup>687</sup> Poruszony problem nie stanowi tylko konstatacji Minc i Pilch, i z pewnością mógłby być przedmiotem osobnych dywagacji, gdy po raz kolejny europejski, głównie medialny świat, daje fałszywy obraz tego, co spotyka podróżnik na innych kontynentach i w ramach różnych – przede wszystkim od swojego macierzystego – obszarów kulturowych. W tym wypadku rozczarowanie, za Zofią Nałkowską, nie musi być cennym darem młodości, a jedynie darem technologii nowych mediów.

Ważnym w tym miejscu jest także zwrócenie uwagi na polemiczne spostrzeżenie auterek, słuszne lub nie (lecz w całym kontekście ich dwutomowej publikacji wydaje się ważnym i istotnym wytłumaczeniem), a dotyczące spraw bezpośrednio związanych z podróżniczym zapisem wrażeń i przeżyć. Uwaga ta odnosi się w dużej części do tzw. reportersko-dziennikarskiej kuchni, choć tak naprawdę może dotyczyć każdej innej publikacji z gatunku *travel literature*, nie koniecznie mając na myśli zawodowy światki dziennikarzy i reporterów.<sup>688</sup>

---

<sup>685</sup> J. Minc, P. Pilch, *Dziewczyńska podróż dookoła świata*, Łódź 2012, str. 16.

<sup>686</sup> Tamże, str. 38.

<sup>687</sup> Tamże, str. 60.

<sup>688</sup> W nad wyraz interesującej przedmowie do swojej starej książki (edycja brytyjska w 1979 roku), jednak w Polsce wydanej dopiero w 2012 roku nakładem wydawnictwa Czarne, Paul Theroux w pasjonujący sposób kreśli namysł nad podobnej rangi zjawiskiem, wskazując w kilku pierwszych słowach na własne pisarskie rozterki, gdy zasiadał lata temu do tworzenia „Starego Ekspresu Patagońskiego...”. Píše m.in.: *Niektórzy twierdzą, że książka podróżnicza jest odmianą powieści, że zawiera elementy fikcyjne, rodzi się z wyobraźni i jest swego rodzaju dziwnym stworem; w połowie prozaicznym zwierzęciem literatury faktu, w połowie bajkowym potworem*

„Kwestia trzecia – może deprecjujemy pewne utrwalone wyobrażenie backpackera, ale uważamy, że podróżnicy nie są najlepszymi „tłumaczami kultur”. Zrozumienie cech i zachowań ludzi zakorzenionych w jakimś kontekście kulturowym wymaga dłuższej obserwacji, zatrzymania się w danym miejscu, życia w nim, stopienia się z jego codziennością. Poza tym, jak mówi hiszpańskie przysłowie: „Kto wiele obejmuje, ten niczego porządnie nie ściska” – najlepsi znawcy innych nacji, tacy jak na przykład genialnie piszący o Chińczykach Peter Hessler, spędzali w danym kraju wiele lat, żyjąc i pracując z ludźmi, do perfekcji opanowując język i stale wzbogacając swą wiedzę na temat jego historii, sztuki, literatury. Tego wszystkiego nie da się osiągnąć, jeśli człowiek znajduje się ciągle w (najpowolniejszym nawet) ruchu...

Mogłybyśmy jednak trochę „oszukiwać”, to znaczy wyolbrzymiać każdą przypadkową interakcję, tak jak robi to wielu, czyli postępować według wyświechtanego schematu: jedyny „rozumiejący” biały (u nas dwie sztuki) – niby nie stąd, a jednak przecież nie zwyczajny turysta, samotny wilk z *weltschmerzem* w duszy – wśród komercyjnej gawiedzi „wyławia” sprzedawcę chrupek Ahmeda, z którym toczy „głęboką” dyskusję o życiu, najlepiej w odpowiednio „nieturystycznym” *entourage'u*, czyli w zakaraluszonym barze czy na indyjskim peronie... I nieważne, że w rzeczywistości rozmowa ta jest zwykłym, kurtuazyjnym *small talkiem*, a Ahmed chętnie wypowie się na każdy temat, bo wie, że dostanie za to papierosa. Później wystarczy tylko odpowiednio udramatyzować jej opis stylizacją *a la* reportaż wojenny i z pewnością owoc tej pracy wyglądać będzie dobrze na papierze ku chwale nazwiska autora...<sup>689</sup>

Wydaje się, że Minc i Pilch się nie ceregielą, a opisany przez nie świat jest po prostu ich światem, widziany ich oczyma i opowiedziany piórem ich sposobem. Nie powinno to dziwić, a indagowane przez czytelników-internautów o najpiękniejsze wspomnienie, dodają w podsumowaniu: *W trakcie tej podróży widziałyśmy wszystkie najszlachetniejsze ruiny świata poza: Petrą, Koloseum i piramidami egipskimi. Tylko w jednym jesteście zgodne – ze*

---

*beletrystyki. Oto stoi, parska, ryje ziemię i rzuca nam wyzwanie, żebyśmy nadali mu imię. Niewątpliwie są książki pasujące do tego opisu: drobne podróże, rozbudowane przez autorów do rozmiarów epopei i odysei. Chcesz napisać powieść, ale nie masz tematu, postaci, scenerii. Odbywałeś więc kilkumiesięczną podróż – niezbyt drogą, niezbyt groźną – potem w swoim opisie nadajesz jej postać udręki, dramatyzujesz siebie, bo jesteś bohaterem tego, właściwie czego? Może dążenia do książki, dopuszczającej jednak znaczną swobodę. P. Theroux, *Stary Ekspres Patagoński. Pociągami przez Ameryki*, Wołowiec 2012, str. 7. Jakże trafna opinia Brytyjczyka wydaje się w tym miejscu, choć jedynie w przypisie, oddawać całą – z jednej strony złożoną, a z drugiej najbardziej prostą z prostych – prawdę o literaturze podróżniczej, nie tylko polskiej czy europejskiej, ale także światowej. Autor z całym swoim pisarskim autorytetem wskazuje na niecodzienne rozdroże, przed którym stawia czytelnika codziennie w księgarniach, niemal na baczność, wybór kolejnego tytułu do lektury. I dodaje: *Ja pracuję zupełnie inaczej. Kiedy wpada mi w ręce jedna z podobnych książek i zaczynam dostrzegać w niej fałsz, wymysł, upiększanie, przerywam lekturę. W książce podróżniczej dramatyzowanie własnych przeżyć jest nieuniknione – większość podróżników, nawet drętwych spacerowiczów, postrzega samych siebie jako samotnych, heroicznym poszukiwaczy przygód. I konkluduje bodaj najważniejszym z mott: *Najdziwniejsze jest to, że prawdziwi bohaterowie podróży rzadko piszą o swoich wędrówkach.* Tamże.**

<sup>689</sup> J. Minc, P. Pilch, *Dziewczyńska podróż dookoła świata*, Łódź 2012, str. 278



wszystkich opuszczonych, zaginionych i odnalezionych miast, starych świątyń, ruin, budynków i wszelkiego typu dawnych konstrukcji najwspanialsze, najbardziej magiczne i zwyczajnie najpiękniejsze są khmerskie świątynie kompleksu Angkor a potem długo, długo nic,<sup>690</sup> choć wcześniej zauroczone pisały: *Niespodziewanie, w ósmym miesiącu podróży, dotarliśmy do najpiękniejszego miejsca, jakie kiedykolwiek widziałyśmy. Zachwycaliśmy się już niejednym krajobrazem, budowlą czy miastem, jednak Park Narodowy Los Glaciares późną jesienią przebija swoją urodą wszelkie dotychczasowe widoki.*<sup>691</sup> Podróż niejednokrotnie bowiem to ma do siebie, że często kolejny dzień jest piękniejszy od poprzedniego, a każdy następny przebija urodą i przeżyciami po stokroć wszystkie wcześniejsze. Szczyt nigdy nie jest szczytem, a dolina doliną.

„Nasza podróż dobiegła końca. Trudno spuentować to, czego dane nam było doświadczyć. Spędziłyśmy w drodze 361 dni, odwiedziłyśmy 27 krajów, spałyśmy w niezliczonych hostelach i schroniskach, przemieszczając się wszelkimi możliwymi środkami transportu. Niewątpliwie wyjazd ten spełnił wszystkie nasze oczekiwania, dał nam dużo radości, satysfakcji oraz niezapomnianych doświadczeń i wspomnień. Czasem bywało ciężko, byliśmy chore lub zmęczone, ale gdybyśmy mogły dziś cofnąć się w czasie dokładnie o rok, podjęłybyśmy taką samą decyzję jak wtedy.”<sup>692</sup>

Biorąc pod uwagę przywołane w tej części rozprawy przykłady literatury podróżniczej, która swoim zakresem terytorialnym aspiruje do opisów z wędrówek dookoła świata nie sposób nie spostrzec, że na szlaku egzotycznych eskapad nie pojawia się ani razu kontynent afrykański. Dzieje się tak być może z powodu jego położenia, które implikuje fakt, że po prostu nikomu nie jest niejako po drodze przemierzyć Czarny Ląd – ponieważ (technicznie) co dalej? W tym znaczeniu można powrócić na chwilę do proponowanego i sugerowanego już na wstępie, w rozdziale „Fortuna podróży” projektu wyprawy dookoła świata nie według równoleżników, a dokładnie odwrotnie – wg południków. Wtedy podróż z Europy przez całą Afrykę, po Przylądek Dobrej Nadziei, a potem z samego południa Ameryki Południowej, z Hornu, po północną i eskimoską część Kanady stanie się ewenementem. Wszak „dookoła” nie musi znaczyć „w poziomie”, a może po prostu „w pionie” – i chyba tak naprawdę, w tym konkretnym przypadku, chodzi o punkt widzenia na Ziemię z odległego kosmosu, skąd pojęcie pionu i poziomu przestaje mieć znaczenie.

---

<sup>690</sup> J. Minc, P. Pilch, *Dziewczyńska podróż dookoła świata*, Łódź 2012, str. 272.

<sup>691</sup> Tamże, str. 56.

<sup>692</sup> Tamże, str. 283.

Jedyną osobą, która w jakimś sensie chciała pogodzić swoją podróż dookoła świata z kontynentem afrykańskim, robiąc po drodze przystanek w polskim domu, była wspomniana już Kinga Choszcz. Niestety, z tragicznym skutkiem.

W związku z przytoczonymi publikacjami uważnemu oku podróżnika nie może umknąć jeszcze jeden aspekt wędrownego rzemiosła, kilkakrotnie już przy różnych okazjach przywoływany i po wielokroć wspominany przez autorów, choć nie zawsze na potrzeby niniejszej dysertacji cytacje te w konkretnych miejscach opisu miały znaczenie. Jednak, jak się wydaje, warto na sprawy organizacyjne i finansowe, bo o tym mowa, zwrócić jeszcze raz przez chwilę czytelniczą i podróżniczą uwagę, a szczególnie w kontekście co najmniej dwóch kolejnych, charakterystycznych i symptomatycznych, publikacji.<sup>693</sup>

Pierwszą okazją do tego będzie więc niedawne ukazanie się na rodzimym rynku wydawniczym książki Patryka Świątka i Bartka Szaro, pod wiele mówiącym i znaczącym tytułem „Paragon podróży” – czyli środki finansowe rozmięnione na drobne. Autorzy na swój sposób robią rozrachunek z podróżniczą wyprawą i wskazują, jak w miarę tanio można wyruszyć na wędrowkę. Jest to więc praktyczny przewodnik, z którego zebrane dane mogą przydać się nie tylko w podróżach dalekich i odległych, ale także zwiedzając i penetrując pobliską Europę. *40 zł za cztery dni w Liverpoolu, 300 zł za pięć dni w Maroku, 1000 zł za miesiąc w Gruzji – w każdym przypadku w cenie przeloty lub przejazdy, zakwaterowanie, wyżywienie i inne wydatki. Możliwe? Oczywiście!*<sup>694</sup> Sami, będąc młodymi podróżnikami, konstruują więc oryginalny poradnik, który w zamierzeniu ma odpowiedzieć na dziesiątki fundamentalnych pytań, a zaczynają od samego początku: co zrobić, by gdzieś wyjechać i jak najlepiej się za to zabrać. Ich uwagi nie są jednak obligatoryjne, a przytaczane przykłady potwierdzają tylko własne doświadczenia. Na wstępie też, bez względu na terytorialny zakres wyprawy, niejednokrotnie każda osoba skora do mozolnej wędrowki musi zmierzyć się z pytaniem o kompana na drogę – choć można i samotnie. Jednak, gdy szuka się towarzystwa do podróży (w jakimś więc sensie na dobre i na złe), to *Zazwyczaj nie jest to łatwa sprawa. Ciężko znaleźć osobę, z którą będzie się musiało wytrzymać 24 godziny na dobę przez kilka*

---

<sup>693</sup> Publikacje te, choć opowiadające o podróżach i wędrownych przygodach, mogłyby znaleźć z powodzeniem także swoje miejsce przy okazji opisów dotyczących tematyki, jaką w ogóle w swoim merytorycznym zakresie zajmuje się popularna literatura podróżnicza. Kwestia ta będzie wnikliwie omawiana już w następnym rozdziale rozprawy, gdy kluczowe zagadnienia oscylować będą wokół szeroko pojętego środowiska naturalnego. Wydaje się także koniecznym nadmienić, że w podobnym charakterze utrzymane są publikacje przywołane na początku podrozdziału o wędrowkach po Azji, gdy ukazano symptomatyczne książki dotyczące sztuki podróżowania z dzieckiem: „Podróżuj z dzieckiem”, „Pępek świata” oraz oryginalną „Smoki i smoczki”.

<sup>694</sup> P. Świątek, B. Szaro, *Paragon podróży*, Gliwice 2012, str. 5.

tygodni i która będzie chciała jechać na wyprawę. Po ponad trzech latach wspólnego podróżowania spokojnie możemy powiedzieć, że najważniejszą cechą, którą należy brać pod uwagę przy szukaniu kompana, jest CHEĆ.<sup>695</sup> Ich publikacja aż kipi entuzjazmem i nie można nie odnieść wrażenia, że autorzy wiedzą, co mówią. Trzeba wyznaczać sobie cele, które początkowo wydają nam się nie do osiągnięcia. Trzeba zawczasu wyznaczyć sobie konkretny termin wyjazdu i kurczowo się go trzymać. Warto wierzyć nawet w najmniej prawdopodobne scenariusze i dać się ponieść przygodzie. Warto być otwartym na ludzi. Nie można bać się nawet najdziwniejszych rozwiązań. Trzeba zdawać sobie sprawę, że nie zawsze będzie łatwo i przyjemnie. Po pierwsze, po drugie, po trzecie – Enjoy!<sup>696</sup> „Paragon podróży” zawiera także wiele cennych informacji na temat wyboru kierunku wyprawy (by był w miarę ekonomiczny), odpowiada na pytania o miejsce, gdzie najlepiej i najbezpieczniej wybrać się na pierwszy swój wyjazd, jak to zrobić w miarę tanio i czego się nie podejmować. Upredzają więc i ostrzegają. Nie zawsze coś, co na mapach lub w przewodnikach wygląda okazale i ciekawie, takie jest w rzeczywistości. Lecz także i odwrotnie: mała wzmianka o jakimś detalu może obrócić podróż do góry nogami. Autorzy zwracają również uwagę na ważny element przygotowania do podróży, przybliżając następnie pokrótce zagadnienia z dziedziny uzyskiwania koniecznych wiz i pozwoleń, robienia wymaganych szczepień. Objaśniają także w przystępnych słowach, że nie należy bagatelizować różnych aspektów konsularnych, finansowych, urzędowych, ale także i przede wszystkim, by mieć możliwie szerokie rozeznanie odnośnie do pogody czy też właściwego zachowania się wobec spotkania kultury odmiennej niż europejska. Podają także cenne dla nowicjuszy informacje o tym, jak się spakować, jaki wziąć namiot i jaki śpiwór. Wszystkie te wskazówki bardzo często przekładają się na cenę wyprawy, a zbierany grosz do grosza na samym końcu przedstawić może sporą oszczędność – tym samym zapas na kolejną wyprawę. Publikacja Świątka i Szaro ma jeszcze jeden niebagatelny aspekt, a mianowicie składa się z dwóch osobnych części, i po pierwszej, typowo poradnikowej, przychodzi czas na drugą, bardziej praktyczną. Tam też autorzy „Paragonu...” decydują się na „rozliczenie” kilku przykładowych wypraw (nie swoich, prosząc do udziału w publikacji licznych znajomych) i między innymi można przeczytać wspomnienia paru zaprzyjaźnionych podróżników z ich ostatnich eskapad, z tym jednak zastrzeżeniem, że na wstępie przedstawiony jest w miarę rzetelny kosztorys z wyprawy, a następnie opis samego wyjazdu. I tak Magdalena Skwierzyńska opowiada o podróży przez

---

<sup>695</sup> P. Świątek, B. Szaro, *Paragon podróży*, Gliwice 2012, str. 7.

<sup>696</sup> Tamże, str. 12.

obie Ameryki, Anna Żychlińska raportuje z wędrówki po Chinach, a Anna Interewicz rozlicza się z wyprawy po Gruzji. W podobny sposób czyni Marta Kościelska pisząc o Indiach albo Bartłomiej Kiraga o swojej podróży po Iranie. Wspomnienia te stanowią dla podróżnego czytelnika cenny zbiór danych, z których każdy dla siebie może wyciągnąć potrzebne wnioski. Na domiar wszystkiego Świątek i Szaro w miarę szeroko poruszają także wątek korzystania z uprzejmości autostopu<sup>697</sup>, co znacznie w ich przekonaniu obniża koszty każdej wyprawy, jednak naraża współczesnego wagabundę na konieczność bliższego kontaktu z kierowcą, na temat których konstruują zresztą osobny, humorystyczny i gatunkowy, podział – nadmieniając przy okazji, że *Niektórych zapomina się już pięć minut po opuszczeniu auta, z innymi przez jakiś okres utrzymuje się kontakt i niekiedy ich wspomina, ale są też i takie sylwetki, które prędko z głowy nie wypadają.*<sup>698</sup>

Asumptem drugim ku przybliżeniu się do finansowych rozliczeń jest w tym miejscu także niedawna publikacja Marzeny Filipczak, przywoływanej już przy okazji jej literackiego debiutu pt. „Jadę sobie. Azja. Przewodnik dla podróżujących kobiet”, a tym razem ukrywającej się za „Lecę dalej”. Jednak tym razem autorka opowiada pokrótce przede wszystkim o tym, jak w miarę tanio korzystać z linii lotniczych i w jaki sposób nie dać się wywieźć na manowce przez wielkie samolotowe kompanie. *Kilka tych wyjazdów zaplanowałam wcześniej, a kilka innych zaplanowało się za mnie. Niektórzy się śmieją, że drogowskazem były mi bilety – po kilkanaście, maksymalnie kilkadziesiąt złotych. Prawda jest taka, że dzięki taniemu lataniu niemożliwe stało się możliwe. Choć wielu wieszczyło mi koniec razem z końcem lotów za złotówkę (rzeczywiście, już ich nie ma, ale takie za kilkanaście złotych trafiają się dość regularnie), ma się całkiem dobrze. W ciągu kilku godzin przenosi mnie zimą do Maroka, wiosną na Ibizę, latem – nad lodowaty Ocean Arktyczny, a*

---

<sup>697</sup> Autostopem (przede wszystkim) całą swoją podróż dookoła świata odbyli także wspomniani już kilkakrotnie Kinga Choszcz z Radosławem „Chopinem” Siudą, jednak i w ich przypadku nie obyło się bez różnych perturbacji, z których bodaj największą było oszustwo niejakiego Roberta. Łatwowierność polskich podróżników kosztowała ich czas i pieniądze stracone na podróż przez całą na wskroś szerokość Ameryki Południowej – do portu, w którym i tak nie miał na nich czekać żaden obiecany statek-widmo, płynący rzekomo w stronę Australii. *Stało się to, co ostatnio zaczęliśmy przeczuwać. Ktoś się bawi naszym kosztem. Dostajemy anonimową wiadomość poprzez forum na stronie „Lonely Planet”. Okazuje się, że to ktoś, kto nienawidzi autostopowiczów – jak mówi: „pasożytów”, ludzi podróżujących kosztem innych. Przez Internet każdy może podawać dowolne informacje. My zaufaliśmy „Robertowi”, bo jego list brzmiał szczerze i zwykle ufamy ludziom. Nasz błąd? Cóż... Przejechaliśmy kontynent tylko dlatego, że ktoś wysłał nam parę e-maili. Nie żałujemy, bo podróż była ciekawa i gdyby nie nasz „Robert”, nie zobaczylibyśmy nigdy wielu ciekawych miejsc, nie wykopalibyśmy się w gorących źródłach w Andach, nie spotkalibyśmy tylu wspaniałych ludzi. On spędził pewnie czas przed komputerem. Żal mi kogoś, kto ma tak mało interesujące własne życie, aby zabawiać się, mieszając się w czyjeś – pisze Kinga. K. Choszcz, *Prowadził nas los*, Pelplin 2011, str. 229.*

<sup>698</sup> P. Świątek, B. Szaro, *Paragon podróży*, Gliwice 2012, str. 71.

jesienią – po trochę słońca na Wyspy kanaryjskie. Mogę wyskoczyć choćby na trzy dni. Za grosze. Nie wierzycie? No to startujemy.<sup>699</sup> Filipczak zgrabnie prowadzi czytelnika przez portale internetowe pośredniczące w sprzedaży biletów lotniczych oglądając każdą wydaną złotówkę co najmniej dwa razy. Za niedużą cenę można polecieć na koniec świata, a wrócić z kilkoma przesiadkami, korzystając m.in. z darmowych hotelach przy lotniskach. Wskazuje także na konieczność bycia elastycznym w podejmowaniu decyzji, gdy nie tyle miejsce docelowe podróży się liczy, ile bardziej cena. Nie zaleca uporczywego trzymania się planu, a przede wszystkim: *No właśnie: jedną z najważniejszych zasad taniego latania jest zasada, że nie ma jednej dobrej zasady dla wszystkich. To, co dla kogoś będzie świetną ofertą, dla innego będzie nie do przyjęcia. I na odwrót.*<sup>700</sup> Odwiedza karnawał we Włoszech, pije szampana na norweskich fiordach, bawi się i szaleje na Ibizie albo na Maderze, ale także zwiedza kaukaską Gruzję, barwnie wspominając: *Co robiłam: rano leżałam na słońcu, a po południu tego samego dnia wędrowałam przez ośnieżone góry. Siedziałam cierpliwie w marszrutkach, czekając, aż z drogi zejdzie stado owiec. Zajadałam się kiszonymi kwiatami dżondzoli i szaszłykami z orzechów. Stanęłam oko w oko z wilkiem oraz gruzińską gościnnością, i nie wiem, co było większym wyzwaniem.*<sup>701</sup> Dla podróżniczego czytelnika, stojącego na skraju przygody, wskazówki czynione przez Filipczak wydają się być nieocenione, gdy bardzo często liczy się każda złotówka w portfelu. Autorka udziela także rad, gdy z wielu powodów rozpoczynają się na lotniskach perturbacje bagażowe i gdy nie w parze idzie szlak naszej wędrówki ze szlakiem transportu bagażu. Co wtedy zrobić? Jak się zachować? Do kogo zwrócić się o pomoc? Jakie mamy prawa? Jakie odszkodowania?

*Bagażę zgubiły mnie tylko raz. Potężna śnieżycy sparaliżowała europejskie terminale i gdy po kilku przesiadkach wsiadałem w końcu do transkontynentalnego kolosa, już wiedziałem, że torby nie mają żadnych szans. Nad ranem, gdy wychodziłem przed lotnisko w słonecznym i upalnym Omanie, miałem ze sobą tylko podręczny, mały i prawie pusty plecak. Jak oglądać kraj, nie mając prawie nic i będąc ubranym w zimne szmaty z polaru i za ciepłe buty? Jak spać bez namiotu? Jak się myć bez niczego? Zagryzałem zęby i robiłem swoje. Przede wszystkim wynająłem mały i nierzucający się w oczy wóz. Potem wziąłem jedną noc w hotelu, a stamtąd dwa ręczniki, szampony, koc, klapki, jakiś stary długopis i trochę papieru listowego. Grabiłem cudzy majątek. Podróżowałem. Gdy bagażę doleciały w końcu do Muscatu, byłem już w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Musiałem kupić obcinacz do paznokci i jakąś koszulkę. Na lotnisku w Dubaju obiecywano mi wszystko z*

<sup>699</sup> M. Filipczak, *Lecę dalej*, Warszawa 2012, str. 8.

<sup>700</sup> Tamże, str. 210.

<sup>701</sup> Tamże, str. 95.

*dnia na dzień, ale przez następne dni nic się nie zmieniało. Dzwonili i przepraszali. Musiałem kupić czapkę, bo niemiłosierny żar lał się z nieba. W jakimś ze sklepów poprosiłem o sznurek, bo spodnie leciały ze mnie jak woda z Niagary. Zbierałem po ulicach reklamówki. Co było najważniejsze? Moment, gdy uznałem, że bagaży już mnie nie znajdują. I nagle stałem się wolny. Lekki. Jedyny. Pogodzony z przeznaczeniem, ale do chwili, gdy zadzwonił telefon i miałem stawić się po torby w lotniskowym biurze. Przyjechałem nazajutrz, tuż przed wylotem do Kataru. Wziąłem bagaże i nie rozpakowując, zaraz obok nadałem na kolejny lot. Śmierdziałem wszystkim. Długi zarost zmienił mnie do tego stopnia, że kontrola podważała oryginalność zdjęcia w paszporcie. Skanowali źrenice. Byłem brudny, tłusty od plam i wymięty. Ale nazajutrz wszystko wróciło do europejskiej normy, bo w torbach przyleciał Zachód. Na domiar wszystkiego za zgubę linie lotnicze zapłaciły krocie – więcej niż cały koszt miesięcznej wyprawy. Nie wierzyłem w to, co się stało. Ścisnąłem w obdartych i brudnych kieszeniach pękę dirhamów i nie wiedziałem, czy mogę tyle przewieźć przez granicę. Co z nimi w ogóle zrobić? – bo w Katarze były już riale. A wszystko przez europejskie śnieżyce. Byłem niezłym farciarzem. Śmiałem się sam do siebie, bo chociaż raz świat zapłacił za podróż. Potem ktoś mi wyjaśnił, że przez cały czas rozbratu z torbami mogłem w najbardziej markowych i drogich sklepach kupować praktycznie wszystko, a przedstawiając paragony przy odbiorze bagażu, oczekiwać zwrotu kosztów za odzież, kosmetyki, buty i inne podróżnicze akcesoria, których przez zgubę byłem pozbawiony. Podobno nieźle można się wtedy obłowić, a linie lotnicze płacą za wszystko bez szemrania.*

Gdy przychodzi rozważać nie długą, choć nad wyraz niebagatelną dygresję dotyczącą spraw finansowych, które w wielu książkach podróżniczych – między wierszami, mimochodem lub czasem bardzo wprost – są poruszane, można bez obaw poświęcić w tym miejscu nieco uwagi na dwie kolejne publikacje o bardzo zbliżonym charakterze. Jak się wydaje, żadna dzisiejsza podróż nie istnieje bez licznych spraw organizacyjnych i jako takie są one nieodzowną częścią całej wędrownej kołomyi. Gdy już bowiem ma się pieniądze, trzeba także wiedzieć, jak je wydać. Zarówno publikacja Świątka i Szaro, jak i uwagi Filipczak wskazują bezspornie, na ile ważna w kontekście całej planowanej wyprawy wydaje się być kwestia dobrego rozeznania w sprawach organizacyjnych. Na swój sposób nie istnieją już dziś podróże niezorganizowane – co najwyżej, i to z punktu widzenia po podróży, można powiedzieć o wędrownikach lepiej lub gorzej zorganizowanych, ale nie o niezorganizowanych.

Przy okazji prezentacji podróżniczych i pisarskich dokonań eksploratora i odkrywcy Jacka Pałkiewicza, celowo pominięta została edycja jego „Przepustki do przygody”, książki,

która z samego założenia ma za zadanie pomóc podróżnikowi zarówno w aspekcie dobrego i prawidłowego przygotowania się do wyprawy, jak i dać w miarę gotową receptę na wypadek niesprzyjających okoliczności podczas samej eskapady. *Często łatwiej jest zorganizować podróż, niż ją odbyć, ale najtrudniej... wyjechać. Wyjechać oczywiście z czystym sumieniem, po przygotowaniach uwzględniających najdrobniejsze szczegóły. Im więcej czasu poświęci się na zorganizowanie podróży, tym większe odniesie się potem sukcesy. Jeśli weźmie się do serca te rady, mniejsze będą możliwości narażenia się na poważne kłopoty.*<sup>702</sup> Pałkiewicz, jak mało kto (jak nikt?) posiada paszport do czynienia takich uwag, a jego na wskroś praktyczne rady wydają się być kwintesencją udanej wędrówki przez światowe kontynenty<sup>703</sup>. Nie owija w bawełnę, nie snuje nieprawdopodobnych wizji, nie proponuje mrzonek. Ostrzega: *Innym problemem, którego nigdy nie wolno lekceważyć, są pieniądze i czas. Biada temu, kto wyjeżdża ze ściśle wyliczonymi pieniędzmi, bez zapasu czasu uwzględniającego ewentualny spóźniony powrót.*<sup>704</sup> Zawiera w swoim przewodniku gros informacji dotyczących organizacji podróży, wyposażenia, odzieży, zdrowia. Podaje całą gamę przykładów, kreując poszczególne rozdziały wokół tematycznie istotnych zagadnień. Pisze o szkole przetrwania i o tym, jak sobie poradzić w samolotach, na statkach, włączając się piechotą czy też korzystając z samochodu lub pociągu – a co kraj, to obyczaj. Nie można go nie słuchać. Natomiast w drugiej części publikacji, w suplementcie, Pałkiewicz przywołuje także liczne tablice pogodowe, czasowe, walutowe, zestawienia miar oraz podaje (aktualne wtedy) bazy teleadresowe agencji lotniczych, polskich ambasad i konsulatów. Dziś z pewnością wiele z tych danych jest nieaktualnych, a cenne uwagi podróżnika zmieniła lub bezpowrotnie zmiotła w pył cywilizacja (Moskitiery także nie można nabyć w Europie<sup>705</sup>). Także szybkie łącza internetowe wyprały co niektóre wskazówki polskiego obywatela, jednak i tak liczne mementa po dziś dzień, po upływie niemal dwudziestu lat od pierwszego wydania „Przepustki...”, nic nie straciły na wartości. Można byłoby nawet zaryzykować stwierdzenie, że w dobie dezokratycznych przemian tzw. prosty i szary podróżnik powinien znać i umieć

---

<sup>702</sup> J. Pałkiewicz, *Przepustka do przygody*, Warszawa 1996, str. 19.

<sup>703</sup> Jednak nie tylko przez kontynenty. W ostatnim czasie ukazała się bowiem inna publikacja globtrotera, a mianowicie „Dżungla miasta. Klucz do bezpieczeństwa”, w której autor zawiera szereg cennych rad dotyczących całego ogromnego spektrum dotyczącego wewnętrznego bezpieczeństwa – a raczej radzenia sobie z niebezpieczeństwem. *Wierzę, że to kompendium wiedzy pomoże uniknąć wielu przykrych „niespodzianek” i skuteczniej zachować się w obliczu nieszczęśliwego wypadku, agresji, klęski żywiołowej, skażenia ekologicznego, pożaru, kradzieży kieszonkowej bądź aktu terrorystycznego, a także nasilających się wyrafinowanych form oszustw przelewających się przez Internet. Uchroni czytelnika i jego rodzinę przed strachem, bólem, a może nawet i uratuje życie – pisze autor we wstępie do publikacji. J. Pałkiewicz, *Dżungla miasta. Klucz do bezpieczeństwa*, Poznań 2013, str. 5.*

<sup>704</sup> J. Pałkiewicz, *Przepustka do przygody*, Warszawa 1996, str. 20.

<sup>705</sup> Tamże, str. 47.

polegać na odwiecznych prawach natury, kierunkach i sposobach ruchu, czy także na ocenie czasu w inny niż elektroniczny sposób. Gdy bowiem zawodzi rozwinięta technologia, prymarne zdolności okazują się wiedzą i umiejętnością niepoślednią – a na to Pałkiewicz przede wszystkim zwraca czytelniczną uwagę. „*Jesteś więc zadowolony?*” – *pyta mnie żona po moim powrocie myśląc, że przez pewien czas posiedzę w domu. Tak – odpowiadam, będąc już myślą gdzie indziej. – Na Borneo udało mi się, zdobyłem mistrzowski dyplom w dziedzinie przygody. Ale wiesz, dowiedziałem się, że w Mongolii, na pustyni Gobi...*<sup>706</sup> – nie kończy swojej książki podróżnik.

O zawarcie nieco innego przesłania można także spekulować, przytaczając publikację wydaną pod międzynarodową kuratelą National Geographic autorstwa Kerry Lorimer, którą dla polskiego czytelnika przełożył Jacek Sikora. „Zielony Azymut” to więc nic innego, jak przewodnik świadomego podróżnika, gdzie ważne nie tylko są własne doznania i prywatne podróżnicze osiągnięcia, ale przede wszystkim stawia on na pierwszym miejscu taki podróżniczy szlak, który nie zachwieje ekosystemem wokół wędrownych zdobywczy. *Drapiemy się w głowę, zastanawiając, kiedy to balijska Kuta czy indyjskie Goa przeobraziły się z zacisznego azylu surferów czy osady hippisów na uboczu w międzynarodowe kurorty wypełnione sklepami, restauracjami i hotelowymi kompleksami.*<sup>707</sup> Książka, mając przyrodniczy charakter, zręcznie ukazuje najciekawsze skrawki globu, gdzie podróżnik dociera już od lat, jednak tylko od jego świadomego przygotowania zależy, czy następne pokolenia zobaczą to, co on. *Mówiąc w skrócie, przewodnik „Zielony azymut” traktuje o podróżowaniu w sposób minimalizujący korzyści płynące z nawiązywania kontaktów; o zmienianiu rzeczywistości i oferowaniu czegoś w zamian. „zielony azymut” jest furtką do świata „odpowiedzialnego podróżowania” – takiego, które – mamy nadzieję – zachęci do potraktowania turystyki po nowemu. Proponowana książka jest antytezą smakowania świata przez szyby autobusu.*<sup>708</sup> Autorka, będąc niezmordowaną podróżniczką po ponad stu krajach, opowiada więc o ciekawych zakątkach, zwracając czytelniczną uwagę na ich unikatowość, oraz na fakt płynących ze strony człowieka zagrożeń. Wiedzie przez afrykańskie rezerwaty i azjatyckie rozterki duchowe, gdy bieda wyciąga ręce o jałmużnę. Odślania prawdy o Aborygenach i kluczy po amerykańskich atrakcjach. Dopływa na Fidżi, Palau i Tonga. Wierna reprezentacja każdego z kontynentów pokazuje światowe dziedzictwo i w sensie

---

<sup>706</sup> J. Pałkiewicz, *Przepustka do przygody*, Warszawa 1996, str. 114.

<sup>707</sup> T. Wheller. W: K. Lorimer, *Zielony azymut. Przewodnik świadomego podróżnika*, Warszawa 2007, str. 7.

<sup>708</sup> Tamże, str. 8.



omawianego zagadnienia polskiej literatury podróżniczej wskazuje także na niebotycznej rangi zagadnienia, które nie zawsze może zauważyć w ferworze przygody piechur, rowerzysta czy autostopowicz. Na przykładzie tej niecodziennej publikacji widać wyraźnie zarys tzw. podróży ekologicznej – świadomej pokolonialnej wędrówki raczej w oparciu o szczegół i detal, a nie o monolit i bezwładny ogrom.

Nie tak dawno na polskim rynku wydawniczym ukazała się jeszcze jedna cenna publikacja, która swoją tematyką porusza kilka omawianych powyżej zagadnień i nie stroni od odpowiedzi na trudne podróżnicze pytania. Zresztą wiele z nich znajduje swoje odpowiedzi w akapitach cytowanych już autorów, jednak „Z plecakiem przez świat” nie tyle multiplikuje zagadnienia, ile oczyma kobiety-podróżniczki, tym razem Moniki Witkowskiej, wiedzie czytelnika w barwną podróżniczą przygodę z zamiarem jak najlepszej organizacji całego przedsięwzięcia. Autorka, stary lis podróżniczych tras, dzieli się więc swoimi doświadczeniami i pisze o niezbędnych przygotowaniach (cel wyprawy, źródła i informacje, samemu czy z kimś, dokumenty, wizy, bilety lotnicze), technologii samej podróży (noclegi, transport, jedzenie, znajomość języków, zwiedzanie, sprawy finansowe) oraz zwraca uwagę na swoiste podróżnicze vademecum, by wiedzieć, co i jak fotografować, jak unikać chorób, jak zachowywać się wobec ludności miejscowej i spotkanych rodaków, albo także co wiedzieć przed podróżą powinna kobieta. Zwraca uwagę na takie planowanie wyprawy, by oprócz samej przebytej drogi i kilometrów w nogach pozostały jeszcze jakieś ciekawe wspomnienia. *Dobry pomysł to łączenie podróży z lokalnymi wydarzeniami – świętami, wystawami, zawodami i różnorodnymi imprezami. Często nie ma przecież problemu, by lekko przyspieszyć lub opóźnić wyjazd, albo zmienić trochę trasę, dzięki czemu można będzie zobaczyć ciekawą procesję lub pobawić się w karnawałowym korowodzie.*<sup>709</sup> Witkowska zwraca także uwagę, by nie pchać się w zapalne miejsca globu, gdy akurat w jakimś kraju trwają kontrowersyjne wybory prezydenckie lub parlamentarne, toczą się konflikty wojenne czy też dany region zagrożony jest akurat śmiertelną epidemią, huraganami lub powodzią, a tsunami nie śpi. *Jeszcze innym grzechem naszej nacji jest nadużywanie alkoholu. Wbrew pozorom nie jest to wyłącznie domena turystów-wczasowiczów z nadmorskich kurortów.*<sup>710</sup> Przewodnik napisany ręką osoby, która odwiedziła ponad 150 krajów i zawodowo na co dzień zajmuje się wyspecjalizowaną turystyką, będąc i przewodnikiem, i rezydentem, i pilotem wycieczek, każe myśleć o sobie jako o solidnym kompanie przy każdym kreowaniu swojego

<sup>709</sup> M. Witkowska, *Z plecakiem przez świat*, Chorzów 2010, str. 15.

<sup>710</sup> Tamże, str. 204.

podróżniczego świata przez następnych obieżyświatów. Można bowiem śmiało po lekturze kilku powyższych tytułów powiedzieć, że nic nie stoi na przeszkodzie, by każdy z nich (w swojej domowej biblioteczce) posiadać i do woli z korzystać, gdy przygoda wzywa – a Witkowska zachęca: *Mało jest osób, które z założenia podróżować nie lubią. Jeśli rzeczywiście tak jest, nie ma co zmuszać ich do jeżdżenia po świecie – skoro mają narzekać, lepiej niech poprzestaną na oglądaniu ciekawych miejsc na ekranie telewizora. Wszyscy pozostali śmiało mogą ruszyć w świat, pamiętając jednak, że turysta to zupełnie coś innego niż podróżnik*<sup>711</sup>. By nikt nie powtarzał później za Paulem Therouxem – *Niech szlag trafi tę podróż!*<sup>712</sup>

Po powyższej dygresji i odejściu nieco od zasadniczego nurtu omawianej koncepcji nie tak licznych wypraw dookoła świata, w rozróżnieniu na dwa zaproponowane wcześniej zasadnicze sposoby opisu, warto powrócić teraz do zagadnień ponownie związanych z tematyką podróżniczą, a omawianą oto na przykładzie kolejnych niecodziennych dokonań. Takim więc spektakularnym wyczynem będzie bezsprzecznie relacja śmiałej rowerowej pary, o której była już mowa przy okazji kreślenia mapy afrykańskich publikacji, a mianowicie o dzielnym małżeństwie Magdaleny i Pawła Opasków. W Afryce, w rowerowym stylu, wiedli swą wędrowną przygodę przez wyspę słonecznego Madagaskaru. Tym jednak razem warto przywołać ich nieco wcześniejszą eskapadę (jeszcze w czasie niemażeńskich relacji), a w zasadzie podróż życia – bo kto na rowerach przez ponad dwa lata przemierza świat?

Podróż ta odmieniała nas diametralnie: nabyliśmy nieocenionej umiejętności wymiany dziurawej dętki (a przede wszystkim tajemnej wiedzy, że aby ją napompować, należy najpierw odkręcić zawór wentyla). Poznaliśmy także sposoby radzenia z większymi usterkami technicznymi („Czy może pan/pani zawieźć nas do najbliższego serwisu rowerowego?). Rozszyfrowaliśmy pakistański system zniżek kolejowych dla obcokrajowców. Nauczyliśmy się, jak nadać paczkę z Iranu do Polski w czasie poniżej godziny. Udało nam się doprowadzić do gniewu taliba – i przeżyć. Ze swej strony darowaliśmy szalonemu kierowcy minibusu, który potrącił Magdę. Spotkaliśmy Erica Cantone, kilku innych rowerzystów i kilka milionów Hindusów. Przetrwaliśmy zimne noce w górach Karakorum i Tybetu, a także wizyty w chińskich toaletach i spożycie *yak tea*. No i przejechaliśmy rowerami prawie dwanaście tysięcy kilometrów, m.in. przez Indie, Pakistan, Nepal i Tybet.<sup>713</sup>

---

<sup>711</sup> M. Witkowska, *Z plecakiem przez świat*, Chorzów 2010, str. 9.

<sup>712</sup> P. Theroux, *Stary Ekspres Patagoński. Pociągiem przez Ameryki*, Wołowiec 2012, str. 445.

<sup>713</sup> M. Nitkiewicz, P. Opaska, *Przez świat na rowerach w dwa lata. Rok II*, Łódź 2010, str. 7.

Gdy zamieszczają powyższe podsumowanie we wstępie do drugiego tomu opowieści, można przypuszczać, że dalsza część podróży będzie równie, jeśli nie bardziej, atrakcyjna. Rowerowe sprawozdanie pełne jest niespodzianek, bo i od samego początku autorzy nie grzeszyli doświadczeniem. *Długo przed wyjazdem (jakiś miesiąc) zastanawialiśmy się nad wyborem rowerów. Przeglądając fora internetowe i lśniące katalogi, które licznie wciskano nam w sklepach rowerowych, szybko zorientowaliśmy się, że stoimy przed wyborem: albo wypaśny Rohloff, Koga Miyata lub inne cudo, kosztujące więcej niż dobry samochód, i wyprawa do Biskupina, albo tani rower i podróż dookoła świata. To nawet nie był wybór – sprawa była jasna od początku.*<sup>714</sup> Ale nie byli ignorantami – byli po prostu złąknieni przygody i mniej więcej, w podobny sposób, zawsze wszystko się zaczyna. Byli młodzi, szczęśliwi i pewni, że świat należy do nich. Mieli ten gen podróży. Opowiadają ze swadą o wielu swoich przygodach, a początkowe dyletanctwo tylko działa na ich korzyść – po co ukrywać drobne mankamenty? Opisy pełne rozbijającej szczerości pokazują, że wędrówka jest z krwi i kości – nad wyraz realna i żywa. *Wyruszyliśmy dookoła Qeshm. Na pierwszy nocleg wybraliśmy cypel nad morzem. To miał być nasz pierwszy kemping, od kiedy wyruszyliśmy z Polski. Miejsce wydawało się bajeczne. Pod nami o brzeg rozbijały się fale. Powoli zachodzące, czerwono krwiste słońce nadawało skałom wyrazistych barw... Nasza pierwsza lekcja podczas rozbijania namiotu brzmiała: Aluminiowe śledzie nie wbijają się w skałę! Musieliśmy więc przymocować namiot do leżących wokół kamieni i... rowerów.*<sup>715</sup> Wiodą swój szlak po bezdrożach Azji, pną się w niezmiernie wysokie góry, gdzie *Powyżej 5000 m n.p.m. przestały działać nasze zapalniczki (za mało tlenu?) oraz chińskie baterie paluszki. To drugie akurat nie było zaskoczeniem, bo one akurat nie działały też na żadnej wysokości...*<sup>716</sup>, aż docierają do Indochin. Zwiedzają Malezję, Sumatrę i dziarsko przeprawiają się na Nową Zelandię. Opowiadają o świecie jak o własnym domu, a drobne awarie i przeciwności losu nie zrażają coraz bardziej w sobie zakochanych Magdę i Pawła. Po wschodnich bezdrożach lecą do Ameryki Południowej i jadą aż na Horn, czytając być może wspomnienie Luisa Sepúlvedy: *Znałem na pamięć ich nazwy, nęcące przygodą: Wyspa Kondora, Wyspa Parkera, Przekleństwo Drake'a, Port Miłosierdzia, Wyspa Rozpaczy, Wyspa Opatrzności, Skala Wisielca...*<sup>717</sup> Oglądają Peru, Boliwię i Argentynę. *W przeciwieństwie do Tybetu w Boliwii sporą trudność sprawiało znalezienie dobrego miejsca biwakowego.*

---

<sup>714</sup> M. Nitkiewicz, P. Opaska, *Przez świat na rowerach w dwa lata. Rok I*, Łódź 2010, str. 13.

<sup>715</sup> Tamże, str. 91.

<sup>716</sup> Tamże, str. 424.

<sup>717</sup> L. Sepúlveda, *Podróż do świata i na końcu świata*, Warszawa 2003, str. 15.

*Niewiele było osłoniętej przestrzeni, a gdy już trafił się jakiś w miarę schowany skrawek, był albo pełen kamieni, albo piachu. Poszukiwanie miejsca na nocleg zajmowało często całe godziny.*<sup>718</sup>

Każda publikacja podróżnicza jest inna i każda z podróżujących osób widzi świat swoimi oczyma. Gdy można przyjąć, że na terytorialnej mapie nic się nie zmienia w stosunku do granic, stolic i języków, to obrazy i wydarzenia przytaczane na kartach wspomnień niosą już w sobie różne i inne przytoczenia. Tak jak w przypadku przywołanych rowerzystów, podobną drogę przebyły Minc i Pilch, to jednak obie te relacje są od siebie diametralnie różne i nie sposób nie przywołać w tym miejscu Heraklitowego powiedzenia, że *nigdy dwa razy nie wchodzi się do tej samej rzeki*, bo choć podróżny świat kroczy podobnymi szlakami, to każdy na tej drodze widzi co innego i inaczej. W tym sensie owa rzeka Greka nigdy, na szczęście, nie jest tą samą.

Mając powyższe na względzie, podróż to nie tylko wędrówka przed siebie, w oddalenie, ale raczej zawsze, wcześniej czy później, powrót do domu. Tęsknota jako pajęczyna, na której wiszą nasze wspomnienia – jak zauważa hiszpański pisarz Ramon. I tak, jak w krótkim podsumowaniu pary rowerowych wędrowców – *Tuż za miastem, przy drodze, z aparatami czekali na nas rodzice Magdy. Nie wytrzymali w domu i wyjechali nam naprzeciw. Po ponad dwóch i pół roku znów widzieliśmy rodzinę (no, Magda widziała; wciąż oficjalnie byliśmy tylko boyfriend i girlfriend...)*. *Po serii długich uścisków i jeszcze dłuższej sesji zdjęciowej pokonaliśmy końcowe kilometry w dół do Świebodzic. Ostatni raz pokazaliśmy palec idiotcie z ciężarówki (tym razem ja byłem na celowniku) i stanęliśmy przed miejskim ratuszem. To już był prawie koniec. Prawie, bo ten właściwy nastąpił, gdy dojechalismy do domu Magdy. Stąd przecież wyruszyliśmy. Trudno nam było przyjąć do wiadomości, że nie było nas tak długo. Mieliśmy wrażenie, że zaledwie wczoraj wyruszyliśmy, a dziś jesteśmy już z powrotem po krótkiej przejażdżce. Ale notes nie kłamał: dwa lata, siedem miesięcy, 33 803 przejechane kilometry. Odpieliśmy sakwy, wstawiliśmy rowery do garażu. Na razie tam pozostaną. Na razie...*<sup>719</sup> – podróż kończy się na opłotkach i w miejscu kiedyś zerowego i startowego kilometra, to w filozoficznym ujęciu Claudia Magrisa powrót ten może mieć także charakter mniej rzeczywisty, a bardziej egzystencjalny, gdy Włoch pisze: *Wracamy do domu. Wielu przyjaciół pyta mnie, jak to się dzieje, że nie męczą mnie takie dalekie i częste podróże.*

<sup>718</sup> M. Nitkiewicz, P. Opaska, *Przez świat na rowerach w dwa lata. Rok II*, Łódź 2010, str. 319.

<sup>719</sup> Tamże, str. 460.

*Męczymy się raczej w domu, we własnym mieście i własnym świecie udęczeni przez obowiązki i kłopoty, przebici tysiącem codziennych trujących strzał, przytłoczeni przez idole własnego plemienia. W dodatku to w domu rozgrywa się nasze życie, szczęście i nieszczęście, namiętność, los. Podróż, nawet najciekawsza, jest zawsze pauzą, ucieczką, doświadczeniem braku odpowiedzialności, odpoczynkiem od wszelkiego prawdziwego ryzyka. Wraca się więc do domu, do świata dorosłego, pełnego powagi, niepozwalającego na ucieczkę. Czasami, jak bohater „Mua oi”, filmu *Danga Nhata Minha*, nie chcielibyśmy dorosnąć, lecz zmaleć, ukryć się – niczym krasnoludki z bajek pod grzybami – choćby pod jednym z tych wietnamskich stożkowatych kapeluszy, które, oczywiście, przywozimy do domu na pamiątkę.*<sup>720</sup>

Po części pierwszej, mówiącej o kilku podróżniczych publikacjach, będących sprawozdaniem z wędrówek dookoła świata, przychodzi w tym miejscu zapoznać się w paru słowach z książkami stanowiącymi kompilację wielu opowieści różnych autorów, którym dane jest w ramach swoich podróży odwiedzać ciekawe miejsca naszego globu. Dzieje się tak za sprawą tzw. „zbiorówek”, gdy jedno wydawnictwo decyduje się na zbiorową prezentację odległych i egzotycznych miejsc, pełnych podróżniczej fascynacji. Przykładem takiej edycji może być w tym miejscu np. niedawny, czterotomowy nakład rynkowego potentata, kryjącego się za zastrzeżonym logiem żółtej ramki, a zatytułowany po prostu „Podróże życia”. Czterdziestu różnych autorów przybliży czytelnikowi świat w ramach tyłuż krótkich opowieści ozdobionych barwnymi fotografiami.<sup>721</sup> Dokąd dociera lektura? Do Tanzanii, Peru, Indonezji, na Madagaskar i na Nową Zelandię, do Meksyku, Uzbekistanu i Australii. Liczne kraje przeplatają się malowniczo ze sobą: Maroko, Izrael, Malawi, Kolumbia, Chile, Filipiny, Pakistan. Różne kontynenty znajdują swoją reprezentację, a bywa i tak, że relacji z niektórych

---

<sup>720</sup> C. Magris, *Podróż bez końca*, Warszawa 2009, str. 130.

<sup>721</sup> Nieco inną w charakterze, natomiast zbliżoną poprzez swój zakres terytorialny może być przywołana w tym miejscu niecodzienna publikacja Brytyjczyka Nicka Middletona, który na swój sposób komponuje podróże po różnych miejscach na świecie, jednak wg bardzo specyficznych kluczy. *Kilka lat temu rozpocząłem serię wypraw w ekstremalne miejsca. W ciągu dwunastu miesięcy udało mi się dotrzeć do najzimniejszych, najgorętszych, najbardziej mokrych oraz najbardziej suchych miejsc na Ziemi. Były to odkrywcze podróże, podczas których powędrowałem z wiecznej zmarzliny Syberii do upału Wielkich Rowów w Afryce Wschodniej; z zalanych deszczem wzgórz północno-wschodnich Indii do wysuszonych rejonów Ameryki Południowej. Oprócz poznania sposobów, w jakie ludzie radzą sobie z życiem w takich regionach, zaznajomiłem się również z powodami, dla których się tam osiedlili i, co najbardziej intrygujące, dlaczego do diabła tam pozostali.* N. Middleton, *Ekstremalne wyprawy. Lód, dżungla, piach, bagna*, Warszawa 2006, str. 7. Po całej więc serii eskapad w tak ekstremalne miejsca, autor wyrusza za chwilę w kolejną podróż, lecz tym razem załamach przywołanej publikacji opisuje nie tyle same miejsca, ile bardziej skupia swą podróżniczą uwagę na życiu, jakie wiodą tam mieszkańcy. I tak: jedzie na Grenlandię do Inuitów, odwiedza w tropikalnej dżungli Konga Pigmejów Biaka, albo też ląduje na suchej Saharze i dociera do członków plemiona Tubu, którzy rokrocznie przemierzają pustynię po to tylko, by zakupić potrzebne im do przeżycia daktyle. Odnajduje także lud Kombai zamieszkujący ukropy Papui Nowej Gwinei, gdzie cywilizacja dotarła dopiero w 1980 roku, a do dziś plemienne zwyczaje potrafią zmrozić krew w żyłach. Por. tamże, str. 8-9.

krajów nie doświadczy się w ramach jakichś innych, zwartych publikacji. Można więc przeczytać coś o Wyspie Wielkanocnej, o wycieczce na Antarktydę, do reżimowej Korei Północnej, gdzie jest się prowadzonym prawie na smyczy przez państwowego opiekuna-biuro podróży, albo do Bhutanu. Autorzy opowiadają również o ciekawych i interesujących regionach: o Tasmanii, Kalifornii, Alasce, o Kapadocji czy Hawajach. Dzielią się wrażeniami ze swoich podróży po afrykańskiej Etiopii, RPA, po Mali i Malawi, czy też zabierają czytelnika do Meksyku, górzystego Nepalu, stepowej Mongolii lub na Kubę do Fidela Castro. Lektura stanowi więc atrakcyjną mozaikę podróżniczych aspiracji, które nie pozostały tylko i jedynie nieożywionymi miejscami na mapie, a stały się realizacją marzeń dzisiejszego wagabundy. Jest także oryginalnym zbiorem licznych informacji, które wplecione w główny wątek opowieści, dla niejednej osoby będą i nowym przewodnikiem, i uzupełnieniem innych intratnych wiadomości. *Z wyspy marzeń wracam na kontynent i zwykłym rejsowym autobusem przenoszę się do krainy lasów i jezior – królestwa walecznych Indian Mapuche. „Mapuche”, czyli „ludzie ziemi”, byli jedynymi tubylcami w Ameryce Południowej, którzy oparli się kolonizatorom.*<sup>722</sup> Różnorodność opowieści wygląda więc nieprawdopodobnie i z pewnością będzie ciekawym uzupełnieniem całej palety podróżniczych publikacji – zważywszy przede wszystkim na efekt „świata w pigułce”, uzyskany przy wertowaniu tomu za tomem.

Oczywiście takie, i podobne, publikacje rządzą się swoimi prawami marketingowymi, stąd nie sposób nie zauważyć, że np. spora część prezentowanych fotografii, choć bajecznie pięknych i nieprawdopodobnych, to nie pochodzi jednak od autorów zamieszczonych tekstów, a jest jedynie kopia zakupioną przez wydawcę z jednego ze światowych zbiorów. Ponadto każdy z tomów ma bardzo do siebie zbliżoną ilość stron, a i podróżnicze relacje nie różnią się zbytnio od siebie stylem i objętością, co pozwala przypuszczać, że zostały wcześniej starannie zredagowane/przeredagowane w ramach zwinnej pracy redakcyjnej na potrzeby wydawcy. Czy więc w czymś to przeszkadza? Oczywiście nie. Czy takie „przystosowanie” opowieści coś zmienia? Także oczywiście nie, natomiast w świetle innych, przywoływanych od początku rozprawy, publikacji widać wyraźnie, że czym innym rządzi się edycja kilkusetstronicowej książki podróżniczej jednego tylko autora, a w całkiem inny sposób, w oparciu o zgoła różne parametry, budowany jest wielogłos podróżniczej wypowiedzi zebrany w ramach np. wspomnianych „Podróży życia”.

---

<sup>722</sup> B. Radwańska. W: *Podróże życia*, Warszawa 2012, str. 187.

Natomiast jeszcze inną wydawniczą prezentacją będzie książka zredagowana przez Marka Tomalika<sup>723</sup>, współtwórcę i współorganizatora znanego i popularnego w Polsce festiwalu podróżniczego „Trzy Żywioły”. *Gdyby dziesięć lat temu ktoś mi powiedział, że będę współorganizował jeden z największych festiwali podróżników w Polsce, nie uwierzyłbym. Tymczasem od pierwszej edycji imprezy minęło już dziesięć lat. A Trzy Żywioły stały się synonimem prawdziwych podróży, których idea jest poznawanie świata, nie wyczyn.*<sup>724</sup> Festiwal, organizowany za każdym razem w innym miejscu Polski, przyciąga rzesze spragnionych przygody ludzi, dla których podróże stały się i sensem życia, i stanowią także niecodzienną pasję oraz inspirację. W ten sposób pokłosiem takich festiwalowych spotkań jest przywołana w tym miejscu publikacja, na którą składają się liczne opowieści z niemal wszystkich krańców świata. Tomalik poprosił gości festiwalu, by opowiedzieli swoje najciekawsze podróżnicze historie, gdy według niego najlepiej o wędrowce mówi się z własnego doświadczenia. Publikacja emanuje różnorodnością i zaraża optymizmem, bo *Podróże, podobnie jak muzyka, niosą silne emocje. Tam się łapie wiatr w żagle. Już samo przebywanie z ciekawym, nietuzinkowym człowiekiem daje dużo radości. – On zrobił to, o czym ja marzyłem. Może i mnie się kiedyś uda*<sup>725</sup> – dodaje redaktor. Można więc przeczytać m.in. o tym, jak Anna Czerwińska, znana himalaistka, opowiada o swojej pasji do górskich wędrowek i o perypetiach, gdy np. przychodzi jej pertraktować z Maoistami; o tym także, z jakimi perturbacjami musiał zmierzyć się Marcin Obalek, gdy wymyślił swoją „Traktoriadę” i postanowił Ursusem przemierzyć Amerykę Południową, albo też o tym, co spotyka Michała Golachowskiego na zmrożonej śniegiem Antarktydzie. Barwne relacje, przeplatane kolorowymi fotografiami, przyciągają oko i kuszą treścią niesamowitych opowieści. Dzieje się tak również w przypadku relacji znanego i powszechnie lubianego prezentera telewizyjnego, Jarosława Kuźniara, który nie dość, że relacjonuje zwinnym dziennikarskim piórem swoje wrażenia z pobytu w Maroku – *To nie jest kraj z pocztówek, na których widać dziesiątki niebieskich rybackich łódek w Essaouirze, rzędy worków z kolorowymi przyprawami na Jamma El-Fna w Marakeszu lub sznurki szpiczastych kapcio-butów wywieszane w każdym marokańskim mieście. To bieda. Cmentarz wszystkich toreb foliowych świata, które w swoim locie zatrzymują się na pokrytych kołcami krzakach pustynnych*

---

<sup>723</sup> Podróżnicza publicystyka autora przywołana była już także w podrozdziale o kontynencie australijskim, w związku z książką pt. „Lady Australia”.

<sup>724</sup> M. Tomalik, *Pojechane podróże*, Bielsko-Biała 2012, str. 318.

<sup>725</sup> Tamże, str. 7.

*przestrzeni Maroka. Wiedząc to wszystko, nie wahajcie się tam pojechać*<sup>726</sup> – to jeszcze, na zaproszenie organizatorów jednej z edycji festiwalu, pełni rolę wziętego konferansjera.

Jednak w tym przypadku, podobnie jak w odniesieniu do tomowej publikacji „Podróże życia”, opisywany i relacjonowany świat wydaje się być tylko częścią jednej, większej i zinstytucjonalizowanej marketingowej maszyny, której w tym wypadku na imię „Festiwal Podróżników Trzy Żywioty”. Trudno ocenić, czy publikacja ukazałaby się, gdyby festiwal nie istniał, natomiast teraz, z pewnością, stanowi nieoceniony oręż propagandowy na rzecz samej (szczytnej skądinąd) festiwalowej idei. „Trzy Żywioty” promuje publikację, a publikacja promuje „Trzy Żywioty”. Atrakcyjność obu produktów wzrasta, przez co potencjalnie łatwiej organizatorom związać koniec z końcem. W tym znaczeniu wydaje się, że podróżniczy i autorski proces twórczy jest bardziej wtórny i pośredni, niż osadzony na prymarnych potrzebach słownej ekspansji podróżnika po udanej i zakończonej wyprawie.

Ale podróżują i inni. Zbiór ich opowiadań i relacji zostaje wydany pod tytułem „Poza utartym szlakiem”, a animatorem całego przedsięwzięcia jest znany z rowerowych wypraw Robert Maciąg. Skupia wokół barwnej publikacji kilkanaście osób, które w zwartej formie przedstawiają swoje podróżnicze doświadczenia.

„Wraz z nimi dane nam będzie przeciąć szlaki narkotykowych karteli w gwatemalskiej dżungli, spotkać potomków Iskandera w Pakistanie oraz poznać w Libanie inną twarz Hezbollahu. W Cutud San Pedro zobaczymy Filipińczyków, którzy naśladując Jezusa dają się przybić do krzyża, a w Tajlandii ludzi, którzy przekuwają swoje policzki maczetami i nożami. Będą również niedźwiedzie i kleszcze-olbrzymy nad Bajkałem oraz upojne dni nudy na barce płynącej Nilem. Dowiemy się jak smakuje psie mięso podawane na chrześcijańskim weselu w Indonezji i jakie produkty, poza wódką, królują w mongolskich sklepach.”<sup>727</sup>

Autorzy opowiadają o swoich przygodach i jak w kalejdoskopie zmieniają się kraje, kontynenty i style poszczególnego pióra. Opowiada doświadczenie. Twórcze zróżnicowanie ma w sobie zaletę i nie pachnie nudą czy monotonią. Każdy pisze po swojemu i o swoim skrawku podróżniczego rzemiosła. Dla czytelnika to nie lada gratka, bowiem trudno na półkach o książki poświęcające w tak dużym stopniu uwagę na szczegół i detal. Np. podróżniczej publikacji o Jemenie nie ma na polskim rynku wydawniczym bodaj żadnej, przynajmniej w ogólnodostępnym obiegu, a chcąc zwiedzić np. Zabid, można w „Poza

<sup>726</sup> J. Kuźniar, *Oko na Maroko*. W: M. Tomalik, *Pojechane podróże*, Bielsko-Biała 2012, str. 147.

<sup>727</sup> R. Maciąg, *Poza utartym szlakiem*, Przemyśl 2013, str. 7.



utartym szlakiem” przeczytać, że *W czasach świetności w Zabid znajdowało się dwieście szkół, w których pobierało nauki ponad pięć tysięcy studentów. Podobno to właśnie tu narodziła się algebra. Dziś niestety niewiele pozostało z jego dawnej świetności, miasto pustoszeje, a zabytkowe domy niszczej.*<sup>728</sup> Jest więc historia z terażniejszością, a czytelnik z takiej i podobnej informacji może czerpać garściami, gdy Maciąg podkreśla: *Te i inne historie, znajdziecie w opowieściach z podróży, napisanych przez ludzi, którzy na co dzień żyją, jak każdy z nas. Kiedy wyruszają jednak w świat starają się nie trzymać utartych ścieżek. Sięgają po to, czego biura turystyczne nie mogą zaoferować – po autentyczne przeżycia.*<sup>729</sup>

Podróże dookoła świata nie są codziennością. Mimo generalnej łatwości, z jaką przychodzi wędrowcy zmierzyć się podczas konstruowania zarysu trasy (dostępne są światowe, regionalne i państwowe mapy, przewodniki i bilety lotnicze), polski podróżnik rzadko decyduje się na taki krok. Można nawet pokusić się o stwierdzenie, że łatwość i osiągalność stała się dziś przeszkodą w takim samym stopniu, jaką jeszcze nie tak dawno był zakaz i zabronienie. Potencjalność wyboru jako kat ochoty. Być może to i kuriozalne, ale kiedy wszystko jest już zdobyte, przychodzi czas na ekstremalizację wyczynu<sup>730</sup>, na takie utrudnienie, które pozwoli podróżnikowi zachować własną oryginalność i niecodzienność. W tym czy mniejszym stopniu późniejszą konsekwencją takich wyborów stanie się być może kolejna podróżnicza publikacja. *Travel literature* nie znosi bowiem i nie uznaje pustki.

Jest także literacki na swój sposób wyjątek, gdy wiedziona osobistymi powodami w niecodzienną samochodową podróż dookoła świata wybrała się nie tak dawno rodzina

---

<sup>728</sup> R. Maciąg, *Poza utartym szlakiem*, Przemysł 2013, str. 260.

<sup>729</sup> Tamże, str. 7.

<sup>730</sup> Symptomatycznym może być w tym miejscu zamiar przywołania wysokogórskiego projektu pod nazwą „Polski Himalaizm Zimowy 2010-2015”, który niestety zbiera w ostatnim czasie swoje czarne żniwo, jednak dyskusja wywołana ekstremalną wspinaczką, jak również śmiertelnymi wypadkami czołówki polskich himalaistów, każe na zagadnienie spojrzeć z nieco szerszej perspektywy. Tragiczna śmierć Artura Hajzera nastąpiła w ramach próby zdobycia tzw. jednym trawestem dwóch ośmiotysięczników na raz: Gaszerbrumu I i Gaszerbrumu II. Podczas licznych komentarzy padła oznajmiająca konkluzja dotycząca kierunku rozwoju tej trudnej dyscypliny, a wyrażona przypuszczeniem, że gdy wszystko jest już zdobyte, należy być pewnym, że człowiek, himalaista, podróżnik będzie teraz stawał na coraz większy stopień trudności przy osiąganiu celu – stąd projekt wejść na ośmiotysięczniki zimą i podobne. Paradoksalnie – czym trudniej, tym lepiej i można czekać na człowieka, który np. jako pierwszy na świecie okrąży glob... na rękach. Bezspornym przykładem na takie działanie, w oparciu o bardzo zbliżony i podobny klucz, może być wspomniana już publikacja Nicka Middletona, który nie tylko wskazuje na biblioteczną inspirację (tak naprawdę bodaj wszystko zaczyna się od myśli), ale bardziej wskazuje na eksploratorski trend czy to odnośnie do nowej górskiej ściany, czy też podróżniczej wędrowki: *Poszukiwałem ekstremalnych rejonów zamieszkałych przez mniej znane nam ludy. Swoją podróż rozpocząłem od biblioteki Wydziału Geografii i Środowiska na Uniwersytecie Oksfordzkim, gdzie na co dzień wykładam. Miałem wiele pomysłów dotyczących ludzi i miejsc, które chciałem zbadać, ale już po kilku tygodniach szperania w książkach, przeglądania monografii, atlasów i map, ostatecznie zdecydowałem się na kilka miejsc, które jako mieszkaniec komfortowej szerokości geograficznej uważam za wyjątkowo nieprzyjazne.* N. Middleton, *Ekstremalne wyprawy. Łódź, Dżungla, Piach, Bagna*. Warszawa 2006, str. 7.

Katarzyny i Macieja Rubinkiewiczów. Ich transgraniczna eskapada znajduje w tym miejscu swoje uzasadnienie przywołania, jednak nie z powodu podróźniczej publikacji (wyprawę zakończą dopiero latem 2014 roku), a bardziej poprzez fakt, że niejako „na żywo” dzieje się książka. Podróż trwa, pisząc dzieło. Publikacja tworzona jest na bieżąco w formie elektronicznego fotobloga i każdy czytelnik może z dnia na dzień śledzić poczynania nad wyraz odważnej rodziny.

„Po przygotowaniach, które dla niektórych trwały grubo ponad dwa tygodnie (bo przecież zawsze jest jeszcze coś, co się może przydać), nadszedł czas na zapakowanie wszystkiego do samochodu... i jak widać wszystko poszło tak jak trzeba, chyba. Może i jesteśmy lekko ściśnięci, ale jako przyszli jogini musimy trenować. Z perspektywy czasu stanowisko kierowcy stanie się chyba najbardziej pożądanym miejscem w samochodzie... [...]  
Przez Ukrainę przemykamy z prędkością światła. [...]

W drodze do Kazachstanu spędziliśmy dwa dni w Rosji. Pierwsze spotkanie ze stepem w Kałmucji, gdzie w Eliście znajduje się jedyna świątynia buddyjska w Europie. [...]  
Po pięciu dniach bezkresnego stepu i dziurawej drogi, dojeżdżamy do Kyzylordy. Następnie jedziemy do Turkestanu, gdzie robimy małą przerwę na zwiedzanie, a jutro mamy nadzieję być już w Biszkeku. [...]

Po gorącym stepie wjeżdżamy do górzystego i zimnego (!) Kirgistanu. Z Biszkeku, gdzie w jedno popołudnie wyrabiamy wizy do Tadżykistanu, udajemy się na jezioro Issyk-kul. Północny brzeg okazuje się być kurortem dla rosyjskich turystów, lecz w górach i na południowym brzegu jest już znacznie przyjemniej. Następnie udajemy się nad inne jezioro, Song-kul, gdzie mamy się aklimatyzować do wysokości 3000 m. Jest to też miejsce zbiórki dla grupy, z którą udajemy się do Lhasy. [...]

Po przekroczeniu przełęczy Torugart dotarliśmy do Kaszgaru. Z dawnego miasta zostały już tylko szczątki zabudowań, ale na ulicach panuje niechińska atmosfera. Kaszgar znajduje się na Jedwabnym Szlaku, a rdenną ludnością tego regionu są Ujgurzy. Przed nami Karakorum Highway i granica z Tybetem.”[...]<sup>731</sup>

W tym znaczeniu pojęcie tzw. „Nowych Mediów” uzyskuje kolejny asumpt, by nie ignorować elektronicznych poczynania na mapach publicystyczno-podróźniczych wydawnictw. Małżeństwo wyruszyło z Polski na wschód, i przed dotarciem do Władywostoku zamierza objechać (co aktualnie czyni) Azję Środkową oraz wdrapać się do tybetańskiej Lhasy. Na

---

<sup>731</sup> Szczegółowy opis wyprawy znajduje się specjalnie na tę okazję stworzonej stronie internetowej [www.familyinspace.com](http://www.familyinspace.com).

Dalekim Wschodzie, gdzieś przy Morzu Chińskim lub Japońskim, spakują samochód na statek do Ameryki Południowej, a sami powędrują z plecakami po Korei, Japonii oraz do bajecznie pięknych Indochin. Podróż pełną gębą. Następnie mają ambitny zamiar dolecieć do Chile i dalej, na swoich już czterech kółkach, objechać kontynent z Amazonią, z południa na północ, od oceanu do oceanu. Gdyby tego było mało, podróżnicza rodzina ma zamiar przejechać jeszcze do Stanów Zjednoczonych przez Amerykę Środkową, a później, na ile siły i energii wystarczy (i jeśli terenowy wóz pozwoli), zamierzają przejechać całe USA z zachodu na wschód i statkiem powrócić z Nowego Jorku do Europy. Rok w podróży – z dwójką małych i dwójką dorosłych już dzieci. Gdy w tym miejscu rozprawy śledzi się ich zamierzenia i plany, nie sposób nie powrócić pamięcią do wielu przywoływanych już publikacji, z których liczne – opisując odwiedzane przez podróżniczą rodzinę miejsc – mogą stać się pomocą i rękojmią ku bezpiecznemu powrotowi do domu. Mając niecodzienną okazję w niedużym wymiarze uczestniczyć w ich podróżniczych przygotowaniach, mogliśmy się razem wielokrotnie przekonać, jak bardzo literatura drogi staje się nieodzownym dziś atutem i argumentem przy zarówno komponowaniu trasy wyprawy, jak i swoistym ubezpieczeniem, gdy z innego dostępnego poziomu niemal nie można dociec prawdy o rzeczywistości na odległych kontynentach. Prozatorskie zapisy wielu poprzedników, oddające nie tyle techniczną, technologiczną czy też wręcz przewodnikowo-encyklopedyczną wiedzę o krajach z map i globusów, często w jednym niepozornym zdaniu kryją w sobie nad wyraz cenne tło i charakterystykę, których ze świecą szukać w szeroko dostępnej domenie publicznej. Czym innym będzie bowiem informacja z globalnej prognozy pogody, że gdzieś, w jakimś zakątku świata, są czterdzieści dwa stopnie ciepła, a czym innym podróżnicze wspomnienie z autopsji zawarte nie tyle w opisie słupka rtęci, a bardziej w stwierdzeniu, że jest piekielnie, piekielnie, ale to piekielnie gorąco. Wszystkie te informacje świadomy niebezpieczeństw podróżnik skrzętnie zbiera przed wyruszeniem na wyprawę, a kontynuowana przez Rubinkiewiczów eskapada jest tego najlepszym przykładem – choć oczywiście szlak ich podróży różni się od innych, to jednak gros informacji jest bardzo przydatnych. Można się spodziewać, że swoją podróż dookoła świata odbędą szczęśliwie, a już dziś pozostawiają w wirtualnej rzeczywistości ślad po sobie dla kolejnych podobnych wypraw.

*Najbardziej lubię jeździć wozem. Thuc się po szosach świata i mieć wszystko na wyciągnięcie ręki. Widzieć wszystko. Drapać ziemię. Orać bruzdy szutru i asfaltu. Wszędzie mogę dojechać, jeśli nie zerwane mosty, bagna albo wielkie oblodzenia. Wóz to możliwość. Europa nie ma już tajemnicy. Potem gęste i gigantyczne połącze całej Syberii przejechałem*

w tę i z powrotem – zaglądając to tu, to tam. Innym razem pod Chiny i Afganistan. Samochód skacze jak kangur. Nigdy nie wiem, gdzie trafię. Szosy wiją się przez góry jak nici upuszczonych szpulek. Wąskie dróżki, kamieniste szlaki. Przez łąki, lasami. Kamienie walą o podwozie, a woda bryzga na szyby jakby bogowie lali łzy. Saharą na azymut, a potem byle do oceanu. Wóz to wehikuł czasu, a gdzie nie dojadę, tam dojdę. Patrę przez szyby jak ze szklanej kosmicznej kapsuły. Kiedy w afrykańskim kurzu naciskam na hamulce, luny siwego piachu pchają jeszcze przez moment, potem wyprzedzają i trzeba odczekać dobrą chwilę, aż opadną i można wyjść. Kopne pustynne wydmy nie wybaczą błędów: łopata, trapy, liny. Ale wóz to także dom. Przystań, tyle że ruchoma – jak barka. Tysiące kilometrów, dziesiątki dni i nocy – jeśli nie mam namiotu, śpię w nim. Albo pod nim, gdyby zaczęło padać. Najgorsze są gradobicia. I dzieci, które wchodzą na dach, a nie mam o tym pojęcia. Jest jak tratwa ratunkowa. Na drogę pakuję wszystko, co tylko może i nie może się przydać: prezenty dla nieznanym, alkohole dla pograniczników, ciastka dla gospodarzy, którzy raczą wodą i informacją. Latarki. Nawet papier ścierny. Jeżeli coś jest na mapie – można próbować. A jeśli czegoś nie ma, to tym bardziej. Nie jestem przesądny, ale zawsze coś mam w nim na szczęście. Często zbieram z drogi różne kamyki, muszle z plaż, szyszki z lasów – niby nic, ale co więcej? Tak naprawdę, to on zawsze ciągnie mnie na koniec wszystkiego. Na same krawędzie. Czy ze sobą rozmawiamy? Nic by nie było, gdyby nie porozumienie. Brodzimy razem przez rzeki. Czasem od upału stal strzela nitami. Syczą węże. Kapią oleje. Wybuchają opony. Krztusi się od złego paliwa jak dziecko od niesmacznego syropu. Nocami, gdyby nie wóz, nigdzie bym nie trafił – albo dopiero nad ranem, bo wóz to czas. Jest jak zegar słoneczny, a kiedy rzuca cień, nie można się zgubić. Jest jak klepsydra – z wąskim gardłem między jedną krainą a drugą. Mając go za plecami zawsze mogę uciec, a widząc na szosach inne samochody mogę przypuszczać, że droga jest przejezdna. Czy ze sobą rozmawiamy? To nie tylko środek transportu – to oaza. Azyl, ale i więzienie na setki godzin mordęgi. Pozwala na wiele i daje wszystko. Przecinam się nim z pociągami, jakbyśmy robili zakłady. Jedziemy pod samolotami przykryci wielką płachtą nieba. Czasem na statkach: przez doki i mierzeje. Burta w burtę. Koło w koło. Lubię jeździć wozem, bo to przed nim podnoszą się graniczne szlabany.

Natomiast w części trzeciej proponowanego podziału, gdy można przez chwilę zatrzymać się na wertowaniu publikacji jednego autora, czyniącego w jakimś sensie summę swoich życiowych podróżniczych dokonań, warto zwrócić uwagę na kilka symptomatycznych, „ogólnoświatowych” tytułów. Opowiadają one, w różnym charakterze, o śmiałych dokonaniach odważnych podróżników, gdy po eskapadach mijają już lata, a wspomnienia, jak chce Jean Paul Sartre, są jedynym rajem, z którego nie możemy być wypędzeni. Postrzeganie świata jako całości, mimo że zatamizowane przez pryzmat wielu

wędrówek, może przypominać dzisiejszy spacer po centrum handlowym, gdzie mnogość podobnych sklepów przykuwa uwagę, a jednak każdy z nich proponuje inny asortyment. A nawet jeśli kilka sklepów obok siebie sprzedaje np. buty, to i tak są one inne i różne jeden od drugiego. W tym sensie XXI wieczna galeria handlowa – ze swoimi butikami, kramami, które domagają się uznania ich za równoprawne sklepy, ze sprzedawcami i kierownikami, z fontannami, schodami ruchomymi w górę i w dół, z wielkimi halami marketów spożywczych i TV, z ochroną i kamerami, a przede wszystkim z rzeszą kupujących, przypominających podróżników wędrujących niezmiennie od świtu do zmierzchu po nieznanach lądach i oceanach – wydaje się nie tyle już gotycką katedrą z całym jej transponowanym symbolizmem, ale także, albo przede wszystkim, jest obrazem świata, wizją świata w pigułce.

„Najpierw ja też widziałem świat podzielony. Naprawdę podzielony! Widziałem świat oddzielony od tego, na co patrzyłem. Widziałem siebie, jak patrzę na siebie. Potem coś się stało i teraz widzę świat połączony. Nie dostrzegam już podziału. Wcześniej widziałem świat w kawałkach. Widziałem siebie samego patrzącego na siebie. Potem stało się coś dziwnego, bo już nie widziałem podziału. Widziałem siebie jako część wszystkiego. To jest wspaniałe, bo niechcący znalazłem w sobie innego siebie [...]. To rezultat pobytu w Himalajach, kiedy zacząłem pozbywać się pragnień. Wtedy wszystko stało się jednością. Całkowitą jednością. I jest coś jeszcze. Kiedy widzisz jedność, rzeczy zmieniają się wprost nadzwyczajnie. Patrzysz na ziemię i zdajesz sobie sprawę, że wszystko jest jednością. Nie ma ani jednego oddzielonego kawałka. Kiedy widzisz jedność, zdajesz sobie sprawę, że nie ma już podziałów. Kiedy patrzysz na kwiaty i trawę, to nie są już kwiaty i trawa, ale część tego precudnego piękna, jakim jest życie.”<sup>732</sup>

Śmiertelne wyznanie Terzaniego każe przypuszczać, że panoramiczna perspektywa daje pożądane efekty, a świat widziany szerokimi oczyma podróżniczego doświadczenia przez krew i kość ukazuje się w całej swojej krasie, gdy roszczenie ustępuje pogodzeniu. Niestety, tak się składa, że polska literatura podróżnicza, dokumentująca pozaeuropejskie dokonania śmiałych globtroterów, nie jest w tym aspekcie poruszanego zagadnienia nazbyt obficie reprezentowana. Raptem kilka pozycji – być może dlatego, że pokolenie po 1989 jeszcze podróżuje, żyje, i póki co wypełnia swoim dotychczasowym czasem i przeżyciem znamiona książek tematycznych, po wielokroć już przywoływanych w niniejszej dysertacji. Tym samym być może po prostu jeszcze nie czas na polskie podsumowania, gdy płodni i zaangażowani podróżniczo pisarze, reporterzy czy dziennikarze są dziś w kolejnych rozjazdach i zmagają się z następnymi wyzwaniem. Celną pointą takiego wniosku wydaje się

---

<sup>732</sup> T. Terzani, *Koniec jest moim początkiem*, Poznań 2010, str. 568.

sarkastyczny akapit Piotra Góreckiego, znudzonego – jak można wywnioskować – odtwórczą pracą dyplomaty, która w jakimś stopniu stała się beznamiętnym pokłosiem barwnych skądinąd, dawnych publikacji.

„Dobrze mi w Marriocie. Skończyłem czterdziestkę (kiedy zaczynałem pisać o Kaukazie, nawet trzydziestka była trudna do wyobrażenia), już lubię wygodę. A organizatorzy międzynarodowych konferencji, forów, sympozyjów i seminariów, na które coraz częściej jeżdżę, unikają hoteli poniżej trzech gwiazdek. Wmawiam sobie, że poznaję region od jeszcze innej strony – ale to nie do końca prawda. Po dziesiątej imprezie wiem już z grubsza, co kto powie. Choć zawsze pada kilka zdań godnych uwagi. Słucham referatów i myślę, że dobrze byłoby wyrwać się za miasto, a najlepiej – w ogóle uciec z Kaukazu. Zająć się, przynajmniej jako reporter, Azją Centralną, Turcją, Iranem. Bo z Marriotta naprawdę nie chce się wychodzić.”<sup>733</sup>

Olgierd Budrewicz zmarł 20 listopada 2011 roku. Zostawił po sobie wręcz tytaniczną retrospektywę, patrząc na świat przez kilka długich dziesięcioleci. 160 odwiedzonych krajów dopomina się o wierny szacunek. Niemal z każdego ujęcia może taki podróżnik coś o czymś powiedzieć, a świat wydaje się nie mieć dla niego tajemnic. *Każdy niemal skrawek kuli ziemskiej, każdy kraj czy każde miasto mają własną atmosferę, a także swoją woń: upojną, bywa nawet, że pachnącą, niekiedy jednak odpychającą, porażającą zgnilizną, tamującą oddech.*<sup>734</sup> Kluczem przywołanej w tym miejscu publikacji nie jest jednak chronologiczna wędrówka po poszczególnych krajach, a tematyczne ożywienie obrazów z najdalszych zakątków globu. Dzieje się tak zresztą an przykładzie wszystkich trzech książek przywołanych poniżej. I tak, Budrewicz pochyla się w swoich opisach nad wyspiarskim charakterem krajów, oddając pod ogląd przykłady bliższe (Helgoland, Halligen, Korsyka) i dalsze (Hawaje, Wyspa Wielkanocna, Madagaskar), prowadzi czytelnika przez świat dżungli, metropolii, fauny i flory, ale także – ukazując złożoną strukturę światowych zabytków, gór i dolin oraz rzecznych czeluści – wiedzie swą barwną opowieść przez wszystkie światowe kontynenty. Raz po raz zaskakuje i często nie sposób ogarnąć wyobraźnią bezkresnych połąci pustyń i lasów równikowych, które stają się literackim łupem XX wiecznego podróżnika. *Minęło sporo lat, zanim w końcu pewnego dnia dotarłem do którejś głęboko ukrytej nory na Alasce.*<sup>735</sup> *Do Taktshang, małego kompleksu klasztorów zawieszonych wysoko na skałach w północno-zachodnim dystrykcie Paro, dotarłem z trudem – częściowo pieszo, a częściowo na*

<sup>733</sup> W. Górecki, *Abchazja*, Wołowiec 2013, str. 170.

<sup>734</sup> O. Budrewicz, *Kto chce, niech wierzy*, Warszawa 2011, str. 7.

<sup>735</sup> Tamże, str. 190.

grzbiecie konia.<sup>736</sup> *W Likuali miałem okazję pójść z Pigmejami do puszczy. Była to prawdziwa przygoda. To wtedy po raz pierwszy zagłębiłem się w gęsty tropikalny las, na własnej skórze poczułem ukąszenia mrówek, pijawek i innych insektów.*<sup>737</sup> Książka Budrewicza w dużym skrócie sięga w różnorodność krajów i narodów, a długie i intensywne życie autora służy w tym wypadku jako scena, na której świat reprezentuje swoje wdzięki nad wyraz obficie. Budrewicz, mówiąc potocznie, był podróżnikiem starej daty, dla którego nie tyle liczyła się powędrowna publikacja, a bardziej kolejna podróżnicza fascynacja. Sam przyznaje: *Czasem budzę się w odległym kraju, patrzę w ciemność i zastanawiam się, gdzie jestem? Dziwne uczucie z pogranicza lęku i rozkoszy. Potem przeważnie się odnajduję i ruszam na poszukiwanie rzeczy, ludzi, zjawisk i problemów – żeby się dziwić.*<sup>738</sup>

Jest jeszcze także druga ciekawa książka Budrewicza, wydana jednak bardziej w formie albumowej i prezenterskiej, w której autor umiejętnie przeplata wątki z podróżniczych eskapad na poły z warszawskimi wspomnieniami, bowiem od dziesięcioleci uważany był za wziętego varsavianistę. Poczytywał sobie to zresztą za honor oraz zaszczyt i było to jego chlubą. Urodzony warszawiak, przeżywszy niemal sto lat na powrotach z podróży do ukochanego miasta, nigdy o nim nie zapominał. „Byłem wszędzie” – bo tak tytułuje swoją książkę – opisuje więc losy podróżnika rzucanego na różne kontynenty, nie jednak przez pryzmat samej wędrówki, a raczej poprzez wskazanie, co dla autora podczas wyjazdów liczyło się najbardziej. Podkreśla także z całą mocą swoją podróżniczą niezależność, być może w tym miejscu nawiązując do osoby Ryszarda Kapuścińskiego, którego zaangażowanie niemal po drugiej stronie barykady jest dziś powszechnie znane. *To była przygoda wyjątkowa, bo pierwsza. Następne wyjazdy – już mniej kolorowe, zwłaszcza te do Trzeciego Świata. Nie wybierałem się tam nigdy z gotową tezą polityczną, nikt mnie w warszawskich gabinetach nie nakręcał, o czym mam pisać i jak komentować. Trochę miałem „wariackie papiery” – w końcu wiedziano, że nic mnie nie łączy z partią, z ubecją czy wywiadem, że byłem AK-owcem o dość wyraźnych skłonnościach katolickich [...].*<sup>739</sup> Budrewicz lubił podróżować i opisuje to z lubością. Wędrówka była jego drugim domem, a świat kazał mu, według jakiegoś wewnętrznego imperatywu, gnać przed siebie w odległe i zapomniane miejsca. *No, a potem ta podróż w poprzek Afryki. Jeszcze dzisiaj czuję ją w kościach i na skórze. W ciągu około trzech miesięcy przemierzałem pas głodu i śmierci – od Senegalu i Mauretanii, poprzez Mali,*

<sup>736</sup> O. Budrewicz, *Kto chce, niech wierzy*, Warszawa 2011, str. 154.

<sup>737</sup> Tamże, str. 59.

<sup>738</sup> Tamże, str. 8.

<sup>739</sup> O. Budrewicz, *Byłem wszędzie*, Warszawa 2002, str. 12.

*Burkina Faso, Niger, czad aż do Etiopii. To była podróż w kolorowe, egzotyczne, mało znane strony, z których można by w normalnych warunkach przywieźć sensacyjny materiał do przygodowej książki o Afryce. Ale wtedy, w połowie lat siedemdziesiątych, szukałem tam czegoś innego: chciałem znać prawdę o okolicznościach kataklizmu suszy i wszystkich jej gospodarczych, społecznych i politycznych konsekwencjach.*<sup>740</sup> Jego publikacja stanowi w jakimś sensie podsumowanie podróżniczych dokonań i dla wielu adeptów sztuki wędrówki nie tylko może być cennym źródłem informacji, ale także otuchą i zachętą w stronę penetrowania nawet najdalszych i najbardziej niebezpiecznych zakątków globu. *Trwała iracko-irańska wojna, kiedy pojechałem z obrzucanego raketami Bagdadu do Basry; tam jeszcze strzelano, mieszkańców prawie wymiotło, ale domy, w tym piękna willa Agathy Christie, stały w większości nie naruszone. Sama Basra mało mnie interesowała. Zamierzałem dotrzeć do obszaru wielkich bagien w pobliżu zbiegu Eufratu z tygrysem, gdzie żyją – to brzmi absurdalnie – „Arabowie błotni”.*<sup>741</sup> Trudno powiedzieć, jak to się stało, ale Olgierd Budrewicz, globtroter na miarę największych, nie był w Polsce dość znaną osobą. Rzadko zapraszany do mediów, niewiele razy widoczny na łamach gazet i czasopism. Choć o dużym dorobku pisarskim (można przeczytać w popularnych internetowych komunikatorach, że napisał około sześćdziesiąt książek), jego proza nie była powszechnie znana. Być może dlatego właśnie, że przede wszystkim był podróżnikiem, a nie pisarzem. I także o mozołe podróżniczego życia pisze słów kilka: *Globtroterzy wiedzą, że za przemierzanie świata, zwłaszcza jego bocznych ścieżek, trzeba niekiedy płacić wysoką cenę. I płacą ją. Zagrożenie zdrowie istnieje co krok. Ono czai się powietrzu, w wodzie, w pożywieniu. Każdy doświadczony wędrowiec wozi ze sobą osobistą apteczkę z lekami na biegunkę, na podrażnioną skórę, oczy, na wiele złych okoliczności. Ale też nie demonizujemy. Jeżeli coś ma się zdarzyć, może zdarzyć się w Londynie i w Warszawie, dokąd pogłębiający się ostatnio efekt cieplarniany przywleka tropikalne choróbska, malarii nie wyłączając.*<sup>742</sup> Na swój sposób uprzedza, że podróż nie jest sielanką i wiele z jego akapitów zwraca uwagę na wędrowną zdrowotną trwogę.

Dzięki opowieści Olgierda Budrewicza światło dzienne osiąga także skrzętna notatka dotycząca dużej części polskiego podróżniczego światka, gdy autor w kilku zdaniach, wartych w tym miejscu przytoczenia w całości, przypomina czytelnikowi o kultowym dawniej

---

<sup>740</sup> O. Budrewicz, *Byłem wszędzie*, Warszawa 2002, str. 18.

<sup>741</sup> Tamże, str. 46.

<sup>742</sup> Tamże, str. 127.



programie telewizyjnym, o „Klubie Sześciu Kontynentów”. W żadnej z podróżniczych publikacji, które na różne sposoby przywoływane są w niniejszej dysertacji, nie ma wzmianki o tym medialnym wydarzeniu, a współcześni młodzi globtroterzy, zwiedzający cały świat na tysiące sposobów, zwyczajnie nic nie wiedzą o takiej medialnej inicjatywie, której początków szukać można już w 1968 roku. Ponadto warto zaznaczyć, że literatura podróżnicza w dobie PRL-u praktycznie nie istniała i nijak nie można tamtego okresu porównywać do lat dzisiejszych – w tym znaczeniu wspomniany program telewizyjny choć w jakiejś części zasypywał tę dysproporcję.

„Tą myślą kierował się zapewne Stanisław Stampf<sup>1</sup>, dyrektor programowy TV, inicjując ważny cykliczny program „Klub Sześciu Kontynentów”. Od pierwszej chwili wiodącą rolę przejął Ryszard Badowski, on był autorem niemal wszystkich dwustu pięćdziesięciu programów „Klubu”, następnie i sześćdziesięciu pięciu „przygód i podróży”. Do współtwórców „Klubu” – który „ruszył” w lipcu 1969 roku, przetrwał na antenie przez prawie dwadzieścia lat i do dnia dzisiejszego nie znajduje godnych kontynuatorów – zaliczyć należy Witolda Zadrowskiego, Kazimierza Dziewanowskiego, Bogdana Kołodziejskiego i – nolens volens – Olgierda Budrewicza. Później dołączyli jeszcze Stanisław Szwarz-Bronikowski i Janusz Wolniewicz. Istotną rolę w całym przedsięwzięciu odegrali Tadeusz Kurek, realizator programu, i Jerzy Huk, scenograf. Pierwsze, nieśmiałe jeszcze kroki stawiali w tym programie Toni Halik i Elżbieta Dzikowska, Hanna i Antoni Gucwińscy. Zapraszano przede wszystkim dziennikarzy, którzy podczas podróży filmowali. Nie ominęli także „Klubu” Waclaw Korabiewicz, Andrzej Wajda, Mirosław Hermaszewski, Feliks Stamm i wielu, wielu innych.”<sup>743</sup>

Trzecią publikacją Budrewicza będzie z kolei jego wspomnienie dotyczące dwóch afrykańskich państw Kongo oraz Burundi i Rwandy. Barwna opowieść wiedzie czytelnika na bezdroża środkowej Afryki, a podróżnik po latach dzieli się refleksją: *Proponuję wam, drodzy Czytelnicy, wspomnienie pierwszej z moich przygód na Czarnym Kontynencie – przygoda ważna i wielce pouczająca. Sporo wody w wielkiej rzece Kongo upłynęło, nim rozpocząłem pokonywanie szlaku, który kiedyś przebył Joseph Conrad, płynąc potężnym dopływem Konga, Ubangi. Zmierzał na północ, a to, co przeżył, pozwoliło mu później napisać sławne „Jądro Ciemności”*.<sup>744</sup> I wspomina swój nietuzinkowy pobyt, oddając w publikacji ducha tamtych czasów, przywołując obrazy sprzed dziesięcioleci i gromadząc na kartach relacji wiele ciekawych faktów i spostrzeżeń. *Przy głównej ulicy Leopoldville znajduje się duży magazyn z obuwiami „Bata”. Tenże Bata ma jeszcze kilka innych sklepów w mieście. Przed witrynami*

<sup>743</sup> O. Budrewicz, *Kto chce, niech wierzy*, Warszawa 2011, str. 153.

<sup>744</sup> O. Budrewicz, *Równoleżnik zero*, Warszawa 2010, str. 5.

gromadzą się nieustannie grupy bosonogich Murzynów.<sup>745</sup> Budrewiczowska perspektywa, bowiem po latach na nowo redaguje swoje wspomnienie, przywołuje z pamięci znane już z innych opowieści obrazy. *Chodzę po ulicach tego dziwnego miasta, słońce dżga mnie w samo ciemność, opędzam się od much, klnę na odparzone stopy. Od kilku dni jestem „persona grata” nad jeziorem Tanganika – przyciągam wzrok i uwagę paru setek ludzi. Naruszam ustalony od lat porządek: mam białą skórę, a szwędam się „per pedes” jak zwykły Afrykanin.*<sup>746</sup> Jak na tamte czasy był Budrewicz odważny, choć trudno dziś powiedzieć, czy zagrożenie bardzo popularnymi obecnie porwaniami dla okupu lub zwykłymi zamachami terrorystycznymi nie jest w tej chwili większą barierą i nie stanowi groźniejszego niebezpieczeństwa na globtroterskim szlaku.<sup>747</sup> A być może tym samym istnieje oto właśnie niewidzialna nić równowagi, która wszystkie podróże wrzuca do jednego worka z napisem „niebezpieczeństwo”, co jedynie czasy się zmieniają, a i środki zaradcze są inne, bardziej adekwatne. Jednak afrykańska odyseja Budrewicza trwa w najlepsze i autor odkrywa kolejne karty, pisząc: *Wjeżdżałem do najautentyczniejszego w Afryce państwa kieszonkowego. Kieszonka liczy sobie 24 500 kilometrów kwadratowych, jest wysepką w środku kontynentu. Kieszonka znajduje się w kieszeni Belgii. Jest jednym z najbardziej reakcyjnych nowych państw murzyńskich, nakaz walki z komunizmem określono tu w konstytucji.*<sup>748</sup> Wtedy jeszcze sytuacja z Ruandzie była inna, a czytelnik potrafi sobie na licznych literackich przykładach wyobrazić historię, która w tym małym afrykańskim kraju wydarzyła się kilkanaście lat później. W tym znaczeniu literatura podróżnicza wykazuje swój intertekstualny wymiar, łącząc ze sobą liczne wątki i pokazując, jak na przestrzeni lat może zmienić się sytuacja polityczna i społeczna. Choć i wtedy, za czasu bytności tam autora, ostrzegano go w humorystycznym tonie – *Biedak nigdy nie był w Kigali, nie wie, co go czeka*<sup>749</sup>, a kolejny rozdział swojej książki Budrewicz tytułuje: „O Jezu, Kigali!”.

---

<sup>745</sup> O. Budrewicz, *Równoleżnik zero*, Warszawa 2010, str. 38.

<sup>746</sup> Tamże, str. 183.

<sup>747</sup> Ciekawą refleksją w tym kontekście dzieli się z podróżniczo-sportowym czytelnikiem kierowca rajdowy Krzysztof Hołowczyc, którego wspomnienia ze wyczynowych zmagania na szlaku rajdu Paryż-Dakar znajdują swoje miejsce w dalszej części opracowania, już przy okazji kolejnego podrozdziału zatytułowanego „Na świecie”. Rajdowiec pisze: *W nocy, jeśli ktoś nie zdąży, przejazd przez najbardziej zaminowany obszar będzie wyznaczony pochodniami. Nie powiem, żebym bez obaw wsiadał do samochodu [...]. Więc auto na hol i mozolne przedzieranie się w stronę mety, a potem w stronę obozu. Po drodze zatrzymuje nas jakaś uzbrojona grupa, ale okazuje się, że to kontrola paszportowa na nieoznakowanej tu przeciw granicy. Godzinka postoju. Zamiast na obiad, jesteśmy na biwaku nad ranem. Straty straszne, spadamy poza pierwszą setkę.* K. Hołowczyc, J. Obrocki, *Piekło Dakaru*, Warszawa 2012, str. 25.

<sup>748</sup> O. Budrewicz, *Równoleżnik zero*, Warszawa 2010, str. 196.

<sup>749</sup> Tamże, str. 196.

Wszystkie trzy wspomniane w tym miejscu publikacje Olgierda Budrewicza, choć może nie epatujące mnogością podróźniczych zapisów, stanowią jednak przejmujące świadectwo próby zarysowania szlaku, po którym z dużym sukcesem rokrocznie rusza kilka, kilkanaście nowych nazwisk. Literatura podróźnicza znajduje godnych następców, a wiatry historii zdają się im sprzyjać, gdy jak chce Sokrates: kiedy ciemną drogą poprowadzi cię wtajemniczony, stanie się ona jaśniejsza od słońca. Książki Olgierda Budrewicza, choć inne od tych Ryszarda Kapuścińskiego, czy dziś Wojciecha Jagielskiego lub Wojciecha Góreckiego, stanowią więc interesujący drogowskaz na podróźniczej mapie. Można oczywiście się bez nich obyć, i uczynić tak z każdą inną publikacją, jednak ich świadectwo niesie ze sobą pewność, że owe kraje i narody, tak odległe kolebki własnej cywilizacji, żyją i funkcjonują obok świata ludzi Zachodu, zachęcając chociażby terytorialnym dystansem do kolejnych eksploracji.

Doskonale, jak się wydaje, w schemat ten wpisuje się również ostatnia publikacja podróźnicza Elżbiety Dzikowskiej, a zatytułowana „Tam, gdzie byłam”. Z zamiłowania podróźniczka, wzięty fotograf, a prywatnie (czy oni mieli życie prywatne?) partnerka życiowa odeszłego już Tony Halika, opowiada na łamach publikacji najpierw o życiu rodzinnym, kreśląc tym samym kilka słów z obu życiorysów, a potem snuje już swoje wspomnienia wokół wspaniałych i niepowtarzalnych przygód. *Ten tom jest poświęcony Meksykowi, Ameryce Środkowej i częściowo Karaibom. Widzianym i pamiętanym wprowadzie z perspektywy dość dawnych czasów, ale starałam się aktualizować informacje, aby ta książka była przydatna także dla tych, którzy wybierają się tam w podróż. To taki dawno-dzisiejszy przewodnik wymagający pewnie konfrontacji. Może się przyda.*<sup>750</sup> Rękojmią gwarantowana. Jednak koniecznym na tym etapie budowy rozprawy, dla utrzymania w miarę chronologicznego porządku, będzie podkreślenie, że choć publikacja tematycznie dotyczy rejonu Ameryki Środkowej, to znajduje się w tym konkretnym miejscu dysertacji ze względu na jej wspomnieniowy i retrospektywny charakter, gdy mowa o przywołaniu podróźniczych życiorysów, oraz z powodu na obietnicę autorki, że książka ta stanowi pierwszą z całego edycyjnego cyklu. Podróż z Dzikowską jawi się więc jako szczegółowa penetracja i jeśli tylko czytelnicze oko pragnie poznać zakamarki kultur, bez trudu – z tą publikacją pod pachą – można to zrobić. Autorka zna się na świecie jak mało kto i nie wystarcza jej sama obserwacja. Nie zadowala się prostymi odpowiedziami i draży kraj za krajem na swoje kopyto.

---

<sup>750</sup> E. Dzikowska, *Tam, gdzie byłam*, Pelplin 2013, str. 7.

„Zastanawiam się, o ileż uboższa byłaby nasza dieta gdyby nie odkrycie Ameryki? Przecież nawet ziemniaki, bez których trudno sobie wyobrazić dzisiaj polską kuchnię, stamtąd pochodzą. Co prawda nie z Meksyku, ale z Peru, jednakże i one przypominają nam o obecności tamtejszej, jakże bardziej odległej cywilizacyjnie niż nasze, przeszłości. Kiedy nasi przaprzodkowie mieszkali jeszcze w puszczy i żyli z łowiectwa i zbieractwa, Ameryka znała już uprawę roślin. I sztukę. Także kulinarną.”<sup>751</sup>

Dla Dzikowskiej dom to świat, a jej wspomnienia tchną najwyższą próbą. Są inne od pozostałych pewnie ze względu na różnice pokoleniowe dzielące dzisiejszych podróżników od czasów, gdy otrzymanie paszportu i wizy, z konieczną książeczką walutową, graniczyło niemal z cudem. Jednak tak znane nazwisko gwarantuje, że książka może się przydać każdemu podróżniczemu czytelnikowi. Można powiedzieć, że jest w niej czysta podróż: bez owijania w bawełnę. Dzikowska nie odnosi się do wędrownych atrybutów – pisze po prostu o miejscu, w którym jest. I odkrywa skalę: *Podczas naszych wędrówek po Meksyku, z kamerą, a później, gdy byłam już sama, tylko z aparatem fotograficznym, zwiedziliśmy wiele miast Majów. I zdałam sobie sprawę, że gdybym wszystkie z nich chciała opisać, musiałaby powstać osobna, poświęcona im książka. To była pasja: dotrzeć jeszcze dalej, zobaczyć jeszcze więcej.*<sup>752</sup>

Nie sposób w tym miejscu nie przywołać także na chwilę wspomnianej już postaci Toniego (Antoniego) Halika, który wspólnie z Elżbietą Dzikowską praktycznie stworzył powojenny podróżniczy polski świat. W ówczesnej telewizji pojawił się program „Pieprz i wanilia”, a wiele relacji ze świata ukazywało się w codziennej prasie. Małżeństwo podróżowało na potęgę, a Tony Halik kręcił wszystko kamerą. Bez dwóch zdań byli prekursorami i gdy Ryszard Kapuściński przemyślał świat pod kątem polityczno-społecznym, oni oglądali go oczyma fauny, flory i kultury. W jakimś sensie wszystko to się ze sobą przeplatało, jednak ktoś dziś nie pamięta tamtych programów i kolorowych relacji – a wymyślał to Tony Halik. „Tam gdzie byłam” jest więc także próbą opowiedzenia w kilku słowach życiorysu podróżnika, a Dzikowska ma do tego bodaj największe i prawo, i sposobność. I uczciwość.

„To prawda, że Tony z znacznej mierze stworzył sam siebie, koloryzował, konfabulował, miał fantazję, ale nie przekreśla to przecież jego zasług. To on, za swoje pieniądze, stworzył Polsce okno na świat, gdy było szczelnie zamknięte. To on pokazał ten świat

---

<sup>751</sup> E. Dzikowska, *Tam, gdzie byłam*, Pelplin 2013, str. 106.

<sup>752</sup> Tamże, str. 255.

także w swoich porywających nie tylko młodzież książkach. Był dumny, że jest Polakiem i promował nasz kraj, pokazując go zawsze z najlepszej strony, także kiedy to był PRL.”<sup>753</sup>

Wskazuje tym samym na ogromną rolę, jaką należałoby pokładać w polskiej literaturze podróżniczej, gdy z jednej strony nadal dla wielu Polaków będzie tym oknem na świat, a z drugiej powinna powodować słuszną skądinąd zastanowienie, że Polak za granicą to także ambasador i przedstawiciel – w jakimś sensie stary emisariusz i poseł.

Idąc jednak dalej, innym znamienitym przykładem z trzeciej części ogólnoswiatowych publikacji może być w tym miejscu próba przywołania książki znanego poety, publicysty i eseisty Józefa Barana, który podróżując przez szereg lat, wydaje nie tak dawno swoje „Podróże z tej i nie z tej ziemi”. Spora garść przemyśleń osadzonych w podróżniczych realiach przeplata się gdzieś nawet z poezją – a tego dotychczas nie było. Autor zrećnie przywołuje obrazy z wędrówek po kontynentach, a jak przystało na poetę i „zawodowego myśliciela” krąży wokół zgrabnych metafor i plastycznych porównań.

„Zauważyłem, że gdy jestem w nowym kraju, poruszam się jak ślepiec. Początkowo nic nie wiem, niczego nie rozumiem, udaję większego idiotę niż jestem, pytam o wszystko, macam białą laską wokół siebie, uczę się nowych miejsc. W miarę upływu podróży zaczynam łączyć za sobą różne fakty, wydarzenia, rozmowy; próbuję dochodzić do uogólnień. Mieszkalem kiedyś parę dni z ociemniałym, który rozpytywał o każdy szczegół: kto obok niego stoi, jak jest ubrany, jakie meble są w pokoju, w którym miejscu stoi jego łóżko? Było to denerwujące, ale on w ten sposób oswajał przestrzeń, budował wokół siebie świat. Ja też pewnie z początku podróży bywam denerwujący, gdy o wszystko pytam, wciąż coś zapisuję i nigdy nie wiem, czy to moje zapisywanie ma w ogóle jakikolwiek sens, bo mieszmam rzeczy nieistotne z istotnymi, ważne z nieważnymi, zaplątując się w tak uplecioną sieć zależności, usiłując stworzyć w sobie jakby od początku, jakby od zera Brazylię.”<sup>754</sup>

Odwiedza Ameryki, Antypody, Azję i skrawek Afryki z marokańskimi plażami. Można powiedzieć, że widzi świat innymi oczyma niż popularny podróżnik. Dla Barana odwiedzana rzeczywistość nie jest tylko niemą codziennością, widokiem zza okna autobusu czy samochodu – Baran snuje daleko idące dywagacje. Droga jest przyczynkiem do przemyśleń, zarodkiem zadumy i nie można nie odnieść wrażenia, że czerpie z niej pełnymi garściami. Podróż jako pisarskie narzędzie, coś w rodzaju: nie masz tematu? brak ci natchnienia? – jedź w podróż. Sam zastanawia się nad fenomenem podróży, gdy *Dziś podróże*

---

<sup>753</sup> E. Dzikowska, *Tam, gdzie byłam*, Pelplin 2013, str. 76.

<sup>754</sup> J. Baran, *Podróże z tej i nie z tej ziemi*, Poznań 2010, str. 254.

są jak włamanie w inny czas i inną przestrzeń. Od razu, za jednym zamachem. Bez gry wstępnej, bez długich dyliżansowych przygotowań, jak to drzewiej bywało. Niepokojąco łatwo i szybko możemy zamienić sobie pory roku, kraje na kraje, twarze na twarze. Samolot jest Kubą Rozpruwaczem niebotycznych odległości i wysokości. Nie patyczkuje się z granicami, kulturami, religiami. Gwałci przestrzeń.<sup>755</sup> W cieniu takiego przemyslenia niknie podróżnicza proza i zastępuje ją wędrowna poezja. Ogląd świata, widziany oczyma poety, nie stanowi zerojedynkowego monolitu i trudno w przywołanej publikacji znaleźć mnogość wyświechtanych – nad wyraz i w nadmiarze u innych autorów – czasowników w rodzaju: byłem, widziałem, wszedłem, spałem, zjadłem, zobaczyłem, jechałem, robiłem, znów byłem, i byłem, i byłem. Proza Barana przypomina misterną pracę szewca, a autor najlepiej wyraża siebie w poezji przywołanej tytułem „Żyję, podróżuję...”

„przepływają przeze mnie niucywilizowane  
szczyty zaśnieżonej Grenlandii  
nagie zziębnięte stawki w dolinach  
falujące wzgórza Idaho  
wielkie równiny przepastne kaniony  
przeffruwają przelotne twarze podróżnych  
nieba wysokie rzeki głębokie  
tłumy aut w las Vegas stada bizonów w Yellowstone  
przemijają obłoki widoczne w okienku samolotu  
i ja przepływam przeffruwam przemijam  
przez to wszystko jak cień chmury  
przez policzek nasłonecznionego wzgórza  
niczym cień samolotu ujrzany z samolotu  
w wieczornej poświacie księżycy  
jak odbija się przez chwilę w ciemnej zatoce Pacyfiku”<sup>756</sup>

Niekonwencjonalny sposób redakcji tej podróżniczej publikacji, choć zrazu nie wydaje się dziennikiem, takim dziennikiem jest. Zapiski układają się w przemyślaną kompozycję, tak jak i wszystkie kroki autora na wędrownej mapie. Dziś na księgarskich półkach trudno wyśledzić podobne dzieło, a i to, autora, już wyczerpało nakład. Jeśli gdzieś przyszloby szukać wzorców dla polskiego *travel literature*, to z pewnością byłyby nim książka nie tak dawnego laureata Nagrody Kościelskich. Autor nawet na międzynarodowym

---

<sup>755</sup> J. Baran, *Podróże z tej i nie z tej ziemi*, Poznań 2010, str. 195.

<sup>756</sup> Tamże, str. 152.

lotnisku, spóźniony na przesiadkowy lot, wije się w myślach: *...Naruszyliśmy naturalną równowagę między postem a karnawalem, wyrzeczeniem i przyjemnością. Współcześni nomadzi chcą kolekcjonować swoje przyjemności. Osiągają je samolotowo, a więc szybko i łatwo, przez co mniej cenią i płycej odczuwają.*<sup>757</sup> Otwarte autorskie pytania każą przystanąć i zastanowić się – w tym przypadku być może nie tyle nad podróżą jako podróżą, zjawisku samym w sobie, ale także nad poziomem i zawartością podróżniczej literatury, która będąc emanacją fachu, antycypuje jego stan: czy tego chcemy, czy też nie. W jakimś bowiem sensie każdy kraj ma taką literaturę podróżniczą, jakich ma podróżników. Krytyczne uwagi Barana są może jak wołanie na puszczy – trochę także kontrowersyjne poprzez swój konserwatyzm i ortodoksyjne w założeniu, że naruszenie czegoś, co kiedyś zostało ustalone i przyjęte jako norma postępowania, a dziś burzone i zastępowane, musi koniecznie zmierzać do zagłady i braku sensu. *Przyjemności przejadają się, więc muszą gonić za nowymi, coraz silniejszymi, wymyślniejszymi podnietami. Wciąż w drodze. Wciąż w poszukiwaniu. Wciąż w pogoni, w wędrówce. Gromady, watahy ludzi na dworcach, na lotniskach – przemieszczające się z miejsca na miejsce, z państwa do państwa, z kontynentu na kontynent. Cały świat w ruchu, w wirówce, w mikserze – skoro szczęście jest właśnie tam, gdzie nas nie ma.*<sup>758</sup> Czy tak jest w rzeczywistości?

„po mojej lewej dłoni  
w czerwonym turbanie  
drzemie jak odwrócony rogal księżycy  
głowa Hindusa

po prawej twarz Chinki  
świeci skośnymi promieniami  
w stratocumulusach

samolot z prędkością 1000 kilometrów na godzinę  
zawieszony nad pustynią  
na słowo honoru fizyki

na wszelki wypadek podpiąłem się słuchawkami  
do wzniosłej muzyki Jana Sebastiana  
bo wierzę

---

<sup>757</sup> J. Baran, *Podróże z tej i nie z tej ziemi*, Poznań 2010, str. 153.

<sup>758</sup> Tamże.

że to ona właśnie  
bardziej od wszystkich zasad termodynamiki  
unosí samolot na wysokościach”<sup>759</sup>

Być może najlepszą rekomendacją, oprócz oczywiście wyprzedanego nakładu (!), będzie dla twórczości Barana krótka notka zamieszczona piórem Ryszarda Kapuścińskiego, który w kilku słowach tak oto na okładce charakteryzuje „Podróże z tej i nie z tej ziemi”:  
*Językiem bogatym i jasnym pisze o tym, co przeżywa, co napotyka w swoich wędrówkach po kraju i świecie, o tym wszystkim, co go skłania do refleksji. W tym, co pisze, jest bardzo osobisty i jak na poetę przystało, liryczny. Ież z tych zapisków codzienności, tak własnych, autorskich, dowiadujemy się o nas samych, o rzeczywistości, w której żyjemy, o naszej planecie! Ta proza wciąga, zjednuje i podbija czytelnika swoją szczerością, rzetelnością i urodą.*<sup>760</sup>

Na swój sposób o podróżniczym rzemiośle opowiada także inny polski podróżnik – mniej poeta, a bardziej prozaik-reporter – Wojciech Giełżyński. On także, podobnie jak wspomniany Olgierd Budrewicz, konstruuje swoje „Inne światy, inne drogi” w oparciu o klucz tematyczny, gdy dany kraj przywołuje przy okazji namysłu nad jakimś światowym zagadnieniem.<sup>761</sup> *Ta książka w dużej części jest reedycją tamtej sprzed dwudziestu prawie lat. I oczywiście jej aktualizacją. Ogromnie dużo się przecież przez ostatnie dwie dekady zmieniło i to na ogół (z czym nie wszyscy się zgodzą!) na lepsze.*<sup>762</sup> Autor poświęca sporo uwagi światu zbudowanemu na antynomii, gdzie religia i regionalizacja wydaje się odgrywać zasadnicze znaczenie przy konstruowaniu zarówno paktów zgody, jak i niezgody. Publikacja Giełżyńskiego ma jednak charakter bardziej problemowy, w tym znaczeniu, że nie nazbyt dużo w niej podróżniczych wskazówek, a bardziej światowych bolączek. Autor,

---

<sup>759</sup> J. Baran, *Podróże z tej i nie z tej ziemi*, Poznań 2010, str. 99.

<sup>760</sup> R. Kapuściński. W: tamże.

<sup>761</sup> W zbliżonym tonie utrzymana także jest publikacja czworga autorów, którzy wydają książkę nie tyle podróżniczą, co raczej publicystyczną i faktograficzną, porównywaną w swoim charakterze bardziej do przewodnika i vademecum niż do opowieści z przeżyć na krańcach świata. Nie mniej jednak wolumin ten może być bardzo przydatny i potrzebny każdej podróżującej osobie, a już z pewnością warto do niego zaglądnąć przed planowaną wyprawą. Książka zawiera w sobie cenne informacje dotyczące światowych obyczajów, opowiada także o ludziach, którzy w niezwykle sposób zapisali się w historii globu. Porusza także skrupulatnie tematykę niecodziennych zjawisk przyrodniczych, takich jak tsunami czy kwaśne deszcze. Nie obcy autorom jest również świat zwierząt, a płazy, gady i ssaki wiernie ukazują w całej gamie ich naturalnej różnorodności. *O tym, że świat, w którym żyjemy, jest pełen cudów, nie trzeba chyba nikogo przekonywać. Mieszkańcy różnych kontynentów mogą zetknąć się z niezwykle zjawiskami przyrodniczymi, spotkać niesamowite zwierzęta. Podróżując, obserwujemy zaskakujące obyczaje ludzi żyjących w rozmaitych stronach świata. A wielu spośród mieszkańców naszego globu to nietuzinkowe, ciekawe osobowości – zaznaczają we wstępie autorzy. A. Lang, J. Lang, R. Ponaratt, R. Ratajszczak, *Świat. Najbardziej niesamowite fakty!*, Poznań 2000, str. 5.*

<sup>762</sup> W. Giełżyński, *Inne światy, inne drogi*, Bydgoszcz-Warszawa 2006, str. 10.



wykorzystując i swoje dziennikarskie wykształcenie, i oględne rozeznanie w poruszanej tematyce, wiedzie wiele przypuszczeń, które meandrując wokół globalnych kontynentów przybliżają czytelnikowi nie tyle adres danego hotelu na Bliskim Wschodzie, ile bardziej wskazują, dlaczego hotel ten należy obecnie do Araba, a nie Żyda, i co może się wydarzyć w najbliższej przyszłości zarówno z hotelem, jak i z ziemią, na której został posadowiony. *Świat głowi się, jak uzdrowić Trzeci Świat. Niezbyt wiele z tego wychodzi, bo diagnozy są sprzeczne, zalecane terapie nieskuteczne, aplikowane lekarstwa zaś bywają gorsze od choroby.*<sup>763</sup> Giełżyński kreśli swoją wizję świata w oparciu także o liczne analizy osób trzecich i w tym sensie jego publikacja bardzo często wypływa poza popularny brzeg innych, podobnych książek. Stanowi także swego rodzaju kwintesencję poglądów autora, summę przemyśleń, w której zestawienia politycznych i gospodarczych faktów nakładają się na siebie wespół z całą gamą podróżniczych przywołań.

W nieco odmiennym natomiast stylu swoją podróż przez świat opisuje Tomek Michniewicz, który przez świat podąża niecodziennym tropem poszukiwaczy skarbów. Nie byłoby w tym może nic dziwnego, gdyby jednak nie fakt, że takich i podobnych publikacji praktycznie nie ma, a polski rynek wydawniczy skąpi tytułów, w których baśń i złudzenie zastępuje twardą faktografię. Autor wydaje się tym nie zrażać i podąża przede wszystkim dwoma tropami: amerykańskim i afrykańskim. *Gdybym wiedział, jak to wszystko się skończy, wyjechałbym do Kirgistanu, a nie południowej Afryki. Tam siedziałbym sobie spokojnie w jurcie, pogryzał baranim flakiem i patrzył na ośnieżone szczyty. Celebrowałbym bez końca niezmacony niczym spokój i nie musiałbym na zmianę biegać i chować się po krzakach.*<sup>764</sup> Autor z rzeczonością i nieskrywaną pasją opisuje swoje przygody, gdy wraz z napotkanymi ludźmi poszukuje mitycznych zakopalisk i podąża śladami dawnych bogaczy. Odnajduje w ten sposób na mapach miejsca dawno już zapomniane, zarośnięte przez dziczą trawę lub zalane wodą. Błąka się po kontynentach, nie jednak z chronicznym zamiarem wędrówki, a raczej celowo i metodycznie. Snuje przy tym także szerokie spostrzeżenia o istocie podróżowania, gdy kolejne dni rzucają go w coraz to inne dziwaczne i niespotykane miejsca. *Nie wiem, może to Afryka. Może ten kontynent po prostu nie zna kompromisów i rzuca człowieka w wir wydarzeń, z którego później nie można się wyrwać. A może zwyczajnie każdy z nas, choćby tylko siedział w kapciach w fotelu, w głębi duszy pielęgnuje w sobie wielkiego podróżnika, którym mógłby być, gdyby niechcący nie został księgowym. I gdy postawi w końcu stopę na*

<sup>763</sup> W. Giełżyński, *Inne światy, inne drogi*, Bydgoszcz-Warszawa 2006, str. 266.

<sup>764</sup> T. Michniewicz, *Gorączka. W świecie poszukiwaczy skarbów*, Kraków 2011, str. 201.

ziemi swoich pobratymców, odkrywców i myśliwych, Livingstone'a i Stanleya, beczek prochu, korkowych kapeluszy i wielkich białych plam na mapie, ten przyuczony wewnętrzny podróżnik znieca puka od środka, bo czuje, że oto wreszcie czas odłożyć aktówkę i podnieść strzelbę.<sup>765</sup> Trafne skądinąd przemyślenia i refleksje stają się dla Michniewicza skarbem samym w sobie, i choć tak naprawdę poszukuje innego rodzaju bogactw, jego opowieść wiedzie czytelnika nie tylko po tajemnicach światowych łązików, ale także ukazuje różnorodność napotykanym zjawisk – i oczywiście nie odnajduje żadnego skarbu. *Granice między Zimbabwe i Zambią pokonaliśmy pieszo, przez co od razu znaleźliśmy się w kręgu podejrzanych czujnej zambijskiej służby ochrony pogranicza śpiącej smacznie w budce po przeciwnej stronie ogrodzenia.*<sup>766</sup> W świetle innych podróżniczych publikacji książka Michniewicza, w jakimś sensie popularnie łatwa i przyjemna, być może na pierwszy rzut oka niczym się nie wyróżnia, jednak po kilkunastu stronach lektury przedstawienie zaczyna wciągać i z opowieści o płochych bandach opryszków przeradza się w interesującą historię wędrownych tropień.

Na swój sposób świat widzi także globtroter i reporter Tomasz Cyrol, publikując nie tak dawno swój „Alfabet podróżnika”. Książka prezentuje w ujęciu alfabetycznym szereg hasłowych zagadnień, które autor symbolicznie zgłębia i przedstawia pismem na tle odbytych już po świecie eskapad – spis treści jest więc alfabetem. Np. litera „W” jak „Whisky z lodem”: *Bardzo lubię wódkę (oczywiście w rozsądnych granicach), wśród moich ulubionych jest między innymi wyborowa i od razu zaznaczę, że jej producent nie sponsoruje tego reportażu. Z tego, co wiem, nie jestem zresztą jedyną osobą, która docenia jakość tego trunku. Wiem także, że wyborowa cieszy się popularnością również poza granicami Polski*<sup>767</sup> – i dalej następuje opowieść o Mexico City, okraszona oczywiście wątkiem alkoholowym. W taki oto sposób, trochę z przymrużeniem oka i humorystycznie, Cyrol opowiada o przeróżnych zwyczajach, przywołuje ciekawostki oraz stara się oddać ducha swoich podróżniczych przygód. Píše o deszczowym Meksyku (D), o lotnictwie na Kubie (L) lub o sylwestrze w Nepalu (S): *Wieczorem wróciliśmy do Kathmandu, wzięliśmy prysznic w brązowej wodzie, bo choć nasz hotel miał cztery czy pięć gwiazdek, to woda w kranach miała specyficzny kolor i zapach, i szykujemy się do wigilii. Wpadliśmy na pomysł, aby ten specyficzny wieczór spędzić w klubie jazzowym, pijąc czerwone wino i jedząc amerykańskie steki, słuchając przy tym*

---

<sup>765</sup> T. Michniewicz, *Gorączka. W świecie poszukiwaczy skarbów*, Kraków 2011, str. 201.

<sup>766</sup> Tamże, str. 297.

<sup>767</sup> T. Cyrol, *Alfabet podróżnika*, Łomianki 2012, str. 140.

*dobrej muzyki, ale większość Europejczyków mieszkających w naszym hotelu wolala „święteczną” chińszczyznę i my na to przystaliśmy.*<sup>768</sup> Znajduje się także miejsce na zabawną historię o kradzionych arbusach (K) oraz wspomnienie intensywnych doznań w autobusie (I).

Szczególny alfabet publikuje także Szymon Hołownia, popularny dziennikarz, prezenter telewizyjny i celebryta. Jednak w jego wydaniu podróż dookoła świata sprowadza się do odwiedzenia miejsc intratnych z punktu widzenia misyjnego paradygmatu Kościoła rzymsko-katolickiego i takiej egzegezy dokonuje. *Odwiedził rodzinę na niemal wszystkich kontynentach*<sup>769</sup> – jak sam o sobie, wędrownym katoliku, pisze. I podróżuje – za swoje i wydawnictwa pieniądze.

„Napisałem tę książkę po to, by przeciętny polski katolik zamiast melancholijnie kontemplować bijące w nasz brzeg fale tsunami laicyzacji, zamiast spalać się w regularnych domowych awanturach o radio albo o Palikota, ruszył się wreszcie za swojego grajdołka na plaży. Przestał marudzić, że może trzeba poluzować nauczanie, zreformować doktrynę. Sól musi zostać słona, wystarczy mieć perspektywę.”<sup>770</sup>

Książkę Hołownia dzieli na godzinowe rozdziały i każdemu z krajów przydziela symboliczne sześćdziesiąt minut. Chce sam sprawdzić, jak wyglądają katolickie wspólnoty w dużej części globu. Penetruje. Wścibsko nie zamyka oczu. Czasem gnębi rozmówców. Dociera na Filipiny, na mikronezyjską wyspę Guam i do Australii. Stąpa po Hondurasie i Salwadorze, po Papui-Nowej Gwinei i po Hongkongu. Dociera do USA i Bhutanu. Ląduje w Zambii oraz puka do wielu katolickich drzwi w Europie. Wędrowne pisarstwo wiezie go także do Turkmenistanu, gdzie odwiedza wspomnianego już w niniejszej rozprawie oblata Andrzeja Madeja. *Nuncjatura apostolska w Aszhabadzie to wynajęty nie pierwszej młodości dom, zbudowany w sowieckiej erze zarządzania deficytem w myśl zasady, że będzie potrzebny balkon, to się go dobuduje, a jak jeszcze jeden pokój, to co za problem, może kiedyś zalatwi się cegły i się zrobi.*<sup>771</sup> Dzięki uprzejmości misjonarzy ogląda trochę gorącej Turkmenii, w której po blisko piętnastu latach posługi kapłani dochowali się raptem około dwustu wyznawców – a trzeba wiedzieć, że religijne agitowanie jest w tym kraju zabronione pod karą wydalenia poza granice królestwa turkmenbaszy-prezydenta-dyktatora.

---

<sup>768</sup> T. Cyrol, *Alfabet podróżnika*, Łomianki 2012, str. 118.

<sup>769</sup> Sz. Hołownia, *Last minute, 24h chrześcijaństwa na świecie*, Kraków 2012, str. 5.

<sup>770</sup> Tamże, str. 5.

<sup>771</sup> Tamże, str. 393.

Można byłoby powiedzieć, że gdyby Hołownia nie miał planu na książkę, nie pojechałby w tę podróż – w tym znaczeniu chęć publikacji rodzi wędrowkę, stanowi prymarne postanowienie, a potem dopiero jawi się przed podróżnikiem droga. Publicystyczna motywacja rozpędza ludzki szlak, a intencje są prowodyrem. Czy odbyłaby się podróż bez chęci i planu publikacji? Podróż jako narzędzie, a nie jako cel. Widać na tym przykładzie bardzo wyraźnie, jak na przestrzeni ostatniego czasu pozamieniały się role i pozycje, jak inaczej niż dawniej rozłożyły i rozkładają się nadal akcenty. I jeśli szukać w tej doktorskiej rozprawie rzeczy, na które warto zwrócić uwagę, to oprócz licznych klasyfikacji ta konstatacja wydaje się być kluczową. Akcenty i motywacje: dawniej podróżować by widzieć i czuć, dzisiaj by widzieć i czuć – podróżować.

W podobną co Hołownia podróż wybrał się trochę wcześniej od niego Eric Weiner – nad wyraz konieczny do przywołania w tym miejscu, bo choć to żyd i Amerykanin, to jednak jego wędrowka koresponduje z wędrowką polskiego katolika. Autor podróżuje po świecie poszukując odpowiedzi na nurtujące go religijne pytanie, zawarte niczym prasowe ogłoszenie w tytule jego książki: „Poznam sympatycznego Boga”. Jedzie w szeroki świat do wyznawców sufizmu, buddyzmu, raelianizmu, taoizmu czy szamanizmu. Spotyka chrześcijańskich franciszkanów, kabalistów i zgłębia wicę. Szuka swojego Boga i stara się zrozumieć różnice. Ląduje na niemal wszystkich kontynentach, a w końcu... na kolanach. [...] „*Czy odnalazłeś już swojego Boga?*”. *Te pięć słów wyгнаło mnie w podróż po świecie, daleko, daleko poza moje naturalne środowisko. Niestety, dopiero teraz pojąłem, że było to pytanie niewłaściwe. Bóg to nie zgubione kluczyki do samochodu ani zjazd z autostrady. Nie jest celem podróży. Jak mawiają muzułmanie, okazuje się równie blisko, co nasza tętnica szyjna. Z tej perspektywy wszystkie duchowe poszukiwania kończą się w punkcie wyjścia. Podróżujemy tylko po to, aby przekonać się, że nie trzeba było nigdzie jechać.*<sup>772</sup> Publikacja, choć traktująca o rzeczach poważnych i od wieków dla miliardów ludzi na świecie niebagatelnych, napisana jest z humorem i fantazją, w wnioski jakie wyciąga Weiner, zdają się celować w sedno: zarówno co do Boga (*Bóg jest dla religii tym, czym jedzenie dla menu*<sup>773</sup>), jak i co do podróży (*Z moich podróży wyniosłem jednak pewną lekcję: pozory czasem mylą*<sup>774</sup>).

---

<sup>772</sup> E. Weiner, *Poznam sympatycznego Boga*, Warszawa 2012, str. 337.

<sup>773</sup> Tamże, str. 332.

<sup>774</sup> Tamże.

Gdy Hołownia swoją książkę nośnie i modnie tytułuje „Last minute”, kolejna przytoczona tutaj publikacja mogłaby przekornie nosić tytuł „No Future” lub po prostu „The End”. Z badawczego bowiem punktu widzenia koniecznym jest także zwrócenie uwagi w tym miejscu na książkę zatytułowaną „W skórze reportera” autorstwa Ryszarda Czarneckiego, obecnie europośła i polityka, a dawniej dziennikarza i publicysty. Autor kreśli wspomnienia pobytu w kilkunastu krajach na różnych kontynentach, jednak czyni to w związku z licznymi podróżami z ramienia krajowego czy europejskiego parlamentu. Wchodząc w skład rozlicznych delegacji, komisji i międzynarodowych misji ma okazję docierać do interesujących i ciekawych miejsc, wielokrotnie już w tej publikacji omawianych. Jest to więc bliskowschodnia Palestyna, Izrael i Jordania. Azjatyckie Chiny, Indie i Kazachstan, czy też cała mnogość państw afrykańskich: Mauretania, Mali, Niger, Egipt, Ghana, Ruanda, Burundi czy też odległa RPA. Podróżuje także za pomocą dyplomatycznego paszportu po amerykańskim Los Angeles, po Peru i Brazylii. *Dziś rozpoczynam wizytę w Peru. Jestem tu pierwszy raz. W Ameryce Łacińskiej byłem wcześniej dwukrotnie, ale nigdy w Limie. Peru – to dla mnie dotąd „terra incognita”, w odróżnieniu od Argentyny, Paragwaju, Urugwaju i Gujany Francuskiej. Właśnie tutaj odbywa się posiedzenie EuroLatu, czyli Zgromadzenia Parlamentarnego UE-Ameryka Łacińska.*<sup>775</sup>

Jednak Czarnecki nie podróżuje – on, jak sam zaznacza, składa wizyty. Pisze więc jako polityk i z politycznego punktu widzenia. Jako wizytator, a nie jako podróżnik – zresztą sam tytuł książki wskazuje, że autor tylko na chwilę, sygmalnie, wciela się w postać reportera i tak naprawdę, to nie jest jego skóra. W politycznym świecie zachowania takie wydają się być symptomatyczne i nad wyraz częste, a w przypadku Czarneckiego po wielokroć częste (ZChN, WAK, „Ojczyzna”, AWS, Samoobrona, PiS). Wszystko to bardzo skomplikowane i wątpliwe etycznie, gdy Czarnecki podróżuje za pieniądze z podatków, w jakimś sensie (w pełnym sensie) na koszt podatnika, i w dodatku potem prywatnie<sup>776</sup> wydaje o tym wszystkim książkę, czerpiąc zyski ze sprzedanego nakładu. Zagadnienie to było już wielokrotnie omawiane na kartach niniejszej rozprawy, gdy dochodzi do swoistego konfliktu interesów, który z jednej strony podróży i publikacji nie zabrania, a gdy z drugiej stoi za tymi działaniami praca zawodowo-zarobkowa lub w tym wypadku jeszcze gorzej – bo czysto

---

<sup>775</sup> R. Czarnecki, *W skórze reportera*, Poznań 2011, str. 357.

<sup>776</sup> W publikacji nie znajduje się żadna wzmianka o współfinansowaniu niniejszej książki z unijnych lub polskich środków parlamentarnych oraz, jak się wydaje, publikacja nie jest wydana pod patronatem żadnej z międzynarodowych instytucji.

polityczna inicjatywa. Prawo z pewnością raczej takich aliansów nie zabrania, jednak pytanie o moralną stronę wskazanego przedsięwzięcia wydaje się być zasadne. Tym bardziej, gdy zauważy się w publikacji elementarny brak empatii i standardy myślenia wywodzące się żywcem z manier kolonialnych: *Niger jest mistrzem świata w organizacji. To dość delikatne, dyplomatyczne stwierdzenie. Grupa parlamentarzystów z czterech kontynentów, przybyłych na konferencję organizowaną przez World Bank, najpierw blisko godzinę czeka na lotnisku, a potem przez pół godziny w autobusie.*<sup>777</sup> Gdyby Czarnecki uczył się dyplomacji od wspomnianych już na kartach niniejszej rozprawy polskich ambasadorów (Bahr, Ryn, Nowicki – czy nawet piszący o Kaukazie dyplomata Górecki), wiedziałby, że czas w Afryce ma znaczenie co najmniej drugorzędne, pomijając cynizm, kpinę i ironię.

Na tym tle zgoła odmienną publikacją będzie książka popularnego polskiego polarnika, Marka Kamińskiego. I niewątpliwie opracowanie to stanowi swoiste pogranicze rozdziałów, bowiem autor i opowiada o swoich kilku światowych wyprawach, będąc jednak zarazem zdobywcą – podróżnikiem nastawionym na osiągnięcie jakiegoś geograficznego miejsca – a w tym sensie niczym nie różni się od postaci przywołanych w następnym, kończącym „Azymuty podróży”, podrozdziale. Barwnie i szczerze odpowiada więc na pytania: *W jaki sposób człowiek zostaje podróżnikiem? Jak to się ułożyło, że ja zostałem podróżnikiem?*<sup>778</sup> Wspomina wiele osobistych historii oraz wiedzie czytelnika przez Spitsbergen i Grenlandię<sup>779</sup>, przez Afrykę i australijską Pustynię Gibsona, aż na zdobycie obu biegunów. Nie jest to więc książka tylko o śniegu i mrozach, ale także o międzyludzkich relacjach zadzierzganych tu i ówdzie, o pracy w fundacjach i charytatywnych celach eskapad. Kamiński, prywatnie przedsiębiorca, łączy w sobie rolę sprawnego managera z podróżniczym przewodnikiem. Altruista i filantrop. Biorąc na zimowe bieguny nie w pełni sprawnego (choć zwrot ten jest co najmniej dyskusyjny) młodego wtedy jeszcze Jasia Melę, otwiera tym samym przestrzeń dla podobnych zachowań, czego w jakimś sensie kontynuacją będzie wspomniana w rozdziale „Podróżnik – tymczasowy uchodźca” wyprawa podopiecznych

---

<sup>777</sup> R. Czarnecki, *W skórze reportera*, Poznań 2011, str. 270.

<sup>778</sup> M. Kamiński, *Warto podążać za marzeniami*, Warszawa 2012, str. 7.

<sup>779</sup> Znamienitą publikacją o Grenlandii jest także książka „Córka polarnika. Zapiski z końca świata”, którą kilkanaście lat temu napisała Kari Herbert. Będąc córką Wally’ego Herberta, pierwszego w historii zdobywcy przejścia przez czubek świata, barwnie opisuje życie Eskimosów i zwyczaje panujące po dziś dzień na Grenlandii. Skądinąd Marek Kamiński poświęcił „Słowo wstępne”, by napisać m.in.: *Mało jest „polarnych” książek takich jak „Córka polarnika” – wnikliwie pokazujących nie tylko piękno, lecz także twardą rzeczywistość i problemy, które wydają się bezkresne niczym Grenlandia – największa na świecie wyspa. Mimo, że na Grenlandii byłem wielokrotnie i wiele lat spędziłem w polarnym świecie, ta książka pokazała mi życie Inughuitów w innym świetle, czasami z ciemniejszej strony, i niejedno powiedziała o miejscu, które wydaje się „pustką”.* M. Kamiński. W: K. Herbert, *Córka polarnika. Zapiski z końca świata*, Warszawa 2010, str. 3.

fundacji Anny Dymnej na Kilimandżaro, gdzie już Jan, nie Jaś, Mela pełni rolę przewodnika i opiekuna. Kamiński opowiada barwnie i szczerze. Ujmuje prostotą opisu codziennego podróźniczego rzemiosła, a zdobywając w niemożliwym mrozie antypody ludzkich możliwości, pokazuje na swoim przykładzie, jak należy walczyć i nie poddawać się drodze. Wyłuszcza, przywołując ekspedycję do Amazonii, proste prawdy: *Na tej wyprawie bliscy załamania czy nawet śmierci byli dwaj mężczyźni, jeden z nich był na co dzień sportowcem, biegał w maratonach – tak zwani twardzi faceci. Jeden z uczestników miał infekcję bakteryjną i gdyby nie lekarz w naszej grupie, człowiek ten mógłby nie przeżyć.*<sup>780</sup>

Tak jak już wspomniałem, publikacja Kamińskiego stanowi pogranicze dwóch narracji. Zamyka szeroki aspekt podróży około światowych, rozbity na potrzeby przejrzystego tutaj oglądu na trzy równe sobie części, i otwiera pisarskie przygody dotyczące akcydentalnych osiągnięć, gdzie wędrowna podróż przebiega po mapach mórz i oceanów, po szlakach górskich oraz w każdy inny sposób – nie koniecznie przypisany do kontynentalnego miejsca. Czy jednak tylko?

---

<sup>780</sup> M. Kamiński, *Warto podążać za marzeniami*, Warszawa 2012, str. 99.

## 7. Na świecie

**K**siążką więc z drugiej strony zarysowanego pogranicza, która może w bardzo charakterystyczny sposób otworzyć niniejszy podrozdział, będzie niedawna publikacja Andrzeja Muszyńskiego zatytułowana „Południe”. Nie jest o górach, oceanach i jeziorach. Nie przedstawia karkołomnej wspinaczki i walki człowieka na jednej ze sportowych aren, jednak gromadzi w sobie inny spektakularny stan. Traktuje o świecie jak o podzielonym torcie, którego jedna część świeci urodzinowymi świecami, błyszczy likierem i smakuje śmietaną ze świeżym biszkoitem, a druga opadła właśnie od suszy i zgnilizny, śmierdzi, kruszy się woskiem z wypalonych świec i czerstwieje w oczach – w dodatku tak zrosła się z częścią pulchną, że nie można jej ani odciąć, ani odrąbać, ani oddłubać.

Autor, podróżnik-literat, czasem reporter i dziennikarz, a czasem globtroter-zdobycza, wiedzie czytelnika po dawnej Linii Brandta, która przez lata zmieniła już swój wygląd i, jak się wydaje, od początku swojego wykreślenia, zawierała zbyt dużo nieścisłości i dyskusyjnych usytuowań. I podróżuje według południowego klucza, odwiedzając coś w Azji, coś w Afryce i jej afrykańskim Maghrebie, coś w Ameryce Południowej. Porusza temat, który przewija się bodaj przez wszystkie przytaczane publikacje, gdy jednak nie zawsze jest on podnoszony do rangi wspomnienia. Uważny podróżniczy czytelnik, biorąc na swój warsztat książkę za książką, między wierszami zauważy jednak podzielony na dwie części dzisiejszy świat. I o tym traktuje Muszyński – o podziale świata, gdy stare nomenklatury nie wytrzymują z Baumanowską płynną nowoczesnością – lub po prostu z czasami dezokracji. *I tyle, i to jest najważniejsze.*<sup>781</sup> Wędrując po zakamarkach cywilizacji odsłania złożoność i zawilóść terminologiczną, ale także pokazuje, jak przeplata się wczoraj z dziś, i jak jutro – choć niewiadome – grzęźnie w błocie i domysłów, ale i ustaleń możliwych. „Południe” w jakimś więc sensie dotyczy zdobycia góry i przepłynięcia morza, bo choć bliskie jest opowieści o świecie (tak po prostu, bez ładu i składu), to jednak niesie w sobie klucz do odczytania tej wędrówki – jest nietypową książką o typowym wydarzeniu. O podziale świata. Choć i realną ze względu na przemierzane przez autora tysiące kilometrów – on tam był i

---

<sup>781</sup> A. Muszyński, *Południe*, Wołowiec 2013, str. 202.



wszystko to widział. *To autobus. Jeszcze tajski, w drodze do Kambodży. Zapchany do ostateczności: w przejściu stoją dwa rzędy obróconych do siebie plecami pasażerów. Co trzeci, czwarty w buddyjskich pomarańczowych szatach. To mnisi. Nikt nie rozmawia. Wszyscy beznamiętnie spoglądają przez okna, ciągle mijamy starannie przystrzyżone murawy, po których biegają patyczkowaci chłopcy o miedzianej, lśniącej skórze, w getrach białych jak kokos. Oczy zamykają się same, zbiera się na copołudniową monsunową ulewę.*<sup>782</sup>

Gdy świat nie jest jednorodny, a w uszach pobrzmiwa jeszcze skądinąd trafne podróżniczo-literackie przywołanie Luisa Sepúlvedy – *Lecz ja nie chciałem słuchać. Chciałem przeżyć*<sup>783</sup> – można już na dobre, jak się wydaje, wkroczyć w tej części rozprawy w zamyśl nad wspomnianą powyżej tematyką, która ociera się o wniosek, że podróżniczych wyczynów nie oznacza żaden z południków i równoleżników. Tak bowiem, jak różnorodna jest sama podróż, tak mozaiką wspomnień będzie cały omawiany gatunek *travel literature*. Wielobarwny świat podróżniczych opowieści jest jak wydobyta z oceanicznego dna szkatułka pełna skarbów. Okładka jak wieko, a zamięłowanie do włóczęgi ważniejsze ponad wszystko.

Jednakże wśród tych wszystkich skarbów, jedna książka zasługuje na osobną niemal laudację. Dzieje się tak za sprawą podróży dookoła świata – ale nie człowieka, a psa. A ściślej rzecz ujmując: dwóch psów. Ta nieprawdopodobna wręcz historia spisana została ręką starego morskiego wilka, kapitana Jerzego Radomskiego, który na swoim „Czarnym Diamencie” przez 32 lata przemierzał światowe morza i oceany. Jednak nie sam: najpierw między burtami towarzyszył mu Burgas, a później Bosman. *Burgas z Bosmanem spędzili razem ponad dziewięć miesięcy. Staruszek Burgas już bardzo słabo widział i słyszał, a mimo to starał się być czujny. Łatwo było zauważyć, jak szybko Bosman się uczy od starszego kolegi. Kiedy ktoś zbliżał się do jachtu, Burgas inaczej witał swoich, a inaczej reagował na obcych. Jego szczekanie albo było radosne, albo bardziej donośne, groźne. Czasami szczyrzył zęby. Bosman starał się go cały czas naśladować. Ale robił to inaczej. Szczekał bardzo radośnie, no i zawsze machał przyjaźnie ogonkiem.*<sup>784</sup> Kapitan całą swoją książkę poświęca obu psom: jak podróżowały, jak rosły, jak razem z nim wiernie znosiły trudy marynarskiego fachu. Nawet okładowy tytuł publikacji – „Burgas i Bosman, psy z Czarnego Diamentu” – stanowi hołd dla czworonożnych przyjaciół. Książka jest więc o dwóch wiernych

---

<sup>782</sup> A. Muszyński, *Południe*, Wołowiec 2013, str. 43.

<sup>783</sup> L. Sepúlveda, *Podróż do świata na końcu świata*, Warszawa 2003, str. 17.

<sup>784</sup> J. Radomski, *Burgas i Bosman*, Jastrzębie-Zdrój – Gdańsk 2012, str. 7.

towarzyszach doli i niedoli, gdzie życie autora stanowi tylko tło, choć podróżniczy bakcyl ciągnął go w morze już od dziecka. *Miałem 14 lat, gdy postanowiłem zobaczyć morze. Mieszkałem wówczas w Działdowie, którędy przejeżdżał pociąg z Warszawy do Gdyni. Gdy tylko zaczęły się wakacje, zabrałem się za zbieranie złomu, butelek i makulatury, żeby uskładać pieniądze na bilet. Wyprawa miała być moją tajemnicą.*<sup>785</sup> I w ekspresowym tempie wszystko poszło tak jak miało pójść, a kapitan wyruszył w swój długi rejs. Można tylko przypuszczać, że z tak długiej żeglownej wędrówki mogłaby powstać nie jedna podróżnicza książka. Jednak ta ujmuje i przekazuje prawdę inną niż pozostałe – i nie ma podobnej. Kapitan pisze o swoich załogantach i to ich życie jest na pierwszym planie. Bardzo łatwo można sobie wyobrazić animowaną lub fabularyzowaną ekranizację takiej przygody, nie tylko dla najmłodszych widzów. Historie obu psów wpisują się w opowieść o światowej podróży i ze świecą szukać dwóch podobnych, czworonożnych globtroterów. Dorota Sumińska anegdotycznie pisze o tym zjawisku na okładce książki: *Wiele lat temu zapytałam moją, dziś już nieżyjącą, mamę, jakim zwierzęciem chciałaby być. Chwilę myślała. Oczekiwałam odpowiedzi: orłem, delfinem... Usłyszałam: twoim psem. Ja natomiast mogłabym zostać psem kapitana Jerzego Radomskiego.*<sup>786</sup> Kapitan na Czarnym Diamencie odbył w latach 1978-2010 najdłuższy rejs w historii polskiego żeglarstwa, przepływając blisko 250 tysięcy mil morskich i odwiedzając 82 państwa. Psie i kapitańskie nogi zeszły w blisko pięciuset portach na stały ląd, a towarzyszyły podróży, na swój psi sposób tworząc ją, jako owe dwa filary: Burgas pochodzący z Bułgarii (1978-1991) i Bosman aż z Południowej Afryki (1990-2009). Drugiej takiej na wskroś podróżniczej książki nie ma i pewnie długo nie powstanie, a sam kapitan, mieszkający obecnie w Jastrzębiu Zdroju, wspomina różnicę światów: *Kiedy opadły pierwsze emocje, zaczęłam uważnie rozglądać się dookoła. Uświadomiłem sobie, że kiedy w 1978 roku wypływałem w rejs, w tym basenie portowym stały radzieckie okręty wojenne. Nie miał prawa wpłynąć tutaj żaden polski jacht. A jednak minęły lata i marzenia polskich żeglarzy się spełniły – wojenne okręty zastąpiły jachty.*<sup>787</sup> Sentymalna opowieść kapitana Radomskiego zwraca w tym miejscu uwagę jeszcze na jeden podróżniczy aspekt, a mianowicie na wędrówkę do różnych krajów w towarzystwie swoich zwierzęcych przyjaciół. Niestety żadna z przywołanych w przekroju całej rozprawy publikacja nie porusza tego zagadnienia w sposób choć w części wyczerpujący i miarodajny. W żadnym także ze wspomnianych podróżniczych poradników nie ma ani słowa o tym, jak podróżować z psem lub kotem. Jest o

<sup>785</sup> J. Radomski, *Burgas i Bosman*, Jastrzębie-Zdrój – Gdańsk 2012, str. 9.

<sup>786</sup> D. Sumińska. W: J. Radomski, *Burgas i Bosman*, Jastrzębie-Zdrój – Gdańsk 2012.

<sup>787</sup> J. Radomski, *Burgas i Bosman*, Jastrzębie-Zdrój – Gdańsk 2012, str. 140.

dzieciach, nartach, rowerach, pontonach, o transporcie motorów i samochodów, o lotniach i paralotniach – jednak ani słowa o zwierzętach. Z tego punktu widzenia podróżowanie z Burgasem i Bosmanem – choć na statku, a nie przez ziemskie i lądowe granice – stanowi naprawdę oryginalne i unikatowe ujęcie, a autor opowieści zabiera czytelnika w niecodzienny świat, pisząc na przykład o tym, jak po krótkiej, półrocznej przerwie Burgas powrócił znów na pokład: *Na początku szliśmy razem: krok w krok. Gdy już widać było nabrzeże, pies zaczął biec w kierunku jachtu. Wskoczył na pokład, podbiegł pod maszt, obsikał go. Potem wpadł do mesy, kambuza i zaczął obwąchiwać wszystkie kąty, po kolei, kabina po kabini. Kiedy minęły pierwsze emocje, wyskoczył na pokład i jeszcze raz zrobił dokładny przegląd. Na koniec położył się na swoim ulubionym miejscu, w kokpicie. Wyglądał, jakby chciał powiedzieć: – Nareszcie jesteśmy razem, na starych śmieciach.*<sup>788</sup>

Innym dobrym i klarownym przykładem wydarzenia rozgrywającego się gdzieś na światowych krańcach będzie za to niebanalna, już ludzka przygoda – rejs Moniki Witkowskiej, którego celem było opłynięcie mitycznego Przylądka Horn. To bodaj jedno z najtrudniejszych, jeśli nie najtrudniejsze miejsce na mapie żeglarskiego świata. A Witkowska, znana z licznych wędrówek po kuli ziemskiej<sup>789</sup>, nie mogła sobie odmówić takiego wyzwania. *Przełądam książki marynistyczne, w których są opisy przejść wokół Hornu, południowego krańca Ameryki Południowej, który nie bez powodu został nazwany najgroźniejszym z przylądków. Ze wszystkich opowieści wieje taką grozą, że aż się dziwię, że te niesamowite sztormy nie śnią mi się po nocach. Nie dodają mi też otuchy znajomi, którzy, słysząc o moich planach, rzucają teksty w rodzaju: „To co, żegnasz się już z życiem?”*<sup>790</sup> Morska opowieść, zredagowana w formie pokładowego dziennika, wiedzie czytelniczą wyobraźnię na same więc kontynentalne antypody i pokazuje, jak tworzy się i przygoda, i historia. W krótkim

---

<sup>788</sup> J. Radomski, *Burgas i Bosman*, Jastrzębie-Zdrój – Gdańsk 2012, str. 94.

<sup>789</sup> Autorka, przywołana już w niniejszej dysertacji publikacją „Z plecakiem przez świat”, znana jest w Polsce z licznych podróży i eksploratorskich dokonań, a sama wspomina o sobie: *Większość życia spędzam w podróżach. Część z nich wiąże z moją pracą – dziennikarki piszącej o... podróżach, jak również pilota wycieczek i wypraw, głównie do Ameryki Południowej, Azji i Afryki. Nie da się jednak ukryć, że moje ulubione wyjazdy to te prywatne, na własną rękę, stąd też wiele osób kojarzy mnie jako globtroterkę jeżdżącą po świecie przeważnie w pojedynkę (w ten sposób więcej się zauważa), często autostopem, bez zaklepanych z góry noclegów, na zasadzie podróży „gdzie oczy poniosą”. Z ponad 150 odwiedzonych krajów na wszystkich kontynentach, moje ulubione to państwa arabskie (Algieria, Oman, Jemen), czyli rejony bardziej pustynne niż związane z wodą! Obok nich w czołówce są: Nepal, Tybet czy Bhutan, czyli również rejony zupełnie niemorskie, raczej górskie.* M. Witkowska, *Kurs Czukotka*, Warszawa 2013, str. 15. Publikacją o podobnym charakterze będzie również jej „Kurs Arktyka” – książka, w której autorka barwnie opisuje zarówno meandry swojego załogowego rejsu przez tzw. Przejście Północno-Zachodnie, jak również przybliży czytelnikowi charakterystykę spękanej lodem Arktyki. Por. M. Witkowska, *Kurs Arktyka*, Warszawa 2011.

<sup>790</sup> M. Witkowska, *Kurs na Horn*, Warszawa 2009, str. 8.

także rysie historycznym przeczytać można, że w całej rozciągłości marynarskich dokonań tylko dziewiętnastu jednostkom (do roku 2003) pod polską banderą udało się przez Cieśninę Dreke'a przedostać na drugą stronę, a pierwszym żaglowcem był w 1937 roku Dar Pomorza. Witkowska opowiada więc piękną historię i staje na wysokości zadania. *Dziś rano przecięliśmy południk Hornu!!! Wprawdzie przy śniadaniu Kolon powiedział: – Myślałem, że coś się po Hornie zmieni, a tu nic! – ale chyba tak naprawdę zmieniło się wiele. Przede wszystkim spełniły się nasze marzenia: żeglarski Everest został... No właśnie – w wypadku Hornu nie chcę używać słowa „zdobyty”. Nie „zdobyliśmy” Go, nie „pokonaliśmy”, tylko skorzystaliśmy z łaskawej szansy, którą on nam dał.*<sup>791</sup> A potem z lubością cytuje z dziennika jachtowego: *Opłynięcie przylądka Horn w odległości 217 Mm na południe od niego.*<sup>792</sup> Trudno na co dzień takie wyczyny kopiować i zasadniczo podróżniczy czytelnik musi pogodzić się ze świadomością, że nie będzie mu dane zobaczyć za burtą Ziemi Ognistej. Zawsze jednak może ten skrawek lądu na cyplu Ameryki Łacińskiej spenetrować drogą lądową przez Argentynę i Chile. Natomiast Witkowska celnie opowiada o samej podróży i wiele z jej zapisów można z powodzeniem transponować na lądową rzeczywistość. *Dzisiaj niedziela. Z tej okazji zamierzam się umyć. Dzięki temu, że Krzys kucharz z Arctowskiego trochę mnie podstrzygł, moje rzadko w tych warunkach czesane, no i jeszcze rzadziej myte włosy wyglądają ciut lepiej. Ale z higieną ogólnie coraz gorzej. Nie tyle chodzi już o oszczędzanie wody słodkiej, ile o okropne zimno, które zniechęca do wszelkich zabiegów ablacyjnych.*<sup>793</sup> I na samym początku swojej książki zwraca także uwagę na niebagatelny fakt konieczności zorganizowania sobie spraw, które po wyruszeniu na długą oceaniczną eskapadę nie mogą w polskiej codzienności leć w gruzach. *Nielatwo komuś zapracowanemu wyrwać się na dwa miesiące na drugi koniec świata. Szukam kogoś na zastępstwo w pracy, awansem przygotowuję mnóstwo rzeczy, załatwiam miliony spraw.*<sup>794</sup> Piękna opowieść kończy się szczęśliwie, a Witkowska za niedługo rusza w kolejną podróż.

„Przyzwyczaiałam się do pytań, co mnie ciągnie do Arktyki. Ja, która nie znoszę zimna i narzekam na wiecznie marznące palce u rąk i stóp, najlepsze pogodowo miesiące w naszym kraju zamieniam na podbiegunowe mgły, chłody i jesienno-zimową aurę sprzyjającą zarówno reumatyzmowi, jak i depresji. Tyle miesięcy czekam na ulubione owoce: truskawki, czereśnie i pomidory, po czym, kiedy przychodzi na nie sezon, przenoszę się w zakątek świata, gdzie można o nich tylko pomarzyć, a jeśli nawet w jakimś sklepie się

---

<sup>791</sup> M. Witkowska, *Kurs na Horn*, Warszawa 2009, str. 95.

<sup>792</sup> Tamże.

<sup>793</sup> Tamże, str. 136.

<sup>794</sup> Tamże, str. 8.

pojawia, to po cenach takich, że skutecznie się ich odechciewa. Nawet koleżanki patrzą na mnie pełnym politowania wzrokiem, bo chyba coś nie tak, skoro zamiast opalania się na plaży i chodzenia w zwiewnych sukienkach (co bardzo lubię), całe dni spędzam zakutana w polary i w mało seksowny sztormiak.<sup>795</sup>

Zresztą podróży u Witkowskiej nie jak na lekarstwo. W kolejnej przywołanej publikacji wyrusza z kolegą w trzymiesięczny północny rejs „Anną” i opowiada o morskiej przygodzie – *Niniejsza książka to nic innego jak prowadzony w czasie rejsu blog uzupełniony o arktyczne ciekawostki.*<sup>796</sup> I płyną wspólnie przez cztery arktyczne morza: Beauforta, Czukockie, Wschodniosyberyjskie i Beringa. Dziesiątki przygód i setki ciekawych historii. Fotograficzna relacja z rzadko odwiedzanych miejsc. Nawigują, żeglują, zwiedzają. Witkowska nie pisze tylko o morzach, ale także przedstawia szereg opowieści o ludziach, którym przychodzi żyć na tych krańcach świata. Są więc Czukczowie, Eskimosi-Inuici, Rosjanie, Amerykanie i Kanadyjczycy. Przywołuje legendy ludów Arktyki i opowiada o zadzierzgniętych morskich przyjaźniach – potem już prawie w każdym porcie ma znajomych. *Przy okazji herbaty pogadaliśmy jeszcze o tutejszym życiu. Trudno uwierzyć, że ci ludzie, którzy żyją i pracują tu w tak trudnych warunkach, sami śmiejąc się, że są jak na zesłaniu lub w więzieniu, zarabiają raptem 300 dolarów miesięcznie!*<sup>797</sup> Żwawo także relacjonuje pobyty na licznych wyspach: *W ramach ochrony przed niedźwiedziami dostaliśmy nakaz chodzenia z raketami i gazem pieprzowym, który nam sprezentowano, oraz obowiązkowo – z kijami. Strzelby mamy nie zabierać, bo niedźwiedzi zabijać nie można, a kije podobno wystarczą.*<sup>798</sup> Nic, tylko podróżować! Jak również przystało na podróżniczą publikację rodem z pokładu jachtu, po jej lekturze każdy czytelnik będzie już wiedział, co to takiego bezan, fok, sztag czy log – a pojęcia pompy zębowej, sztauowania i otaklowania nabiorą w końcu właściwego znaczenia.

Witkowska jest dzielna. Lubi to, co robi, a pasja przelewa się przez karty jej wspomnień jak rozbryzgane fale po okrętach, na których pływa. Opowiada z werwą i nieszablonowo. I dodaje w zakończeniu: *Ja po dwóch sezonach arktycznych rejsów postanowiłam zrobić chwilową przerwę w żeglowaniu (ale tylko jednosezonową) i wróciłam do wysokogórskiego wspinania, co oznacza próbę zdobycia jednego z himalajskich*

---

<sup>795</sup> M. Witkowska, *Kurs Czukotka*, Warszawa 2013, str. 9.

<sup>796</sup> Tamże, str. 11.

<sup>797</sup> Tamże, str. 165.

<sup>798</sup> Tamże, str. 158.

ośmiotysięczników. *Jak widać – nie lubiąc zimna, znowu wracam w zimne rejony.*<sup>799</sup> Za tę wyprawę polsko-szwedzka para podróżników dostaje później nagrodę na Festiwalu Mediatravel, cenne wyróżnienie w kategorii „Żeglarstwo” w konkursie „Kolosów” oraz nominację w kategorii „Wyprawa Roku” w plebiscycie „Travelerów” wydawnictwa National Geographic. Można przypuszczać, że kolejne podróżnicze książki już się piszą, a jeśli nawet nie są jeszcze napisane, to z pewnością dzieje się w życiu Witkowskiej coś, co w późniejszym okresie tak i tak publikacją się urodzi.

Morza i oceany znają wielu śmiazków, a literatura podróżnicza obfituje w relacje morskich wilków. Jednym z nich jest także Tomasz Cichocki, który obrał sobie za cel samotne opłynięcie kuli ziemskiej<sup>800</sup>. I tnie opowieścią jak burtą fale: *Ploter nie działa, radar nie działa, radio nie działa, autopilot nie działa, GPS nie działa, telefon satelitarny nie działa, silnik nie działa, generator nie działa. Na dobrą sprawę z całego wyposażenia jachtu już tylko ja jako tako działam.*<sup>801</sup> Autor opisuje więc uroki samotnego żeglowania i trudno go naśladować, bowiem *Samotny rejs pod żaglami dookoła świata to znacznie bardziej elitarne doświadczenie. Szczególnie wtedy, gdy mówimy o rejsie bez zawijania do portów i dookoła trzech wielkich przylądków: Dobrej Nadziei, Leeuwin i Hornu – Parnasu żeglarzy.*<sup>802</sup> Żegluje przez świat z przygodami, walcząc z gigantyczną, jak na jego łupinę falą. Pisze swoje wrażenia przystępnym żeglarskim językiem, to nawiązując do Seneki, to łącząc podróżnicze fakty ze światem literatury czy historii. *Zwariował ten Hemingway i tyle.*<sup>803</sup> Płyń, płyń i płyń. Z Europy do RPA, potem zalicza wywrotkę jachtu, i dalej dołem, pod Australią, aż pod Horn i prosto, prosto na północ – do domu. A pytania o sens dźwięczą w uszach.

„Bo po cóż by innego? Wystarczyło jedno spojrzenie na globus, by zrozumieć, że samotny rejs dookoła świata rozumiany wyłącznie jako podróż nie ma sensu – wraca się przecież w to samo miejsce, z którego się wyruszyło. Ma sens jedynie wtedy, gdy stanie się podróżą w

---

<sup>799</sup> M. Witkowska, *Kurs Czukotka*, Warszawa 2013, str. 371.

<sup>800</sup> Dwa razy w swoim żeglarskim życiu dokonał tego Krzysztof Baranowski, znany i niezmiernie popularny w Polsce, a i na świecie, kapitan, dla którego morze od lat jest drugim domem. Twórca koncepcji „Szkoły pod żaglami” oraz zagorzały swego czasu animator budowy dwóch szkoleniowych żaglowców: Pogorii i Fryderyka Chopina. Od dziesiątek lat dzieli się swoją pasją i doświadczeniem na łamach licznych gazet i czasopism, a łączny nakład jego książek i podręczników przekroczył już milion egzemplarzy. Warto w tym miejscu przywołać więc choć ostatnią wydaną publikację, będącą wspomnieniem sławetnych Transatlantyckich Regat Samotnych Żeglarzy, gdy po raz pierwszy w historii wystartował ktoś zza żelaznej kurtyny. Książka, wydana nakładem „Biblioteki Szkoły pod Żaglami” jest więc rzetelnym i chronologicznym opisem zmagania się kapitana Baranowskiego na „Polonezie” przez Atlantyk – aż po samo amerykańskie wybrzeże. Por. K. Baranowski, *Wyścig do Newport*, Warszawa 2013.

<sup>801</sup> T. Cichocki, *Zew oceanu*, Warszawa 2013, str. 9.

<sup>802</sup> Tamże, str. 17.

<sup>803</sup> Tamże, str. 127.

głąb własnej duszy. Przez ponad 10 miesięcy przyglądałem się sobie w bezlitosnym lustrze oceanu, by dowiedzieć się, kim naprawdę jestem. I gdy zgodnie z radą Seneki, którego pisma towarzyszyły mi w drodze, odrzuciłem wszystko, co powierzchowne i nieważne – zrozumiałem, że tym, co trzyma mnie przy życiu i daje siłę do przezwyciężenia wszelkich przeszkód, jest miłość.”<sup>804</sup>

„Zew oceanu” to książka o przygodzie. Niemal jak książki o wchodzeniu na najwyższe szczyty lub inne, gdzie wyczyn jest kanwą. Sportowe, lotnicze i inne żeglarskie. Cichocki wspina się wysoko i ze szczytu nie spada, choć jego maszt ma tylko szesnaście metrów – *parter plus cztery piętra*.<sup>805</sup> A kim jest? *Nazywam się Cichocki. Tomasz Cichocki. Kapitan Cichocki. Dla przyjaciół Cichy. Jestem anonimowym adrenalinoholikiem. Ściągałem się w rajdach samochodowych. Latałem na paralotni. Ba, był czas, że chadzałem na piwo do tawerny Zęza w Sztynorcie. A teraz opłynąłem świat dookoła. Sam. Na seryjnym jachcie – takim, jaki możesz sobie jutro zamówić w stoczni Delphia, by popływać po Mazurach lub Bałtyku, jeśliś ambitniejszy.*<sup>806</sup>

*Podróże na statkach zawsze są chwiejne. Fale biją w burty, a czeluść wody przeraża. Rejsy krótkie i długie – ale zawsze podróżnicze. Statek na Maltę płynął tak wolno, że wyprzedzała nas każda najmniejsza ryba, a miejscami myślałem, że płyniemy po prostu do tyłu. Jednak nocą, gdy przyszedł lekki sztorm, turlałem się od ściany do ściany jak kręgiel zbity czarną kulą. Potem lajba zepsuła się w La Valletcie i trzeba było czekać dodatkowy tydzień na powrotne zaokrętowanie. Wielokrotne promy z Calais do Dover nie robiły takich niespodzianek. Podobnie z Niemiec do Danii, czy z Estonii do Finlandii – wszystko jak w szwajcarskim zegarku. Można iść na zakupy, potańczyć, zasmakować w kuchni regionalnej. Kajuty, toalety, alkohole. prostytutki. Punktualne rejsy na Wyspach Kanaryjskich wożą co rusz ludzi do pracy, a na pokład wsiada się jak do tramwaju. Miesięczne bilety i elektroniczne kasowniki. Przemysł transportowy. Całkiem inaczej było z Egiptu do Jordanii – i z powrotem. Ścisk. Harmider. Jazgot. Ludzie, kozy i kury. Pieczenie placków, sadzenie jaj, mocne herbaty. Gotowane mleko i dwa wielbłądy z targu na targ. Gdy wracałem, mieliśmy płynąć nieco ponad dwie godziny, a dryfowaliśmy po Zatoce Akaba ponad czterdzieści. Armator nie uregulował płatności portowych i trwała przepychanka, a prądy spychały co chwilę w wietrzne Morze Czerwone. Czteryście Arabów jako zakładnicy. Na brzegu, niemal całe dwie doby, czekały rodziny z transportem – około czterysta rodzin. Mieli roznieść statek na strzępy. Kapitan przeproszał i dął parę w gwizdek. Na Morzu Japońskim wszystko wyglądało inaczej. Wyjście z Władywostoku przy orkiestrze – ale trzy dni formalności przed zaokrętowaniem. W Korei za to bez orkiestry,*

<sup>804</sup> T. Cichocki, *Zew oceanu*, Warszawa 2013, str. 14.

<sup>805</sup> Tamże, str. 10.

<sup>806</sup> Tamże, str. 17.

*ale pół godziny formalności – i niebotycznie, dziesięciokrotnie taniej. Statek płynął raz na tydzień i wiozł wszystkich: kupców, turystów, handlarzy samochodów, cyrkowców z lwami i niedźwiedziami, pozrozłączane rodziny. Potem, do Japonii, wsiałem na szybki poduszkowiec – dwie godziny skakania po falach. Odległy ląd pachniał krabami i wiśnią. Zabrali mi gaz do turystycznej kuchenki w obawie przed wybuchem, a nawet starcom zabierali laski – w obawie do dziś nie wiem przed czym. Ale przy powrocie z Fukuoki wszystko oddawali. Gdy płynie się z Krymu do Rosji, trzeba najpierw swoje w sznurku odstać na wielkim placu. Kilka godzin. A potem niekończące się odprawy – jak za cara. Czarny dym walił z komina, jakbyśmy byli piracką karawelą na dziką ropę z kontrabandy. Ale najgorzej było z Azerbejdżanu do Turkmenii. Doba przez Morze Kaspijskie w niemilosiernym lipcowym skwarze. Gorąca stal parzyła z każdej strony. Koła ratunkowe z żelaza – jak w piekle. Nocą uspać można było tylko na górnym, odkrytym pokładzie – pod gwiżdżącymi z nudów mewami. Stamtąd pamiętam tylko żar i lapówki za wszystko. Zostawiłem kucharce nożyk do obierania ziemniaków, ale też chciała wszystko. Tam najgorsza była jeszcze niepewność: wpuszczą w Turkmenistan, czy nie? Wpuścili na pięć dni, a tuż za portem złupili mandatem. Statki są cierpliwe jak walec drogowy – robią swoje. Toczą się po morzach, zatokach, oceanach i jeziorach. Znajomy kapitan mawia, że swoim transatlantykiem potrzebuje trzydziestu kilometrów, by nawrócić. Raz ktoś mu wypadł i już był znany koniec, jeszcze przed zakończeniem.*

Starożytny Horacy zwykł mawiać, że jadąc za morze zmieniamy klimat – ale nie siebie. Dwa tysiące lat później wtóruje mu indyjski pisarz Tagore zauważając, że nie można przepłynąć morza, stojąc tylko na brzegu i wpatrując się w wodę. Tym też będzie podróż, a podróżniczej książki nie można napisać stojąc całe życie w suchych dokach i na kei. Podobnie rzecz ma się z górami. Będąc areną ludzkich zmagania i rywalizacji od wieków nie dają o sobie zapomnieć, stanowiąc pole do licznych wędrówek i rekordowych pobić. Ale są także groźnym końcem wszystkiego.

Wybraną opowieścią o tym wszystkim będzie więc kolejna publikacja Olgi Morawskiej, wspomnianej już autorki książki „Od początku do końca”, na łamach której jej miłość do męża przeplata się z tragicznym wydarzeniem śmierci współmałżonka w górskich otchłaniach. Tym jednak razem, po kilku latach od tego smutnego doświadczenia (a może od wypadku, bo doświadczenie wszak trwa nadal...), pani Olga kieruje swoje myśli ku chęci wydania albumu z genialnymi fotografiami męża, dla którego góry – oprócz pasji wspinania i zdobywania – były także ciekawym i nad wyraz wdzięcznym polem dla swojej fotograficznej pasji. Zdając sobie jednak sprawę z dzisiejszej mnogości górskich wypraw i setek tysięcy



zdjęć, przeglądając na księgarskich półkach kilkanaście podobnych do siebie, tematycznych albumów, wiedziała, że musi znaleźć inną formę publikacji i w jakiś zgoła odmienny sposób pokazać fotograficzne oko męża. Po jakimś czasie sprawę do przodu posunęło spotkanie z koleżanką, gdy wyklarował się pomysł przeplatania barwnych, śnieżnych fotografii z opowieściami kobiet wspinającymi się po górach. Edycyjna kompozycja: oczy mężczyzny kontra kobiece słowo.

„Coś mi w niej jednak do końca nie grało... jakiś czas później, siedząc w domu przy komputerze w kolejny upalny dzień, w jednej chwili zrozumiałam. Chcę góry pokazać oczami Piotrka, ale niech o nich opowiedzą rodziny himalaistów. Nie wspinające się panie, tylko rodziny, które górami żyją, nie będąc w nich, którym pasja górską najbliższych wiele daje, ale także bardzo dużo zabiera, które nie są bohaterami pierwszego planu. Od razu wiedziałam, że chcę rozmawiać z bliskimi tych, którzy na zawsze zostali w górach, jak i z rodzinami osób wciąż jeżdżących na wyprawy i stawiających sobie kolejne cele.”<sup>807</sup>

I przystępuje do pracy, kończąc swój książkowy wstęp słowami: *To nie jest encyklopedia, tylko swobodna opowieść o ważnych sprawach i ważnych ludziach. Nigdy czegoś podobnego nie czytałam. Nie wiem, czy to wystarczające wytłumaczenie tej pracy. Dla mnie na pewno.*<sup>808</sup> Spotyka się z dziesięciorgiem osób, którzy w ten czy inny sposób związani są z górami. Konstanty Miodowicz opowiada o swojej tragicznie i bohatersko zmarłej pod K2 siostrze Dobrosławie Miodowicz-Wolf, Stefan Heinrich wspomina Zygmunta, brata zasypanego wraz z kolegami lawiną kamieni przy schodzeniu ze zdobytego Mont Everestu, żona Andrzeja Czoka, Wanda, przypomina postać męża, zmarłego pod Kanczendzongą, a Grażyna Jaworska-Chrobak mówi o śmierci męża, Eugeniusza, po prostu Gienka, gdy także ginie pod Everestem. O swoim tragicznie zmarłym pod Lhotse ojcu opowiada też Wojtek Kukuczka, a we wspomnieniach nie cichnie również Michał Błaszkiwicz, brat Wandy Rutkiewicz – zaginionej gdzieś, jak Andrzej Czok, pod Kanczendzongą. Autorka rozmawia także z Ireną Załuską, mamą Darka Załuskiego (na koncie cztery ośmiotysięczniki i kilka zimowych wypraw), z Elżbietą Pawlikowską – żoną Maciej Pawlikowskiego, specjalistą od zimowych ekspedycji oraz z ojcem Piotra Pustelnika, Pawłem, który jako trzeci Polak w latach 1990-2010 skompletował Koronę Himalajów. W książce jest też miejsce na wspomnienie o zmarłym na początku XX wieku po ciężkiej chorobie Andrzeju Zawadzie, które czule snuje żona himalaisty, Anna Milewska-Zawada. A wszystkie te opowieści

---

<sup>807</sup> O. Morawska, *Góry na opak, czyli rozmowy o czekaniu*, Warszawa 2011, str. 6.

<sup>808</sup> Tamże, str. 7.

przeplatane są, jak w pierwotnym zamiarze autorki publikacji, pięknymi zdjęciami jej męża. Książka ma więc charakter skrajnie unikatowy, przybliża i przypomina ludzi, którzy góry byli ukochali najbardziej i dla których wysokogórskie wspinaczki zawsze miały jakieś drugie dno. Prezentacja fotograficznych zdolności Piotra Morawskiego jeszcze bardziej natomiast podkreśla charakterystykę ich świata – poprzez piękno krajobrazu, surowość grani i ukazanie w tym wszystkim człowieka, zawieszono gdzieś między niebem a ziemią. W świetle ostatnich, tragicznych dla polskiego alpinizmu wydarzeń, celne wydaje się w tym miejscu przywołanie himalajskiego motto Dobrosławy Miodowicz-Wolf, przypomnianego w trakcie rozmowy przez brata Konstantego: *Wtedy liczyło się to słynne powiedzenie Wawrzyńca Żuławskiego, że przyjaciela nie zostawia się nigdy samego w górach, nawet jak jest bryłą lodu.*<sup>809</sup>

Publikacji o górach, o wspinaczkach, o świecie taterników, alpinistów i himalaistów ukazuje się na polskim rynku wydawniczym sporo. Często dzieje się tak za sprawą małych, acz operatywnych wydawnictw, jednak książki te nie zawsze trafiają do sieci ogólnopolskich księgarń. Nie cechuje ich także zbyt duży nakład, a rozchodzą się i są kolportowane głównie w zainteresowanych kręgach subkultury górskiej. Natomiast zazwyczaj można je kupić w sklepach ze sprzętem wspinaczkowym lub w innych popularnych miejscach podróżniczego zaopatrzenia. Czasem również sklep typowo sportowy posiada wydzielony regał poświęcony górskim lub podróżniczym wydawnictwom. Miejscem niedużego kolportażu stają się także indywidualne spotkania z himalaistami, gdy organizowane są różnego rodzaju prelekcje, sympozja, pokazy slajdów czy wykłady. Dobrym forum dla podobnych prezentacji są także odbywające się cyklicznie imprezy targowe i festiwalowe, pokazy filmów górskich oraz przeróżne miejsca sprzedaży w internecie: aukcje, e-sklepy, portale górskie.

Przykładem takiej literatury mogą być w tym miejscu np. liczne publikacje Anny Czerwińskiej, polskiej himalaistki, zdobywczyni Korony Ziemi i kilku ośmiotysięczników, która od ponad czterdziestu lat wytrwale penetruje górskie szlaki. We wszystkich swoich tytułach<sup>810</sup> autorka, sama bądź w formie prowadzonego wywiadu, opowiada o losach wypraw i górskich ekspedycji, opisując w miarę szczegółowo kulisy ataków na szczyt, tragicznych śmierci czy też mnogie i częste przypadki ludzkich animozji. Są więc relacje z K2, z

---

<sup>809</sup> O. Morawska, *Góry na opak, czyli rozmowy o czekaniu*, Warszawa 2011, str. 20.

<sup>810</sup> Autorka, oprócz wznawianej i uzupełnianej wydawniczej serii „GórFanki...” zredagowała również intratny wspinaczkowy przewodnik zatytułowany „GórFanka. Moje ABC w skale i lodzie” (Warszawa 2008), a także wydała „Grozę wokół K2” (Warszawa 1990) oraz „Koronę Ziemi” (Warszawa 2000). Ponadto przed rokiem 1989 ukazało się jej autorstwa jeszcze kilka innych, górskich publikacji.

Rakoposhi, z Broad Peaku i Nanga Parbat. Sprawozdania ze zdobycia Everestu – *Po wejściu na wierzchołek zrzuciłam plecak i zakręciłam reduktor, co Hiszpanów wprawilo w totalne zdumienie, bo na ogół człowiek na szczycie odkręca tlen na maksa, a nie zakręca. Ale Pani Ania musiała tlen kutwić. W ogóle zimno nie było, tylko miało śniegiem. Więc posiedziałam 10 minut, po czym powiedziałam sobie: PANI ANIU, STOISZ NA SZCZYCIE EVERESTU. TU JEST KONIEC. TERAZ ZŁAZIMY.*<sup>811</sup> –, z ataku na Lhotse i Makalu. Barwne i mrozące krew w żyłach opowieści przybliżają czytelnikowi zarówno piękno gór, z ich majestatem i dostojeństwem, jak i pokazują wnętrze alpinistycznego świata – często skłócone, zantagonizowane i złożone z ludzi walczących ze sobą niemal na śmierć i życie o różne palmy zwycięstwa. Relacje takie mogą zaskakiwać i zasadnym w tym miejscu wydaje się zadanie pytania o sens i konieczność wywleknięcia towarzyskich animozji na światło dzienne, gdy potencjalny i tzw. szary czytelnik w żadnym stopniu nie jest częścią tej rodziny lub po prostu, przez wzgląd na pamięć o zmarłych, czasem można byłoby się ugryźć w język i milczeć. Jednak góry, to i tak wdzięczny temat do każdej publikacji, a wspomnienia Czerwińskiej, z krwi i kości himalaistki, doświadczonej przez góry kobiety, pozwalają na podróż patrzeć oczyma szerokimi i otwartymi.

„Kiedy rozpoczynałam pracę nad tą serią wydawniczą, wydawało mi się, że wszystko, o czym mówię, zdarzyło się niedawno, jakby te niemal 40 lat wspinania nie zostały zatarte, nie zlały się w jedno. Mogę, jakbym oglądała stary film, odtworzyć fakty klatka po klatce. Przy okazji zastanawiam się, czy to wszystko, o czym opowiadam, to tylko przypadkowe, niepołączone ze sobą zdarzenia, czy może zaplanowana przez los, z góry wyznaczona droga? Kiedy jednak dotarłam do końca opowieści, dostrzegłam, że była to moja własna, z trudem wydeptana ścieżka, niepowtarzalna jak ślad zakładany w głębokim śniegu. Dokąd mnie zaprowadzi? Gdzie się zakończy?”<sup>812</sup>

Cała więc wydawnicza seria warta jest trwałego usadowienia na księgarskich półkach, gdzie opisy ludzkiej walki ze śnieżnym żywiołem i napawają otuchą z nadzieją, i przestrzegają przed niebezpieczeństwem z tragedią. Przywoływane okoliczności zdarzeń w konsekwencji śmiertelnych każą również po raz kolejny na pojęcie podróży patrzeć nie tylko przez pryzmat świetlanej przygody, ale także odsłaniają kulisy krwawego żniwa, którego, cóż, bardzo często napędowym paliwem jest zwykła ludzka potrzeba rywalizacji. *Niestety, podczas naszego ataku szczytowego zostałyśmy przez naszych kolegów zostawione na pastwę losu: oni weszli, zeszli, minęli się z nami, zostawili nam obóz IV i sobie poszli, nie mając*

<sup>811</sup> A. Czerwińska, *GórFanka. Na szczytach Himalajów*, Warszawa 2009, str. 46.

<sup>812</sup> Tamże, str. 203.

*zamiaru czekać na nas w górnych obozach. Zrobili swoje i już. Pakistańczycy, oprócz Sher Khana, doszli tylko do obozu II, a w trakcie naszego ataku siedzieli w bazie. Dlatego nasze babskie wejście na szczyt było zupełnie samodzielne, nikt nam nie pomógł.*<sup>813</sup>

Góry nie są ustępliwe. Przekonał się o tym każdy, kto ze światem wspinaczkowym miał kiedykolwiek coś do czynienia. Około górskie wędrówki są więc częstym i ciekawym tematem na kartach polskiej literatury podróżniczej i jak można przypuszczać, tematyka ta powinna stanowić całkiem odrębną gałąź pośród zawartych w niniejszej dysertacji publikacji.

„Pracując nad książką, zacząłem zgłębiać i coraz szerzej studiować temat rajdu Dakar. Każda zdobyta informacja pociągała za sobą przynajmniej kilka pytań, każda osoba, którą poznałem i z którą rozmawiałem o rajdzie, miała do powiedzenia coś zupełnie innego. Ale największym wyzwaniem było to, że ani w polskich, ani we francuskich czy niemieckich księgarniach nie znalazłem książki o rajdzie rzetelnie przedstawiającej całą historię i chronologię wydarzeń. Polskie zasoby, czyli przede wszystkim internet ograniczały się jedynie do wiadomości z kilku ostatnich lat. Dużo lepiej było we Francji, jednak i tam udało się odszukać jedynie strzępki informacji, w dodatku często niesprawdzone i sprzeczne ze sobą, które trzeba było jakoś połączyć w spójną całość. Musiałem też szukać innych źródeł.”<sup>814</sup>

I tak powstaje książka o rajdzie Paryż-Dakar. Czy podróżnicza? Czy sportowa? Czy krajoznawcza? Autor, Jacek Balkan, na co dzień telewizyjny i radiowy dziennikarz motoryzacyjny, skrętnie spisuje historię tej imprezy, gdy w tle organizacyjnych i technicznych niuansów co rusz pojawia się barwny i egzotyczny świat. Dziesiątki zdjęć przeplatają się z historią i teraźniejszością. Przedstawiona jest postać Thierry’ego Sabine – twórcy Dakaru i oznaczona cała plejada zawodniczych nazwisk. Balkan pisze o reklamach, o wypadkach, o śmierciach, o logistyce i naginaniu regulaminów. Pokazuje Dakar od kuchni, gdy swego czasu trasa pierwszych zawodów wiodła z Paryża przez Algierię i Mali aż do samej stolicy Senegalu, a potem zmieniała się przez lata ze względu na polityczne zawirowania na afrykańskim kontynencie, by do dnia dzisiejszego być rozgrywaną aż na zachodnim wybrzeżu Ameryki Południowej – nie mając tym samym z oficjalną nazwą już nic wspólnego. Autor prezentuje także polskie akcenty rajdowego szaleństwa, a wypowiedź Krzysztofa Hołowczyca wyjaśnia po części zawiły kulturowy aspekt przeniesienia Dakaru z Afryki do Ameryki. *Ja w sumie bardzo się cieszę, że wyjechalśmy z Afryki. Afryka nas nie*

---

<sup>813</sup> A. Czerwińska, *GórFanka w Karakorum 1979-1986*, Warszawa 2013, str. 29.

<sup>814</sup> J. Balkan, *Operacja Dakar*, Bielsko-Biała 2013, str. 10.

*kochała, nie chciała tego rajdu. Człowiek czuł się tam trochę eksploratorem i intruzem, który przyjeżdża i zużywa te swoje 80 litrów paliwa na 100 kilometrów, podczas gdy tam ludzie mogliby na tym jeździć przez rok. Jak sobie to człowiek uświadomił, to trudno było zaakceptować tę sytuację.*<sup>815</sup> Nie ma w tej książce wiele o podróżach, natomiast jest o morderczej pustyni Atakama, o słonecznym skwarze, o logistyce i organizacji. Autor ukazuje tło i rajdową scenerię – pobocza motorowego sportu, a wstęp kończy prawie obietnicą: *Po wielu miesiącach pracy nad tą książką zrozumiałem nieco lepiej, co ciągnie ludzi na ten najtrudniejszy chyba dzisiaj rajd, a jeszcze lepiej rozumiem, co ich fascynowało kiedyś. Nie potrafię tego nazwać. Ale wiem, że za rok, może za dwa pojawię się na starcie. Bo ukończyć Dakar to naprawdę coś wielkiego.*<sup>816</sup> Dodatkowo, na końcu tej symbolicznej publikacji Balkan zamieszcza słowniczek rajdowy, zwany potocznie „Dakaropedią”, gdzie skrupulatnie wyjaśnia liczne wyścigowe terminy, nazwy własne oraz co ważniejsze elementy geograficznej scenerii.

Ale i sam mistrz nie każe czekać, wydając swoje „Piekło Dakaru”. Krzysztofowi Hołowczycowi w zredagowaniu publikacji pomaga Julian Obrocki i można powiedzieć, że cała wspomnieniowa książka jest jedną wielką reklamą. Nawet paginacja zawiera w sobie logo sponsora. Kierowca z wrodzoną sobie swadą relacjonuje kilka startów i opisuje przygody. *Nagle z przerażeniem dostrzegam, że z piasku wystaje... ludzka ręka. Jest wąsko, ale odbijam w bok, na ostre głazy. Hamuję i wysiadam. Tak, to człowiek. Nie potrąciłem go. Porusza się. Podchodzimy blisko. Ręce i nogi ma całe. Obok motocykl też cały. Po prostu upadł ze zmęczenia.*<sup>817</sup> Przypomina także sytuację, gdy rajd rozgrywany był jeszcze na afrykańskich bezdrożach, co po dziś dzień każdemu podróżnikowi, który udaje się w tamte rejony, może dać do myślenia. *Odcinek specjalny ma 492 km i zmierza coraz bardziej w głąb Sahary. W dodatku przez od lat sporny i konfliktowy obszar pogranicza Sahary zachodniej i Mauretanii, gdzie sytuacja polityczna daleka jest od normalności. Organizator robi specjalną odprawę na temat bezpieczeństwa. Otóż rozminowana będzie tylko trasa rajdu, a wszystko wokół naszpikowane jest minami bardzo gęsto. Pod żadnym pozorem nie należy zjeżdżać ze szlaku.*<sup>818</sup> Opowieść Hołowczyca jest barwna i wdzięczna. Resztę załatwiają fotografie i można powiedzieć, że to bardziej album niż książka do czytania. Albo i folder reklamowy – najbardziej, w dodatku płatny. Autor przywołuje także nazwiska licznych Polaków, którzy

<sup>815</sup> K. Hołowczyc. W: J. Balkan, *Operacja Dakar*, Bielsko-Biała 2013, str. 209.

<sup>816</sup> J. Balkan, *Operacja Dakar*, Bielsko-Biała 2013, str. 13.

<sup>817</sup> K. Hołowczyc, J. Obrocki, *Piekło Dakaru*, Warszawa 2012, str. 226.

<sup>818</sup> Tamże, str. 23.

coraz gromadniej startują różnej maści pojazdami: od motorów, przez ruady po terenówki i ciężarówki. Jest też o goryczy porażki, gdy podium wypada z rąk na skutek feralnej usterki. *To już koniec! Koniec marzeń o podium. Bez chłodnicy nie możemy nawet zapalić silnika [...]. Siadamy i płaczemy obaj, czekając na pomoc.*<sup>819</sup> Bo Dakar to nie przelewki – tak jak podróż. Chwila nieuwagi może zabić – *...linka gwałtownie pęka, a jej latający koniec demoluje nam chłodnicę.*<sup>820</sup> Albo – *Dodatkowo można jeszcze oberwać kamieniem od konkurentów. Wsiadamy, zamykam drzwi i taki latający kamień wybija nam szybę. Chwilę wcześniej i oberwałbym nim w głowę.*<sup>821</sup> Opowieść Hołowczyca, druga z serii „dakarowych”, jest także w jakimś sensie liryczną narracją o pokonywaniu ludzkich słabości, i choć czynnik sprzętowy odgrywa w tym sporcie ogromną wagę, to na samym końcu i tak zostaje często bezsilny i bezradny wobec kłopotów samotny człowiek. *Już nigdy tu nie przyjadę. Dość. Mam dość wszystkiego. Chcę tylko jak najszybciej wrócić do domu*<sup>822</sup> – dodaje wielokrotny mistrz Polski i Europy w rajdach samochodowych i... za rok znów staje na starcie.

Innym niecodziennym przykładem na podróżniczą publikację, koniecznym do odnotowania i odnoszącym się do charakteru wyświetlanych w tym miejscu przygód, będzie również książka Renaty Jackowskiej pod wiele mówiącym tytułem „Nurkowanie to moja pasja”. *Polecam ją wszystkim nurkującym, którzy być może zapomnieli już, jakie emocje targają człowiekiem zaczynającym przygodę z nurkowaniem*<sup>823</sup> – pisze w krótkim wstępie autorka. I leci penetrować morskie głębiny do egipskiego Dahab i Safagi oraz do Meksyku i Belize. Książka opowiada perypetie związane z wyjazdami i raczej stanowi rodzinne sprawozdanie z udanych imprez turystycznych niż przewodnik dla fanów nurkowania – *Jak trzy osoby na dwa tygodnie spakować w 15 kg? Nierealne! Przecież trzeba zabrać półbuty, sandały, klapki, bieliznę 14 kompletów, minimum 7 kompletów wyjściowych na wieczór – na kolację, a są to spodnie, spódnice, sukienki, bluzki. A gdzie biżuteria, a gdzie suszarka do włosów, prostownica, lokówka, a gdzie kosmetyki do włosów, lakier i zmywacz do paznokci, pilniczki, nożyczki i cążki do skórek.*<sup>824</sup> Warte także odnotowania jest wydanie niniejszej publikacji w systemie „Fortunet”, polegającym – mówiąc w skrócie – na konieczności pokrycia przez autora kosztów papieru i druku. Następnie, w oparciu o drukarską kalkulację,

---

<sup>819</sup> K. Hołowczyca, J. Obrocki, *Piekło Dakaru*, Warszawa 2012, str. 248.

<sup>820</sup> Tamże.

<sup>821</sup> Tamże, str. 226.

<sup>822</sup> Tamże, str. 226.

<sup>823</sup> R. Jackowska, *Nurkowanie to moja pasja*, Brzeźnia Łąka 2013, str. 7.

<sup>824</sup> Tamże, str. 17.

autor sam ustala cenę gotowego egzemplarza książki i wydrukowana publikacja trafia na księgarskie półki. Trwa sprzedaż, a wpływ z niej zasila konto autora i wydawcy w stosunku 75% do 25%. Wydawca inkasuje ćwierć ceny tytułem pokrycia kosztów administracyjnych – choć nie jest to zbyt precyzyjne ujęcie, a w szczegółach rozliczenie zawiera się w zawartej osobnej umowie wydawcy z autorem. W podobnym systemie swoją książkę, omawianą już w niniejszej dysertacji, a zatytułowaną „Moja przygoda z Kilimandżaro” wydała Anna Siwek.

**M**ożna więc w świat jechać dla wysokich śnieżnych gór, opływać go mniejszymi czy większymi szalupami, można nurkować w jego okraszonych kolorowymi rafami wodach czy też ścigać się wyczynowo po garbach jego piaszczystych bezdroży. Przygoda nie zna granic.

*Jak szuka się miejsca do spania? Nocna podróż to osobna historia i nie tylko dzień stanowi o wyprawie. Nawet bardziej: im gorsza noc, tym gorszy dzień. Można spać w hotelu i poza hotelem, ale kiedy szosa wije się setkami zakrętów, a krajobraz sprzyja wagabundzie, lepiej zasnąć gdzieś na poboczu. Drobnych ścieżek jest wiele, a najlepiej z dala od wszystkiego. Mam chyba dwa najbardziej wypróbowane sposoby: być bardzo widocznym i nie być wcale widocznym. Można zatrzymać się w zgielku, gdzie człowiek umknie przed licznymi spojrzzeniami, gubiąc własną twarz pośród wszystkich przyjezdnych. Wielkie parkingi, postoje przy blokowiskach. Place zapchane ciężarówkami. Targi. Ogromne skrzyżowania pełne przydrożnych bud i straganów. Jeśli ma się wóz – to pół biedy, gorzej gdy tylko z plecakiem. Niepozorny pojazd z wypożyczalni ginie w ilości podobnych, a postawiony w szeregu z kolejnymi niczym się nie wyróżnia. Można spać do woli, jeśli tylko duchota i skwar pozwalają. Czym więcej ludzi, tym lepiej. Harmider jest sprzymierzeńcem. Nikt nie zwraca uwagi na następny podobny samochód. Przepada się jak kamfora. Rozłożone siedzenia jak azyl. Nikogo nic nie interesuje. Czasem tylko jakiś pies obwącha opony. Gdy jednak droga nie układa się w miasta i miasteczka, a ruch jest niewielki i sporadyczny, dobrze uciec w szerokie lasy czy pustynie. Zjechać z szosy, szybko zgasić światła, przyzwyczaić przez chwilę wzrok do martwej czarnej ciszy i przy blasku gwiazd grzeznąć głębiej i głębiej. Tak jest najlepiej. Prawie najbezpieczniej. Zniknąć wszystkim z oczu i radarów. Zakopać się gdzieś po drodze, między jednym posterunkiem wojska, a drugim. Na pustyni poszukać wydmy, która zasłoni od wiatru i weźmie na siebie miliardy małych, wędrujących ziarenek. A noc wtedy długa i zakryta przed światem. Piach wiernie oddaje ciepło jak kobieta. W lasach Syberii i Azji trzeba jedynie uważać na niedźwiedzie i uciekinierów z więzień. I na mokradła z bagnami. Nocleg w tajdze chroni też*

*przed deszczem, a wieczorny upał kładzie się na drzewach jak kolorowy i gruby dywan. Można rozbić namiot, ugotować wodę, naostrzyć noże. Gdy strzelają knieje, zaraz wiadomo, że coś lub ktoś się zbliża – ale to rzadkość. Byle niewidocznym zjechać z głównej drogi i zaszyć się czym prędzej na samym końcu świata. Nigdy nie wiem, na ile to bezpieczne, ale dotychczas nie zawodzi. Puszyste liście są jak materac, a las jak wielki indiański wigwam. Na pustyniach często od świtu ciągną karawany i można liczyć na bukłak wody, jeśli swoja się skończyła. Bieda, gdy skamielina przetnie oponę, ale to już inna historia.*

Innymi słowy: świat można czytać na różne strony, a kluczy do zagadki jest tyle, ilu chętnych do wędrówki obywateli-podróżników.<sup>825</sup> Na swój sposób robi to także Anna Wojtacha, dziennikarka i korespondentka wojenna, relacjonująca dla różnych polskich telewizji konflikty zbrojne w Afganistanie, Gruzji czy też w Izraelu i Strefie Gazy. Reporterski fach rzucił ją także w kamizelce kuloodpornej do Indii i Tajlandii. *Sam atak terrorystyczny jest niczym. To dopiero my napędzamy tę maszynę, stając przed kamerami i na wszystkie sposoby odmieniając nazwę organizacji, które zabijają w imię chorych idei. To medialny przekaz jest celem terrorystów. Koło się zamyka, bo przecież nie możemy o tym nie mówić. Jesteśmy w pułapce, w potrzasku.*<sup>826</sup> Czy książka Wojtachy jest podróżnicza? – trudno jednoznacznie powiedzieć. Specyficzna to podróż i specyficzny podróżnik, jednak z pewnością jej publikacja wiele mówi o zakamarkach świata, który jeździ relacjonować i gdzie od wybuchu do wybuchu wypełnia swój zawodowy obowiązek. *Świat jest mały, a wojna nigdy nie jest daleko*<sup>827</sup> – mawia sentymentalnie. W tym znaczeniu jej górami i morzami będą wojny. I opowiada czytelnikowi barwnym, emocjonalnym językiem o piekielnie trudnym

---

<sup>825</sup> Doskonałym tłem dla zobrazowania problematyki celowych i tematycznych podróży dookoła świata może być także w tym miejscu, tuż przed wojenno-reporterskim spojrzeniem Anny Wojtachy, próba przywołania publikacji Tony’ego Wheelera, podróżnika i dziennikarza, współzałożyciela wydawnictwa Lonely Planet. Autor „wziął” sobie na podróżniczy warsztat wędrowny szlak według nietuzinkowego klucza, a mianowicie podróż po państwach, które w jego ocenie nie są człowiekowi przyjazne. *Kryteria wyboru były dość proste i sprowadzają się do kilku kwestii: Jak dany kraj traktuje swoich obywateli? Czy ma związki z terroryzmem? Czy stanowi zagrożenie dla innych państw? Oczywiście punktem wyjścia była oś zła – na mojej liście od razu znalazły się Iran, Irak i Korea Północna. Później dodałem Birmę (przemianowaną w 1989 r. na Myanmar), ponieważ często jest wymieniana jako przerażający symbol łamania praw człowieka, a jej wojskowy rząd trzyma za kratkami laureatkę Nagrody Nobla, gdyż miała czelność wygrać wybory. Kuba? Stany Zjednoczone już blisko pół wieku głośno domagają się zmiany ustroju w tym kraju, jak dotąd z mizernym skutkiem. Libia? Popelnia wszystkie błędy z możliwych, prześladowając własnych obywateli, finansując terroryzm i aktywnie go organizując, pracując nad bronią masowego rażenia, a nawet dokonując inwazji na sąsiednie państwo. I wszystko to uszło jej bezkarnie.* T. Wheller, *Przeklęta ziemia*, Warszawa 2009, str. 9. Ponadto autor odwiedza Afganistan, Arabię Saudyjską i europejską Albanie.

<sup>826</sup> A. Wojtacha, *Kruchy lód*, Warszawa 2012, str. 125.

<sup>827</sup> Tamże, str. 124.



rzemiośle relacjonowania śmierci i zabijania. Pisze o codzienności reporterskiej, gdy przychodzi gonić fronty i śledzić ruchy wojsk w cieniu pokancerowanych czołgowych luf. Bezlitośnie pokazuje i obnaża bezduch polityki i administracji. Wędruje za wojną jak zgłodniały pies za byle padliną, a kamerę syci krwią, łzami i cierpieniem, które albo na żywo, albo już za parę minut lądują na polskim telewizyjnym ekranie – w pasmach największej oglądalności. Pisze bez ogródek, dialoguje z kolegami i pokazuje, jaką cenę płaci się za ludzką pazerność. Na zimno. Bez emocji. *Włączam w siebie blokadę. Nagrywam. Nie jestem człowiekiem, ale reporterem, który ma do wykonania konkretną robotę. Uruchamiam w sobie tryb terminatora. W pół godziny nagrywam kilka rozmów. Tak zwanych przebitek, czyli zdjęć rannych, zabitych i całego tego zamieszania mamy aż nadto.*<sup>828</sup> Zdaje się nie wstydzić schizofrenicznych sytuacji. *Śniadania są tu królewskie. Każdego poranka zajadamy się wędzonym łososiem, kawiozem i świeżutkimi owocami. Popijamy to szampanem, który kelnerzy podstawiają nam pod nos w pełnych lodu kubelkach. To są wojenne absurdy. Kilkadziesiąt kilometrów dalej od nas ludzie w przerażeniu opuszczają swoje bombardowane domy, głodni, szukają pod gruzami swoich bliskich. Potem przyjeżdżamy my. Najedzeni, wysłannicy, wojenni turyści.*<sup>829</sup> Wojtacha wyklada kawę na ławę. Nie ceregieli się na postmodernizm i nowoczesność. Strzela zdaniami jak z karabinu. I trafia. Rani i zabija. Obezwładnia. Oszalała jak granat ręczny. Nie ma z nią dyskusji i nie ma krytyki. Ona boli jak krzywda, która dzieje się obok niej. Zamraża człowieczeństwo. Ograbia podróż. Pije krew. I zionie smutną refleksją: *Myślę o Gazie. Media już nie huczą doniesieniami stamtąd. Było interesująco, jak się zaczęło, ale potem zrobiło się to nudne. Tak działają trupo kilometry. Nie wiem, kto z nas tak to nazwał. Ale zasada jest bardzo prosta – im dalej, tym news jest mniej newsowy. Wojna w Iraku? Fajna na początku. Potem w zamachu musi zginąć co najmniej sto osób albo polski żołnierz, żeby się tym zainteresować. Koledzy wymyślili nawet żart: „Jak się w końcu mówi: Iran czy Irak?”. Podobnie jest z Afganistanem. Kto wie cokolwiek o tym kraju? Jak wypadłaby uliczna sonda, gdyby zapytać, z jakimi krajami graniczy Afganistan? A gdzie jest Strefa Gazy i dlaczego Izrael walczy z Palestyńczykami od tylu lat? Trzysta ofiar powodzi w Chinach? Kogo obchodzą Chiny? Trzy zalane budynki pod Białymstokiem? Rozstawiamy wóz i drenujemy tym widza do mdłości. Jakie to ma znaczenie?*<sup>830</sup> Wojtacha nie można nie cytować. Czysta szkoła zakłamania, fałszu i politycznej hipokryzji. Na ile świat byłby inny (lepiej?), gdyby zabrać go spod władzy

<sup>828</sup> A. Wojtacha, *Kruchy lód*, Warszawa 2012, str. 67.

<sup>829</sup> Tamże, str. 63.

<sup>830</sup> Tamże, str. 165.

polityków i domorosłych wojskowych, a oddać w rządy podróżników, ludzi idei (nie utopii!) i takich reporterów, jak polska Wojtacha. W tym sensie podróż ograbia, ponieważ pokazuje także mechanizmy, które rządzą światem i wyświeśla na kartach swoich publikacji stworzone przez rządzącego i władczego człowieka absurdy. Ograbia także nie tyle świat zastany poza terytorialną Europą czy Zachodem, ile właśnie tę Europę i tego Zachodu człowieka – a w nich, niestety, podejmowane i konstruowane mnogie mechanizmy zewnętrznych działań.

„Rozpadam się. Nie ma wyjazdów. Nie ma adrenaliny. Pustka. Zaczynam się zastanawiać, co sprawia, że tak bardzo ciągnie mnie tam, skąd wszyscy uciekają. Wiele razy rozmawiałam o tym z kolegami, ale nie doszliśmy do żadnych wniosków. Gdzie jest początek tej chorej fascynacji wojną? Chcemy opowiadać świat, pokazywać ból – to jest dobre. Ale jest też coś trudnego do nazwania. Coś, co każe nam włączyć się po gruzach, kostnicach, szpitalach i znajdować w tym zawodowe spełnienie. Wielu z nas nosi w sobie drażniący niepokój, który pojawia się niewiedomo kiedy i skąd. To chyba on każe nam jeździć. Może w tych ekstremalnych miejscach chcemy znaleźć siebie. Jakkolwiek banalnie to brzmi. Może bezustannie musimy konfrontować się z własnymi lękami. Może dopiero tam uczymy się siebie. Większość ludzi nie zna swoich lęków. W bezpiecznej przestrzeni się nie ujawniają. Nie mają pożywki. My każdy swój lęk umiemy nazwać. To właśnie tam, gdzie żyję z nimi każdego dnia, czuję się najlepiej. T a m mi nie przeszkadzają. A nawet pomagają, bo wyostrzają zmysły. T u zaczynają pokazywać swoje ohydne pyski. Pałam się po mieszkaniu. Wydaje mi się, że wszystko wokół toczy się w zwolnionym tempie. Brak adrenaliny mnie rozbija. „czułem się tak, jakby ktoś mi odciął tlen” – tak odpowiedział mi mój znajomy, były komandos, na pytanie, jak się czuł po odejściu z jednostki. Bardzo trafnie.”<sup>831</sup>

Przywołane w niniejszym podrozdziale wybrane publikacje z pewnością nie wyczerpują bogatej tematyki, jakiej dotyczą i jaką opisują.<sup>832</sup> Bezsporne jednak osiągnięcia śmiałości nie pozwalają o sobie zapomnieć, a literatura podróżnicza przenosi je na trwałe do bibliotek. Goethe mawiał, że literatura marnieje w takim stopniu, w jakim zmarnieli ludzie. Można powiedzieć, że nie odnosi się to zdanie do literatury podróżniczej,

---

<sup>831</sup> A. Wojtacha, *Kruchy lód*, Warszawa 2012, str. 229.

<sup>832</sup> Wartą zwrócenia uwagi jest także niecodzienna podróżnicza książka, którą wspólnie pisze amerykańska mama z córką, Claire i Mia Fontaine. Publikacja powstaje jako swoista terapia po nałogowych narkotycznych skłonnościach córki, gdy we dwie postanawiają wyruszyć w świat. Podróżują wspólnie przez Azję, Egipt i europejskie Bałkany. Charakter tej publikacji, choć podróżniczy, skłania jednak czytelnika do głębszej refleksji, gdy dwoje bliskich sobie osób nie podróżuje po Chinach, Malesji czy Nepalu ze względu na krajobrazy, a po prostu ze względu na siebie samych. Nie tyle szukają wrażeń, co siebie. *Wycieczka jest dla mnie także okazją do przyjrzenia się mojej relacji z macierzyństwem w ogóle. Jak matkować dorosłej córce, i czy w ogóle jej matkować? Jak wygląda macierzyństwo w innych kulturach.* C. i M. Fontaine, *Kąpiel ze słoniem*, Warszawa 2013, str. 29.

zresztą, swoją drogą, za czasów niemieckiego pisarza książek podróżniczych nie było za wiele, a świat dopiero czekał na literackie odkrycia. Można także w tym miejscu przywołać słowa Woltera, który zaklinał literaturę, by była wszystkim, tylko nie czymś nudnym.

W jakimś sensie wszelkie klasyfikowanie nadaje czynionej prezentacji znamion ram i schematów. Trudno uciec od skojarzeń o szufladkowaniu i katalogowaniu, gdy dla każdego podróżnika dzieło jego pisarskiej ręki jest jeśli nie najważniejsze, to z pewnością bardzo ważne, a na pewno już nie nieistotne. Ludzkie wyczyny często także nie mieszczą się w czytelniczej wyobraźni, a wiele z nich w ogóle nie ujrzy światła dziennego w postaci spisanej relacji. Milczą przez lata pochowane w podróżniczych pamięciach. Gdyby ilość opublikowanych książek podróżniczych miała być wprost proporcjonalna do ilości odbywanych rok rocznie podróży, można przypuszczać, że wtedy co drugi sklep byłby księgarnią. *To jest pierwsze opowiadanie, jakie napisałem. Miałem wtedy trzydzieści sześć lat, może trzydzieści siedem. Mój ojciec mawiał: „Dużo czytaj, dużo pisz, i nie spiesz się z drukowaniem”. Dokładnie tak mówił.*<sup>833</sup> Dzieje się tak po wielokroć: o rajdowych wrażeniach z Dakaru pisze Krzysztof Hołowczyc, choć startujących Polaków z roku na rok jest coraz więcej. Po morzach i oceanach żeglują dziesiątki samotnych żeglarzy, jednak publikacji książkowych jest jak na lekarstwo (*Opisy podróży morskich są zazwyczaj bardzo do siebie podobne i wskutek tego bywają przeraźliwie nudne. Uczenie się geografii nie jest też celem moich wspomnień. Toteż ograniczę się tylko do przytoczenia kilku urywków z mego pokładowego dzienniczka*<sup>834</sup>). Więcej trochę o górach i wspinaczkach na szczyty – choć to wyprawy wysokiego rzędu: długie, ciężkie i zimne. Z pewnością swoje wspomnienia mają grotolazi i parolotniarze. Czasem jakiś śmiałek przeplynie samotnie tę czy inną cieśninę. Można powiedzieć, że człowiek zdobywa na potęgę i z roku na rok wymyśla kolejne utrudnienia, by jakoś gdzieś być pierwszym i jedynym. Niepowtarzalnym. Prześmiewczo w

---

<sup>833</sup> P. Theroux, *Stary Ekspres Patagoński. Pociągiem przez Ameryki*, Wołowiec 2012, str. 493.

<sup>834</sup> T. Perkitny, *Okrążmy świat raz jeszcze*, Poznań 2009, str. 13. Skądinąd książkowa publikacja Tadeusza Perkitnego, będąca kolejną wznowioną reedycją, przypomina o nad wyraz interesującej podróży, jaką przed II wojną światową autor odbył ze swoim przyjacielem Leonem Mroczkiewiczem. Razem, we wrześniu 1926 roku, wyruszyli na wyprawę dookoła świata i z powodzeniem z podróży powrócili. Jednak ich losy związane były ze sobą do grobowej deski, a autor z nostalgią wspomina pogrzeb przyjaciela: *Dnia 11 września 1926 o godzinie dwunastej wyruszyliśmy z Leonem w naszą wspólną włóczęgę naokoło świata. Dokładnie w czterdziestą czwartą rocznicę tego wydarzenia, bo 11 września 1970 roku o tej samej godzinie znowu razem ruszamy w drogę. Wiedzie ona po liściach zwiędłych szumiących pod stopą przez długie, kręte aleje... przez wierzby płaczące i spróchniałe krzyże. Wiedzie gdzieś między wilgotne, mchem porośnięte kamienie... i jest ostatnią drogą Leona. Bo właśnie tam, za ostatnim zakrętem tej płaczącej, wierzbowej alei, dobiega kresu pozorna nieskończoność naszych wspólnych dróg.* Tamże, str. 515. Sentymentalne zakończenie opowieści wskazuje także na niebagatelny aspekt zadzierzganym w podróży przyjaźni, które niejednokrotnie trwają bardzo długo, a swoją ponadczasowość w głównej mierze opierają, jak można przypuszczać, na wspólnych przeżyciach i doświadczeniach z podróżniczego szlaku.

tym kontekście o książkach powiedział kiedyś austriacki pisarz Karl Kraus, że to recepty pisane przez chorych. Przeglądając dziesiątki podróżniczych publikacji można, jak się wydaje, po wtóre zasięgnąć motta Ryszarda Kapuścińskiego, gdy podróż nazwał chorobą – w dodatku nieuleczalną.

## Część II

Mając na uwadze dwa centralne ujęcia, poprzez które na kartach niniejszej rozprawy staram się przedstawić stan polskiej literatury podróżniczej po roku 1989, gdy rozważania w pierwszej części dysertacji ogniskowały wokół odpowiedzi na pytanie o charakter książek podróżniczych, to w części drugiej zarysowana zostanie próba zbadania zagadnienia samej tematyki, która poruszana jest w przekroju przywoływanych publikacji.

Gdy mowa więc o pojęciu „podróży ograbionej”, na samym początku staram się zwrócić baczną uwagę na jej metaforyczne, ale i dosłowne znaczenie, by poprzez kolejne strony dokonać podziału tej części analizy na dwa pogłówne rozdziały, umownie zatytułowane „Podróż ograbiona” i „Na sprzedaż”, wychodząc w tym miejscu snutych przemyśleń z fundamentalnego założenia, będącego bezpośrednim wynikiem wnikliwych obserwacji czynionych na przestrzeni ostatnich lat, że oto tematyka w książkach podróżniczych coraz bardziej i nierozzerwalnie związana jest z grą rynkową – a wszystko to dzieje się na tle szeroko pojętego przemysłu medialnego i wydawniczego.

I tak: w rozdziale pierwszym zwrócona zostanie najpierw uwaga na etyczną stronę tworzenia kolorowych i wielobarwnych publikacji wraz ze wskazaniem na odpowiedzialność,

jak ciąży na podróżniku-pisarzu, gdy decyduje się on wydać swoje wędrowne relacje i przemyślenia. Ową odpowiedzialność, jak się wstępnie wydaje, ponosi także wydawca. Zasygnalizowane zostanie także zagadnienie trójwymiarowości tematycznej poprzez propozycję wyodrębnienia trzech najważniejszych planów. Można bowiem uznać, że tematyka podróżnicza skupia się na trójczłonowym fundamencie, opisując na swoich kartach losy podróżniczego człowieka, potem ukazując podczas wędrówki tło jego środowiska naturalnego, by w części trzeciej dotknąć zagadnienia związanego z tzw. technologią podróżniczą.

W tych znaczeniach i pod takim kątem omówiona zostanie (człon pierwszy) pokrótce przede wszystkim relacja podróżnika z Innym. Następnie zwrócona zostanie uwaga jego przynależność do świata, który pozostawia on niejako w domu, poza sobą, w swoim kraju rodzinnym. Niebagatelną rolę podczas globtroterskiej eskapady ogrywa także podróżnicze towarzystwo oraz na samym końcu również osoba czytelnika, dla którego i wobec którego mozolnie budowana jest publicystyczna konstrukcja. Niejednokrotnie zdarza się bowiem tak, że już podczas podróży dochodzi do obserwacji, które wagabunda (tzw. podróżnik pasywny) zapamiętuje lub zapisuje z myślą o tym, by później zdarzenie to przywołać na kartach swoich wspomnień. Po omówieniu więc relacyjnych związków, wskażę również na kilka aspektów bezpośrednio związanych ze środowiskiem naturalnym (człon drugi), które tematycznie związane jest z literaturą podróżniczą bodaj najbardziej. Podróżnik nigdy nie podróżuje w próżni. Zasygnalizowany więc będzie wątek zdobywczy (podróżnik osiągnący szczyt, pokonujący oceany, realizujący cel), wątek oscylujący wokół konfliktów zbrojnych, wątek dziennikarsko-reporterski oraz szerokie wskazanie na zjawisko religijności i duchowości Innego. Ponadto przywołane zostanie także opisowe znaczenie światowych dóbr w postaci flory i fauny. Natomiast trzecim rozdziałowym filarem (człon trzeci) będzie ukazanie złożonej tematyki związanej bezpośrednio ze środkami transportu, za pomocą których podróżnik podróżuje. Pojawi się w tym miejscu rozgraniczenie tematyczne, gdy książka podróżnicza może być „książką o podróży” i „książką o podróżowaniu”. Na zakończenie podniesione zostanie także zagadnienie nawiązujące do ambasadorskiej roli każdego z podróżników.

Dynamiczny rozwój branży wydawniczej powoduje, że tytułowe pojęcie „podróży ograbionej” z miesiąca na miesiąc zyskuje na znaczeniu, a dzieje się tak przede wszystkim ze względu na szeroką działalność postaci potoczne nazywanymi celebrytami. Gdy więc można

mówić wręcz o podróźniczej literaturze celebryckiej, nie sposób zagadnienia tego zignorować i także nie poświęcić mu kilku chwil uwagi, choć należy od razu przyjąć, że zjawisko literackiej celebryckości i tabloidyzacji publikacji podróźniczych zasługuje i woła o osobne badania i analizy. Z tego też powodu w rozdziale drugim zatytułowanym „Na sprzedaź” ukazany jest nierozzerwalny związek, jaki zadzierzga przemysł medialny z tzw. osobami publicznymi. Poprzez wskazanie na symptomatyczne powiązania zawodowe, przybliżam również sylwetki kilku sztandarowych postaci tej części przemysłu wydawniczego, a otwartymi pozostają pytania o przyszłość tej branży, gdy wywiera ona niebagatelny wpływ na pozostałą część szeroko rozumianego rynku wydawnictw podróźniczych.

# Podróż ograbiona

Przywędrował tu kiedyś pewien Anglik. Rozejrzał się wokół i niczego nie rozumiał. Napisał: „Smutne pustkowie, gdzie śmierć raczej niżli życie zdaje się królować niepodzielnie”. Niczego nie rozumiał i dlatego skłamał – jak każdy prawy Anglik. Nazywał się Karol Darwin.

(Luis Sepúlveda, *Podróż do świata na końcu świata*)

Nie był ani odkrywcą, ani autostopowiczem; nie miał plecaka ani kompasu. Ze schludną walizeczką, w zakurzonych okularkach w złotej oprawce, z butelką po pepsi i papierkiem po kanapce, po niemiecku wyprostowany, jechał przez stan Chiapas. Mapę miał niewielką, oprócz niej żadnej książki, piwa nie pił. Jednym słowem, dusigrosz.

(Paul Theroux, *Stary Ekspres Patagoński*)

Jeśli bowiem jest prawdą, że we wczorajszej gazecie dziś zawija się rybę, to prawdą jest także, że od dziennikarstwa zaczyna się historia. Zawsze czułem tę odpowiedzialność. Stąd wyczulenie na szczegóły, dokładanie starań, aby precyzyjnie przytaczać fakty, liczby, nazwiska. Jeżeli detale pojedynczego zdarzenia, jakiego było się świadkiem, nie są wiernie oddane, to co z wiernością całej mozaiki historii, którą potem ktoś będzie rekonstruował na podstawie tych okruchów?

(Tiziano Terzani, *W Azji*)



## 1. Karty pamięci

**M**ożna śmiało powiedzieć, że tematyka polskiej literatury podróżniczej jest wprost proporcjonalna do zakresu terytorialnego, jaki swoim zasięgiem obejmuje. Choć dzieje się tak na różne sposoby, to jednak pisarskie porozumienie, jakie zachodzi pomiędzy głównymi kierunkami globtroterskich wypraw a późniejszym tematem poruszanych zagadnień wydaje się na tym etapie badań mieć ze sobą nierozzerwalny związek. Gdyby bowiem podróże były skąpe, tematy nie byłyby poruszane. W tym świetle zasobność poszczególnych publikacji staje się więc bezpośrednim wynikiem wykreślonych przez wędrowców szlaków na mapach. Oczywiście można przekornie powiedzieć, że każda wędrówka po pustyni jest doskonałym przykładem na snucie refleksji o znaczeniu wody w życiu człowieka, a przytoczona już wcześniej opowieść Bartka Sabeli o cofającym się Morzu Aralskim jest również, jak się wydaje, dobrym na to przykładem – można pisać także o tym, czego już nie ma, co znika albo bezpowrotnie odwróciło się i przepadło w czeluść zapomnienia. Nie w tym jednak rzecz.

Poddając krótkiemu opisowi dziesiątki z przytoczonych w poprzednim rozdziale publikacji podróżniczych w jakimś sensie, niejako między wierszami, przewija się także tematyczny obraz wędrówek okołoziemskich – raz bardziej, a raz mniej. Piesze i rowerowe szlaki mówią o otoczeniu, a wyprawy motocyklowe czy samochodowe opowiadają o szeregu historii, które nie mogłyby się wydarzyć na poziomie domowego zacisza. Zdobywane szczyty opisują pasma górskie, a rozszalałe wiatry oceanów bryzgają wodą odmętów kipieli. Jeśli tak jak chce amerykański pisarz Napoleon Hill, budowanie charakteru to proces, którego ukończenie zajmuje całe życie, to tym samym temat światowej podróży może wymagać całego jej czasu.

Nie bez znaczenia tytuł niniejszej rozprawy został nadany w sposób nieco metaforyczny, a zjawisko ograbienia, w tym wypadku podróży ograbionej, niesie w sobie co najmniej dwie konotacje. W jakimś sensie mowa jest o dwóch różnych od siebie porządkach, choć o zbliżonym brzmieniu. Będzie więc termin ten ograbieniem przenośnym, literacką metaforą, synonimem widzenia, zobaczenia, dotknięcia. Stare powiedzenie pochodzące z kręgów pisarskich mówi, że pisarz kradnie cudze życie. W prekluzji ograbienie może więc być

doskonałą formą takiego oglądu i opisu rzeczy, gdy nie naruszając ich, czerpie z owych do dna – bowiem ograbienie jest czymś więcej niż kradzież. To całościowe spustoszenie. Ogołocenie. Ogołocenie do cna. Jako literacka przenośnia, zdecydowanie nacechowana pejoratywnie, występując w związku frazeologicznym z szerokim pojęciem podróży; czyli wyjazdu, wyjścia, exodusu, opuszczenia miejsca – staje się metaforalnym orężem podróżnika.

Jednakowoż oprócz formy alegorycznej niesie w sobie termin ograbienia znaczenie także dosłowne i rzeczowe. Jako zabranie czegoś komuś będzie oto inwazją, kradzieżą i rabunkiem. Bezmyślnym, choć świadomym najazdem. Agresją. Wkroczeniem. Zaborem mienia. Podróż jako bezpośrednia aneksja. Zawłaszczenie dóbr. Oskalpowanie z bogactw. Wykorzystanie. Instrumentalne traktowanie cudzej własności. I w końcu – kolonializm, z całym swoim bagażem pojęć i znaczeń.

Niezmiernie trudno owo zagadnienie wyjaśnić, a kto z fascynacją nie podróżował – może nie zrozumieć, jednak świadoma podróż w końcu końców każdemu zada to pytanie. Wcześniej czy później jakiś azjatycki step, afrykańska sawanna czy patagońska preria wymusi na podróżniku-myślicielu najpierw samo pytanie, a potem drażyć będzie i pukać o odpowiedź, etycznych wątków nie pozostawiając bez echa.

Podróżując po Afryce (ale nie tylko; obraz Afryki przywołuję ze względu na przerażającą w porównaniu do Zachodu biedę, nicość i spustoszenie) niejednokrotnie miałem wrażenie, że w wielu miejscach panował uczyniony ludzką ręką wszechobecny porządek. Mimo, że otoczenie nie nosiło znamion ładu, było ledwo gliniane, zakurzone i rozsypujące się na miazgę, to jednak wewnątrz domostw i w obejściu palenisk skupiały się ład i harmonia. Uprawiano choćby najmniejsze poletko i nic nie mogło się zmarnować. Wnętrza pokrytych wiązką trzciny chat były schludne, posprzątane, a osobiste rzeczy poukładane i ułożone, choć krajobraz otaczających kilometrów (pustynia, sawanna, busz) kazały przypuszczać, że lada chwila wszystko się zawali – po części taka jest niestety mentalność białego człowieka i taki jego ogląd rzeczy. Gdy jednak zostawałem gdzieś na dłużej, zaraz zaczynała ujawniać się organizacja dnia codziennego. I choć prawie nie było wody, w ogóle prądu, a jedzenia jak na lekarstwo, to nic nie mogło czekać: zamiecione obejścia, pomyte naczynia, dziergane z niczego tkaniny. Ludzie siedzieli na swoich niskich krzeselkach zwanych „batu” i czekali. Zaintrygowany widziałem to setki razy i kiedyś zapytałem znajomego misjonarza: – Co oni tu robią? Czym się zajmują? – Pilnują biedy – naturalnie odpowiedział.

Gdy ktoś nie ma nic – prawie niewyobrażalne zjawisko dla człowieka Zachodu – ma tylko to, co ma. Siebie. Swój wizerunek i swoje myśli wypowiedane słowami. Na samym końcu wszystkiego zostaje tylko to. Sam. Samość. I gdy na tym metrze kwadratowym naszego spotkania robię mu zdjęcie, zabieram tym samym ostatni jego skarb, ostatnią jego własność. Biorę mu jego „siebie” – bo ma tylko to: siebie. Takie jest inne oblicze biedy i inne znaczenie pojęcia ograbienia – materialne zabranie wizerunku, który potem publikuję, przetwarzam, pokazuję i kopiuję. Rozdaję na lewo i prawo. Drukuję w książkach, albumach i przewodnikach. Zdobię okładki, a redakcje skrzętnie odnotowują moje prawa autorskie.

Czy może być większa hipokryzja?

Wystawiam na wystawach, sprzedaję na aukcjach, pokazuję na festiwalach. Grabię i zarabiam. Ograbiam. Żyję z tych żywych zdjęć jak sęp z padliny, a tysiące z nich zdobi strony internetowe, galerie, ściany konkursów fotograficznych. Wygrywam World Press Photo w entej kategorii, zbieram Grand Prix i zdobywam pulitzery. Opisuję ich historie pod swoim nazwiskiem i rosnę – ja, nie oni. Ja, Biały Człowiek Zachodu. Zabieram im wszystko co mają, szcząc się tym na potęgę. I tak, w taki cwany i chytry sposób, konstruuje na końcu swoje prawo, by chronić moje tantiemy, a nie ich. Piszę reportaże, zamieszczam wywiady, wspominam niecodzienne spotkania. Żywię się literacko ich historiami i bez pardonu przywołuję ich świat. Rozmyślam. Lecę z politycznymi misjami i duchowymi przesłaniami. Ubieram ich biedę w piękne słowa i moją przygodę: pieszo, na rowerze i czymkolwiek. Kradnę łapczywie na potęgę – ile tylko kart pamięci da się zapełnić.

„Kiedy jesteśmy młodzi, nie spoglądamy w lustro. Wpatrujemy się w nie, kiedy się już zestarzejemy, zatroskani o nasze imię, o naszą legendę, o to, co nasze życie będzie znaczyło dla przyszłości. Pyszniimy się nazwiskami, które nosimy, zabiegamy o pierwszeństwo naszych odkryć, przewagę naszych armii, wyłączność naszego handlu. Dopiero podstarzały Narcyz pożąda swego bałwochwalczego wizerunku.”<sup>835</sup>

W takich znaczeniach podróż zawsze będzie ograbieniem, a od patrzenia zwykle się zaczyna.<sup>836</sup> Tak też wyparto wspomnianych przez Svena Lindqvista Aborygenów, tak

<sup>835</sup> M. Ondaatje, *Angielski Pacjent*, Warszawa 1997, str. 133.

<sup>836</sup> Mimochodem, bodaj nie zdając sobie sprawy z sytuacji, w jakiej się oto znalazł, wydarzenie o kluczowym znaczeniu relacjonuje na łamach swojej książki Piotr Strzeczysz: *Wróciłem pod sklep i stojący nieopodal stragan. Wyjąłem aparat i zrobiłem zdjęcie budynkom. Nawet nie zauważyłem, kiedy dwie straganiarki podeszły do mnie i zaczęły awanturę. Domagały się, aby im zapłacić za zdjęcia. – Ależ przecież pani nie fotografuję – mówię. – Fotografowałem budynki! – Ale ja tam mieszkam i trzeba zapłacić! Cwana jest. Obie są cwane. Mówią, że trzeba zapłacić, bo jestem fotograf albo dziennikarz, sprzedam zdjęcia i zarobię, bo mam dobry, duży aparat. Uparłem*

zmiażdżono Siuksów i rugowano tubylcze afrykańskie plemiona chociażby z opowieści Josepha Conrada. I tak też dziś, całkiem odwrotnie, nie pozwala się patrzeć na Europę bohaterom „Afrykańskiej odysei” Klause Brinkbäumera. Co więc logicznego zrobić z podróżniczo-literackim przyrzeczeniem, które składa Paul Theroux? – *Ślubowałem jednak wierność książce podróżniczej, w której umieszczę wszystkie interesujące rzeczy i ludzi.*<sup>837</sup>

Jednak podróże miały i mają miejsce, a pisząc o tematyce literatury podróżniczej, szeroko przywołanej w poprzednim rozdziale (zarówno tej polskiej, jak i zagranicznej – kontekstualnie w kilku przypadkach zasygnalizowanej), można, jak się wydaje, dokonać takiego oto jej podziału, by odróżnić od siebie trzy najczęściej występujące wątki – zamykające je w umowne pojęcia trzech tematycznych filarów. Jednak należy zaznaczyć, że proponowany podział nie nosi w sobie znamion gradacji wartościującej (nic nie jest ważniejsze od czegoś), oraz nie jest skutkiem np. liczebnej przewagi jakiegoś jednego zjawiska nad drugim. Sugerowany podział stanowi li tylko propozycją doraźnego usankcjonowania zjawiska, by na swój sposób wykazać zbieżność tematyczną z charakterem omawianej literatury. Pierwszym wątkiem (jednym z wątków) będzie więc osoba spotkanego w drodze człowieka wraz z przeróżnymi okolicznościami, które towarzyszą takiej podróżniczej relacji. Można generalnie powiedzieć, że tak jak nie byłoby książki podróżniczej bez wysiłku i działania podróżnika, tak nie byłoby jej fabuły bez spotkanego na szlaku człowieka. W tym znaczeniu wyraźnie ukazuje się cała obfita kontekstualność kulturoznawczo-literackiego pojęcia „Inny”. Drugim natomiast ważkim aspektem będzie wszystko to, co już wykracza poza sferę trzecią relacjonowanej wyprawy, zwanej na potrzeby niniejszej dysertacji technologią podróżniczą (trzeci filar – techniczny). I tak jak do technologii zaliczyć należy wszelkie opisy związane z właśnie technicznym zmaganiem się z trudami podróży, tak w przywołanym wątku drugim znajdą swoje miejsce wszystkie opisy i relacje ogniskujące wokół krajobrazów, zabudowań, historii i kultury, mnogich aspektów religijnych i światopoglądowych, opisy fauny i flory – innymi słowy: zjawiska nie będące relacją ze spotkania z Innym oraz nie będące opisem własnych, sprzętowych, trudów podróży.

---

*się, że nie zapłacę, nie wiem, może przez ton, jakim się do mnie odnosiły, a może przez coś jeszcze. Dogadaliśmy się w końcu, że zrobię odpowiednio duże zakupy na ich straganie. Kupiłem puszki brzoskwiń, ciastka, napoje, ale kobiety i tak nie wyglądały na w pełni usatysfakcjonowane. Aparat schowałem do plecaka, tego dnia odeszła mi całkiem ochota na robienie zdjęć.* P. Strzeżysz, *Makaron w sakwach, czyli rower przez Andy i Kordyliery*, Gliwice 2012, str. 177. Jak się wydaje, straganiarki nie były cwane – były zaradne i po prostu biedne.

<sup>837</sup> P. Theroux, *Stary Ekspres Patagoński. Pociągiem przez Ameryki*, Wołowiec 2012, str. 11.

Tak oznaczone trzy tematyczne filary wydają się zawierać w sobie całą problematykę poruszaną na łamach polskiej literatury podróżniczej. W jakimś sensie ów podział eksponować można także jako opisy ożywione i nieożywione, lub jako bliższe (człowiek) i dalsze (środowisko). Jakkolwiek, próbując dociec tematycznej istoty przywołanych w poprzednim rozdziale publikacji, nie sposób także nie zauważyć, że gros książek, lub poszczególnych w nich części, jest swoistym pograniczem tematycznym, gdzie jedno zawiera się w drugim lub w taki i inny sposób wykracza poza proponowane ramy. Stąd w czwartej części niniejszego rozdziału owo zagadnienie także poddane jest namysłowi.

Inną interpelacją, jaką warto w kilku słowach poruszyć, staje się również wiarygodność napotkanych sprawozdań i opowieści, lecz nie jest ani zadaniem, ani celem tej rozprawy rozstrzygać o merytorycznej zawartości sygnowanych publikacji. Zagadnienie to, jak się wydaje, bez przeszkód mogłoby albowiem stanowić odrębny namysł i prowadzić wprost do kolejnych literaturoznawczych badań. Wielu podróżnikom na przestrzeni wieków zarzucało się – w najlepszym razie – koloryzowanie i naciąganie faktów w stosunku do tego, co rzeczywiście miało miejsce, a już w połowie drugiego tysiąclecia flamandzki filozof i teolog Lipsjusz zwykł mawiać, że słońcem i solą literatury są prawdziwi krytycy. Jednak zagadnienie to jest bardziej skomplikowane niż można byłoby przypuszczać, bowiem znacznie więcej w tej materii zależy od wcześniej już obranego punktu widzenia, a konflikty na tym tle wydają się być nieuniknione – także i dziś. Warto także właśnie w tym miejscu przywołać znamienitą konkluzję Ferdynanda Ossendowskiego, gdy ten zwierzył się listownie ze swoich bolączek żonie wielkiego i sławetnego podróżnika-odkrywcy, Henry'ego Mortona Stanleya, zamieszczając własny do niej list w przedmowie do swoich „Niewolników Słońca”.

„W jednym ze swoich listów do mnie pisałaś, że uczony doktryner jest zawsze przeciwnikiem podróżnika i pod tym względem w dziwny sposób łączy się i idzie ramię w ramię z najciemniejszym analfabetą – wrogiem człowieka, mówiącego o czymś nowym i dotąd nieznanym. Pisałaś, że śmierci Kolumba z jednakową podobno gorliwością żądali uczeni uniwersytetu w Salamance i tłum ulicznych przekupniów w Madrycie... Radziłaś mi wtedy starać się zawsze o uspokojenie uczonych. Idę za tymi wskazówkami i piszę tę przedmowę. Po każdej mojej książce wśród uczonych mojej ojczyzny zaczyna panować niepokój. Słyszę trwożne pytania: Skąd autor czerpie materiał dla swoich spostrzeżeń i wniosków? Czy opisuje fakty rzeczywiste, czy posługuje się fantazją pisarza? Tym wstępem chcę wnieść ukojenie do wzburzonych umysłów uczonych różnych specjalności, przynajmniej w stosunku do tej mojej książki. Oto najwięcej autentycznych dokumentów, wskazówek, niepodlegających krytyce i oryginalnych materiałów dostarczyły mi przeróżne

żywe istoty. (...) Oni wszyscy byli moimi informatorami, oni wynaleźli w wielkiej księdze Natury rozdziały o prawdziwej Afryce, wcale niepodobnej do papierowej, chociaż opisywanej nieraz nader mądrze; oni z pobłażliwym uśmiechem oceniali dzieła uczonych – każde na swój sposób. Źródła te wskazują, że moja książka nie jest pisana dla tych uczonych, którzy, siedząc w ciemnym gabinecie na północy, piszą mądrze o płomiennym słońcu równika, lub rozwodząc się nad równością wszystkich ras ludzkich, brzydzą się dotknięcia ręki swego służącego. Jedynym źródłem dla moich wniosków jest życie, czyli powracający obraz ruchu, uczuć i myśli – obraz podziwiany przeze mnie na wszystkich lądach i morzach, a budzący odwagę wypowiedzania własnych przekonań bez oglądania się na to, czy podobają się uczonym, możliwym i niemożliwym, czy przysporzą oklasków, orderów, majątku, honorów... Czciogodna Pani! Idąc za Twoją radą, kreślę te kojące i pokojowe słowa, pełne pokory i skromności, gdyż zdzierają one ze mnie szaty zarozumiałego doktrynerstwa, imperializmu nauki, hinduskiej kastowości i nieomyłnej wszechwiedzy.”<sup>838</sup>

Tytułowe i symboliczne pojęcie „podróży ograbionej” może więc mieć także dwojakie znaczenie, gdy jeden z kontekstów niniejszej rozprawy zwróci uwagę na nieunikniony konflikt, do którego niechybnie dochodzi przy zderzeniu się świata literackiej fikcji i teorii ze światem faktograficznej i rzeczywistej literatury podróżniczej: z monopolu na teoretyzowanie ograbiani są Ossendowscy doktrynerzy, a podróżnicy i wędrowcy obdzierani niemal ze skóry, odzeganiani od czci i wiary, i grabieni na końcu przez gabinetowych podróżników<sup>839</sup> pokroju wielkiego Jamesa Frazera.

Kontekstualność pojęcia „ograbienie” posiada w swoim semantycznym zakresie rozumienia tak wielorakie możliwości interpretacji, że bardzo trudno uchwycić te właściwe i najważniejsze – jeśli takowe w ogóle istnieją. Czym bowiem istniał by świat, gdyby nie był pokazywany? Jak jechać w podróż i nie wiedzieć, albo tego co zobaczone, nie pokazywać? Jak milczeć, chociażby fotografią, gdy dostrzeżony obraz zionie ogniem elementarnych niesprawiedliwości. Ucisk dyktatorów żywi się ciszą i milczeniem. Niepokazywana Birma odpowiada wojskowym polecnikom. Czym ciszej, tym lepiej. Czy więc „ograbienie” nie będzie mniejszym złem? Gdzie przebiega cienka linia między podróżniczym prawem do

---

<sup>838</sup> A.F. Ossendowski, *Niewolnicy słońca*, Poznań 2011, str. 7.

<sup>839</sup> Na konflikt, ale także na konieczną współegzystencję, wskazuje w swoich przemyśleniach także Ewa Łukaszyk, pisząc: *Wyjście na pustynię, bycie w drodze, pokusa i marzenie człowieka osiadłego, może znajdować realizację w rytuale, micie i literaturze. Rytuał czy labirynt wyrysowany na posadzce zapewnią zastępczą formę wędrówki, otwierają możliwość skorzystania z jej uświęcających i regeneracyjnych właściwości bez narażania się na trudy i niebezpieczeństwa prawdziwej drogi, bez konieczności radykalnej rezygnacji z osiadłości. Rytualnym labiryntem może być także opowieść: już od czasów Gilgamesza mityczni i literaccy bohaterowie są delegatami człowieka osiadłego, odbywającymi wędrówkę, w którą on sam nie śmie wyruszyć.* E. Łukaszyk, *Pokusa pustyni*, Kraków 2005, str. 8.

zrobienia fotografii a ludzkim prawem do ochrony swojego wizerunku? Jeśli nie ma prawa – czy jest wtedy jakieś prawo? Czy informacja będzie ograbieniem? *Pierwsze zło, które się zdarzyło, to fakt, że informacja stała się towarem. Ale to nie koniec. Towar trzeba opakować i dziś to opakowanie jest ważniejsze.*<sup>840</sup> Pytania o granice wydają się być jak najbardziej zasadne, gdy jednoznaczność bardziej przypomina brak dróg w Mongolii niż szeroką autostradę prosto do San Francisco.

---

<sup>840</sup> W. Jagielski. W: A. Wójcińska, *Reportrzy bez fikcji*, Wołowiec 2011, str. 81.

## 2. Człowiek

Nie ma bodaj książki podróżniczej, by postać spotkanego po drodze człowieka się nie pojawiła. Jagielski: *Dziadek Islam w ciągu dnia handlował na bazarze zagranicznymi papierosami i gumą do żucia. Wieczorami dorabiał jako taksówkarz. Za dnia zarabiał pieniądze, wciskając mi szmuglowane z Turcji papierosy Lucky Strike (codziennie obiecywał, że nazajutrz załatwi rothmansy), nocą zaś – wożąc mnie po mieście na wyznaczone przez czecheńskich ministrów spotkania w urzędach i gospodach.*<sup>841</sup> Piskała: *Obok mnie wynajął pokój starszy mężczyzna. Nigdy nie próbowaliśmy rozmawiać. Wstawałem rano, on się modlił. Wracałem do pokoju i prąłem rzeczy, on się modlił. Przesuwał się tylko w cień, za słońcem. Patrzył na lśniące od białej farby podwórko i na to, jak wyciskam wodę ze swoich majtek, koszulek, skarpetek, i się modlił. Nasze czynności się pokrywały – ja prąłem, on się modlił. Ja oddychałem, on się modlił.*<sup>842</sup> Buda-Rodriguez: *Yamila, dzięki zakochanemu w niej kelnerowi, bywała często w El Valle i kokietowała cudzoziemców. Weszło jej to w krew. Przebywając od rana do wieczora, a często od wieczora do rana w motelu, miała swych stałych klientów, którzy przyjeżdżali coraz częściej, odkąd Yamila tam urzędowała.*<sup>843</sup> Są na każdym kontynencie, przez karty wszystkich opowieści. Przewijają się ludzkie postaci, które podróżnik niejako na dwa sposoby spotyka na swojej drodze: są to ludzie w jakimś sensie pomagający mu podróżować i świadczący na jego rzecz jakieś lokalne i regionalne usługi (taksówkarze, hotelarze, kierowcy, sprzedawcy, policjanci, obsługi lotnisk i portów, pucybuci, prostytutki, lekarze), oraz ludzie spotkani przypadkowo, z którymi wędrowcę zaczyna łączyć nić na tyle interesującej rozmowy, choćby zdawkowej, że jej pamięć przenosi później na strony swojej książki – i tych bodaj jest najwięcej.<sup>844</sup> Czasem jest i tak, jak u

---

<sup>841</sup> W. Jagielski, *Wieże z kamienia*, Warszawa 2008, str. 140.

<sup>842</sup> K. Piskała, *Sudan*, Warszawa 2010, str. 149.

<sup>843</sup> A. Buda-Rodriguez, *Kuba daleka piękna wyspa*, Poznań 2009, str. 165.

<sup>844</sup> Prześmiewczo o podróżniczym towarzystwie mawia także nie kto inny, jak Paul Theroux, rozpoczynając swoją reepopeję podróżniczą cynicznym akapitem: *Podróżników uważa się za śmialków, a przecież tak naprawdę podróżowanie jest jednym z najbardziej leniwych sposobów spędzania czasu. Podróż to jednak nie tylko leniuchowanie, to cały złożony „proces” nieróbstwa, dzięki któremu możemy skupić uwagę bliskich na własnej nieobecności, zakłócając cudzą intymność i jawnie wykorzystując innych. Podróżnik to wyjątkowo łakomy gatunek romantycznego voyeura, który znakomicie potrafi skrywać próżność, arogancję i niemal patologiczną mitomanię. Życia nie uprzykrzają mu więc tajna policja, szamani czy malaria, ale perspektywa natknięcia się na innego podróżnika. P. Theroux, *Pociąg widmo do Gwiazdy Wschodu. Szlakiem „Wielkiego bazaru kolejowego”*, Wołowiec 2010, str. 9.*



wprawnych dziennikarzy i reporterów, że jadąc w jakieś miejsce, już dokładnie wcześniej wiedzą, kogo chcą spotkać, z kim rozmawiać i kto jest im niezbędny, by zamierzona z ich punktu widzenia fabuła miała sens i znaczenie. Można powiedzieć, że w takich nieodosobnionych przypadkach scenariusz podróży napisany jest skrzętnie i precyzyjnie jeszcze przed spakowaniem polskich walizek. Dzieje się tak jednak raczej tylko i wyłącznie w przypadku podróży o zabarwieniu zawodowym, gdzie podróżnik-dziennikarz ma do wykonania jakąś etatową pracę lub redakcyjny zamysł takiego czy innego artykułu spisanego dla takiej czy innej redakcji. Wielokrotnie zwracał no to zagadnienie także uwagę Ryszard Kapuściński, pisząc np.: *Przyjaźnie są niezbędne dla reportera, bo powodzenie w tym zawodzie zależy od nich. Bez ludzi żaden dziennikarz nie może pracować. Poeci i pisarze swoje studia, pisarstwo opierać mogą na wyobraźni, dla reportera niezbędni są ludzie, to oni są prawdziwym źródłem jego inspiracji.*<sup>845</sup> Praca dziennikarska i reporterska rządzi się więc swoimi prawami i być może dlatego po wielokroć można odnieść wrażenie, że profesjonalnie tworzone reportaże pozbawione są wątku przypadkowości i zdania się na los, choć oczywiście nie można takiego stwierdzenia skonstruować kategorycznie, gdyż gros wydarzeń i tak ma charakter przypadkowy i niezaplanowany – jednak niejako we wtórnym ujęciu. Natomiast uważny podróżniczy czytelnik, wertujący stronę za stroną i akapit po akapicie, dostrzeże diametralną różnicę pomiędzy tzw. okiełznaną fabułą a spontaniczną i żywiołową trasą po prostu przed siebie. W jakimś też sensie zapisy takie będą bezpośrednim skutkiem nie tylko profesji autora, ale także planu wyprawy, gdy np. reporterzy Jagielski i Górecki skupiają się na punktowej penetracji jednego kraju (lub bardzo małego i wąskiego terytorium), a Anna Jackowska jedzie na swoim motorze przez kilka państw, tworząc tym samym całkiem inną relację. Można powiedzieć, że prymarnie relacje te są różne od siebie przede wszystkim ze względu na samą genezę wyprawy.

W literaturze podróżniczej człowiek jest więc pokazywany na przeróżne sposoby. Może być przypadkowym przechodniem czy sklepikarzem, ale także dającą schronienie rodziną, o czym wiernie wspomina Magdalena Skopek: *Ostatecznie właśnie wprosiłam się na niezapowiedzianą dwumiesięczną wizytę do cudzego domu.*<sup>846</sup> Albo gdy nieco dalej dodaje: *Pierwszy czum, w nim mieszkam, należy do Lwa Nikolajewicza Akatteto, naczelnika drugiej szejhińskiej południowej brygady, żartobliwie nazywanego przez wszystkich Tolstojem.*<sup>847</sup>

---

<sup>845</sup> R. Kapuściński, *Dalem głos ubogim*, Kraków 2008, str. 45.

<sup>846</sup> M. Skopek, *Dobra krew. W krainie reniferów, bogów i ludzi*, Warszawa 2013, str. 128.

<sup>847</sup> Tamże, str. 130.

Takich i podobnych sytuacji nie jest jednak zbyt wiele, a to przede wszystkim ze względu na sam charakter przygody, która jest podróżą, przemieszczaniem się – choć, jak widać na powyższym przykładzie, nie zawsze. Ponadto, co również warto jest odnotowania, przytoczony krótki opis poddaje także pod czytelniczą rozważkę jeszcze kilka innych aspektów, gdy niejako przy okazji dowiadujemy się o patriarchalnej strukturze rodowej (dom należy do mężczyzny), oraz o innym niż w Europie nazwaniu samego budynku domu – tutaj jest on czumem. Czytając wiele wschodnich opowieści nie będą również nikogo dziwić takie nazwy określające dom jak ger lub jurta. W tym znaczeniu, choć przywołane fragmenty dotyczą w głównej mierze zobrazowania relacji międzyludzkich (między podróżnikiem a domownikiem), to literatura daje także obraz nieco szerszy, wskazując na kulturę, historię i szeroko rozumianą codzienność.

Można więc powiedzieć, że z punktu widzenia konkretnego podróżnika, a później konkretnego też współtwórcy całego obszernego gatunku *travel literature*, dochodzi na przestrzeni całej jego podróży-opowieści do czterech podstawowych relacji z człowiekiem innym niż on. Będzie to zatem relacja umownie nazwana spotkaniem z Innym (pierwsza relacja), ale również świadomość wszystkich bliskich osób, które się na czas podróży opuszcza (druga relacja). Ponadto w znaczeniu pisarskim pojawia się postać czytelnika, dla którego, jakby nie było, dana książka jest tworzona (trzecia relacja) oraz postać/postaci współtowarzyszy podróży, z którymi przychodzi dzielić trud wędrówki (czwarta relacja). Po części zagadnienie dotyczące najbliższej, pozostawionej w kraju rodziny, wraz z istotą reporterskiego pisarstwa trafnie, jak się wydaje, na łamach swoich akapitów wyklada Wojciech Jagielski: *Nieraz stoję przed pytaniem, co warta jest dobra opowieść i czy ma sens narażać się dla niej, ryzykować życie, płacić udrękami najbliższych*.<sup>848</sup> I zaraz dodaje: *Tak naprawdę wcale nie chodzi o opowieść, ale o prawdziwość i uczciwość tego, co się robi. To zaś nie poddaje się żadnym kosztorysom. Uczciwość wobec siebie, wobec tych, dla których ma być opowieść, a także, może przede wszystkim, wobec tych, o których ona będzie. Opowieść zdawkowa, powierzchowna, byle jaka zdradza lekceważenie innych i całkowitą, wgardliwą obojętność, również żalony brak szacunku dla samego siebie, dla tego, co się robi, własnego ja*.<sup>849</sup> Rzeczy te nie dzieją się w próżni, a uczciwość, o jakiej wspomina reporter, w całej rozciągłości zagadnienia dotyczy właśnie pojęcia podróży ograbionej i kontekstu wskazanego na początku niniejszego rozdziału. Czy oto ograbienie nie następuje także wobec

<sup>848</sup> W. Jagielski, *Wieże z kamienia*, Warszawa 2008, str. 87.

<sup>849</sup> Tamże.

najbliższych, których zostawia się samych? Ograbienie z czasu? Z bliskości? Z pewności? Czy ograbionym nie będzie czytelnik nabity w butelkę nierzetelnym sprawozdaniem? Co wybrać? Jaki jest stosunek wykonywanej misji do domowych obowiązków? W ostatnim czasie na rynku wydawniczym ukazała się bowiem oto przejmująca opowieść Grażyny Jagielskiej<sup>850</sup>, prywatnie żony Wojciecha Jagielskiego, która wyłuszcza drugą stronę medalu. *Dzisiaj mijają trzy miesiące, odkąd przyjęto mnie do kliniki psychiatrycznej z objawami stresu bojowego. Tak naprawdę jest to stres mojego męża, ale on zawsze oddawał mi wszystkie swoje kłopoty.*<sup>851</sup> I publicznie znany jest fakt, że reporter-podróżnik rezygnuje z wieloletniej pracy w Gazecie Wyborczej i przenosi się na stanowisko depeszerowca do Polskiej Agencji Prasowej – właśnie z powodów rodzinnych. Sytuacja ta obrazuje wiele podobnych zachowań, gdy fakt podróży nie jest tylko obojętnym i neutralnym wydarzeniem dla rodzinnego otoczenia, a cena wydaje się za wysoka. Relacja żony przejmuje i druzgocze. *Życie z kimś, kto może umrzeć kilka razy w roku, ma swoje dobre strony, choć nie od razu daje się to zauważyć. Wiara w życie jest wtedy inna, bardziej przypomina pory roku, odnawia się po każdym załamaniu mimo wszystko o wiele silniejsza.*<sup>852</sup> Literatura podróżnicza zna także wiele przykładów, gdy autorzy – można odnieść takie wrażenie – traktują swoją twórczość pisarską jako swego rodzaju oczyszczającą terapię, a fragmenty o rozbitych lub sklejonych relacjach rodzinnych zamieszcza np. Dimbleby, Theroux, Maciąg czy wojenna Wojtacha.

Oczywiście nie bez znaczenia będzie w tym miejscu przywołanie wspomnianej już swoistej relacji komunikacyjnej, gdy mowa jest o podróżowaniu nie samotnym, a w towarzystwie – pod rękę z dziewczyną, chłopakiem, współmałżonkiem lub po prostu w każdej innej konfiguracji koleżeńsko-rodzinnej.

„Teraz jednak dojrzałem do samodzielnej wyprawy. Podróż jest, w najlepszym razie, samotnym przedsięwzięciem: jeśli chcesz coś zobaczyć, zbadać, ocenić, musisz być sam, nieobarczony niczym towarzystwem. Inni ludzie mogą cię zwieść; do twoich splełanych wrażeń dokładają własne; jeśli są w nastroju towarzyskim, zaciemniają ci widok, jeśli zaś są nudni, niszczą ciszę retorycznymi stwierdzeniami, zakłócając twoją koncentrację zdaniem: „Och, popatrz, pada” albo „Dużo tutaj drzew”. Samotne podróżowanie może wywoływać straszne uczucie osamotnienia (i jest stylem podróży niepojętym dla

---

<sup>850</sup> Autorka, na co dzień tłumaczka literatury angielskiej i dziennikarka, publikuje także w przeszłości powieść „Korespondent”, na kartach której kreśli rzeczywistość środowiska korespondentów wojennych, opisując zawiłą historię Matyasów, a na ich tle ukazując skomplikowane meandry tworzenia reporterskich materiałów. Por. G. Jagielska, *Korespondent*, Warszawa 2004.

<sup>851</sup> G. Jagielska, *Miłość z kamienia. Życie z korespondentem wojennym*, Kraków 2013, str. 5.

<sup>852</sup> Tamże, str. 6.

Japończyków, którzy widząc, jak uśmiechasz się melancholijnie do polany meksykańskich jaskrów, zazwyczaj mówią coś w rodzaju: „A gdzie jest reszta twojej grupy?”<sup>853</sup>

Kontrowersyjna teza samotnego reportera przemierzającego w żelaznych pociągach obie Ameryki może się podobać lub nie, jednak wskazuje na istotny aspekt podróźniczego rzemiosła, gdy wędruje się w parach, w trójkę lub jeszcze w większej grupie. Skala takich wypraw dobrze widoczna jest w perspektywie wszystkich przywołanych tutaj publikacji, gdy i eskapady rowerowe, i motorowe, i w końcu samotna podróż Kingi Choszcz z Chopinem – wszystko to wskazuje na inny wymiar takiej podróży. Nie można także nie brać pod uwagę niebagatelnego czynnika poczucia bezpieczeństwa, gdy wyprawa z drugą osobą może w tym wypadku spełniać warunki dodatkowego ubezpieczenia. Jednak lemat wysnuty ponad trzydzieści lat temu przez amerykańskiego obywatela nie jest pozbawiony sensu i trudno odmówić mu racji. Tym bardziej, gdy nieco dalej wyklada kolejne swoje stanowisko.

„Tymczasowość podróży często intensyfikuje znajomość, przeobrażając ją w bliską przyjaźń. Coś podobnego ma jednak zgubny wpływ na człowieka spieszącego się na pociąg. To, co piszę, brzmi tak, jakbym skrycie sugerował, że wdałem się w płomienny romans, który mnie zatrzymywał. (Jeszcze tylko jeden dzień, najdroższy, a potem złamiesz mi serce i odjedziesz...). Nic podobnego się nie wydarzyło. Sprawy były znacznie prostsze, ale powodowały opóźnienie. Z obcymi dawałem sobie radę, jednak przyjaciele wymagali uwagi. Łatwiej podróżować w przebraniu samotnej anonimowości, podkrecać wasy, pykać z fajki, wyruszać z miasta o świcie. Ameryka Południowa stanowiła zadanie z geografii, rozwiązywalne tylko pod warunkiem, że człowiek się przemieszczał. Zatrzymanie się w jednym miejscu prowadziło do oszołomienia. Ludzie skarżyli się na barbarzyńskość różnych miejsc, ale jeśli o mnie chodzi, okazywały się za mało barbarzyńskie.”<sup>854</sup>

W całym omawianym kontekście obecności postaci człowieka na kartach literatury podróźniczej, swoistym zjawiskiem, niecodziennym i symbolicznym, wręcz fenomenem, będzie osoba nie przywoływanego dotychczas na łamach niniejszej rozprawy Mariusza Wilka wraz z jego pięcioma tomami publikacji. Na jednej z okładek książek-notesów zapisano: pisarz-włóczęga. Wszak postać to nietuzinkowa. Dawny działacz polskiej opozycji wyprowadził się do Rosji – aż na Wyspy Sołowieckie. Uciekł? Porzucił? Zbuntował? Na przestrzeni dwudziestu ostatnich lat wydaje kolejno „Wilczy notes”, „Wołokę” „Dom nad Oniego”, „Tropami Rena” oraz „Lotem gęsi”. Z pasją mieszka na dalekiej północy wiodąc

---

<sup>853</sup> P. Theroux, *Stary Ekspres Patagoński. Pociągiem przez Ameryki*. Wołowiec 2012, str. 231.

<sup>854</sup> Tamże, str. 386.

swoje opowieści o krainie nad Morzem Białym. Trzy ostatnie tytuły składają się na tzw. „Dziennik Północny”, a autor w charakterystyczny dla siebie sposób opisuje otaczającą go rzeczywistość. Pełno tam wszystkiego, a pośród nieokiełznanej przyrody i zapomnianej historii postać człowieka wysuwa się bodaj na plan pierwszy. Wilk, meandrując wokół rosyjskiej codzienności, rozwiewa żale i zgryzoty. Pokazuje ludzi w obliczu ich codziennej logiki przetrwania i w tym znaczeniu wydane książki nie są opisem jego losu, a wnikliwą obserwacją najbliższych sąsiadów. Dziwna więc to podróż – bardziej penetrujące przeniesienie niż wędrowna optyka. Sam zresztą dokonuje licznych i jaskrawych kategoryzacji, pisząc np. o *travel literature*: *Wiecie, czym się różni książka podróżnicza od książki-tropy. Ta pierwsza – według White’a – jest kolekcją wiorst, rodzajem kulturalnej turystyki (trochę historii i trochę kuchni, nieco śmego i owego), druga jest włóczęgą w pełnym tego słowa znaczeniu. Nigdy bowiem nie wiesz, pisząc, dokąd dotrzesz! Książki-tropy nie mają ani początku, ani końca, są kolejnymi śladami jednej i tej samej tropy, gdzie prolog może okazać się epilogiem, a epilog – prologiem.*<sup>855</sup> Zważywszy na całość polskich podróżniczych publikacji, zarówno postać, jak i dzieła Wilka, zdają się być jedyne. Nikt więcej nie robi takich rzeczy. Ciągnie wilka do lasu. Jego książki, będąc kapitalnym przewodnikiem kulturoznawczym, ukazują autorski obraz rzeczywistości tak poetycko odmiennej od każdej innej, jaka wyłania się z wielu podróżniczych tytułów, że dla czytelnika zdają się nie mieć końca – będąc właśnie książką-tropą. Jeśli więc zagadnienie bytności człowieka na kartach literatury podróżniczej miałyby zostać jakoś wyróżnione, byłaby to z pewnością proza Wilka. Na domiar wszystkiego autor, na łamach ostatniej części „Dziennika Północnego”, relacjonuje także swoją inną przygodę, a mianowicie wyprawę z kolegami na Labrador, śladem „Niebieskiej drogi” wspomnianego Kennetha White’a. Można także przypuszczać, że „Lotem gęsi” nie jest ostatnim prozatorskim dziełem pisarza-włóczęgi, bowiem między wierszami zanosi się na przeprowadzkę – tym razem w stronę południa.

---

<sup>855</sup> M. Wilk, *Lotem gęsi*, Warszawa 2012, str. 16.

### 3. Środowisko

**D**rugim planem, na którym niejako rozgrywa się podróżniczy teatralny spektakl, jest cała tematyczna materia związana z naturalnym środowiskiem Innego: jego domem, kulturą, religią, jego zwyczajami i obrzędami, z pełnym zakresem przyrodniczego ukształtowania terenu, z drogami, infrastrukturą i wszystkim tym, co podróżnik spotyka na swoim szlaku jako szeroko pojęte dziedzictwo cywilizacyjne.

„I każdy, kto tę księgę czytać będzie, lub ci, którzy jej będą słuchać, wierzyć jej mają, bo wszystko to są rzeczy prawdziwe. Gdyż powiadam wam, że od czasu kiedy nasz Pan Bóg stworzył własnymi rękami Adama, praojca naszego, aż do dnia dzisiejszego nie było chrześcijanina ani Saracena, ani Połańca, ani Tatarą, ani Hindusa, ani żadnego człeka jakiegokolwiek nacji, który by tyle zwiedził różnych części świata i tyle poznał wielkich dziwów, co ów Imć Marco zwiedził i poznał. I dlatego uważa on, że byłaby to wielka szkoda nie spisać tych wszystkich cudów, jakie widział lub o jakich słyszał z pewnych źródeł, aby też inni ludzie, którzy ich nie widzieli i nie poznali, dowiedzieli się o nich z tej księgi. I powiadam wam, że dla poznania tych spraw przebywał on w tych różnych częściach ziemi i krainach odległych dobrych lat dwadzieścia sześć, od pierwszej młodości do czterdziestego roku życia.”<sup>856</sup>

Prastary Marco Polo widział rzeczy, które jego współczesnym się nie śniły. A potem, siedząc w więzieniu, opisywał świat. Dzisiaj, na swój sposób, mianem „Marco Polo” można byłoby nazwać cały zbiór podróżników, a wszystkie podróżnicze publikacje zawrzeć w „Opisaniu świata” ówczesnego Wenecjanina. I choć Marco Polo wraz z ojcem podróżowali na wschód, to gdzie jest wschód na wschodzie? – tym samym podróżując wszędzie. Literatura podróżnicza zdaje się więc zwierać w sobie wszystkie te wątki.

„Człowiek od zarania dziejów był istotą wędrującą i ma to zapisane w genach. Dziedzictwo moich przaprzodków otwiera przede mną przestrzeń. Przejście czyni wolnym, czyni mnie ptakiem. Steruję swoim losem, ode mnie zależy, kim będę i gdzie będę. Jedyne ja sam mogę ograniczyć swoją wolność. Bóg Starego Testamentu narodem wybranym uczynił nomadów, jego pierwszą świątynią był namiot, pierwszym ołtarzem przenoszona wciąż arka. Nic stałego, nic trwałego. Nomadzi ci szukali swojej Ziemi Obiecanej, a potem, zanim odkryto Amerykę, ludzkość marzyła o legendarnej Krainie Siedmiu Miast, Ciboli,

---

<sup>856</sup> M. Polo, *Opisanie świata*, Warszawa 2010, str. 3.

szukano źródeł Wiecznej Młodości, podróżowano do bajecznego Ofiru. Mnie opętała legenda zaginionych miast. Czy Paititi jest tym mirażem? Nie... przecież natknąłem się na tyle tropów, wiem, czuję, że jestem tak blisko... tylko ten pech... ten ostatni dzień, który ściągnął na nas tyle przykrych niespodzianek...»<sup>857</sup>

Rozmyślanie Pałkiewicza, choć na końcu rozczarowujące, wyraźnie pokazuje szeroki kontekst prowadzonych wypraw i podróży. Nie każdy jednak odkrywa – ale każdy ogląda. Intertekstualna mozaika, jaka wyłania się później z tego galimatiasu kierunków i dróg, ukazuje tematykę tak szeroką i zasobną w treść, że trudno tutaj o przeprowadzenie i wytyczenie jasnych i klarownych podziałów. Książki opowiadają o wszystkim. Mieszają w sobie tak wiele wątków, że nie sposób o jednej publikacji powiedzieć, że tematycznie dotyczy ona tego zagadnienia, albo tamtego. Warto także nadmienić, że w szerokim kontekście środowiskowa tematyka, na jaką zwracają uwagę autorzy-podróżnicy znajduje już w dużej części swój opis przy okazji kontynentalnej wędrówki zarysowanej w poprzednim rozdziale niniejszej dysertacji i bardzo często z zawartych tam kilku zdań cytacji można wywnioskować, wokół jakiego zagadnienia kluczyć będzie globtroter.

Z pewnością jednak można określić kilka głównych pól, na których podróżnicze przygody nabierają blasku przez książkową publikacją. Dzieje się tak na przykładzie wszystkich wspomnień, które przywołują np. tzw. triumfy zwycięstw, czyli nietuzinkowe dokonania rodem z górskich szczytów czy morskich fal. Wspomina o tym i żeglująca Monika Witkowska: *No i mamy pierwsze lody! Zaskoczenie totalne, bo nie oczekiwaliśmy ich tu teraz, tak szybko i w takiej ilości. Owszem, liczyliśmy się z małymi growlerami, czyli blikami lodu pływającymi sobie tu i ówdzie, a tymczasem trafiliśmy na normalne, regularne pola lodowe, a nawet całkiem duże niby-góry lodowe, choć mimo wszystko nie takie duże jak na Grenlandii*<sup>858</sup>, i pedałujący Maciej Czapiński: *Zrobiliśmy sesję zdjęciową. Przebrani w biało-czerwone bluzy stanęliśmy we trzech obok pomnika, potem na nim. Potem każdy sam. Jeszcze z rowerem. Nie ma fanfar, ale wicher wyje potępieńczo na naszą cześć. Nie ma wiwatujących tłumów, jesteśmy zupełnie sami na tym surowym kawałku ziemi. Chyba tak najlepiej. Na parę minut każdy idzie w swoją stronę, siada na skałach i zatapia się w myślach, patrząc na morze. „Tam za morzem jest Antarktyda. Tam mnie jeszcze nie było” – pomyślałem*<sup>859</sup>, i wchodząca na swoje życiowe szczyty Ewa Czerwińska: *Po umocowaniu raka miałam jeszcze więcej*

---

<sup>857</sup> J. Pałkiewicz, A. Kapłanek, *El Dorado*, Poznań 2005, str. 440.

<sup>858</sup> M. Witkowska, *Kurs Czukotka*, Warszawa 2013, str. 81.

<sup>859</sup> M. Czapiński, *Afryka. Przekrój podłużny*, Kraków 2011, str. 319.

determinacji. *Założyłam maskę i weszłam w Uskok Hillary'ego. Byłam tak zmotywowana, że zanim się zorientowałam, gdzie jestem, już stałam na górze. Poręczówki zostawiłam w spokoju, tu chwyciłam się skały, tam wbiłam czekan w lód i po kłopotcie.*<sup>860</sup> Wspominają żeglarze i marynarze, inni rowerzyści czy każdy, kto w jakimś sensie osiągnął swój punktowy cel. Na przestrzeni wszystkich przywołanych publikacji, gdy np. motor lub samochód staje się kompanem na dobre i złe, dotarcie razem do wyznaczonego miejsca jest triumfem i zwycięstwem. Tematyka związana z realizacją planów i zamierzeń oczywiście nie żyje sama dla siebie, jednak to ona staje się osią podróźniczego opisu. Aspekt ten, by go na potrzeby poniższego przemyślenia zobrazować, bardzo dobrze jest widoczny na przykładzie przywołanej już na początku rozprawy publikacji „Každy ma swoje Kilimandżaro”, gdzie niepełnosprawni podopieczni fundacji Anny Dymnej solidarnie, razem i wspólnie, zdobywają Dach Afryki. Książka ta jest typowym przykładem, gdzie tematyka ogniskuje wokół realizacji konkretnie obranego celu i całe niemal sprawozdanie podporządkowane jest temu zagadnieniu.

Nieco innym polem tematycznym może być także wyodrębnienie zagadnienia, które niezbyt często pojawia się na kartach podróźniczych publikacji. I choć jest nadmieniane niejako przy okazji wielu akapitów, to wyraźnie i obszernie tematyka ta występuje tylko w kilku konkretnych książkach. Mam tutaj na myśli, niestety, problematykę związaną z wojną i wszelkimi działaniami militarnymi. Być może lepiej byłoby, gdyby takie książki mogły nie powstawać i należy mieć nadzieję, że będzie ich jednak coraz mniej. Przede wszystkim jest to więc domena dziennikarzy i reporterów, którzy bezpośrednio – zawodowo i profesjonalnie – zajmują się takimi zagadnieniami. Najbardziej jaskrawym przykładem takiej publikacji będzie oczywiście ostatnia książka telewizyjnej reporterki Anny Wojtacy, gdzie „praca przy konflikcie militarnym” staje się kanwą opowieści. Typiczna relacja pokazuje wojnę niemal od kuchni – i to wojna właśnie jest pejzażem. *Cholerny Hamas. Jedziemy do hotelu i rozglądamy się wokół. Cisza. Jedziemy przez wzniesioną ludzką nienawiścią cmentarz. Jedziemy przez śmierć. Otaczają nas ostre kikuty zbombardowanych budynków. Spoglądają na nas zawałone dachy domów. Widok jest wstrząsający.*<sup>861</sup> Okrutny świat zionie zniszczeniem, a ofiary i sprawcy nie milczą. Gdy Agnieszka Wójcińska pyta na łamach swoich „Reporterów bez fikcji” Wojciecha Jagielskiego, jak rozmawia ze zbrodniarzami, ten odpowiada: *Normalnie.*

---

<sup>860</sup> E. Czerwińska, *GórFanka. Na szczytach Himalajów*, Warszawa 2009, str. 43.

<sup>861</sup> A. Wojtacha, *Kruchy lód*, Warszawa 2012, str. 167.



*Pytam o wiele rzeczy. I czekam na okazję, kiedy z rozmówcy wyjdzie prawdziwa twarz.*<sup>862</sup> Gdy chwilę wcześniej rozmawia z Wojciechem Tochmanem, ten mówi: *Świat, gdyby chciał, mógłby powstrzymać wszystkie ludobójstwa, które się dzieją. Świat ma taką siłę. Wyborcy mogliby zdyskwalifikować polityków, którzy nie zareagowali na Srebrenicę i Rwandę. A jednak tego nie robią. Dlatego reportaże warto pisać tak, by czytelnik poczuł na własnej skórze strach, ból i upokorzenie ofiar.*<sup>863</sup> Na swój sposób wojenny Irak relacjonuje Paweł Smoleński, pisząc ze zbombardowanej stolicy: *Już późna noc, Bagdad wygląda tak, jakby tu właśnie dawno, dawno temu nastąpił koniec cywilizacji. Wymarłe domy, czarne oczodoły okien, płonące sterty śmieci, puste chodniki, ciemno, choć oko wykol.*<sup>864</sup> Powojenne zgliszcza opisuje też Wojciech Górecki w swoich książkach o Kaukazie, czy Grzegorz Torzecki kreśląc pogmatwaną krwawą historię w historyczno-literackiej „Birmie”. Można zauważyć, że poruszana tematyka wojenna zbliżona jest w swojej istocie także do osobniczego spotkania z Innym, gdy autorzy takich relacji nie tyle opisują spalone wraki czołgów, ile bardziej powojenne życie czołgisty (Wojna nigdy nie kończy się dla tych, co walczyli – mawiał Malaparte); nie tyle zawalone okopy, ile bardziej pełne przechodniów ulice wyrosłe na tych dołach. Nie bez znaczenia w tym kontekście będą także wszelkie opowieści, które dotyczą realiów postsowieckich, czyli te relacje (rowerowe, motocyklowe), które opisują świat samej Rosji i niepodległych dziś krajów, dawniej wchodzących w skład wielkiego Związku Radzieckiego.

W związku z przywołaniem zagadnień bezpośrednio związanych z zawodowym dziennikarstwem i literaturą reportażową nie sposób w kilku zdaniach nie odnieść się także do problematyki, która niejako naturalnie wypływa z prymarnej istoty profesji danego podróżnika. Gdy bowiem swoje książki publikują dziennikarze, zakres poruszanych spraw generalnie skupia się na bardzo specyficznych i specjalistycznych ujęciach politycznych, gospodarczych i społecznych. W związku z tym zdarza się w księgarniach, że książki te nie leżą na półkach z literaturą podróżniczą, a znaleźć je można np. na regałach z tzw. literaturą faktu lub reportażem (*Nie klasyfikuję niczego, z sobą samym włącznie. Pozostawiam to czytelnikom. Uważam, że „Nocni wędrowcy” nie są reportażem, bo występują w nich postaci fikcyjne. Stworzone z prawdziwych cech, ale wymyślone. A reportaż jest kanonem dziennikarskim, czyli nie może kłamać. Bartosz Marzec napisał, że to jest powieść*

<sup>862</sup> W. Tochman. W: A. Wójcińska, *Reporterzy bez fikcji*, Wołowiec 2011, str. 83.

<sup>863</sup> W. Jagielski. W: A. Wójcińska, *Reporterzy bez fikcji*, Wołowiec 2011, str. 72.

<sup>864</sup> P. Smoleński, *Irak. Piekło w raj*, Wołowiec 2012, str. 141.

*dokumentalna, i to mi odpowiada. Ładne to jest*<sup>865</sup>). Redakcyjni wysłannicy nie piszą więc o rowerowych eskapadach czy o odwiedzanych warsztatach samochodowych, a bardziej skupiają swoją i czytelniczną uwagę na szerszych kontekstach wewnątrzpaństwowych i wewnątrzobywatelskich. Taki po prostu jest charakter ich pracy, a później publikacji. Książki te traktują bardziej o mechanizmach, niż o szarej codzienności np. Kubańczyków z relacji Krzysztofa Mroziewicza. Inaczej o izraelskiej Ścianie Płaczu pisze dziennikarz Eli Barbur, a inaczej rowerzysta Krzysztof Skok. W tym znaczeniu choć tematyka podróźniczych książek jest zbliżona, to ujęcie będzie zgoła inne. Niebagatelna wszelako z czytelniczego punktu widzenia będzie jednak kontekstualność tych publikacji, gdy za jednym razem można dowiedzieć się i gdzie postawić rower, i jak się pomodlić. Każdy z podróźników zwróci uwagę na coś innego i dla każdego z nich, z osobna, różne zagadnienia pojawią się na planie pierwszym. I choć wędrowiec-autor swoje książki tworzy według własnego pomysłu, to w późniejszym okresie wszystkie publikacje razem wzięte wnoszą jakość nie do przecenienia.

Kolejną problematyką, która na kartach literatury podróźniczej pojawia się w miarę regularnie będzie więc oto zagadnienie związane bezpośrednio z duchowością Innego, czyli jego religie, wierzenia, przesady czy magie. Można w jakimś sensie mówić tutaj o dwóch głównych gałęziach, gdy do jednej zaliczymy relacje misjonarzy, księży czy sióstr zakonnych, a do drugiej wszystkie opowieści ludzi świeckich i niekonsekwentnych. Przy okazji obrazów afrykańskich przywołane były już tytuły książek np. księdza Hieronima Siwka (*Na Afrykę trzeba patrzeć nie przez soczewkę aparatu, ale oczami serca, bo wtedy dostrzegamy rzeczy i ludzi, których nikt i nigdzie nie zauważy*<sup>866</sup>) czy też siostry Haliny Domagały piszącej o swoim bracie misjonarzu. I tak jak już wtedy nadmieniałem, w wielu bardzo niskich nakładach, niejako w obiegu zamkniętym, podobnych publikacji ukazuje się bardzo wiele. Są to więc wspomnienia, pamiętniki, zbiory listów do rodzin i przyjaciół, opisy kierowane na wewnętrzny pożytek jakiegoś Kościoła czy misyjnego zgromadzenia. Wiele z tych opowieści ukazuje się także w religijnej prasie. Z pewnością temat ten zasługuje na osobną analizę i gruntowne badanie, przede wszystkim ze względu na unikatową wartość takich relacji, które pisane są niejako z pierwszej ręki. Ponadto autorzy przez bardzo długi czas mieszkają i przebywają w miejscach swoich opisów, a przez to poruszana problematyka ma, jak się wydaje, znaczenie i wartość niebagatelną. Osobną częścią tematyczną tego zagadnienia mogą być także wszelkie publikacje, które stanowią relację z pielgrzymki lub

<sup>865</sup> W. Jagielski. W: A. Wójcińska, *Reporterzy bez fikcji*, Wołowiec 2011, str. 78.

<sup>866</sup> H. Siwek, *Moja piękna Afryka*, Kraków 2009, str. 9.

każdej wędrowki mającej zabarwienie o charakterze modlitewnym. Nawet samotny marsz Kuryły dookoła świata miał swoją religijną intencję (obok medialnie eksponowanej idei świata bez konfliktów zbrojnych była to także swoista ofiara w obronie życia dzieci nienarodzonych), a cały tom Szymona Hołowni w całości poświęcony jest zagadnieniom religijnym – *Ta książka to nie jest przekrojowy raport o stanie Kościoła na świecie. To podróże zapisku katolika...*<sup>867</sup>

Natomiast swoje trzy grosze do tej tematyki wtrąca także cytowany już nieco wcześniej Eric Weiner, prowadzący przez cały świat wędrowkę w poszukiwaniu bóstwa idealnego. Ta kapitalna relacja, w całości skupiająca się na tematyce quasi religijnej, stanowi w jakimś sensie kwintesencję wszystkich innych publikacji, i tak jak opowieść o Burgasie i Bosmanie zawiera w sobie pełnię podróźniczej relacji człowiek-zwierzę, tak humorystyczna miejscami deskrypcja Weinerja jak duża klamra spina charakterystykę wierzącego i modlącego się na różne sposoby świata. Książka, choć gdzieniegdzie gorzka i twarda – *Wystarczy spojrzeć na nagłówki gazet: tu muzułmańscy terroryści, tam katoliccy księża pedofile, gdzie indziej seksty głoszące koniec świata. To za sprawą takich wypaczeń wielu moich znajomych omija religię, każdą religię, szerokim łukiem*<sup>868</sup> – stanowi więc przejmujący obraz poszukiwania i opisywania wierzeń. Nie ma takiej drugiej. W ciekawy i interesujący sposób porusza tę problematykę w swoich książkach także myśliciel-podróżnik Max Cegielski, czy w „Mozaice indyjskiej” Tomasz Mazur. Można więc powiedzieć, śledząc rozliczne wątki literatury podróźniczej, że wszelaka tematyka religijna przewija się niemal w każdej z przytaczanych publikacji i stanowi immanentną część spotkania człowieka Zachodu z dowolną kulturą Innego, mówiąc tym samym bardzo wiele o istocie dzisiejszego świata, który na wskroś jest religijny.

Wspominając powyżej motyw dwóch psich bohaterów książki kapitana Jerzego Radomskiego, Burgasa i Bosmana, nie sposób nie zwrócić również uwagi na nie tak rzadką tematykę, jaka pojawia się w podróźniczych relacjach, a mianowicie na zagadnienie związane z wędrownym oglądaniem i opisywaniem flory i fauny, gdy świadczą o nich i malownicze relacje, i setki kolorowych fotografii. Bogaty przyrodniczy świat zadziwia nie jednego. Stepy, pustynie, dżungle. Niezliczone ilości drzew i kwiatów. Zwierzęta pociągowe i hodowlane. Słonie w relacji Pauliny Plewako i zabójcze węże u Kuki Gallmann. Syberyjskie niedźwiedzie

---

<sup>867</sup> Sz. Hołownia, *Last minute, 24h chrześcijaństwa na świecie*, Kraków 2012, str. 5.

<sup>868</sup> E. Weiner, *Poznam sympatycznego Boga*, Warszawa 2012, str. 21.

u Pałkiewicza i mroczne krokodyle u Ossendowskiego. Wszędzie muchy, muszki, komary i jaszczurki. Małpy na Gibraltarze u podróżników z „Busem przez świat” i żyrafy na afrykańskich bezdrożach Serengeti. Trudno praktycznie dostrzec publikację, by przyroda w swojej krasie nie występowała. Z pewnością niebotyczny na to wpływ ma takie konstruowanie opowieści, które w wielu publikacjach przeobraża się w labirynt kolorowych fotografii. Stają się one, można odnieść wrażenie, nieodłączną częścią podróżniczej publikacji, co w czasach tzw. cywilizacji obrazkowej nie powinno dziwić. Gdy Marek Tomalik kreśli swoje opowieści o Australii, w formie książka zaczyna przeobrażać się wręcz w specjalistyczny fotograficzny album, w którym niesamowite piękno przyrody oszałamia i zaskakuje. Często także szeroko rozumiana przyroda jest naturalnym tłem do snucia wędrownych relacji, bowiem niejako przez nią, w niej i na niej wszystko się dzieje. Metaforalnie można powiedzieć, że otaczająca podróżnika przyroda staje się teatralną scenografią, scenerią dla zmagania i pokonywania trudów wyprawy – wręcz deskami scenicznymi. Pejzaże Azji, upalne słońca w Afryce, wilgotne lasy Amazonii czy też fale sięgające wysoko powyżej burty mówią często same za siebie i jakkolwiek komentarz wydaje się być zbędny. Dzikie dromadery nikogo nie dziwią, a walka Sepúlvedy o wieloryby staje się symbolem tej symbiozy: *Sześciometrowe cielsko szybowало w powietrzu, znikало za prawą burtą, by po kilku minutach pojawić się z drugiej strony, powtarzając raz za razem swoje niezwykle akrobacje. Wieloryb eskortował nas przez dwie godziny, póki nie dotarliśmy do pola bitwy, jak nazwał je kapitan Nilssen.*<sup>869</sup>

O środowisku, które otacza najpierw podróżnika, a potem przez karty jego wspomnień przebija się do czytelniczej wyobraźni, nie sposób napisać wszystkiego. Obrazów tych jest tak wiele, jak pikseli na jednej tylko fotografii. Można także na swój sposób zwrócić na to zagadnienie uwagę wracając do licznych fragmentów przytoczonych w przekroju całej rozprawy. W wielu bowiem miejscach rysuje się obraz czy to górskich szczytów, czy piachów pustyni. Malownicze opisy, gdy mówią np. o mozolnej wędrowce rowerowej, mimochodem wspominają o wzniesieniach, trawach i kamieniach. Wędrowka po miastach jest sprawozdaniem o budynkach, a dzicz dżungli obrazuje jej zieleń i soczystość – wszystko jest jak naczynia połączone, a pisząc o jednym, przy okazji wspomina się drugie.

---

<sup>869</sup> L. Sepúlveda, *Podróż do świata na końcu świata*, Warszawa 2003, str. 91.

## 4. Kulisy zmagañ

**O**sobnym zagadnieniem w toku prowadzonego namysłu nad tematyką, wokół której tworzona i sprzedawana jest literatura podróżnicza, powinno być również przywołanie takich oto sytuacji, gdy podróżnik wybiera za narzędzie swojej eskapady jakiś dowolny środek transportu i towarzyszy on mu przez cały czas trwania podróżniczej eskapady. I nie chodzi tutaj o np. autostop lub pociąg, a przede wszystkim o rower, motor lub samochód. Charakterystycznym wyjątkiem będzie w tym miejscu przywołanie także mongolskiej wyprawy na żaglowozach spisanej przez Annę Grebieniow.<sup>870</sup> Jednak, jak się wydaje, jest to tylko wyjątek, bowiem innymi, równie wymyślnymi, środkami transportu nikt już nie podróżuje i nie można doszukać się eksperymentalnych wypraw np. na deskorolce lub hulajnodze – co zresztą wydawałby się przedsięwzięciem karkołomnym. Nikt nie przeszedł też żadnego kraju (a tym bardziej regionu lub świata) np. na szczudłach...

Gdy więc dotychczas tematyka literatury podróżniczej ogniskuje wokół normatywnie dwóch głównych przywołanych w poprzednich podrozdziałach zagadnień, to akcent, jaki osoba podróżująca kładzie na ukazanie swojego własnego środka transportu ma, można powiedzieć, także jedno ze znaczeń nadrzędnych, umownie na potrzeby niniejszej dysertacji zwanym owym trzecim filarem – jednak w co najmniej podwójnym znaczeniu i dubeltowym wyrazie. Przejrzyście z wielu spisanych akapitów wyłania się bowiem taki oto podział, gdy część autorów umieszcza swój rower, motor lub samochód niejako na drugim planie snutej opowieści, traktując je jako narzędzie i pomoc w podróży, natomiast pozostała część (nawet być może większa) poświęca na opis środków transportu tak wiele miejsca, że można odnieść wrażenie o skupieniu podróżniczej uwagi tylko na tym bezdusznym, jakby nie było, towarzyszu wędrówki. Rower lub motor, rzadziej samochód (poprzez unikatową ilość takich wypraw), staje się swoistym bohaterem wyprawy i to w ich właśnie stronę kierowane są

---

<sup>870</sup> Sam pomysł, zamiar i pasja, z jakimi autorka „Żagli nad pustynią” podeszła wraz z rodzinami i grupą znajomych do zagadnienia żeglowania po Gobi sytuuję tę publikację w kilku różnych obszarach niniejszej dysertacji i z całą mocą należy stwierdzić, że podróż ta wraz ze zrealizowaniem niecodziennego wyczynu, nawiązującego przecież także do wydarzenia sprzed dziesięcioleci, bez miary wymyka się standardowej i proponowanej klasyfikacji. Mimo licznych technicznych opisów trudno sobie wyobrazić tę książkę ich pozbawionych i gdy w innych przypadkach można domniemywać, czy nawet oczekiwać, by autorzy zrezygnowali i pozbyli się szczegółowych objaśnień dotyczących np. rowerów czy motorów, to w przypadku opowieści Anny Grebieniow wskazówki te są jak najbardziej na miejscu.

przemyslenia, opisy i relacje. Zdarza się, że cały pomysł na podróż tak naprawdę jest zainspirowany fascynacją środkiem transportu, a nie chęcią przeżycia niepowtarzalnej przygody opartej o unikatowe krajobrazy czy też spotkania z ciekawymi i tak różnymi ludźmi. Wyraźnie wtedy krystalizują się dwa plany podróży, gdy na centralnym będzie niemal zawsze licznik, kilometry, pedały, części, wajchy i naprawy – a na boku cała reszta.

„Za łądę zapłaciliśmy 700 złotych. Wybór marki samochodu był bezdyskusyjny; kupno starej, osobowej łądy nie rujnowało naszych skromnych budżetów, w Rosji była popularna jak niegdyś maluchy w Polsce, od początku liczyliśmy się z awariami i naprawami w trasie, dlatego priorytetem była dostępność części, które mogłyby być nam potrzebne niemal w każdym momencie wyprawy. Łada była podobna do dużego fiata, co pozwalało bazować na mechanicznym doświadczeniu Maliny i co również istotne – nawet w Rosji ładix nie powinien być postrzegany jako towar luksusowy, a w naszym interesie leżało, żeby w jak najmniejszym stopniu epatować dobrami doczesnymi...”<sup>871</sup>

Istotą takiej wyprawy w mniejszym stopniu jest treść świata, a bardziej treściwość mozołu pokonywania problemów technicznych – jak bowiem wyprawa, to wyprawa! *Rankiem Malina zabrał się do roboty. Wyczyścił dysze w gaźniku, wymienił filtry paliwa i powietrza. Nasze auto było jak tropikalna roślina – wymagało opieki i troski, żeby żyć.*<sup>872</sup> Semantyczna różnica w powiedzeniach „książka o podróży” lub „książka o podróżowaniu” wydaje się mieć znaczenie, gdy proces podróżowania wychodzi niejako na plan pierwszy i tylko o podróżowaniu jest mowa. W tym sensie znaczenie książki podróżniczej przeobraża się z opowieści o świecie, której oczekuje czytelnik, w opowieść o technologii podróżowania – jak naciskać na pedały, jak spawać ramę, jak uszczelnić rurkę, jak skleić kierunkowskaz, czym zastąpić wentyl.

„Najpierw okazało się, że lewarki są za krótkie, aby unieść auto na odpowiednią wysokość. No to przytargaliśmy kłodę. Kłoda znów za ciężka, za gruba, trudna do manewrowania. W końcu wsadziliśmy ją pod koła. Nie starczyło. Wystaraliśmy się o drugą.”<sup>873</sup>

Sprawozdania dotyczą więc takich i podobnych sytuacji, gdy bohaterem pierwszego planu staje się wehikuł. Na domiar wszystkiego bardzo często sprawcą technicznego zamieszania, skrzętnie minuta po minucie później opisywanego i relacjonowanego, jest sam podróżnik, który to albo przez nieuwagę wjeżdża w dziurę urywając to i owo, albo źle parkuje – topiąc pojazd w piachu lub rzece, albo też przez gapiostwo staje się sprawcą lub ofiarą

<sup>871</sup> R. Biczak, *Zielone wzgórza Ulan Bator*, Katowice 2010, str. 10.

<sup>872</sup> Tamże, str. 91.

<sup>873</sup> K. Lewandowski, *Busem przez świat*, Kraków 2011, str. 164.

drogowej kolizji. Najczęściej jednak wszystko dzieje się „samo”: *Najpierw na autostradzie ześwirowały światła. Potem padł akumulator. Stanęliśmy na poboczu, kompletnie niewidoczni. Nie mogliśmy odpalić samochodu. Błyskawicznie wyskoczyliśmy w odblaskowych kamizelkach i błyskając latarkami, zepchnęliśmy auto do najbliższej stacji.*<sup>874</sup> Można oczywiście pytać, kogo to wszystko interesuje i jakie to ma znaczenie, jednak dla wierności opisu, a i ze względu na pewnie sporą liczbę czytelników zafascynowanych takimi i podobnymi sytuacjami, analogiczne relacje znajdują swoje pierwszoplanowe miejsce i swoją konieczność. Nie bez znaczenia będzie także przy okazji takich relacji wykazanie na swój sposób aspektu ludzkiej i podróżniczej zaradności. Wykazanie się kreatywnością, siłą fizyczną i przedsiębiorczością odsłania wtedy globtroterskie cechy, których posiadanie każe przypuszczać, że bez nich nic by się nie udało.

Warto więc w tym miejscu, w oparciu o powyższe rozmyślania, zwrócić szczególną uwagę na symptomatyczny oto obraz stworzony przez podróżnika, pioniera samochodowych wypraw przez Syberię, ale i samolotowego pilota i nurka głębinowego – Romualda Koperskiego. Przygotował on bowiem, i z powodzeniem zrealizował, własną, autorską, ekstremalną i samochodową wyprawę najdalej, jak tylko można. Jednak trwożne zmagania z Syberią miały zgoła inny charakter od wszystkich podobnych, a autor, zafascynowany Krainą Wiecznych Lodów, wybrał się w tę niecodzienną podróż specjalnie na tę okazję przygotowanym ciężarowym samochodem. Jego szczegółowa relacja, zawarta w dwóch obszernych tomach, stanowi przejmujące świadectwo walki człowieka z naturą i na swój sposób sytuuje się dokładnie po środku gatunku, gdy autor opowiada i o technicznym, samochodowym pokonywaniu trudności, ale także przybliża podróżniczemu czytelnikowi Syberię<sup>875</sup> jako taką. I co warte podkreślenia: Koperski jedzie dwa razy i dwoma różnymi pojazdami (każdy z tomów opowiada o odrębnej wyprawie). *Którędy? Przez całą Syberię, Alaskę, Kanadę i prawie całe terytorium USA. Wyczyn na pozór niemożliwy, ale dlaczego nierealny? Właśnie z tego powodu z uporem maniaka rozpocząłem przygotowania do*

---

<sup>874</sup> K. Lewandowski, *Busem przez świat*, Kraków 2011, str. 291.

<sup>875</sup> Jadąc przez Syberię Koperski ciągnie podróżniczy szlak także przez ogromną Jakucję, której swoją najnowszą książkę poświęcił Michał Książek, z zawodu ornitolog i kulturoznawca, a z zamiłowania syberyjski przewodnik. Opowiada więc o tej rozległej krainie jak o własnym domu, a jego publikacja staje się wręcz nieocenionym źródłem wiedzy, zarówno tej historycznej, jak i o czasach obecnych. Czytelnikowi niemal nie starcza wyobraźni, by zdać sobie sprawę, jak wielka to kraina, a przez to jak zasobna w reporterski materiał. *Jest dziesięć razy większa od Polski, a w swoich granicach pomieściłaby aż pięć Francji, sto państw wielkości Belgii, siedemdziesiąt cztery Holandie czy blisko pięćdziesiąt Litw. Czyli tak wielka, że Jakuci muszą używać aż trzech rodzajów zaimka „tam”*. M. Książek, *Jakuck*, Wołowiec 2013, str. 13.

podróży, które jak się później okazało, od początku skazane były na niedokończenie.<sup>876</sup> A potem jedzie zimą.

„W ciągu dwóch miesięcy pokonaliśmy ponad dwadzieścia dwa tysiące kilometrów oraz dwanaście stref czasowych. Sami, jednym pojazdem, bez żadnego wsparcia przejechaliśmy tysiące kilometrów syberyjskiego bezdroża w warunkach wyjątkowo mroźnej i śnieżnej zimy. Celowo wybraliśmy ten termin, aby w jak najbardziej ekstremalnych warunkach walczyć o pierwszeństwo, aby wejście „na szczyt” odbyło się najbardziej trudną tzw. północną drogą. Często na trasie byliśmy sami, o tej porze roku w drogę niechętnie wyruszają nawet Rosjanie – to pora mrozów, wichrów i śnieżyc. To my wytyczaliśmy trasy dla innych pojazdów, często biorąc je po prostu na hol. Dokonaliśmy tego, czego dotychczas nikt przed nami nie dokonał.”<sup>877</sup>

Obie jego publikacje stanowią o podróży, i to o podróży nad wyraz trudnej i wymagającej, jednak technologia przeplata się z ujęciami krajoznawczo-ludzkimi, gdy co pewien czas czytelnicza uwaga skupiona jest czy to na spotkanych żołnierzach, czy na ludziach, którzy w znoju drogi pomagają: Koperski pierwszą wyprawę organizuje i realizuje sam, natomiast w drugiej uczestniczy z nim dwóch jego kolegów, Marian Pilorz i Viktor Makarovskiy. Być może granicznym będzie więc stwierdzenie, że nie byłoby podróży Koperskiego, gdyby nie samochód, jednak, jak się wydaje, nic bardziej mylnego, bowiem trzecią część jego trylogii stanowi pasjonująca relacja dotycząca nad wyraz odważnego spływu po Lenie pontonem.<sup>878</sup> Koperski samotnie spłynął tą najdłuższą syberyjską rzeką – aż po ujście. Jest więc podróżnikiem, dla którego zdaje liczyć się wyzwanie, rekord, wyczyn. Zdobywca, podobny do równie ekstremalnego Jacka Pałkiewicza, choć i tak oryginalny i spontaniczny. Powszechnie znany jest jego muzyczny wyczyn wpisany do Księgi Rekordów Guinnessa, kiedy to w styczniu 2010 roku wykonał najdłuższy koncert fortepianowy na świecie – grając bez przerwy 103 godziny i 8 sekund.

<sup>876</sup> R. Koperski, *Pojedynek z Syberią*, Gdańsk 2011, str. 5.

<sup>877</sup> R. Koperski, *Syberia, zimowa odyseja*, Gdańsk 2011, str. 330.

<sup>878</sup> Wyczynu tego dokonał także Marcin Gienieccko, podróżnik i zdobywca. Jednak jego pasja sięga daleko dalej, niż syberyjska Lena, o czym barwnie opowiada na łamach swojej przekrojowej książki zatytułowanej „Kierunek Północ”. Autor od lat specjalizuje się w organizacji samotnych wypraw na północne części globu i jest jednym z nielicznych, którzy samotnie przepłynęli trzy największe tam rzeki: Jukon na Alasce, Mackenzie w Kanadzie i właśnie wspomnianą rosyjską Lenę. Jego podróżnicza publikacja to więc nic innego, jak katalog dokonań opisanych żywym i bezpretensjonalnym językiem, gdzie zamieszcza gros informacji zarówno o technologii samych wypraw, jak i o całej gamie przygód, charakterystyk terenu i specyfikach północnych zimnych łądów. Dokonując rzeczy niemożliwych z punktu widzenia zmagania się człowieka z własnym organizmem, zdaje się z takich wypraw czerpać przyjemność i zadowolenie. Pisze: *Ta wyprawa była inna od wszystkich. Bezdroża Azji Środkowej przemierzałem rowerem i częściowo rosyjską ciężarówką marki Kamaz – łącznie 2820 kilometrów pokonanych wertepów Uzbekistanu, Tadżykistanu, Kirgizji. Ten wyjazd do Azji był konieczny, żeby się odrodzić.* M. Gienieccko, *Kierunek Północ*, Warszawa 2013, str. 47.



Wracając jednak do przemyśleń związanych z technologicznym aspektem podróży i takim oto sytuowaniem tego zagadnienia w podróżniczych opowieściach, że stanowi ono główną część sprawozdań i relacji, można w tym miejscu przytoczyć także liczne przykłady podróży rowerowych, gdy świat przede wszystkim przedstawiony jest przez pryzmat szprych i pedałów. I niestety bardzo często na tym te opowieści się kończą. *Kiedy na przełęcz dotarła Justyna, widać było, że jest niesamowicie zmęczona. Ostatnimi siłami pchała swój rower. Przełęcz była dla niej chyba ostatnim celem jaki chciała osiągnąć. Jak już załapała oddech, oznajmiła, że zdecydowała się na powrót do Polski.*<sup>879</sup> Nic o samej przełęczy, o środowisku naturalnym, o krajobrazach. Nic o pustym stepie, o piachach, raptem kilka słów o spotkanych ludziach. Nic o kulturach, tradycjach, wierzeniach. Milczenie, które także jest ograbieniem.

Dzieje się tak w wielu podobnych sytuacjach, a kolorowe i wielobarwne książki niestety bardzo często prześcigają się między sobą w epatowaniu opowieściami nie tyle o otoczeniu, które obdarza podróżnika raz na zawsze niepowtarzalnym widokiem, ale bardziej o samym trudzie pokonywania kolejnych kilometrów.

„Zaraz za zakrętem zaczął się podjazd, który ciągnął się na przełęcz. Jakoś wcześniej, oglądając mapę, nie zwróciłem uwagi, że poziomice dziwnie się zagęściły akurat w miejscu, gdzie Ruta 12 zmierzała w stronę słynnej Ruty 40. Tysiąc metrów przewyższenia pokonałem nie bez trudu, ale wreszcie oczom ukazał się wyczekiwany zjazd. Kilkanaście kilometrów w dół, by następnie wjechać do bardzo malowniczego Camino Quebrada de las Burras.”<sup>880</sup>

Podróżniczy czytelnik niczego więcej nie dowie się o owym malowniczym miasteczku i można odnieść wrażenie, że autor przemyka przez nie jak cień i duch: nikogo i niczego nie widząc i na nic nie zwracając uwagi. Przywołany opis jest symptomatycznym przykładem dziesiątek i setek jemu podobnych, gdy sprawozdania z ekonomii i technologii trasy niemal w stu procentach zastępują refleksję nas krajobrazem i otoczeniem – a mijane wsie i miasteczka zieją bezludnością, jakby wszyscy wymarli. Niestety widać też bardzo wyraźnie występującą zależność, gdy czym więcej w publikacji pokazanych jest kolorowych zdjęć, tym mniej niejako treściwa jest przez to sama książka. Często im bardziej edycyjnie lepiej i wielobarwniej wydano opowieść podróżniczego autora, tym pewniej można się nie mylić odnoście do skąpej merytorycznej zawartości, a czytelnik – poszukujący ciekawych opisów

---

<sup>879</sup> A. Wiśniewski, *Mongolia, czyli drogi rzadko uczęszczane*, Brzezia Łąka 2011, str. 83.

<sup>880</sup> P. Strzeżysz, *Makaron w sakwach, czyli rowerem przez Andy i Kordyliery*, Gliwice 2012, str. 72.

dotyczących odwiedzanych miasteczek, kultur, religii, ubiorów mieszkańców i ich codzienności – może poczuć się rozczarowany.

„Limit dopuszczalnego przebiegu zakupionych na Madagaskarze rowerów wydawał się wynosić półtora tysiąca kilometrów. Gdy przekroczyliśmy ten dystans, oba zaczęły się konsekwentnie rozsypywać. Magda, która podczas podróży dookoła świata nie zaznała pęknięcia ani jednej szprychy, zmieniła już dwie. Teraz przyszła kolej na mnie.”<sup>881</sup>

Nie można jednak dla porządku nie dodać, że dla całkiem sporej liczby czytelników z pewnością takie i podobne opisy mogą być najbardziej ciekawymi fragmentami w danej publikacji, ponieważ z ich punktu widzenia istotą podróży jest podróżować, pokonywać móżół drogi. Sam podróżniczy wysiłek będzie więc najważniejszy, a przeprowadzane reparacje stanowić mogą najbardziej interesującą część wyprawy, odpowiadając na czytelnicze pytania: jak sobie poradzili? co zrobili? ile zapłacili? co było zepsute? co nie wytrzymało? ile trwała naprawa?

Przeciw wagą dla takich podróżniczych operacji będą książki, w których rodzaj transportu występuje nie jako główny bohater i postać pierwszoplanowa, ale jako środek do osiągnięcia celu. Gdy Paul Theroux ponad trzydzieści lat temu zaplanował i odbył z sukcesem swoją podróż żelazną koleją przez obie Ameryki, nie kolej była jego głównym natchnieniem. Osią był szlak, wokół którego wzięty podróżnik i pisarz skonstruował całą swoją narrację o Amerykach. *Jeśli miałem podróżować, musiałem podróżować lądem, gdzie każdy widok i każde miejsce miały własny zapach. Doskonale wiedziałem, że gdybym zaczął opisywać miniaturowy krajobraz oglądany przez okno samolotu, brzmiałbym jak człowiek na Księżycu.*<sup>882</sup> Jechał i notował, a o pociągach raptem może tylko kilka stron. Innym przykładem na takie podróżnicze szaleństwo może być także przywoływana już podróż przez całą Rosję Jacka Hugo-Badera, który starym i zdezelowanym UAZ-em pnie się przez Syberię. Jak na lekarstwo opisów samochodu i zimowych zmagañ z kierownicą, za to Rosja jak na tacy. Samochód służy mu za dom i źródło wiedzy, gdy zabiera w swoją podróż co chwilę nowych autostopowiczów. To jego wóz staje się pociągiem dla innych. *Nikt przez Syberię nie podróżuje samotnie. Pieriegończycy jadą grupami po kilka samochodów, żeby sobie pomagać w razie awarii. Często, jeśli któryś ma znajomego żołnierza albo milicjanta, oplacają go, żeby jechał z nimi pod bronią i w mundurze. Chroni ich przed bandytami i milicją, bo mundurowi,*

<sup>881</sup> P. Opaska, M. Opaska, *Przez Madagaskar na rowerach*, Łódź 2011, str. 173.

<sup>882</sup> P. Theroux, *Stary Ekspres Patagoński. Pociągiem przez Ameryki*, Wołowiec 2013, str. 386.

wiadomo, zawsze się dogadują.<sup>883</sup> Oba przywołane przykłady pokazują, jak transportowa formuła nie przysłania intratnego świata podróży i nie spycha rzeczy najważniejszych na margines kolejnych akapitów. Do dziś też bodaj nikt w Polsce nie skonstruował podobnej literackiej opowieści, by za środek transportu po Rosji posłużyła Kolej Transsyberyjska – a opowieść by stanowiła coś w rodzaju włączęgi i Paula Theroux, i Jacka Hugo-Badera, ale i także znamienitego Colina Thubrona: *Koła pociągu wloką się żałośnie przez Ural – jak starcy, którym brakuje oddechu.*<sup>884</sup>

Można przypuszczać, że kolejne podróżnicze książki zawsze będą w sobie nosiły pewien ładunek technologiczny. Autorzy raz zwracają na to większą uwagę, a raz nie. Jeżeli globtroterskim zamiarem staje się wyczyn lub pobicie rekordu, atencja dla niemego towarzysza podróży będzie większa. Czym natomiast bardziej podróżnik chce się zagłębić w otaczającym go świecie, tym mniej uwagi poświęci koniom mechanicznym lub wszelkim kołom w ogóle. Konstatacja taka daje także szerokie pole do swoistej analizy psychologicznej opartej na badaniu cech charakterologicznych u danego podróżnika, a pytania o prawdziwe powody i przyczyny, dla realizacji których ruszają w świat, mogą przynieść w rezultacie bardzo ciekawe odpowiedzi – inne od deklarowanych na kartach swoich publikacji.

---

<sup>883</sup> J. Hugo-Bader, *Biała gorączka*, Wołowiec 2009, str. 21.

<sup>884</sup> C. Thubron, *Po Syberii*, Wołowiec 2011, str. 9.

## 5. Pogranicza

**P**owyższe przykłady, a szczególnie także np. wnikliwa lektura wszystkich trzech podróźniczych książek Romualda Koperskiego, wskazują bezsprzecznie na jeszcze jeden z wniosków, jaki płynie z całego toku prowadzonego od początku rozprawy namysłu nad polską literaturą podróźniczą. Tak więc, jak sama ona w jakimś sensie będzie gatunkiem granicznym (pogranicznym), nierozzerwalnie związanym z reportażem, dziennikarstwem, z publikacjami o charakterze historycznym czy geograficznym, a ostatnio także ze sztuką fotografii i filmu poprzez mnogość wielobarwnych prezentacji zdjęć, slajdów i programów podróźniczych, to także wewnątrz niej samej istnieje cały szereg ogniw pośrednich, które wykraczają poza zakreślone ramy różnych klasyfikacji. Zwracając uwagę na proponowany tematyczny podział wszystkich publikacji na trzy główne grupy (filary) nie można więc nie odnieść wrażenia, że jest także spora część książek, które wyraźnie wymykają się wszelkiej bonitacji. Poza tym autorskie zamierzenia wydają się górować nad taką gradacją, która narzuciłaby na nie wszystkie jeden szablon i jedną miarę. Wśród wielu przykładów literatury o wyraźnym jądrze tematycznym jest także dosyć liczna i spora grupa książek, które jakimkolwiek ramom się wymykają. Często bywa i tak, że jakiś jeden konkretny rozdział jest inny i różny od reszty, tworząc tym samym wyjątek i ewenement. Dzieje się tak np. w fascynującej afrykańskiej opowieści Pauliny Plewako, która w niesamowity i barwny sposób przybliży realia pracy wśród zgromadzonych w rezerwacie słoni, na samym południu globu, by za chwilę przenieść czytelnika do Polski i snuć nostalgiczne, prywatne refleksje dotyczące np. jej relacji z mężczyznami. *Byłam wściekła na kolesia. Nic nie wiedziałam o tym, że są razem. Wczoraj całował się ze mną, podczas gdy jego dziewczyna czekała na niego w mieszkaniu.*<sup>885</sup> W tym znaczeniu publikacja podróźnicza zamienia się w pewnym momencie swojego trwania w swoistego rodzaju pamiętnik albo, co gorsza, w publiczne rozliczenie się ze swoją przeszłością i zionie praniem brudów, które kompletnie odstają od tytułu publikacji. W jakimś sensie rodzi się także zasadne pytanie o odpowiedzialność instytucji Wydawcy, który decyduje się na takie a nie inne publikacje i być może nawet nie sugeruje autorowi dokonania drobnych korekt, bowiem po wielokroć można odnieść wrażenie, że opublikowana

---

<sup>885</sup> P. Plewako, *Zaklinaczka słoni*, Łódź 2012, str. 197.

podróżnicza relacja pozbawiona jest pewnej wcześniejszej konsultacji merytorycznej lub redakcyjnej, a wydawca chce wydać i sprzedać wszystko jak leci. Innym pytaniem będzie także zamysł nad rodzajem odpowiedzialności wydawcy wobec autora, gdy ten, nie do końca świadomy swoich błędów, nie jest zwracany z obranej formy publicystycznej drogi. W tym znaczeniu pointą mogłaby być krytyczna konstatacja wielu grup wydawniczych: nie ważne jak, ważne ile.

Czytając rozliczne rozdziały polskiej literatury podróżniczej nie sposób także nie odnieść się do zagadnienia, które bezpośrednio związane jest z takim oto oglądem świata, gdzie europejski, w tym przypadku polski, turysta-podróżnik dokonuje bezpardonowej rzezi słownej, mającej z pewnością swoje źródło w głębokich przekonaniach i tkwiących wewnątrz białego człowieka stereotypach. Prymarne rozczarowanie i wyrażane przy wielu okazjach zdziwienie zazwyczaj świadczy tylko i wyłącznie o podróżniczej indolencji i ignorancji okazywanej krajom i ludności, do której globtroter przybywa. Przykłady się mnożą, a po przywołanym już wcześniej obrazie związanym z wyraźnie zde gustowaną podróżniczką w Mongolii<sup>886</sup>, warto w tym miejscu przytoczyć zdarzenie z pogranicza Sudanu i Etiopii opisane na łamach „Afryki...” przez rowerzystę Macieja Czaplińskiego: *Jak zawsze, zostawiliśmy rowery oparte o ścianę i poszliśmy kupić coś do jedzenia. Nie było nas chwilę – może z pół godziny, tyle tylko, ile trwa upolowanie miski „fula” i kilku soków z mango. Wróciliśmy do rowerów. – Nie ma mojego aparatu – oznajmił Rysiek. – Co się stało? Ktoś zabrał? Niemożliwe – dziwiliśmy się. Byliśmy w szoku, bo w muzułmańskich krajach takie rzeczy nam się nie zdarzały. Owszem, w Egipcie ginęły nam czasem jakieś drobiazgi, ale karna ekspedycja i stanowcza interwencja u dorosłych przynosiły natychmiast rezultaty. – Wisiał jak zawsze na kierownicy, a teraz nie ma – wyjaśnił Rysiek. – Ukradli? Jak to? – nadal nie mogliśmy uwierzyć. Poprosiliśmy o pomoc policję, ale ta niewiele mogła działać. W tej sytuacji pragnęliśmy już tylko opuścić ten cholerny Sudan.*<sup>887</sup> Czy więc to wina Sudanu, że ktoś komuś kradnie aparat, w dodatku bezmyślnie zostawiony na rowerowej kierownicy? Kto w ogóle zostawia sprzęt fotograficzny w takim miejscu? Czy nie zginąłby pod Wieżą Eiffła lub na Marszałkowskiej w Warszawie? Czemu i komu tu się dziwić? Jak do tego ma się ponad trzydzieści milionów Sudańczyków i w ogóle sam Sudan, by zaraz określać go mianem „cholernego” w nakładzie kilkutysięcznej publikacji? Autor nie ukrywa swojego zdziwienia i

---

<sup>886</sup> Mam tutaj na myśli symptomatyczną i wręcz kultową scenę z książki „Wszyscy jesteście nomadami” autorstwa Małgorzaty Dzieduszyckiej-Zielińskiej, przywołanej przy okazji omawiania publikacji związanych tematycznie z krainą Czyngis-chana. Por. str. 134.

<sup>887</sup> M. Czapliński, *Afryka. Przekrój podłużny*, Kraków 2011, str. 91.

rozczarowania, a parafrazując opis jego sytuacji, można byłoby przypuszczać (granicząc z pewnością), że innymi słowy, po pół godzinie pobytu np. w jednym z polskich hipermarketów, po powrocie nie tyle nie byłoby aparatu, ale i rowerów – i nie tylko dotyczy to Polski: złodzieje i kradzieże nie znają wszak granic. Trochę to tak, jakby reporter wojenny dziwił się, że trafiła go snajperska kula.

Poruszony drażliwy temat ma wiele odsłon. Z jednej strony jest jednoznaczny, a z drugiej można byłoby oczekiwać, że taka sytuacja się nie zdarzy. Sytuacje losowe, nie mając koloru skóry, dzieją się jednak na każdym kontynencie. Nie pływają też pod żadną banderą. Ostatecznie język wypowiedzi wraz z obraźliwą dla danego kraju konkluzją każe zastanowić się także nad rolą, jaką w świecie odgrywa sam podróżnik. Swego czasu na zagadnienie to zwrócił także uwagę Ryszard Kapuściński, tylko w takim znaczeniu, że zaczyna coraz bardziej dochodzić do głosu inna forma podróży.

„To jest turystyka, czyli właściwie podróż pozorna, bo w podróży turystycznej człowiek szuka momentu, żeby sobie odpocząć. Nie wolno go za to potępiać, ponieważ życie w naszym zbiurokratyzowanym świecie jest bardzo monotonne, jednostajne. Jeżeli więc człowiek ma ochotę i potrzebę przemieszczania się do jakiegoś miejsca, które jest cieplejsze, które mu daje poczucie pewnej wolności i swobody, ma do tego prawo. Tych podróży jest coraz więcej. W zeszłym roku 800 milionów ludzi odbyło podróż turystyczną w tej czy innej formie.”<sup>888</sup>

Nie można tego nie zauważać. Dzisiejsze dane statystyczne mówią już o okrągłej liczbie jednego miliarda turystów rocznie (*Lecz niezależnie od tego, po której stronie granicy się znajdziemy, wszyscy jesteśmy na tym świecie emigrantami – z czasowym pozwoleniem pobytu na Ziemi, nieuchronnie przejazdem...*<sup>889</sup>). Gdy więc każdy z podróżujących ludzi, w ten czy inny sposób, podzieli się swoimi wrażeniami z kimś drugim i trzecim, to w rezultacie blisko połowa ludzkiej populacji na różne sposoby o podróżowaniu rozmawia między sobą. W tym sensie zjawisko podróżowania zaczyna z roku na rok, z dekady na dekadę, przybierać obraz ogólnoświatowej i ogólnoludzkiej wędrówki. Tym samym staje się zasadne poruszenie dwóch aspektów dotyczących postaci podróżnika, gdy na co najmniej dwa sposoby staje się on swoistym ambasadorem: za pierwszym razem, gdy jest za granicą swojego kraju (reprezentując go i świadcząc o nim – *Nomada zostaje co prawda napiętnowany i wykluczony*

<sup>888</sup> R. Kapuściński. W: *Dziedzictwo Odyseusza*, red. M. Cieśla-Korytowska, O. Płaszczewska, Kraków 2007, str. 366.

<sup>889</sup> G. Kapllani, *Krótki podręcznik przekraczania granic*, Wołowiec 2009, str. 151.

ze wspólnoty ludzi osiadłych, ale jednocześnie staje się jej emisariuszem<sup>890</sup>), oraz za drugim razem, gdy powraca z podróży i opowiada o odległych krainach, które przemierzał i poznawał. O ile w pierwszym przypadku mówi się wyraźnie o całym wymiarze zewnętrznym podróży, to ogniwo drugie bodaj najbardziej reprezentowane jest właśnie w literaturze podróżniczej, ponieważ to właśnie przez nią polski podróżniczy czytelnik dowiadyuje się o innych odległych krainach. Jest więc ta literatura swoistym kanałem informacyjnym, tubą innych światów, ale także jej rozliczne karty, można powiedzieć, że stają się oryginalną ambasadą Innego w polskim domu. W tym znaczeniu wyłania się niebagatelna rola, jaką odgrywa pisarz-podróżnik, gdy dla wielu jego codziennych czytelników świat jawi się takim, jakim jest przez niego przedstawiony. Jeśli bowiem podróż jest realizacją marzeń, a odpowiedzialność, jak chce prozaik irlandzki William Butler Yeats, od marzeń się właśnie rozpoczyna, to podróż z późniejszą publikacją nie będzie niczym także innym, jak taką odpowiedzialnością.

Dosadnie, jak się wydaje, zwraca no to zagadnie uwagę cytowany już kilkakrotnie Wojciech Jagielski, który snując refleksję o etycznej standaryzacji zawodu dziennikarskiego, w jakimś sensie dotyka także swoją wypowiedzią szerokiego zagadnienia związanego z etyką podróżowania i tworzonej potem literatury podróżniczej. I choć nie mówi o tym wprost, supozycja wydaje się uprawniona.

„Dziennikarze dziś zajmują się kreowaniem własnych postaci, a nie pisaniem o tym, co nas otacza. Dopuszczają się kłamstw. Blogi są dla mnie zwierciadłem, które wyzwała w nas najgorsze rzeczy. To pamiętnik, ale nie dla siebie, tylko pisany w nadziei, że ktoś go przeczyta. Dziennikarze chorują na kompleks sławy. Odnoszę wrażenie, że dziś jedną z głównych motywacji do wykonywania tego zawodu jest, by w szczytowym momencie kariery zostać zaproszonym do programu typu *Taniec z gwiazdami* albo znaleźć się na kanapie u Kuby Wojewódzkiego. To ma być potwierdzeniem tego, że jesteśmy wielcy. Już nawet mnie to nie śmieszy ani nie zniesmacza, ale po prostu przeraża.”<sup>891</sup>

Niestety dzieje się tak również w przypadku wielu polskich książek podróżniczych i nie bez znaczenia poruszeniem tego tematu zajmuję się niejako przy końcu niniejszej rozprawy, gdy znając i przywołując pokrótce wiele przykładów z tej literatury, można w każdej chwili sięgnąć po obszernie cytowane i przywoływane publikacje. Ciekawym przykładem konkludującym to zagadnienie może być np. wspomniana już książka Opasków o

<sup>890</sup> E. Łukaszyk, *Pokusa pustyni*, Kraków 2005, str. 7.

<sup>891</sup> W. Jagielski. W: Agnieszka Wójcińska, *Reportery bez fikcji*, Wołowiec 2011, str. 80.

rowerowej eskapadzie po Madagaskarze, gdy wielka oceaniczna wyspa nie jest, niestety, bohaterem żadnej innej współczesnej i aktualnej polskiej podróżniczej opowieści.<sup>892</sup> W jakimś więc sensie polski podróżniczy czytelnik skazany jest na tylko tę jedną wędrowną relację, która kraj lemurów może mu albo przybliżyć, albo oddalić. W tym znaczeniu owa ambasadorska rola podróżnika ma kolosalne znaczenie dla kilku milionów Malgaszów, mieszkańców wyspy przy Afryce – jakimi bowiem zostaną opisani, takimi zostaną na długo zapamiętani. Podobnie może być także np. z Katarzem lub Surinamem, o których również trudno szukać książkowych aktualnych publikacji, bowiem tak jak o Madagaskarze istnieją jeszcze jakieś starsze lub nowe celebryckie wydania, tak o Katarze lub Surinamie ze świecą szukać jakichkolwiek podróżniczych publikacji.

W nawiązaniu do znamienitej roli, jaką w innych i odległych, pozaeuropejskich krajach przychodzi odgrywać podróżnikowi będącemu w charakterystyczny sposób ambasadorem swojej rodzimej kultury i cywilizacji, warto także w tym miejscu przywołać po wtóry publikację Anny i Krzysztofa Kobusów. Mimo, że ich książka jest typowym przewodnikiem tematycznym zawierającym w sobie wskazówki pomocne, gdy podróżuje się z dziećmi, to na jej kartach zebrano również kilka podstawowych przykazań, do których wędrowiec powinien się stosować, mając na uwadze w jakimś sensie misję, z jaką kroczy, przemierzając odległe krainy – a rola to niebagatelna: *Jeśli przybywasz do wioski, wręcz dary miejscowej starszyźnie, wodzowi, osobie będącej przewodnikiem lokalnej społeczności. On rozdzieli to dalej. Wręczając zaś rzeczy przypadkowo spotkanym osobom, zaburzasz hierarchię i uczysz ludzi, by na widok turysty rzucali się na niego z wyciągniętymi rękoma.*<sup>893</sup> Albo: *Bądź świadomym turystą: przestrzegaj norm kultury kraju, do którego jedziesz. To ty jesteś gościem, więc noś stroje tam akceptowane.*<sup>894</sup> Nie są to sprawy irrelewantne, a gdy podróżniczy czytelnik śledzi poszczególne poczynania swoich bohaterów, nie raz widać wyraźnie, jak autor zapomina o roli, jaką pełni wobec ludzi, u których zawsze jest tylko

---

<sup>892</sup> Madagaskarem zafascynowany był natomiast już dawno temu Arkady Fiedler, zmarły w 1985 roku pisarz i podróżnik, który swoje wyprawy na tę wyspę odbył w roku 1937 i 1965. Od pewnego czasu można także zaobserwować na rynku księgarskim nowe wydania jego podróżniczych publikacji, m.in. dotyczących właśnie Madagaskaru („Madagaskar, okrutny czarodziej” lub np. „Madagaskar, gorąca wieś Ambinanitelo”). Ponadto swoją książkę „Madagaskar pełen tajemnic” wydał w roku 1986 Olgierd Budrewicz, a spod pióra celebrytów Wojciecha Cejrowskiego i Jarosława Kreta ukazały się ostatnio dwie ilustrowane opowieści – niestety o tym samym tytule: „Madagaskar”. I szczególnie na tym ostatnim przykładzie widać bardzo wyraźnie, jak niejako po macoszemu traktowana jest podróżnicza tematyka podnoszona w związku z publikacjami, które przede wszystkim mają za zadanie wyeksponować postać autora i przemysł za jakim stoi, a nie kraje, które odwiedza – jeśli nawet i autor, i Wydawca nie potrafią, lub z każdego innego powodu, oddzielić od siebie obu publikacji chociaż różniącym się od siebie tytułem.

<sup>893</sup> A. K. Kobusowie, *Podróżuj z dzieckiem*, Warszawa 2013, str. 342.

<sup>894</sup> Tamże, str. 344.



gościem, i zawsze przejazdem. *Nie powinieneś oceniać ludzi po ich kraju – poradziła mi pewna kobieta. – W Ameryce Południowej rozsądnie jest oceniać ludzi po wysokości, na jakiej żyją.*<sup>895</sup>

Jednak, jak się wydaje, Europejczyk nie wyzbył się kolonialnych manier, a wnikliwa analiza wielu książek z gatunku *travel literature* może napawać wręcz grozą. Brak taktu, zrozumienia i szacunku dla odmiennych kultur jest tak wszędobyłski, że niejednokrotnie trudno uwierzyć w to, co się czyta. Z pewnością ma to swoje głębokie powody, jednak należy dodać, że zagadnienie to wymaga kategoriycznego omówienia nawet w ramach osobnej konferencji zorganizowanej wręcz pod auspicjami polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych lub odpowiedniej brukselskiej agendy.

---

<sup>895</sup> P. Theroux, *Stary Ekspres Patagoński. Pociągiem przez Ameryki*, Wołowiec 2012, str. 366.

# Na sprzedaż

Posłuchaj, liczą się wyniki sprzedaży – powiedział Carion.  
– Musisz zostać zaakceptowany. Musisz sobie wyrobić nazwisko, bo w przeciwnym razie nikt na ciebie nie spojrzy.

(Paul Theroux, *Stary Ekspres Patagoński*)

Ponieważ umrze nasza cywilizacja i obudzimy się z minaretami zamiast wież kościelnych, w burkach zamiast minispódniczek, z wielbłądzim mlekiem zamiast drinka... Nie rozumiecie tego, do cholery?

(Oriana Fallaci, *Wściekłość i duma*)

Wstawał i kład się wcześniej, lubił pisać rano, kiedy zarówno on, jak i dzień był świeży, resztę czasu zaś spędzał na świeżym powietrzu, rozmawiając z każdym, czyja twarz lub zajęcie go interesowały, wypytyując ludzi o ich dzieje, rodzinę, zawód. Zawsze był zbieraczem informacji, obserwował bacznie ludzi przymrużonymi piwnymi oczyma, słuchał plotek i opowieści, odwzajemniając się rubasznym, szorstkim humorem z miną człowieka bywałego w świecie. Mówił, że z powodu blizny na czole wszyscy brali go za wielkiego przemytnika alkoholu z Północy lub handlarza narkotykami i nikt nie chciał wierzyć, że pisuje książki.

(Carlos Baker, *Ernest Hemingway*)

## 1. Rynek

**J**eszcze dwadzieścia lat temu sytuacja na polskim rynku wydawniczym wyglądała całkiem inaczej niż dziś. Literatura podróżnicza praktycznie nie istniała, a przynajmniej nie w takim wymiarze jak w chwili obecnej. Niemal na palcach jednej ręki dane było policzyć podróżniczych autorów: Olgierd Budrewicz, Tony Halik z Elżbietą Dzikowską, Wojciech Giełżyński, Arkady Fiedler, Ryszard Kapuściński. Po górach wspinał się Jerzy Kukuczka z Wandą Rutkiewicz, a na oceanach królował kapitan Krzysztof Baranowski z Leonidem Teligą. Ich opowieści leżały na półkach w pożółkłych już oprawach i zasłużenie czekały na swoje reedycje. Można powiedzieć, że lata dziewięćdziesiąte ubiegłego wieku stanowiły w tej materii literacką pustynię, a jedyne co istniało, to szara przeszłość. Transformacja ustrojowa nie dokonała się wszak w jednym tylko roku 1989, a trwała z pewnością przez całą dekadę lat dziewięćdziesiątych i w jakimś sensie (choć znacznie mniejszym) ciągnie się po dziś dzień. Jak się wydaje, wszystko to ma ze sobą swój nierozzerwalny związek, a wejście Polski do Unii Europejskiej, a potem zniesienie administracyjnych granic w obrębie porozumień z Schengen, spowodowało w konsekwencji swoisty rozkwit gatunku *travel literature*. Najpierw bowiem bardziej osiągalna musiała stać się sama podróż, by zapełniły się nią księgarskie regały. Niejako przy okazji musiała także zmienić się sama księgarnia, a i wydawnictwo. Obserwując tę część rynku wydawniczego nie sposób tych i innych zależności nie zauważyć.

Podróżując po świecie niejednokrotnie docieram do krajów i miejsc niepopularnych i w jakimś sensie, poprzez dyktat polityczny, zamkniętych na świat. Za każdym razem szukam tam księgarni, a jeśli znajduję, brak w nich książek podróżniczych. Indeks książek zakazanych trwa nadal i nie skończył się ani z nastaniem nowoczesności, ani tym bardziej tuż po niej. Czy zatem jest nowoczesność? A jeśli jest, to czy może nie dotyczy tylko wybranych światowych regionów? Iran, Turkmenistan, Kuba, Libia. W wielu innych krajach, szczególnie tych najbiedniejszych, w ogóle nie ma żadnej księgarni. Czasem na jakimś bazarze leży kilka książek zasypanych pyłem lub piachem. Często służą za podkładki. W krajach arabskich popularne i dostępne są tylko wspomnienia średniowiecznego geografów Ibn Battuty „Tuhfat an-nuzzar fi gharaib al-amsar wa'adzaib al asfar” – przetłumaczone i wydane na język polski pt. „Osobliwości miast i dziwy podróży 1325-1354”. Można powiedzieć, że zamknięte

granice nie przepuszczają nawet cienia i w tym znaczeniu omawiane już zagadnienie postaci podróżnika jako ambasadora i emisariusza kultur niesie w sobie kolejne uwiarygodnienie. Metaforalnie bowiem czasem to człowiek jest najlepiej zapisaną książką – zarówno ten przybyły, jak i ten osiadły.

W jakimś sensie można powiedzieć, że istnieją dwa silne związki, dwie silne i splecione ze sobą zależności, które skutkują w efekcie rozwojem wydawnictw podróżniczych lub książki te pozostawiając na zawsze w nieotwartych magazynach ludzkich możliwości. Owe dwie przeszkody mogą pojawiać się razem i oddzielnie, jednak ich znaczenie zdaje się promieniować zarówno na obszary, w których występują, jak i na miejsca, do których ze swoim opisem mogłyby dotrzeć. Mam na myśli, mówiąc najogólniej, nierozzerwalny związek osoby podróżującej z sytuacją administracyjno-polityczną i gospodarczą oraz drugą zaporę, jaką stanowi dla osoby podróżującej tzw. zakaz lub rytuał religijny (kulturowy).

W pierwszym przypadku mowa jest więc o przeszkodach, które są wynikiem administracyjno-politycznych ustaleń, gdy osobę chcącą podróżować wstrzymuje brak wizy, brak zaproszeń, promes, pozwoleń, brak zarezerwowanych połączeń powrotnych i wszelkie inne prawne jurysdykcje, która skutecznie nie pozwalają na podróż. W jakimś sensie mieszkaniec i obywatel takiego kraju i państwa skazany jest na niepodróżowanie. Żyje w zakazie podjęcia drogi. System polityczny, jakiego jest częścią, nie pozwala mu na podróż nawet do ościennego kraju (np. sprawa Korei Północnej lub Kuby). Drugą częścią tego zjawiska jest kwestia gospodarcza, albo po prostu panująca bieda i ubóstwo. Przed drogą powstrzymuje wtedy brak środków finansowych. Niemożność podróży i jakiegokolwiek wyjazdu podyktowana jest aspektami gospodarczymi i finansowymi. Ludzi w tym wypadku zwyczajnie nie stać na żaden wyjazd (nie tylko podróżniczy, ten mógłby być fanaberią) i nawet gdyby sprawy administracyjno-polityczne uległy poluźnieniu, to i tak podróż mogłaby okazać się niemożliwą. Dzieje się tak przede wszystkim na obszarze biednych krajów afrykańskich.

Natomiast drugą zależnością, która jak się wydaje skutecznie wstrzymuje podróżnicze aspiracje jest wspomniana już bariera kulturowa. Zjawisko to można zaobserwować w wielu państwach Wschodu i na obszarach jurysdykcji szarijatu. Religijne obostrzenia mają duże znaczenie. Bogate kraje arabskie z zasady nie podróżują. Mimo, że środki finansowe pozwalają im na wędrówkę, nie robią tego – przeszkodą nie jest ani administracja państwowa,

ani sytuacja gospodarcza. Bardzo rzadko zdarza się, by takie grupowe lub indywidualne wycieczki do cywilizacji Zachodu miały miejsce, jak również bardzo rzadko podróżują Hindusi. W tym znaczeniu podróż niejako we krwi ma Europejczyk lub po prostu biały skórą człowiek Zachodu – z wyjątkiem Japończyków.

Obie przywołane zależności paraliżują podróż. Transponując omówione zagadnienia można powiedzieć, że podobna sytuacja miała miejsce w Polsce przed rokiem 1989. Dopiero sukcesywne znoszenie barier administracyjno-politycznych wraz ze wzrastającą stopą życiową statystycznego Polaka-podróżnika (choć sytuacja ta zdaje się być podobna w całym pokomunistycznym regionie) pozwoliły na częstsze i dalsze wędrówki po świecie. Wzrosła także diametralnie liczba osób podróżujących, zarówno tych w ujęciu tzw. turystyki zorganizowanej, jak i samotnych obieżyświatów. Tym samym, z roku na rok, mogła budzić się tendencja do podróżniczych publikacji. Swoiste sprzężenie zwrotne powoduje dziś taką oto sytuację, że ksiązek podróżniczych na księgarskich regałach jest coraz więcej, a przez to domowy czytelnik coraz także częściej rusza na wędrowny szlak, pobudzony i skuszony opowieściami tych, którzy byli, wrócili i opisali.

Trudno dziś jednoznacznie ocenić, a i nie jest aspiracją niniejszej rozprawy dokonanie takich rozliczeń, czy obecna sytuacja służy, czy też wręcz przeciwnie – przeszkadza w rozwoju gatunku *travel literature*. Można przypuszczać, mając na uwadze podniesione wyżej aspekty dotyczące innych światowych regionów, oraz zważywszy na fakt możliwości porównawczej z krajami dawnego Zachodu, że polska literatura podróżnicza, jako zagadnienie, będzie nadal się przeobrażać w stronę formy bardziej doskonałej, a kierunek tych zmian wykreślą na następne dekady dwie główne postaci: podróżnika i czytelnika. Trudno jednak wróżyć, która rola okaże się nadrzędną: czy podróżnik będzie podróżował niejako pod czytelnicze oczekiwania, myśląc: *nie ma jeszcze żadnej książki o Katarze, to trzeba jechać, zobaczyć, napisać i opublikować*, czy też czytelnik kupując lub nie, wyrzuci tym samym rynkową presję na wydawcy, któremu zadrży ręka, by wyrzucić w błoto pieniądze przeznaczone na książkę, która z dużym prawdopodobieństwem się nie sprzeda. Kto więc kogo będzie kreował? Kto będzie twórcą, a kto dziełem – bo jak się wydaje, o to idzie dziś gra. Aktualnie trudno oszacować wyniki takiego starcia, jednak nie ulega kwestii, że bój już się toczy, o czym świadczą bezpośrednio dwa kolejne krótkie podrozdziały.

Jeśli rynek nie znosi pustki, a popyt kształtuje podaż, to przemysł wydawniczy stoi na rozdrożu. Można być i pesymistą, i optymistą. Paradoksalnie także należałoby zapytać o prawdziwą przyczynę wydania publikacji, z której np. pochodzi, skądinąd pożądaną i adekwatną w tym miejscu, przytoczony cytat z dziennikarskiej rozmowy, która może napawać nadzieją.

„Życie jest niesamowicie ciekawe, ciekawsze niż fikcja. I chyba coraz trudniejsze. Świat pędzi jak obłąkany. Musimy sobie jakoś z nim radzić, chcemy rozumieć sytuację, w jakiej się znajdujemy. Być może literatura faktu bardziej pomaga nam w radzeniu sobie z życiem codziennym niż fikcja literacka. Wydaje mi się, że autorzy reportaży cieszą się stosunkowo dużym zaufaniem; przekazują relacje pochodzące od bezpośrednich świadków i uczestników wydarzeń, a często sami w nich uczestniczą.”<sup>896</sup>

Pytanie więc brzmi: co było pierwsze? Gdzie jest siła sprawcza? Czy był nią spontaniczny pomysł autorki na rozmowy ze znanymi reporterami i zainteresowanie tym tematem jednego z dowolnie wybranych wydawców, czy bardziej oczekiwanie owego wydawcy poprzedzone np. skrupulatnymi badaniami marketingowymi, które miały za zadanie odpowiedzieć na pytania: co się sprzeda, a co nie? w co warto zainwestować, a w co nie? stracimy czy zyskamy? Być może stało się i tak, że ktoś nie przeliczając po prostu uznał za bezwzględną konieczność „zrobienie” takiej książki. W tym znaczeniu i na tym przykładzie badanie polskiego rynku wydawniczego może przysporzyć bardzo ciekawych i interesujących wniosków.

Powstaje oczywiście zasadna interpelacja, dlaczego i z jakiego powodu zajmować się w ogóle niniejszym zagadnieniem? Czy pytania o charakter rynkowej działalności wydawniczej mają jakiś związek z podróznym pisarstwem? Czy autorska inwencja ma jakiś związek z tym, co później dzieje się z przedstawionym literackim materiałem?

---

<sup>896</sup> M. Szejnert. W: A. Wójcińska, *Reporterzy bez fikcji*, Wołowiec 2011, str. 26.

## 2. Celebryci

**J**est ich w Polsce kilku. Wojciechowska. Cejrowski. Pawlikowska. Kret. Kraśko. Może jeszcze dwie, trzy osoby. Medialne gwiazdy wprzęgnięte jak pociągowe konie w polski przemysł wydawniczy. Wielkie nazwiska wielkich przygód. Zdobywcy wszystkiego. Zaborcy miejsc, gdzie miliony ludzi nigdy nie trafi. Giganci telewizyjnych ekranów, radiowych mikrofonów i w efekcie podróźniczych książek. Fascynaci nie bez przesady. I choć pierwsza trójka góruje nad męską końcówką rozmachem i szyldem, to wszyscy grają w jednej drużynie. To celebryci podróży.

Tak jak wspominałem we Wprowadzeniu do niniejszej rozprawy oraz w kilku słowach wstępu do części drugiej, ze względu na charakter i edycyjną objętość tzw. celebryckiej literatury podróźniczej świadomie nie jest ona tematem szerokich przemyśleń. Choć oczywiście zasługuje na dokładną i dogłębną analizę, a jako materiał badawczy wydaje się być wdzięcznym i nad wyraz plastycznym zagadnieniem, nie sposób jednak poświęcić jej więcej uwagi, gdyż poszczególnych publikacji jest prawie tyle samo, ile wszystkich pozostałych książek tutaj przywołanych i omawianych. Można natomiast przypuszczać, że już w niedalekim czasie powstaną (lub właśnie powstają) jakieś zbiorcze tematyczne opracowania dotyczące tylko i wyłącznie twórczości tych właśnie osób.

Warto na wstępie zaznaczyć, że praca zawodowa w/w osób bezpośrednio związana jest z radiem i telewizją, co w jakimś stopniu sytuuje ich publikacje w rzędzie sobie podobnych z gatunku tych, jakie tworzą zawodowi dziennikarze i reporterzy pracujący na rzecz ogólnopolskich gazet i czasopism. I choć Jarosław Kret zapowiada w telewizyjnej „Jedynce” tylko (!) pogodę, jego postać należy do jednych z najbardziej rozpoznawalnych pośród wielu telewizyjnych dziennikarzy. W tym znaczeniu także jego działalność jako osoby publicznej przysparza mu liczne grono lubiących go osób, co w sposób bezpośredni ma związek ze sprzedażą jego publikacji. Podobnie dzieje się w każdym z podanych przykładów. Piotr Kraśko, prowadząc „Wiadomości” i stając się tym samym osobą bardzo rozpoznawalną, sprzedaje swoje książki również niejako w połączeniu z programem telewizyjnym, jaki sygnuje swoim nazwiskiem w godzinach największej oglądalności. W jakimś sensie jedno

napędza drugie, gromadząc i widzów przed telewizorami, i czytelników przy księgarskich regałach. Podobnie rzecz ma się z nie tak jeszcze dawnym małżeństwem Beaty Pawlikowskiej i Wojciecha Cejrowskiego, gdy oboje – choć już osobno – prowadzą w różnych radiach i telewizjach swoje programy autorskie. Także w ich przypadku medialność twarzy ma bezpośredni związek z wizerunkiem okładki. Natomiast Martyna Wojciechowska, zawiadująca polskim oddziałem światowego koncernu National Geographic, poprzez szefowanie popularnemu podróżniczemu magazynowi publikuje na potęgę relacje z własnych przygód, realizując przy okazji także kolejne serie telewizyjnych programów podróżniczych.

W związku z tym powstaje wiele pytań, jednak wnikliwa i w miarę precyzyjna odpowiedź wymagałaby osobnego projektu badawczego, a wielkie medialne koncerny, jakie stoją za tymi przedsięwzięciami, nie koniecznie byłyby zainteresowane uczestnictwem w takiej analizie.

Gdy na księgarskich półkach przegląda się wszystkie podróżnicze publikacje, widać bardzo wyraźnie charakterystyczną różnicę, jaka oddziela celebryckie publikacje od reszty wędrownych książek. Okładka, która ma sprawić, że czytelnik sięgnie po stojący grzbiet, jest na swój sposób wydrukowana według bodaj najlepszych marketingowych wzorców: świeci kolorami, wytłoczeniami, błyszczy lakierem i wyróżnia się z pozostałych albo formatem, albo jeszcze jakimś dodatkowym urozmaiceniem: foliowana, z konkursem, misternie wycinana. I zawsze najważniejsze na niej jest nazwisko autora – wyeksponowane do granic możliwości, bo to jego osoba ma być magnesem i wabikiem. To koło zamachowe tego przemysłu. Lep na czytelnicze muchy. Produkowane przez wydawnictwa kolejne edycyjne serie prześcigają się w koncepcjach graficznych, kierując także autorskie nazwiska na tory skojarzeń i porównań. I tak np. z Beaty Pawlikowskiej robi się popularną blondynkę, oznaczając poszczególne tytuły serii zawołaniami: „Blondynka w Tybecie”, „Blondynka na Kubie”, „Blondynka w Australii”. „Blondynka w Chinach”. Gdy klucz państwowy kończy się, blondynkę w danym kraju zastępuje inna mutacja: „Blondynka wśród łowców tęczy”, „Blondynka, jaguar i tajemnica Majów” lub „Blondynka śpiewa Ukajali”. Ukazuje się także podróżniczy przewodnik z okładkowym zawołaniem „Poradnik globtrotera, czyli blondynka w podróży”. W wielu przypadkach książki te polaryzują się od siebie kształtem, by w ten sposób odróżnić jedną serię od drugiej i następną od następnej. Często więc na księgarskich półkach całe rzędy poświęcone są jednej edycji, co wyraźnie kontrastuje zarówno poszczególne cykle od siebie, jak i celebryckie wydania od reszty podróżniczych publikacji. Popularnie można byłoby



powiedzieć, że są tego tysiące, a wymieniać, pomijając wątek odwiedzania poszczególnych państw, można wręcz bez końca: „Blondynka na Czarnym Łądzie”, „Blondynka na tropie tajemnic”, „Blondynka w dżungli”, „Blondynka tao”, „Blondynka w Amazonii” czy „Blondynka na safari”. Ponadto pojawia się także seria, w której tytułowa blondynka zaczyna uczyć języków obcych – „Blondynka na językach”.

Ciekawym edycyjnym pomysłem płynącym na fali celebryckiego nazwiska Pawlikowskiej jest także jej podróżniczy notes, wydany pod szyldem „Dziennik z podróży”, a zawierający... puste kartki. Podręczna książeczka pomyślana jest bowiem jako miejsce, gdzie podróżnik może wpisywać swoje uwagi, spostrzeżenia i obserwacje, a twarda oprawa spięta gumką ma gwarantować przetrwanie notatek. Symboliczna formuła wydawnicza nawiązuje w tym miejscu do licznych wątków o faktycznych zasobach literatury celebryckiej i oddaje najbardziej jak można zarówno ów charakter pustki czystych kartek, jak i w ręce wędrowca wolę i decyzję dokonywania notatek.

W nieco inny sposób, jednak z dużo mniejszym rozmachem, swoje nazwisko wykorzystuje Jarosław Kret, produkując książki pokroju „Moje Indie” lub „Mój Egipt”. Korzystając z brzmienia własnego nazwiska, jak i z jego podwójnego znaczenia, godzi się także na książkę przewrotnie, choć zabawnie nazwaną, a mianowicie na tytuł „Planeta według Kreta”. Pojawia się również, ze względu na zawodowe inklinacje autora, tytuł „Kret na pogodę”, a gdy celebryta wraca z Madagaskaru, wydany zostaje „Madagaskar”.

Telewizyjnym kolegą Jarosława Kreta jest Piotr Kraśko, i on także płynie na fali własnej popularności. Prezenter telewizyjny wciela się w rolę korespondenta wojennego, zakłada kamizelkę kuloodporną i sygnuje swoim nazwiskiem całą serię niedużych formatem książeczek pod nagłówkiem „Świat według reportera”.

„Eskimosi nauczyli mnie, jak przetrwać, gdy mróz spada do –50 stopni, przekonali, że psie zaprzęgi są wciąż lepsze od skuterów, a do połowu wielorybów potrzebna jest trampolina. W moim ulubionym barze w Teksasie na suficie wiszą setki staników, a włoska mafia znalazła na Brooklynie knajpę z najlepszym widokiem na Manhattan. Zdradzę, jak przetrwać noc na cmentarzu w Tijuanie, pijąc tequilę z grabarzami, i co ukrywają tam kartele narkotykowe. A także: co przez okno w swoim domu widzi Dalajlama, jak się jeździ na snowboardzie na Saharze i dlaczego gogle potrzebne są do kolacji w czasie burzy

piaskowej. Podam adres sklepu, w którym zakupy robią zakonnice gotujące dla papieża, i przepis na ulubione spaghetti Mela Gibsona.”<sup>897</sup>

Oprócz krajów europejskich (np. Szwecja, Francja, Włochy) wydaje swoje państwowe opowieści o Japonii, Stanach Zjednoczonych, Rwandzie czy Iraku. Publikuje także skrótove sprawozdania dotyczące Afryki, Bliskiego Wschodu, Alaski i Ameryki Łacińskiej. Na księgarskich półkach można dostrzec również „Od Ameryki do Afryki” oraz „Świat w pigułce”. Wszystkie te publikacje, mające w dużej części charakter kieszonkowy i skrótovy, wyróżnia oczywiście podobna szata graficzna, w pewnej części takie same opisy na okładkach i jeden szablon skonstruowanej historii. Gros z zamieszczonych fotografii nie jest nawet autorstwa celebryty, a pochodzi z ogólnodostępnych internetowych zasobów. Warto także zaznaczyć, że cała seria wydana jest w pierwszej połowie roku 2011, co także ma swoje marketingowe znaczenie: małe, szybkie, podręczne, zwarte – bowiem każda z publikacji promuje wewnątrz siebie już następną i następną. Można niestety odnieść wrażenie, że niejednokrotnie podróżniczy czytelnik, śledząc losy popularnego telewizyjnego prezentera, wróci do znamienitego zdania Paula Theroux ze „Starego Ekspresu...”: *Nie straciliśmy wiary w podróż, ale tekstów im poświęconych nie ma zbyt wiele.*<sup>898</sup>

W odmienny sposób natomiast swoje podróżnicze wspomnienia przedstawia Martyna Wojciechowska. Można byłoby nawet przekornie powiedzieć: Instytucja Martyna Wojciechowska. Znana i lubiana dziennikarka i podróżniczka, zdobywczyni Korony Ziemi, nurek, kierowca rajdowy, a zawodowo redaktor naczelna polskiej edycji magazynów National Geographic. Serię wydawniczą, którą sygnuje swoim rozpoznawalnym wszędzie nazwiskiem, wypromowano pod szyldem „Kobieta na krańcu świata”, a w ramach niej ukazało się już kilka kolejnych numerycznych edycji. Ponadto, w ramach współpracy z telewizją TVN, gdzie celebrytka prowadzi program podróżniczy, wydawane są kolejne publikacje obejmujące swoim tematycznym zakresem poszczególne kraje. Pojawia się więc i Kenia, i Tanzania, i RPA. Można także znaleźć opisy z Borneo, z Boliwii, Argentyny, Namibii, Wietnamu, Tajlandii, z Kambodży czy Wenezueli. Autorka relacjonuje także swój pobyt na Zanzibarze i w Japonii. Ponadto wydaje książkę o Samoa i Etiopii oraz swoje „Zapiski (pod)różne”. Innym edycyjnym pomysłem, który łatwo dostrzec na półkach składów księgarskich są jej „Dzieciaki świata” i „Zwierzaki świata” oraz publikacja nawiązująca do rajdowych perypetii, zatytułowana po prostu „Automaniaczka”. Światło dzienne ujrzały także jej podwójne

<sup>897</sup> P. Kraśko, *Szwecja*, Warszawa 2011, ostatnia strona okładki.

<sup>898</sup> P. Theroux, *Stary Ekspres Patagoński. Pociągiem przez Ameryki*, Wołowiec 2013, str. 20.

wspomnienia z wysokogórskich szlaków, zatytułowane „Przesunąć horyzont” i „Misja Everest”.

Wojciechowska od szeregu lat konsekwentnie buduje swój publiczny wizerunek, a prace zawodowe i pasje wielokrotnie rzucały ją w przeróżne miejsca zarówno na Ziemi, jak i w życiu prywatnym. Można śmiało powiedzieć, że cała jej postać jest całkiem inna od reszty medialnych celebrytów, choć i tak dla wielu niczym nie będzie się wyróżniać. „Chłopczyca” – jak o sobie mówi. Pokazuje świat swoimi oczyma, korzystając z czytelniczej łaski i gospodarczej koniunktury. Publikuje na potęgę, a National Geographic ma w niej doskonałego ambasadora. Będąc typowym przykładem powiązania własnych zamiłowań i cech charakterologicznych z pracą zawodową w jakimś sensie dodaje literaturze podróżniczej splendoru. Wzbudza nieskrywane emocje (pozytywne i negatywne) i podobnie jak w przypadku innych już wspomnianych osób, jej publiczna rozpoznawalność przysparza czytelników, a ci znowuż podbijają lekturą sprzedany nakład i telewizyjną oglądalność.

Podobnie ma się rzecz z Wojciechem Cejrowskim, ostatnim z omawianych medialnych gwiazdorów. Od lat wzbudzający kontrowersje podróżnik także z żelazną konsekwencją publikuje swoje opowieści, kryjąc się czasem pod ironicznym skrótem WC, pochodzącym od pierwszych liter jego imienia i nazwiska. Bardzo często jego książki oznaczane są serią wydawniczą „Boso przez świat” (Cejrowski powszechnie znany jest z manieri chodzenia boso), w ramach której ukazały się m.in. wspomnienia z Namibii, Vanuatu, czy Wysp Szczęśliwych. Ponadto wydał opowieści zatytułowane „Gringo wśród dzikich plemion”, „Rio Anaconda”, „Pustynia”, „Zielone piekło” i książkę „Podróżnik WC”. Warto także nadmienić, że wraz z popularnym telewizyjnym kucharzem Robertem Makłowiczem oraz z Jarosławem Kretem opublikował także książkę pt. „Świat w zasięgu nosa”. Będąc gospodarzem wielu telewizyjnych programów, przybliżył na swój sposób świat zarówno widzom, jak i później podróżniczym czytelnikom – machina telewizyjna napędza maszynę wydawniczą, i odwrotnie. Świat kręci się wokół show, a media co rusz donoszą o kolejnych udanych happeningach autora. Powszechnie znana jest także kwota blisko dwóch milionów złotych, jakie tylko w roku 2011 miał Cejrowski zarobić na swojej pisarskiej działalności, stając się tym samym najlepiej zarabiającym polskim pisarzem.

Wszystkie przywołane osoby to medialne gwiazdy. Megagwiazdy. Telewizje i radia potrzebują ich jak powietrza, a to z kolei nakręca przemysł wydawnictw papierowych, choć w

w/w przypadkach, w dzisiejszych czasach, książka jest tylko edycyjną częścią większej całości: multiplikacja treści dokonuje się również na wszelkich nośnikach elektronicznych. Na dobrą sprawę, stojąc przy księgarskich półkach, trudno często odróżnić jeden tytuł od drugiego: wszyscy nagle lecą do Namibii lub zwiedzają Amerykę Południową. Nie sposób nie oderwać się od pożądaných w tym miejscu refleksji, jednak nie to jest przedmiotem niniejszego opracowania, a wyłącznie zasygnalizowana problematyka z pewnością zasługuje i czeka na długą i uczciwą penetrację. Zagadnienie to ma bowiem bezpośrednie znaczenie w kontekście prowadzonych na łamach tej rozprawy przemyśleń, gdy w bardzo łatwy i prosty sposób można np. wykazać stopień oddziaływania przywołanych publikacji na czytelnicze gusta i światopoglądy. Ponadto zagadnienie tzw. celebryckiej literatury podróżniczej (może i w wielu miejscach po prostu tabloidalnej literatury podróżniczej) ma kolosalne znaczenie w kontekście praw rynku, gdy np. „nic ciekawego” sprzedaje się przez ładną okładkę, a „coś wartościowego” leży obok przez nikogo niezauważone.

Co więcej, warto także zwrócić uwagę na fakt, że omawiana pokrótce w tym podrozdziale charakterystyczna literatura w całości jest kolorowa i wielobarwna. Świecąc bardzo często papierem kredowym i nad wyraz „bogатыmi” okładkami staje się bardziej fotograficznym albumem niż podróżniczymi opowieściami z gatunku reportażu, sprawozdania czy relacji. W wielu bowiem miejscach kolorowe zdjęcia zastępują pożądanе i oczekiwane opisy, co z jednej strony wzbudzać będzie u licznych czytelników irytację, a z drugiej natomiast nieskrywane i uprawnione zadowolenie. Nigdy podróżnicza książka celebryty nie jest czarno-biała.

**T**ematem, który ma także bezpośredni związek z wyżej poruszaną problematyką jest również zagadnienie niebagatelnego, jak się wydaje, wpływu prowadzonej działalności wydawniczej na ukazujące się podróżnicze publikacje. Jednak i ten specyficzny wątek wymaga szerszego omówienia, najlepiej sprokurowanego wobec osobnego i odrębnego opracowania. Chciałem jedynie w tym miejscu zasygnalizować, że treść ta nie pozostaje obojętną w całym przekroju wszystkich omawianych w niniejszej dysertacji podróżniczych i wędrownych publikacji. Zagadnienie to jest widoczne bardzo wyraźnie przede wszystkim na przykładzie przywołanej celebryckiej literatury podróżniczej, gdzie niejako na poziomie przemysłowym i taśmowym produkowane są książki. Poszczególne strategie sprzedaży, jak się wydaje, mają tak ogromny wpływ na zawartość merytoryczną i szatę graficzną, że trudno

sobie wyobrazić np. żółtą ramkę Towarzystwa National Geographic w innej estetyce wydawniczej niż obecnie. Nieustanne promocje, wyprzedaje i przeceny prześcigają się z nowymi edycjami, poszerzonymi wznowieniami i kolorowo opakowanymi całymi zestawami z danej serii lub tego i tamtego autora. Na swój sposób wydawnictwa te kreują rynek, a znaczne zasoby finansowe pozwalają im tak żonglować ceną, że niejednokrotnie można odnieść wrażenie o tzw. zmowie cenowej, zakazanej na wszystkich rynkach europejskich. Często bowiem książka wydana na zwykłym papierze oraz wydrukowana w całości w tonacji czarno-białej kosztuje tyle samo, ile pełnokolorowa publikacja na papierze kredowym. Z poligraficznego punktu widzenie koszty wytworzenia takich wydawnictw będą się zawsze znacznie od siebie różnić. Niestety należy przypuszczać, że w dłuższej perspektywie czasowej drogą tą zniknie z wydawniczego rynku spora część oficyn, które zarówno poprzez treść publikowanych książek, jak i ze względu na celowe i świadome takie oto konstruowanie opowieści, że brak w niej elementów fotograficznych, starają się zaproponować polskiemu podróżniczemu czytelnikowi książki o innym charakterze, niż tabloidalno-celebrycki.

Zagadnienie to ma jeszcze także drugie oblicze. Bezspornie i bezsprzecznie pojawia się oto na horyzoncie rozważań oświatowe znaczenie takich, i w ogóle wszystkich, publikacji podróżniczych. Już wcześniej, przy okazji innych poruszanych wątków (np. w związku z opowieściami Maxa Cegielskiego lub gdy wspomniana była osoba Jeana Baudrillarda), była o tym mowa. Jednakowoż w przypadku omawianego zjawiska wydawnictw naszpikowanych gwiazdami kwestia ta także, jak się wydaje, powinna zostać podniesiona.

Jedno z wietnamskich przysłów mówi, że wychowanie syna bez nauki, to jakby hodować osła, a wychowanie córki w ten sam sposób, to jakby hodować świnie. Przejaskrawione powiedzenie oddaje jednak ducha intencji, a Gogol, gdy mówi, że nauka nie powinna ograniczać wolności myśli, zdaje się temu wtórować. Bezspornie bowiem każda podróżnicza publikacja wnosi ułamek po ułamku nowe światło na obraz świata, który Baumanowski tubylec gnieździ w głowie. I choć Heraklit kiedyś ostrzegał, że nadmiar nauki nie zawsze prowadzi do zrozumienia, to *travel literature* nigdy za wiele. W tym znaczeniu nawet najbardziej kolorowe celebryckie wydania przybliżają i odsłaniają świat. Wielu ludziom mówią wszystko o istocie innych krajów i regionów. Można powiedzieć, że gdyby były co najmniej o połowę tańsze, świat byłby inny. Jeżeli bowiem świat jest takim, jakim go postrzegamy, to z pewnością byłby inny, gdybyśmy mieli większą możliwość go oglądania. Medialna wrzawa wokół nas robi swoje, a mnogość programów telewizyjnych, audycji

radiowych i wszelkich publikacji o charakterze podróźniczym skłania do takiej oto konkluzji, że lepiej może więcej niż nic. Wielkie sieci księgarskie w swoich salonach budują kawiarnie. Już dziś książek nie trzeba kupować, by spędzić jakiś czas na ich lekturze. Wydzielone miejsca na krzesła, kanapy, fotele i stoliki przyciągają coraz więcej czytelników, a staromodne pojęcie biblioteki i czytelnia na naszych oczach zmienia znaczenie. Książkę można kupić i oddać – w tym sensie zapłacona cena staje się niczym innym, jak kaucją zwrotną (którą bibliotekę stać na kupowanie wszystkich nowości?). Zjawisko to ma jeszcze jedno oblicze: na księgarskich półkach zazwyczaj literatura podróźnicza porządkowo oznaczana jest przez sprzedawców jakimiś rozpoznawalnymi plakietkami: „Podróże” lub np. „Książki podróźnicze”. Czasem „Reportaż”. Jednak dla wspomnianych celebrytów wydziela się oto i znaczy osobne półki: „Martyna Wojciechowska”, „Wojciech Cejrowski”, „Blondynka” – mimo, że ich książki są np. o tematyce afrykańskiej, nie leżą wespół z innymi podobnymi.

Osobnym zagadnieniem, które przy tej okazji należałoby poruszyć, jest oto pokrewna rola, jaką w literaturze podróźniczej pełnią np. sportowcy. Jednak ich publikacje nie mają charakteru tak masowego i tak spektakularnego jak innych celebrytów. Trudno także w pełni celebrycką rolę przypisywać sportowcom. W poprzednim rozdziale przywołana była postać Krzysztofa Hołowczyca, bowiem, jak się okazuje, niewiele jest sportów, które predysponowałyby sportowca do snucia swoich refleksji poza stadionem, torem czy basenem. W tym przypadku motorowy sport Hołowczyca łączy w sobie te dwa czynniki i nawet Adam Małysz ze swoją wydaną biografią „Moje życie” nie bardzo może nawiązać do podróźniczej tematyki, choć na walizkach spędził (i spędza z powodu uczestnictwa w nowym rajdowym życiu) sporo czasu. W podobnym charakterze swoje książki wydali Robert Korzeniowski czy Otylia Jędrzejczak, a piłkarze nie pozostają dłużni (Jerzy Dudek).

Celebryci są sztandarami idei. Każdy z nich ma jakiś światopogląd, a gdy np. Wojciech Cejrowski otwiera sklep kolonialny, można byłoby zapytać, dlaczego po prostu nie faszystowski? Jednak później dochodzą do głosu opowieści z Amazonii. Czym byłaby sprzedaż bez emocji? Kolorowe fotografie pokazują świat, usypiając czytelniczą wyobraźnię lub kierując ją bardziej w stronę ożywienia niż przedstawienia. Często można także odnieść wrażenie, że najpierw w wielu tabloidalno-celebryckich książkach indykuje i orientuje się sam szczyt, a potem na niego drogę. *Opowieść jest, powinna być, odległym szczytem, a do*

wspinaczki na wierzchołek popycha już choćby to, że ten szczyt istnieje.<sup>899</sup> Trudno to zjawisko jednoznacznie opisać i w jakimś sensie zagadnienie owo jednoznaczności się wymyka. Wielki przemysł medialny jedzie jak czołg. Trudno sobie wyobrazić wiele z licznych rowerowych samotnych przygód, by zostały wydane i pokazane w taki sposób, jak celebryckie dokonania, gdy za telewizyjną gwiazdą do Afryki leci kilkunastoosobowa ekipa filmowa: dźwiękowcy, kamerzyści, scenarzyści, makijażystki, kierownicy produkcji, menadżerowie, technicy, kierowcy itd. Czy ma to wpływ na przedstawioną rzeczywistość? Czy pokazany w ten sposób ułamek świata będzie inny niż ten z perspektywy rowerowego siodła? Świat będzie pewnie taki sam, ale obraz w oczach czytelnika już różny.

Gdy Jonathan Dimbleby napisał i wydał swoją przepastną „Rosję..”, podziękował na zakończenie trzydziestu czterem osobom zaangażowanym w jego medialny projekt przemierzenia terytorialnie największego kraju na świecie. Kolorowa okładka świeci kremem i rosyjskimi dziewczętami. Jego rodak, Colin Thubron, nie podziękował nikomu, bo pojechał przez Syberię sam. Szara obwoluta z zamrożonym statkiem nie przyciąga w księgarni wzroku, ale gdy rok temu przemierzałem Rosję od zachodu po najdalszy wschód, a potem wracałem przez zimną już Syberię, to od Thubrona dowiadywałem się najwięcej. Bez jego książki prawie nie wróciłbym z powrotem do domu, a z Dimbleby’em pod pachą co najwyżej mógłbym wziąć samolot.

---

<sup>899</sup> W. Jagielski, *Wieża z kamienia*, Warszawa 2008, str. 87.

### 3. Hybrydy

**M**ożna powiedzieć, że napisać książkę, to jedno – ale wydać ją, to drugie. W czasach, gdy życie staje się nieustanną promocją, istnieć znaczy tyle co pokazać się. Nie przez przypadek w konstrukcji całej rozprawy podrozdział ten znajduje się na jej końcu, bowiem w moim głębokim przekonaniu, śledząc losy polskiej literatury podróżniczej, nieuczciwie (choć to kategoria względna) na plan pierwszy wysuwana jest promocja z marketingiem, a potem dopiero samo dzieło. Jednak samonapędzający się obieg powoduje, że na podróżnicze dzieło prawie nikt nie spojrzy, gdyby nie promocja właśnie i marketing.

Kilkakrotnie w rozdziale tym, ale także w przekroju całego opracowania, zwracana była uwaga na powiązania, jakie w dzisiejszych czasach towarzyszą procesowi tworzenia gatunku *travel literature*. Szczególnie na przykładzie twórczości celebryckiej zjawisko to uwidacznia się najbardziej. Sytuacja zmierza nieuchronnie w stronę masowej popularyzacji, a komuś nieznanemu i szaremu coraz trudniej będzie sprzedać nakład. Nie tak dawno, podczas prac nad kolejnym z rozdziałów, zasięgnąłem opinii jednej z autorek, której książka, skądinąd interesująca i unikatowa, od ponad roku leży na księgarskich półkach. Przyznała w prowadzonej korespondencji, że publikacja okazała się „klapą” i sprzedanych zostało tylko 34 egzemplarzy. Innym razem miałem okazję uczestniczyć na prowincji w spotkaniu autorskim małżeńskiej pary jednych ze znanych dziennikarzy (w jakimś sensie także celebrytów), którzy po zakończeniu barwnej dwugodzinnej prezentacji sprzedawali z kartonów swoją najnowszą książkę, a gdy zliczyłem ludzi w kolejce, wyszło około 40 sprzedanych egzemplarzy. Oba przykłady świadczą o niebagatelnej roli, jaką przed literaturą podróżniczą stawia np. rynkowe zjawisko dywersyfikacji kanałów sprzedaży. Należy także w tym miejscu zaznaczyć, że wspomniane małżeństwo zostało na autorskie spotkanie zaproszone w ramach cyklicznych prezentacji w jednym z Domów Kultury, oraz nagrodzone później pokazną gażą wraz ze zwrotem samochodowych kosztów podróży. Czy gdyby nie byli znani i popularni, byłiby zaproszeni? Kiedy i kto zaprosi dziewczynę od 34 egzemplarzy?

Myśląc o literaturze podróżniczej nie można, jak się wydaje, traktować jej w oderwaniu od innych, pokrewnych samej podróży, dziedzin. Użycie pojęcia hybrydy dla



zobrazowania tego zjawiska wydaje się więc jak najbardziej właściwe. Na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat gałąź turystyczna (*Zresztą krótki wypad z autokaru nie daje pojęcia o tym, czym jest świątynia grecka. Trzeba spędzić wśród kolumn przynajmniej jeden dzień, aby zrozumieć życie kamieni w słońcu*<sup>900</sup>), obok przemysłu wydobywczego (ropa i gaz), stanowi najprężniejsze ramię światowej gospodarki. Przemysł związany ze zjawiskiem podróży przynosi gigantyczne dochody gospodarkom z całego świata. W dokładnym sensie stan ten inklinuje w sobie memento przywołane na początku poprzedniego rozdziału, gdy w Afryce znajomy miejscowy misjonarz na moje pytanie o codzienne zajęcie spotykanych Afrykańczyków odpowiedział, że pilnują biedy. *Nie miałem za co kupić kamyka leżącego na drodze, więc co tu mówić o książce.*<sup>901</sup> Po wielokroć bowiem widoczna jest w różnych częściach świata pieczołowitość, z jaką miejscowi ludzie podchodzą do nawet najmniejszego dobra ich tradycyjnej i zabytkowej kultury, upatrując w niej potencjalne źródło przyszłych dochodów, gdy zapuka zainteresowany turysta i podróżnik, by patrzeć, dotknąć, obfotografować. Zresztą nie trzeba daleko szukać: w wielu europejskich kościołach, aby zobaczyć jakiś ciekawy, interesujący, symboliczny i historyczny obraz, należy wrzucić monety, by zapaliło się światło. Dzieje się tak również w Polsce, gdy na każdym kroku odbywa się coraz więcej renowacji i eksponowania drobnych pamiątek, które przyciągną zwiedzających.

Można powiedzieć, że podróż jest hybrydą. Skupia w sobie wiele współdziałających ogniw, które na pierwszy rzut oka nie mają ze sobą prawie nic wspólnego. Usługi transportowe, hotelarskie, przemysł spożywczy. Warto także zwrócić uwagę na zagadnienie związane z działalnością biur podróży, które z jednej strony są symptomatycznym beneficjentem literatury podróżniczej, a z drugiej napędzają maszyny drukarskie do najwyższych obrotów. Bowiem jeśliby zastanowić się na profilu osobowym potencjalnego czytelnika, to z pewnością nie jeden skorzystał już z oferty tego czy innego biura podróży. Oczywiście przede wszystkim mowa będzie w tym wypadku o wszelkiego rodzaju przewodnikach i mapach, jednak nie jeden turysta sięga także głębiej, kierując swój wzrok na pobliskie regały z *travel literature*. Warty odnotowania jest także w tym miejscu fakt o swoistej wspólnocie interesów, jaka wiąże ze sobą biura podróży z wydawnictwami. Ponadto można zaobserwować wydawnicze zjawisko polegające na konsolidacji przedsięwzięć, gdy firma wydająca dotychczas przewodniki turystyczne zaczyna sukcesywnie angażować swoją

---

<sup>900</sup> Z. Herbert, *Barbarzyńca w ogrodzie*, Warszawa 2004, str. 35.

<sup>901</sup> G. Kapllani, *Krótki podręcznik przekraczania granic*, Wołowiec 2009, str. 63.

działalność w liczniejsze niż dotychczas wydawanie literatury podróżniczej (np. Wydawnictwo Pascal czy Wydawnictwo Bezdroża). Z pewnością dzieje się tak po wnikliwych badaniach rynkowych, podczas których ukazuje się tendencja, że czytelnik nie zadowala się już, jak można przypuszczać, suchym opisem przewodnikowym, a coraz bardziej uwagę swoją kieruje w stronę publikacji o charakterze bardziej problemowym. Taki wydawca, poszerzając swoją ofertę wydawniczą, staje się dla czytelnika bardziej atrakcyjny, a i może bardziej wiarygodny. Być może na przestrzeni najbliższych lat dojdzie do kolejnych konsolidacji, choć może tylko na poziomie przepływów kapitałowych, z branżą biur podróży i rozmaitych agencji turystycznych. Nie należy także zapominać o ciągłej fluktuacji zasobów finansowych, gdy jedno wydawnictwo kupuje drugie i kilka marek znajduje się w jednym portfelu jednej grupy kapitałowej. Mało kto dziś wie, że za szyldem „Bezdroży” kryją się nazwy „Helion” czy „Editio”, a Wydawnictwo PWN sygnuje także markę „Carta Blanca” i „Buchmann”. Natomiast stare krakowskie Wydawnictwo Literackie ma pod swoimi skrzydłami winietę „Noir sur Blanc”.

W całej rozciągłości omawianego zjawiska nie można nie zwrócić także uwagi na „zaprzyjaźnione” z przemysłem wydawniczym portale internetowe, a telewizja i radio w ofercie wspomnianego powyżej Wydawnictwa Literackiego wydają się potwierdzać znaczenie symbolicznego tytułu niniejszego podrozdziału. Przy okazji natomiast rozważań o celebryckim charakterze literatury podróżniczej, wspominając o sklepie kolonialnym<sup>902</sup> Wojciecha Cejrowskiego, warto także dodać, że podróżnik od roku 2010 sygnuje swoim nazwiskiem także serię ubrań pod metką „WC Collection”. Innym kulturowym ewenementem może być także przywołany już przykład biura podróży Doroty Katende, wspomnianej w pierwszej części rozprawy, gdy autorka „Domu na Zanzibarze” chwali się organizowaniem przez jej firmę kolonialnych safari – polują na słonie? Zdzierają skóry z żyraf? Ubijają zebu? Najmują Czarnych tragarzy?

Innym przykładem na charakterystyczną hybrydyzację literatury podróżniczej będzie także działalność sieci sklepów podróżniczych, takich jak „Sklep Podróżnika” czy „Sklep Włóczykija”, które w swoim asortymencie proponują i książki podróżnicze, i mapy, i odzież, ale także namioty, śpiwory i wszelkiego rodzaju akcesoria ułatwiające wędrowkę i czyniące z

---

<sup>902</sup> Maniera tytułowania sklepów mianem kolonialnych zdaje się w ostatnim czasie przybierać na sile i w każdym większym mieście, choć nie koniecznie, takie sklepy zaczynają powstawać, mając w swojej ofercie przede wszystkim artykuły spożywcze, takie jak kawa, herbata lub przyprawy. Można także zaobserwować szyldy sklepów meblarskich z nagłówkiem „meble kolonialne”.

niej przygodę. Warto także zwrócić uwagę na markę „Alpinus”, słynącą swego czasu m.in. z produkcji odzieży i sprzętów do wysokogórskiej turystyki kwalifikowanej, której założycielami i pierwszymi właścicielami byli himalaiści Artur Hajzer i Janusz Majer. Dziś, po perturbacjach finansowych, marka należy do firmy „Campus”, międzynarodowego producenta sprzętu turystycznego. Niejednokrotnie także na wielu okładkach książek podróżniczych logo „Alpinusa” było widoczne jako firmy, która swoim patronatem objęła relacjonowaną wyprawę lub jakieś podróżnicze przedsięwzięcie, np. festiwal, zlot lub targi.

Symbolicznym hybrydowym ramieniem na polskim rynku wydawniczym będzie także cały przemysł gazetowy poświęcony tematyce podróżniczej. Dzieje się tak przede wszystkim za sprawą kilku największych tytułów, które od lat rywalizują o czytelniczego klienta. Prasa podróżnicza prześciga się w kolorowych okładkach i niejednokrotnie w krzykliwych tytułach. Sławetne skądinąd Towarzystwo National Geographic wydaje swój kultowy magazyn oraz miesięcznik „Traveler”, a obu przedsięwzięciom szefuje Martyna Wojciechowska jako redaktor naczelna. Jedno przedsięwzięcie wspiera i promuje drugie: na łamach czasopism można przeczytać o nowościach księgarskich, a w wydanych książkach znaleźć w różnych miejscach logo miesięczników z żółtą ramką. Czasopisma to także konkursy z cennymi nagrodami i prezentami (potężna firma z branży elektronicznej sponsoruje szczęśliwców najnowocześniejszymi aparatami fotograficznymi albo znane biuro podróży funduje słoneczne wczasy), załączane płyty z filmami dvd czy też wszelkiego rodzaju karty-zdrapki, bonusy, zniżki i promocje. Wydawcy prześcigają się w pomysłach, by szata graficzna była coraz bardziej atrakcyjna. Niejednokrotnie wewnątrz prasowego wydania więcej jest reklam niż podróżniczej treści, a pierwszy artykuł z wędrownego szlaku można znaleźć dopiero po bez mała dwudziestu stronach banerów reklamowych. Coraz trudniej tym samym odróżnić, czy magazyn jest bardziej reklamowy, czy bardziej czytelniczy. Znamienity jest także popularny fakt, że gdy wzięty redaktor otwiera np. miesięczny nakład swojego czasopisma słowem wstępnym opatrzonym zwrotem o brzmieniu zbliżonym do „Przyszła pora wakacji i wybiorę się z córką na Kretę”, to na okładce magazynu znaleźć można pełnostronicową reklamę bajecznej wyspy sfinansowaną przez jedną z rządowych agencji lub zaprzyjaźnione biuro podróży.

Swego rodzaju przedłużeniem działalności wydawnictw prasowych stają się także wspomniane już portale internetowe, które równolegle z drukowanymi na papierze czasopismami promują je w sieci, same będąc odrębnymi bytami edycyjnymi. Za pomocą

nowoczesnych urządzeń mobilnych można oglądać te internetowe wydawnictwa praktycznie w każdym czasie i w dogodnym dla siebie miejscu. Na tym przykładzie widać bardzo wyraźnie, jak w portfelu jednego tylko wydawcy może znajdować się tak wiele różnych narzędzi i produktów, gdy przez papierowe książki w twardych oprawach czytelnik wędruje w stronę coraz bardziej poczytnych audiobooków, przenosi się na cyfrowe platformy, wertuje kredowane miesięczniki i kwartalniki czy też ogląda wyprodukowane filmy. A wszystko to poparte jest szumem medialnym wokół celebryty-redaktora-podróżnika.

Nieuchronną konsekwencją takich zjawisk, które w gospodarczym i biznesowym wymiarze nie są niczym szczególnym, staje się także wspomniana już wszelka fluktuacja zasobów finansowych, jakie przepływają przez rynek wydawniczy bardzo często niezauważone i zakamuflowane. Sytuacje takie można zaobserwować chociażby przyglądając się pobieżnie notom redakcyjnym, które w podróźniczej książce określają np. wydawcę, jego adres, czy też prawa autorskie. Na przestrzeni dziesięcioleci zmieniają się więc formy prawne tych działalności i firm, gdy jedno wydawnictwo wykupują drugie, inne bankrutują, a jeszcze inne rozwijają się do rozmiarów spółek akcyjnych z rozproszonym lub zwartym akcjonariatem. Dodawane są np. skróty „Sp. z o.o.”, „SA”, „Oficyna”, „Wydawnictwo”, „Grupa” i inne podobne. Laik wie, że mimo niezmiennego graficznego loga marki lub tożsamej w brzmieniu nazwy, wszelka taka ewolucja pociąga za sobą niemal za każdym razem przeobrażenie kapitałowe i decyzyjne. Nie jest moim zadaniem badanie i śledzenie tych rynkowych zjawisk, jednak należy odnotować, że niejednokrotnie wydarzenia takie mają miejsce i odgrywają kluczową rolę w tworzeniu się rynku wydawnictw podróźniczych. A finalnie, w efekcie, przekładają się tym samym na edycyjny profil danego wydawnictwa oraz na tematykę sygnowanej później literatury. Można przypuszczać, że przez kolejne lata, wraz z rozwojem tej branży wydawniczej, będzie następować dalszy proces charakteryzujący się z jednej strony powstawaniem nowych przedsięwzięć o charakterze wydawniczo-księgarskim, a z drugiej można będzie także zaobserwować konsolidację istniejących już wydawnictw w formy np. prawnie zrzeszone lub po prostu przejęte poprzez zakup.

Można w tym miejscu prowadzonych dywagacji powiedzieć, że oto koło się zamyka, bowiem dane wydawnictwo, by przetrwać w wolnorynkowej rzeczywistości, zmuszone jest tak zarządzać swoimi zasobami, by nie zbankrutować, i tym samym zobowiązane jest do nie ignorowania czytelniczych gustów, bowiem to wynik sprzedaży (poprzedzony zbudowaną atrakcyjnością) decyduje o jego być albo nie być; to ilość sprzedanych egzemplarzy określa

przychód (dochód lub stratę) rodziny wydawcy. Tym samym zasadne stają się pytania o kierunek trwających zmian i przeobrażeń, gdy coraz trudniej sprzedać literaturę bez barwnych fotografii, szczególnie, gdy ma się na uwadze tak charakterystyczną w tym zakresie literaturę podróżniczą. A pamiętając memento Dickensa, by grzbiety i okładki książek nigdy nie stanowiły najlepszych ich części, warto także na zakończenie przywołać zdanie kubańskiego poety Marti, że dom bez książek podróżniczych zawsze będzie jak odległa plaża bez słońca.

## Podsumowanie

Cytowany po wielokroć podróżnik i pisarz Paul Theroux, gdy dotarł do kresu swojej podróży i widząc już Ziemię Ognistą, zwięźle i skrupulatnie zanotował: *Dobrze wiedziałem, że znajduję się nigdzie, ale najdziwniejsze było to, że po tylu godzinach podróży, wciąż jestem na świecie, w punkciku u dołu mapy. Krajobraz miał surowy wygląd, ale nie mogłem zaprzeczyć, że wyróżniały go też cechy szczególne, a ja w nim trwałem. Oto dokonałem odkrycia: nigdzie jest miejscem.*<sup>903</sup> Można przyjąć, że na swój sposób rozprawa ta była podróżą. Będąc wobec tego u jej kresu, warto, jak się wydaje, poczynić garść wymaganych spostrzeżeń.

Przede wszystkim należy podkreślić, posługując się obrazową terminologią dentystyczną, że polska literatura podróżnicza znajduje się w okresie wyraźnego ząbkowania. Tak jak wiele z przywołanych podróży jest pierwszych i dotychczas jedynych, tak książki podróżnicze nie celują jeszcze w nazbyt wykwintne i wyrafinowane formy. Nie należy jednak sądzić, że nie próbują albo nie mogą. Wszystko dopiero się zaczyna i stoi w blokach na sportowym starcie. Można przypuszczać, że następne dwadzieścia, trzydzieści lat będzie konsekwentnym uzupełnieniem zarysowanego obrazu, bowiem proces kontynuacji wydaje się nieodzowny i niemożliwy do zatrzymania. Na swój sposób mogą tego uwięzienia dokonać

---

<sup>903</sup> P. Theroux, *Stary Ekspres Patagoński. Pociągami przez Ameryki*, Wołowiec 2013, str. 533.

tylko dwa wrogie, dla spustoszenia sprzymierzone wspólnie zjawiska. Po pierwsze, światowa wojna lub inny kataklizm uniemożliwiający odbywanie podróży i druku oraz, po drugie, dominacyjna hegemonia wydawnictw tabloidalno-celebryckich, które skutecznie na przestrzeni czasu wyprą z rynku wydawniczego popularne dziś książki podróżnicze. Czy tak się stanie? O ile pierwsze zjawisko w jakimś sensie stanowi obecnie niemożliwą abstrakcję, to drugie zdaje się niestety wkraczać na scenę pełną parą. Gdzie obrona? W sukurs może przyjść konstatacja Małgorzaty Szejnert; pisarki, dziennikarki i reporterki, która ostrożnie konstatuje: *Coraz mniej wokół nas autorytetów. Nie wierzymy politykom, nie wierzymy księżom, zawodzą nas nauczyciele i trenerzy sportowi. Politycy, ideolodzy, menadżerowie mają rozliczne interesy w tym, by interpretować świat po swojemu. Reporter na ogół nie ma powodu, by przekombinowywać świat na swoją stronę (choć i to się zdarza, ale o wiele rzadziej niż w publicystyce). Może dlatego ludzie szukają reportaży. Potrzebują prawdziwych historii.*<sup>904</sup>

Wspominałem po wielokroć, przywołując rozliczne przykłady, że literatura podróżnicza, bodaj jak żadna inna, związana węzłem z prymarnym aktem podróży, stanowi sama w sobie nieocenione świadectwo ludzkiego trudu, wysiłku i niedogodności – pisana raz na wozie, raz pod wozem. Być może fakt ten jest głównym źródłem jej popularności – nie jest bowiem dziełem wymyślonym i fikcyjnym, a dziennikiem z podróży, zaświadczeniem i świadectwem. Nawet jeśli na jej kartach zdarzy się, że w jakimś lapidarnym opisie pomyli albo zamieni prawdy, to i tak, by napisać o Kambodży, trzeba tam być i stać gołą nogą w mokrych uprawach ryżu. Czym będzie raport z Sahary bez kurzu harmatanu, albo refleksja o Conradzie bez widoku Kongo? W tym znaczeniu przywołana powyżej konkluzja Małgorzaty Szejnert najbardziej wydaje się uprawomocniać taki oto status gatunku *travel literature*.

Zdaję sobie w pełni sprawę, że zaproponowane na przestrzeni całej dysertacji kategoryzujące podziały mogą być tylko jednymi z licznych i podobnych, jednak jak się wydaje, zwrócenie uwagi na publicystyczną rozbieżność między tzw. pisarstwem zawodowym a pisarstwem amatorskim (kategoria literatury podróżniczej o charakterze odpowiednio aktywnym i pasywnym) dzieli ten gatunek na dwie osobne części: zarówno ze względu na stosowaną poetykę wypowiedzi, jak i zważywszy na niebagatelne znaczenie podróżniczych zasobów finansowych. Jednak tak jak podróż nie byłaby podróżą bez zakrętów, skrótów i błędzeń, tak podniesione tutaj zagadnienie każdej kategoryzacji niesie w

---

<sup>904</sup> M. Szejnert. W: A. Wójcińska, *Reporterzy bez fikcji*, Wołowiec 2011, str. 27.

sobie wyjątki i odstępstwa. Można bowiem nie mieć nic i podróżować na granicy nędzy, pisząc potem nieprawdopodobnie cenne opracowania, a można także podróżować w blaskach, tworząc po powrocie wydawniczą serię, o której za kilka lat nikt już nie będzie pamiętał.

Wnikliwa penetracja polskiej literatury podróżniczej skłoniła mnie także do wielu refleksji dotyczących samego zagadnienia podróży, i choć niniejsza rozprawa w zamierzeniu miała mieć charakter namysłu jedynie nad podróżniczą literaturą, to jednak nie sposób, jak się wydaje, obu tych zagadnień od siebie oddzielić. Filozofia podróży wywiera bowiem ogromny wpływ na późniejszy sposób zapisu, a fizyczny proces pokonywania drogi odbija się potem na kształcie tworzonej publikacji. Tym samym, gdy podróż zamienia się w sztukę, późniejsze opisy zyskują na głębi kolorytu. Nie można także nie zauważyć trzeciego wymiaru opisywanego zjawiska, gdy na wszystko nakładana jest później wydawnicza maskownica. Niebagatelny wpływ roli wydawcy, już po spisaniu przez podróżnika swoich wspomnień, odciska na wędrownej relacji piętno bodaj takie samo, jak wcześniejszy akt zrealizowanej podróży. Poprzez zastosowanie wielu edycyjnych uatrakcyjnień oraz najnowszych marketingowych form sprzedaży, dzisiejsze książki podróżnicze daleko odbiegają już od tych, jakie znane są z dekad wcześniejszych. Bogata ornamentyka okładek, bujna, przemyślana i zaprojektowana w każdym detalu szata graficzna, mnogość fotografii oraz wszelakie promocje powodują, że niejednokrotnie błahy i mizerny tekst podnoszony jest do rangi arcydzieła, a rzecz interesująca gubi się i znika za medialnym szumem. Można śmiało przyznać, że tak jak dla książki podróżniczej sam akt podróży będzie przyczyną, tak całość spraw związanych z jej wydaniem staje się postprodukcją.

Jednak kwerenda podróżniczych publikacji napawa dużą nadzieją. Podczas całej literacko-badawczej i przekrojowej wędrówki po kontynentach, śledząc publikację za publikacją, można także zauważyć, jak rozkładają się podróżnicze akcenty ze względu na samo zainteresowanie osób podróżujących po wybranym rejonie lub kraju. Przede wszystkim są to więc podróże po Wschodzie oraz po Afryce. Tych jest najwięcej, choć afrykańska ziemia wydaje się dopiero czekać na bardziej interesujące opracowania. Należy przypuszczać, że technologiczna dostępność Wschodu ma dla podróżnika znaczenie logistyczne i finansowe: można wsiąść na rower lub motor, przejechać Ukrainę, wjechać do Rosji i dotrzeć niemal do plaż Japonii i Korei, po drodze oglądając to i owo. Latem, w codziennym pociągu Kolei Transsyberyjskiej nie ma dnia, by nie było tam Polaków. Nieco mniej natomiast publikacji dotyczy Ameryki Środkowej i Południowej, choć kilkadziesiąt leżących tam krajów kusi



góorskimi krajobrazami Andów i Kordylierów, Patagonią, Amazonią, niebotyczną historią Majów i Inków, basenem Karaibów czy wyspami pokroju Galapagos. Podobnie rzecz ma się z książkami o Australii i Ameryce Północnej, których nie jest zbyt wiele. Czynnikiem o tym decydującym może być nadmieniana już wspólnota kulturowa i cywilizacyjna – mało kogo obchodzi taka sama asfaltowa droga, identyczne szklane budynki czy ludzie mówiący wszędzie po angielsku. Natomiast coraz więcej śmiazków, jak można zauważyć, rusza w tzw. podróże dookoła świata lub realizuje w ramach kuli ziemskiej jakieś oryginalne i jednorazowe projekty. Mając na uwadze, że na świecie wszystko, co było do zdobycia, zostało praktycznie zdobyte, przychodzi teraz czas na osiągnięcia: osiągnąć górę zimową trasą, przepłynąć ogromną rzekę wpływ lub złamać każdy inny stereotyp – być pierwszym nie w zdobyciu, a właśnie w osiągnięciu.

Tym samym pokusiłbym się w tym miejscu rozprawy o prognozę, że oprócz książek, które w dalszym ciągu będą się ukazywać w randze opowieści z regionów i krajów, coraz więcej publikacji dotyczyć będzie konkretnych zagadnień występujących na Ziemi w różnych miejscach i różnych natężeniach, a literatura podróżnicza na swój sposób stanie się bardziej specjalistyczna. Mając okazję odwiedzić przez szereg lat własnych podróży dziesiątki księgarń na całym świecie, wnioskuję też o tak wyraźnie rysującej się tendencji: nie tyle kto pierwszy, ale kto inaczej i ciekawiej.

Na przestrzeni całej pracy badawczej kilkakrotnie także podnoszony był wątek jej dynamicznego rozwoju. Gdy cezura daty 1989 otworzyła przed tym literackim gatunkiem swoje podwoje, z roku na rok rozwija się i pęcznieje. Trudno jednak w oparciu o ogólnodostępną informację ocenić, na ile liczba nowych okładek na księgarskich półkach przekłada się na rynkowe wyniki sprzedaży. Nie mając wglądu w księgi rachunkowe wydawców i księgarzy sumy są trudne do oszacowania. Jednak wysyp i obecność tej literatury wraz z medialną wrzawą, jaką wokół niej czynią celebryci, każe przypuszczać, że wyniki sprzedaży są zadowalające. Wiodąc całość powyższych przemyśleń należy także zaznaczyć, że tematyka ta stanowi nadal otwarty obszar badawczy, wart ponad miarę kolejnych szczegółowych rozważań i konkluzji. Bowiem tak jak ludzie nie przestaną podróżować, można też przypuszczać, że za śladem Herodota nie przestaną również o świecie pisać.

Czym więc jest przywołana w pierwszym zdaniu rozprawy szczerza rozterka Ryszarda Kapuścińskiego o próbie pogodzenia pracy naukowo-badawczej z szeregiem własnych biograficznych doświadczeń? Czy i na tym tle nie powinno oto dojść także do pewnych konkluzji o charakterze normatywnym, gdy suchy namysł nad literaturą podróżniczą zdaje się zwyczajnie nie wystarczać? Artur Domosławski dla wiernej konstrukcji „Non fiction” wsiadał w samolot i w miarę możliwości sprawdzał wszystko na miejscu. Kilka lat temu chodziłem godzinami po białoruskim dziś Pińsku. Kościoły, cerkwie. Kilka niemieckich, emigracyjnych rejestracji. Polskie napisy tu i ówdzie. Za miastem rzeka i pomnik na tysiąclecie. Zapłaciłem trzy mandaty bez pokwitowania: za parkowanie, za prędkość i za robienie zdjęć obiektom strategicznym – poczcie. Ulicami hulał jesienny wiatr zapomnienia. Na targowisku wełniane szale, stare buty i kurz. Bagno. Niedaleko murowany dom pod numerem 43 z pamiątkową tablicą, że tutaj mieszkał wybitny polski pisarz i dziennikarz. Wszędzie pytałem, czy ktoś go zna. Nikt nie słyszał. Taksówkarze myśleli, że pytam o księdza, a starowiny pod kościołem uciekały spłoszone organami jak czarne gołębie. Wokół drewniane chałupy kłaniały się pustym chodnikom. Kręciłem nogą po okolicy i chciałem stamtąd jak najszybciej uciec.

Czy obok biografii mistrza może powstać biografia podróżniczych dokonań? Czy pisząc o literaturze podróżniczej można ją przeniknąć bez własnego doświadczenia? Czy można trafnie pisać o poezji nie pisząc czasem wierszy? Wnikliwy namysł nad tymi zagadnieniami nie był prymarnym zadaniem tej rozprawy, jednak, jak się wydaje, od pytań tych nie można uciec i w jakimś sensie pozostają bez jasnej i jednoznacznej odpowiedzi, bo *Podróż była przede wszystkim sprawdzianem pamięci.*<sup>905</sup>

Zbigniew Herbert, kończąc swój spacer po ogrodzie, zwrócił uwagę na jeszcze jeden podróżniczy walor, i zapisał: *Kiedy przyjadę tu za dwadzieścia pięć lat, Piaf będzie już martwą gwiazdą, jak Mistinguette. Ale z ludźmi mego pokolenia, z ludźmi, którzy przeżyli te same wojny, będę mógł się porozumieć, rzucając od niechcenia to nazwisko. Za dwadzieścia pięć lat. Ileż to pokoleń karpi legnie w mule stawu koło pałacu Chantilly. Tylko Sassetta będzie ten sam i cnota ubóstwa ulatująca w niebo będzie jak nieruchoma strzała Eleaty. Dzięki Sassetcie wstąpię dwa razy w tę samą rzekę i czas, „Chłopiec grający w kamyki” będzie na moment dla mnie łaskawy. Znów jestem w ruchu. Spieszę do śmierci. Przed oczami Paryż – hałas światła.*<sup>906</sup> Można przypuszczać, że polska literatura podróżnicza w następnych

<sup>905</sup> P. Theroux, *Stary Ekspres Patagoński. Pociągiem przez Ameryki*, Wołowiec 2011, str. 448.

<sup>906</sup> Z. Herbert, *Barbarzyńca w ogrodzie*, Warszawa 2004, str. 219.

latach także pójdzie drogą licznych powtórzeń, gdy młodzi dziś autorzy, znudzeni już poznanym i zweryfikowanym światem, ruszą na swoiste szlaki repodróży, snują potem literackie i pisarskie repasaże: kolacjonując autonomiczne wspomnienia o codzienność po dziesięcioleciach. W tym znaczeniu Heraklitowa rzeka nigdy nie jest tą samą, a powrót, jak chce wytrawny Theroux, nie musi być powtórką. *Decyzja o powrocie w miejsca niegdyś poznane jest ryzykowna, ale nie sposób jej się oprzeć, pod warunkiem że owa podróż to nie poszukiwanie straconego czasu, lecz doznawanie całego teatru zdarzeń, które nastąpiły po pierwszym tam pobycie.*<sup>907</sup>

Gdybym mógł dedykować tę rozprawę jednej osobie, dedykowałbym ją niestrudzonej Kindze Choszcz.

---

<sup>907</sup> P. Theroux, *Pociąg widmo do Gwiazdy Wschodu. Szlakiem „Wielkiego bazaru kolejowego”*, Wołowiec 2010, str. 13.

# Bibliografie

## Bibliografia podmiotowa:

### A. Obszar Azji i Dalekiego Wschodu

1. Jacek Hugo-Bader, *Biała gorączka*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2009.
2. Paul Theroux, *Pociąg widmo do Gwiazdy Wschodu. Szlakiem „Wielkiego bazaru kolejowego”*. Przekład: Paweł Łopatka, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2010.
3. Danuta Gryka, *Książka o pięknej podróży*, Rosner i Wspólnicy, Warszawa 2009.
4. Wojciech Jagielski, *Modlitwa o deszcz*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2008.
5. Paweł Reszka, *Miejsce po imperium*, Świat Książki, Warszawa 2007.
6. Jacek Pałkiewicz, *Syberia, wyprawa na biegun zimna*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2007.
7. Radek Biczak, *Zielone wzgórza Ulan Bator*, Wydawnictwo Videograf II, Chorzów 2009.
8. Agnieszka Kuszewska, *Indyjsko-pakistański konflikt o Kaszmir*, Wydawnictwo Naukowe PWN SA, Warszawa 2010.
9. Jerzy Zdanowski, *Historia Arabii Wschodniej*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich – Wydawnictwo, Wrocław 2004.
10. Anna Dziewit-Meller, Marcin Meller, *Gaumardżos*, Świat Książki, Warszawa 2011.
11. Iwona Kaliszewska, Maciej Falkowski, *Matrioszka w Hidżazie, reportaże z Dagestanu i Czeczenii*, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2010.
12. Wojciech Górecki, *Toast za przodków*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2010.
13. Rafał Gawęda, Maciej Tyszecki, *Magia Azji*, Wydawnictwo Videograf II, Chorzów 2011.
14. Szczepan Lemańczyk, *Iran*, Wydawca Piotr Szmajda, Poznań 2009.
15. Osip Mandelsztam, *Podróż do Armenii*. Przekład: Ryszard Przybylski. Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2004.
16. Wiktor Bajer, *Nikt nie spodziewa się rzezi*, Wydawnictwo ZNAK, Kraków 2008.

17. Daniel S. Zbytek, *Azja Południowa, tygiel islamu i globalizacji*, Wydawnictwo Rambler, Warszawa 2010.
18. Tomasz Mazur, *Mozaika indyjska*, Wydawnictwo KURPISZ, Poznań 2009.
19. Grzegorz Torzecki, *Birma, królowie i generałowie*, Wydawnictwo Albatros, Warszawa 2009.
20. Bronisław Grąbczewski, *Podróże po Azji Środkowej 1885-1890*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2010.
21. Wojciech Jagielski, *Wieże z kamienia*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2008.
22. Ana Uzelac, *Dzieci z Putino*, Fundacja Pogranicze, Sejny 2004.
23. Tiziano Terzani, *W Azji*. Przekład: Joanna Wajs. Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2009.
24. Wojciech Giełżyński, *Rewolucja w imię Allacha*, Wydawnictwo Książka i Wiedza, Warszawa 1979.
25. Colin Thubron, *Po Syberii*. Przekład: Dorota Kozińska. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2011.
26. Ryszard Kapuściński, *Szachinszach*, Świat Książki, Warszawa 2006.
27. Marco Polo, *Opisanie Świata*. Przekład: Anna Ludwika Czerny. Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2010.
28. Herodot, *Dzieje*. Przekład: Seweryn Hammer. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”. Warszawa 1954.
29. Antoni Ferdynand Ossendowski, *Przez kraj, ludzi, zwierząt i bogów*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2009.
30. Jacek Kalabiński, *Iran, nowe mocarstwo?*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1977.
31. Will Ferguson, *W drodze na Hokkaido*. Przekład: Jarosław Włodarczyk. Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2012.
32. Anna i Krzysztof Kobusowie, *Smoki i smoczki. Z dziećmi przez Azję*, Wydawnictwo G+J RBA Sp. z o.o., Warszawa 2012.
33. Joanna Bator, *Japoński wachlarz. Powroty*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2012.
34. Anna Zielińska-Elliott, *Haruki Murakami i jego Tokio. Przewodnik nie tylko literacki*, Wydawnictwo MUZA SA, Warszawa 2012.
35. Aleksandra Watanuki, Martyna Taniguchi, *Świat z papieru i stali. Okruchy Japonii*, Wydawnictwo WANeko, Warszawa 2011.
36. Anna Golisz, *Moja Japonia*, Wydawnictwo PETRUS, Kraków 2010.
37. Kazimierz L. May, *Rondo na pustyni*, Wydanie autorskie, Warszawa 2008.
38. Nicolas Bouvier, *Pustka i pełnia*. Przekład: Krystyna Arustowicz. Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o., Warszawa 2005.
39. Anna Ikeda, *Życie jak w Tochigi*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2012.
40. Paweł Musiałowski, *Japonia oczami fana*, Wydawnictwo FINNA, Gdańsk 2012.
41. Konrad Godlewski, *Korea szerokopasmowa*, Wydawnictwo Kwiaty Orientu, Skarżysko-Kamienna 2012.

42. Ella Maillart, *Wysłanniczka specjalna do Mandżurii*. Przekład: Krystyna Arustowicz. Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o., Warszawa 2012.
43. Ella Maillart, *Od gór niebiańskich do czerwonych piasków*. Przekład: Maryna Ochab. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2007.
44. Paulina Wilk, *Lalki w ogniu*, Wydawnictwo Carta Blanca sp. z o.o., Warszawa 2011.
45. Tomek Lehnert, *Oszuści w szatach*, Wydawnictwo „Czerwony Słoń”, Gdańsk 1999.
46. Bartek Sabela, *Może morze wróci*, Wydawnictwo HELION, Gliwice 2013.
47. Ewa Nowicka, Małgorzata Głowacka-Grajper, *Wierszyna z bliska i z oddali*, Zakład Wydawniczy NOMOS, Kraków 2003.
48. Anna Grebieniow, *Żagle nad pustynią. Z wiatrem przez Gobi*, Wydawnictwo Bezdroża sp. z o.o., Kraków 2011.
49. Wojciech Górecki, *Planeta Kaukaz*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2010.
50. Wojciech Górecki, *Abchazja*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2013.
51. Igor T. Miecik, *14:57 do Czyty*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2012.
52. Andrzej Dybczak, *Gugara*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2012.
53. Bartosz Jastrzębski, Jędrzej Morawiecki, *Krasnojarsk Zero*, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2012.
54. Witold Michałowski, *Altajskie tropy*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2010.
55. Magdalena Skopek, *Dobra Krew. W krainie reniferów, bogów i ludzi*, Wydawnictwo Naukowe PWN SA, Warszawa 2013.
56. Jonathan Dimbleby, *Rosja. Podróż do serca kraju i narodu*. Przekład: Tomasz Bieroń. Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2012.
57. Małgorzata Dzieduszycka-Zielińska, *Wszyscy jesteśmy nomadami*, Weltbild Sp. z o.o. Warszawa 2012.
58. Paweł Smoleński, *Izrael już nie frunie*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2007.
59. Paweł Smoleński, *Arab strzela, Żyd się cieszy*, Weltbild Sp. z o.o., Warszawa 2012.
60. Tomasz Grzywaczewski, *Przez Dziki Wschód*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2012.
61. Aleksandra Kajdańska, Edward Kajdański, *Jedwab. Szlakami dżonek i karawan*, Wydawnictwo „Książka i Wiedza”, Warszawa 2007.
62. Mariusz Zawadzki, *Nowy wspaniały Irak*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2012.
63. Marek Kęskrawiec, *Czwarty pożar Teheranu*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2010.
64. Adam Wiśniewski, *Mongolia, czyli drogi rzadko uczęszczane*, Wydawnictwo Poligraf, Brzezina Łąka 2011.
65. Eli Barbur, Krzysztof Urbański, *Właśnie Izrael*, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2006.
66. Norman G. Finkelstein, *Gaza – o jedną masakrę za daleko*. Przekład: Paweł Michał Bartolik. Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2010.

67. Mario Vargas Llosa, *Izrael – Palestyna. Pokój czy święta wojna*. Przekład: Barbara Jaruszuk, Krzysztof Iskowski. Świat Książki, Warszawa 2007.
68. Daniel S. Zbytek, *Azja Południowa. Tygiel islamu i globalizacji*, Wydawnictwo Rambler, Warszawa 2010.
69. Tomasz Mazur, *Mozaika indyjska*, Wydawnictwo KURPISZ, Poznań 2009.
70. Konrad Wilk, *Naga Asu*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2011.
71. Seyyed Hossein Nasr, *Istota islamu*. Przekład: Katarzyna Pachniak. Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 2010.
72. Antoni Ferdynand Ossendowski, *Gasnące ognie*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2011.
73. Robert D. Kaplan, *Na wschód do Tatarii*. Przekład: Janusz Ruszkowski. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2010.
74. Krystyna Kurczab-Redlich, *Głową o mur Kremla*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2011.
75. Åsne Seierstad, *Dzieci Groźnego*. Przekład: Iwona Zimnicka, Wydawnictwo W.A.B. Warszawa 2009.
76. Wojciech Jagielski, *Dobre miejsce do umierania*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2012.
77. Barbara Włodarczyk, *Nie ma jednej Rosji*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2013.
78. Zdzisław Nowicki, *Ikona z kawałkiem chleba i cebuli*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2012.
79. Bolesław A. Uryn, *W świecie jurt i szamanów*, Wydawnictwo MUZA SA, Warszawa 2013.
80. Jacek Hugo-Bader, *Dzienniki kołymskie*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2011.
81. Jacek Hugo-Bader, *W rajskiej dolinie wśród zielska*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2010.
82. Mirosław Stachowski, *Motocyklem nad Bajkał*, Wydawnictwo SORUS, Poznań 2013.
83. Maciej Jastrzębski, *Matrioszka Rosja i Jastrzęb*, Wydawnictwo HELION, Gliwice 2013.
84. Sławomir Rawicz, *Długi Marsz*, Wydawnictwo GORD, Gdańsk 2011.
85. Kazimierz Sowa, *Moje syberyjskie podróże*, Weltbild Sp. z o.o., Warszawa 2013.
86. Katarzyna Pakosińska, *Georgialiki*, Wydawnictwo Pascal, Bielsko-Biała 2012.
87. Krzysztof Skok, *Rowerem przez świat*, Wydawnictwo Bernardinum, Pelplin 2011.
88. Anna Jackowska, *Kobieta na motocyklu*, Wydawnictwo Pascal, Bielsko-Biała 2011.
89. Andrzej Bober, *Korea zjednoczona – szansa czy utopia?*, Wydawnictwo Kwiaty Orientu, Skarżysko-Kamienna 2013.

90. Ryszard Sługocki, *Od Wisły do Rzeki Perłowej*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2011.
91. Katarzyna Pawlak, *Za Chiny ludowe*, Dom Wydawniczy PWN SA, Warszawa 2013.
92. Anna Jaklewicz, *Niebo w kolorze indygo*, Wydawnictwo HELION, Gliwice 2013.
93. Piotr Strzeżysz, *Campa w sakwach, czyli rowerem na Dach Świata*, Wydawnictwo HELION, Kraków 2011.
94. Paweł Skawiński, *Gdy nie nadejdzie jutro*, Wydawnictwo Dobra Literatura, Słupsk 2011.
95. Marek Lenarcik, *Tajski epizod z dreszczykiem*, Wydawnictwo HELION, Kraków 2012.
96. Max Cegielski, *Pijani Bogiem*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2007.
97. Max Cegielski, *Masala*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2011.
98. Dorota Kozińska, *Dobra pustynia*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2012.
99. Adam Chałupski, *Rowerem do Afganistanu*, Wydawnictwo LIBRA, Rzeszów 2011.
100. Robert Maciąg, *Tysiąc szklanek herbaty*, Wydawnictwo HELION, Kraków 2012.
101. Robert Maciąg, *Rowerem przez Chiny, Wietnam i Kambodżę*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2009.
102. Mariusz Wilk, *Wilczy notes*, Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o., Warszawa 2012.
103. Mariusz Wilk, *Dom nad Oniego*, Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o., Warszawa 2012.
104. Mariusz Wilk, *Tropami Rena*, Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o., Warszawa 2012.
105. Mariusz Wilk, *Lotem gęsi*, Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o., Warszawa 2012.
106. Romuald Koperski, *Pojedynek z Syberią*, Wydawnictwo GRAFIX, Gdańsk 2011.
107. Romuald Koperski, *Syberia, zimowa odyseja*, Wydawnictwo GRAFIX, Gdańsk 2011.
108. Romuald Koperski, *Przez Syberie na gapę*, Wydawnictwo GRAFIX, Gdańsk 2011.
109. Mieczysław Bieniek, *Z hajerem do Dalajlamy*, Wydawnictwo ANNAPURNA, Warszawa 2010.
110. Mieczysław Bieniek, *Z hajerem na kraju Indii*, Wydawnictwo ANNAPURNA, Warszawa 2011.
111. Marcin Gienieczko, *Kierunek Północ*, Wydawnictwo Bellona SA, Warszawa 2013.
112. Michał Książek, *Jakuck*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2013.



## B. Afryka

1. Paweł Wróbel Wróblewski, *Do ciepłych krajów*, Wydawnictwo Area, Gdańsk 2009.
2. Kazimierz Nowak, *Rowerem i pieszo przez czarny ląd*, Wydawnictwo Sorus, Poznań 2009.
3. Józef hr. Potocki, *Notatki myśliwskie z Afryki*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2009.
4. Wojciech Jagielski, *Nocni wędrowcy*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2009.
5. Andrzej Korybut-Daszkiewicz, *W pustyni bez puszczy*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2009.
6. Artur Baniewicz, *Afrykanka*, Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA Sp. z o.o., Warszawa 2005.
7. Karina Halina Domagała, *Biały misjonarz o czarnym sercu*, Katowice 2008.
8. Małgorzata Wach, *Każdy ma swoje Kilimandżaro*, Wydawnictwo ZNAK, Kraków 2008.
9. Hieronim Siwek, *Krwawiące drzewo*, Wydawnictwo Salwator, Kraków 2009.
10. Hieronim Siwek, *Moja piękna Afryka*, Wydawnictwo Salwator, Kraków 2009.
11. Wiesław Olszewski, *Mroczny kontynent Afryka*, Oficyna Wydawnicza G&P, Poznań 2009.
12. Nina Pawlak, *Języki afrykańskie*, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2010.
13. Anna Olej-Kobus, Krzysztof Kobus, *Namibia, 9000 km afrykańskiej przygody*, Wydawnictwo G+J RBA Sp. z o.o., Warszawa 2011.
14. Piotr Kucharski, *Zair 1996-1997*, Dom Wydawniczy BELLONA, Warszawa 2002.
15. Ryszard Vorbrich, *Daba, górale północnego Kamerunu*, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Wrocław 1989.
16. Dorota Katende, *Dom na Zanzibarze*, Wydawnictwo Otwarte, Kraków 2009.
17. Konrad Piskała, *Sudan*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2010.
18. Anna Siwek, *Moja przygoda z Kilimandżaro*, Wydawnictwo POLIGRAF, Łódź 2010.
19. Wojciech Tochman, *Dzisiaj narysujemy śmierć*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2010.
20. Andrzej Meller, *Zenga zenga*, The Facto Sp. z o.o., Warszawa 2012.
21. Marcin Mińkowski, *Tam, gdzie nie ma coca-coli*, Wydawnictwo Pascal, Bielsko-Biała 2011.
22. Dariusz Rosiak, *Żar. Oddech Afryki*, Wydawnictwo Otwarte, Kraków 2010.
23. Mungo Park, *Podróże we wnętrzu Afryki*. Przekład: Michał Kozłowski. Dalavich Press, Warszawa 2008.
24. Klaus Brinkbäumer, *Afrykańska odyseja*. Przekład: Joanna Czudec. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2009.

25. Sven Lindqvist, *Wytępić całe to bydło*. Przekład: Milena Haykowska. Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2009.
26. Michael Ondaatje, *Angielski Pacjent*. Przekład: Waław Sadkowski. Świat Książki, Warszawa 1997.
27. Jens Finke, *Afryka po raz pierwszy*. Przekład: Anna Szykowska, Michał Piotrowski i Jerzy Kamecki. Wydawnictwo Naukowe PWN SA, Warszawa 2009.
28. Corinne Hofmann, *Historia Białej Masajki*. Przekład: Dariusz Muszer i Maria Skalska. Świat Książki, Warszawa 2009.
29. Jean Hatzfeld, *Strategia antylop*. Przekład: Jacek Giszczak. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2009.
30. Doris Lessing, *Opowieści afrykańskie*. Przekład: Jacek Manicki. Wydawnictwo Albatros, Warszawa 2008.
31. Jean-Noël Liaut, *Karen Blixen. Afrykańska odyseja*. Przekład: Jan Maciej Głogoczowski, Joanna Kluza. Wydawnictwo Magnum Sp. z o.o., Warszawa 2004.
32. Karen Blixen, *Listy z Afryki*. Przekład: Iwona Zimnicka. Wydawnictwo MUZA SA, Warszawa 1998.
33. Karen Blixen, *Pożegnanie z Afryką*. Przekład: Józef Giebułtowicz. Wydawnictwo MUZA SA, Warszawa 2009.
34. Tadeusz Biedzki, *Sen pod baobabem*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2012.
35. Andrzej Zwoliński, *Biedy Afryki*, Wydawnictwo PETRUS, Kraków 2009.
36. Sonia i Alexandre Poussin, *Afryka Trek, od Przylądka Dobrej Nadziei do Kilimandżaro*. Przekład: Agnieszka Wojtyczek-Bonnand. Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2011.
37. Sonia i Alexandre Poussin, *Afryka Trek 2, od Kilimandżaro do Jeziora Tyberiadzkiego*. Przekład: Agnieszka Wojtyczek-Bonnand. Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2011.
38. Tim Butcher, *Rzeka krwi*. Przekład: Jakub Czernik. Wydawnictwo Carta Blanca sp. z o.o., Warszawa 2009.
39. Corinne Hofmann, *Żegnaj Afryko*. Przekład: Dariusz Muszer. Świat Książki, Warszawa 2005.
40. Wiesław Olszewski, *Mroczny kontynent Afryka*, Oficyna Wydawnicza G&P, Poznań 2009.
41. Kuki Gallmann, *Marzyłam o Afryce*. Przekład: Izabela Szyszkowska-Andruszko. Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2010.
42. Joanna Rzymkowska-Podolak, *Zakochani w świecie. Maroko*, Wydawnictwo Poligraf, Łódź 2012.
43. Suzanna Clarke, *Dom w Fezie*. Przekład: Alicja Oleksy-Sroga. Wydawnictwo Lambook, Kraków 2012.
44. Maciej Czaplński, *Afryka. Przekrój podłużny*, Wydawnictwo Bezdroża Sp. z o.o., Kraków 2011.

45. Fran Sandham, *Samotna wędrówka przez Afrykę*. Przekład: Małgorzata Żbikowska. Świat Książki, Warszawa 2011.
46. Bartosz Marzec, *Nasz człowiek w Botswanie*, Wydawnictwo MUZA SA, Warszawa 2012.
47. Wojciech Albiński, *Soweto – my love*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2012.
48. Paulina Plewako, *Zaklinaczka słońca*, Wydawnictwo JK, Łódź 2012.
49. Sona Draga, *RPA – kraj niespodzianek*, Wydawnictwo Sonia Draga, Katowice 2010.
50. Paweł Opaska, Magdalena Opaska, *Przez Madagaskar na rowerach*, Wydawnictwo JK, Łódź 2011.
51. Ryszard Kapuściński, *Heban*, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2005.
52. Kathy Cook, *Skradzione Anioły*. Przekład: Olga Pieńkowska-Kordeczka, Karol Sijka. Wydawnictwo św. Stanisława BM Archidiecezji Krakowskiej, Kraków 2010.
53. Michał Kruszona, *Uganda*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2011.
54. Joanna Bar, *Rwanda*, Wydawnictwo TRIO, Warszawa 2013.
55. Jean Hatzfeld, *Sezon maczet*. Przekład: Jacek Giszczak. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2012.
56. Cyprian Kosiński, *Afrykański polonez*, Oficyna Wydawnicza RYTM, Warszawa 2012.
57. Antoni Ferdynand Ossendowski, *Pod smaganiem samumu*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2012.
58. Antoni Ferdynand Ossendowski, *Niewolnicy słońca*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2011.
59. Heike Owusu, *Symbole Afryki*. Przekład: Monika Dziejczak. Wydawnictwo „KOS” Katowice 2002.
60. Mirosław Kowalski, *Szkatulka pełna Sahelu. Subsaharyjska ballada*, Wydawnictwo Bezdroża Sp. z o.o., Gliwice 2012.
61. Olgierd Budrewicz, *Równoleżnik zero*, Wydawnictwo Naukowe PWN SA, Warszawa 2010.
62. Frank Coates, *W poszukiwaniu Afryki*. Przekład: Jędrzej Burakiewicz. Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA, Warszawa 2009.

### C. Ameryki i okolice

1. Wojciech Karpiński, *W Central Parku*, Fundacja Zeszytów Literackich, Warszawa 2010.
2. Walter Sobchak, *Druga Ameryka*, Wydawnictwo Książkowe Twój Styl, Warszawa 2005.

3. Bartosz Gardecki, *Oczy Wujca Sama*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2012.
4. Jean Baudrillard, *Ameryka*. Przekład: Renata Lis. Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2011.
5. Piotr Orliński, *Ameryka nie istnieje*, Wydawnictwo Pascal, Bielsko-Biała 2011.
6. Paulo Lins, *Miasto Boga*. Przekład: Jacek Jaroszewicz. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2006.
7. John Gimlette, *Dzikie Wybrzeże: podróż skrajem Ameryki Południowej*. Przekład: Hanna Pustuła-Lewicka. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2013.
8. Paul Theroux, *Stary Ekspres Patagoński. Pociągiem przez Ameryki*. Przekład: Paweł Lipszyc. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2013.
9. David Hatcher Childress, *Tajemnica Olmeków*. Przekład: Przemysław Bieliński. Wydawnictwo Amber, Warszawa 2008.
10. Mirosław Olszycki, *Meksyk. Szlakiem zdobywców*, Wydawnictwo Bernardinum, Pelplin 2010.
11. Sonia Draga, Łukasz Gołębiowski, *Meksyk, kraj kontrastów*, Wydawnictwo Sonia Draga, Katowice 2007.
12. Ryszard Kapuściński, *Wojna Futbolowa*, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 1978.
13. Luis Sepúlveda, *Podróż do świata na końcu świata*. Przekład: Dorota Walasek-Elbanowska. Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o., Warszawa 2003.
14. Piotr Orliński, *Route 66 nie istnieje*, Wydawnictwo Pascal, Bielsko-Biała 2012.
15. Dorota Warakomska, *Droga 66*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2012.
16. Kamila Sławińska, *Nowy Jork. Przewodnik niepraktyczny*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2008.
17. Marcin Wrona, *Wrony w Ameryce*, Wydawnictwo THE FACTO, Warszawa 2012.
18. Marek Wałkuski, *Wątkowanie Ameryki*, Wydawnictwo HELION, Gliwice 2012.
19. Michał Głombiowski, *Wieczorem przyjdź na zócalo*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2013.
20. Magda i Marcin Musiałowie, *Tańce wśród piratów*, Wydawnictwo WAM, Kraków 2013.
21. Agnieszka Buda-Rodriguez, *Kuba daleka piękna wyspa*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2009.
22. Zdzisław Jan Ryn, *Wyspa Wielkanocna*, Wydawnictwo Medycyna Praktyczna, Kraków 2013.
23. Maciej Wasilewski, *Jutro przyplynie królowa*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2013.
24. Asia i Edi Pyrek, *Światy Równoległe*, Wydawnictwo G+J RBA Sp. z o.o., Warszawa 2012.
25. Piotr Strzeżysz, *Makaron w sakwach, czyli rowerem przez Andy i Kordyliery*, Wydawnictwo Bezdroża Sp. z o.o., Gliwice 2012.

26. Jacek Pałkiewicz, Andrzej Kapłanek, *El Dorado*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2005.
27. Jacek Pałkiewicz, *Amazonka. Zagadka źródła królowej rzek*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2009.
28. Wojciech Lewandowski, *Zamknij oczy i pomyśl o Andach*, Grupa Image, Warszawa 2011.
29. Wojciech Lewandowski, *Przez pustynie na ośnieżone szczyty...*, Wydawnictwo MUZA SA, Warszawa 2013.
30. Andrzej Piętowski, *Canoandes. Na podbój kanionu Colca i górskich rzek obu Ameryk*, Wydawnictwo Bezdroża Sp. z o.o., Gliwice 2013.
31. Dorota Głuska, *Burza depta mi po piętach*, Wydawnictwo Naukowe PWN SA, Warszawa 2012.
32. Mieczysław Lepecki, *Niknący świat*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2013.
33. Elżbieta Dzikowska, *Tam, gdzie byłam*, Wydawnictwo Bernardinum, Pelplin 2013.

#### **D. Australia i Oceania**

1. Olgierd Budrewicz, *Druga strona Księżyca*, Wydawnictwo G+J RBA Sp. z o.o., Warszawa 2004.
2. Marek Tomalik, *Lady Australia*, Wydawnictwo Bezdroża Sp. z o.o., Gliwice 2013.
3. Sven Lindqvist, *Terra Nullius*. Przekład: Irena Kowadło-Przedmojska. Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2010.

#### **E. Dookoła świata i na świecie**

1. Piotr Kossowski, *Tygiel*, Wydawnictwo Pascal, Bielsko-Biała 2009.
2. Wojciech Giełżyński, *Inne światy, inne drogi*, Oficyna Wydawnicza Branta, Bydgoszcz-Warszawa 2006.
3. Claudio Margis, *Podróż bez końca*. Przekład: Joanna Ugniewska. Fundacja Zeszytów Literackich, Warszawa 2009.
4. Riccardo Orizio, *Zaginione białe plemiona*. Przekład: Joanna Ugniewska i Mateusz Salwa. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2009.
5. Ted Conover, *Szlaki człowieka*. Przekład: Paweł Schreiber. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2011.

6. Marc Auge, *Nie-miejsca*. Przekład: Roman Chymkowski. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2010.
7. Karel Capek, *Listy z podróży*. Przekład: Piotr Godlewski. Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2011.
8. Ryszard Kapuściński, *Dalem głos ubogim*, Wydawnictwo ZNAK, Kraków 2008.
9. Witold Bereś, Krzysztof Burnetko, *Kapuściński: nie ogarniam świata*, Świat Książki, Warszawa 2007.
10. Artur Domosławski, *Kapuściński non-fiction*, Świat Książki, Warszawa 2010.
11. Kazimierz Wolny-Zmorzyński, *Ryszard Kapuściński, w labiryncie współczesności*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2004.
12. Bogusław Wróblewski, *Życie jest z przenikania*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2008.
13. Ryszard Kapuściński, *Podróże z Herodotem*, Wydawnictwo ZNAK, Kraków 2004.
14. Kinga Choszcz, *Prowadził nas los*, Wydawnictwo Bernardinum, Pelplin 2011.
15. Tony Horowitz, *Błękitne przestrzenie*. Przekład: Barbara Gadomska. Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2010.
16. Mirosław Ikonowicz, *Hombre Kapuściński*, Rosner i Wspólnicy sp. z o.o., Warszawa 2011.
17. Olga i Piotr Morawscy, *Od początku do końca*, Wydawnictwo G+J RBA Sp. z o.o., Warszawa 2010.
18. Eric Weiner, *Geografia szczęścia*. Przekład: Marcin Kowalczyk. Wydawnictwo Carta Blanca, Warszawa 2009.
19. Eric Weiner, *Poznam sympatycznego Boga*. Przekład: Julita Mastalerz. Wydawnictwo Carta Blanca, Warszawa 2012.
20. Justyna Minc, Paulina Pilch, *Dziewczyńska podróż dookoła świata*, Wydawca JK, t. I-II, Łódź 2013.
21. Piotr Kuryło, *Ostatni maraton*, Wydawnictwo Bezdroża Sp. z o.o., Gliwice 2012.
22. Tomasz Gorazdowski, *126 dni na „kanapie”. Motocyklem dookoła świata*, Wydawnictwo Bezdroża Sp. z o.o., Kraków 2010.
23. Dariusz Oskroba, *Dosięgnąć horyzontu czyli motocyklem przez świat*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2011.
24. Renata Jackowska, *Nurkowanie to moja pasja*, Wydawnictwo Poligraf, Brzezia Łąka 2013.
25. Tony Wheller, *Przeklęta ziemia*. Przekład: Grzegorz Fik, ATOMINIUM, Biuro Tłumaczeń Specjalistycznych. Wydawnictwo Carta Blanca, Warszawa 2009.
26. Claire i Mia Fontaine, *Kapiel ze słoniem*. Przekład: Magdalena Rabsztyń. Wydawnictwo Carta Blanca, Warszawa 2013.
27. Tadeusz Perkitny, *Okrążmy świat raz jeszcze*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2009.

28. Karol Lewandowski, *Busem przez świat*, Wydawnictwo Sine Qua Non, Kraków 2011.
29. Magdalena Nitkiewicz, Paweł Opaska, *Przez świat na rowerach w dwa lata. Rok I*, Wydawca JK, Łódź 2010.
30. Magdalena Nitkiewicz, Paweł Opaska, *Przez świat na rowerach w dwa lata. Rok I*, Wydawca JK, Łódź 2010.
31. Nick Middleton, *Ekstremalne wyprawy. Lód, dżungla, piach, bagna*. Przekład: Magda Maksymowicz. Wydawnictwo Tuli, Warszawa 2006.
32. *Podróże życia*, red.: Barbara Żukowska, Wydawnictwo G+J RBA Sp. z o.o., t. I-V, Warszawa 2012.
33. Marek Tomalik, *Pojechane podróże*, Wydawnictwo Pascal, Bielsko-Biała 2012.
34. Robert Maciąg, *Poza utartym szlakiem*, Oficyna Wydawnicza Mercator, Przemyśl 2013.
35. Olgierd Budrewicz, *Kto chce, niech wierzy*, Świat Książki, Warszawa 2011.
36. Olgierd Budrewicz, *Byłem wszędzie*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 2002.
37. Krzysztof Hołowczyc, Julian Obrocki, *Piekło Dakaru*, Wydawnictwo G+j Gruner+jahr, Warszawa 2012.
38. Józef Baran, *Podróże z tej i nie z tej ziemi*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2010.
39. Tomek Michniewicz, *Gorączka. W świecie poszukiwaczy skarbów*, Wydawnictwo Otwarte, Kraków 2011.
40. Tomasz Cyrol, *Alfabet podróżnika*, Wydawnictwo LTW, Łomianki 2012.
41. Szymon Hołownia, *Last minute, 24h chrześcijaństwa na świecie*, Wydawnictwo ZNAK, Kraków 2012.
42. Ryszard Czarnecki, *W skórze reportera*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2011.
43. Marek Kamiński, *Warto podążyć za marzeniami*, Wydawnictwo G+J RBA Sp. z o.o., Warszawa 2012.
44. Kari Herbert, *Córka polarnika. Zapiski z końca świata*. Przekład: Maciej Miłkowski. Wydawnictwo Carta Blanca, Warszawa 2010.
45. Andrzej Muszyński, *Południe*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2013.
46. Jerzy Radomski, *Burgas i Bosman*, Wydawnictwo Bernardinum, Jastrzębie-Zdrój – Gdańsk 2012.
47. Monika Witkowska, *Kurs Czukotka*, Wydawnictwo G+J RBA Sp. z o.o., Warszawa 2013.
48. Monika Witkowska, *Kurs Arktyka*, Wydawnictwo ALMA PRESS, Warszawa 2011.
49. Monika Witkowska, *Kurs na Horn*, Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 2009.
50. Krzysztof Baranowski, *Wyścig do Newport*, Fundacja Szkoły pod Żaglami Krzysztofa Baranowskiego, Warszawa 2013.

51. Tomasz Cichocki, *Zew oceanu*, Wydawnictwo Carta Blanca, Warszawa 2013.
52. Olga Morawska, *Góry na opak, czyli rozmowy o czekaniu*, Wydawnictwo G+J RBA Sp. z o.o., Warszawa 2011.
53. Anna Czerwińska, *GórFanka. Na szczytach Himalajów*, Wydawnictwo ANNAPURNA, Warszawa 2009.
54. Anna Czerwińska, *GórFanka w Karakorum 1979-1986*, Wydawnictwo ANNAPURNA, Warszawa 2013.
55. Jacek Balkan, *Operacja Dakar*, Wydawnictwo Pascal, Bielsko-Biała 2013.

## F. Publikacje inne:

1. Mariusz Szczygieł, *Zrób sobie raj*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2010.
2. Witold Szablowski, *Zabójca z miasta moreli*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2010.
3. Carlos Baker, *Ernest Hemingway*. Przekład: Bronisław Zieliński. Wydawnictwo MUZA SA, Warszawa 1999.
4. Zygmunt Bauman, *Europa, niedokończona przygoda*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2005.
5. Michael W. Young, *Malinowski, Odyseja antropologa 1884-1920*. Przekład: Piotr Szymor. Wydawnictwo Twój Styl, Warszawa 2008.
6. Krzysztof Mroziewicz, *Prawdy ostateczne Ryszarda Kapuścińskiego*, Wydawnictwo Sensacje XX Wieku, Warszawa 2008.
7. Jarosław Giziński, *Dyktatorzy. Kroniki tyranii i szaleństwa*, Wydawnictwo Axel Springer Polska Sp. z o.o., Warszawa 2012.
8. Tomas Venclova, *Z dzienników podróży*. Przekład: Alina Kuzborska. Fundacja Zeszytów Literackich, Warszawa 2010.
9. Agata Bielik-Robson, *Inna nowoczesność, pytania o współczesną formułę duchowości*, TAIWPN Universitas, Kraków 2000.
10. Anna Kuziemska, *Pepek świata*, Wydawnictwo G+J RBA Sp. z o.o., Warszawa 2012.
11. Agnieszka Wójcińska, *Reporterzy bez fikcji*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2011.
12. Andrzej Madej, *Pod otwartym niebem*, Wydawnictwo Światło-Życie, Kraków 2012.
13. Katarzyna Król, *Wielkie Biografie, Kapuściński*, Buchmann Sp. z o.o., Warszawa 2011.
14. Mariusz Szczygieł, *Gottland*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2006.
15. Bogusław Wróblewski, *Życie jest z przenikania*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2008.



16. Joanna Ugniewska, *Podróżować, pisać*, Fundacja Zeszytów Literackich, Warszawa 2011.
17. Anna Wojtacha, *Kruchy lód*, Wydawnictwo Carta Blanca, Warszawa 2012.
18. Ryszard de Teisseyre, *Turistika extreme*, Wydawnictwo GONDWANA, Warszawa 2013.
19. Oriana Fallaci, *Wywiad z historią*. Przekład: Agnieszka Czepniak, Anna Osmólska-Mętrak, Joanna Ugniewska. Weltbild Sp. z o.o., Warszawa 2012.
20. Oriana Fallaci, *Siła Rozumu*. Przekład: Joanna Wajs. Wydawnictwo Cyklady, Warszawa 2004.
21. Piotr Kraśko, *Szwecja*, Wydawnictwo G+J RBA Sp. z o.o., Warszawa 2011.
22. Tiziano Terzani, *Koniec jest moim początkiem*. Przekład: Iwona Banach. Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2010.
23. Grażyna Jagielska, *Miłość z kamienia. Życie z korespondentem wojennym*, Wydawnictwo ZNAK, Kraków 2013.

## G. Poradniki podróżnicze

1. Monika Witkowska, *Z plecakiem przez świat*, Wydawnictwo Videograf, Chorzów 2010.
2. Kerry Lorimer, *Zielony azymut. Przewodnik świadomego podróżnika*. Przekład: Jacek Sikora. Wydawnictwo G+J RBA Sp. z o.o., Warszawa 2007.
3. Jacek Pałkiewicz, *Dżungla miasta. Klucz do bezpieczeństwa*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2013.
4. Marzena Filipczak, *Lecę dalej*, Wydawnictwo Poradnia K, Warszawa 2012.
5. Patryk Świątek, Bartłomiej Szaro, *Paragon podróży*, Wydawnictwo Bezdroża Sp. z o.o., Gliwice 2012.
6. Marzena Filipczak, *Jadę sobie. Azja. Przewodnik dla podróżujących kobiet*, Wydawnictwo Poradnia K, Warszawa 2009.
7. Anna i Robert Maciąg, *Podręcznik przygody rowerowej*, Wydawnictwo HELION, Gliwice 2012.
8. Anna i Krzysztof Kobusowie, *Podróżuj z dzieckiem*, Wydawnictwo G+J RBA Sp. z o.o., Warszawa 2013.
9. Jacek Pałkiewicz, *Przepustka do przygody*. Przekład: Janina Perlin. Wydawnictwo Bellona, Warszawa 1996.

## Bibliografia przedmiotowa:

1. *Geografia gospodarcza świata*, red.: Irena Fierli, Polskie Wydawnictwo Ekonomiczne, Warszawa 1999.
2. *Rocznik Statystyki Międzynarodowej*, red.: Tadeusz Toczyński, GUS, Warszawa 2003.
3. *Fenomen nierówności społecznych*, red.: Jarosław Klebaniuk, Wydawnictwo Psychologii i Kultury Eneteia, Warszawa 2007.
4. Jerzy Strzelczyk, *Wandalowie i ich afrykańskie państwo*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2005.
5. Marian Golka, *Imiona wielokulturowości*, Wydawnictwo MUZA SA, Warszawa 2010.
6. *Studia postkolonialne nad kulturą i cywilizacją polską*, red.: Krzysztof Stępnik i Dariusz Trześniowski, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2010.
7. Janusz Mondry, *Powrót geopolityki*, Wydawnictwo Rambler, Warszawa 2010.
8. Danuta Quirini-Popłwaska, *Włoski handel czarnomorskimi niewolnikami w późnym średniowieczu*, TAIWPN Universitas, Kraków 2002.
9. *Studia o sztuce Bliskiego i Środkowego Wschodu*, red.: Jerzy Malinowski, Wydawnictwo TRIO, Warszawa 2009.
10. Jadwiga Kiwerska, *Świat w latach 1989-2009*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2009.
11. Jerzy Nikitorowicz, *Grupy etniczne w wielokulturowym świecie*, Gdańskie Wydawnictwo Psychologiczne, Sopot 2009.
12. *Wolność, zbiór opowiadań, istota bycia człowiekiem*, red.: Małgorzata Grudnik-Zwolińska, Wydawnictwo G+J RBA Sp. z o.o., Warszawa 2009.
13. Piotr Kowalczyk, *Zagrożenia związane z deficytem wody*, Wydawnictwo KURPISZ, Poznań 2008.
14. Janusz Piekalkiewicz, *Wojna w Afryce 1940-1943*, Agencja Wydawnicza Mostowski, Raszyn 2007.
15. *Raport o stanie świata*. Przekład: Eugeniusz Możejko. Wydawnictwo Książka i Życie, Warszawa 2004.
16. Andrzej Zybala, *Globalna korekta*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2004.
17. Walter Żelazny, *Nierozwiązywalne równania etniczne*, Oficyna Pobitno, Rzeszów 2008.
18. *Różne kultury, różne globalizacje*, red.: Waldemar Kuligowski i Adam Pomieciński, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2010.
19. Hannah Arendt, *Korzenie totalitaryzmu*. Przekład: Daniel Grinberg i Mariola Szawiel. Wydawnictwa Akademickie i Profesjonalne Sp. z o.o., Warszawa 2008.

20. Gerald James Whitrow, *Czas w dziejach*. Przekład: Bolesław Orłowski. Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 1988.
21. David S. Landes, *Bogactwo i nędza narodów*. Przekład: Hanna Jankowska. Wydawnictwo MUZA SA, Warszawa 2008.
22. *Leksykon Świata*. Przekład: Renata Szredzińska, Maria Jędrzejczyk, Dorota Duszyńska, Agnieszka Zielińska. Wydawnictwo Publicat SA, Poznań 2009.
23. *Dziedzictwo Odyseusza*, red.: Maria Cieśla-Korytowska, Olga Płaszczewska, TAIWPN Universitas, Kraków 2007.
24. Ewa Łukaszyk, *Pokusa pustyni*, TAIWPN Universitas, Kraków 2005.
25. Gazmend Kapllani, *Krótki podręcznik przekraczania granic*. Przekład: Ewa T. Szyler. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2009.
26. Aleksandra Lang, Jacek Lang, Renata Ponaratt, Radosław Ratajszczak, *Świat. Najbardziej niesamowite fakty!*, Wydawnictwo Publicat SA, Poznań 2000.
27. Grażyna Jagielska, *Korespondent*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2004.
28. *Teorie literatury XX wieku. Podręcznik*. red.: Anna Burzyńska i Michał Paweł Markowski, Wydawnictwo ZNAK, Kraków 2006.